

A photograph of a woman in a pink dress carrying a large, heavy bundle on her head. She is walking down a narrow, sunlit alleyway. The scene is filled with warm, golden light, suggesting a bright day. The alleyway is flanked by buildings and trees, with shadows cast on the ground. The overall atmosphere is one of a busy, traditional street scene.

Luz Gabás

Palmy na śniegu

Palmy na śniegu

Luz Gabas

Muza Sa (2013)

Wzruszająca historia kolonialna rozgrywająca się na legendarnych plantacjach afrykańskiej wyspy Fernando Poo.

Jest rok 1953. Kilian porzuca ośnieżone góry hiszpańskiej prowincji Huesca, by wraz z bratem Jacobem wyprawić się na odległą, nieznaną i zmysłowo bujną wyspę Fernando Poo. W tej egzotycznej krainie oczekuje go ojciec, od lat zatrudniony na plantacji zwanej Sampaką, gdzie produkuje się cenione na całym świecie kakao.

Na wiecznie zielonej i ciepłej, urzekającej wyspie bracia odkrywają kolonialną swobodę obyczajów, obcą szarej i sztywnej frankistowskiej Hiszpanii, ciężko pracują na plantacji, uczą się, co łączy, a co dzieli autochtonów i europejskich przybyszów, i jednocześnie poznają przyjaźń, namiętność, miłość i nienawiść. Jeden z nich wszakże przekroczy niewidzialną granicę zakazu i zakocha się bez pamięci w miejscowej dziewczynie. Ta miłość, wpisana w skomplikowany kontekst społeczny i historyczny, na zawsze zmieni stosunki między, stając się źródłem sekretusiągającego daleko w przyszłość.

W roku 2003 Clarence, bratanica Kiliana i córka Jacoba, ciekawa ich przeszłości, zagłębia się w trudne, dawno minione sprawy i stopniowo odkrywa zetałe nici łączące ją z wyspą, by ostatecznie wyjaśnić rodzinną tajemnicę.

Barwna saga o kolonialnej przeszłości Hiszpanów i wzruszający romans, który przywodzi na myśl Pożegnanie z Afryką.

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Luz Gabás
Palmy na śniegu

Tytuł oryginału: *Palmeras en la nieve*

Projekt okładki: *Katarzyna Konior*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Irma Iwaszko*

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© sundarananda – Fotolia.com

© andilevkin – Fotolia.com

© tets – Fotolia.com

© Luz Gabás, 2012

© Ediciones Planeta Madrid, S.A., 2012

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013

© for the Polish translation by Barbara Jaroszek

ISBN 978-83-7758-540-5

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2013

Wydanie I

*Dla mojego ojca, Paca,
za udzielającą się innym miłość do życia.*

*I dla Josego Española za tę,
którą ja czuję do niego.*

Dzięki nim dwóm istnieje ta powieść.

*Dla mojej matki, Marí Luz, oraz moich sióstr, Gemmy i Mar,
za bezwarunkowe, nieustanne wsparcie.*

I dla Josego oraz Rebeki, którzy rośli razem z tą książką.

PROLOG

Tej nocy będziecie się kochać desperacko, bo wiecie, że to ostatnia noc, którą spędzicie razem. Nigdy więcej się nie spotkacie.

Nigdy.

Ponieważ to niemożliwe.

Będziecie się pieścić i całować gorączkowo, jak potrafi jedynie dwoje przerażonych ludzi, próbujących poprzez smak i dotyk zgłębić, a potem zapamiętać istotę tego drugiego.

Tropikalna ulewa gniewnie atakuje zieloną barierkę zewnętrznej galerii prowadzącej do pokoi, tłumiąc odgłos waszych wściekłych jęków. Błyskawice usiłują trwać jak najdłużej, jakby chciały przewyciężyć ciemność.

Jeszcze cię widzę, jeszcze cię czuję, jeszcze przez chwilę...

W kącie – dwie sfatygowane skórzane walizki. Na oparciu krzesła – prochowiec. Otwarta szafa o pustych półkach. Na stole – kapelusz i zdjęcie. Rozrzucone po podłodze jasne ubrania. Łóżko, które zwisająca spod sufitu, szczelnie zasunięta moskitiera przekształca w miłosne gniazdko. Dwa ciała poruszające się w mroku.

Tyle z tego zostanie po osiemnastu latach.

Mogłeś zaryzykować i zostać.

Mogłeś też nigdy tam nie jechać. Oszczędziłbyś sobie tego deszczu, tego przeklętego deszczu, który uparcie towarzyszy ci w najsmutniejszych chwilach życia.

Nie musiałbyś tej ponurej nocy tak cierpieć.

Krople ulewy biją w okno.

A ona...

Mogła nie zwrócić na ciebie uwagi, skoro wiedziała, że lepiej nie.

Nie musiałyby tak cierpieć tej nocy rozjaśnianej przerywanym, okrutnym światłem.

Łagodny, spokojny deszcz oblepia przedmioty i spływa po nich miękko, jak łyż, przesycając wszystko zaraźliwą melancholią. Gwałtowny deszcz padający tej nocy siecze groźnie, przypominając, że nie przylgnie do nikogo, że nie da się wchłonąć nawet ziemi. Że umiera w tym samym momencie, w którym uderza.

Mieliście wiele nocy wypełnionych miłością delikatną, czułą, zmysłową, mistyczną. Mieliście zakazaną rozkosz. I kochaliście się w pełnym świetle, i nikt wam nie przeszkodził.

Tyle że to nie dosyć.

Teraz jesteście tysiącem kropel atakującej wciąż od nowa burzy.

Zadaj jej ból! Zedrzyj jej skórę paznokciami! Gryź! Liź! Przesiąknij jej zapachem!

Bo żyjecie. Bo tak cierpicie. Bo nic się nie da zrobić. Bo pogodziliście się z rozstaniem. Bo, do diabła, zrezygnowaliście...

Weź sobie jej duszę, a zostaw swoje ziarno, choć wiesz, że już nie wykiełkuje.

Jadę.

Jedziesz.

Ale i tak będziesz ze mną.

Zawsze.

Słysząc dwa krótkie, szybkie uderzenia do drzwi, potem zapada cisza i po chwili rozlegają się dwa kolejne. To umówiony sygnał. José jest punktualny. Musisz się spieszyć, inaczej spóźnisz się na samolot.

Nie potrafisz się spieszyć. Nie potraficie się od siebie odkleić. Chcecie tylko płakać. Zamknąć oczy i tak trwać w tym stanie nierealnego zawieszenia.

Przeznaczony wam czas dobiegł końca. I nie wróci. Nic nie poradzicie. Już to omówiliście. Żadnych łez – tak bywa. Może w innym czasie, w innym miejscu... Ale nie wy zdecydowaliście, gdzie się urodzić, do kogo czy do czego przynależeć. Wy zdecydowaliście jedynie, że, mimo wszystko, będziecie się kochać.

Choć wiedzieliście, że prędzej czy później ta chwila nadejdzie, tak jak właśnie nadeszła, z pośpiechem, który uniemożliwia pożegnanie w świetle dnia i przekreśla nadzieję na rychły powrót.

Tym razem to będzie podróż w jedną stronę.

Wstajesz z łóżka i zaczynasz się ubierać. Ona siedzi oparta o ścianę, obejmując ramionami kolana, wspiera na nich podbródek. Przez moment obserwuje twoje ruchy, a potem przymyka powieki, żeby utrwalić w pamięci każdy szczegół twojego ciała, każdy twój gest, każdy włos. Gdy jesteś gotowy, wstaje i podchodzi. Ma na sobie wyłącznie naszyjnik z dwóch nawleczonych na rzemyk muszli. Zawsze go nosi. Jedna z tych muszli to muszla porcelanki – błyszcząca, wielkości migdała; druga – niezbyt duża skorupa achatyny. Już po chwili wiszą na twojej szyi.

– Przyniosą ci szczęście i dobrobyt.

Obejmujesz ją mocno i przyciągasz do siebie, wdychając zapach jej włosów i skóry.

– Moje szczęście właśnie się kończy.

– Nie martw się. Choć nie będę mogła cię zobaczyć czy dotknąć, gdziekolwiek się znajdziesz, pozostaniesz częścią mnie.

Jej wielkie oczy, choć smutne, patrzą pewnie i stanowczo. Ona chce wierzyć, że nawet śmierć was nie rozdzieli, że gdzieś się w końcu spotkacie, poza czasem, poza pośpiechem, poza ograniczeniami.

Kładziesz palce na muszlach naszyjnika. Ta mniejsza jest gładka jak jej skóra i lśniąca jak jej zęby. Szczelina przywodzi na myśl idealną waginę – bramę, przez którą wchodzi i wychodzi życie.

– Czy taka mała achatyna zdoła mnie uchronić przed demonami o silnych łapach?

Ona uśmiecha się na wspomnienie waszego pierwszego razu.

– Jesteś mocny jak drzewo puchowca i giętki jak palma. Z korzeniami głęboko w ziemi i liśćmi wyciągniętymi do słońca wytrzymasz każdy wichur.

I znowu dwa krótkie, szybkie uderzenia do drzwi, chwila przerwy, i kolejne dwa. I głos, który stara się brzmieć wyraźnie, lecz dyskretnie na tle burzy.

– Błagam. Jest bardzo późno. Musimy jechać.

– Już, już, José. Minuta.

Minuta i koniec. Minuta, która domaga się jeszcze jednej, i kolejnej, i jeszcze...

Ona chce się ubrać. Nie pozwalasz jej.

Zostań tak, nago. Żeby cię widział. Proszę.

Teraz nie ma nawet naszyjnika dla osłony. A ty – nic jej nie dasz?

Na stole leży twój kapelusz, hełm korkowy, którego już nigdy nie będziesz potrzebował. I wasza jedyna wspólna fotografia.

Bierzesz jedną z walizek, kładziesz ją na stole, otwierasz i z materiałowej torby wyjmujesz nożyczki. Zginasz zdjęcie, przesuwasz paznokciami po linii oddzielającej twoją i jej podobiznę, tniesz.

Wręczasz jej fragment, który przedstawia ciebie opartego o furgonetkę na podwórzu.

– Masz. Pamiętaj mnie takiego. Ja też cię taką zapamiętam.

Patrzysz na drugi fragment, na którym uśmiecha się ona, po czym wsuwasz go do kieszeni koszuli.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że nie mogę... – Urywasz, bo zaczynasz płakać.

– Wszystko będzie dobrze – kłamie ona.

Kłamie, bo przecież wie, że będzie cierpieć za każdym razem, gdy wyjdzie na dziedziniec, zajrzy do jadalni albo położy dłoń na białej balustradzie eleganckich schodów. Za każdym razem, gdy ktoś wymówi nazwę kraju, do którego wyjeżdżasz. Za każdym razem, gdy usłyszy w górze szum samolotu.

Przy każdej ulewie takiej jak ta.

Wszystko będzie dobrze...

Tulisz ją w ramionach i czujesz, że odtąd już nic nigdy dobrze nie będzie.

Za kilka sekund weźmiesz swoje walizki i prochowiec. Znów ją namiętnie pocałujesz.

Ruszysz do drzwi. Usłyszysz jej głos i jeszcze się zatrzymasz.

– Poczekaj! Zapomniałeś kapelusza!

– Tam dokąd jadę, na nic mi się nie przyda.

– Ale to pamiątka po tym, kim byłeś przez wiele lat.

– Nie chcę go. Niech zostanie z tobą. Niech ci przypomina, kim byłem dla ciebie.

Zawrócisz i pocałujesz ją na koniec z tą wilgotną, gęstą i powolną czułością ostatniego razu. Popatrzycie sobie w oczy. Zaciśnięcie powieki i zagryzienie wargi, żeby nie płakać. Delikatnie pogładcicie się nawzajem po policzkach. Otworzysz drzwi, które następnie zamkną się za tobą z lekkim trzaskiem, podobnym w twoich uszach do wystrzału. A ona, po drugiej stronie, oprze o nie głowę i dopiero wtedy gorzko zapłacze.

Wyjdiesz w noc i stopisz się z burzą, która ani na moment nie zechce się uspokoić.

– Dziękuję, Ösé. Dziękuję za te wszystkie lata.

To pierwsze słowa, które wypowiadasz od chwili, kiedy opuściłeś tamten pokój, by udać się na lotnisko. Brzmia dziwnie, jakby wcale nie pochodziły od ciebie. Wszystko wydaje się dziwne, inne: szosa, budynki, blaszane baraki terminalu, mijani po drodze ludzie.

Nic nie jest rzeczywiste.

– Nie ma za co – odpowiada przygnębiony José, kładąc ci rękę na ramieniu.

W otoczonych zmarszczkami oczach człowieka, który, w tym tak początkowo obcym miejscu, był dla ciebie jak ojciec, błyszczą łzy. Ale o upływie czasu jeszcze bardziej niż zmarszczki świadczy stan uzębienia. Antón, pisząc o Josem w swoich listach albo opowiadając ci o nim zimą przy kominku, zawsze powtarzał, że nigdy w życiu nie

widział u nikogo zębów tak białych i pięknych. Od tamtej pory minęła cała wieczność.

Z zębów Josego niewiele zostało.

A i on sam bezpowrotnie znika z twojego życia.

Tutejsze zapachy, upajająca zieleń wybujałej przyrody, głęboki dźwięk uroczystych śpiewów, gwar świątecznych obchodów, wielkoduszność przyjaciół takich jak José, gorący dotyk słońca na skórze – wszystko stanie ci się obce. Przestaniesz być częścią tego świata. Gdy tylko wsiądziesz do samolotu, z powrotem zamienisz się w *öpottò*, obcego.

– *Ösé*, mój drogi, chciałbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

– Oczywiście.

– Jeśli zdołasz, zanieś czasem kwiaty na grób ojca, dobrze? Zostanie tutaj taki samotny...

Jakież to smutne – spocząć w zapomnianym przez wszystkich miejscu, w mogile, przed którą nikt nawet nie przystanie.

– Póki ja żyję, Antón zawsze będzie miał świeże kwiaty.

– *Tènki, mi fren.*

Dziękuję, przyjacielu. Za wyciąganie mnie z tarapatów. Za pomoc w zrozumieniu świata tak innego niż mój. Za pomoc w pokochaniu go. Za mądrość, która pozwoliła ci dostrzec we mnie coś więcej niż tylko żądzę zysku. Za ostrożność w wydawaniu sądów...

– *Mi hat no gud, Ösé.*

– *Yu hat e stron, mi fren.*

My heart is not good. Your heart is strong, my friend. Twoje serce cierpi, lecz jest mocne.

Wytrzyma wszystko.

Wytrzymasz, tak. Ale nie zapomnisz, że przez całe lata posługiwałeś się czterema językami, które teraz, razem wzięte, okazują się zbyt ubogie, by wyrazić to co czujesz: że *tu hat no gud.*

Samolot czeka na pasie startowym.

Żegnaj, *vitémá*, człowieku o wielkim sercu. Uważaj na siebie. *Tek kea, mi fren.* Podaj mi dłoń. *Shek mi jan.*

Take care. Shake my hand.

Pozwolisz się nieść poprzez chmury tysiące kilometrów i wylądujesz w Madrycie, skąd złapiesz pociąg do Saragossy. Potem wsiądziesz do autobusu i wkrótce będziesz wśród swoich. Cała ta długa podróż wyda ci się wszakże zbyt krótka, by pożegnać się z ostatnimi latami – najpiękniejszymi latami twojego życia.

I ten fakt, świadomość, że najpiękniejsze lata życia spędziłeś w odległej krainie, ukryjesz przed innymi jak sekret.

Nie możesz wiedzieć, że ten sekret wyjdzie na jaw ponad trzydzieści lat później. Nie możesz wiedzieć, że któregoś dnia dwa fragmenty tamtego zdjęcia, tak brutalnie rozdzielone, znów się połączą.

Clarence jeszcze nie istnieje.

Ani twoja druga Daniela.

W miarę jak samolot będzie nabierał wysokości, widziana w dole wyspa stopniowo

zmaleje ci w oczach. Cała zieleni, która kiedyś zalała cię z głową, stanie się niewyraźną plamką na horyzoncie, a potem zniknie. W samolocie będą też inni. Wszyscy zachowacie milczenie. Wszyscy zabierzecie ze sobą swoje historie.

I ta cisza zamknie się w kilku słowach, niewystarczających przecież, by wytłumaczyć dziwny ucisk w piersi.

– *Ö má we é, etúlá.*

Żegnaj, kochana wyspo na morzu.

I. NAJOKRUTNIEJSZY MIESIĄC

Pasolobino, 2003

Kilka pierwszych linijek sprawiło, że Clarence poczuła najpierw ciekawość, a później rosnący niepokój. Trzymała w rękach świstek, który przylepił się do jednej z wielu niemal przezroczywych kopert z niebiesko-czerwonym szlaczkiem, używanych kiedyś do prowadzenia zamorskiej korespondencji. Papier, na którym pisano wtedy listy, był cienki, żeby przesyłka ważyła mniej i mniej kosztowała. Z tej samej przyczyny delikatne, piętrzące się w stosikach karteluszek aż kipiały od ściśniętych jedno obok drugiego słów, które zawierały ślady czyjejś egzystencji i ledwie się mieściły w granicach nieistniejących marginesów.

Clarence raz i drugi czytała zdania, wykaligrafowane inną ręką niż reszta listów ułożonych na stole w salonie:

...ja nie wrócę już na F.P., więc, jeśli chcesz, znowu napiszę do Ureki, żebyś mógł dalej wysyłać te pieniądze. Ona czuje się dobrze, jest bardzo silna, musiała taka być, tylko tęskni za swoim pocziwym ojcem, który – informuję Cię o tym z żalem, bo wiem, jak to przeżyjesz – zmarł przed kilkoma miesiącami. Ale spokojnie, chłopcy też mają się doskonale, starszy pracuje, a młodszy wciąż się uczy. Gdybyś widział, jak tu się wszystko zmieniło od czasu, gdy...

I to wszystko. Żadnej daty. Żadnego podpisu.

Do kogo skierowany był ten list?

Adresat nie mógł należeć do pokolenia dziadka, ponieważ tekstura papieru, atrament, charakter pisma i styl wydawały się dość nowoczesne. Nadawca zwracał się jednak do mężczyzny, o czym świadczyła forma „gdybyś widział”, a to ograniczało krąg potencjalnych odbiorców do Jacoba, ojca Clarence, i jej stryja Kiliana. Poza tym tajemnicza notka znalazła się między tymi niewieloma listami, które napisał ojciec. Dziwne... Dlaczego nie zachowała się w całości? Clarence wyobraziła sobie, jak Jacobo chowa przesyłkę, po czym zmienia zdanie i postanawia ją wyrzucić, nie zdając sobie sprawy, że fragment się jednak ostał. Czemu ojciec miałby coś takiego robić? Czy zawarte w liście informacje były aż tak kompromitujące?

Zdezorientowana podniosła wzrok, odłożyła świstek na wielki orzechowy stół, stojący obok czarnej skórzanej sofy typu chester, i potarła piekące oczy. Od ponad pięciu godzin czytała bez chwili przerwy. Westchnęła i wstała, żeby dorzucić drewna do kominka. Jesionowe bierwiona trzaskały w płomieniach. Wiosna była bardziej wilgotna niż zwykle, a długie siedzenie w jednym miejscu potęgowało uczucie zimna. Clarence grzała przez chwilę dłonie nad ogniem, potem przeciągnęła nimi po przedramionach i oparła się o gzyms kominka, nad którym wisiało prostokątne lustro w drewnianej ramie z wyrzeźbioną u góry girlandą. W odbiciu ukazała się zmęczona dziewczyna z podkrążonymi zielonymi oczami i lekko potarganymi kasztanowatymi włosami, które wymykały się z niewoli grubego warkocza, otaczając owalną twarz ze zmarszczonym w tej chwili czołem. Skąd ten nagły niepokój? Clarence wstrząsnęła się, jakby przeszedł ją

dreszcz, wróciła do stołu i znów usiadła.

Posegregowała listy według autorów i czasu powstania, począwszy od tych z roku 1953, kiedy to Kilian pisywał regularnie co piętnaście dni. Treść tych epistoł doskonale pasowała do jego osobowości: były skrajnie szczegółowe w opisach codziennego życia, pracy, otoczenia i klimatu. Stryj dokładnie opowiadał o tym wszystkim matce i siostrze. Ojciec wysiłał się mniej, często po prostu dodawał trzy czy cztery linijki do wynurzeń brata. Listy od dziadka Antona z kolei przychodziły rzadko, były krótkie i zawierały głównie formułki typowe dla lat trzydziestych i czterdziestych dwudziestego wieku, informujące o tym, że, dzięki Bogu, dziadek czuje się dobrze, ma nadzieję, że wszyscy pozostali też czują się dobrze, i dziękuje tym członkom rodziny i sąsiadom, którzy akurat w taki czy inny sposób zechcieli łaskawie pomóc w Rabaltué.

Clarence cieszyła się, że nikogo nie ma w domu. Kuzynka Daniela pojechała razem ze stryjem Kilianem na dół, do miasta, do lekarza, a rodzice mieli wrócić dopiero za dwa tygodnie. Clarence czuła się nawet trochę winna: oto szperała w prywatnych papierach ludzi, którzy przecież wciąż żyli. Dziwnie było czytać to, co ojciec i stryj napisali wiele lat wcześniej. Tak się zwykle postępuje z dokumentami, które pozostały po zmarłych. I, faktycznie, łatwiej jej szło z listami dziadka, którego nigdy nie spotkała, niż z tymi autorstwa Jacoba czy Kiliana. Wiele anegdot, owszem, już знаła. Tyle że teraz, opowiedziane w pierwszej osobie, pochyłym, niepewnym pismem kogoś, kto nie nawykł do kreślenia liter, i przepojone starannie, lecz nieskutecznie skrywaną tęsknotą, wywoływały dziwną mieszankę emocji tak silnych, że niekiedy aż skłaniających do płaczu.

Pamiętała, że kiedyś, gdy była młodsza, otwierała ciemną szafę w głębi salonu i przesuwała dłońmi po tych listach, dla zabawy przeglądając papiery, które pomagały jej wyobrazić sobie przeszłość stuletniego Rabaltué: pożółkłe ze starości wycinki prasowe; katalogi biur podróży i umowy o pracę; dawne księgi rachunkowe dotyczące handlu bydłem i zarządzania posiadłościami; spisy owiec, ostrzyżonych lub padłych; zawiadomienia o chrzcinach i pogrzebach; bożonarodzeniowe życzenia nabazgrane atramentem czyjąś niewprawną ręką; ślubne zaproszenia i karty dań; zdjęcia pradziadków, dziadków, stryjecznych dziadków, kuzynów i rodziców; sięgające XVII wieku dokumenty poświadczające prawo do okolicznych gruntów oraz zawierane z ośrodkiem narciarskim umowy ich zamiany na działki budowlane.

Na listy nie zwracała w tamtym czasie większej uwagi z tej prostej przyczyny, że wtedy jeszcze wystarczały jej opowieści Kiliana i Jacoba. Tyle że, oczywiście, tak było, zanim wybrała się na konferencję, w czasie której, za sprawą kilku prelegentów z Afryki, wykiełkowały w niej – córce, wnuczce i bratanicy kolonizatorów – nieznane wcześniej i niepokojące uczucia. Właśnie wówczas zainteresowała się wszystkim, co łączyło się z życiem mężczyzn z jej rodziny. Nagle zaczęło ją ciągnąć do Pasolobino, do tej szafy w salonie, i bardzo się niecierpliwiła, gdy kolejne obowiązki zatrzymywały ją na uniwersytecie. Na szczęście uporała się ze wszystkim w rekordowym tempie, a rzadka okoliczność, że akurat nikogo nie było w domu, pozwoliła jej przeczytać wszystko dokładnie i w całkowitym spokoju.

Zastanawiała się, czy ktoś jeszcze otwierał tę szafę w ostatnich latach; czy matka,

Carmen, albo kuzynka Daniela też uległy pokusie, by poszperać w przeszłości; czy ojciec albo stryj kiedykolwiek odczuli potrzebę, by przejrzeć się w napisanych dawno temu przez siebie słowach.

Szybko odrzuciła taką możliwość. W przeciwieństwie do niej samej Daniela lubiła starocie tylko o tyle, o ile miały postać wiekowej, eleganckiej rezydencji z kamienia i łupka, urządzonej pociemniałymi z upływem czasu antykami. Carmen nie urodziła się w tym miejscu i nigdy nie czuła się tu jak w domu. Jej misja, zwłaszcza po tym, jak umarła matka Daniela, sprowadzała się do dbania, by wszędzie panował porządek, w spiżarni niczego nie brakowało i by każda okazja stanowiła doskonały pretekst do urządzenia imprezy. Carmen uwielbiała spędzać w Rabaltué długie tygodnie, ale cieszyła się, że na stałe mieszka gdzie indziej, u siebie.

A co do Jacoba i Kiliana – obaj byli typowymi mężczyznami z gór: denerwująco milkliwymi i zazdrośnie strzegącymi swej prywatności. Wydawało się wręcz zaskakujące, że żaden z nich nie zdecydował się w końcu zniszczyć tych listów, podobnie jak ona, Clarence, uczyniła ze swoimi dziennikami z okresu dojrzewania, zupełnie jakby taki akt oznaczał wymazanie przeszłości. Powodów wyobrażała sobie kilka. Może ojciec i stryj zdawali sobie sprawę, że w tych papierach w gruncie rzeczy poza silną nostalgią nic nie ma – nic, co kwalifikowałoby je do potencjalnego unicestwienia. Albo może zdołali wyrzucić z pamięci ich treść – w co wątpiła, wiedząc, jak bardzo lubią obaj opowiadać o swojej ukochanej wyspie – lub, po prostu, zapomnieli o ich istnieniu, jak to się często zdarza z różnymi rzeczami, które człowiek gromadzi przez całe życie.

Tak czy owak, bez względu na przyczyny, dla których te listy się zachowały, należało zbadać, co się właściwie wydarzyło – jeśli wydarzyło się cokolwiek – właśnie ze względu na to, co nie zostało napisane, ze względu na znaki zapytania mnożące się pod wpływem tego kawałka papieru, spoczywającego teraz w jej rękach i zdającego się burzyć pozorny spokój egzystencji w Pasolobino.

Nie wstając z fotela, sięgnęła ku stojącej na stoliku obok skrzyneczce i wyjęła z niej lupę, by dokładniej obejrzeć poszarpane brzegi świstka. W prawym dolnym rogu widać było coś jakby zarys cyfry przekreślonej pionową kreską.

Cóż... Mogło chodzić o siódemkę.

Siódemka.

Clarence zabębniła palcami po stole.

Jak na numer strony to zbyt wiele. Czyżby data? 1947, 1957, 1967... Na ile zdążyła się zorientować, nie wtedy rozgrywały się wydarzenia opisane w tych listach, stanowiących emocjonalne świadectwo kolonialnego życia kilku Hiszpanów na pewnej plantacji kakao.

Z jej punktu widzenia najbardziej interesujące okazały się właśnie te linijki, w których ktoś obcy pisał, że dokądś nie wróci, że z Rabaltué wysyłane były wcześniej pieniądze, że troje ludzi znanych adresatowi listu – Jacobowi? – ma się dobrze i że jakaś bliska im wszystkim osoba odeszła z tego świata.

Komu mógł wysyłać pieniądze jej ojciec? Dlaczego miałyby się martwić, czy ktoś stamtąd miewa się dobrze lub też, bardziej konkretnie, jak sobie radzi w szkole albo w

pracy? Czyją śmierć miałyby tak opłakiwać? Autor listu wspominał też o jakiejś Urece... Ona, Clarence, nigdy nie słyszała takiej nazwy – jeśli w ogóle chodziło o nazwę miejsca... Może raczej o imię osoby? No i najważniejsze: kim była „ona”?

Clarence słyszała setki opowieści o tym, co przytrafiło się mężczyznom z Rabaltué na obcej ziemi. Znała je na pamięć, jako że Jacobo i Kilian nigdy nie przegapili żadnej okazji, by poopowiadać o swoim rajcu utraconym. W jej uszach ta oficjalna historia brzmiała zawsze jak legenda, która rozpoczynała się wiele dekad wcześniej w małym miasteczku w Pirenejach, później rozgrywała się na niewielkiej afrykańskiej wyspie, by dobiec kresu znów w tym samym zakątku hiszpańskich gór. Do tej pory, do momentu znalezienia zagadkowego listu, Clarence ani razu nie wpadła na pomysł, że mogło być odwrotnie: że wszystko rozpoczęło się na niewielkiej afrykańskiej wyspie, później rozgrywało się w małym miasteczku w Pirenejach, by dobiec kresu znów na tej samej wysepce...

No nie, jeśli teraz miało się okazać, że Jacobo i Kilian zapomnieli jej wspomnieć o kluczowych sprawach... Walcząc z pokusą snucia powieściowych domysłów, zmarszczyła brwi i zaczęła sobie przypominać, jakie osoby przewijały się w opowieściach ojca i stryja. Prawie wszystkie wiązały się z jej najbliższym otoczeniem, co było zupełnie naturalne, albowiem całą tę egzotyczną przygodę zainicjował młody awanturnik z doliny Pasolobino, wyruszając w nieznaną pod koniec XIX wieku, czyli w czasach zbliżonych do narodzin dziadków Clarence, Antona i Mariany. Młodzieniec wylądował na atlantyckiej wyspie w ówczesnej zatoce Biafra. W ciągu paru lat zgromadził niewielką fortunę i został właścicielem żyznej plantacji eksportującej kakao na cały świat. Wtedy to w dalekich Pirenejach kilku samotnych mężczyzn i trochę młodych małżeństw postanowiło wyprawić się za morze w poszukiwaniu pracy na plantacji dawnego ziomka oraz w pobliskim mieście.

Zielone łąki ustąpiły miejsca palmom.

Clarence aż się uśmiechnęła na myśl o tych szorstkich, zamkniętych w sobie góralach, z natury małomównych i poważnych, nieskłonnych do okazywania emocji i nawykłych do gamy kolorystycznej rozpiętej między bielą śniegu, zielenią łąk oraz szarością kamienia, nagle odkrywających jaskrawe barwy tropików, ciemne odcienie półnagiej skóry, przewiewność domów i łagodną pieszczotę morskiej bryzy. Szczerze mówiąc, wciąż zadziwiał ją obraz Jacoba i Kiliana w roli bohaterów jednego z wielu dzieł literackich czy filmowych przedstawiających kolonialny świat z perspektywy Europejczyka; w tym konkretnym przypadku – z perspektywy jej krewnych. Ich wersja była jedyną, którą znała.

Wersją jasną i niewątpliwą.

Codziennie życie na plantacjach kakao, stosunki z tubylcami, jedzenie, wiewiórolotki, węże, małpy, wielkie kolorowe jaszczurki... Niedzielne uroczystości, dźwięk bębnów...

O tym mówiono. O tym też opowiadał w swoich pierwszych listach stryj Kilian.

I tyle pracy! Takie ciężkie życie!

Niewątpliwie.

„Chłopcy też mają się doskonale”...

Ta data to musiał być 1977, 1987 albo 1997 rok...

Kto potrafiłby wyjaśnić, o co chodziło w tym liście? Od razu pomyślała o Kilianie i Jacobie, lecz natychmiast zrozumiała, że spaliłaby się ze wstydu, gdyby musiała się im przyznać do szperania w tych papierach. Kiedyś na jakiejś rodzinnej kolacji, w czasie której wypłynął temat kolonii, z ciekawości zadała parę śmiałych pytań, jednakże zarówno ojciec, jak stryj po raz kolejny popisali się umiejętnością sprowadzania rozmowy na swoje ulubione, bezpieczne tory. Oczekiwać, że szczerze i bezpośrednio odpowiedzą na niespodziewane pytanie o kilka tajemniczych linijek, znaczyło oczekiwać zbyt wiele.

Zapaliła papierosa, wstała i podeszła do okna. Otworzyła je trochę, żeby wypuścić dym, i odetchnęła chłodnym powietrzem deszczowego dnia, delikatnie zwilżającego szarość stłoczonych poniżej łupkowych dachów. Rozciągnięta podłużnie starówka Pasolobino wciąż wyglądała tak jak na czarno-białych zdjęciach z początku XX wieku, choć większość spośród jej niemal stu domów została wyremontowana, a na ulicach zamiast bruku położono równiutką kostkę. Poza granicami miasteczka, którego początki sięgały XI stulecia, ciągnęły się teraz klockowate zabudowania ośrodków turystycznych wybudowanych na potrzeby narciarzy.

Clarence spojrzała ku ośnieżonym szczytom, w stronę granicy między świerkami a nagą skałą, wciąż ukrytą pod warstwą bieli. Snujące się tam wysoko mgły wyglądały przepięknie. Jak mężczyźni z jej rodziny wytrzymywali tyle lat z dala od tych wspaniałych gór, bez porannego zapachu wilgotnej ziemi i bez kojącej nocnej ciszy? W tym, co miała teraz przed oczami, musiało być jednak coś niezwykle pociągającego, skoro wszyscy ci, którzy wyprawili się na wyspę, prędzej czy później wracali.

Właśnie wtedy, znienacka, uświadomiła sobie, do kogo powinna się zwrócić. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Do Julii!

Do kogóżby innego? Julia nadawała się doskonale: znała jej rodzinę od dawna, mieszkała kiedyś na wyspie, z taką samą jak Kilian i Jacobo nostalgią wspominała utracony raj tudzież powaby egzotyki, no i zawsze chętnie rozmawiała z Clarence, którą od dziecka traktowała niemal jak córkę, może dlatego, że sama doczekała się wyłącznie synów.

Clarence szybkim ruchem odwróciła się od okna, zgasła papierosa w popielniczce i opuściła salon, by zadzwonić do Julii ze swojego gabinetu. Przecinając wielki hol, z którego przechodziło się dalej do różnych części domu, jak również na schody wiodące do sypialni na piętrze, musiała przystanąć przed ogromnym pięknym obrazem wiszącym nad wielką drewnianą komodą rzeźbioną ręcznie z kunsztem właściwym siedemnastowiecznym rzemieślnikom – jedną z nielicznych pamiątek po dawnej świetności domu.

Obraz przedstawiał drzewo genealogiczne rodziny od strony ojca. Pierwsze nazwisko, które można było odczytać w dolnej partii płótna – Kilian de Rabaltué – opatrzone było datą 1395 i wciąż Clarence intrygowało. Fakt, że imię irlandzkiego świętego, które stopniowo rozprzestrzeniło się na Francję i stamtąd na Niemcy, nosił jej protoplasta, stanowił dla wszystkich w rodzinie zagadkę. Najprawdopodobniej ów Kilian, mający geny podróżnika i włosy o miedzianym połysku, dostał się do Pasolobino

z Francji przez Pireneje, by się tu osiedlić. Od jego nazwiska ciągnął się ku górze długi pień rozgałęziający się poziomymi konarami, a na liściach widniały imiona braci i sióstr wraz z ich żonami i mężami, a także potomkami kolejnych generacji.

Zatrzymała wzrok na pokoleniu swoich dziadków, pierwszym, które przedsięwzięło zamorską wyprawę, i przypatrzyła się datom. W 1898 roku urodził się dziadek, Antón de Rabaltué, który w 1926 ożenił się z Marianą de Malta, urodzoną w roku 1899. W 1927 przyszedł na świat ojciec Clarence. W 1929 – jej stryj, a w 1933 – jej ciotka Catalina.

Clarence pomyślała, że drzewa genealogiczne w tej części świata bywają potwornie przewidywalne. Żadnych sensacji. Od razu widać, kto skąd się wziął. W stosownej rubryczce, przy imieniu i nazwisku, wpisywano datę urodzin i miejsce pochodzenia. Czasem to ostatnie zastępowało nazwisko, ponieważ wielu spośród nowych kandydatów do rubryczek pochodziło z najbliższej okolicy. Główny pień drzewa bez żadnych skrzywień prowadził wzrok oglądającego od pierwszego Kiliana po ostatnich spadkobierców rodu. Imiona w kolejnych pokoleniach zazwyczaj się powtarzały, odsyłając do dawnych hrabiów i ich dam, albowiem stare miana ze starych dokumentów miały interesującą zdolność do pobudzania wyobraźni młodych generacji: stąd raz za razem Mariana i Mariano, Jacoba i Jacobo, czasem Kilian, Juan, Juana, José czy Josefa, kiedy indziej Catalina, Antón lub Antonia... Przyglądając się drzewom genealogicznym, które były jedną z jej pasji, Clarence potrafiła sobie wyobrazić równy nurt życia: narodziny, dorastanie, reprodukcja i śmierć. Ta sama ziemia i to samo niebo.

Jednakże ostatnie spośród widocznych na obrazie imion świadczyły o jawnym zerwaniu z rzekomo spetryfikowaną przeszłością. „Daniela” i „Clarence” przełamywały wcześniejszą monotonię. Wyglądało to tak, jakby narodziny ich właścicielki zbiegły się z jakąś zachodzącą wtedy zmianą, jakby rodzice chcieli je naznaczyć za pomocą ważnych dla siebie słów. Podrósłszy, dziewczynki dowiedziały się, że Kilian wybrał „Daniele”, w ogóle nie biorąc pod uwagę zdania, jakie miała na ten temat jego żona, Pilar. Bo zawsze lubił to imię i kropka. Z kolei Clarence swoje zawdzięczała matce, wielkiej miłośniczce romansów, która tak długo szukała w podróżniczej przeszłości męża, aż znalazła: Clarence de Rabaltué. Jacobo najwyraźniej nie protestował, może dlatego, że imię córki będące dawną nazwą jednego z afrykańskich miast nieustannie kojarzyło mu się z idylliczną przeszłością, do której wciąż z Kilianem wracali.

Stojąc przed obrazem, Clarence przez chwilę wyobrażała sobie kolejne liście na tym drzewie, od góry sąsiadujące bezpośrednio z nią i jej kuzynką. Jak miało się nazywać następne pokolenie, jeśli pojawi się na świecie? Uśmiechnęła się pod nosem. Przy jej tempie w najbliższych latach niczego nie należało się w tym względzie spodziewać, czego zresztą żałowała, bo przecież pojmowała życie jako długi łańcuch o nierozzerwalnie połączonych i ponazywanych imionami ogniwach. Nie potrafiła zrozumieć, że niektórzy nie znają swoich przodków z generacji wcześniejszych niż dziadkowie. Tyle że, oczywiście, nie każdy miał to, co ona postrzegała jako dar od losu: możliwość przyjścia na świat w zamkniętym, dokładnie uporządkowanym i opisanym uniwersum, w którym można się było schronić przed życiowymi zawieruchami. W jej przypadku bowiem przywiązanie do rodzinnego domu, doliny i gór – zrozumiałe, choć może nieco przesadne – daleko wykraczało poza kwestie czysto genetyczne, a w końcu

przekształciło się w coś głębszego, bardziej duchowego, kojącego egzystencjalny lęk przed znikomością. Może właśnie to pragnienie, by stanąć ogniwo ściśle łączące przeszłość z przyszłością, sprawiło, że skoncentrowała swoje badania – generalnie poświęcone lingwistyce – na dialekcie pasolobińskim. Niedawna obrona pracy doktorskiej, która wyczerpała ją i chwilowo zniechęciła do aktywnego uczestnictwa w życiu akademickim, uczyniła z niej nie tylko największego na świecie eksperta od tego niemal wymarłego języka, ale również strażniczkę części kulturowego dziedzictwa, co napawało ją niemałą dumą.

Niemniej musiała przyznać, że czasem żałowała wszystkich tych rzeczy, które przez doktorat ją ominęły. Zwłaszcza dotyczyło to relacji z mężczyznami, bo nie dało się ukryć, że jej życie miłosne było kompletną katastrofą. Z takiego czy innego powodu jej związki nigdy nie trwały dłużej niż dwanaście miesięcy, tak samo zresztą jak w przypadku Daniela, tyle że kuzynka aż tak się tym nie przejmowała, może dlatego, że liczyła sobie o sześć lat mniej, a może po prostu dzięki swojej cierplivej naturze. Clarence znów się uśmiechnęła, tym razem na myśl o tym, jakie szczęście miały – obie jedynaczki – wychowując się praktycznie razem. Co by zrobiła bez tego daru, zesłanego jej przez niebiosa w zastępstwie lalek? Choć fizycznie i psychicznie bardzo odmienne, czuły się z Danielą jak nierozłączne siostry i dzieliły mnóstwo przeżyć i przygód. Pamiętała pakt honorowy: zawarły go, gdy mogły wreszcie zacząć wychodzić razem na imprezy mimo różnicy wieku: w razie gdyby spodobał im się ten sam chłopak, pierwszeństwo należało się tej, która poznała go pierwsza. Na szczęście, ze względu na inne charaktery – Daniela była bardziej nieśmiała, praktyczniejsza i chyba mniej zapalczywa – a także inne upodobania – Clarence gustowała w tajemniczych i umięśnionych książkach z bajki, podczas gdy jej kuzynka wołała realnych mężczyzn – ich wzajemna lojalność nigdy nie została wystawiona na próbę.

Clarence westchnęła i jeszcze przez chwilę – tylko przez chwilę – pozwoliła wyobraźni krążyć wokół swoich ewentualnych potomków.

Nagle przebiegł ją dreszcz, zupełnie jakby ktoś dmuchnął jej w kark albo załaskotał ją piórkiem. Podskoczyła i wykonała gwałtowny obrót. Przez ułamek sekundy była oszołomiona, a nawet przestraszona, bo wyraźnie czuła z tyłu czyjąś obecność, co, jak natychmiast zaczęła przekonywać samą siebie, stanowiło kompletny idiotyzm, albowiem doskonale wiedziała, że domownicy nie wrócą jeszcze przez kilka dni, a wszystkie drzwi sama starannie zamknęła: do szczególnie lękliwych nie należała – choć kto wie, może się tylko łudziła – ale o bezpieczeństwo potrafiła zadbać.

Potrząsnęła głową, by odegnać absurdalne myśli, i skupiła się na tym, co należało zrobić: na telefonie do Julii. Przez jedno z drzwi ozdobionych kasetonami w kształcie rombów, te, które, znajdowały się pod szerokimi drewnianymi schodami wiodącymi na piętro, przeszła do swojego gabinetu, gdzie królowało wielkie dębowe biurko. Tam leżał telefon komórkowy.

Spojrzała na zegarek i uznała, że Julia, kobieta raczej poukładana, zdążyła już zapewne dotrzeć z kościoła do domu. Jeśli bawiła w Pasolobino, wraz z jedną z przyjaciółek chodziła co dzień na mszę o siedemnastej, by następnie pospacerować po miasteczku, napić się czekolady i wrócić samochodem do siebie.

Jednakże, o dziwo, nie odbierała. Clarence postanowiła zadzwonić do niej na komórkę i złapała ją u innej przyjaciółki, tak zajętej grą w karty, że zamieniły ledwie kilka słów. Akurat tyle, by umówić się na następny dzień. Clarence poczuła się trochę zawiedziona. Nie pozostawało jej nic innego, niż czekać.

Cały dzień.

Zdecydowała, że uporządkuje porozkładane w salonie papiery. Odłożyła listy na miejsce, a zagadkowy świstek schowała do portmonetki.

Po gorączkowej aktywności ostatnich godzin nagle nie wiedziała, co zrobić z resztą dnia. Usiadła na sofie przed kominkiem, zapaliła kolejnego papierosa i pogrążyła się w rozmyślaniach o tym, jak bardzo się wszystko zmieniło przez te lata, które upłynęły od wypraw Antona, Kiliana i Jacoba na wyspę – zmieniło się zwłaszcza poczucie czasu. Ludzie z jej pokolenia dysponowali komputerami, pocztą elektroniczną i komórkami, pozwalającymi na natychmiastowy kontakt. I dlatego stali się niecierpliwi: kiepsko znosili niepewność i oczekiwanie, a najdrobniejsza zwłoka w spełnieniu pragnień od razu zamieniała się w torturę.

W tym momencie Clarence interesowało jedynie to, by się przekonać, czy Julia będzie potrafiła powiedzieć cokolwiek, co wyjaśniłoby tych kilka linijek, które z jej perspektywy mogły znaczyć tylko jedno: ojciec regularnie wysyłał pieniądze jakiejś kobiecie.

Reszta spraw zeszła nagle na drugi plan.

Nazajutrz o siedemnastej trzydzieści Clarence stała przed kościołem, czekając na Julię. Już po kilku minutach, które spędziła na kontemplowaniu majestatycznej kościelnej wieży na tle nieba, drzwi kościoła się otwarły, wypuszczając na zewnątrz garstkę wiernych uczestniczących we mszach w tygodniu; wszyscy witali Clarence jak dobrą znajomą. Zaraz też pojawiła się Julia, drobna, skromnie, lecz starannie ubrana, z krótką fryzurą świeżo od fryzjera i uroczą apaszką na szyi. Zbliżyła się z szerokim uśmiechem.

– Clarence! Nie widziałam cię od jakiegoś czasu! – Obdarzywszy ją dwoma głośnymi, serdecznymi całusami, ujęła pod ramię i ruszyła w stronę wyjścia z kościelnego dziedzińca, otoczonego kamiennym murem zwieńczonym długimi metalowymi szpikulcami. – Przepraszam, że wczoraj tak cię zbyłam, ale złapałaś mnie akurat w czasie rewanżowej partyjki. Skąd się tu wzięłaś? A praca?

– W tym semestrze akurat mam mało zajęć. Wiesz, zalety pracy na uczelni. Tak to sobie ustawiam, żeby mieć trochę czasu na działalność naukową. A ty? Jak długo tym razem zostaniesz?

Matka Julii pochodziła z doliny Pasolobino i Julia wciąż pozostawała właścicielką jednego z licznych domów rozsianych pośród pól w promieniu kilku kilometrów od miasteczka. Jej matka wyszła za człowieka z sąsiedniej doliny i razem z nim wyjechała do Afryki, zostawiając małą córkę pod opieką dziadków do czasu, aż sklep żelazny zaczął przynosić zyski i można było ściągnąć dziecko. W Afryce Julia spotkała swojego męża i urodziła dwóch synów. Po ostatecznej przeprowadzce do Madrytu co roku spędzała razem z chłopcami i – rzadziej – z mężem krótkie wakacje w Pasolobino. Od kiedy jednak przed kilkoma laty owdowiała, jej pobyty w rodzinnych stronach stawały

się coraz dłuższe.

– Przynajmniej do października. Wiesz... zalety posiadania dorosłych dzieci, które już mnie nie potrzebują. – Uśmiechnęła się szelmowsko, po czym dodała: – W ten sposób nie mogą mi co chwila podrzucać wnuków.

Clarence się rozeźmiała. Lubiła Julię. W jej kruchym ciele krył się silny duch. Była też dobrze wykształcona, spostrzegawcza, wrażliwa i skłonna do refleksji, bardzo otwarta i miła w obejściu, a wręcz do pewnego stopnia wyrafinowana, co wyróżniało ją spośród innych pań w miasteczku. Clarence uważała, że to zasługa zarówno dalekich podróży, jak i lat przeżytych w stolicy. Niemniej Julia czuła się w Pasolobino tak, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżała, a wrodzona prostota zjednywała jej powszechną życzliwość. Wbrew temu, co opowiadała o swoich dzieciach i wnukach, zawsze bardzo interesowała się losem innych i w razie potrzeby bez wahania oferowała pomoc.

– Masz ochotę na gorącą czekoladę? – spytała Clarence.

– Jeśli kiedyś nie będę miała ochoty, możesz się zacząć niepokoić!

Niespiesznie przeszły wąskimi uliczkami w różnych odcieniach kamiennej szarości, by w końcu zostawić za sobą starówkę i szeroką aleję przecinającą nową część miasteczka – z wysokimi latarniami i cztero- lub pięciopiętrowymi budynkami – i dotrzeć do jedyne w Pasolobino lokalu, gdzie, wedle znającej się na rzeczy Julii, czekolada była prawdziwa, ponieważ z powodzeniem przechodziła test odwróconej do góry dnem filiżanki. „Jeśli wychowałeś się na czystym kakao”, mawiała Julia, „nigdy nie zadowolisz się namiastkami”.

Po drodze rozmawiały o różnych drobiazgach, o pogodzie i pracy na uczelni, i o tym, co u kogo z rodziny słychać. Clarence zawsze odnosiła wrażenie, że w tonie Julii, ilekroć pytała o Kiliana lub Jacoba, dźwięczała jakaś szczególna nuta. Bardzo delikatna, nic poważnego, ale jednak nieodmiennie poprzedzona nerwowym pokasływaniem.

– Dawno nie widziałam twojego stryja. Dobrze się czuje?

– W zasadzie całkiem dobrze, dziękuję. Od czasu do czasu coś tam mu dolega, ale to nic takiego.

– A co u ojca? Już tu nie zagląda?

– Zagląda, owszem, ale rzadziej niż kiedyś. Twierdzi, że coraz mniej chce mu się siadać za kierownicą.

– A tak kochał samochody!

– Myślę, że z wiekiem staje się zmarzluchem i czeka na lepszą pogodę...

– Cóż, wszyscy tak mamy... I, szczerze mówiąc, trzeba bardzo kochać te okolice, żeby wytrzymać równie okropny klimat...

Klimat, pomyślała Clarence. Kontrast między upałami tropików a chłodami Pasolobino.

Doszła do wniosku, że to doskonały moment, by z łatwością skierować rozmowę na właściwe tory.

– O tak – przyznała. – Zwłaszcza jeśli się mieszkało w tropikach, prawda?

– Posłuchaj, coś ci powiem. – Julia przystanąła przed czekoladziarnią i obróciła się w stronę Clarence. – Gdyby nie okoliczności... To znaczy sposób, w jaki musieliśmy wyjechać...

Umilkła na chwilę, bo akurat wchodziły do lokalu. Clarence łagodnie pokierowała ją do środka, zachwycona, że przynęta działa.

– Gdyby nie to, zostałabym tam na zawsze...

Zajęły wolny stolik najbliżej okna. Odłożyły na bok okrycia, torby i apaszki, po czym usiadły.

– Bo tamte lata były najlepszymi w moim życiu...

Julia westchnęła i skinęła na kelnera, prosząc o dwie filiżanki czekolady, ale natychmiast uświadomiła sobie, że nie zapytała Clarence, na co ma ochotę. W odpowiedzi na jej spojrzenie Clarence szybko pokiwała głową, ani na chwilę nie dając się odwieść od tematu rozmowy.

– Wiesz, gdzie niedawno byłam?

Julia zaciekawiona uniosła brwi.

– W Murcji, na konferencji poświęconej literaturze hispanoafrykańskiej. – Clarence zauważyła zdumienie na twarzy rozmówczyni. – Tak, też się na początku zdziwiłam. Nie bardzo rozumiałam sam termin. Zetknęłam się z literaturą afrykańską pisaną po angielsku, francusku, nawet po portugalsku, ale nie po hiszpańsku.

– Do głowy by mi nie przyszło... – Julia wzruszyła ramionami. – Ale też się zbytnio nad takimi kwestiami nie zastanawiałam.

– Wygląda na to, że istnieje masa książek nieznanymi ani tam, ani tutaj, między innymi dlatego, że ich autorzy przez długie lata pozostawali w cieniu.

– A po co w ogóle tam pojechałaś? To ma jakiś związek z twoimi badaniami?

Clarence zawahała się przez moment.

– I tak, i nie. Szczerze mówiąc, po obronie doktoratu nie za bardzo wiedziałam, co dalej. Kolega wspomniał o tej konferencji i to mi dało do myślenia. Bo jak to możliwe, że nasłuchawszy się tylu różnych historii od taty i stryja Kiliana, nigdy nie zadałam sobie pewnych pytań? Prawdę mówiąc, trochę mi się zrobiło głupio. Że inni mogą się dziwić – to zrozumiałe, ale ja?

Ujęła w dłonie filiżankę z czekoladą, tak gorącą, że przed spróbowaniem trzeba było parę razy podmuchać. Julia siedziała w milczeniu, obserwując, jak zgodnie z jej powtarzаныmi wielokrotnie wskazówkami dziewczyna przymyka oczy, by rozkoszować się słodko-gorzki smakiem.

– I dowiedziałaś się czegoś? – spytała w końcu z nieudawanym zainteresowaniem. – Podobało ci się?

Clarence podniosła wzrok i odstawiła filiżankę na spodek.

– Bardzo – odparła. – Spotkałam afrykańskich pisarzy mieszkających w Hiszpanii i w innych krajach na całym świecie, i ludzi stąd, którzy tak jak ja odkrywali zupełnie nowe uniwersum. Była mowa o różnych rzeczach, przede wszystkim o tym, że trzeba rozpropagować wiedzę o tej literaturze i kulturze. – Przerwała, by się upewnić, że Julii nie nudzi jej wywód, po czym dokończyła: – Tak czy owak, to niesamowite, że niektórzy Afrykanie mówią i piszą w tym samym języku co my. Zaskakujące, prawda? No i usłyszałam historie trochę inne od tych, które opowiadali tata i stryj.

Julia zmarszczyła brwi.

– W jakim sensie?

– Wiadomo, dyskutowano o epoce kolonialnej i postkolonialnej, o dziedzictwie ideologicznym warunkującym życie dzisiejszych Afrykanów, o podziwieniu, niechęci, a nawet żalu względem tych, którzy zmienili bieg afrykańskiej historii, o problemach z tożsamością i traumach, i próbach odzyskania straconego czasu, o emigracji i wykorzenieniu, i różnorodności etnicznej oraz lingwistycznej... Cóż, niewiele to miało wspólnego z tym, co uważałam za swoją wiedzę na ten temat... A nie sądzę, żeby oprócz mnie dużo tam było dzieci kolonizatorów! Oczywiście w ogóle się nie odzywałam. Trochę się wstydziłam... Wiesz? Jeden profesor z Ameryki wyrecytował nam nawet wiersz w swoim ojczystym języku bubi... – Sięgnęła do torby, wyjęła długopis i rozłożyła na stole papierową serwetkę. – Co tak naprawdę pisze się: *bööbë*.

– Bubi – powtórzyła Julia. – Wiersze w języku bubi... Przyznaję, że to dla mnie zaskakujące... Nie przypuszczałam, że...

– Pewnie – przerwała jej Clarence. – A co ja mam powiedzieć? W dzieciństwie miałam psa, który wabił się Bubi! – Odrobinę zniżyła głos. – Tata go tak nazwał...

– No tak, niezbyt stosownie, to prawda. Cały Jacobo. Ale... – próbowała argumentować – ...czasy były wtedy inne.

– Nie musisz mi niczego tłumaczyć, Julio. Opowiadam ci o tym wszystkim, żebyś zrozumiała, co to dla mnie znaczy: zupełnie jakby ktoś otworzył mi oczy na nieznane dotąd aspekty sprawy. Tak sobie przy okazji pomyślałam, że czasami trzeba umieć pytać, nie wystarczy przyjmować za dobrą monetę tego, co się nam opowiada...

Znów sięgnęła do torby z jasnego zamszu i wyciągnęła portmonetkę, którą następnie położyła na stole i otworzyła, by wyjąć z niej świstek znaleziony wśród listów z szafy. Uznała, że po takim wstępie Julia bez oporów spełni jej zamysły, które od początku sprowadzały się do wyjaśnienia, kto i po co to napisał. Wbijając w nią wzrok, rzuciła:

– Porządkowałam ostatnio papiery i pośród korespondencji taty natknęłam się na coś takiego.

Wyciągnęła ku niej swoje znalezisko, tłumacząc, dlaczego uważa, że tekst pochodzi z lat siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych. Urwała jednak, gdy zobaczyła zmianę, która zaszła na twarzy jej rozmówcy.

– Dobrze się czujesz? – spytała z niepokojem.

Julia była blada. Bardzo blada. Kartka drżała jej w dłoni niczym jesienny liść na wietrze, a na policzku pojawiła się zdradziecka, niemożliwa do powstrzymania łza. Przestraszona Clarence złapała starszą panią za rękę.

– Co się stało? Powiedziałaś coś złego? – dopytywała się, niespokojna i zaintrygowana jednocześnie. – Naprawdę nie chciałam. Przykro mi!

Skąd taka reakcja?

Przez chwilę siedziały w milczeniu: Julia – próbując się uspokoić, Clarence – usiłując jej w tym dopomóc. Wreszcie ta pierwsza podniosła wzrok i oświadczyła:

– Nic się nie stało. Spokojnie. Wszystko to wygłupy sentymentalnej staruszki. Po prostu zobaczyłam pismo swojego męża i trochę się wzruszyłam.

– Twojego męża? – Zdumiała się Clarence. – A wiesz, o co chodzi? O kogo? – Trudno już jej było powściągnąć ciekawość. – Tu jest mowa o jakichś dwóch chłopcach i ich matce, i jeszcze o kimś, kto zmarł, w sumie o czterech osobach...

– Umieć czytać, Clarence – wtrąciła Julia, wycierając chusteczką oczy.

– Tak, przepraszam, po prostu to takie dziwne. Że twój mąż napisał coś takiego do taty.

– Cóż, znali się przecież – stwierdziła Julia neutralnym tonem.

– Tak, ale z tego, co wiem, nie korespondowali – odparowała Clarence, odbierając jej papier. – Widywali się, jak przyjeżdżaliście tu razem na wakacje. Przecież znalazłabym jakieś inne listy. Ale nie, tylko ten.

Julia odwróciła głowę, by uciec przed jej inkwizytorskim spojrzeniem. Zdawała się z zainteresowaniem obserwować przechodniów, ale w rzeczywistości myślami przebywała w innym czasie i innym miejscu. Na moment solidne budynki z kamienia, drewna i łupku przybrały kolor jaskrawej bieli, a pobliskie jesiony zmieniły się w palmy i drzewa puchowca. Nie było dnia, by nie wspominała swojego ukochanego zakątka w Afryce. Zaledwie chwilę wcześniej wyznała Clarence, że właśnie tam spędziła najlepsze lata swego życia. Tkwiła w tym zresztą pewna niesprawiedliwość, bo przecież należało przyznać, że los w ogóle potraktował ją dobrze – dał jej dzieci i wspaniałe wnuki, i wygodną egzystencję. Tyle że wspomnienie tamtych lat powracało do niej co rano, gdy otwierała oczy. Jedynie ktoś, kto przeżył to samo, potrafił ją zrozumieć. Ktoś taki jak Kilian lub Jacobo.

Była przekonana, że niezależnie od upływu czasu żaden z nich nie zaznał ani dnia spokoju.

Co miała odpowiedzieć Clarence? Czy dziewczyna pytała ze zwykłej ciekawości? Czy naprawdę nic nie wiedziała? A może Jacobo lub Kilian o czymś tam jej wspomnieli? Może teraz, w podeszłym wieku, nie potrafili dłużej ukrywać tego, co leżało im na sumieniu – a może na sercu. Co zrobiłaby ona sama? Jak zdołałaby przejść przez życie obciążona podobnym ciężarem?

Westchnęła głęboko i ponownie zwróciła się ku Clarence, która nie spuszczała z niej wzroku. Jej ciemnozielone oczy, tak podobne do oczu ojca i stryja, dodawały urody i łagodności zdecydowanym rysom ujętym w ramę pięknych, kręconych, kasztanowatych włosów, które akurat tego dnia nie zostały przez właścicielkę zebrane w warkocz. Julia znała Clarence od dziecka i zdawała sobie sprawę z cechującego ją uporu.

– Może zwyczajnie spytaj ojca?

Ta prosta sugestia mocno Clarence zaskoczyła. Nie wiedząc, co odrzec, dziewczyna zamrugnęła kilka razy, spuściła wzrok i zaczęła rwać papierową serwetkę na drobne kawałeczki. Reakcja Julii upewniała ją w przekonaniu, że coś jest na rzeczy.

– Szczerze mówiąc, Julio, trochę się wstydzę. Nie wiem, jak zacząć. Jeśli pokażę ojcu ten list, przyznam się, że szperałam w jego rzeczach. A jeśli on rzeczywiście skrywa jakiś sekret, to wątpię, żeby mi go nagle, po tylu latach tak po prostu wyznał... – Wyprostowała się na krześle i westchnęła. – Tak czy owak, nie chciałabym cię stawiać w niezręcznej sytuacji. Ale z drugiej strony byłoby szkoda, gdyby coś tak istotnego popadło w całkowite zapomnienie... – dorzuciła tonem świadomie żalonym.

Spodziewała się po trosze, że starsza pani poradzi jej stanowczo, by nie traciła czasu na doszukiwanie się nieistniejących sekretów i by nie układała w głowie scenariuszy niemających nic wspólnego z rzeczywistością. Tymczasem Julia milczała, zadając sobie

w duchu wciąż to samo pytanie.

Dlaczego teraz?

Za oknem rozgrywała się typowa kwietniowa walka między słabymi jeszcze promieniami zachodzącego słońca a drobniutkimi błyszczącymi kroplami deszczu niezdecydowanego, czy padać.

Dlaczego teraz?

Pamiętała, jak bardzo jej mąż protestował przeciwko złemu wpływowi, który – jego zdaniem – czarownicy wywierali na tubylców. „Nigdy nie widziałem nic równie głupiego”, mówił. „Czy tak trudno pojąć mechanizm przyczyny i skutku? W życiu, podobnie jak w nauce, określone warunki sprawiają, że coś dzieje się tak, a nie inaczej. Ale nie – ci tutaj nie znają przyczyn ani skutków. Znają tylko wolę swoich bogów i koniec”.

Może nadeszła pora, kto to mógł wiedzieć, ale ona, Julia, nie zamierzała zdradzić Kiliana ani jego brata. Jeśli taka była wola Boga albo też bogów plemienia Bubi, Clarence i tak, prędzej czy później, miała się wszystkiego dowiedzieć. Lepiej zresztą prędzej niż później, bo jej ojcu i stryjowi nie zostało już dużo czasu.

– Posłuchaj, Clarence – odezwała się w końcu. – Mój mąż napisał ten list w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym. Pamiętam dokładnie, bo właśnie podczas tej podróży usłyszał o śmierci dawnego znajomego. – Umilkła na moment. – Jeśli tak bardzo cię to ciekawi, jedź tam i odzyskaj mężczyznę imieniem Fernando. Jest tylko trochę starszy od ciebie. Tak naprawdę interesuje cię jeden ze wspomnianych w tym liście chłopców. Bardzo możliwe, że w Sampace zachowało się archiwum, bo plantacja wciąż jakoś działa. Nie sądzę, żeby zniszczyli wszystko, choć ręczyć za to nie mogę. Odszukaj Fernanda. To nieduży teren, nie większy niż ta dolina, więc na pewno ci się uda...

– Kto to jest Fernando? – spytała Clarence z błyskiem w oku, przyciskając palec do jednego ze zdań listu. – I dlaczego mam go szukać w Sampace?

– Bo tam się urodził. I nic więcej ci nie powiem, moja droga, choćby nie wiem co – oświadczyła Julia zdecydowanie. Spuściła oczy i przez chwilę głaskała dłoń Clarence, która tymczasem ujęła ją za rękę w geście wdzięczności i sympatii. – Jeśli chcesz usłyszeć więcej, musisz pomówić z ojcem. Ale gdyby Jacobo dowiedział się, co ci doradziłam, wyprę się całej tej rozmowy. Jasne?

Clarence skinęła głową z rezygnacją, która natychmiast przerodziła się w zaczątek nadziei.

W jej głowie wciąż rozbrzmiewały słowa, które towarzyszyć jej miały bez przerwy przez wszystkie następne dni: „Jedź do Sampaki, Clarence. Do Sampaki!”.

– Muszę wam powiedzieć coś bardzo ważnego.

Clarence odczekała, aż współbiedniacy zwrócą na nią uwagę. Członkowie jej skłonnej do śmiechu i gadatliwej rodziny siedzieli przy prostokątnym drewnianym stole w zwyczajowym porządku. U szczytu stołu, odkąd sięgała pamięcią, przy wszystkich posiłkach królował stryj Kilian. Choć Jacobo był starszy, Kilian wziął na siebie rolę głowy rodu i, jak się zdawało, brat bez trudu zaakceptował tę sytuację, która pozwalała mu zachować więź z domem rodzinnym przy jednoczesnym braku poważniejszych

obowiązków. Wszyscy obecni mogli się czuć w Rabaltué jak u siebie, lecz to Kilian o wszystko tu dbał. To on dzierżawił łąki pod pastwiska, jako że rodzina nie trzymała już krów ani owiec, to on decydował, czy sprzedać część ziemi rozrastającemu się ośrodkowi narciarskiemu i to on zasadniczo podtrzymywał tradycje tego domu. Podobnie jak wszystkie inne w miasteczku, dom ulegał niekoniecznie pozytywnym zmianom pod wpływem postępu w postaci turystyki, tej samej turystyce zawdzięczając jednak, paradoksalnie, swoje ocalenie.

Po prawej ręce Kiliana zasiadał niezmordowany Jacobo. Mimo że przekroczyli z bratem siedemdziesiątkę, obaj pozostawiali wielcy i silni – Jacobo wyróżniał się dodatkowo wydatnym brzuchem – i z dumą obnosili po świecie swoje bujne i czarne, choć lekko przyprószone siwizną czupryny. Obok Jacoba siedziała zawsze jego żona Carmen, ładna, wesoła, średniego wzrostu kobieta o gładkiej różowej cerze i krótkich, ufarbowanych na jasno włosach. Po lewej stronie Kiliana, naprzeciwko Jacoba, miała swoje miejsce rozsądna i praktyczna Daniela, która po ojcu, Kilianie, odziedziczyła ciemne, połyskujące miedzianymi refleksami włosy, a po matce, Pilar – jak twierdzili co starsi mieszkańcy miasteczka – delikatne, szlachetne rysy. Wreszcie u przeciwległego krańca stołu, naprzeciw Kiliana, nieodmiennie siedziała Clarence, która dzięki tej pozycji nauczyła się doskonale interpretować najdrobniejsze gesty stryja. Potrafiła z łatwością orzec, czy Kilian jest w dobrym, czy w złym humorze na podstawie takich przesłanek jak sposób zwinięcia przez niego serwetki albo intensywność, z jaką spoglądał na taki czy inny przedmiot na stole.

Po paru minutach stało się jasne, że jej deklaracja przeszła całkiem niezauważona. Od dłuższego czasu z rozmaitych powodów nie mieli okazji zjeść wspólnie posiłku, toteż spotkanie było ożywione, rozmowa płynęła wartko, wszyscy gadali jeden przez drugiego, śmiali się, protestowali i dyskutowali. Zwykle w takich razach jej rodzice i kuzynka plotkowali o sąsiadach z Pasolobino, podczas gdy stryj pozostawał raczej milczący. Clarence pociągnęła łyk wina, przyznając w duchu, że ze stryjem rozumie się lepiej niż z własnym ojcem. Kilian wydawał się jej bliższy i bardzo wrażliwy mimo wyglądu twardego i zdystansowanego milczka. Jacobo miał większe poczucie humoru, owszem, ale ten humor często bez ostrzeżenia przyjmował formę sarkazmu, zwłaszcza jeśli ojciec nie potrafił akurat narzucić innym swojego zdania. Na szczęście dla reszty rodziny Carmen wykształciła w sobie niebywałą zdolność rozładowywania jego humorów i sprawiała, że zawsze wszystko kończyło się dobrze, bo jej sprytnie omotany mąż pozostawał z wrażeniem połowicznego zwycięstwa.

Jak mógł zareagować na wieść, dokąd wybiera się jego córka? Pociągnąwszy dla kurażu jeszcze jeden łyk wina, Clarence zdecydowała się podnieść głos.

– Mam wiadomość, od której skamieniejecie ze zdumienia.

Teraz od razu na nią spojrzeli. Wszyscy z wyjątkiem Kiliana, który dopiero po chwili uniósł wzrok znad talerza, jak ktoś, kto nie wierzy, by cokolwiek go jeszcze mogło w życiu zaskoczyć.

Clarence przypatrywała się im w milczeniu, przygryzając dolną wargę. Nagle poczuła zdenerwowanie. Po gorączkowej aktywności ostatnich tygodni spędzonych na gromadzeniu informacji – ściąganiu z internetu zdjęć, map i artykułów, z których

dowiedziała się, między innymi, gdzie leży Ureka – i organizowaniu podróży swego życia ze zrodzoną z nadziei energią, nagle odnosiła wrażenie, że serce w niej zamiera.

Daniela wpatrywała się w nią wyczekująco, a że nic się nie działo, postanowiła dopomóc kuzynce.

– Poznałaś kogoś! Tak, Clarence? Kiedy nam go przedstawisz?

Carmen aż złożyła dłonie i uśmiechnęła się z aprobatą. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Clarence pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Nie, nie o to chodzi... Chodzi o to, że... Cóż... Ja...

– No po prostu nie wierzę! – zagrzemiał radośnie Jacobo. – Mojej córce zabrakło języka w gębie! Teraz to faktycznie jestem ciekawy!

Kilian obserwował ją uważnie, zachęcając do mówienia ledwie dostrzegalnym uniesieniem brwi. Clarence przez chwilę wytrzymała jego spojrzenie, potem spuściła wzrok, zaczerpnęła powietrza i, ponownie wbijając oczy w stryja, wypaliła:

– W czwartek lecę na Bioko. Mam już bilet i wszystkie dokumenty.

Kilian nawet nie mrugnął. Carmen i Daniela niemal unisono wydały okrzyki zdziwienia. Metaliczny brzęk zasygnalizował, że Jacobo upuścił sztućce na talerz.

– Co takiego? – spytał, raczej zdumiony niż wściekły.

– Lecę na Bioko, to znaczy na wyspę Fernando Poo...

– Wiem, co to jest i gdzie leży Bioko! – przerwał jej ojciec. – Tylko nie wiem, co ci przyszło do głowy, żeby tam jechać!

Clarence miała starannie przygotowaną odpowiedź, złożoną z praktycznych danych i stosownych kłamstw zdolnych przekonać zarówno jej rodzinę, jak i ją samą, że podróż jest logicznie uzasadniona i całkowicie bezpieczna.

– Wiecie, że wraz z całym zespołem zajmuję się lingwistyką. Konkretnie skupiliśmy się teraz na afrykańskich odmianach hiszpańskiego i potrzebujemy przeprowadzić badania terenowe, żeby zdobyć nowe materiały. A Bioko doskonale się do tego nadaje.

– Nie wiedziałam, że interesujesz się afrykańską hiszpańszczyzną – wtrąciła matka.

– Cóż, nie wszystko wam mówię o swojej pracy...

– Tak, ale w tym wypadku chodzi o coś bardzo mocno związanego z historią naszej rodziny – zauważyła Daniela.

– Prawdę mówiąc, skoncentrowałam się na tym nie tak dawno. To mało zbadana dziedzina... – Clarence czuła wielką ochotę, by zapytać o tego całego Fernanda, jednakże się powstrzymała. – Poza tym zawsze chciałam zobaczyć waszą ukochaną wyspę! Od dzieciństwa o niej słyszę, a teraz będę miała okazję ją odwiedzić!

– Ale czy to nie jest aby niebezpieczne? Żebyś jechała sama? Nie mam pewności, czy to dobry pomysł, Clarence... – Mama z zatroskaniem kręciła głową.

– Tak, wiem, że to nie żaden turystyczny kurort, ale wszystko dokładnie zaplanowałam. Kolega z uczelni utrzymuje kontakty z tamtejszym profesorem i we dwóch pomogli mi załatwić dokumenty wjazdowe. Zazwyczaj trwa to tygodniami! No i jest bezpośredni lot z Madrytu, jakieś pięć godzin, nic takiego, zwykły spacer... Tak sobie teraz pomyślałam – dorzuciła tonem pełnym podtekstów – że może któryś z was chciałby mi towarzyszyć? Tato? Stryjku? Nie mielibyście ochoty tam wrócić? Może nawet spotkać się z jakimiś starymi znajomymi?

Zobaczyła, że Kilian przymyka powieki i zaciska usta, za to Jacobo odpowiedział za obydwo:

– A z kim mielibyśmy się spotkać? Z białych nikt się nie ostał, a czarni z tamtych czasów już pewnie pomarli. Poza tym to wszystko musi teraz wyglądać koszmarnie. Nigdy tam nie wrócę! Po co? – Tu głos mu się jakby załamał. – Żeby cierpieć? – Zwrócił się ku bratu. Clarence zauważyła, że nie patrzy mu w twarz. – A ty, Kilianie, też pewnie na tym etapie życia wolałabyś się trzymać z daleka, co? – spytał łagodnie, pozornie obojętnym tonem.

Kilian odchrząknął i, krusząc kawałek chleba, odrzekł stanowczo:

– Kiedy wyjeżdżałem, wiedziałem, że nigdy nie wrócę. I nie, nie zamierzam.

Przez chwilę panowało milczenie.

– A ty, Danielo? Nie wybrałabyś się ze mną?

Daniela się zawahała. Wciąż była zaskoczona decyzją Clarence i tym, że kuzynka nie zdradziła się przed nią wcześniej ani słowem. Obserwowała ją swoimi wielkimi brązowymi oczami, które rozświectły jej całą twarz. Tylko ona nie odziedziczyła zielonych tęczęwek charakterystycznych dla rodziny ojca i w związku z tym często skarżyła się na niesprawiedliwość losu, jednakże intensywność, z jaką spoglądała na świat, rekompensowała wszelkie domniemane braki kolorystyczne. Dlatego, choć Daniela nie była tego świadoma, jej spojrzenie na ogół wprawiało rozmówcę w stan ogólnego pomieszania.

– Jak długo chcesz tam zostać?

– Jakieś trzy tygodnie.

– Trzy tygodnie! – wykrzyknęła Carmen. – To strasznie długo! A jeśli coś ci się stanie?

– Co miałyby mi się stać, mamó? Z tego, co wiem, to jest miejsce dość bezpieczne dla obcokrajowców, pod warunkiem, oczywiście, że nie wdasz się w nic podejrzanego...

Ta uwaga jeszcze bardziej zaniepokoiła Carmen.

– Jacobo, Kilianie! Wy najlepiej wiecie, o co chodzi. Wybijcie jej to, proszę, z głowy!

Starsi zaczęli rozmawiać tak, jakby Clarence nie było w pokoju.

– Nie znasz swojej córki? – zawołał Jacobo. – Przecież i tak postąpi, jak zechce.

– To duża dziewczynka, wie, co robi, nie sądzisz, Carmen? – spytał Kilian. – My byliśmy jeszcze młodsi, jak wyjechaliśmy...

– Tak – weszła mu w słowo Carmen – ale wtedy nic specjalnego wam nie groziło. A teraz biała, samotna dziewczyna...

– Czytałem, że niektórzy wciąż prowadzą na wyspie interesy i ciągle tam jeżdżą – dodał Kilian. – Podobnie jak wolontariusze...

– Gdzie czytałeś? – zainteresował się Jacobo.

– W internecie. – Kilian wzruszył ramionami. – Może i jestem stary, ale lubię się we wszystkim orientować. Daniela mi pokazała, że z tym komputerem to wcale nie takie trudne. – Uśmiechnął się do córki. – Trafiała mi się dobra nauczycielka.

Daniela odwzajemniła uśmiech.

– I nikt z uczelni nie może pojechać z tobą? – drażyła Carmen, zwracając się znowu do Clarence.

– Prawdę mówiąc, nikogo nie pociąga wizja podróży do tak dzikiego kraju... Ale nic w tym dziwnego. Ja, w przeciwieństwie do innych, mam też motyw *osobiste*. – Mocno zaakcentowała ostatnie słowo. – Zobaczą miejsca, o których tyle słyszałam!

– Wszystko tam się zmieniło nie do poznania – wtrącił Jacobo. – Sama zobaczysz, w jakim opłakanym stanie znalazł się ten kraj. Nędza i jeszcze raz nędza.

– Zupełnie inaczej niż w waszych opowieściach, co? – rzuciła Clarence z ironią, pamiętając swoje wrażenia po rozmowie z Julią. – Tak to bywa. Rzeczywistość rzadko pokrywa się z fikcją.

Kilian zmarszczył brwi. Wyczuwał w słowach bratanicy zaskakującą impertynencję.

– Clarence – rzekł spokojnie, lecz sucho – nie wypowiadaj się o sprawach, o których nie masz pojęcia. Jeśli tak cię to interesuje, jedź, obejrzyj sobie wszystko i wyciągnij własne wnioski. Ale nas nie osądzaj.

Clarence zamurowało. Przecież chyba nie czytał jej w myślach! Żeby rozładować powstałe między nimi lekkie napięcie, zwróciła się do kuzynki:

– Więc jak? Lecisz ze mną?

Daniela potrząsnęła głową.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej! – jęknęła. – Teraz nie dostanę trzytygodniowego urlopu ot tak, na zawołanie. Ale – dorzuciła – jeśli Fernando Poo okaże się miłością twojego życia, następnym razem wybierzemy się razem, obiecuję.

Najwyraźniej przypuszczała, że kilka tygodni wystarczy, by i w Clarence zbudziło się uczucie, które tak głęboko zapadło w serca ich ojcom. Tyle że oni spędzili na wyspie długie lata. Ona, Clarence, jechała tam w zupełnie innych okolicznościach i w całkowicie innej epoce.

– Och, nie wiem, czy będę miała dość czasu, żeby się zakochać... Ale kto wie?

To pytanie wisiało pośród zapadłej przy stole ciszy aż do końca kolacji, która zresztą wkrótce się skończyła. W ciszy tej niemal dało się słyszeć, jak obu braciom huczą w głowie głosy, powtarzające: „Wiedzieliście, że ta chwila nadejdzie, i oto nadeszła. Wiedzieliście przecież. To była tylko kwestia czasu. Duchy tak postanowiły. Nic nie mogliście poradzić. Wiedzieliście doskonale...”.

Trzeba znać góry, by rozumieć, dlaczego właściwie to kwiecień jest najokrutniejszym miesiącem.

Na nizinach Wielki Tydzień przynosi wiosenne zmartwychwstanie po zimowej rozpacz. Bogini ziemi budzi się, by wychynąć na świat z piekielnych czeluści. W górach – nie. W górach bogini śpi przynajmniej miesiąc dłużej i dopiero wtedy łaskawie zieleni łąki.

W kwietniu nic więc nie rośnie, gleba pozostaje jałowa, a pejzaż – martwy. Nic się nie rusza. Gnuśny, bezbarwny spokój ogarnia sztywne po zimie kształty, spokój zupełnie inny od tego, który poprzedza burzę czy śnieżycę. W kwietniu, jeśli szuka się śladów życia, trzeba patrzeć do góry, ku szczytom i niebu, nie na bezpłodną ziemię.

A w górze mgły czepiają się zboczy, nie dają za wygraną, deszcz pada całymi dniami. Strzępki cukrowej waty, które powoli, lecz wytrwale zasnuwają dolinę, powlekają wszystko mrokiem, utrzymującym się tak długo, aż wreszcie pewnego dnia, bez uprzedzenia, pokazuje się jasne niebo i słońce wraca, by rozgrzać ziemię i pokonać

zimę. Zwycięstwo jest pewne, oczekiwanie – wyczerpujące.

Tego akurat kwietnia padało wyjątkowo dużo: całe tygodnie łagodnego, ale uporczywego ciurkania, które raczej nie podnosiło na duchu. Jednakże tego wieczoru, gdy Clarence obwieściła, dokąd się wybiera, gałęzie starych drzew zakołysały się w pierwszych podmuchach północnego wiatru, który miał położyć kres deszczowi. Zaczęło się od delikatnych powiewów, które wzmagaly się, by w końcu przyjąć formę silnych uderzeń, tłukących okiennicami i wciskających się przez szpary do domu, pod nogi mieszkańców.

Tamtej nocy do Kiliana i Jacoba wróciły obrazy, wcześniej nie tyle zapomniane, ile ukołysane do snu przez łagodny upływ czasu, otulone warstwą pozornej rezygnacji, która towarzyszy tym, co się starzeją. Potrzeba było ledwie kilku słów, by sceny z młodości znów nabrały życia, a dawne uczucia rozgorzały z bolesną jak kiedyś intensywnością.

Żaden z braci nie wyobrażał sobie jeszcze, w jakim kierunku potoczą się wypadki za sprawą Clarence, wiedzionej przez ciekawość i zwykły zbieg okoliczności. Żaden nie przypuszczał, że stanie się ona narzędziem przypadku – tego kapryśnego rywala przyczyn i skutków – i że w związku z tym każde zdarzenie zyska właściwy sobie wymiar, stając się częścią spójnej całości.

Tamtej nocy, gdy Clarence obwieściła, dokąd się wybiera, a gałęzie drzew zadygotały, kilkoro leżących w osobnych łóżkach ludzi przymknęło oczy i na kilka chwil północny wiatr zamienił się w harmattan.

II. PANTAP SALT WATER

Na morzu, 1953

Chodź wreszcie, Kilianie! Spóźnimy się na autobus!

Jacobo usiłował przekrzyczeć ryk styczniowej wichury, odgarniając starą deską śnieg sprzed drzwi wejściowych. Gdy skończył, postawił kołnierz płaszcza, poprawił kapelusz, w jedną rękę wziął walizkę, drugą zarzucił na ramię drewniane narty i ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem, by tym skuteczniej wydeptać wiodącą poza miasteczko ścieżkę, a przy okazji rozgrzać zziębnięte stopy.

Już miał wołać brata znowu, gdy z kamiennych schodów wiodących na podwórze dobiegły go głosy mówiące coś w pasolobińskim dialekcie. Po chwili na ulicy pojawił się Kilian w towarzystwie matki Mariany i siostry Cataliny. Obie opatulone były w grube płaszcze z surowej wełny, na głowach miały robione na drutach ciepłe chusty, w rękach zaś – drewniane kije, by nie przewrócić się w sztywnych, zniszczonych skórzanych butach, które i tak nie bardzo chroniły przed mrozem.

Jacobo uśmiechnął się, widząc, że matka niesie dwie owinięte w gazetę paczuszki. Każda z nich zawierała z pewnością kawałek chleba z boczkiem na drogę.

– Pójdę z tobą przodem – oświadczyła Catalina, biorąc Jacoba pod ramię.

– Dobrze – odrzekł, by zaraz potem łagodnie ją zbesztać: – Ale szkoda, że nie zostałeś w domu, uparciuchu. Z twoim kaszlem nie powinnaś łązić po takim zimnie. Jesteś cała blada i masz sine usta.

– A bo nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy – jęknęła, usiłując wsunąć niesforny kosmyk ciemnych włosów pod chustę. – Dlatego chcę wykorzystać każdą chwilę.

– Jak sobie życzysz.

Obrócił głowę, by posłać szybkie, pożegnalne spojrzenie w stronę rodzinnego domu, i powoli ruszył wraz z siostrą przez zasypane miasteczko. Śnieg, który padał przez ostatnie dni, sięgał im do kolan i kłębił się w silnym wietrze, ograniczając widoczność do kilku metrów.

Trochę z tyłu Kilian czekał, aż matka, kobieta wysoka i postawna, dopnie górne guziki skromnego płaszcza, by lepiej osłonić szyję. Wykorzystał ten moment na dokładne przyjrzenie się domowi, chcąc dobrze zapamiętać każdy szczegół: wzmocnione ciosanym kamieniem węgły, osadzone w szerokich obramowaniach, rozeschnięte na słońcu drewniane okna, okiennice na zardzewiałych zawiasach, potężne drzwi zdobione ćwiekami wielkości orzechów, wykuty w nadprożu krzyż...

Matka uszanowała te parę chwil ciszy, potrzebnej mu, by się pożegnać. Patrząc na syna, poczuła ukłucie lęku. Jak też się on odnajdzie w tym tak odmiennym świecie, do którego się wybiera? Nie był podobny do Jacoba – fizycznie silny i energiczny, nie posiadał jednak nadzwyczajnej odwagi starszego brata. Od małego wykazywał się szczególną delikatnością i wrażliwością, które wszakże z upływem lat coraz bardziej kryły się pod warstwą niepowstrzymanej ciekawości świata, popychającej go do prób naśladowania Jacoba. Mariana знаła trudy życia w tropikach i choć nie chciała

ograniczać poznawczych ambicji syna, nie potrafiła wyzbyć się niepokoju w obliczu decyzji, którą podjął.

– Wciąż możesz się wycofać – powiedziała.

Kilian pokręcił głową.

– Wszystko w porządku. Nie martw się.

Przytaknęła, wcisnęła mu rękę po ramię i razem ruszyli wydeptaną przez Jacoba i Catalinę ścieżynką. Wichura sprawiała, że szli z pochylonymi głowami, krzycząc do siebie i nie patrząc sobie nawzajem w oczy.

– Dom zostanie bez mężczyzn, Kilianie. – W głosie matki nie było wyrzutu, była za to, owszem, odrobina goryczy. – Mam nadzieję, że wasze wysiłki kiedyś przyniosą jakiś efekt...

Kilianowi głos wiązał w gardle. Nie ulegało wątpliwości, że matkę i młodszą siostrę czekają ciężkie chwile: zostawały we dwie, obarczone opieką nad majątkiem położonym w trudnej okolicy, z której nieustannie odpływali ludzie. W ciągu poprzednich dwóch czy trzech lat młodzi masowo wyjeżdżali do większych miast w poszukiwaniu pracy i lepszego życia, zachęceni lekturą tych niewielu gazet – takich jak „El Noticiero”, „Heraldo”, „Nueva España” czy „ABC” – które z kilkudniowym opóźnieniem otrzymywali pocztą najbardziej uprzywilejowani sąsiedzi. Czytając artykuły i przeglądając reklamy, można było dojść do wniosku, że wspaniała przyszłość czeka wszędzie z wyjątkiem tego omijanego przez postęp i nowoczesność zakątka, za którym on, Kilian, tęsknił już teraz, zanim jeszcze stracił go z oczu. Bardzo bał się coraz bliższej chwili rozstania. Pierwszy raz w życiu opuszczał dom i matkę, i zamiast podniecenia ostatnich dni czuł tylko nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Zazdrościł Jacobowi: przede wszystkim szybkości i zdecydowania, z jakimi brat przygotowywał się do wyjazdu. „Tutejsze ubrania na nic ci się tam nie przydadzą”, mówił, „więc zastanów się tylko, co wziąć na drogę. Wybierz, co masz najlepszego. Poza tym na wyspie wszystko jest tańsze. Kupisz sobie, co zechcesz”. Kilian kilka razy przepakowywał swoją niewielką walizkę, by upewnić się, że wybrał właściwe koszule, marynarki, spodnie, skarpetki i bieliznę. Sporządził wręcz – przyklejoną potem po wewnętrznej stronie wieka – listę wszystkich swoich rzeczy, uwzględniającą nawet kopertki z żyłkami Palmera oraz płyn po goleniu Varón Dandy, żeby pamiętać, co zabrał. Tyle że, oczywiście, zarówno ojciec, jak Jacobo jeździli już do Afryki wielokrotnie i przywykli do podróży. On, mimo najszczerzych chęci, jeszcze nie.

– Gdyby to chociaż nie było tak daleko... – westchnęła Mariana, mocniej przytulając się do syna.

Sześć tysięcy kilometrów i trzy tygodnie – które teraz jawiły mu się jako wieczność – dzieliły jego ukochane góry od obiecującej przyszłości. Ci, którzy wyprawiali się do Afryki, wracali w białych garniturach i z pieniędzmi w kieszeni. Ich rodziny szybko się dorabiały. A jednak nie tylko dlatego się zdecydował – ostatecznie dochody ojca i Jacoba całkowicie by wystarczyły. W głębi duszy zawsze pociągała go myśl, by się ruszyć, liznąć trochę świata, doświadczyć na własnej skórze tego, czego doświadczali przed nim inni z doliny, nawet jeśli oznaczało to konieczność przedsięwzięcia dalekiej i w tym akurat momencie niepokojącej go podróży.

– Pieniądze zawsze się przydadzą – powtórzył swój stały argument. – W domu są ciągle nowe wydatki, trzeba opłacać pasterzy, zniwiarzy, murarzy... Poza tym wie mama, że dla młodego człowieka Pasolobino robi się z czasem trochę ciasne.

Mariana wiedziała to doskonale i rozumiała lepiej niż ktokolwiek. Nie aż tak znowu wiele zmieniło się od chwili, gdy w 1918 roku ona sama wraz z mężem Antonem wyjechali do Afryki. Życie w miasteczku to była przede wszystkim hodowla – zagrody pełne odchodów, błota i śniegu. Biedy może się nie cierpiało, ale na więcej niż w miarę godne utrzymanie się na powierzchni nie należało liczyć. Klimat w dolinie stanowił prawdziwe wyzwanie. A to od niego wszystko zależało. Ogrody i pola, i fermy: jeśli któregoś roku zbiory okazywały się gorsze, cierpieli wszyscy. Jacobo i Kilian mogli zostać i pracować w kopalni pirytu albo pójść do terminu u kowala, murarza, łupkarza czy stolarza, dokładając się w ten sposób do gospodarstwa opartego na hodowli krów i owiec. Kilian opiekę nad bydłem nawet lubił, pośród łąk czuł się dobrze i swobodnie. Tyle że był bardzo młody i Mariana rozumiała trawiący go głód nowych doświadczeń. Sama przez to przeszła: niewiele kobiet z Pasolobino miało okazję podróżować tak daleko. Poza tym to, czego się zaznało za młodu, pozostawało w człowieku na zawsze, mimo upływu czasu zadającego kolejne rany.

Wicher szarpnął walizką Kiliana, jakby chciał odrzucić ją do tyłu. Jego wycie wypełniało wąską uliczkę, którą maszerowali w dół, ku krańcowi miasteczka. Kilian cieszył się, że pożegnał sąsiadów już poprzedniego wieczoru i że tego ranka zawierucha odwiodła ich od wyjścia na dwór. Drzwi i okna domów pozostawały zamknięte, nadając miasteczku widmowy wygląd.

Chwilę później dogonili Jacoba i Catalinę, i, chwiejąc się pod uderzeniami wichury, przystanęli wraz z nimi na skraju łąk.

Mariana patrzyła na swoje dzieci: dla rozluźnienia atmosfery cała trójka przerzucała się ostatnimi żartami. Kilian i Jacobo, wysocy i przystojni, musieli się schylać, by porozmawiać z siostrą, szczupłą dziewczyną, której nigdy nie dopisywało zdrowie. Catalinie będzie z pewnością bardzo brakować wesołości Jacoba i spokoju Kiliana. Mariana nagle straszliwie zatęskniła za mężem. Nie widziała Antona od dwóch lat. A w piątkę nie spotykali się od wieków. No i teraz zostawały same z córką. Okropnie chciało jej się płakać, jednakże od dzieciństwa uczono ją nie okazywać słabości. Prawdziwi górale nie zdradzali się ze swoimi emocjami przy innych, choćby ci należeli do najbliższej rodziny.

Jacobo zerknął na zegarek i stwierdził, że pora ruszać. Uścisnął siostrę i uszczypnął ją w policzek. Później podszedł do matki i dwa razy teatralnie ją ucałował, zapewniając sztucznie wesołym głosem, że ani się obejrzy, jak będzie go miała z powrotem w domu.

Mariana szepnęła:

– Opiekuj się bratem.

Kilian objął Catalinę, po czym odsunął ją na odległość ramienia, by popatrzeć jej w twarz. Dziewczyna nie zdołała powstrzymać płaczu. Kilian znów ją przytulił, a Jacobo chrząknął nerwowo, powtarzając, że spóźnią się na autobus.

Kilian zbliżył się do matki, z trudem utrzymując równowagę pośród zawiei. Mariana przycisnęła go do siebie tak mocno, że poczuli nawzajem, jak cali dygocą od

powstrzymywanego szlochu.

– Uważaj na siebie, synku, uważaj – szepnęła mu do ucha. Głos jej drżał. – I wracaj szybko.

Kilian skinął głową. Wzorem brata włożył stopy w wiązania nart i docisnął metalowe dźwignie zamocowane piędziesiąt centymetrów od czubków. Schował paczuszkę z jedzeniem do kieszeni, podniósł walizkę i zaczął zjeżdżać w ślad za Jacobem, który już zniknął za zakrętem mniej więcej ośmiokilometrowej trasy, prowadzącej w dół, do Cerbeanu, największego miasteczka w okolicy, skąd kursował autobus do miasta. Do Pasolobino, położonego wysoko w górach, w dolinie u stóp wielkiego masywu, nie dochodziła asfaltowa droga, dlatego zimą narty stanowiły najszybszy, najbardziej wygodny i praktyczny środek transportu.

Kilian przystanął już po kilku metrach, by po raz ostatni spojrzeć na matkę i siostrę, których postaci ciemniały na szarym tle ściśniętych obok siebie i zwieńczonych dymiącymi kominami domów miasteczka.

Mimo zimna obie kobiety długo jeszcze stały w miejscu.

Gdy synowie znikli jej z oczu, Mariana schyliła głowę i pozwoliła sobie wreszcie na łzy. Catalina w milczeniu ujęła ją pod ramię i we dwie ociężałym krokiem ruszyły przez zadymkę do domu.

W Cerbeanie, do którego dotarli z płonącymi policzkami i zdrętwiałymi od zimna dłońmi, cali spoceni po wysiłku, wiatr nieco się uspokoił. Zmienili buty narciarskie na zwykłe, sznurowane, te pierwsze zostawiając razem z nartami w pobliskim barze, skąd miał je potem zabrać i odwieźć do Rabaltué jeden z kuzynów.

Jacobo sprawnie wspiął się po drabince z tyłu autobusu, by przywiązać walizki do chromowanej półki na dachu. Później obaj z bratem zajęli miejsca w tylnej części pojazdu. Kierowca uruchomił silnik, obwieszczając, że ruszą za pięć minut. Autobus był prawie pusty, gdyż o tej porze roku ludzie z Pasolobino nigdzie się raczej nie ruszali, jednakże zwykle podczas jazdy wypełniał się do tego stopnia, że ostatni chętni dostawali się do miasta uczepieni poręczy przy jedynych prowadzących do środka schodkach, znajdujących się po prawej stronie kierowcy, lub w ogóle musieli iść na piechotę.

Jacobo przymknął oczy, by uciąć sobie drzemkę, zadowolony, że nie musi więcej znosić dokuczliwego zimna – w autobusie nie było może ciepło, ale przynajmniej znośnie – ani, jak kiedyś ojciec, odbywać pierwszej części podróży konno. Kilian natomiast obserwował przez okno monotony krajobraz, przez dużą część drogi skryty pod śniegiem, którego biel w końcu ustąpiła znienacka szarości skał wiodących tunelami w dół, ku nizinom.

Znał tę trasę, jako że tylko tędy jeździło się do Barmonu, niewielkiego prowincjonalnego miasta odległego od Pasolobino o jakieś siedemdziesiąt kilometrów. Miał lat dwadzieścia cztery, ale nigdy w życiu dalej się nie wyprawił. Jednemu z jego kolegów trafiło się to szczęście, że ciężka, wymagająca leczenia u specjalistów choroba zawiodła go aż do stolicy prowincji, a nawet regionu, jednakże on, Kilian, od dziecka zdrowy jak ryba, nie otrzymał od losu takiej szansy. W związku z tym targi bydłace w Barmonie stanowiły w jego przypadku najpoważniejsze źródło informacji o świecie zewnętrznym, albowiem ściągali tam handlarze z różnych stron kraju, by wykorzystać

fakt, że hodowcy bydła pochodzący z odległych górskich zakątków przy okazji załatwiania interesów zaopatrywali się w tkaniny, świece, oliwę, sól, wino, sprzęty gospodarstwa domowego, narzędzia i podarki.

W oczach Kiliana to mrowie mężczyzn i kobiet dowodziło niezbitcie, że wąska, wydarta górom szosa, będąca jedyną przejezdną drogą do jego rodzinnej doliny, prowadzi w gruncie rzeczy do innego świata – świata, który ledwie dawał się przeczuć na podstawie tekstów i obrazków w szkolnych podręcznikach do geografii i historii, dzięki opowieściom starszych oraz codziennym audycjom informacyjnym Narodowego Radia Hiszpańskiego i nocnym programom Międzynarodowego Radia Paryż albo buntowniczego – zdaniem stryja – Radia La Pirenaica.

Jacobo ocknął się dopiero kawałek za Bermonem. W spaniu nie przeszkodził mu nawet rozgardiasz spowodowany przez chyba tuzin dorosłych i dzieci, ładujących się do autobusu z koszykami pełnymi jedzenia, ani też pełne sprzeciwu gdakanie kur, które ktoś wiozł w tekturowych pudłach. Kiliana nadal zadziwiała niewiarygodna łatwość, z jaką jego brat zasypiał w najdziwniejszych pozycjach, bez względu na porę i okoliczności. Bywało też tak, że się budził, pogadał chwilę, wypalił papierosa i znowu pogrążał się we śnie. Jacobo przekonywał, że to doskonała metoda, by nie tracić bez sensu energii, i że w ten sposób, gdy akurat nic ciekawego się nie dzieje, czas mija szybciej. Tym razem wszakże drzemka brata w ogóle Kilianowi nie przeszkadzała. Przeciwnie, pożegnawszy się z Pasolobino, potrzebował samotności, by przywyknąć do zmian, które zachodziły w krajobrazie i w nim samym.

Wyrwany na moment ze snu Jacobo, widząc zamyślenie brata, objął go za ramiona i energicznie przyciągnął do siebie.

– Uszy do góry – rzucił na cały głos. – Parę kieliszków w Ambos Mundos dziś wieczorem i zapomnisz o wszystkich smutkach, człowieku! Swoją drogą niezła nazwa dla knajpy, co? – Zaśmiał się. – Oba Światy!

Wreszcie kilka godzin później dotarli do miasta. W Saragossie nie było śniegu, ale północny wiatr dmuchał niemal tak mocno i lodowato jak w górach. Ulice roiły się jednak od ludzi: od całych dziesiątków ubranych w wełniane palta albo beżowe płaszcze mężczyzn, którzy kulili się, przytrzymując dłońmi czapki bądź kapelusze, oraz tulących do siebie torebki kobiet. Jacobo poprowadził Kiliana do pensjonatu, kilkupiętrowego, wąskiego budynku przy placu España, gdzie zwykli zatrzymywać się z ojcem. Zostawili walizki w skromnym pokoiku i, nie chcąc tracić ani sekundy z tych niewielu cennych godzin, które mieli spędzić w Saragossie, znów ruszyli na miasto.

Przede wszystkim, wzorem wielu przyjezdnych, wąskimi uliczkami starówki zwanej powszechnie El Tubo udali się do bazyliki Nuestra Señora del Pilar, prosić Najświętszą Pannę na Kolumnie o wsparcie w podróży. Potem posilili się kalmarami w zatłoczonej tawernie, gdzie przy okazji skorzystali z usług młodego czyściciela butów. Następnie, w obuwiu lśniącym od pasty Lodix, rozprowadzonej przez niego energicznymi pociągnięciami ściereczki, spacerowali bez celu po mieście, które powoli pustoszało, w miarę jak zamykano sklepy. Spacerowali wolno, ponieważ wśród brukowanych, zabudowanych nawet siedmiopiętrowymi kamienicami ulic, po których jeździły tramwaje i czarne samochody o zaokrąglonych maskach i połyskujących metalicznie

klamkach – takich aut nie było na prowincji! – Kilian bez przerwy się na coś zagapiał.

– Zachowujesz się jak wieśniak – powtarzał jego brat, umierając ze śmiechu. – Co zrobisz, jak dotrzemy do Madrytu? To przecież dopiero początek...

Kilian zasypywał go pytaniami. Zupełnie jakby nerwowe milczenie ostatnich dni znalazło ujście w niepowstrzymanym wybuchu ciekawości. Jacobo z przyjemnością odgrywał rolę starszego brata, gotowego, z niejaką wyższością i głębokim samozadowoleniem, udzielać wyjaśnień młodym i zagubionym. Doskonale pamiętał swoją pierwszą podróż i rozumiał reakcje Kiliana.

– Widzisz tamten samochód? – mówił na przykład, wskazując elegancki czarny pojazd z okrągłymi światłami, połyskujący przednią kratką. – To nowy rodzinny peugeot 203, model wykorzystywany na taksówki. A ten drugi to z kolei angielski austin FX3, po prostu cudo. No i rodzinny citroën CV, znany jako „kaczka”... Ładne, co?

Kilian przytakiwał z roztargnieniem, zapatrzony już na okazałe fasady solidnych, klasycznych budynków, takich jak siedziba Banku Hispanoamerykańskiego czy towarzystwa ubezpieczeniowego La Unión y el Fénix Español, z ich wielkimi, prostokątnymi lub łukowatymi oknami, kolumnami i frontonami zdobiącymi wejścia, bogatymi mansardami i balkonami z kutego metalu...

Zmęczeni trudnym dniem i łąęgą po mieście postanowili wreszcie zajrzeć do wspomnianego przez Jacoba jeszcze w autobusie słynnego lokalu. Kilian już na ulicy zdumiał się podświetlonym napisem informującym, że to jedna z największych kawiarni w Europie. Podążając za bratem, przeszedł przez wielkie dwuskrzydłowe drzwi i przystanął oszołomiony. Znajdujące się przed nim szerokie schody i podtrzymywane przez białe kolumny podcienia wiodły bezpośrednio do ogromnej, dwupoziomowej sali wypełnionej gwarem, dymem, gorącem i muzyką. Delikatne barierki biegły wzdłuż galerii na piętrze, pozwalając siedzącym tam klientom podziwiać orkiestrę umieszczoną w centralnej części parteru. Kilian natychmiast przypomniał sobie scenę z widzianego w Barmonie filmu, w którym pewien młodzieniec kroczył po bardzo podobnych schodach z elegancko przewieszonym przez rękę płaszczem i papierosem w dłoni. Serce zabiło mu mocniej. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie, podekscytowany, zszedł powoli ku tej masie stolików, drewnianych krzeseł i starannie rozstawionych foteli, zajętych przez pogrążone w rozmowie damsko-męskie towarzystwo, które na pierwszy rzut oka zdało mu się dystygowane i subtelne. Sukienki kobiet, wiązane na piersi, głęboko wycięte, były lekkie, wesołe, obcisłe i krótkie w porównaniu z noszonymi w górach grubymi spódnicami do kolan i okryciami z ciemnej wełny. Mężczyźni, tak jak on, mieli na sobie białe koszule, cienkie czarne krawaty i marynarki, ozdobione niekiedy wetkniętą do przedniej kieszonki chusteczką.

Przez chwilę czuł się bardzo ważny. Nikt z obecnych nie wiedział, że zaledwie dzień wcześniej on, Kilian, czyścił bydłęce zagrody z gnoju.

Zauważył, że Jacobo unosi dłoń w geście pozdrowienia skierowanym do kogoś w głębi sali. Popatrzył w tamtą stronę i ujrzał, że macha do nich jakiś mężczyzna.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Jacobo. – Cóż za zbieg okoliczności! Chodź, poznam was.

Zaczęli się przedzierać między stolikami, na których widać było paczki papierosów

Bisonte i Camel, z filtrem, pudełka zapalek w najróżniejszych kolorach i kształtach, kieliszki z anyżówką lub brandy dla panów i szampanem albo martini bianco dla pań. Panował ścisk. Kilian nie mógł wyjść z podziwu, że rozmiary sali pozwalają jednym spokojnie rozmawiać, innym zaś w tym samym czasie tańczyć koło podestu dla orkiestry. W całej dolinie Pasolobino nie uświadczyłbyś nic podobnego. Tam latem tańczyło się na placyku w miasteczku, a zimą organizowało od czasu do czasu wieczorki taneczne po domach; należało wtedy wcześniej dokonać przemeblowania i poustawiać krzesła pod ścianami, by zrobić miejsce. Przy takich okazjach dziewczęta siedziały, czekając, aż chłopcy zaproszą je na prowizoryczny parkiet, albo podrygiwały z koleżankami w rytm paso doble, walca, tanga lub cza-czy, wygrywanych na akordeonie, gitarze i skrzypcach, które w żadnym razie nie mogły się równać z trąbkami i saksofonami raczącymi teraz gości wesołą, chwytną rumbą.

Kilka kroków przed stolikiem znajomego Jacobo odwrócił się do brata i rzekł cicho:

– Jeszcze jedno, Kilianie. Od tej pory w towarzystwie osób trzecich nie mówimy po pasolobińsku. Jak jesteśmy sami, to wszystko jedno, ale przed ludźmi nie chcę wyjść na prostaka. Zgoda?

Lekko zaniepokojony Kilian przytaknął. Jemu samemu nie przyszłoby to do głowy – ostatecznie nigdy nie wyjeżdżał tak daleko od domu. Musiał jednak przyznać, że Jacobo ma słuszość, i obiecał sobie bardzo uważać, aby nie popełnić błędu i nie zawstydzić brata, nawet jeśli odzwyczajenie się od ojczystej mowy miało go kosztować sporo wysiłku.

Jacobo wylewnie powitał oczekującego ich na stojąco chłopaka.

– Co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś w Madrycie?

– Już mówię. Siadajcie – rzucił chłopak i machając w stronę Kiliana, dodał: – Od razu widać, że to twój brat.

Jacobo roześmiał się i dokonał prezentacji.

– Kilianie, to Manuel Ruiz, świetnie zapowiadający się lekarz, który nie wiadomo czego szuka w Gwinei. – Na te słowa Manuel uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – A to mój brat, Kilian. Też nie bardzo wie, co ze sobą począć.

Nowi znajomi uścisnęli sobie dłonie i zasiedli na półokrągłej skórzanej sofce. Jacobo zajął krzesło z oparciem z drewnianych szczebelków. Na podeście dla orkiestry wokalista, ubrany w szarą marynarkę ze srebrnym szlaczkiem, zaczął śpiewać znaną balladę Antonia Machina *Czarne aniołki*, wywołując aplauz publiczności.

– To nie macie takich lokali w Madrycie? – zażartował Jacobo, zwracając się do Manuela.

– Mamy, całe dziesiątki! I to dwa razy większych! Ale tak na serio, to przyjechałem, żeby podpisać papiery w sprawie pracy w Sampace. Zaproponowano mi kontrakt na wyjątkowo korzystnych warunkach.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Szczerze mówiąc, don Dámaso jest już trochę za stary na takie życie.

– Gdybym tylko miał jego doświadczenie...

– No, tak, ale biedaczek już sobie ze wszystkim nie radzi. Kiedy ruszasz?

– Jutro wracam do Madrytu, a w czwartek...

– Na „Sewillę”! – zawołali obaj, parszkając śmiechem.

– My też! – dorzucił Jacobo. – Naprawdę świetnie się składa. – Tu zdał sobie sprawę, że wykluczyli z rozmowy Kiliana, więc wyjaśnił: – Manuel pracował w szpitalu w Santa Isabel. A teraz będziemy go mieli dla siebie. – Rozejrzał się w poszukiwaniu kelnera. – Trzeba to uczcić! Jadłeś już?

– Jeszcze nie. Jak chcesz, możemy zjeść tutaj. Pora na *chopi*!

– *Chopi*, owszem! – powtórzył Jacobo ze śmiechem.

Kilian uznał, że to obce słowo odnosi się do czekającego ich posiłku, a przy wyborze dań zdał się na swoich towarzyszy. Właśnie wtedy sala jakby przycichła, a przejęty solista raz jeszcze odśpiewał ostatnią strofkę piosenki: „...I gdy malujesz aniołki, piękne kościelne aniołki, jakoś nigdy nie pamiętasz, by namalować czarnego...”. Jego występ nagrodziła głośna owacja, która jeszcze się wzmogła, kiedy pianista płynnie przeszedł do żwawego bluesa, porywając kilka co odważniejszych par do tańca.

– Uwielbiam boogie-woogie! – wykrzyknął Jacobo, strzelając palcami i lekko się kołysząc w ramionach. – Jaka szkoda, że nie mam z kim zatańczyć.

Omiótł salę spojrzeniem, wypatrując kandydatki, i pomachał do grupki siedzących nieopodal dziewcząt, które zareagowały nieśmiałymi chichotami i poszeptywaniem. Przez chwilę wahał się, czy do nich podejść, ale ostatecznie zdecydował się zostać przy stoliku.

– E tam, i tak niedługo się wyszaleję...

Kilian, który za tańcem nie przepadał, zdziwił się, że mimo wszystko wystukuje rytm stopą. I robił tak do czasu, aż kelner zdołał im donieść to, co zamówili. Na widok zawartości półmisków chłopak zdał sobie sprawę, jak bardzo zgłodniał przez ten wyjątkowo długi dzień. Od śniadania miał w ustach jedynie przygotowany przez matkę chleb z boczkim, no i kalmary w tamtej tawernie. Wątpił, czy jego żołądek, nawykły do zawieszistych potraw, zadowolony się kanapeczkami z wędzonym łososiem i kawiosem oraz cielęcina z truflami i kurczęciem na zimno, jednakże wszystko okazało się doskonałe i w połączeniu z kilkoma kieliszkami wina świetnie zaspokoilo jego apetyt.

Po jedzeniu Jacobo zamówił szklaneczkę ginu, zrobiwszy wcześniej awanturę, ponieważ w jednym z największych tego typu lokali w Europie nie mieli jego ulubionego gatunku whisky. Manuel i Kilian zadowolili się drinkiem Sol y Sombra, czyli Słońce i Cień, złożonym z brandy i anyżówki.

– No więc, Kilianie – zagaił Manuel, chcąc wrócić do interesującego ich wszystkich tematu – jak się czujesz u progu tej całej przygody? Zdenerwowany?

Młody doktor spodobał się Kilianowi od pierwszej chwili. Mniej więcej trzydziestoletni, był średniego wzrostu, raczej szczupły, miał ciemnoblonde włosy, jasną skórę i mądre niebieskie oczy skryte za okularami w grubych oprawkach. Mówił spokojnie, jak przystało na poważnego, wykształconego człowieka, który – podobnie jak Kilian – potrzebował odrobiny alkoholu, by stać się bardziej przystępnym.

– Trochę. – Kilian za nic by się nie przyznał, że po prostu umiera ze strachu. Poza tym imponowało mu, że oto w ciągu kilku godzin zagrodę dla bydła zamienił na najlepszy lokal w Saragossie, gdzie jak gdyby nigdy nic pił sobie drinki z prawdziwym lekarzem. – Ale na szczęście jestem w dobrym towarzystwie.

Jacobo z rozmachem klepnął go w plecy.

– Nie wstydz się! Nie kłam: aż się cały trzęsiesz! Ale wszyscy przez to przeszliśmy, co, Manuelu?

Doktor przytaknął, popijając alkohol.

– Podczas pierwszej podróży omal nie zawróciłem już w Bacie. Za drugim razem natomiast czułem się tak, jakbym przez całe życie tylko pływał na Fernando Poo i z powrotem. – Zamilkł, szukając odpowiednich słów. – To się w ciebie wgryza. Zupełnie jak te przekłete komary. Sam zobaczysz.

Trzy godziny później, po wypiciu kilku dalszych drinków i wypaleniu zawartości metalowego czerwonego pudełka papierosów Craven A, które Kilian uznał za całkiem niezłe, choć słabe w porównaniu z mocnym ciemnym tytoniem używanym w domu, bracia pożegnali się z Manuelem do czasu rozpoczęcia rejsu i chwiejnym krokiem, z błyszczącymi oczyma zawrócili sprzed drzwi Ambos Mundos do pensjonatu. Gdy dotarli na plac España i przecięli tory tramwajowe, Jacobo rzucił się pędem po schodach prowadzących do publicznych toalet. Kilian czekał na górze, oparty o kutą barierkę. Reklamowe neony na dachach sąsiednich domów pomagały potężnym, czteroramiennym latarniom oświetlać plac, którego środek zajmowała fontanna z brązowym posągami na kamiennym piedestale.

Stojący pod krzyżem anioł z jedną ręką wyciągniętą ku niebu podpierał rannego, który wyraźnie nie miał już siły, by utrzymać w rękach broń. Kilian podszedł bliżej, by przeczytać napis na tablicy, którą jakaś odlana z brązu kobieta dzierżyła w dłoniach. Przekonał się wtedy, że anioł z piedestału symbolizuje Wiarę, a cały pomnik poświęcony jest męczennikom poległym w walce za religię i ojczyznę. Kilian podniósł wzrok ku niebu i jego spojrzenie napotkało neonowe reklamy: Avecrem, Gallina Blanca, Iberia Radio, Longines – najlepsze zegarki, pastylki Dispak, Philips... Z trudem zbierał myśli. Trochę kręciło mu się w głowie – i to nie tylko od alkoholu. Wyjechał z domu zaledwie rano, lecz wydawało się, że przed wiekami. Dzień był naprawdę niełatwy. A ze słów Jacoba i Manuela dało się wywnioskować, że przed nimi długa i dziwna droga. Wrócił spojrzeniem do anioła Wiary i poprosił w duchu o wsparcie w tej przygodzie, na którą sam się przecież zdecydował.

– Co tam, Kilianie? – dobiegł go bełkotliwy głos Jacoba. – Jak pierwszy wieczór z dala od mamy? – Brat objął go za ramiona i ruszyli. – Ile nowości, co? A to co widziałeś, to jeszcze nic w porównaniu z tym, co zobaczysz... O tym myślałeś?

– Mniej więcej.

Jacobo podniósł wolną rękę do czoła.

– Ależ bym się napił whisky z Santa Isabel! Od niej głowa nie boli, zobaczysz. Wzięłeś optalidony?

Kilian skinął głową. Jacobo poklepał go po ramieniu.

– Dobrze, a powiedz, co najbardziej chcesz zobaczyć?

Kilian zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba morze – odparł. – Ja jeszcze nigdy nie widziałem morza, Jacobo.

Choć po raz pierwszy płynął statkiem, nie miał choroby morskiej. A wielu pasażerów snuło się po pokładzie z przygaszonymi, pozieleniałymi twarzami. Najwyraźniej nie

zależało to od doświadczenia, ponieważ Jacobo też wyglądał średnio, mimo że przecież trzeci już raz mógł się cieszyć rozkosznym kołysaniem, zapewnianym przez statki w rodzaju „Sewilli”. Fakt, że coś równie wielkiego potrafi się unosić na wodzie, stanowił absolutną zagadkę dla kogoś, kto wodę w stanie naturalnym widywał jedynie podczas łowienia pstrągów w niewielkich pasolobińskich strumykach. A to, że on, Kilian, z taką łatwością znosił obecność wody wszędzie wokół, też było zaskakujące. Przypisywał swój znakomity humor rozmaitym doświadczeniom, których zaznał w ostatnich dniach, i perspektywie kolejnych, których miał bez wątpienia zaznawać później.

Myślał o matce i siostrze, i życiu w Pasolobino. Jak dalekie wydawało się to wszystko teraz, pośród oceanu! Przypomniawszy sobie chłód towarzyszący im przez całą drogę autobusem do Saragossy i potem pociągiem do Madrytu. W miarę jak przybliżali się do Kadyksu, powietrze łagodniało, podobnie jak jego uczucia, uspokajane obrazem niespiesznie przesuwanej się za oknami Hiszpanii, którą przemierzał po raz pierwszy, sunąc po odpornych, niezwykle twardych, wykonanych z tropikalnego drewna belkach kolejowych podkładów. Kiedy okręt wypłynął z portu, gdzie tłumy ludzi ze łzami w oczach machały białymi chusteczkami – wtedy tak, poczuł wielki smutek na myśl, że zostawia ukochane istoty, jednakże towarzystwo Jacoba, Manuela i innych, którzy też zamierzali pracować w koloniach, jak również samo ciepło, usposobiły go pozytywnie i sprawiły, że podróż przebiegała przyjemnie. Stopniowo powiększał się dystans między nim a ostatnimi białymi świątami Bożego Narodzenia. Trzeba będzie przywyknąć do Gwiazdki w tropikach!

Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu miał tyle dni odpoczynku z rzędu.

Z natury energiczny i nerwowy, odnosił wrażenie, że taka przedłużająca się beczynność to niewybaczalna strata czasu. Marzył już o pracy fizycznej. Jakaż różnica względem Jacoba, który zawsze tylko myślał o tym, jak by tu odetchnąć! Kilian patrzył na brata, który leżał obok w wygodnym fotelu z twarzą nakrytą kapeluszem. Od kiedy wsiedli na statek w Kadyksie, a zwłaszcza od opuszczenia Teneryfy, Jacobo nic tylko drzemał w dzień, noc zaś spędzał na balowaniu z kolegami w salonie muzycznym albo w barze Veranda. Alkohol i choroba morska sprawiały, że za dnia przypominał duszę czyścicową i ledwie powłóczył nogami.

Z kolei on, Kilian, próbował wyciągnąć z tego wszystkiego jakąś korzyść. Dlatego, poza studiowaniem słownika *Broken English*, całymi popołudniami czytał stare numery czasopisma „La Guinea Española”, żeby wyrobić sobie zdanie na temat świata, w którym zamierzał żyć – przynajmniej przez kolejne osiemnaście miesięcy, bo tyle czasu miał trwać jego pierwszy pobyt. Właściwie miał trwać dwadzieścia cztery miesiące, tyle że ostatnie sześć, też płatne, stanowiło wakacje. Poza tym pracę rozpoczął z dniem wypłynięcia z Kadyksu. Kolejny powód do radości: od niemal dwóch tygodni zarabiał, czytając.

We wszystkich dostępnych na pokładzie numerach czasopisma, wydanych we właśnie zakończonym roku 1952, pojawiały się te same reklamy w zawsze tym samym porządku. Najpierw reklamował się sklep Dumbo przy ulicy Sacramento w Santa Isabel, a zaraz potem Zjednoczenie Transportowe mające swoją siedzibę przy alei generała Moli i oferujące naprawy oraz podwózkę w ramach jednej *faktorii*, bo tak w krajach

kolonialnych nazywały się podobne przedsiębiorstwa. Na koniec trzecia reklama ukazywała palącego mężczyznę, który polecał wspaniały tytoń Rumbo zdaniem wypisanym wielkimi literami: „Papierosy, które pomagają ci myśleć”. Jacobo twierdził, że w Afryce jest mnóstwo rodzajów tytoniu, bardzo zresztą taniego, i że niemal wszyscy palą, bo dym odgania komary. Dalej zaczynały się artykuły o treści religijnej, rozmaite wiadomości z Europy oraz opinie.

Kilian zapalił papierosa i skupił się na gazecie, którą akurat trzymał w rękach. Jego uwagę zwrócił artykuł o dzieciach ochrzczonych między 1864 a 1868 rokiem: Pedro María Ngadi, José María Gongolo, Filomena Mapula, Mariano Ignacio Balonga, Antonio María Ebomo, Lorenzo Ebamba... Wszystkie te zestawienia wydawały się dziwnie, ponieważ każde imię było najzwyklejszym imieniem hiszpańskim, każde nazwisko zaś brzmiało całkiem z afrykańska.

Następnie przeczytał artykuł dotyczący ponad pięciu milionów dzieci niemieckich, które w 1945 roku straciły rodziny. Jakże odległa wydawała się wojna światowa! Przypominał sobie niewyraźnie strzępki listów od ojca, które matka głośno czytała krewnym – by potem złożyć je i z czią schować do kieszeni spódnicy – zawierające opisy niepokojącej sytuacji na wyspie, związanej z wykluwaniem się tendencji nacjonalistycznych oraz zagrożeniem brytyjską lub francuską inwazją. Ojciec twierdził, że wszyscy na Fernando Poo zachowują postawę neutralną albo wręcz sprzyjają aliantom, choć kręgi zbliżone do gubernatora popierały raczej hitlerowców. Faktem było, że w pewnym momencie na wyspie dystrybuowano nawet niemieckie gazety z hiszpańskimi tłumaczeniami.

Wojna w Hiszpanii oraz ta w Europie należały już do przeszłości. Jednakże z lektury znalezionych na pokładzie statku gazet wynikało, że w Afryce konfliktów politycznych nie brakuje. Jeden z tekstów sygnalizował, że w Kenii zanosi się na ekskomunikę wszystkich sympatyków ruchu Mau Mau, z jego liderem, Jomo Kenyattą na czele, ze względu na głoszone przez nich hasła wypędzenia z Afryki Europejczyków i powrotu do dawnych, „pogańskich” obrzędów.

To ostatnie dało Kilianowi do myślenia. Wypędzić Europejczyków z Afryki? Czyż to nie oni sprowadzili cywilizację na te dzikie ziemie? Czyż dzięki nim tubylcom nie żyło się lepiej? No i wrócić do tradycyjnych obrzędów? Nie bardzo to wszystko rozumiał, ale i tak ciągle o tym myślał. Ostatecznie swoją wizję Czarne Lądu zawdzięczał w znacznej mierze pokoleniu ojca – pokoleniu dumnemu ze swojej służby Bogu i ojczyźnie. Ojciec zawsze przecież powtarzał, że praca w koloniach to służba Bogu i narodowi hiszpańskiemu, w związku z czym osobiste bogacenie się nie przeszkadza spełnianiu szlachetnej misji.

On, Kilian, dużo się zastanawiał nad tym, jak też ułożą się jego relacje z osobami tak od niego odmiennymi. Jedyne czarne człowiek, którego miał okazję spotkać, pracował w barze na statku. Kilian pamiętał, że na początku gapił się na niego wręcz niegrzecznie, przypatrując się mu dłużej, niż to było konieczne, bo spodziewał się odkryć jakieś inne wielkie różnice poza kolorem skóry i olśniewającą bielą uzębienia. Ale nic nie dostrzegł. Zresztą wraz z upływem czasu zamiast Murzyna zaczął widzieć po prostu kelnera Eladia.

Było całkiem prawdopodobne, że anegdota, jakich się nasłuchał na temat Afrykańczyków, sprawiły, że wyrobił sobie błędną opinię. W rozmowach z rodziną w Pasolobino Antón i Jacobo nie wyrażali się inaczej niż „czarni to” albo „czarni tamto” – niemal zawsze w liczbie mnogiej. Wyglądało na to, że tubylcy – z wyjątkiem Josego – funkcjonują wyłącznie jako zbiorowość, pozbawiona indywidualności masa. W pamięci utkwiła Kilianowi stara pocztówka, którą Antón przysłał kiedyś bratu. Przedstawiała cztery ciemnoskóre kobiety z nagimi piersiami, na odwrocie zaś widniały wypisane piórem słowa: „Zwróć uwagę, jaka w tym przesada. One tak chodzą po ulicy!”.

Kilian przyglądał się temu zdjęciu z uwagą. Kobiety wydały mu się piękne. Wszystkie cztery miały zamotane wokół pasa tkaniny służące za spódnicę, *clote*, opadającą im aż do kostek. Od pasa w górę były zupełnie nagie, jeśli nie liczyć prostych naszyjników i delikatnych sznureczków na nadgarstkach. Piersi każdej wyglądały zupełnie inaczej: spiczaste i jędrne, małe, położone jedna z dala od drugiej, obfite... Sylwetki uderzały smukłością, a twarze – z mięsistymi wargami i wielkimi oczyma – niekłamaną urodą. Włosy spływały w dół splecione w coś w rodzaju cienkich warkoczy. W sumie fotografia była rzeczywiście ładna. Jedyne, co mogło w niej dziwić, to fakt, że służyła za pocztówkę. Pocztówki, które Kilian widywał wcześniej, ukazywały zabytki i piękne zakątki miast, pejzaże różnych krajów, a nawet elegancko ubranych ludzi, ale... żeby cztery nagie kobiety? Pomyślał, że kiedy robiono im to zdjęcie, biedaczki nie miały pojęcia, do jakiego celu zostanie wykorzystane. Dziwne to na nim wywarło wrażenie – zupełnie jakby potraktowano te kobiety niczym ciekawe owady pod lupą cudzoziemca.

To samo uczucie owładnęło nim teraz, gdy oglądał jedną z wielu fotografii zamieszczonych w czasopiśmie. Migawka ukazywała grupkę czarnych ubranych z europejska, w koszule i marynarki, czapki albo kapelusze. W pierwszej chwili wszystko wyglądało najzupełniej normalnie, jednakże podpis głosił, co następuje: „Obchody bożonarodzeniowe składają miejscowych do błazenady”. To ostatnie słowo wydało się Kilianowi dziwne, ponieważ on dostrzegał tylko zwyczajnie ubranych ludzi. Wiedział od ojca, że w czasie specjalnych świąt niektórzy tubylcy przebierają się za *nañgüe*, czyli kogoś w rodzaju karnawałowego wesołka, którego misjonarze określali mianem *błazna*, ale zawsze sobie wyobrażał, że chodziło o przebranie w postaci masek i słomianych spódniczek, a nie europejskich koszul i marynarek...

W jego myśli wdarł się ochryply głos Jacoba:

– Mam nadzieję, że wkrótce będzie można latać samolotem. Ja tak dłużej nie dam rady!

Kilian się uśmiechnął.

– Niewykluczone, że gdybyś tyle nie pił po nocach, mdliłoby cię mniej.

– Wtedy dni ciągnęłyby się jeszcze bardziej niemiłosiernie... Gdzie Manuel?

– W kinie.

Jacobo zdjął z twarzy kapelusz, dźwignął się do pozycji siedzącej i rzucił okiem na czytaną przez brata gazetę.

– Coś ciekawego na dzisiaj?

Kilian już się szykował do zdania mu relacji. Przez ostatnie dwa tygodnie zwyczaj ustalił się taki, że podczas gdy Jacobo drzemał, Manuel i Kilian oddawali się lekturze, by

po jego przebudzeniu porozmawiać na intrygujące Kiliana tematy.

– Właśnie miałem zacząć artykuł o języku bubi...

– Co za strata czasu – przerwał Jacobo. – Na miejscu bubi do niczego ci nie będzie potrzebny. Większość tubylców mówi po hiszpańsku, a ty i tak będziesz spędzał całe dni wśród nigeryjskich robotników na plantacji. Dlatego lepiej się zajmij studiowaniem tego słownika, który ci dałem. Pichi bardzo ci się przyda.

Na stoliku leżała niewielka, oprawna w brązowe, wytarte płótno książeczka pod tytułem *Dialekt angielsko-afrykański, czyli Broken English*, napisana – jak informowała pierwsza stronica – w 1919 roku przez pewnego misjonarza, „syna Niepokalanego Serca Maryi”. Kilian próbował zapamiętać niektóre słowa i frazy, jednakże przychodziło mu to z wielkim trudem, ponieważ nigdy wcześniej ich nie słyszał. Słownik podawał pojedyncze wyrazy bądź całe wyrażenia po hiszpańsku razem z ich tłumaczeniem na afrykański angielski, *pidgin English* albo – jak nazywali tę odmianę Hiszpanie – *pichinglis* lub po prostu *pichi*, a także wskazówki co do wymowy.

– Nie rozumiem, czemu to się pisze tak, a wymawia inaczej. Dwa razy więcej zachodu.

– O pisowni zapomnij. Nie będziesz przecież z tymi Nigeryjczykami korespondował! Skup się na wymowie. – Jacobo sięgnął po książkę oraz należący do brata nowy czarny długopis ze złotą zakrętką, wyraźnie zamierzając udzielić Kilianowi krótkiej lekcji. – Słuchaj, najpierw musisz opanować podstawowe pytania. – Coś tam podkreślił. – Potem naucz się najczęściej używanych słów i wyrażeń. – Jacobo zamknął słownik i odłożył go na stół. – Czarni będą ci powtarzać, że są chorzy, że nie mogą pracować, że nie wiedzą jak, że jest gorąco, że strasznie pada... – Z westchnieniem odchylił się na oparcie fotela, splatając dłonie na karku. – Zawsze im się coś nie podoba i ciągle tylko szukają wymówek, żeby nie pracować. Zupełnie jak dzieci! Sam się przekonasz!

Kilian uśmiechnął się pod nosem. Odnosił wrażenie, że Jacobo częściowo opisuje teraz samego siebie, lecz powstrzymał się od komentarza.

Wziął ze stołu słownik, żeby sprawdzić, jakie „podstawowe pytania” zakreślił brat, i uznał, że zupełnie zwyczajne w sytuacji, gdy poznaje się kogoś mówiącego innym językiem: „Jak się nazywasz?”, „Ile masz lat?”, „Czego chcesz?” albo „Czy rozumiesz, co mówię?”.

Jednakże wyrażenia, których, zdaniem brata, miał najczęściej używać, już go zaskoczyły: „Pokażę ci”, „Pracuj”, „Chodź”, „Milcz”, „Nie rozumiem”, „Jak coś zepsujesz, to cię zbiję”... Takich słów miał szczególnie potrzebować w najbliższych miesiącach! Gdyby go ktoś spytał, jakich wyrazów z jego rodzinnego dialektu używa się najczęściej, takie nigdy by mu nie przyszły do głowy. Nie potrafił uwierzyć, że przez ostatnie lata Jacobo ani razu nie odbył ze swoimi pracownikami rozmowy nieco pogłębionej. Choć z drugiej strony nie było to aż takie dziwne. Opowieści snute przez brata zwykle dotyczyły przecież balang w Santa Isabel.

Jacobo znów zakrył twarz kapeluszem, gotów zapaść z powrotem w swoją nieustającą drzemkę.

– Jacobo...

– Hmm...?

– Mieszkaś w tym kraju tyle czasu... Co wiesz o jego historii?

– To co wszyscy! Że to nasza kolonia, z której czerpiemy najrozmaitsze korzyści, że przynosi zyski...

– Tak, ale... Do kogo ta ziemia należała wcześniej?

– Chyba do Anglików albo Portugalczyków... Czy ja wiem!

– No, ale... Jeszcze wcześniej chyba do tych stamtąd, co? Do autochtonów?

Jacobo prychnął.

– Chciałeś powiedzieć: dzikusów! Z nieba im spadliśmy, inaczej wciąż by siedzieli w dżungli! Spytaj ojca, kto im założył elektryczność.

Kilian zastanawiał się przez chwilę.

– W Pasolobino też jeszcze niedawno elektryczności nie było. A w wielu wioskach w Hiszpanii dzieci żywiły się mlekiem w proszku i paczkowanym amerykańskim serem. Daj spokój, nie jesteśmy jakimiś pionierami postępu. Jak się patrzy na te nieliczne zdjęcia taty z dzieciństwa, to aż trudno uwierzyć, że ludzie w ten sposób żyli.

– Skoro tak cię ciekawi historia, na plantacji z pewnością znajdziesz jakąś książkę. Ale jak zaczniesz pracować, będziesz tak zmęczony, że odechce ci się czytania, zobaczysz. – Jacobo wygodniej ułożył się w fotelu i ostatecznie zakrył twarz kapeluszem.

– A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym się trochę przespać.

Oczy Kiliana spoczęły na idealnie gładkiej powierzchni spokojnego morza. Takim je opisał w liście do matki i Cataliny. Słońce słało znad horyzontu ostatnie promienie. Wkrótce całkiem miało zapaść się pod tę nieuchwytną linię dzielącą wodę od nieba.

W górach słońce o zmierzchu po prostu się chowało; na morzu woda zdawała się je połykać.

Przepiękne oceaniczne wieczory bynajmniej Kiliana nie nużyły, jednakże miał już ochotę stanąć na lądzie. Któregoś wieczoru rzucili kotwicę w porcie w Monrowii, stolicy Liberii, żeby rozładować i załadować towar, ale nikomu nie pozwolono opuścić statku. Brzeg wydawał się dość monotony. Widać było akacjowe i namorzynowe lasy oraz niekończącą się piaszczystą plażę usianą małutkimi osiedlami. Potem płynęli wzdłuż wybrzeża zamieszkanego przez lud Kru, z którego wywodzili się najsilniejsi robotnicy – jak wyjaśnili Kilianowi jego galisyjscy towarzysze podróży: „Mężczyźni Kru są w Afryce jak Asturyjczycy i Galisyjczycy w Hiszpanii: najlepsi do pracy”. Ojciec widywał jeszcze, jak w swoich łodziach wypływali na spotkanie europejskim okrętom, by oferować siebie jako siłę roboczą. Według legendy pracowali tak długo, aż sami uznawali się za wystarczająco niezależnych i mogli stać się posiadaczami dwudziestu albo trzydziestu żon. Choć najprawdopodobniej faktycznie chodziło o zwykłą legendę, która wywoływała uśmiech na ustach białych mężczyzn, usiłujących sobie wyobrazić trudności związane z zaspokojeniem tyłu kobiet.

Kilian zapalił.

Co wieczór po kolacji pasażerowie, gawędząc, przechadzali się po pokładzie. Z daleka dostrzegł siostrzeńca gubernatora w towarzystwie pewnej madryckiej rodziny, która wracała do Gwinei po dłuższym pobycie w Hiszpanii. Kilka metrów obok podobni do niego, Kiliana, przyszli pracownicy plantacji grali w karty. Z każdym dniem coraz mniej różnili się od doświadczonych kolonistów. Kilian uśmiechnął się na wspomnienie

własnego zmieszania wobec niezwyklej liczby sztuców rozłożonych przy talerzach w jadalni pierwszego wieczoru. Początkowe napięcie i zaciekawienie pod wpływem monotonii dni i nocy upływających na łagodnie rozkołysanym statku szybko ustąpiły rozluźnieniu.

Przymknął oczy i wystawił twarz na pieszczotliwe powiewy morskiej bryzy. Jego umysł po raz kolejny wypełnił się mieszaniną swojskich i obcych słów. Wspominał rodzinne strony. Przywoływał nazwiska sąsiadów i zastanawiał się, co tam u tego czy tamtego. Myślał, podobnie jak i śnił, w swoim rodzinnym dialekcie. Mówił po hiszpańsku. Na statku słyszał angielski, niemiecki i francuski. Uczył się afrykańskiej odmiany angielszczyzny. Ciekaw był, czy język bubi jest dla mieszkańców Fernando Poo tym, czym dla niego pasolobiński. Ciekaw był, czy kogokolwiek na wyspie zainteresowałyby, poza z konieczności już pewnie znanymi dziejami i zwyczajami metropolii – bo tak określano Hiszpanię jako kraj kolonizujący inne – także historia i zwyczaje tamtego zimnego i pięknego zakątka w Pirenejach, który teraz, wobec bezmiar morza, zdawał mu się maluteńki.

Bo jego, owszem, ciekawił ten inny świat, który może wciąż trwał pod kolonialną zwierzchnością. Ciekawiła go historia tej wyspy zamieszkaney przez kobiety i mężczyzn z fotografii.

Historia tubylcza. Historia prawdziwa.

Jeśli rzeczywiście coś się z niej zachowało.

Zanim na portowym moło w Bacie – stolicy Río Muni, czyli kontynentalnej części Gwinei Równikowej – zauważył ubranego w krótkie spodnie, jasną koszulę i hełm tropikalny ojca, jego dusza zdążyła się już zanurzyć w całe ciepło i zieloność tego świata. Kogoś wychowanego w górskim rajku kolor zielony nie powinien właściwie aż tak zaskakiwać – a jednak zaskoczył.

Przed ich oczyma rozciągała się najpiękniejsza część Czarnego Kontynentu, wiecznie zielona, pokryta równikowym lasem. Wszystko inne zdawało się tu wtórne, jakby nieprawdziwe: niskie budynki, zakotwiczone w porcie wielkie, nowoczesne statki, ręce machające na powitanie, ludzie taszczący z miejsca na miejsce towary.

Dziwne było to poczucie nierzeczywistości.

Ale tak czy owak dopłynęli. Wreszcie!

– I jak ci się podoba? – zagadnął go Jacobo.

Stali wraz z Manuelem obok niego, aż zakończy się manewr przybijania do brzegu i wysunięty zostanie trap, który pozwoli pasażerom zejść na ląd. Wokół kłębił się tłum ludzi zaprzątniętych rozmaitymi zadaniami. Zarówno na pokładzie, jak na brzegu rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar. Kilian obserwował wszystko wciąż oszołomiony.

– Oniemiał! – zaśmiał się Manuel, trącając Jacoba łokciem.

– Widziałeś, ilu czarnych, Kilian? A wszyscy jednakowi! Sam zobaczysz. To zupełnie jak z owcami. Nawet po dwóch czy trzech miesiącach nie nauczysz się ich rozróżniać.

Manuel skrzywił się na te słowa. Kilian nie słuchał, oczarowany widoczną w dole panoramą.

– Tam jest tata! – zawołał wreszcie z radością, dostrzegając wśród podchodzących do trapu znajomą postać.

Pomachał ojcu i lekkim krokiem ruszył ku zejściu, a za nim podążali równie stęsknieni za stałym łądem Jacobo i Manuel.

Powitanie było krótkie, ale pełne emocji. Przez kilka minut w powietrzu krzyżowały się pozdrowienia, formuły przedstawiające Antonowi Manuela, anegdoty z podróży i niecierpliwie pytania. Kilian nie widział ojca od dwóch lat i zaniepokoił się jego wyglądem. Spaloną słońcem twarz przecinały nieistniejące wcześniej zmarszczki, a z gruba ciosane, lecz proporcjonalne rysy zdawały się powoli flaczeć. Antón sprawiał wrażenie zmęczonego i co chwila unosił dłoń do brzucha.

Przede wszystkim chciał wiedzieć, co tam słyhać w miasteczku, jak się miewa rodzina jego brata, który też miał na imię Jacobo, a także dalsi krewni oraz sąsiedzi. Na koniec zostawił sobie pytania o żonę i córkę. Przy wzmiance o Marianie Kilian dostrzegł w jego oczach przebłysk smutku. Wyjaśnienia nie były potrzebne. Pobyty w kolonii dłużyły się każdemu, a co dopiero żonatemu mężczyźnie, który kochał żonę i nie widywał jej całymi miesiącami.

Po krótkim milczeniu Antón popatrzył na Kiliana i omiatając okolicę szerokim gestem, powiedział:

– Cóż, synu. Witaj z powrotem na rodzinnej ziemi. Mam nadzieję, że będziesz się tu czuł dobrze.

Kilian uśmiechnął się porozumiewawczo i zwróciwszy się do Manuela, wyjaśnił:

– Jacobo też się tutaj urodził, wiesz? A dwa lata później ja. Po porodzie mama zachorowała i tygodniami nie mogła dość do siebie, dlatego wróciliśmy do domu.

Manuel skinął głową. Wielu osobom nie odpowiadały gęste, wilgotne upały panujące w tej części Afryki.

– To znaczy, że się tutaj urodziłem, ale nigdy nie mieszkałem. Nie mam nawet żadnych wspomnień.

Jacobo nachylił się i podjął ściszym głosem:

– Matka nie przyjechała tu nigdy więcej, a ojciec kursował w tę i z powrotem, przysparzając nam podczas urlopów rodzeństwa. Bywało, że kolejne dziecko widział dopiero, kiedy miało dwa lata, potem siał nowe ziarno i wracał w tropiki. Z sześciorga braci i sióstr zostało nas troje.

Kilian upomniał go wzrokiem, niespokojny, że ojciec usłyszy, ale Antón był pogrążony w myślach. Patrzył na młodszego syna, który bardzo się zmienił – wysoki jak wcześniej, nieco szczuplejszy od Jacoba, stał się jednak przez ten czas dorosłym mężczyzną. Niewiarygodne, że to już tyle lat, od kiedy się urodził! Dokładnie po dwudziestu czterech wracał tam, gdzie przyszedł na świat. Nic dziwnego, że tak bardzo o tym marzył. On, Antón, na początku niezbyt się cieszył z jego decyzji, by wzorem ojca i starszego brata wyprawić się do Afryki. Martwił się, że Mariana i Catalina zostaną same na gospodarce. Jednakże Kilian potrafił być bardzo uparty i przekonujący, poza tym miał słuszość, gdy po dokonaniu rachunków argumentował, że rodzinie przyda się dodatkowy zastrzyk pieniędzy. Głównie dlatego Antón postanowił jednak zwrócić się do właściciela plantacji, który nawet przyspieszył zwykły tryb załatwiania takich spraw, żeby Kilian mógł odbyć podróż już w styczniu, w okresie wstępnych prac. W ten sposób zyskiwał czas, by przywyknąć do miejscowych warunków i przygotować się do działania

w najważniejszych miesiącach, kiedy to – od sierpnia – zbierano i suszono kakao.

Panujący wokół ścisk skłonił ich do przejścia kawałek dalej. Wciąż mieli przed sobą parę godzin podróży na wyspę, ostateczne miejsce przeznaczenia.

– Wydaje mi się, że statek do Santa Isabel już stoi gotowy – oświadczył Jacobo, po czym zwrócił się do Antona: – To naprawdę uprzejme, że wybrał się po nas ojciec aż do Baty. Może z lęku, że jednak nie dowiozę Kiliana w całości? – dorzucił kpiąco.

Antón uśmiechnął się, co nie zdarzało mu się często, choć w towarzystwie Jacoba częściej niż kiedy indziej.

– Mam nadzieję, że wykorzystasz długi rejs, aby we wszystko brata wtajemniczyć. Chociaż po twarzy widać, że spędzałeś czas raczej w salonie muzycznym... I to bynajmniej nie z miłości do fortepianu!

Kilian pospieszył bratu z pomocą i poważnym głosem, któremu towarzyszył jednak żartobliwy uśmiech, powiedział:

– Nie mogłem trafić na lepszych nauczycieli niż Jacobo i Manuel! Szkoda, że ojciec nie widział, jak mnie brat uczył pichi! Już właściwie płynnie nim władam!

Wszyscy czterej wybuchnęli śmiechem. Antón cieszył się, że ma chłopców przy sobie. Ich młodość i energia pomogą zrekompensować fakt, że on sam, wbrew własnej woli, słabnie. Obrzucił ich dumnym spojrzeniem. Fizycznie byli bardzo podobni. Obaj odziedziczyli po nim zielone oczy, typowe dla męskiej linii Rabaltué. Dziwne oczy: z daleka wydawały się zielone, lecz z bliska okazywały się szare. Chłopcy mieli ponadto szerokie czoła, długie, masywne u podstawy nosy, wydatne kości policzkowe i szczęki równie mocno zarysowane jak podbródki, nawet jeśli podbródek Jacoba był jednak zdecydowanie bardziej kwadratowy. Obaj też mieli gęste czarne czupryny, tyle że włosy Kiliana dodatkowo połyskiwały miedzią. Wyróżniali się wzrostem, szerokimi barami i silnymi ramionami – bardziej umięśnionymi u starszego brata – nawykłymi do fizycznego wysiłku. Antón wiedział, jakim szalonym powodzeniem cieszy się Jacobo wśród kobiet, ale wiedział też, że Kilian będzie się cieszył większym. Harmonia jego rysów ocierała się wręcz o perfekcję. Przypominał młodą Marianę.

Z kolei charakter braci nie mogłyby być bardziej odmienne. O ile Jacobo zaliczał się do imprezowiczów i przyjmował pozy panicza zmuszonego przez życie do pracy, o tyle Kilian odznaczał się mocno rozwiniętym poczuciem odpowiedzialności – czasem wręcz zbyt rozwiniętym, nawet zdaniem ojca. Przy czym Antón nigdy by mu tego nie powiedział, wolał, żeby młodszy syn przejawiał nadmiar pracowitości i powagi, niż żeby się upodobnił do zmiennego Jacoba z jego specyficznym poczuciem humoru.

Tak czy owak, wyglądało na to, że bracia dobrze się rozumieją i że się uzupełniają, a właśnie to się liczyło na tej dziwnej ziemi.

Podczas przeprawy z Baty na wyspę Antón był wyjątkowo gadatliwy. Gdy wspomnieli mu o nieustannych mdłościach Jacoba, opowiedział, jak to kiedyś, w trakcie jednej z pierwszych podróży bez Mariany, w drodze z Teneryfy do Monrowii jego statek dostał się w szpony straszliwej burzy.

– Wszędzie było pełno wody, walizki pływały w kajutach. Latałeś pod sufitem, żeby zaraz potem się podtopić. Cierpieliśmy tak przez trzy dni, w dodatku bez jedzenia. Wszystko zostało zniszczone. W Santa Isabel czekali na nas jak na zjawy. Uważali nas

za martwych. – Zadumał się na kilka sekund, ze wzrokiem wbitym w horyzont, wspominając okropne doświadczenie. Potem zwrócił się do Jacoba, który słuchał tej opowieści ze zdziwieniem. – Wtedy jeden jedyny raz w życiu naprawdę się bałem. Mało! Byłem przerażony! Twardzi faceci płakali jak dzieciątka...

Kilian też się zdziwił.

– Nie pamiętam, żeby ojciec kiedykolwiek napomykał o tej przygodzie w swoich listach. Dlaczego?

– Nie chciałem was martwić. – Antón wzruszył ramionami. – Sądzisz, że matka puściłaby was w drogę, gdyby знаła tę historię? Poza tym na piśmie wyglądałoby to jak zwykła anegdota, a zapewniam was, że w tamtych chwilach każdy żegnał się z życiem i wspominał bliskich. Jak mawia mój poczciwy José, trudno opisać strach. Ale jak cię chwyci, trudno go potem strząsnąć.

Jacobo przyłożył dłoń do piersi, wyraźnie wdzięczny, że nic podobnego mu się nie przytrafiło.

– Obiecuję nigdy więcej nie skarżyć się na morskie podróże i cieszyć się każdym delfinem oraz wielorybem, który pojawi się w polu widzenia.

Kilian patrzył na ojca. Było w nim coś nowego. Zawsze należał do mężczyzn poważnych, raczej trudnych i autorytarnych. Jednakże w sposobie, w jaki przedstawił historię ze sztormem, dał się wyczuć pewien smutek. A może lęk? No i jeszcze ten gest dłoni wciąż wędrującej do brzucha...

– Tato... Czy dobrze się tata czuje?

Antón, słysząc to pytanie, natychmiast się pozbierał.

– Doskonale, synu. Po prostu ostatnie zbiory były cięższe niż zwykle. – Ewidentnie chciał zmienić temat. – Nie udały się tak, jak oczekiwaliśmy, a to przez straszne mgły. Musieliśmy pracować dużo więcej. – To powiedziawszy, zanim Kilian zdążył coś dodać, wrócił do roli kontrolującego wszystko ojca rodziny. – Przywiozłeś odpis aktu urodzenia?

– Tak.

Kilian już wiedział, że teraz zacznie się przesłuchanie. Jacobo go uprzedzał.

– A zaświadczenie o dobrym sprawowaniu oraz braku historii więziennej?

– Tak.

– A książeczkę wojskową?

– Też. I jeszcze oficjalne zaświadczenie, że nie jestem chory na gruźlicę, oraz zaświadczenie, że umiem czytać i pisać... Na Boga, tato! Przecież powtarzał to tata pięć razy w listach! Trudno było zapomnieć!

– Dobrze, dobrze, nie ty pierwszy odpłynąłbyś z kwitkiem ze względu na brak odpowiednich papierów. Zaszczepili cię na statku przeciw malarii?

– Tak, tato. Zaszczepili mnie na statku i mam papier, który to potwierdza. Coś jeszcze?

– Tylko jedno. I mam nadzieję, że nie zapomnieliście... Że nie zapomnieliście... – Mówił poważnym głosem, ale oczy mu się śmiały. – Przywieźliście mi to, o co prosiłem waszą matkę?

Kilian westchnął z ulgą, świadom, że oto przesłuchanie się skończyło.

– Tak, tato. Walizka Jacoba jest pełna ubrań, szynki i *chorizo*, orzechów laskowych, puszkowanych brzoskwiń oraz tych przepysznych ciasteczek, które piecze mama. Dostaliśmy też od niej długi list, który przy mnie zalakowała siedmioma pieczęciami, aby zyskać pewność, że nikt go nie otworzy.

– Dobrze.

Jacobo i Manuel milczeli. Cel był blisko, dobrze to czuli. Cieszyli się z tego, ale zdążyli już zatracić niewinność, ekscytację i podenerwowanie z pierwszego razu, które teraz obserwowali u Kiliana.

Jacobo wiedział doskonale, że gdy minie podniecenie nowością, wszystko zacznie się sprowadzać do pracy na plantacji, balang w mieście, czekania na wypłatę, marzeń o odpoczynku w domu i tak w kółko. Do tego samego przez dwadzieścia cztery miesiące. Podobnie byłoby w dowolnej części świata. A jednak, mimo to, świadomość, że oto zbliżają się do wyspy, wciąż wywoływała w żołądku delikatne i przyjemne łaskotanie.

Zwłaszcza że kierowali się ku Santa Isabel, stolicy.

– Patrz, Kilian – rzucił. – Wpływamy do zatoki Santa Isabel. Tylko niczego nie przegap! – Jego oczy zapłonęły szczególnym blaskiem. – Czy ci się tu spodoba, czy nie, czy zostaniesz dwa lata, czy dwadzieścia, czy znienawidzisz wyspę, czy pokochasz... Wszystko jedno, słuchaj uważnie, co ci powiem: tego widoku nie zapomnisz nigdy. Nigdy!

III. GREEN LAND

Zielona ziemia

Pierwszy obraz Fernando Poo miał z nim zostać do końca życia. W miarę jak statek zbliżał się do wyspy, ich oczom ukazywał się brzeg pełen plaż i zatoczek ciągnących się zmysłowo falistą linią, nad którą wyrastała ściana zieleni sięgająca niemal piasku i turkusowego morza, mieniąca się wszystkimi odcieniami, jakie Kilian potrafił sobie wyobrazić: od bladego seledynu wiosennych liści i wczesnych jabłek przez intensywną i błyszczącą barwę podlanych majowym deszczem łąk po ciemny szmaragd lasu. Emanujące z roślin dziwne uczucie spokoju i świeżości, a jednocześnie, w tej samej mierze, bujnej siły, pełni i płodności całkowicie nim zawładnęło.

Statek zmienił kurs, by wpłynąć prosto do wielkiej zatoki Santa Isabel, podobnej do dużej podkowy obrzeżonej zielenią i usianej białymi domkami stojącymi w otoczeniu palm. Dwa naturalne występy – jeden na wschodzie, znany jako Cypel Fernandy, drugi na zachodzie, zwany Cyplem Cristiny – częściowo zamykały tę podkowę, położoną u stóp imponującej góry osnutej mgłami i przywodzącej Kilianowi na myśl szczyt, który górował nad Pasolobino.

– Teraz zacumują w tej starej przystani – wyjaśnił ojciec, wskazując niewielkie betonowe moło. – Słyszałem, że mają w planach nowy port koło Cypla Cristiny, dokąd można by było przybijać bokiem. Dobry pomysł. Tak jest niewygodnie.

Kilian dopiero teraz zauważył, że statek zatrzymał się w pozycji prostopadłej do nabrzeża i że kilka barek szykuje się do rozpoczęcia rozładunku i załadunku.

Skierowali się ku rufie, by zejść na ląd. Delikatna woń kakao, kawy, gardenii i jaśminów zaczęła mieszać się z zapachem saletry. Choć nadciągał wieczór, na wyspie przywitał ich straszliwy upał.

– Ale skwar – mruknął Kilian, ocierając pot z czoła. – I jak zielono. Nic, tylko zieleni!

– Owszem – zgodził się Jacobo. – Tutaj nawet jak kołek w ziemię wsadzisz, to i tak zapuści korzenie!

Na moło jacyś mężczyźni dźwigali worki z węglem, inni toczyli dokądś ciężkie kanistry albo pomagali przy rozładunku barek. Łatwo było sobie wyobrazić rejwach, jaki tu zapewne panował po zbiorach, kiedy setki worków z kawą i kakao wyruszały we wszystkie strony świata.

– José czeka pewnie na górze – rzucił Antón.

Kiwnął przy tym głową ku stromej dróżce, biegnącej wzdłuż muru, ponad którym rysowały się pierwsze zabudowania. Wziął walizkę Kiliana i zawołał w stronę paru czarnych tragarzy:

– *Eh, you! Come here!*

Tamci popatrzyli po sobie z niezadowoleniem i przez chwilę udawali, że to ich nie dotyczy.

– *You hear what I talk?* – Antón podniósł głos i ruszył w ich kierunku. Jednemu podał trzymaną w dłoni walizkę, drugiemu wskazał bagaże Jacoba i Manuela. – *Take this!*

Szybko! *Quick!* Na górę! *Up!*

Mężczyźni usłuchali, złapali walizki i podążyli przodem, stromą, wąską ścieżką, która łączyła molo z aleją Alfonsa XIII, kończąca się kawałek dalej placem España.

– Wiesz, Kilianie, że tę dróżkę nazywają Zboczem Gorączki? – spytał Manuel.

– Nie, nie wiedziałem. A dlaczego?

– Bo podobno nikt, kto tędy wchodzi, się przed nią, znaczy gorączką, nie uchroni.

Sam się przekonasz.

– Teraz to nic, medycyna zrobiła postępy – wtrącił Jacobo – ale sto lat temu każdy, kto tu przypląwał, umierał. Każdy. Prawda, Manuelu? – Manuel przytaknął. – Dlatego wysyłano ekspedycję za ekspedycją. Nie dało się wytrzymać.

Kilian aż się wzdrygnął. Co za radość, że urodził się w epoce postępu.

– Sam tego nie widziałem – odezwał się Manuel – ale podobno przed laty po tym wąskim nabrzeżu kursował pociąg. Czy to prawda, Antonie?

– O, tak. Kursował jeszcze za moich czasów – odrzekł zapytany, korzystając z okazji, by przystanąć i zaczerpnąć tchu. – Przydawał się do transportu towarów. Budowę kolei rozpoczęto tu w tysiąc dziewięćset trzynastym, z zamiarem połączenia Santa Isabel z San Carlos, na południowym wschodzie. Jednakże projekt przed ćwierćwieczem porzucono ze względu na ciągłe uszkodzenia linii i wysokie koszty jej utrzymania w dziewiczej dżungli.

Kilian uśmiechnął się na myśl o czymś w rodzaju dziecięcej kolejki przemierzającej tę maleńką wyspę. Dróżka, którą wędrowali, miała, owszem, duży spadek, lecz odległość była raczej niewielka, przynajmniej dla kogoś nawykłego do wędrówek po wysokich górach. Poza tym nie nieśli przecież bagażu. Zauważył jednak, że ojciec, kiedyś tak silny i sprawny, dyszy jak od ciężkiego wysiłku.

Zaraz potem skończył się mur pokryty pnączami i gdzieniegdzie osłonięty przez *egombegombe*, czyli migdałeczniki, których szerokie karminowe, żółte i zielone liście ocieniały delikatne białe kwiatki. Dotarli na górę. Przed nimi otwierała się rozległa promenada w formie tarasu z widokiem na morze, ogrodzona barierką ozdobioną co parę metrów latarniami. Pośrodku, wśród zadbanych kwietników, wznosiło się kilka typowo kolonialnych budynków z zewnętrznymi galeriami i dwuspadowymi dachami, zaskakująco ładnych.

– To katolicka misja... – zaczął wyjaśniać Jacobo. – A to La Catalana. Na dole jest tam knajpa, którą niedługo poznasz. No a tamto, na co się tak gapisz z otwartym dziobem, to nasza wspaniała katedra... – Tu urwał. – Nie. Zwiedzanie zostawimy sobie na kiedy indziej, przecież cię znam... Nie martw się, będziesz tu często zaglądał.

Kilian milczał, całkowicie pogrążony w kontemplacji tego wspaniałego połączenia natury z harmonijnymi i lekkimi budowlami, tak w swojej wesołości odmiennymi od ciężkich kamiennych domów w Pasolobino. Przenosił wzrok z jednej fasady na drugą, z jednego człowieka na drugiego, porównując jednakowe ubiory białych z kolorowymi szatami tubylców.

– Jest i José – oświadczył Antón, ujmując Kiliana pod łokieć, by poprowadzić go w stronę alei. – Proszę, proszę! Przyjechał nowym samochodem, dziwne. No, chodźmy, chodźmy! Musimy dotrzeć na plantację przed kolacją, żeby cię pokazać zarządcy.

Gdy stanęli przed uśmiechniętym mężczyzną czekającym na nich przy lśniącem czarnym mercedesie 220S, ojciec przedstawił Josego, o którym tyle zawsze opowiadał w czasie swoich urlopów w domu.

– Patrz, José. To mój syn Kilian. Wreszcie możesz go poznać osobiście. No i nie wiem, czy spotkałeś już Manuela. To nasz nowy lekarz.

José pozdrowił ich szerokim uśmiechem, odsłaniającym idealne, niepokalanie białe zęby w obramowaniu starannie przystrzyżonej szpakowatej bródki, i odezwał się w doskonałej hiszpańszczyźnie, wyróżniającej się, owszem, specyficznym akcentem, który stawał się szczególnie wyraźny przy wymawianiu głoski „r” – czasem jakby odrobinę z francuska, czasem znowu niemal bez drgania – oraz mocnym zaznaczaniu końcówek wyrazów, co nadawało wypowiedzi niezwykle rwany rytm.

– Witamy na Fernando Poo, *massa* – powtórzył trzy razy, lekko skłaniając głowę najpierw przed Kilianem, potem przed Manuelem i na koniec przed Jacobem. – Mam nadzieję, że podróż była udana. Bagaże już zapakowane, *massa* Antón. W każdej chwili możemy ruszać.

– Czemu nie wzięłeś land-rovera? – spytał Antón.

– Coś tam się w ostatniej chwili popsło i *massa* Garuz pozwolił mi wziąć to auto.

– Stylowy początek, nie ma co.

Jacobo, udając usłużnego szofera, otworzył przed Kilianem i Manuelem tylne drzwi.

– Tym cudem jeżdżą tylko zarządcy. – Obaj wynagrodzili jego grę rozbawionymi uśmiechami, sadowiąc się na fotelach z jasnej skóry. – Tato, tata też z tyłu. José koło mnie. Ja poprowadzę.

José i Antón wymienili spojrzenia.

– Nie wiem, czy Garuzowi się to spodoba... – rzekł Antón.

– Och, co tam – odparł Jacobo. – Nie musi wiedzieć. A kiedy mi się znowu trafi okazja, żeby się za kierownicą takiego samochodu?

José wzruszył ramionami i podszedł do przednich drzwi.

Usadowiony między ojcem a Manuelem Kilian mógł się uważnie przyjrzeć człowiekowi zajmującemu miejsce koło Jacoba. Zauważył, że José i Antón dobrze się dogadują, może wręcz lubią, co z pewnością wynikało z wieloletniej znajomości. José musiał być niewiele od ojca młodszy. Pochodził z ludu Bubi, dominującego w wyspiarskiej części Gwinei Równikowej, i pracował jako nadzorca suszarni, choć stanowisko to zwykle rezerwowano dla białych. Najcięższe prace wykonywali niewykwalifikowani robotnicy z Nigerii, najczęściej z Calabaru.

Antón opowiadał kiedyś, że gdy po raz pierwszy znalazł się na wyspie, José został mu przydzielony jako *boy*, tak bowiem określano młodych służących, którzy dbali o garderobę i mieszkania białych. Każdy przybysz miał takiego posługacza – toteż i Kilian mógł się go spodziewać – a rodzinom przysługiwała dodatkowa pomoc do opieki nad dziećmi. Z upływem lat, dzięki kompetencji i dobrym układom z robotnikami, José za upartym wstawiennictwem Antona awansował wreszcie na nadzorcę suszarni, gdzie dokonywał się najdelikatniejszy etap produkcji kakao. Pan Garuz musiał w końcu przyznać, że właściwe ludzom Zachodu przekonanie, jakoby każdy przedstawiciel plemienia Bubi i w ogóle każdy tubylec był nierobem, nie zawsze znajduje

potwierdzenie w rzeczywistości.

Pokonali proste, symetryczne ulice Santa Isabel, równiutkie i zabudowane białymi, funkcjonalnymi domami, minęli kilkoro krzykliwie ubranych podróżnych, którzy przydawali miastu beztroskiej, wakacyjnej atmosfery przyjemnego letniska, i wyjechali na pylistą drogę, obrzeżoną zwartymi, gęstymi krzewami pierwszych plantacji kakaowców.

– Zobacz pan, *massa* – odezwał się José, zerkając we wsteczne lusterko. – Na równinie nic, tylko kakao i palmy. Wyżej, na zboczach, rośnie kawa, a jeszcze wyżej bananowce i banany manilskie.

Kilian kiwał głową na znak wdzięczności za te wyjaśnienia, których José udzielał z wyraźną satysfakcją, tak jak zapewne robił to kiedyś na użytek najpierw Antona, potem zaś Jacoba. Antón i Manuel wyglądali tymczasem w milczeniu przez okna, otwarte, by wpuścić nieco powietrza i złagodzić upał, co zresztą było raczej trudne.

Gdy przejechali jakieś pięć czy sześć kilometrów, Manuel powiedział Kilianowi, żeby ten zerknął przez przednią szybę.

Kilian zerknął i wydał okrzyk zdumienia. Przez chwilę myślał, że wskutek zmęczenia i emocji ostatnich tygodni wzrok płata mu figla. Wielki znak na poboczu obwieszczał bowiem, że dojeżdżają do... Saragossy! Wkrótce jednak stało się jasne, że tak nazywa się najbliższe plantacji miasteczko.

– Zbudował je przodek dzisiejszych właścicieli Sampaki – wyjaśnił Antón, kiedy mijali wysokie na mniej więcej dwadzieścia metrów drzewo stojące przed jakimś budynkiem. – Don Mariano Mora.

Kilian, który znał tę historię, skinął głową, zachwycony, że na własne oczy widzi to, o czym dotychczas jedynie słuchał.

– Tak, tak, ten, który urodził się w okolicach Pasolobino. Ufundował również kościół, który tu stoi.

Manuel szybko policzył w pamięci. Od tamtej pory minęło ponad pięćdziesiąt lat.

– Poznał go pan? – spytał.

– Nie. Umarł na jakąś tropikalną chorobę niedługo przed tym, jak zjawiłem się tu po raz pierwszy. Wielu wspominało go jako człowieka bardzo pracowitego, rozsądnego i przezornego.

– Czyli typowego górala – rzucił z dumą Jacobo, obracając się w stronę Manuela.

Ten, wyraźnie sceptyczny, uniósł brwi, po czym zapytał:

– A kto przejął plantację? Jego dzieci?

– Nie. Nie miał dzieci. Majątek, po dziś dzień pozostający w rękach tej samej rodziny, przekazał bratankom. Ludzie, którzy przygotowali wam dokumenty w Saragossie, w tamtej, znaczy, w tej prawdziwej, też pochodzą od don Mariana. Na przyjazd tutaj i osobiste kierowanie plantacją zdecydował się jedynie Lorenzo Garuz, jednocześnie zarządca i główny właściciel.

Miasteczko, składające się z niskich baraków, było tak małe, że już po chwili dotarli do posterunku Straży Terytorialnej. Jacobo zatrzymał samochód obok dwóch uzbrojonych strażników, którzy akurat zegnali się z trzecim, wysokim i mocno zbudowanym, stojącym tyłem i najwyraźniej noszącym imię Maximiano. Ten ostatni

zwrócił się w stronę auta i niechętnie zmarszczył brwi, podczas gdy jego koledzy uprzejmie witali nowych przybyszy i dziękowali Josemu za ostatnią dostawę. Kilianowi nie spodobała się twarz tego całego Maximiana, całkowicie pokryta dziobami po ospie. Nieznajomy nic nie powiedział, schylił się po jakąś skrzynkę i poszedł.

– Kto to taki? – zainteresował się Jacobo, ponownie uruchamiając samochód.

– Nie wiem – odrzekł Antón. – Pewnie ktoś z innego posterunku. Czasem składają sobie wizyty, żeby dokonać wymiany.

– Lekcja pierwsza, braciszku, zanim wjedziemy na plantację – wyjaśnił Kilianowi Jacobo. – Trzeba uważać, żeby strażnicy regularnie dostawali prezenty, to znaczy tytoń, alkohol albo i zwykłe jajka. Im bardziej są zadowoleni, tym szybciej się zjawia, kiedy będziesz ich potrzebował.

Antón przytaknął.

– Zwykle nie ma problemów, ale nigdy nie wiadomo... Jakiś czas temu na innych plantacjach niezadowoleni z warunków robotnicy wywołali rozruchy. Na szczęście zainterweniowała Straż Terytorialna. – Przy tych słowach Kilian poczuł się trochę nieswojo. – Ale nic się nie martw, to było dawno temu. Teraz warunki się poprawiły. A jednym z zadań białego jest zapobieganie konfliktom wśród czarnych. Sam się przekonasz.

Jacobo oświadczył, że dojeżdżają na miejsce, i zredukował prędkość.

Santa Isabel wywarła na Kilianie ogromne wrażenie, jednakże pierwsze zetknięcie z Sampaką po prostu zaparło mu dech w piersiach.

Krajobraz zupełnie się zmienił: zamiast miejskich budynków i niekończących się upraw widać teraz było wielki tunel uformowany przez ogromne, majestatyczne palmy, które rosły wzdłuż czerwonej drogi, wyciągając się ku niebu i blokując słoneczny żar. Im głębiej się zapuszczali, mijając kolejne drzewa tnące drogę naprzemiennie ułożonymi pasami światła i cienia, tym bardziej Kilianowa ciekawość ustępowała miejsca lekkiej obawie. Co go czeka u krańca tego wilgotnego, poszatowanego przez słońce mroku, który ciągnął się nie wiadomo jak daleko? Przypominało to nie tyle wjazd na plantację, ile zstępowanie do wnętrza jaskini oddzielonej od świata tajemniczym, a zarazem wspaniałym korytarzem, i z niepokojącą siłą przyciągającej wędrowca, przeczuwającego instynktownie, że gdy przedostanie się do środka, już na zawsze się zmieni.

Kilian nie mógł jeszcze wiedzieć, że wiele lat później sam każe obsadzić nowymi palmami tę drogę, która stanie się mitycznym symbolem nie tylko największej na wyspie plantacji, ale również jego własnego związku z tym krajem. Na razie miał przed sobą iście królewską, egzotyczną i piękną aleję – przedsiemek plantacji rozciągającej się na powierzchni dziewięciuset hektarów.

Na koniec przystanęli, by przywitać się z niskim i grubym człowiekiem o siwych, zmierzwionych włosach, który zamiatał schody pierwszego z budynków.

– Jak się masz, Yeremías? – rzucił Jacobo z okna samochodu. – *You get plenty hen?*

– *Plenty hen, massa!* Dużo kur! – odrzekł tamten z uśmiechem. – Tu nigdy nie brakuje jajek! Witamy z powrotem!

– Yeremías zajmuje się wszystkim po trochu – wytłumaczył Jacobo bratu i

Manuelowi. – Stróżuje, budzi nas rano, przynosi chleb... No i dogląda kurnika oraz pilnuje, co robi nasz *gardinboy*. – Tu zwrócił się znowu do Yeremiasa: – E, *wachimán!* Zapamiętaj sobie te twarze, bo będziemy dużo wychodzić wieczorami!

Yeremias skinął głową i uniósł dłoń na pożegnanie, bo auto przedzierało się już powoli wśród kur i kóz. José i Jacobo zaczęli na zmianę wprowadzać Kiliana i Manuela w nowy dla nich świat.

Ich oczom ukazał się główny majątek, Sampaka, nazywany tak jak cała plantacja. Znajdowały się tu dwa baseny – jeden dla robotników, a drugi dla właścicieli i urzędników, czyli w praktyce jeden dla czarnych i jeden dla białych. Kilian pomyślał, że będzie musiał nauczyć się pływać. Przez plantację meandrowała ponadto rzeka, również znana jako Sampaka. Dwa pozostałe majątki określano jako, odpowiednio, Yakató, od nazwy podobnego do pomidora afrykańskiego bakłazana, oraz Upside, które to słowo, oznaczające górną część czegoś, w miejscowym angielskim brzmiało jak „Obsay”.

W każdym z majątków wznosiły się dziesiątki budynków: oprócz magazynów, warsztatów oraz dziewięciu suszarni kakao były tu baraki dla ponad pięciuset rodzin niewykwalifikowanych robotników, stolarnia, kaplica, szkołka dla najmłodszych robotniczych dzieci, mała elektrownia wodna zaopatrująca w prąd zarówno zakłady produkcyjne, jak i kwatery prywatne, a także szpitalik z salą operacyjną, dwiema salami wyposażonymi w czternaście łóżek i domkiem lekarza. W największym majątku, niedaleko głównych magazynów, stały, jeden naprzeciw drugiego, budynek zarządu i dom przeznaczony dla europejskich urzędników, w większości Hiszpanów.

Kilian nie wierzył własnym oczom. Bez względu na to co słyszał, nie wyobrażał sobie wcześniej, że może istnieć plantacja tak wielka, zorganizowana niczym małe miasto zamieszkane przez setki ludzi i otoczona charakterystycznym w swej bujności krajobrazem. Gdziekolwiek spojrzeł, panowała gorączkowa krzątanina: mężczyźni dźwigali skrzynie i narzędzia, ciężarówki przewoziły towary i robotników. Kręcący się wszędzie czarni wydawali mu się wszyscy tacy sami: ubrani w podarte koszule i spodnie koloru khaki, bosi lub obuci w nędzne, zakurzone skórzane sandały.

Nagle, bez ostrzeżenia, poczuł ucisk w żołądku.

Podniecenie podróżą w nieznane ustąpiło czemuś w rodzaju zawrotu głowy. Obrazy rejestrowane w drodze gromadziły się na siatkówce oczu, jakby nie całkiem przenikając do mózgu.

Bał się.

Znienacka się bał!

Jechał z ojcem i bratem – i jeszcze lekarzem – i niespodziewanie brakowało mu powietrza. Jak miał się odnaleźć w tym wirze zieleni i czerni? I w dodatku upał, tak przyjemny na statku, teraz zaczynał dawać się mocno we znaki.

Nie dawało się oddychać. Nie dawało się myśleć.

Czuł się jak tchórz.

Przymknął powieki i przywołał wizję domu – odległego teraz o sześć tysięcy kilometrów – ognia na kominku, śniegu sypiącego się z wolna na łupkowy dach, matki przyrządzającej tradycyjne słodkości, krów potykających się o bruk na ulicach...

Obrazy przesuwwały się jeden za drugim, łagodząc napięcie wywołane konfrontacją z

obcym światem. Jak to możliwe, że załamanie przyszło równie szybko? Nigdy wcześniej nie doznawał podobnych uczuć. Może dlatego, że nigdy wcześniej nie zapuszczał się równie daleko. A w trakcie podróży skutecznie zajmowały go kolejne nowości, ciekawość celu na chwilę wyparła myśl o tym, co zostawało z tyłu.

Tęsknił za domem.

Otóż to.

Strach przejawiany przez jego ciało wobec tego co nowe stanowił w gruncie rzeczy tylko przykrywkę, maskującą tęsknotę za tym, co znane. O, gdybyż tak można było zamknąć oczy i znaleźć się z powrotem w Rabaltué! Należało się jakoś opanować. Co pomyśleliby sobie ojciec i Jacobo, gdyby wiedzieli, co się z nim dzieje? Że jest mięczakiem?

Potrzebował odetchnąć świeżym powietrzem, a powietrze tutaj bynajmniej nie wydawało się świeże.

Antón od dłuższej chwili obserwował syna, który nawet nie zauważył, że zatrzymali się przed domem urzędników. Po tak długiej podróży wszyscy trzej chłopcy z pewnością marzyli o tym, by rozlokować się w pokojach, umyć, trochę odpocząć przed spotkaniem z zarządcą. Magazyny i resztę plantacji zdążą zwiedzić nazajutrz.

Gdy wysiedli z auta, Antón zwrócił się do Manuela:

– Do wyjazdu don Dámasa zatrzymasz się tutaj. Potem cię przeniesiemy. – Popatrzył na pozostałych. – Jacobo pokaże wam pokoje i jadalnię. Ja powiadomię don Lorenza, że już jesteście. Spotkamy się za pół godziny. A! Jacobo... Sądzę, że twojemu bratu dobrze by zrobił łyczek czegoś mocniejszego.

Jacobo przygotował nie jedną, lecz dwie szklaneczki koniaku z wodą; Kilian wziął swoją do pokoju, pomieszczenia o powierzchni mniej więcej dwudziestu metrów kwadratowych, wyposażonego w łóżko, dużą szafę, stolik, dwa krzesła, stół i umywalnię z lustrem. Alkohol natychmiast zadziałał. Kilian się uspokoił, poczuł, że oddech wraca do normy, ucisk w piersi ustępuje, a kolana przestają drżeć. Był gotów na pierwsze spotkanie z właścicielem i zarządcą plantacji.

Lorenzo Garuz przyjął ich u siebie w biurze, gdzie od dłuższej chwili rozmawiał z Antonem. Był krzepkim czterdziestolatkiem o bujnych ciemnych włosach, ostrym nosie i przystrzyżonych wąsach. Mówił uprzejmie, lecz stanowczo, głosem nawykłym do wydawania rozkazów. Siedzące na podłodze nieopodal małe dziecko, które tak samo jak Garuz miało ciemne kręcone loki i trochę zbyt głęboko osadzone oczy, bawiło się wyjmowaniem z kosza jakichś papierów i wkładaniem ich do niego z powrotem.

Garuz przywitał nowych pracowników oraz wracającego z wakacji Jacoba, po czym od razu poprosił Kiliana i Manuela o stosowne dokumenty. Kilian zauważył, że jego ojciec marszczy z niezadowoleniem brwi. Garuz schował papiery do szuflady i skinął w stronę trzech krzeseł ustawionych naprzeciwko jego biurka. Zamontowany pod sufitem wentylator leniwie miesił gęste powietrze.

– Cóż, Manuelu – zaczął zarządcą – Afrykę już znasz, więc nie muszę ci niczego specjalnie tłumaczyć. Dámaso zostanie z nami jeszcze jakieś dwa tygodnie. We wszystko cię wtajemniczy. To największa spośród wszystkich tutejszych plantacji, ale ludzi mamy młodych i silnych. Poważne wypadki raczej się nie zdarzają. Zwykle skaleczenia

maczetą, pobicia, kontuzje, ataki malarii... Nic wielkiego. – Urwał na moment. – Mogę cię o parę rzeczy spytać?

Manuel przytaknął.

– Dlaczego taki jak ty młody człowiek, mający przed sobą świetlaną przyszłość, woli pracę w koloniach od praktyki w Madrycie? I czemu postanowiłeś się przenieść z Santa Isabel do nas? Pomijając kwestię dużej pensji, którą ci zapłacimy...

Manuel odpowiedział bez wahania.

– Jestem lekarzem, ale również naukowcem, i biologiem. Pasjonuję się między innymi botaniką. Na temat gwinejskiej flory coś tam już nawet opublikowałem. Chciałbym wykorzystać swój tutaj pobyt, aby jak najwięcej dowiedzieć się o miejscowych odmianach roślin i ich leczniczych zastosowaniach.

Zarządca uniósł brew.

– To bardzo ciekawe. Wszystko, co przyczynia się do rozwoju kolonii, jest przez nas mile widziane. Mam nadzieję, że starczy ci czasu. – Zwrócił się do Kiliana. – A ty, chłopcze? Liczę na twój entuzjazm. Właśnie entuzjazmu nam tutaj trzeba. Trzeba nam ludzi energicznych i zdecydowanych.

– Tak, proszę pana.

– Najbliższe piętnaście dni, od jutra rana począwszy, poświęcisz na naukę. Obserwuj i naśladuj innych. Jak już mówiłem twojemu ojcu, zaczniesz na Obsayu, z Gregoriem. – Kilian kątem oka dostrzegł, że Antón zaciska wargi, a Jacobo mocno się krzywi. – Gregorio pracuje tu od lat, ma wielkie doświadczenie, ale potrzebuje do pomocy kogoś silnego, kto zaprowadzi nieco porządku.

– Myślałem, że Kilian trafi do mnie na Yakató – wtrącił Jacobo. – Ja też mogę go uczyć...

Garuz uciszył go gestem. Dobrze rozumiał, że jeśli Kilian okaże się tak dobrym pracownikiem jak jego ojciec i brat – a przynajmniej jak ojciec – to rozdzielenie ich przyniesie plantacji więcej korzyści.

Dziecko tymczasem zapiszczało radośnie, wstało i, zbliżywszy się do ojca, wręczyło mu świeżo znaleziony pod biurkiem skarb – gumkę do wycierania.

– Dziękuję, synu. Doskonale. Masz, schowaj ją do szafki. – Po tych słowach Garuz popatrzył najpierw na Jacoba, a potem na Kiliana. – To już postanowione. Z Obsayem są największe kłopoty. Przyda się ktoś nowy, żeby pociągnąć ten wózek. Na razie w tej sprawie to tyle.

– Tak, proszę pana – powtórzył Kilian.

– I pamiętaj, że robotników trzeba traktować stanowczo, z góry i zarazem sprawiedliwie. Jeśli popełnisz błąd, zaczną cię krytykować. Jeśli podejmiesz złą decyzję, przestaną cię szanować. Dobry pracownik musi znać się na wszystkim i radzić sobie z każdym problemem. Nigdy nie okazuj słabości. I nie spoufalaj się zbyt łatwo ani z nigeryjskimi najemnikami, ani z miejscowymi Bubi, to prowadzi do nieporozumień. Zrozumiałeś?

– Tak, proszę pana. – Kilian znów poczuł się nieswojo. Chętnie by się jeszcze napił *czegoś mocniejszego*.

– I wreszcie... Podobno nie umiesz prowadzić samochodu?

– To prawda, proszę pana.

– Musisz się natychmiast nauczyć. Poza tym jutro dostaniesz od firmy odpowiednie ubranie, hełm korkowy i maczetę, na dobry początek. Antón, jego *boy* to kto?

– Simón. Ten nowy.

– A, tak! Na oko dobry chłopak. Mam nadzieję, że się utrzyma. Chociaż z nimi nigdy nic nie wiadomo. Za twoimi plecami każdy robi, co chce. Cóż... Życie na Fernando Poo nie jest łatwe. Tak czy owak, Kilianie, jeśli reszta sobie tu radzi – wskazał na pozostałych trzech mężczyzn – to i ty pewnie potrafisz. – Zerknął na zegarek i wstał. – Przypuszczam, że zgłodnieliście. Uprzedzałem, że zjecie trochę później, sami. A teraz wybaczcie, robi się wieczór i muszę jechać do miasta. – Wskazał syna. – Jego matka ceni sobie punktualność.

Antón, Jacobo i Kilian również wstali, by w drzwiach pożegnać się z zarządcą uściskiem dłoni. Potem wyszli na obiegającą budynek galerię i ruszyli ku domowi naprzeciwko, gdzie na parterze, pod sypialniami, obok salonu, mieściła się jadalnia.

Po drodze Kilian zapytał:

– O co chodzi z tym Gregoriem?

– Nieciekawa postać – rzucił Jacobo przez zęby. – Sam zobaczysz. Uważaj na niego.

Kilian pytająco popatrzył na ojca, licząc, że ten jakoś zneutralizuje wydźwięk tych słów.

– Nie zwracaj na niego uwagi, synu. Po prostu... Rób swoje i tyle.

Manuel wyczuł w głosie Antona niepokój i spojrzał na Kiliana. Młodszy z braci właśnie wchodził do jadalni i siadał na wskazanym przez ojca miejscu. Miał nadzieję, że z czasem, gdy już sprosta pierwszym nieuniknionym próbom w starciu z *cutlass* i *poto-poto*, czyli maczetą i błotem, dane mu będzie zaznać przyjemności życia na wyspie.

Teraz z dziecięcym niedowierzaniem wpatrzył się we wniesione przez służących potrawy.

– Szynka! – wykrzyknął. – I kurczak z ziemniakami...

Jacobo parsknął śmiechem.

– A ty co myślałeś? Że nam każą jeść węże?

– Jedzenie jak w domu albo i lepsze!

– My, Europejczycy, najczęściej jadamy normalnie, po europejsku – oświadczył Antón. – Ale nasz wspaniały kucharz, Kameruńczyk, potrafi doskonale łączyć to co najlepsze w kuchni hiszpańskiej z tym co najlepsze w afrykańskiej.

– A co to jest? – Kilian wskazał półmisek, którego zawartość wyglądała nieznajomo.

Manuel łakomie przygryzł dolną wargę.

– Mmm... Cudownie! Banan z ryżem smażony na oleju palmowym, w ramach powitania! – Rozłożył serwetkę i sięgnął po talerz. – Twoje pierwsze egzotyczne danie, mój drogi. Nie będziesz mógł bez niego żyć.

Kilian początkowo zdawał się w to wątpić, lecz wkrótce musiał przyznać, że kucharz naprawdę zasługuje na pochwałę. Dzięki jego arcydziełom oraz dobremu winu kolacja upłynęła w miłej atmosferze. Nawet Kilian zdołał się rozluźnić, choć raz po raz wracały do niego migawki z Pasolobino, rejsu i pierwszych godzin na wyspie. Poza tym wciąż się zastanawiał, jak upłynie mu pierwszy dzień pracy w towarzystwie tego całego Gregoria.

Potem niespodziewanie ogarnęła go senność. Od zmęczenia i wina zaczęły mu się kleić powieki.

Jednym uchem przysłuchiwał się konwersacji, więc zdał sobie sprawę, że ojciec wstaje od stołu.

– Idę do łóżka, już pora.

Manuel i Jacobo postanowili jeszcze chwilę zostać, ale półprzytomny Kilian również dźwignął się z krzesła.

– Ja też pójdę, inaczej nikt mnie jutro nie obudzi.

– Nic się nie martw, obudzisz się sam – oświadczył Jacobo. – Po piątej trzydzieści już się nie da tu spać.

Życzyli sobie wzajemnie dobrej nocy, po czym Antón z Kilianem opuścili jadalnię, w milczeniu weszli po szerokich schodach ozdobionych eleganckimi białymi pilastrami i grubymi tralkami, skręcili na prawo i zewnętrzną galerią, wzdłuż której biegła zielona drewniana barierka, dotarli pod drzwi swoich pokoi.

– Dobranoc, tato.

Antón ruszył w stronę swojej sypialni, położonej kilkoro drzwi dalej, lecz zaraz zmienił zdanie. Odwrócił się ku synowi i popatrzył mu w oczy. Pragnął mu tyle rzeczy powiedzieć, dodać mu ducha, natchnąć go siłą, tak potrzebną w pierwszych miesiącach, by przywyknąć do życia na plantacji, pragnął zaproponować mu pomoc, ale... Nie chciał przesadzać z ojcowską troską – ostatecznie Kilian był już dorosły – ani kończyć wyczerpującego dnia kazaniem, które dodatkowo spotęgowałoby chaos z pewnością panujący w głowie chłopaka. Dlatego tylko westchnął i, poklepuwszy Kiliana po plecach, rzucił:

– Nie zapomnij dobrze zaciągnąć moskitiery, synu.

Kilka godzin później głęboki, donośny dźwięk kojarzący się z uderzeniami drewna o drewno bez powodzenia atakował uszy Kiliana, który spał smacznie w rozkosznym chłodzie poranka. Po kwadransie to samo głuche, szybkie dudnienie po raz kolejny wezwało pracowników plantacji do wstania.

Ktoś natarczywie zastukał do drzwi pokoju.

– *Massa, massa!* Już biją w bębny! Proszę wstawać albo się pan spóźni!

Kilian niezgrabnie wygrzebał się spod moskitiery i podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, do środka wpadł chłopak, który niósł w rękach całą masę rzeczy i ani na moment nie przestawał gadać.

– Mam dla pana bawełnianą koszulę i mocne spodnie. Kładę je tutaj, na łóżku, razem z hełmem i maczetą. Jeśli się pan pospieszy, zdąży pan jeszcze wypić kawę. I proszę nie zapomnieć o wysokich butach!

– Mówisz po hiszpańsku.

Chłopak spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Tak, oczywiście, jestem z plemienia Bubi – powiedział, jakby to wyjaśniało sprawę.

Kilian niezdecydowanie skinął głową.

– Jak się nazywasz?

– Simón, *massa*. Do usług.

Nie ulegało wątpliwości, że jest to przydzielony mu *boy*, toteż Kilian uważnie

przyjrzał się jego twarzy, skądinąd całkiem sympatycznej. Chłopak miał niezwykle okrągłe oczy i, podobnie jak José, lekko spłaszczony nos. Włosy na jego głowie, krótkie i zmierzwiłone, były bardzo ciemne i prawie wcale nie różniły się kolorem od skóry, czoło miał przecięte trzema długimi poprzecznymi zmarszczkami, dość dziwnymi u kogoś tak młodego.

– Ile masz lat?

– Hmm... Nie jestem pewien. Może z szesnaście.

– Nie jesteś pewien? – zdziwił się Kilian, na co Simón tylko wzruszył ramionami. –

No, dobrze. A co właściwie powinienem teraz zrobić?

– Za dziesięć minut wszyscy mają być w szyku na dziedzińcu. Biali też. A raczej biali szczególnie.

Kilian popatrzył za okno.

– Jest jeszcze ciemno.

– Tak, *massa*. Ale zanim zaczniesz pracę, to się rozwidni. Tutaj zawsze jest tak samo: dwanaście godzin nocy i dwanaście godzin dnia, przez cały rok. Dzień pracy trwa od szóstej do trzeciej. – Simón sięgnął po koszulę. – Pomogę panu się ubrać.

– Nie, dziękuję – odparł łagodnie Kilian. – Zrobię to sam.

– Ale...

– Powiedziałem: nie – stanowczo powtórzył Kilian. – Zaczekaj na zewnątrz.

Po pięciu minutach wyszedł z pokoju umyty i ubrany, z maczetą i hełmem w ręku.

– Zdam jeszcze wypić tę kawę?

Simón popędził przed nim galerią. Schodząc po schodach, Kilian dostrzegł mężczyzn gromadzących się w szeregach na głównym dziedzińcu. Pospiesznie wszedł do jadalni, wypił cztery łyki przepysznej kawy podanej mu przez Simona i wybiegł na zewnątrz. Parę metrów dalej kilku białych przeliczało setki czarnych, którzy stali, czekając na rozpoczęcie pracy. Kilian odetchnął głęboko, po drodze całkiem się rozbudził. Zauważył, że obserwuje go wiele par oczu: najwyraźniej wszyscy ciekawi byli nowego przybysza. Chcąc ukryć zdenerwowanie, zacisnął dłonie na hełmie.

– W samą porę – rzucił Jacobo. W ręce trzymał jakieś papiery oraz laseczkę z giętkiego drewna. – Jeszcze minuta i po zapłacie.

– Słucham?

– Kto się spóźni, nie może dołączyć do szeregu i nie dostaje za taki dzień pieniędzy. – Jacobo szturchnął brata w bok. – Spokojnie. To dotyczy tylko czarnych. Dobrze spałeś?

– Kilian skinął głową. – Patrz, ten na prawo od ojca to Gregorio albo *massa* Gregor, jak go tu nazywają. Kompletuje nowe brygady na Obsay. Powodzenia i na razie. Zobaczymy się po południu.

Kilian utkwiał wzrok w Gregoriu, który stał tyłem i rozmawiał z Antonem. Był ciemnowłosy, chudy i kościsty, a wzrostem niemal dorównywał Kilianowi. Ten, zbliżywszy się, pozdrowił obu mężczyzn. Oni obrócili się i Kilian zobaczył twarz Gregoria: jego ciemne, lodowate oczy i przystrzyżony wąsik nad zbyt wąskimi wargami. Spojrzawszy na ojca, Kilian wyciągnął do nieznanego rękę.

– Kilian, twój nowy pomocnik.

Gregorio miał w dłoniach niewielki skórzany bicz, po którego rękojeści rytmicznie i

pieszczotliwie przesuwał palcami. Na chwilę przerwał tę czynność, by się przywitać. Nie wypuszczając ręki Kiliana, wpatrzył się w niego z uwagą, po czym zamarkował uśmiech.

– Więc to ty jesteś tym drugim synem Antona. Wkrótce zjedziecie się tu całą rodziną.

Kilianowi dotyk jego skóry wydał się nieprzyjemnie zimny, uśmiech – wymuszony, a komentarz – niedorzeczny. Przeniósłszy wzrok na Antona, chłopak zapytał:

– A ojciec gdzie pracuje?

– Ja zostaję tutaj, w magazynach w głównym majątku. Na szczęście nie muszę już jeździć na pola.

Rozmowę przerwał warkot czterech wielkich ciężarówek o zaokrąglonych maskach i drewnianych pakach. Gregorio podszedł do szeregu robotników i wskazał tych, którzy mieli wsiadać. Antón ruszył za nim i rzucił przez zęby:

– Pamiętaj, że to mój syn.

– Przy mnie nauczysz się wszystkiego, co potrzebne, żeby tutaj przetrwać – odparł Gregorio z uśmiechem.

Antón posłał mu twarde, ostrzegawcze spojrzenie, po czym zwrócił się do Kiliana:

– Idź z nim.

Kilian przytaknął i zbliżył się do ciężarówek.

– Każda brygada składa się z czterdziestu ludzi – oświadczył Gregorio. – Po jednej na ciężarówkę. Możesz już zacząć liczyć. – Zauważył chyba niepewną minę, z jaką Kilian przypatrywał się tej zbitej ludzkiej masie. – Na razie staraj się rozróżniać ich po ubraniu, każdy nosi zawsze takie samo. Twarze będą ci się zlewały w jedno całymi miesiącami.

Robotnicy powoli, lecz sprawnie wsiadali na ciężarówki, rozmawiając między sobą w języku, którego Kilian nie rozumiał. Zakładał, że to pichi. Nagle poczuł obawę, że nie zdoła się go nauczyć. Na domiar złego po hiszpańsku mógł w takich warunkach mówić jedynie z tym nieprzyjemnym typem, który teraz monotonicznie wywrzaskiwał rutynowe polecenia:

– No, dalej, nie spać mi tu! *Quick! Muf, muf!*

Wsiedli już niemal wszyscy, gdy przed Gregoriem stanął chudy, żylasty, wyraźnie smutny chłopak z pochyloną głową i splecionymi nisko dłońmi.

– Co znowu? No? *What thing you want?*

– *I de sick, massa.*

– *All time you de sick!* – ryknął Gregorio. Na chwilę zapadła cisza. – Ciągle tylko chorujesz! Codziennie to samo!

– *I de sick for true, massa Gregor.* – Chłopak uniósł ręce ku piersiom w błagalnym geście. – *I want quinine.*

– *How your name?*

– Umaru, *massa.*

– Świetnie, Umaru. Chcesz chininy? – Bicz ze świstem uderzył o ziemię. – Co powiesz na *this quinine?*

Kilian już otwierał usta, by się wtrącić, lecz chłopak bez słowa – choć z buntem w oczach – wspiął się na pakę. W jego ślady poszli – nagle bardziej żwawi – ostatni

robotnicy. Kierowca pierwszej ciężarówki nagląco zatrąbił klaksonem.

– E, a ty nie stój jak kołek! – zawołał Gregorio do Kiliana, zmierzając w stronę kabiny. – Wsiadaj!

Kilian usłuchał i usadowił się na siedzeniu po prawej stronie, podczas gdy Gregorio zajmował miejsce za kierownicą. Ruszyli. Przez kilka minut panowało milczenie. Kilian patrzył przez okno, jak baraki i inne zabudowania ustępują krzewom kakaowców, troskliwie ukrytym w cieniu bananowców i erytryn. Pylista droga biegła miejscami pod zwartym sklepieniem z gałęzi.

– Myślałem, że pejczy się już nie używa – rzucił nagle Kilian.

Gregorio chyba się zdziwił bezpośredniością tej uwagi.

– Słuchaj, chłopcze. Żyję tu od wielu lat. Czasem trzeba ostrzejszych środków, żeby tamci cię słuchali. Bo oni nic, tylko kłamią. Jeśli nie pracują z powodu choroby, i tak dostają dniówkę. Sam szybko się na nich poznasz. Ciągłe szukają wymówek, hołdują przesadom. Wieczne kombinacje!

Kilian milczał, więc Gregorio podjął po chwili:

– A co do pejcza, to jak mi go odbiorą, zaraz się zwolnię. Zresztą jak sądzisz: po co twój brat nosi laskę z *melongo*? Plantator chce zysków i ja mu je zapewniam. – Wyciągnął z kieszeni koszuli papierosa i zapalił. Nie wyjmując go z ust, wypuścił dym i dodał tonem groźby: – Jeśli nie chcesz kłopotów, od tej pory będziesz ślepy i głuchy. Jasne?

Kilian zacisnął zęby. Ze wszystkich możliwych współpracowników musiał mu się trafić ten idiota. W duchu wyrzucał ojcu i bratu, że go nie uprzedzili. Nie był głupi, nie spodziewał się cudów, ale nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad *prawdziwym* znaczeniem wyrażenia „ostrzejsze środki”, które przecież słyszał już wcześniej. Miał wielką ochotę dać wyraz oburzeniu tonem i słowami Gregoria, jednakże postanowił się wstrzymać, jakiś wewnętrzny głos radził mu unikać pierwszego dnia problemów.

Ostre szarpnięcie hamującego samochodu rzuciło go w przód, aż uderzył czołem o szybę.

– Co do diabła...! – wykrzyknął.

Urwał wszakże, widząc, że z jadącą przed nim ciężarówką dzieje się coś dziwnego. Kilku mężczyzn zeskoczyło z paki wciąż jadącego auta i teraz zwijało się z bólu na ziemi. Inni krzyczeli i przepychali się, chcąc też wysiąść. Kierowca zatrzymał samochód, oddalił się o kilka kroków i przypatrywał się całej scenie. Ktoś biegł w stronę ciężarówki Gregoria, machając jak oszalały rękoma i wrzeszcząc coś, czego Kilian nie rozumiał:

– *Snek! Snek!*

– Niech to szlag! Nie do wiary! – Gregorio z wściekłością wyskoczył z auta.

Kilian natychmiast znalazł się przy nim.

– Ale... Co się dzieje?

– Przeklęty boa spadł na nich z drzewa i całkiem powariowali.

Gregorio ruszył przed siebie, wykrzykując na prawo i lewo rozkazy, ale większość czarnych wciąż leżała na ziemi albo bardzo niechętnie podnosiła się na nogi. Ci, którzy mogli chodzić, odsuwali się jak najdalej od ciężarówki. Kilian szedł za Gregoriem, nie bardzo wiedząc, co robić.

– Przynieś maczetę! Szybko!

Kilian zawrócił więc, złapał leżącą na siedzeniu maczetę i zaniósł ją Gregoriowi czekającemu o parę kroków od porzuconego auta.

I zastygł.

Na pace zwijał się największy wąż, jakiego potrafiłyby sobie wyobrazić – niemal trzymetrowy boa.

– Włóż tam i go zabij.

Kilian się nie ruszył. Widywał już w życiu węże, zwłaszcza latem, podczas sianokosów, lecz wszystkie w porównaniu z tym wydawały się dżdżownicami.

– Słyszałeś?

Kilian wciąż stał bez ruchu. Gregorio obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i nieprzyjemnie się wykrzywił.

– Widzę, że brak ci nie tylko doświadczenia, ale i odwagi. Dawaj!

Wyrwał mu maczetę, wsparł się stopą o błotnik i wśród jęków skamieniałych ze strachu robotników wskoczył na pakę, by bez wahania zaatakować węża. Krew tryskała na boki, jednakże Gregorio zupełnie na to nie zważał. Przy każdym ciosie wydawał wściekły okrzyk. Gdy skończył, nadział kawałek martwego ciała na czubek maczety i podniósł do góry, aby wszyscy zobaczyli.

– To tylko gad! Zwyczajny gad! Tego się boicie? – Skupił swój gniew na Kilianie. – Tego się boisz?

Z tymi słowami jął ciskać resztki węża na pobocze drogi. Potem zeskokczył z ciężarówki, kazał kierowcy zawrócić i skierował się ku oniemiałemu Kilianowi.

– Ty! Ranni na samochód! I do szpitala! Niech nowy doktor pokaże, co potrafi. Reszta na pozostałe ciężarówki!

Kilian rozejrzał się i postanowił zacząć od leżących najbliżej. Nieopodal jakiś chłopak trzymał się za głowę. Kilian podszedł do niego i ukląkł. Nie rozumiał, co tamten mówi, ale łyzy bólu i głęboka rana, z której obficie tryskała krew, nie wymagały komentarzy. Wyjął z kieszeni chusteczkę i mocno przycisnął ją do rany, żeby zatamować krwawienie, po hiszpańsku tłumacząc chłopakowi, co właśnie robi.

– *You no talk proper* – powtarzał tamten. – *I no hear you.*

Ktoś inny przykucnął obok i zaczął do niego łagodnie przemawiać. Dopiero to go trochę uspokoiło. Niespodziewany pomocnik dźwignął go do pozycji siedzącej i gestem nakazał, by tak chwilę pozostał. Pełen wdzięczności Kilian zwrócił się do nieznanego obcymi sobie jeszcze słowami:

– *Your name?*

– Mam na imię Waldo, *massa*. Jestem...

– Z plemienia Bubi, tak. Ale znasz hiszpański. – Kilian odetchnął, z ulgą wznosząc oczy ku niebu. Od razu zauważył, że Waldo, podobnie jak Simón, do którego był zresztą całkiem podobny, tyle że w odróżnieniu od niego nie miał na czole zmarszczek, nosi inny strój niż pozostali robotnicy: białą koszulę, krótkie spodnie, długie skarpetki i masywne buty. Ponieważ prowadził auto, musiał być od Simona nieco starszy. – Jesteś jednym z szoferów, prawda?

– Tak, *massa*.

– Dobrze, Waldo. Posłużysz mi za tłumacza. Możesz go spytać, czy da radę przejść do samochodu?

Tamci zaczęli rozmawiać. Ranny kręcił głową.

– Co mówi?

– Że chyba da radę iść, ale nie wsiądzie na ciężarówkę pełną krwi węża.

Kilian ze zdziwienia aż otworzył usta. Z tyłu znów rozległy się krzyki, więc odwrócił się i zobaczył, że Gregorio bezskutecznie próbuje zmusić paru mężczyzn, by z powrotem weszli na pakę.

– *This man no good. Send him na Pañá* – rzekł ranny uroczyście. Kilian zauważył, że wskazuje przy tym na Gregoria. – *I curse him.*

– Waldo...?

– Mówi, że... – Chłopak się zawahał, ale pod pytającym wzrokiem Kiliana zdecydował się dokończyć. – Mówi, że ten człowiek nie jest dobry, żeby go odesłali do Hiszpanii i że go przeklina. – Potem, spiesząc się, by zdążyć, zanim biały przetrawi te słowa i się rozgniewa, wyjaśnił: – *Massa*, Nigeryjczycy strasznie boją się węży. Wierzą, że jeśli któregoś dotkną, to zamieszkujące jego ciało złe duchy ściągną nieszczęście i chorobę na nich i na ich rodziny, tak, na ich rodziny też.

Kilian zrobił zdziwioną minę, wziął się pod boki, zaczerpnął powietrza i podszedł do Gregoria, który wciąż wydierał się na robotników.

– Jeśli nie usuniemy krwi, nie wsiądą – powiedział najspokojniej, jak umiał.

– Nie wygaduj głupot. Wystarczy, że jeden wlezie, a inni zrobią to samo. W razie czego pomogę im batem!

– Nie. Nie wsiądą. – Kilian nie ustępował. – Więc mamy dwa wyjścia. Albo wyślemy Walda po czystą ciężarówkę, albo to posprzątam.

Gregorio popatrzył na niego spod przymrużonych powiek, zaciskając pięści. Przez chwilę miał ochotę przywalić temu przybłędzie, który zaczynał za bardzo się rządzić, ale ostatecznie zrezygnował. Skupił się na tym, jak opanować sytuację, zanim wymknie mu się spod kontroli. Spoglądały na nich dziesiątki oczu. Czarnych było wielu, ich tylko dwóch. Mogło dojść do rozruchów. Z drugiej strony, gdyby posłał po ciężarówkę, uznaliby, że się ugiął w obliczu ich głupich przesądów.

– Doskonale. – Skinął głową. – Skoro masz tyle świetnych pomysłów, to na pewno wymyślisz, czym to wszystko posprzątać.

Kilian rozejrzał się dookoła, zbliżył się do drzew ocieniających krzewy kakaowca i zerwał parę liści, długością dorównujących jego ramieniu.

– Przykryjemy nimi krew. Dzięki temu nie będą musieli jej dotykać.

Szybko zgromadził tyle liści, żeby wystarczyło do zaścielenia sporej przestrzeni. Później gestem poprosił robotników, by pomogli mu je przenieść. Gdy wskoczył na ciężarówkę i podeszwy jego butów zetknęły się z lepką cieczą, usłyszał niechętny pomruk, lecz dalej robił swoje. Najwyraźniej nikt nie zamierzał mu asystować. Nawet Gregorio, który wolał z wyniosłą miną palić papierosa.

Waldo jednak powoli podprowadzał rannych do auta, żeby sami się przekonali, jak wygodnie pojedą do szpitala. Kilian miał szczerą nadzieję, że nie będą robili dalszych trudności, bo inaczej groziło mu, że wyjdzie na kompletnego durnia. Zeskoczył na

ziemię, podniósł maczetę i wyczyścił ją jednym z mniejszych liści, który następnie cisnął na pobocze.

– Powiedz im, żeby wsiadali, Waldo – rzucił spokojnie, choć serce waliło mu jak młotem. – Wyjaśnij, że krwią się już nie ubrudzą.

Waldo zwrócił się do robotników, lecz żaden nawet nie drgnął. Gregorio wypluł niedopałek, cmokając, pokręcił głową, i skierował się ku swojej ciężarówce.

– Przyniosę bicz – oznajmił – ale to ty go użyjesz.

Kilian usłyszał, że Waldo mówi coś w pichi. Najwyraźniej przetłumaczył słowa Gregoria, ponieważ chłopak z raną w głowie złapał się drewnianej obudowy tylnej części auta i podciągnął się na pake. Będąc już na górze, chciał oddać Kilianowi brudną od krwi chusteczkę. Kilian pokręcił głową.

– *Tenki* – powiedział chłopak.

Ponad dwudziestu lżej lub ciężej rannych poszło w ślady swego towarzysza. Waldo wrócił za kierownicę i uruchomił silnik. Mijając Kiliana, pozdrowił go gestem. Gregorio przestawił swój samochód tak, żeby dało się go wyminąć na wąskiej drodze, zatrąbił nagłaco, upewnił się, że wszyscy wsiedli, wskazał Kilianowi jego miejsce i ruszył dalej.

Przez resztę dnia nie zamienili z Kilianem ani słowa. Ten ostatni przez pierwsze trzy godziny chodził za Gregoriem krok w krok między rzędami krzewów, wycinając dzikie zarośla maczetą i strzygąc kakaowce. Nie doczekał się żadnych wyjaśnień, toteż po prostu naśladował robotników, którzy doskonale znali się na swojej pracy. Bez pośpiechu, ale i bez odpoczynku przemierzali pole w takt rytmicznych, podobnych jedna do drugiej piosenek. Kilian uznał, że śpiewanie to doskonały sposób, by zająć czymś umysł w trakcie monotonnego zajęcia. Sam od czasu do czasu łapał się na tym, że czuje dziwne rozluźnienie, jakby jego maczetą wymachiwał ktoś zupełnie inny.

Zaczęli od pól położonych najbliżej Obsayu, więc kiedy Gregorio zarządził przerwę na obiad, pieszo wrócili do majątku, podobnego do Sampaki, tyle że znacznie mniejszego.

Słońce w zenicie i ciężka praca sprawiały, że Kilian mocno się pocił. Robotnicy rozsiedli się wokół drewnianego budynku stojącego na grubych białych palach, między którymi kilku kucharzy przygotowywało w wielkich kotłach posiłek. Gregorio gdzieś znikł i Kilian nie bardzo wiedział, co ze sobą począć.

– *Massa!*

Głos brzmiał znajomo, a należał do Simona, który zjawił się nagle z pakunkiem na głowie. Rano Kilian zamienił z nim ledwie parę słów, teraz jednak bardzo się na jego widok ucieszył.

– Co ty tu robisz?

– Przyniosłem panu obiad.

– To ja nie jem razem z innymi?

Simón pokręcił głową.

– Robotnikom żywność wydzielana jest co tydzień. Oni przekazują ją swoim kucharzom. Jeśli są daleko w polu, to jedzą tam, a jeśli blisko majątku, to tutaj. Natomiast każdym z białych zajmuje się jego *boy*, wszędzie poza głównym majątkiem, bo tam wszyscy jedzą w jadalni.

Kilian z każdą chwilą bardziej doceniał wyjaśnienia swojego pomocnika.

– A skąd wiesz, gdzie mnie szukać?

– To moja praca, *massa*. Zawsze wiem, gdzie pana znajdę.

Kilian wybrał miejsce odpowiednie na odpoczynek, usiadł na ziemi i oparł się o dającą kilka metrów cienia ścianę. Simón usadowił się obok i zaczął rozpakowywać chleb, szynkę, jajka na twardo i napoje. Kilian był bardzo spragniony, ale głodu nie czuł. Otarł rękawem koszuli pot z czoła i policzków, i na moment zamknął oczy. Z oddali dobiegał go szmer rozmów, które prowadzili między sobą robotnicy. Nagle ktoś podniósł głos, ktoś podszedł bliżej. Kilian podniósł powieki i zobaczył dwóch mężczyzn, którzy stali przed nim, kłócąc się i jednocześnie próbując mu coś wytłumaczyć. Simón wstał i zarządził, by mówili po kolei. Potem zwrócił się do Kiliana.

– Awanturują się, bo kucharz zamienił im malangi.

Kilian patrzył na niego, nic nie rozumiejąc. A ponieważ długo się nie odzywał, mężczyźni znów zaczęli się kłócić. Wyprostował się.

– Co takiego?

– Malangi, *massa*. Jeden miał większą i dlatego ją sobie oznaczył. Teraz poszedł ją odebrać, a kucharz dał mu inną. Więc domaga się swojej, zanim ten drugi ją zje.

– A dlaczego przyszli z tym do mnie? – dalej dziwił się Kilian.

– Bo pan jest tu sędzią, *massa*. Co pan powie, to oni zrobią.

Kilian przełknął ślinę. Podrapał się po głowie i dźwignął na nogi. Gregoria nadal nigdzie nie było widać. Kilian zerknął w stronę prowizorycznej kuchni i stwierdził, że rozmowy ustały i wszyscy wpatrują się w niego wyczekująco. Zaklął pod nosem i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę kucharki. Simón podążał za nim.

Przeszli między usadowionymi na ziemi mężczyznami, którzy odprowadzali ich wzrokiem. Winny całemu zajściu kucharz stał z założonymi rękoma obok dwóch talerzy, na których znajdowały się kawałki dorsza, ryż podlany jakimś czerwonym sosem oraz coś, co wyglądało jak gotowany ziemniak. Kilian uważnie przyjrzał się porcjom. Na pierwszym z talerzy „ziemniaka” było zdecydowanie więcej niż na drugim. Uznał, że oto ma przed sobą stanowiącą przedmiot sporu malangę. Wyglądało na to, że obaj mężczyźni nadal upierają się przy swoim. I nagle przypomniał sobie siebie samego oraz Jacoba z czasów, gdy obaj byli dziećmi. Czekali przy ogniu, aż matka rozgarnie popiół przykrywający pierwsze pieczone tej jesieni kartofle i wręczy każdemu członkowi rodziny po jednym. On, Kilian, zaczął protestować, że jego ziemniak jest dużo mniejszy od tego, który przypadł w udziale Jacobowi. I co zrobiła matka?

Poprosił kucharza o nóż. Przekroił malangi na pół i na obu talerzach położył po połówce każdej z nich. Zwrócił nóż właścicielowi i bez słowa wrócił na swoje miejsce. Simón poszedł za nim i zaczął go przekonywać, że trzeba coś zjeść, bo do kolacji zostało jeszcze wiele godzin. Kilian coś tam przegryzł, ale bez specjalnego apetytu. Wciąż myślał o absurdalnej sytuacji z „ziemniakiem”.

– Tak było najbardziej sprawiedliwie, nie uważasz? – spytał w końcu.

Simón zadumał się głęboko, przez co zmarszczki na jego czole stały się jeszcze wyraźniejsze.

– Simón...?

– O, tak, tak, oczywiście, *massa* – odrzekł chłopak. – To było sprawiedliwe... Tylko nie dla prawdziwego właściciela tej większej malangi.

Kolejne dni Kilian spędził w ciężarówkach, na pylistych drogach, pośród nigeryjskich pieśni, okrzyków w pichi, kłótni, świstu maczet, bananowców, erytryn i krzewów kakaowca.

Gdy wracał do Sampaki, był tak zmęczony, że ledwo co jadł, uczył się od Jacoba i Walda prowadzić samochód, pisał kilka sztucznie wesołych linijek do matki i Cataliny, po czym szedł spać, czując na całym ciele swędzenie wywołane przez nadmierną potliwość i wysokie temperatury.

Antón i Jacobo doskonale rozumieli, co się z nim dzieje. Przy kolacji prawie się nie odzywał i trudno było przeoczyć fakt, że stosunki między nim a Gregoriem nie układają się najlepiej. Starali się nawzajem ignorować, choć Gregorio złośliwie kwestionował przed zarządcą odwagę i wytrzymałość swojego nowego wroga, w związku z czym Kilian niekiedy z trudem powstrzymywał się od rękoczynów.

Pewnego wieczoru, gdy odszedł od stołu, nie dokończywszy deseru, Antón postanowił odprowadzić syna do pokoju.

– Daj sobie trochę czasu, chłopcze – rzucił, gdy tylko opuścili jadalnię. – Na początku jest ciężko, ale stopniowo, dzięki pracy, dyscyplinie i przyjęciu panujących tu zasad, wszystko się jakoś układa. Wiem, jak się czujesz. Też przez to przeszedłem.

Kilian uniósł w zdumieniu brwi.

– Też musiałeś znosić kogoś takiego jak Gregorio?

– Nie o to mi chodziło – pospiesznie wyjaśnił Antón. – Chciałem powiedzieć, że... – Odchrząknął i spuścił wzrok. – Nie wiem, jak to się dzieje ani kiedy, nie wiem, czy tak jest też w innych częściach Afryki, ale wiem, że nadejdzie dzień, w którym ta mała wyspa całkowicie tobą owładnie, do tego stopnia, że nie zechcesz jej nigdy więcej opuścić. Może to przez tę naszą typowo ludzką zdolność przystosowywania się... A może ta ziemia ma w sobie coś tajemniczego... – Wyciągnął rękę, by wskazać panoramę widoczną z galerii, na której się znajdowali, i znów spojrzał synowi w oczy. – Tak czy owak, nie znam nikogo, kto by stąd wyjeżdżał bez żalu.

W tamtej chwili Kilian niespecjalnie rozumiał to, co chciał mu przekazać ojciec.

Miały upłynąć lata, zanim słowa Antona nabrały znaczenia ponurej przepowiedni.

IV. FINE CITY

Świetne miasto

Zgoda – ustąpił Jacobo. – Ale z powrotem prowadzisz ty.

Kilian, bojąc się, że brat zmieni zdanie, szybko wskoczył do furgonetki z otwartym bagażnikiem, zwanej przez wszystkich „pikusiem” od angielskiego słowa *pickup*. Po dwóch tygodniach intensywnej lekcji udzielanych mu na pobliskich drogach przez Jacoba i Walda zdobył prawo jazdy na samochody osobowe i ciężarówki, jednakże jeżdżenie po mieście to było zupełnie coś innego.

– Jak się przejadę z tobą, to będę potrafił wrócić – zapewnił.

Zarządca zlecił im zakup narzędzi i materiałów w sklepach w Santa Isabel. Dzień był gorący, typowy dla trwającej od listopada do marca pory suchej. W tym okresie wycinano lasy pod nowe uprawy, gromadzono opał do suszarni, przycinano krzewy kakaowca, usuwano *bikoro*, czyli rosnącą wokół nich trawę, i wreszcie wytyczano na plantacjach nowe drogi, a także reperowano stare. Kilian nauczył się już, że najważniejsze jest karczowanie: ciągle wywijanie maczetami, by, mimo straszliwego upału, kontrolować dziką roślinność pleniącą się wszędzie w sposób wręcz magiczny.

Było wcześniej rano, a Kilian już pocił się jak mysz. Wkrótce miało wrócić swędzenie, które towarzyszyło mu od pierwszego dnia w Afryce i doprowadzało go do obłędu. Oddałby wszystko za dodatkowe ręce, żeby móc drapać się w kilku miejscach naraz. Specyfiki zapisane przez Manuela niestety nie pomagały i pozostawała już tylko nadzieja, że skóra z czasem przyzwyczai się do klimatu, a dolegliwości w końcu same ustąpią.

– Nawet nie wiesz, jak tęsknię za górskim chłodem! – rzucił, myśląc o Pasolobino. – Ten upał mnie wykończy.

– Przesadzasz! – Jacobo prowadził auto z łokciem nonszalancko wystawionym za okno. – Teraz przynajmniej ubranie nie klei się do ciała. Zobacysz, co będzie, jak nadejdzie pora wilgotna. Od kwietnia do października wszędzie nic tylko woda. Człowiek potwornie się lepi od rana do wieczora. – Wysunął dłoń na zewnątrz, by poczuć prąd powietrza. – Dziś przynajmniej, dzięki Bogu, przyniesie nam ulgę ten uczeń czarnoksiężnika, saharyjski harmattan.

Kilian zauważył, że wąski pasek nieba widoczny nad ich głowami zaczyna zasnuwać się drobnym pyłem i przyjmuje czerwonawoszary odcień.

– Nie rozumiem, jak może ci przynosić ulgę ten uprzykrzony wiatr, który ogranicza widoczność i drażni oczy. – Przypomniał sobie czyste, śnieżne zadymki. – Mnie on tylko męczy.

– To poczekaj, aż kiedyś naprawdę zawieje! Wtedy dopiero nie widać nieba całymi dniami! I tylko żujesz piasek!

Kilian aż się skrzywił z obrzydzenia. Jacobo obserwował go kątem oka. Młodszy brat miał skórę spaloną od słońca, ale dopiero za kilka tygodni ta żywa czerwień miała przejść w brąz typowy dla innych mężczyzn z plantacji. To samo dotyczyło stanu jego

ducha: trzeba było czasu, by strząsnąć z siebie tę słabość, która nadawała człowiekowi wygląd zbuntowanego nastolatka. Jacobo też tego doświadczył: w miarę jak jego ramiona nabierały tężyzny, a skóra garbowała się na słońcu, jego psychika dostosowywała się do wyzwań tego dzikiego kraju. Potrafił sobie wyobrazić myśli Kiliana. Udręczony gorącem, wyczerpującą pracą, kłótniami robotników i nadzorców, ciągłym swędzeniem całego ciała oraz *wspaniałymi* stosunkami z nieznośnym *massa* Gregoriem chłopak z pewnością nie umiał dostrzec żadnego z cudów, których obfitość na wyspie wyobrażał sobie przed przyjazdem. Może – zastanawiał się Jacobo – nadeszła pora, by dla podniesienia morale przedstawić mu którąś ze swoich miejscowych przyjaciółek. Jedną z zalet kawalerskiego życia na Fernando Poo była... możliwość nieograniczonego folgowania swoim żądzom.

– I co? Jak tam na Obsayu? – spytał tym samym niezobowiązującym tonem, którym rozmawiali o pogodzie.

Kilian przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Tylko Jacobowi mógł się zwierzyć ze swoich wątpliwości, nie chciał jednak, by starszy brat uznał go za mazgaja. Ludzie, którzy widzieli ich razem po raz pierwszy, zawsze podkreślali łączące ich podobieństwo, co Kiliana niezwykle dziwiło, ponieważ – choć nieznacznie górował nad Jacobem wzrostem – pod wieloma względami czuł się przy nim mięczakiem. Jacobo aż kipiał energią i siłą. Gdziekolwiek się zjawiał, zwracał powszechną uwagę. Kilian nigdy nie widział go w złym nastroju, nawet w czasach szkolnych. Brat doskonale wiedział, czego chce od życia: cieszyć się każdą sekundą i nie zaprzętać sobie niczym głowy. Pracy niestety nie można było uniknąć, ale nawet jeśli zbiory udały się mniej niż zwykle, to trudno, przecież nie będzie się tym martwił. Ani tym, ani niczym innym.

– Mowę ci odebrało?

– Co? Nie, nie. Z Gregoriem bez zmian. Najgorsze, że on podkopyje mój autorytet wśród robotników. Mówi im za moimi plecami, żeby nie zwracali na mnie uwagi, bo jestem nowy, a potem mi ich przysyła, żebym rozstrzygał ich spory. Wiem to od Walda.

– To dlatego, że ci zazdrości. Garuz powiedział, że potrzebuje kogoś, kto by zaprowadził na Obsayu porządek. Mądrze zrobił, że posłał tam kogoś świeżego, zdolnego i pełnego entuzjazmu. Jeszcze trochę i dostaniesz kierownicze stanowisko w głównym majątku.

– Sam nie wiem. Chyba brakuje mi zdolności przywódczych. Robotnicy nie chcą mnie słuchać. Muszę im wszystko powtarzać dwadzieścia razy. Czekają, aż się wścieknę i zacznę krzyczeć, dopiero wtedy, ze znaczącym uśmiechem, robią, co im każe.

– Zagroź, że powiadomisz Straż Terytorialną. Albo że ich podasz do sądu w Santa Isabel, żeby ukarali ich grzywną.

– Już próbowałem. – Kilian, lekko zawstydzony, przygryzł wargę. – Problem w tym, że ciągle to powtarzam, a potem nie mam serca spełnić groźby. I oni, oczywiście, zdają sobie z tego sprawę. Nie biorą moich słów poważnie. Całkowicie mnie lekceważą.

– To spuść im manto i zobaczysz, że przestaną!

Kilian popatrzył na brata ze zdumieniem.

– Nigdy nikogo nie uderzyłem – zaprotestował.

Nie potrafił sobie wyobrazić, że Jacobo mógłby się do czegoś takiego posunąć.

– Jak to nie? – zażartował tamten. – Już zapomniałeś, jak się tłukliśmy w dzieciństwie?

– To co innego.

– Jeśli nie chcesz sam tego zrobić, poproś któregoś z nadzorców i po sprawie. – Jacobo spoważniał. – Słuchaj, im wcześniej zaczną cię szanować, tym lepiej. Wielu naszych chciałoby być na twoim miejscu i zarabiać tyle co ty...

Kilian przytaknął w milczeniu. Wyjrzał przez okno i zobaczył wśród kakaowców kilka zabawnych małpek, które zdawały się machać pick-upowi na pożegnanie. Bujna zieleń królowała wszędzie aż do obrzeży Santa Isabel, gdzie droga zrobiła się asfaltowa.

– Najpierw szybko objedziemy miasto, żebyś się trochę zorientował – oświadczył Jacobo. – Mamy mnóstwo czasu. I przestań się tak drapać! Denerwuje mnie to.

– Kiedy nie mogę! – Kilian włożył dłonie między uda, żeby opanować potrzebę ciągłego pocierania każdego centymetra podrażnionej skóry.

Jacobo prowadził samochód prostymi, symetrycznymi ulicami, które sprawiały wrażenie wytyczonych od linii i biegły od morza aż po rzekę Cónsul, stanowiącą granicę miasta. Zaczęli od dzielnicy najbardziej oddalonej od wybrzeża i zamieszkaanej w większości przez Nigeryjczyków. Dzieciaki biegały tu za gumowymi piłeczkami zrobionymi z lepkiego płynu pozyskiwanego z drzew kauczukowca albo strzelały kulkami z dmuchawek zrobionych z pustych w środku pędów papai. Młodzi mężczyźni i kobiety – oni nadzy od pasa w górę, one z pakunkami na głowach i dziećmi w ramionach – przechadzali się pośród egzotycznych stoisk i sklepików z produktami wytwarzanymi na wyspie lub importowanymi z różnych stron świata. Handlarki próbowały odganiać liśćmi natrętne muchy, których chmary unosiły się nad nadzianymi na patyki rybami oraz mięsem małp i gronbifów, czyli polnych szcurków wielkości zajaca. Samochód wypełnił się pikantnym zapachem gotowych dań sprzedawanych razem z orzeszkami kola, za pomocą których tubylcy zwalczali zmęczenie, oraz świeżymi owocami rozłożonymi na stronicach miejscowej gazety „Ébano” albo na liściach bananowca. Ta feeria kolorów, zapachów i dźwięków stanowiła prawdziwą ucztę dla zmysłów.

Kilian zwrócił uwagę, że choć większość kobiet oprócz *clote* – czyli wiązanych w pasie spódnic, które czasem, pod wpływem morskiej bryzy, oblepiały im nogi – nosiła również koszule, trafiały się i takie, co chodziły z odsłoniętymi piersiami. Z łobuzerskim błyskiem w oku zachłannie przypatrywał się ciemnym, jędrnym biustom. Uśmiechnął się na myśl o dziewczynach z Pasolobino ubranych czy raczej *rozebranych* w taki sposób.

W tej części miasta dominowały baraki z blachy albo z drewna *calabó*, kryte również blachą lub palmowymi liśćmi zwanymi *nipa* i wiązanych za pomocą włókien *melongo*. W miarę jednak jak wjeżdżali w dzielnice zamieszkałe przez Europejczyków oraz zamożnych kupców wszelkich ras, pojawiało się coraz więcej okazałych domów, podobnych do siebie nawzajem i otoczonych zadbanymi ogrodami, w których rosły egzotyczne drzewa owocowe – papaje, palmy kokosowe, mangowce, gujawy i awokado – i obsypane kwiatami krzewy oraz dalie, róże i chryzantemy. W wielu budynkach na parterze mieściły się sklepy i zakłady usługowe, na górze zaś – mieszkania.

Jacobo zatrzymał pick-upa przed jednym z takich domów, wyskoczył z auta, kazał

bratu zrobić to samo, po czym powiedział:

– Zajrzę do apteki tu na rogu, żeby sprawdzić, czy nie mają czegoś na to twoje swędzenie. – Po tych słowach machnął ręką w stronę budynku, którego fasadę zdobił napis „Magazyn Ribagorzów”. Nazwisko to należało do jednej z rodzin pochodzących z Pasolobino. – Ty idź na zakupy. Niech ci wszystko dopiszą do rachunku plantacji.

Już przy wejściu uderzyła Kiliana mnogość najróżniejszych przedmiotów, które zalegały na półkach i na podłodze. Były tu najrozmaitsze narzędzia – typowy asortyment sklepu żelaznego – a także puszki z konserwami, buty, maszyny do szycia, perfumy i akcesoria samochodowe. Zachowanie nowo przybyłego musiało odbiegać od przyjętej w tym miejscu normy, albowiem za plecami Kiliana już po chwili rozległ się wesoły głosik:

– Może w czymś pomóc?

Kilian odwrócił się i zobaczył dziewczynę mniej więcej w swoim wieku, dość ładną, niezbyt wysoką i brązowowłosą. Jej sympatyczna buzia wydała mu się dziwnie znajoma. Ku jego zaskoczeniu – nigdy nie widział na kobiecie podobnego stroju – dziewczyna ubrana była w zielone spodnie z zaszewkami oraz sweterek z krótkim rękawem, biały w romby. Na szyi zamotaną miała bardzo twarzową czerwoną chustkę. Najpierw trochę przymrużyła oczy, by zaraz szeroko je otworzyć i zakrzyknąć:

– Ty przecież jesteś Kilian, brat Jacoba! Wyglądacie prawie tak samo! Nie pamiętasz mnie?

Wtedy zrozumiał. Był przecież u niej w domu, jakieś trzy kilometry od Pasolobino, gdy cztery czy pięć razy ojciec zabrał go tam z sobą. Po powrocie z Fernando Poo Antón zawsze odwiedzał jej dziadków i wujostwo, zawożąc im podarunki od jej mieszkających na wyspie rodziców. Podczas gdy dorośli prowadzili swoje rozmowy, Kilian bawił się z psotną dziewczynką, która wciąż powtarzała, że kiedyś wyprawi się do Afryki.

– Julia? Przepraszam, ale tak się zmieniłaś...

– Ty też. – Przesunęła dłonią pionowo, z góry do dołu. – Urosłeś przez te... – policzyła w pamięci – ...dziesięć lat.

– Od tak dawna nie byłeś w domu? To znaczy: w Hiszpanii? A twoi rodzice? Dobrze się miewają?

Przytaknęła.

– Dość dobrze się nam tu wiedzie, więc po maturze w szkole kolonialnej postanowiłam zatrudnić się w naszym sklepie. – Wzruszyła ramionami. – Co roku mówię, że muszę zajrzeć do Pasolobino, tyle że z jakichś względów nigdy tego nie robię. Ale zawsze pytam Jacoba o nasze kochane góry... A, właśnie, on już wrócił z wakacji?

Kilian streścił jej pokrótce, co działo się w Pasolobino w ostatnich latach, i odpowiedział na wszystkie – bardzo liczne – pytania, dotyczące głównie chrztów, ślubów i pogrzebów. Przez parę minut, pogrążony w rozmowie o rodzinnych stronach, nie pamiętał nawet o dokuczliwym swędzeniu.

– Przepraszam za to przesłuchanie! – zawołała nagle Julia. – A ty? Jak się czujesz? Jak ci się tu podoba?

Kilian wyciągnął ku niej ręce, dłońmi do góry, żeby zobaczyła, w jakim stanie jest jego skóra.

– Tak, widzę – rzuciła lekko. – Nic się nie martw. To w końcu minie.

– Wszyscy mi powtarzają, żebym się nie martwił. – Kilian pochylił się ku niej i zniżył głos. – Ale coś ci wyznam. Myślałem, że życie w koloniach wygląda trochę inaczej.

Parsknęła śmiechem.

– Za parę miesięcy zmienisz zdanie. – A gdy się skrzywił powątpiewająco, wzięła się pod boki i przekrzywiła głowę. – O co się założymy?

W tym momencie drzwi się otworzyły i do sklepu wkroczył Jacobo. Ciepło przywitał się z Julią, całując ją w oba policzki. Kilian zauważył, że dziewczyna lekko się rumieni, a jej głos brzmi nagle dużo melodyjniej.

– Cieszę się, że cię widzę. Jak tam wakacje?

– Wakacje to zawsze świetna rzecz. Szczególnie jak ci za nie płacą!

– Ani trochę za *nami* nie tęskniłeś? – Julia zaakcentowała liczbę mnogą, która wszakże miała się odnosić wyłącznie do niej.

– Sama wiesz, że jak *my, ludzie z plantacji*, mamy okazję wyrwać się z wyspy – Jacobo natychmiast podchwycił jej ton – pragniemy jedynie *zapomnieć* o wszystkich tych chwastach i maczetach... – Gdy jednak dostrzegł zawód na jej twarzy, dodał łagodniej: – Ale wiesz też dobrze, że *uwielbiamy* tu wracać. À propos... – szybko zmienił temat – ... żebyśmy tylko nie zapomnieli osełek. Zużywają się błyskawicznie! Jakby ktoś je zjadał. Ci czarni całymi dniami tylko ostrzą swoje maczety. – Tu zwrócił się do Kiliana. – Kupiłeś już, co trzeba?

Młodszy brat pokręcił głową, wyjął z kieszeni listę zakupów i wręczył ją Julii, która pospieszyła zrealizować zamówienie, podczas gdy bracia zaczęli przeglądać regały, zastanawiając się, czy nie potrzebują czegoś jeszcze.

– To jest turrón z ubiegłego Bożego Narodzenia – wyjaśniła Julia, widząc, że Kilian uważnie ogląda jedną z puszek. – Jak widzisz, mamy tu wszystko.

– Turrón w puszcze!

– Potrzeba matką wynalazku, czyż nie?

Wkrótce paczki były gotowe. Jacobo podpisał rachunek, po czym na własny koszt wziął jeszcze butelkę irlandzkiej whisky Tullamore.

– Na pożegnanie starego doktora – mruknął Kilianowi, puszczając oko. – To dziś wieczorem.

Julia odprowadziła ich do furgonetki.

– Może wpadniecie do nas na obiad albo kolację w tym tygodniu? Rodzice chętnie by z wami porozmawiali. – I, zanim Jacobo zdążył zgłosić jakieś zastrzeżenia, dodała: – Kilianowi dobrze by zrobiła kolejna wizyta w mieście.

Jacobo miał cokolwiek odmienne plany dla brata. Rodzinne wieczorki były raczej dla młodych małżeństw. Kawalerowie gustowali w innych rozrywkach. Myślał właśnie, jak grzecznie odrzucić zaproszenie, gdy wtrącił się Kilian:

– Dziękujemy, Julio. Przyjdziemy z wielką przyjemnością. Prawda, Jacobo?

– Eee... Tak, tak, jasne.

– To widzimy się w tym tygodniu. – Julia uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Wyślę wam wiadomość przez boya. Na razie!

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i wróciła do pracy radosnym krokiem osoby,

która osiągnęła coś, czego bardzo pragnęła.

Jacobo wsunął dłoń do kieszeni i wyjął stamtąd małe opakowanie maści, które rzucił bratu, zanim wszedł do auta.

– Trzymaj! Zobaczymy, czy pomoże!

Kiliana zdziwił jego ton. Opadłszy na swój fotel, zaczął wcierać miksturę w ramiona i szyję. Jacobo prowadził w milczeniu.

– Można wiedzieć, co cię ugryzło? – spytał Kilian po chwili.

Jacobo zacisnął wargi i potrząsnął głową.

– Wreszcie jej się udało!

– Nie rozumiem. Masz na myśli Julię? Wydała mi się bardzo miła i inteligentna. Łatwo się z nią rozmawia, dziewczyna ma poczucie humoru.

– To się częstuj!

Kilian zmarszczył w zamyśleniu brwi, a po chwili, klepiąc się po udach, wybuchnął śmiechem.

– Już rozumiem! Dlatego tak się zmieniła, jak przyszedłeś! Kocha się w tobie! A ty ani słowem...

– Niby co ci miałem powiedzieć? Nie pierwsza to i nie ostatnia, która mnie prześladowa.

– No, nie wszystkie chyba są takie jak ona...

– Święta prawda – przyznał Jacobo, uśmiechając się szelmowsko na myśl o swoich przyjaciółkach. – Są inne. Człowieku, kiedy indziej może bym ją i wziął na romantyczny spacer po Cyplu Fernandy. Tyle że to trochę za wcześnie.

– Za wcześnie na co?

– Na to, co ma być. Na wiązanie się z kobietą. – Widząc, że Kilian znów popada w zadumę, Jacobo przesadnie westchnął. – Serio, czasami wydajesz się taki niemądry. Sam już nie wiem, co z tobą począć! Słuchaj, Kilianie, tutaj mężczyźni w naszym wieku, ale, prawdę mówiąc, starsi też, mają wiele... powiedzmy... przyjaciółek, przy czym żadnej na stałe. No, dobra, niektórzy mają stałe, ale nie takie jak Julia, to znaczy nie Hiszpanki, i te stałe, rozumiesz, zawsze sprawiają kłopoty, bo robią się kapryśne, chcą pieniędzy i utrzymania, wrabiają cię w jakieś dzieci... Ja staram się takich rzeczy unikać. I mam nadzieję, że ty też wykażesz się ostrożnością, nie wiem, czy mnie rozumiesz...

Kilian powoli zaczynał rozumieć.

– Jasne, Jacobo. – Tu naszły go nowe wątpliwości. – Ale powiedz... Ojciec też...? To znaczy ktoś, kto spędza długie miesiące sam...

Na samą myśl o Antonie w ramionach kobiety innej niż Mariana robiło mu się niedobrze.

– Cóż, nie wiem, co ojciec robił za młodu, nie pytałem go o to. Ale jedno ci powiem: od kiedy jestem na wyspie, nie widziałem ani nie słyszałem nic podejrzanego. A tu wszystko w końcu wypływa... – Kilian, ku własnemu zaskoczeniu, odetchnął z ulgą. – Zresztą wcale mnie to nie dziwi. Wiesz, że tata bardzo poważnie podchodzi do kwestii religijnych i moralnych...

– No i bardzo kocha mamę... Nigdy by jej czegoś takiego nie zrobił, to znaczy, nigdy

by jej nie zdradził.

– Tak, cóż, inni żonaci faceci też bardzo kochają swoje żony z Półwyspu, a jednak bez wahania znajdują sobie towarzyszek na czas długich pobytów z dala od domu. Miłość nie ma tu nic do rzeczy.

Kilian nie do końca się z tym zgadzał, ale zmilczał. Ta kłopotliwa rozmowa, zamiast wyjaśniać mu sytuację, prowokowała wiele dodatkowych pytań. Postanowił więc porzucić dotychczasowy poważny ton.

– A gdzie się spotykacie ze swoimi przyjaciółkami? Bo przez dwa tygodnie jakoś żadnej nie widziałem...

Jacobo wzniósł oczy ku niebu.

– Zobaczysz, mój drogi, zobaczysz. Ba, sądzę, że dla twojego dobra sam zadbam, żebyś spotkał się z nimi jak najszybciej. Tacy jak ty łatwo ulegają takim jak Julia. Nie mogę pozwolić, żebyś przegapił to, co tu najlepsze...

– Dzięki za troskę – rzucił kpiąco Kilian. – Mam nadzieję, że okażę się godny tych twoich przyjaciółek.

Dostrzegł, że jego brat się uśmiecha. Obrócił głowę i zobaczył, że wjeżdżają do Saragossy. Pierwsza wizyta w mieście zrobiła na nim dobre wrażenie. Swędzenie nie ustąpiło, ale rozmowa z rodaczką, Julią, złagodziła poczucie samotności na obcej ziemi. Nawet tunel z palm, znaczący wjazd na plantację, nie wydawał mu się już tak bardzo dziwny.

Przypomniał sobie swój pierwszy wjazd do Sampaki, nerwowy entuzjazm, który poprzedził obawę przed zalewem nowości, i zdziwił się, jak naturalnie przyjmuje teraz to, co go otacza. Ba, nawet pozdrowienie stróża Yeremiasa wydało mu się przyjemnie znajome.

– A, Jacobo... – rzucił, gdy stanęli przed pięknymi białymi kolumnami głównego budynku.

– No...?

– Miałem prowadzić.

Po wypakowaniu zakupów Jacobo wziął inne auto i ruszył do Yakató. Kilian z kolei zasiadł za kierownicą pick-upa, by dołączyć do robotników na Obsayu. Niepewnie przejechał kilka metrów, po czym przystanął, bo spotkał Antona, który wraz z nieodłącznym Josem zmierzał ku głównym magazynom. Odczekał, aż obaj znikną wewnątrz budynku, żeby nie mieć świadków swojej nieudolności. Na szczęście o tej porze niewiele osób kręciło się po majątku.

Dotarł do celu spocony jak mysz, ale bardzo z siebie dumny, ponieważ silnik nie zgasł mu po drodze ani razu. Zaparkował i energicznie ruszył główną drogą ku polom. Wkrótce jego uszu doleciały śpiewy robotników. Kilka metrów przed sobą zauważył kobietę ubraną w jaskrawą *clote* i niosącą na głowie wielki pusty kosz. Uznał, że nieznaną idzie do dżungli po owoce albo drewno. Nagle kobieta przystanęła, jakby usłyszała jakiś dźwięk dobiegający spośród zarośli, po czym, bez wahania, zagłębiła się między drzewa. Kilian specjalnie się tym nie przejął, bo wiedział, że ludzie z Calabaru nawykli do tutejszych warunków, a ich kobiety często przynosiły pracującym mężom wiadomości albo jedzenie.

Szedł dalej, aż usłyszał szmer rozmów, świst tnących gęstą roślinność maczet, syczenie spryskiwaczy plujących mieszaniną siarczanu miedzi i wapna, czyli roztworem zwanym cieczą bordoską, stosowanym do ochrony młodych roślin przed atakującą zwłaszcza w porze deszczowej pleśnią.

Zaraz potem natknął się na pierwszych robotników z długiego szeregu, na którego końcu wypatrzył Nelsona, jednego z nadzorców. Uniósł do góry kciuk w niemym zapytaniu, czy wszystko dobrze. Nelson odpowiedział tym samym gestem. Wtedy Kilian spojrzał na stojącego najbliżej mężczyznę. Ułożył sobie w głowie proste pytanie – nie żeby faktycznie interesował się miejscem pobytu Gregoria; po prostu chciał pokazać robotnikom, że robi postępy w pichi, nawet jeśli wciąż nie ma odwagi posługiwać się długimi zdaniami.

– *Whose side massa Gregor?*

– *I know no, massa* Kilian. – Mężczyzna wzruszył ramionami, uniósł rękę i zamachał nią, wskazując wiele miejsc naraz. – *All we done come together, but he done go.*

Kilian nic nie zrozumiał, ale przytaknął. Nie bardzo wiedział, co robić, toteż zaczął się przechadzać między robotnikami, obserwując ich pracę i kiwając głową na znak aprobaty, zupełnie jakby się już doskonale na wszystkim znał. W końcu dotarł do Nelsona, tam gdzie kończyło się pole i zaczynała dżungla. Nadzorca, potężny mężczyzna podobnego jak Kilian wzrostu, o idealnie okrągłej i mocno spłaszczonej twarzy z zaczątkami podwójnego podbródka, krzyczał na jakiegoś chłopaka, wywijając trzymanym w dłoniach spryskiwaczem. Na widok Kiliana zmienił ton.

– Wszystko w porządku, *massa*. – Mówił po hiszpańsku nie bez trudu, z silnym akcentem. Znajomość tego języka była warunkiem awansu na nadzorcę. – Ciecz musi być dobrze wymieszana, żeby nie zaszkodziła roślinom.

Kilian znowu przytaknął. Czuł się trochę głupio, udając, że wszystko kontroluje, podczas gdy prawie o niczym nie miał pojęcia. Wolał pomagać przy naprawie baraków mieszkalnych, bo na budownictwie, owszem, znał się lepiej od innych, a to dzięki długim godzinom spędzonym na reperowaniu domu i zabudowań gospodarczych w Pasolobino. Kakao natomiast wciąż stanowiło dla niego tajemnicę.

– Zaraz wracam – powiedział do Nelsona, podnosząc z ziemi kilka młodych liści.

Wyprawa do dżungli za potrzebą była doskonałym wybawieniem od niewygodnej ciszy. Pierwsze metry okazały się nieco oczyszczone z zielska, potem jednak maczeta okazała się niezbędną. Przedarłszy się w odpowiednie miejsce, Kilian zdjął spodnie i umilał sobie czas, obserwując, jak żółto-czarny pajak kończy tkać grubą sieć rozciągającą się od krzaka do krzaka. Dobrze chociaż, pomyślał, że nie brzydzi się pajaków, nawet tarantuli. Były owłosione i dziesięć razy większe niż największe tego typu stworzenia w Pasolobino, lecz je także dawało się zdeptać. Inna rzecz – węże. Tych nie znosił. Zawsze bardzo na nie uważał, szczególnie od incydentu z boa. Naprawdę, co za kraj! Węże – wszelkich rozmiarów i kolorów – były tu wszechobecne.

Kiedy skończył, podtarł się liśćmi i wstał, chwytając się gałęzi, która w pierwszej chwili zdała mu się nieco zbyt miękka, a zaraz potem ożyła. Puścił ją szybko i zamarł. Zielonkawo-brązowa gałąź wciąż wyglądała jak gałąź, tyle że z wolna się wiła. Przymrużył oczy i dostrzegł głowę, z której wystawał ruchliwy język.

Powoli dopiął spodnie i zaczął się wycofywać, by po paru krokach odwrócić się i z bijącym sercem popędzić przed siebie. Nie zwracał uwagi na to, dokąd biegnie, i dopiero po kilku minutach stwierdził, że oddała się od dźwięków dobiegających z pola. Zaklął pod nosem i zawrócił. Nagle, kilka metrów dalej, usłyszał znajomy głos. Nadstawił uszu i rozpoznał Gregoria, który prawdopodobnie zapuścił się w dżunglę z podobnej jak on przyczyny. Odetchnął z ulgą: Gregorio znał ten teren jak własną kieszeń. Ruszył zdecydowanie, specjalnie hałasując, i wyszedł na maleńką polankę pośród gęstwiny.

– Gregorio! Nie uwierzysz, ale sam nie wiem, jak...

Stanął jak wryty.

Gregorio leżał na brzuchu, tonąc w głębokim uścisku kogoś, między czyimi udami skręcał się i pojękiwał. Kobieta dłoń wyciągnęła się w stronę Kiliana. Gregorio znieruchomiał, wsparł się na łokciu, odwrócił głowę i zaklął.

– Lubisz sobie popatrzeć czy co? – wrzasnął, zrywając się na nogi i usiłując wciągnąć spodnie.

Kilian się zaczerwienił – pod wpływem zarówno samego pytania, jak i widoku penisa, ciągle sterczącego między kościstymi nogami tamtego. Kobieta wciąż leżała na ziemi, uśmiechnięta i całkiem naga na tle pomarańczowej *clote*. Obok stał pusty koszyk. Kilian rozpoznał dziewczynę, która znikła wcześniej wśród kakaowców.

– Przepraszam – zaczął się tłumaczyć. – Wszedłem w dżunglę i się zgubiłem. Potem usłyszałem twój głos i dotarłem tutaj. Nie chciałem przeszkadzać.

– Ale przeszkodziłeś! W połowie!

Gregorio gestem nakazał kobiecie, by wstała. Usłuchała, wkładając spódnice. Wzięła koszyk, ustawiła go na głowie z wyraźnym zamiarem oddalenia się i wyciągnęła do massy rękę.

– *Give me what you please* – powiedziała.

– Mowy nie ma! – odparł Gregorio. – Tym razem nie skończyłem, więc to się nie liczy.

I machnął na nią, by odeszła.

– *You no give me some mani?* – Kobieta skrzywiła się z niechęcią.

– *Go away! I no give nothing now. Tomorrow, I go call you again.*

Kobieta zacisnęła zęby i obrażona odeszła. Gregorio podjął z ziemi swój hełm, otrząsnął go i założył.

– A ty – rzucił sarkastycznie do Kiliana – nie schodź ze ścieżki, jeśli nie chcesz się zgubić. – Minął go, nawet w jego stronę nie spojrzawszy. – Ze swoją odwagą nie przetrwasz w dżungli nawet paru godzin.

Kilian zacisnął pięści i ruszył za nim w milczeniu, wciąż zawstydzony tym, co przed chwilą zobaczył. Znienacka znów poczuł straszne swędzenie na całej skórze i zaczął się wściekle drapać.

Jacobo miał słuszność. Najwyższa pora się przebudzić.

We wszystkich znaczeniach tego słowa.

Wieczorem, tak jak to było zaplanowane, odbyła się kolacja pożegnalna zorganizowana dla Dámasa, miłego człowieka o całkiem siwych włosach i miękkich rysach twarzy, wracającego do Hiszpanii po niemal trzech dekadach pracy lekarskiej w

koloniach.

Zasiedli przy stole, podzieleni wedle doświadczenia: po jednej stronie Lorenzo, Antón, Dámaso, ojciec Rafael, sprawujący funkcje księdza i nauczyciela zarazem, a także Gregorio i Santiago, jeden z najbardziej zasłużonych pracowników; po drugiej – Manuel, Jacobo, Kilian, Mateo i Marcial, wszyscy poniżej trzydziestego roku życia. Jeśli nie liczyć święta z okazji żniw oraz sporadycznych wizyt przedstawicieli władz kolonialnych, w jadalni rzadko panowało takie ożywienie. Podczas gdy służący, między innymi Simón, serwowali posiłek, starsi spośród białych wspominali trudy swoich pierwszych lat na wyspie, młodszy zaś słuchali tego z niedowierzaniem i właściwą niedoświadczeniu arogancją.

Po kolacji zarządca poprosił o chwilę ciszy, bo chciał wygłosić na cześć swojego dobrego przyjaciela Dámasa krótką przemowę, której Kilian wysłuchał raczej nieuważnie z powodu riojańskiego wina z Azpilicuety, podanego przez Garuza w wielkiej obfitości, oraz przez naprawdę niezwykle dokuczliwe świerzbienie na całym ciele. Potem były oklaski, wzruszenia i słowa wdzięczności.

W miarę jak przybywało pustych butelek, rozmowa stawała się coraz bardziej ożywiona.

– Pożegnał się pan już ze wszystkimi? – spytał podstępnie Mateo, sympatyczny, drobny, żylasty madrytczyk o ruchliwej twarzy, którą zdobił ostry nos oraz wąsik nad wiecznie gotowymi do śmiechu ustami.

– Tak sędzę – odrzekł doktor.

– Ze wszystkimi? – podchwycił Marcial, współpracownik Jacoba z Yakató, włochaty, niemal dwumetrowy olbrzym o mięsistym obliczu, cechujący się dobrocią tak wielką jak jego podobne do łopat dłonie.

Dámaso doskonale wiedział, o co im chodzi, i nie zamierzał dać się złapać.

– Ci, którzy naprawdę się liczą, siedzą przy tym stole – oświadczył, obejmując gestem współbiedników. – Więc, powtarzam, odpowiedź brzmi: tak.

– Jeśli don Dámaso mówi, że tak, to znaczy, że tak. – Santiago, spokojny, rozważny, bardzo blady i chudy mężczyzna o gładkich włosach, mniej więcej rówieśnik Antona, pospieszył doktorowi na pomoc.

– Cóż, znam pewną osobę, która będzie dziś w nocy bardzo smutna... – stwierdził Jacobo.

Najmłodszy wybuchnął śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Kiliana, który nie miał pojęcia, o kim myśli jego brat.

– Wystarczy, Jacobo! – skarcił syna Antón, wskazując wzrokiem na ojca Rafaela, który bardzo takich rozmów nie lubił.

Jacobo uniósł ręce do góry i z miną niewiniątka wzruszył ramionami.

– Chłopcze, nie bądź impertynencki! – Dámaso pogroził mu palcem. – Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem, prawda, ojczy?

Zgromadzeni znów się zaśmiali – tym razem z powodu dwuznaczności tej ostatniej, z pozoru niewinnej uwagi. Ojciec Rafael, człowiek przy tuszy, z okrągłą twarzą, mięsistymi wargami, podwójnym podbródkiem i sporą łysiną, lubiany przez wszystkich za swój miły charakter, wyraźnie się zaczerwienił. Dámaso bez zmieszania wyjaśnił:

– Nie miałem na myśli was, ojczy. Jeszcze by tego brakowało! Cytowałem Biblię. Ech, ci młodzi... – Potrząsnął głową. – Mierzają innych swoją miarą...

– Otóż to – powiedział spokojnie ksiądz. – Wciąż wszystkim powtarzam, że im dłużej wytrzymają bez kobiety, tym lepiej dla ich zdrowia i kieszeni. Obawiam się jednak, że na tej ziemi grzechu to jak wołanie na puszczy... – westchnął i zerknął na Kiliana. – Uważaj, z kim się zadajesz, chłopczy... Mam teraz na myśli tych tutaj stręczycieli, rzecz jasna – dodał, puszczając oko, co znowu sprowokowało wybuch zbiorowej wesołości.

– Tak czy owak, pora spać, nie sądzicie? – Dámaso wsparł dłonie o stół i dźwignął się na nogi. – Czeka mnie długa podróż.

– Ja też idę do łóżka – rzekł ze znużeniem Antón.

Kilian i Jacobo wymienili szybkie spojrzenia. Obaj pomyśleli o tym samym. Antón miał bardzo podkrążone oczy. Ostatnio ciągle był zmęczony. Inaczej niż ojciec, którego pamiętali z dzieciństwa. Wtedy nigdy nie chorował ani na nic się nie skarżył. Należał do mężczyzn silnych – fizycznie i duchowo. Potrafił już dwa dni po powrocie do Pasolobino z Afryki ruszać do pracy w polu, jak gdyby nigdy nic. Może powinien wziąć urlop, pomyślał Kilian. Albo w ogóle wrócić do kraju, jak Dámaso.

Stary doktor pożegnał się ze wszystkimi serdecznym uściskiem dłoni i skierował się do drzwi, odprowadzany przez Antona oraz Lorenza, Santiaga i ojca Rafaela, którzy też skorzystali z okazji, by się oddalić. Jacobo wstał z krzesła i również opuścił jadalnię, gestem dając do zrozumienia, że zaraz wraca. Już w progu Dámaso odwrócił się i powiedział:

– A, Manuelu. Mogę ci udzielić ostatniej rady? – Zagadnięty skinął głową. – Chodzi o to swędzenie męczące Kiliana. – Umilkł na chwilę, by zyskać pewność, że młodzi go słuchają. – Spirytus salicylowy. – Kilian zrobił zdziwioną minę, a Manuel poprawił okulary i uśmiechnął się, wdzięczny za delikatność, z jaką jego poprzednik przekazywał mu pałeczkę. – Niech naciera nim całe ciało i po dwóch tygodniach wysypka ustąpi. Dobranoc.

– Dobranoc i szczęśliwej podróży – odrzekł Jacobo, który właśnie wchodził z powrotem do jadalni, niosąc butelkę whisky zakupioną w sklepie Julii. – My tu jeszcze, za pozwoleniem, wypijemy po ostatniej szklaneczce za pańskie zdrowie.

Dámaso życzliwie poklepał go po ramieniu i wyszedł, myśląc ze smutkiem, że od tej pory w podobnych biesiadach uczestniczyć będzie już tylko we wspomnieniach.

Jacobo poprosił Simona o czyste szklanki. Potem, popijając whisky i bez przerwy parskając śmiechem, wytłumaczył młodszemu bratu, że osobą, która najbardziej miała tęsknić za Dámasem, jest Regina, jego stała przyjaciółka przez ostatnie – co najmniej – dziesięć lat.

– Dziesięć lat! Ale czy doktor nie ma w Hiszpanii żony i dzieci? – spytał Kilian. Język mu się plątał.

– No właśnie! – Marcial pociągnął kolejny łyk. Dzięki swojej posturze mógł wypić trzy razy więcej niż pozostali. – W Hiszpanii! To bardzo daleko.

– A miejscowe dziewczyny lubią się z nami zadawać... – dorzucił Mateo i westchnął niby to z rezygnacją. Marcial natychmiast zrobił podobną minę. – Co robić! Znają naszą słabość!

Kilian przypomniał sobie Gregoria leżącego na tamtej kobiecie w dżungli oraz niedawną rozmowę z Jacobem.

– Nie ulega wątpliwości, że nasze przyjaciółki zdecydowanie umilają nam życie tutaj.

– Jacobo wznosił szklanę aż nad głowę. – Wypijmy za nie!

Wypili, po czym zapadło krótkie milczenie.

– A co będzie teraz z tą Reginą? – zainteresował się Kilian.

– Co ma być? – Mateo walczył z guzikami koszuli. Wentylator na suficie w najmniejszym nawet stopniu nie łagodził upału, który teraz, z powodu wypitego alkoholu, jeszcze bardziej dawał się wszystkim we znaki. – Posmuci się przez tydzień, a później znajdzie sobie innego. Wszystkie tak robią.

– No, stary, akurat ona może mieć z tym problem, bo do najmłodszych nie należy – rzucił Marcial, z namysłem drapiąc się po swoim wielkim uchu. – Ale nieźle sobie pożyła przez te lata, z pańska. Don Dámaso to prawdziwy dżentelmen!

Kilian szklanymi oczyma wpatrywał się w ciemnobursztynowy płyn w szklance. Dziwiło go takie pojmowanie dżentelmenerii. Jakby normalne dla dżentelmena było dzielić przez dziesięć lat najintymniejsze momenty z jakąś kobietą, by następnie, jak gdyby nigdy nic, wrócić w ciepłe ramiona żony.

Manuel obserwował go od dłuższej chwili. Potrafił sobie wyobrazić bieg jego myśli. Młody człowiek wychowany w Hiszpanii, gdzie niemal wszystko uchodziło za grzech, gdzie pary nie mogły okazywać sobie publicznie czułości, a cudzołóstwo stanowiło naruszenie prawa, nie bez trudu pojmował niepisane reguły życia w społeczności, w której seks traktowano niemal na równi z jedzeniem. Większość mężczyzn przyswajała sobie te reguły z chęcią, jednakże nie wszyscy byli tacy sami. On, na przykład, w porównaniu ze swoimi przyjaciółmi prowadził życie dość uporządkowane.

– A co się dzieje z dziećmi z takich związków? – spytał znowu Kilian.

– Nie ma ich znowu tak dużo... – mruknął Jacobo.

– Pewnie, czarnule wiedzą, jak się zabezpieczać – dodał Gregorio z całkowitym przekonaniem.

– Przeciwnie, takich dzieci jest bardzo dużo – oświadczył twardo Manuel. – Po prostu wolimy je ignorować. Skąd, waszym zdaniem, wzięły się te wszystkie Mulaciątka biegające po Santa Isabel?

Mateo i Marcial popatrzyli po sobie i, lekko zawstydzeni, spuścili wzrok. Jacobo tymczasem dolał wszystkim whisky.

– Słuchaj, Kilianie, zazwyczaj taki dzieciak zostaje z matką, która otrzymuje na niego jakieś tam pieniądze. W bardzo rzadkich przypadkach, które chyba mógłbym policzyć na palcach jednej ręki, facet uznaje ojcostwo czy nawet wysyła bękarta do szkoły w Hiszpanii. Ale, tak jak mówiłem, podobne rzeczy zdarzają się sporadycznie.

– A słyszałeś o jakimś mieszanym małżeństwie?

– Jak dotąd nie. Jeśli nawet ktoś podejmował takie próby, odsyłano go do kraju.

– Po co ktoś miałby się żenić z czarną? – spytał Gregorio z nutą pogardy.

– Po nic! – Marcial rozparł się wygodniej na krześle. – Skoro i tak dostał, co chciał, bez ciągnięcia się po kościołach.

Jacobo, Mateo i Gregorio uśmiechnęli się ze zrozumieniem. Manuel skrzywił się

niechętnie, Kilian zaś na niefortunną uwagę nie zareagował w ogóle, pogrążony w rozmyślaniach nad tym, co usłyszał.

Gregorio już wcześniej zwrócił uwagę na jego zainteresowanie całą tą kwestią i skorzystał z okazji, by mu dokuczyć.

– Widzę, że cię to wszystko bardzo ciekawi. Już cię wzięła chętka, żeby samemu spróbować?

Kilian nie odpowiedział.

– No co ty, zostaw chłopaka w spokoju – rzucił Mateo, klepiąc Gregoria po ramieniu.

Ten jednak przymrużył oczy i gwałtownie pochylił się do przodu.

– A może myślisz, że z Antona taki świętoszek? Tyle lat tu siedzi, że na pewno miał już całe mnóstwo *miningas*.

– Gregorio... – zaczął Mateo ostrzegawczo, widząc, że Jacobo zmienia się na twarzy.

Czym innym było gawędzić sobie wesoło o kobietach, a czym innym kłamać ze złośliwą intencją. Wszyscy obecni doskonale znali Antona. Poza tym w takich sprawach obowiązywała dyskrecja. Nikt nie zapędzał się ze swoimi żartami poza ściśle wyznaczoną granicę. Tak to na wyspie działało.

– Niewykluczone nawet, że masz tu na Fernando Poo kolorowych braciszków – ciągnął Gregorio z nieprzyjemnym uśmiechem. – Ciekawe, co by na to powiedziała twoja matka...

– Starczy już, Gregorio! – warknął Jacobo. – Uważaj, co mówisz! Słyszysz? Wszystko to kłamstwa i dobrze o tym wiesz!

– No, no, spokojnie! – odparował Gregorio arogancko. – O ile wiem, Antón też jest mężczyzną.

Teraz wtrącił się i Manuel:

– Owszem, w znacznie większym stopniu niż ty.

– Słyszysz, Gregorio? Nie prowokuj... – podsumował Mateo, przyglądając wąsik.

– Chciałem tylko podrażnić młodego! – wycofał się Gregorio, widząc, że jest w mniejszości. – Żartowałem przecież. Chociaż głowy bym nie dał nawet za Antona...

Kilian powoli obracał w dłoniach szklanekę z whisky. Nagle zupełnie wytrzeźwiał i znów myślał całkiem jasno. Niespiesznie podniósł wzrok i wbił w Gregoria twarde, lodowate spojrzenie.

– Następnym razem, jak ze mną zadrzesz – wycedził – pokażę ci, kim naprawdę jestem.

Gregorio parsknął i wstał.

– Poczucia humoru też ci brakuje? Zachwycająca z ciebie jednostka.

– Naprawdę już wystarczy, Gregorio – uciął Manuel.

– Tak, dość na dzisiaj... – Marcial dźwignął się na nogi, by lepiej zademonstrować swoją posturę.

– Ale cię bronią... – Gregorio objął zebranych gestem. – Tyle że któregoś dnia twoich obrońców w pobliżu zabraknie...

Jacobo skoczył w jego stronę i mocno złapał go za ramię.

– Komu ty tu grozisz, co?

Gregorio wyrwał się i odszedł. Marcial i Jacobo usiedli z powrotem i dla uspokojenia

znów się napili.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Kilianie – rzekł w końcu Marcial. – Kiedyś taki nie był. Zbiesił się. Ale, jak to mówią, krowa, która dużo ryczy, mleka nie daje...

– Mam nadzieję – odpowiedział Kilian spokojnie, choć w środku aż się gotował. – Bo nie zamierzam dłużej tolerować jego wyskoków.

W piątek wieczorem Yeremias przekazał Simonowi liścik od boya Julii, która zapraszała obu braci razem z Antonem na kolację.

Kilian powiedział o tym Jacobowi dopiero w sobotę rano. O szóstej zszedł na dziedziniec, gdzie robotnicy, bardziej niż zwykle punktualni, już czekali na cotygodniową zapłatę. Wyczytywani po kolei odbierali pieniądze i odciskali palec na liście wyłożonej na specjalnym stoliku. Cała operacja, podobnie jak odbywające się w poniedziałki wydzielanie racji żywnościowych, trwała zwykle parę godzin. Czas oczekiwania wielu wykorzystywało na czyszczenie zębów za pomocą nieodłącznych *chock sticks*, czyli niewielkich, wykonanych z korzonków szczoteczek, którym większość czarnych zawdzięczała swoje wspaniałe uzębienie.

Kilian podszedł do Jacoba i pokazał mu wiadomość od Julii.

– Bardzo sprytnie, nie ma co – mruknął z niezadowoleniem starszy brat. – Wysłała to do ciebie, aby mieć pewność, że przyjdziemy. Tyle jest dni do wyboru, ale nie... Musiała wybrać akurat sobotę!

– A co za różnica?

– Sobotnie wieczory są święte, Kilian! Dla wszystkich. Popatrz na tych tutaj. Dlaczego są tacy zadowoleni? Bo rano dostają pieniądze, a wieczorem wydają ich część w Santa Isabel.

– To mam odpowiedzieć, że przyjdziemy czy że nie?

– Tak, tak, jasne. A teraz pomóż Gregoriowi, bo inaczej nigdy nie skończycie. Dziś jest słodki jak miód.

Gdy Kilian zbliżył się do stołu, przy którym siedział Gregorio, ten podał mu listę z nazwiskami swoich ludzi, po czym, nie patrząc mu w oczy, wstał i powiedział:

– Masz, zajmij się tym. Ja przygotuję materiały na Obsay. Nelson ci pomoże.

Kilian usiadł i jął wyczytywać kolejnych robotników. Zauważył, że Simón beczynn timerce się w pobliżu. Chłopak miał na sobie to samo ubranie co zwykle: krótkie spodnie i koszulę z krótkim rękawem, i jedno, i drugie w kolorze beżowym. Zamiast butów włożył jednak proste skórzane sandały. Choć podobny do innych chłopców w tym wieku, wyróżniał się – jak stwierdził już wcześniej Kilian – tym, że jego wielkie, ruchliwe oczy zawsze błyszczały ciekawością, chłonąc wszystko dookoła. Kilian zawołał go, żeby pomógł Nelsonowi w tłumaczeniu. Razem z jednym z mężczyzn, gdy przyszła jego kolej, wystąpił z szeregu inny, który natychmiast zaczął coś podniesionym głosem wyjaśniać. Kilian przeklął w duchu swojego pecha: z samego rana nowa kłótnia.

– O co chodzi, Nelson?

– Ten człowiek twierdzi, że Umaru winien mu jest pieniądze.

Imię wydało się Kilianowi znajome. Podniósł wzrok i ujrzał chłopaka, któremu Gregorio przed zajściem z węzem boa nie chciał dać chininy.

– Skąd ten dług? – spytał.

Niezależnie od słów tłumaczonych na bieżąco przez Nelsona, z samych gestów Umaru dało się wywnioskować, że nie zamierza ustąpić. Jego oskarżyciel coraz bardziej się denerwował. Reszta robotników uważnie śledziła rozwój sytuacji.

– Ekon zaproponował mu swoją żonę. Umaru skorzystał, a teraz nie chce zapłacić.

Kilian kilkakrotnie zamrugał i zacisnął usta, żeby się nie roześmiać. Nigdy w życiu nie słyszał nic równie śmiesznego. Popatrzył na stojącego przed nim, podobnego do innych, niezbyt wysokiego mężczyznę z bardzo krótkimi włosami i okrągłą twarzą o wystających kościach policzkowych.

– Chcesz powiedzieć, że Ekon wypożyczył swoją żonę?

– Tak, oczywiście – odrzekł spokojnie Nelson. – Umaru jest kawalerem. Kawalerowie potrzebują kobiet. I żonaci, jeśli żona się zgadza, korzystają z tego dla zarobku. Teraz Ekon chce swoich pieniędzy.

– *Moní, moní*, tak, *massa* – powtarzał bez przerwy Ekon, potwierdzająco kiwając głową.

– *Moní no, massa! Moní, no!* – powtarzał z kolei Umaru, kręcąc głową przecząco.

Kilian sarknął. Nie znosił odgrywać roli sędziego. No i w tym tempie nigdy nie skończy.

– Są świadkowie? – spytał.

Nelson głośno przetłumaczył pytanie. Do przodu wystąpił niemal dwumetrowy olbrzym o ramionach grubości ud zwyczajnego mężczyzny. Nelson przełożył jego słowa:

– Mosi mówi, że widział ich w lesie. Dwa razy.

Kilian uśmiechnął się pod nosem. Najwyraźniej nie on jeden pakował się w niezręczne sytuacje w dżungli. Spytał o wysokość długu, wyjął odpowiednią kwotę z koperty Umaru i włożył ją do koperty Ekona.

– Nie ma co dalej tego wałkować. – Wręczył zapłatę obu mężczyznom, z których jeden był zadowolony, a drugi wyraźnie wściekły. Potem zwrócił się do Simona: – Zgadzasz się z moją decyzją?

Chłopak skinął głową i Kilian odetchnął z ulgą.

– No to *palabra conclú*. Po sprawie.

Dokładnie o siódmej wieczorem dzień dobiegł końca i, jak zawsze zaskakująco, zapadła ciemność. Kilian i Jacobo wsiedli do pick-upa, którym mieli pojechać do miasta. Przy wyjeździe z plantacji Jacobo zawołał do Yeremiasa:

– Dopilnuj, żeby Waldo zrobił, co mu kazałem!

– A co ma zrobić Waldo?

– Nic. Takie tam moje sprawy...

Na obrzeżach Saragossy Kilian dostrzegł grupki robotników, którzy śmiali się i żartowali, z butami w rękach. Zdążyli już zmienić codzienne, brudne ubrania na długie spodnie i czyste białe koszule.

– Po co oni tu przyszli? – spytał brata.

– Czekają na autobus do Santa Isabel.

– A dlaczego trzymają buty w rękach? Żeby ich nie ubrudzić?

– Raczej żeby nie zniszczyć. Starają się oszczędzać, jak mogą. – Jacobo parsknął. – Ale dziś w nocy nie będą za bardzo oszczędzać na kobietach ani alkoholu. A tak swoją

drogą: widzę, że mniej się drapiesz.

– Manuel przygotował mi roztwór wedle zaleceń Dámasa i wygląda na to, że zadziałało.

– Och! – zakrzyknął ironicznie Jacobo. – Nie ma jak doświadczenie!

Kilian przytaknął.

– Słuchaj, Jacobo. Nie wydaje ci się, że tata powinien wrócić do domu? Z każdym dniem wygląda na bardziej zmęczonego. Nie chciał nawet wybrać się dziś z nami na kolację.

– Masz rację, ale to uparciuch. Parę razy poruszałem z nim ten temat. Zawsze odpowiada, że wie, co robi. I że zmęczenie jest normalne w jego wieku. Odmawia też wizyty u Manuela... Sam nie wiem...

Zaparkowali przed sklepem Ribagorzów. Weszli bocznymi schodkami na piętro i zadzwonili do drzwi. Julia natychmiast otworzyła, zupełnie jakby czekała przy oknie, i zaprosiła ich do dużego, przytulnego pokoju z tarasem, służącego jednocześnie za jadalnię i salon. Na środku stał tu wielki stół z drewnianymi krzesłami, a naprzeciwko znajdowała się ratanowa sofa o drewnianych poręczach. Kilian powiódł spojrzeniem po ścianach, ozdobionych – jeśli nie liczyć pojedynczej fotografii z Pasolobino, która wywołała na jego usta nostalgiczny uśmiech – obrazami na tematy afrykańskie, niemal dwumetrową lancą o czerwonym drzewcu oraz skorupą żółwia szylkretowego. Po prawej, na niskiej komodzie, widać było wielki słoniowy kieł i rozstawione dookoła liczne hebanowe figurki. Najbardziej zachodnim elementem pomieszczenia okazał się radiomagnetofon Grundig, ustawiony na stoliku przy sofie, koło kilku numerów pism „HOLA” oraz „Reader’s Digest”.

Julia przedstawiła Kiliana rodzicom, Generosie i Emiliowi, po czym zaproponowała gościom po szklaneczce *contrití* – typowego dla wyspy naparu – na czas oczekiwania, aż kucharka i dwaj służący skończą przygotowywać i podadzą kolację. W ułożonym przez Generosę menu znalazły się tosty z irańskim kawiolem oraz *fritambo*, przysmak z antylopy, który miał bardzo przypaść do gustu Kilianowi.

– Wahałam się, czy otworzyć puszkę z sosem adobo, przysłanym mi przez mamę z Pasolobino – wyjaśniła matka Julii, kobieta raczej obfitych kształtów, z wciąż jeszcze gładką twarzą i półdługą, sztucznie ondulowaną fryzurą, ubrana w brązową spódnicę i wełniany sweterek koloru ochry – ale ostatecznie zdecydowałam się na popisowe danie naszej kucharki. Mam nadzieję, że jeszcze przyjdziecie. Wtedy podam wam coś z repertuaru mamy.

Kilianowi bardzo się gospodarze spodobali. Długo z nimi gawędził, bo dużo pytali go o Hiszpanię, w związku z czym powtórzył im to, co już opowiedział Julii przy pierwszym spotkaniu. Generosa przypominała mu matkę, choć była znacznie od Mariany rozmowniejsza. Zachowała energiczne, śmiałe usposobienie typowe dla góralek, poza tym tryskała zdrowiem, co było warunkiem niezbędnym, by przetrwać tyle lat na Fernando Poo. Emilio, mężczyzna średniego wzrostu, miał rzadkie, rozwichrzone włosy, krótki wąsik i bystre, takie jak u Julii oczy. Kilianowi wydał się spokojny i dobroduszny, dobrze wychowany i wesoły. Spytał go o ojca, którego nie widział już od dłuższego czasu, i wyraził żal z powodu pogarszającego się stanu jego zdrowia.

– Wiesz co? – rzucił. – To naprawdę szczęście, że mieliśmy siebie nawzajem, gdy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy. Wszystko było zupełnie inne! Teraz wszędzie asfalt, kanalizacja... Bieżąca woda i światło elektryczne w domach i na ulicach... Telefon... Zupełnie jak w Pasolobino, chłopcze!

Kilian wychwycił zawartą w tych słowach ironię. Z pewnością nie istniały dwa światy bardziej od siebie odmienne niż jego rodzinne miasteczko i Santa Isabel. Najprawdopodobniej ci Europejczycy, którzy przybywali tu z dużych miast, nie zauważali aż takiej różnicy, ale on, nawykły do krów i błota – owszem, zauważał. Zaczynał rozumieć, czemu Emilio i Generosa tak łatwo przyzwyczaili się do wygod życia w podobnym miejscu. Mogli sobie nawet pozwolić na ten luksus, by posłać Julię do miejscowych szkół i zapewnić jej dobrą edukację... Może któregoś dnia i on – tak samo jak oni – miał pokochać ten skrawek Afryki, na razie jednak wciąż tęsknił za takimi drobiazgami jak nagłe odkrycie w kącie czyjejs jadalni skromnego ołtarzyka z figurką Matki Boskiej z Guayente – patronki doliny Pasolobino – i obrazkiem przedstawiającym Najświętszą Pannę na Kolumnie; albo za obchodzonymi w rodzinnych stronach świętami, których wspomnienie odżywało pod wpływem smaku kiepskiego wina, sprowadzanego przez Generosę razem z typowymi dla Pasolobino maślanymi ciasteczkami...

Z zadumy wyrwał go śmiech Julii. Dziewczyna przez całą kolację starała się przyciągnąć uwagę Jacoba swoimi żartami i inteligentną konwersacją. Ubrała się bardzo ładnie, w prostą, uszytą z materiału vichy żółto-brązową sukienkę z krótkimi rękawami, obcisłym stanikiem i dużym trójkątnym dekoltem z przodu i z tyłu, włosy zaś zebrała w dyskretny kok, który korzystnie podkreślał jej rysy. Kilian żałował w duchu, że jego brat się nią nie interesuje, bo wyglądali razem bardzo ładnie, zwłaszcza że tego wieczoru Jacobo też zadbał o swój wygląd i w lnianych spodniach oraz białej koszuli prezentował się nienagannie. Oboje byli młodzi, atrakcyjni i weseli. Doskonała para – pomyślał Kilian – która wszakże nie może być parą, jeżeli jedna ze stron nie czuje się zakochana. Żałował, bo zaczynał myśleć o Julii jak o przyjaciółce. Widział, jak błyszczały jej oczy, gdy Jacobo na jakąś jej uwagę reagował uśmiechem albo nawet wybuchem śmiechu.

Jeden z boyów poinformował, że kawa zostanie podana na zadaszonym tarasie wychodzącym na ogród i oświetlonym lampami naftowymi, wokół których unosiły się chmary komarów. Noc była tak jasna, że wystarczyłoby samo światło księżyca, oblewające wielki mangowiec oraz gigantyczne awokado – Kilian ocenił, że musiały mieć jakieś osiem albo nawet dziesięć metrów wysokości – które królowały pośród innych rosnących tu egzotycznych drzew. Julia zaproponowała, żeby zagraли w karty, ale jej rodzice woleli kontynuować rozmowę.

Emilio obawiał się, że tendencje niepodległościowe dające się zaobserwować choćby w Kenii czy belgijskim Kongu dotrą też do Gwinei, zagrażając interesom białych. Generosa ucięła ten wątek delikatnie, lecz stanowczo, gdy zrozumiała, że Kilian rozmowę na ten temat może ciągnąć godzinami. Chłopak przyjął taki obrót sprawy z pewnym niezadowoleniem, ponieważ chętnie przedyskutowałby z gospodarzami to, co czytał na statku o ruchu Mau Mau – nie potrafił sobie wyobrazić, by ten doskonale

zorganizowany kolonialny świat, który właśnie poznawał, miał się zachwiać w posiadach. Nie chcąc wszakże być nieuprzejmy, dostosował się do życzenia pani domu.

Jacobo co jakiś czas niespokojnie zerkał na zegarek. W soboty czuł się tak samo jak pierwszy lepszy robotnik z plantacji: chciał pieniędzy i zabawy. Potrafił sobie wyobrazić, gdzie są i co robią w tym momencie Marcial i Mateo, i aż się skręcał z niecierpliwości.

Na szczęście dla niego w pewnej chwili drugi ze służących oznajmił, że z Sampaki przybył niejaki Waldo, który twierdzi, że *massa* Kilian i *massa* Jacobo są pilnie potrzebni na plantacji.

– Paru ludzi z Calabaru urządziło sobie imprezę w barakach – wyjaśnił wezwany na taras Waldo, który, zdaniem Kiliana, wyrzucał z siebie słowa z przesadną nieco zadyszka – no i doszło do strasznej bijatyki, z maczetami i w ogóle...

– Istne dzikusy! – rzuciła Generosa, z niepokojem kreśląc w powietrzu znak krzyża. – Pewnie należą do tej sekty, co to jej członkowie się nawzajem zjadają. Nie słyszeliście? Na targu mówili, że w Río Muni zjedli biskupa...

– Ale co ty opowiadasz, mamó! – zaprotestowała Julia.

Jacobo ponaglił Walda, nie chcąc, by wśród ogólnej dyskusji rozplynęło się meritum sprawy.

– Są ranni – podjął więc chłopak – i żaden biały nie potrafi opanować sytuacji, nawet nasz nowy doktor...

Jacobo uściskał dłoń Emilia, ucałował policzki Generosy i Julii, po czym niemal siłą wywlókł na ulicę brata, który raz po raz dziękował za wspaniałą wieczór i z góry cieszył się na kolejne. Julia odprowadziła ich do samochodu, odczekała, aż zapakują do tyłu rower Walda, i pożegnała się, wyraźnie rozczarowana.

Jacobo przejechał pospiesznie parę przecznic, by zaraz potem zatrzymać auto, wysiąść, zestawić z paki rower Walda i wręczyć temu ostatniemu parę banknotów.

– Dobra robota, mały!

Waldo zapalił latarkę i odjechał, rad z niespodziewanego i łatwego zarobku.

Jacobo wrócił do samochodu i popatrzył na brata z szerokim uśmiechem.

– Oszust z ciebie – mruknął ubawiony Kilian.

– Witaj w Santa Isabel nocą! Już jedziemy, Anito Guau!

Z tymi słowami Jacobo wcisnął gaz i ruszył z kopyta do upragnionego celu, po drodze zarażając Kiliana swoją wesołością.

– Kogóż ja widzę! – wykrzyknęła obfita dama o wielkim biuście, ściskając im dłonie.

– Kopę lat, *massa* Jacobo! A to z pewnością pański brat! Witamy, witamy. Proszę do środka!

– Widzę, że nic się tutaj nie zmieniło, co, Anito? – odrzekł na to powitanie Jacobo, przesuając wzrokiem po pomieszczeniu. Dostrzegł kolegów i pozdrowił ich gestem. – Patrz, Kilianie. Jest nawet Manuel. Nie widzę natomiast ani Dicka, ani starego Pao.

– Kogo?

– To znajomi z Baty, pracują w tartakach. W niektóre soboty wpadają tu do nas... Nic to, na początek wezmę sobie swoją ulubioną whisky. Zapamiętaj: biały koń, czarna etykieta. Choć trudno w to uwierzyć, jest tańsza od piwa. Zalety portów

wolnościowych...

Zbliżyli się do baru i Kilian stwierdził, że, faktycznie, większość klientów zamawia mocne trunki. Kelnerki szczerze polewały whisky o obcych Kilianowi, szkockich lub irlandzkich nazwach albo brandy marek dobrze mu z kolei znanych, takich jak Osborne, Fundador, 501, Veterano lub Tres Cepas. Mieszkańcom Pasolobino – pomyślał w zdumieniu – każda taka butelka starczała na rok; klientom Anity – na krótką chwilę.

Jacobo zamówił dwie szklaneczki whisky White Horse. Czekając, Kilian obserwował parkiet znajdujący się pod gołym niebem. Cały klub był w istocie wielkim zamkniętym dziedzińcem podzielonym na dwie części: po prawej stronie, pod zadaszeniem mającym chronić przed ewentualnymi deszczami, mieścił się bar i stały stoliki; po lewej, gdzie wytyczono przestrzeń do tańca, zadaszenia nie było, toteż, podnosząc wzrok, widziało się sąsiednie budynki. Wielu malców przyglądało się z pobliskich balkonów, co też dorośli porabiają tam na dole. Biali i czarni mężczyźni w towarzystwie czarnych, ubranych po europejsku kobiet podrygiwali w takt żwawych melodii wygrywanych przez niewielki zespół złożony z sześciu muzyków, którzy wydobywali dźwięki z różnej wielkości bębnów, ksylofonu, podobnych do dyń marakasów oraz trąbki, co dawało w efekcie ciekawą mieszankę rytmów afrykańskich i, bardziej Kilianowi bliskich, latynoskich. Sam się zdziwił, że kołysze ramionami: ta muzyka była nie tyle nawet chwytliwa, ile zwyczajnie zaraźliwa.

Jacobo podał mu szklaneczkę i ruszyli we dwóch ku stolikom w głębi, gdzie Manuel z Marcialem siedzieli obok dwóch pięknych kobiet. Ze śmiechem wskazali na parkiet, gdzie Mateo usiłował dotrzymać kroku swojej partnerce, kobiecie znacznie od niego potężniejszej. Marcial wstał i dostawił dla nowo przybyłych krzesła. W tym kącie, przeznaczonym dla amatorów picia i konwersacji, okna pozasłaniające były ciemnymi tkaninami, wskutek czego panowała tu zawsze atmosfera intymności, potęgowana przez unoszący się w powietrzu papierosowy dym zmieszany z wonią perfum i potu.

– Przedstawiam wam Obę i Sade – rzekł Marcial – które właśnie przybyły do nas z kontynentu. To są Jacobo i Kilian.

Dziewczyny podały im ręce. Oba, drobniejsza od koleżanki, miała na sobie żółtą sukienkę z dużym dekoltem, o rozkloszowanej spódnicy i obcisłej górze, z wielką kokardą na piersi; półdługie włosy nosiła uczesane po europejsku. Sade, obwieszona bransoletkami z barwnych koralików i naszyjnikami ze szklanych paciorków, ze względu na swoją posturę i wyniosłą pozę skojarzyła się Kilianowi z piękną królową. Bładoróżowa, w górnej partii zapinana na guziki, dopasowana do sandałów sukienka z białymi mankietami i kołnierzykiem podkreślała figurę dziewczyny. Jej włosy zebrane były w mnóstwo malutkich koczów, porozdzielanych liniami, które układały się w ciekawe, przywodzące na myśl mozaikę kształty; dzięki temu ogromne oczy Sade wydawały się jeszcze większe, a jej wargi – jeszcze bardziej mięsiste.

– Macie ochotę zatańczyć? – spytała Oba doskonałą hiszpańszczyzną.

Marcial i Jacobo potwierdzili i wszyscy czworo ruszyli na parkiet. Manuel skierował się w stronę baru i po drodze minął się z Mateem, który samotnie wracał do stolika. Kilian uśmiechnął się, widząc, jak zgrabnie jego brat dostosowuje się do sugestywnych ruchów swojej partnerki i jak Marcial zgina się niemal wpół, schylając się ku dużo

niższej Obie.

– Poniosłem sromotną klęskę! – Zlany potem Mateo usiadł obok. – Te kobiety mają w sobie diabła! A ty... nie tańczysz? Wystarczy, że którąś poprosisz.

– Prawdę mówiąc, nie przepadam za tańcem – wyznał Kilian.

– Ja też nie przepadałem, ale jeśli poddasz się rytmowi tych wszystkich dundunów, dzembe i bongo, rzecz staje się łatwiejsza, niż przypuszczałeś. – Zaśmiał się na widok zdumionej miny Kiliana. – Tak, udało mi się nawet zapamiętać nazwy tutejszych bębnów. Na początku wszystkie brałem za tam-tamy... – Sięgnął po whisky, nie przestając rozglądać się po sali za kolejną tancerką. – Dziś dużo się tu dzieje. Jest mnóstwo nowych dziewczyn.

Manuel wrócił tymczasem z drinkami i natychmiast wtrącił się do rozmowy.

– Nigdy nie uwierzycie! Przy barze spotkałem Gregoria z Reginą. Długo po Dámasie nie płakała! O czym mówicie?

– O bębnach... O kobietach... – odrzekł Kilian. – Skąd one wszystkie są?

– To Nigeryjki, dziewczyny Fang i Ndowe z Río Muni albo z Corisco... – wyliczał Mateo. – Taka mieszanka.

– A tutejsze Bubi?

– Bubi nie! – pokręcił głową Manuel. – Za utratę dziewictwa grozi im kara.

– Sporo tu kontrastów, jak na tak mikroskopijną wysepkę – zauważył Kilian, wspominając przypadek robotnika, który pożyczył innemu własną żonę. – Tak czy owak to jest ten słynny lokal, dla którego cudów warto znosić cały tydzień ciężkiej pracy...

– Są też inne, ale gorsze – rzucił Mateo, potrząsając szklaneczką w rytm muzyki. Nawet na siedząco nie potrafił przestać tańczyć. – Czasem zaglądamy do Riakamby, za katedrą. No i mamy Klub Wyspiarski, tyle że ja go nie lubię, bo dziewczyny tam jakieś sztywne, nie tak jak tutaj. – Parsknął śmiechem, a jego małe oczy zmniejszyły się jeszcze bardziej, niemal ginąc w gęstej sieci zmarszczek. – Zachowują się, jakby były białe, strasznie się puszą.

– To coś w rodzaju kasyna dla czarnych – uściślił Manuel, rozbawiony wyjaśnieniami Matea. – Dla czarnej elity. Tam nie jest zbyt dobrze widziane, żeby biały mężczyzna tańczył z czarną kobietą. Tutaj to co innego. Tutaj przez kilka godzin jesteśmy równi.

Marcial i Sade wrócili do stolika bez swoich partnerów.

– Co z nimi? – spytał Manuel.

– Oba zostawiła mnie dla kogoś bardziej odpowiedniego dla siebie wzrostem – zażartował Marcial, sadowiąc się na krześle, które aż zatrzeszczało pod jego ciężarem. – A Jacobo spotkał starą znajomą. Kazał ci, Kilianie, przekazać, żebyś na niego nie czekał i zabrał się z nami. – Potrząsnął głową. – Chłopak nie traci czasu!

Sade usiadła tuż obok Kiliana. Z niewinną bezczelnością poprosiła o łyk jego whisky i podziękowała, delikatnie kładąc dłoń na udzie chłopaka. Pozostali mężczyźni wymienili rozbawione spojrzenia. Kilian się spiał. Poczul w spodniach nagły ucisk i pospieszył odwrócić od siebie uwagę, mówiąc:

– Dziś słyszałem, że na kontynencie tubylcy zjedli biskupa. Podobno jakaś zakazana sekta... Wiecie coś o tym?

Mateo i Marcial potrząsnęli ze zdziwieniem głowami. Sade i Manuel jednocześnie

wybuchnęli śmiechem.

– Ależ wy się boicie, żebyśmy was nie zjedli! – rzuciła dziewczyna dziwnym głosem. – I nie wyssali z was przypadkiem sił witalnych...

Kilian zmarszczył brwi.

– Niektóre plemiona w kontynentalnej części kraju polują na goryle – wytłumaczył Manuel. – „Biskupami”, ze względu na podobieństwo z jakimś misjonarzem sprzed lat, nazywają pewien rodzaj tych zwierząt, mający coś w rodzaju bródki. Więc łatwo o nieporozumienie. Zjadają też zresztą „dyplomatów”...

Sade skinęła głową, patrząc spod oka na Kiliana, który zażenowany swoją wpadką pospiesznie dopił drinka. Wtedy odezwał się Marcial:

– Chłopcy, chłopcy! Patrzcie, co za cudo się pojawiło! – Wszyscy utkwili spojrzenia w kobiecie, która szła powoli, prezentując swoje wspaniałe, obciągnięte liliową sukienką ciało i kołysała się na niezwykle wysokich obcasach. – Wreszcie ktoś dla mnie!

Natychmiast ruszył w kierunku nieznajomej, jednakże zatrzymał się już po kilku krokach. Do kobiety podszedł mężczyzna jeszcze potężniejszy niż on i zaraz poprowadził ją na parkiet. Marcial zawrócił.

– Mosi Egipcjanin to trochę zbyt wiele, co, Marcial? – uzalił się nad nim Mateo.

– Pewnie, że tak. Nic się nie da zrobić... W takim razie się napiję.

Sade wstała i wzięła Kiliana za rękę.

– Zatańczymy – oświadczyła stanowczo.

Kilian pozwolił się więc zaciągnąć na parkiet. Na szczęście muzycy grali akurat beguine, taniec przypominający powolną rumbę, co trochę ułatwiało mu zachowanie twarzy w tej sytuacji. Sade przykleiła się do niego, patrząc mu głęboko w oczy i szepcząc miłe słowa, od których kręciło się w głowie. Zaskakująca była bezpośredniość, z jaką się oferowała. Kilian czuł mieszaninę ciekawości i pragnienia, bardzo różną od wcześniejszych tego typu doznań. Jego doświadczenia ograniczały się do wizyty w burdelu, dokąd Jacobo, korzystając z odbywających się w Barmonie targów bydła, zaprowadził go kiedyś, stwierdziwszy, że pora, by młodszy brat został mężczyzną, oraz do przelotnych kontaktów z dziewczynami służącymi w bogatych domach w Pasolobino i Cerbeanie. Przypomniawszy sobie słowa, które Jacobo wygłosił po tamtym pierwszym – i wyjątkowo nieudanym – razie: „Z kobietami jest jak z whisky: pierwszy łyk przychodzi z trudem, ale potem się przyzwyczajasz i stopniowo rozsmakowujesz”. Z biegiem czasu Kilian doszedł do wniosku, że brat miał słuszość, jednakże, w odróżnieniu od niego, nie szukał fizycznej rozkoszy zbyt często. Potrzebował czegoś w rodzaju porozumienia, choćby i przelotnego, z kobietą, z którą dzielił tak intymne momenty.

Sade doskonale wiedziała, jak go przekonać. Wyglądało na to, że naprawdę chce sprawić jemu i sobie przyjemność. Kilian coraz bardziej się podniecał i ona to wyczuła.

– Jeśli sobie życzysz, możemy stąd wyjść – szepnęła pieszczotliwie.

Kilian skinął głową i we dwoje opuścili klub tylnymi drzwiami. Objęci szli spokojną, cichą uliczką wśród niskich domów, aż w końcu dotarli do jej krańca, tam gdzie zaczynała się zieleń. Sade przemykała między gęstymi drzewami, których cienie, wyraźne w tak księżycową noc, skrywały innych kochanków. Przystanąła dopiero w miejscu na tyle ustronnym, by mogli czuć się swobodnie.

Wtedy znów przywarła do Kiliana, a on nie protestował. Przesuwała po jego ciele wprawnymi dłońmi i jednocześnie prowadziła jego ręce, nie przestając szeptać podniecających słów w swoim języku. Potem położyła się na ziemi i pociągnęła Kiliana za sobą. On nie myślał już o niczym. Wszedł w nią, oszołomiony przez własne pragnienie, zupełnie jakby nie wierzył, że jego ciało może odpowiadać z podobną gwałtownością. Skończył bez słowa. Później leżał, pogrążony w stanie całkowitej błogości, dopóki Sade nie poklepała go po ramieniu, sygnalizując, że trzeba iść.

Niezgrabnymi ruchami uporządkowali garderobę. Kilian wciąż czuł się otępiały. Ciągłe nie doszedł do siebie po niedawnym trzęsieniu ziemi. Sade uśmiechnęła się ze zrozumieniem, wzięła go za rękę i poprowadziła go z powrotem do baru. Tam się z nim pożegnała.

– Chciałabym cię jeszcze zobaczyć – oświadczyła, kokieteryjnie puszczając do niego oko.

Kilian niezobowiązująco skinął głową, oparł się o ladę i zamówił drinka. Powoli się uspokajał. Potrzebował chwili, by móc wrócić do kolegów i zachowywać się tak, jak gdyby nic nie zaszło. Może oni potrafili na takie tematy rozmawiać, ale on nie zamierzał. Nie chciał stać się przedmiotem żartów ani udzielać żadnych wyjaśnień. Wracały do niego strzępy rozmów i wspomnienia sytuacji, które miały miejsce w ostatnich dniach i tak czy inaczej wiązały się z kobietami. O ile rozumiał, Marcial, Mateo, Jacobo, Gregorio, Dámaso, a nawet Manuel – choć nie, Manuel jednak nie do końca – pojmowali korzystanie z uroków wyspy w sposób, którego on sam właśnie doświadczył. I proszę – w ciągu kilku minut został jednym z nich. Jak szybko! Jak łatwo! Kręciło mu się w głowie. Czy jeszcze spotka się z Sade? Czy zrobi z niej swoją stałą „przyjaciółkę”? Przecież zamienili zaledwie parę słów! Nie wiedział, jaka ona jest, czego oczekuje od życia, czy ma rodzeństwo, rodziców... Wszystko potoczyło się tak błyskawicznie... Czego ona od niego chciała? Powiedziała, że chce go znowu zobaczyć... Czy w końcu zacznie jej co miesiąc płacić za wyłączne prawo do jej wdzięków? Czy tak to wszystko działało? Czuł lekkie wyrzuty sumienia. Najlepiej będzie nie pojawiać się przez jakiś czas w przybytku Anity Guau. Tak. A czas pokaże, jak się to wszystko rozwinie.

Kilkakrotnie przygładził włosy, pociągnął kilka łyków i ze szklaneczką w ręku nonszalanckim krokiem skierował się ku stolikowi w głębi.

– Gdzie Sade? – spytał zaintrygowany Mateo.

Kilian wzruszył ramionami i zerknął w stronę parkietu.

– Ja też zostałem na lodzie.

– Biedaczek – rzucił Marcial, cmokając, i machnął wielką dłonią. – Innym razem ci się poszczęści.

Manuel, przyjrząwszy się Kilianowi, uznał, że ten nie mówi prawdy. Pomyślał, że może są do siebie bardziej podobni, niż się spodziewał. Sam przecież pragnął wreszcie spotkać kobietę swojego życia, co nie było łatwe w tym rajku pokus.

– Chyba wrócę już do Sampaki – oświadczył, wstając. – Jeśli chcesz, Kilian, możesz jechać ze mną.

Kilian skinął głową. Reszta postanowiła jeszcze trochę zostać.

Droga na plantację upłynęła w ciszy. Znalazłszy się w łóżku, Kilian długo nie mógł zasnąć. Jęki dochodzące z pokoju brata nakładały mu się na obraz Sade. Spędził z nią miłe chwile, owszem. Bardzo miłe. I już. Koniec tematu. Nie było powodu się nad tym dłużej zastanawiać.

Następnego ranka Jacobo zjawił się na śniadaniu, ziewając. Widząc Kiliana siedzącego samotnie nad kawą, rzucił:

– Dzień dobry, braciszku. I co? Żadnego porównania z dziewczynami z Pasolobino czy Barmonu, prawda?

– Prawda – przyznał Kilian, nie wdając się w szczegóły. – Żadnego.

Jacobo schylił się ku niemu i szepnął:

– Zeszłej nocy ja stawiałem. Taki prezencik powitalny. Nie musisz dziękować. A jeśli chcesz powtórki, to już twoja sprawa. – Nalał sobie kawy, znów głośno ziewnął i dodał:
– Idziesz ze mną na mszę o jedenastej? Co za szczęście, że tu się nie używa łaciny...

V. PALABRA CONCLÚ

Po sprawie

Kilka dni później Lorenzo Garuz wysłał Kiliana i Gregoria po ciężki sprzęt do sklepu rodziców Julii. Zarządca wiedział od Antona, że stosunki między nowymi współpracownikami nie układają się najlepiej, i uznał, że wspólna wyprawa do miasta dobrze im zrobi. Znał Gregoria od lat i nie uważał go za niebezpiecznego – facet był może trochę porywczy, ale potrafił słuchać poleceń. Poza tym odgrywał na plantacji ważną rolę: doskonale odsiewał tych, którzy nie nadawali się do życia na wyspie. Przebywanie z nim sprawiało, że młodzi ludzie albo szybko opuszczali kolonię, albo stawali się doskonałymi pracownikami, co – jak liczył Garuz – miało też dotyczyć drugiego z synów Antona.

Kilian nie odezwał się przez całą drogę ani słowem, nie tylko dlatego, że nie miał swojemu towarzyszowi nic do powiedzenia, ale również z tej prostej przyczyny, że Gregorio kazał mu sięść za kierownicą. Chłopak skupił zatem całą uwagę na w miarę możliwości bezbłędnym prowadzeniu wielkiej ciężarówki o zaokrąglonej masce i drewnianej pace. Nie zamierzał narażać się na krytykę. Potężny studebaker, rocznik 49, pokonał więc pylistą drogę, a następnie asfaltową szosę tak płynnie, jak się tylko w takich warunkach dało.

W sklepie powitała ich rozpromieniona Julia. Kilian nie mógł tego wiedzieć, ale od pewnego czasu czuła się szczęśliwa. Kolacja u rodziców udała się lepiej, niż należało się spodziewać. Niełatwo było skupić na sobie uwagę Jacoba przez choćby pięć minut, jako że w sklepie zawsze się spieszył, a czasem w ogóle przez kilka tygodni nie opuszczał plantacji. Julia kręciła się po najbardziej uczęszczanych ulicach Santa Isabel, w niedziele chodziła na sumę do katedry i wpadała na aperitif do Chiringuito przy placu España, zawsze z nadzieją, że go gdzieś spotka, co jednak nigdy się nie zdarzyło. Dlatego te ponad dwie godziny, które z nim spędziła, podczas gdy jego brat zabawiał jej rodziców, miały dla niej posmak zwycięstwa. Teraz, na widok Kiliana, który stanął w progu w towarzystwie innego mężczyzny, serce zabiło jej mocniej. Przez chwilę łudziła się, że to Jacobo. Ale nie, na takie szczęście nie było co liczyć. Rozpoznała Gregoria i uprzejmie pozdrowiła obu gości.

Kilian ucieszył się, że ją widzi, choć w głębi duszy trochę się wstydził sposobu, w jaki pożegnali ją i jej rodziców w sobotę.

– Zamówienie czeka na tyłach sklepu – powiedziała. – Wygodniej będzie podstawić ciężarówkę tam. Ojciec jeszcze sprawdza, czy niczego nie brakuje.

– No to do dzieła, Kilian – rzucił Gregorio. – Dziś ty jesteś kierowcą.

Julia dostrzegła, jak bardzo poirytowany był Kilian, wychodząc na zewnątrz; doszła do wniosku, że to przez autorytarny ton Gregoria. Tego ostatniego ledwie знаła, ich kontakty były zawsze czysto handlowe: Gregorio przynosił jej na wzór śrubki, a ona pracowicie wyszukiwała podobne w odpowiednich pudełkach.

– I jak się skończyło to zamieszanie na plantacji w sobotę wieczorem? – spytała,

żeby cokolwiek powiedzieć.

Gregorio zrobił zdziwioną minę.

– Zamieszanie?

– No tak. Słyszałam, że w Sampace doszło do strasznej bójk, że byli ranni...

– Kto ci tak mówił?

– *Boy*, który przyjechał po Jacoba i Kiliana, żeby zaprowadzili porządek.

Gregorio uniósł brew. Nie bardzo wiedział, jaki stopień zażyłości istnieje między dziewczyną a obu braćmi, lecz oto nadarzała się doskonała okazja, by to sprawdzić.

– W sobotę wieczorem nic się na plantacji nie działo.

Zauważył, że Julia mruga z niedowierzaniem.

– Ale...

– Co więcej, tego właśnie dnia na własne oczy widziałem Jacoba i Kiliana u Anity Guau. Mniej więcej o jedenastej... – Zaczekał na efekt swoich słów, a gdy dostrzegł, że dziewczyna się rumieni, podjął: – Byli tam wtedy wszyscy chłopcy z Sampaki. W doskonałym towarzystwie, rzecz jasna.

Julia zacisnęła zęby, a ze złości zaczął jej dygotać podbródek. Nagle wszystko zrozumiała i wcześniejsze nadzieje rozwiały się bez śladu. Jacobo ją oszukał. Ją i jej rodziców...

Tysiące razy analizowała ich sobotnią rozmowę i była przekonana, że doskonale do siebie pasują. Łączyły ich zarówno wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w Pasolobino, jak i doświadczenia afrykańskie. Niemożliwe, by on nie widział, jak wiele mają wspólnego! I przecież gawędził głównie z nią! Nie szukał pretekstów, by uciekać w konwersację z innymi! Doskonale się bawił! A w pewnym momencie tak na nią spojrział... Ba, przez dłuższą chwilę nie odrywał od niej swoich cudownych, zielonych oczu... I przynajmniej trzy razy musnęli się dłońmi!

Rozczarowanie było okropne.

Gregorio sprytnie przystąpił do ataku. Łagodnie, jak mądry ojciec opisujący wybryki swoich synów, w parę minut obsmarował przed Julią obu braci, udając przy tym, że bardziej interesują go przedmioty wystawione na ladzie.

– Kiliana od tej strony nie znam, ale Jacobo to wytrawny kobieciarz... Przypuszczam, że szybko brata przyuczy. – Cmoknął. – Ach, ta młodzież. Zbyt wiele alkoholu, zbyt wiele kobiet i w końcu to się mści. Tak czy owak – podniósł wzrok i uśmiechnął się, oceniając skutek swoich słów: Julia była na granicy płaczu – to specyfika tego miejsca. Nie oni pierwsi, nie oni ostatni...

Julia, korzystając z tego, że w drzwiach stanął Kilian, a zaraz za nim pojawił się Emilio, odwróciła się i zagryzła wargi, powstrzymując łzy.

– Gregorio! – zawołał Emilio, wyciągając rękę. – Kopę lat! Jak tam sprawy? Już w ogóle przestałeś wychodzić z dżungli?

– Prawie, Emilio, prawie. – Gregorio ochoczo uściśnął podaną mu dłoń. – Zawsze jest coś do zrobienia... Wiesz, że ruszam się z plantacji tylko w soboty...

Julia obróciła się gwałtownie. Nie chciała, by ojciec usłyszał o kłamstwie Jacoba i Kiliana, a Gregorio zdawał się rozkoszować całą sytuacją.

– Tato – odezwała się z pozoru spokojnie – nie mogę znaleźć nakrętek tej wielkości. –

Podawała mu jedną. – Możesz sprawdzić w magazynie?

– Jasne.

Kilian zauważył zmianę, która zaszła w dziewczynie. Nawet na niego nie spojrzała, a ręce jej drżały. Zerknął na Gregoria, zastanawiając się, o co chodzi.

– Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci przykrości. – Gregorio zmarszczył brwi, niby to zafrasowany.

– Mnie? – przerwała mu wyniośle Julia. – Dlaczego? Sądzisz, że my, białe kobiety, nie wiemy, na czym trawicie tu czas? – Posłała Kilianowi twarde spojrzenie. – Nie jesteście idiotkami!

– Ej! Co tu się dzieje? – spytał Kilian, pewien już, że Gregorio faktycznie sprawił dziewczynie przykrość. – Julia?

– Zdaje się, że palnąłem głupstwo – wyznał Gregorio, zagryzając wargi w teatralnym zmieszaniu. – Powiedziałem jej, gdzie byliśmy w sobotę wieczorem... Wszyscy. Nawet nie wiesz, jak mi przykro.

Kilian zacisnął pięści i gdyby w tym momencie nie wrócił Emilio, pewnie doszłoby do rękoczynów. Popatrzył na Julię i widząc jej zbolące spojrzenie, poczuł się jak nędzny robak. Julia odwróciła wzrok i odeszła do magazynu.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali z jej ojcem, po czym się pożegnali. Gdy wyszli – Gregorio oczywiście z triumfalnym uśmiechem na ustach – Emilio odszukał córkę.

– Dobrze się czujesz, dziecko? Coś źle wyglądasz.

– Wszystko w porządku, tato.

Julia zamarkowała uśmiech, mimo że w środku aż się gotowała z wściekłości. Nie wiedziała jeszcze, jak to zrobić, ale zdecydowała, że Jacobo dowie się, iż został zdemaskowany. Przyszła pora zmienić wobec niego strategię. Odetchnęła głęboko i postanowiła na razie uzbroić się w cierpliwość.

Na zewnątrz Kilian dał upust swojej złości.

– Zadowolony jesteś? – krzyknął. – Właściwie co ci z tego przyszło?

– Nie wrzeszcz na mnie. No, no... – Gregorio znów parę razy irytująco zacmokał. – Nie wiedziałeś, że kłamstwo ma krótkie nogi?

– Zasłużyłeś, żeby ci porządnie przylać!

Gregorio ustawił się przodem, podpierając się pod boki. Kilian był od niego wyższy o pół głowy, ale raczej nie dorównywał mu siłą.

– Proszę bardzo, spróbuj. – Gregorio podwijał już rękawy koszuli. – Zobaczymy, czy masz jaja. – Kilian dyszał ciężko. – Jak chcesz, to ułatwię ci sprawę i zacznę. – Popchnął chłopaka obiema rękoma. Kilian cofnął się o krok. – Dalej! – Gregorio znów go popchnął. – Pokaż mi, jak odważni są górale!

Kilian z całej siły chwycił go za nadgarstki i trzymał tak, unieruchomionego, napinając mięśnie do ostateczności, aż dostrzegł w oczach przeciwnika niejakie zdumienie. Wtedy odsunął się z grymasem obrzydzenia na twarzy. Podszedł do ciężarówki, wspiął się do kabiny i włączył silnik.

Zaczekał, aż Gregorio zajmie swoje miejsce, i ruszył gwałtownie, bez najmniejszych wahań.

Jak gdyby przez całe życie nic innego nie robił, tylko siedział za kierownicą.

Wkrótce nadszedł marzec, najgorętszy miesiąc w roku, zapowiadający już porę deszczową. Na plantacjach kakaowce o gładkich pniach i wielkich, wieczniezielonych, owalnych, rosnących naprzemianlegle liściach pokrywały się drobnymi żółtymi, różowymi i czerwonymi kwiatami. Kiliana zdumiewało, że wyrastają one bezpośrednio z pnia i najstarszych gałęzi. Upał i wilgotność nadchodzących miesięcy miały sprawić, że z kwiatów tych wykształcą się owoce zwane jagodami. W Pasolobino, jeśli nie chwycił niespodziewanie późny przymrozek, co zdarzało się nader często, setki pąków gwarantowały później dziesiątki owoców. Jacobo opowiadał, że w przypadku kakaowców z tysiąca kwiatów na każdym drzewie powstawało nie więcej niż dwadzieścia jagód.

Dni następowały po sobie bez większych sensacji. Praca była rutynowa i monotonna. Każdy wiedział, co należy do jego obowiązków: reperowanie baraków, dbanie o uprawy, przygotowywanie suszarni i magazynów na nadchodzące zbiory, które miały się zacząć w sierpniu.

Również Kilian zdawał się nieco spokojniejszy; w każdym razie nie zdarzało się nic, co zakłóciłoby rytm jego roboczych i wolnych od pracy dni. Nawet Gregorio zachowywał się bardziej zwyczajnie, a może po prostu ostrożniej, od czasu kłótni przed sklepem, o której Kilian nie wspomniał nikomu, nawet bratu. Gregorio w pracy nadal niczego mu nie objaśniał, ale też się go nie czepiał. Jednakże Kilian wciąż miał się na baczności, bo tak czy owak mu nie ufał.

Wrócił wprawdzie parę razy do Anity Guau, lecz nie zabiegał o uwagę Sade, co jej też chyba nie przeszkadzało, albowiem zajęta była dogadzaniem innym swoim wielbicielom. Poza tym odkrył, że – podobnie jak Manuel – nad nieudolne wygibasy na parkiecie przedkłada filmy puszczane w kinie Marfil i ciekawe rozmowy w kawiarnianych ogródkach nad morzem, gdzie za całą muzykę starczało łopotanie skrzydeł wielkich nietoperzy, które o zmroku odrywały się od pobliskich palm.

Pewnego ranka, gdy Antón i José akurat wyjaśniali mu, jak funkcjonują suszarnie, zbliżył się ku nim Manuel z jakimś karteluszkim w ręku.

– Patrz, Kilianie. Moi starzy znajomi ze szpitala w Santa Isabel właśnie przysłali mi kilka zaproszeń na sobotni bal w kasynie. Mam nadzieję, że się ze mną wybierzesz. Spytałem też pozostałych.

– Bal w kasynie! – mruknął Antón. – Tego nie możesz przegapić, synu. Spotkasz tam całą miejscową śmietankę. Pracowników plantacji zwykle się nie zaprasza.

– Pójdę z przyjemnością – Kilianowi z ekscytacji aż zabłyśły oczy. – Ale co się nosi w takich miejscach? Nie wiem, czy mam odpowiednie ubrania...

– Wystarczy marynarka i krawat – uspokoił go Manuel. – W zaproszeniu jest napisane, że strojów wieczorowych się nie wymaga, więc zaoszczędzimy na wypożyczaniu smokingów.

– W razie czego dam ci swój krawat – zaofiarował się Antón.

Manuel pożegnał się do wieczora, a oni podjęli obchód suszarni – wielkich budynków bez bocznych ścian, za to z łupkowymi dachami, na których miały się prażyć ziarna kakao. Korzystając z tego, że José odszedł porozmawiać z jakimiś robotnikami, Kilian zagadnął Antona w sprawie, która zaprzętała go do dłuższego czasu.

– Tato, niech tata pozwoli, że coś powiem – zaczął z powagą w głosie.

Antón poniekąd się domyślał, o co chodzi.

– Tak?

– Sądźmy z Jacobem, że powinien tata wrócić do Hiszpanii. Choćby tata zaprzeczał, i tak widzimy, że siły już nie te. Może powinien tata poradzić się lekarza w Saragossie?

– Antón nie przerywał, Kilian wykladał więc na stół wszystkie przygotowane zawczasu argumenty. – Jeśli problem w pieniądzech, to wie tata, że razem z Jacobem zarabiamy dosyć, by spokojnie starczyło... I jeszcze zostanie. Poza tym od jak dawna nie widział tata mamy?

Antón uśmiechnął się blado. Potem odwrócił się i zawołał Josego.

– Wiesz, co kładzie mi do głowy Kilian? To samo co ty i Jacobo! Zmówiliście się czy jak?

José szeroko otworzył oczy, robiąc minę niewiniątka.

– Antón... – Przyjaciel od dawna nie pozwalał mu w rozmowach prywatnych używać formy *massa*. – W ogóle nie wiem, o co chodzi.

– Pewnie, że wiesz, stary draniu. Najwyraźniej chcesz się mnie pozbyć... Wszyscy trzej tylko marzycie o tym, żebym wyjechał.

– Dla własnego dobra – upierał się Kilian.

– Chłopcy mają rację – wtrącił José. – Praca tutaj ciężka. Jak przyjdzie czas zbiorów, będzie jeszcze gorzej. Hiszpańscy lekarze na pewno potrafią coś zaradzić.

– Od lekarzy, José, najlepiej trzymać się z daleka. Bo z jednej choroby cię wyleczą, ale w drugą wpędzą. – Kilian już otworzył usta, żeby zaprotestować, jednakże Antón powstrzymał go ruchem ręki. – Poczekaj, synu. Wczoraj rozmawiałem z Garuzem i po zbiorach, jesienią, pojedę do domu na święta. Nic nie chciałem wam mówić, dopóki nie było pewności. Później wrócę tu i, jeśli zajdzie taka potrzeba, zajmę się pracą biurową.

Kilian uważał, że ojciec powinien raczej zostać w domu na stałe, lecz nie chciał przeciągać struny. Może już w Hiszpanii zmieni zdanie. Człowiek nawykły do pracy fizycznej nie zawsze potrafił funkcjonować jako *massa clak* – wedle określenia robotników, którzy w ten sposób wymawiali słowo *clerk*, urzędnik, chociaż często nazywali tak w ogóle wszystkich białych na plantacji, ze względu na ich umiejętność czytania i pisania. Tak oczy owak ojciec zaliczał się do mężczyzn upartych i zamkniętych w sobie, toteż nie ulegało wątpliwości, że niezależnie od cudzych rad zrobi to, co uzna za stosowne.

– Trochę mnie to uspokaja – oświadczył Kilian. – Tyle że do jesieni jeszcze masa czasu.

– Kiedy suszarnie zaczną pracować pełną parą, dni przelecą migiem i ani się obejrzymy, jak będziemy wszyscy słuchać kołęd, prawda, José?

– No ba!

– Ileż ton razem wystaliśmy w świat przez te lata!

Oczy Josego zabłysły. Kilian bardzo lubił słuchać, jak ci dwaj wspominają dawne czasy, sięgając pamięcią początków wieku. Trudno było sobie wyobrazić pierwociny Santa Isabel: nieliczne jeszcze domki z bambusa i *calabó*, takie same jak w okolicznych wioskach; niepokryte asfaltem ulice z ubitej czerwonej ziemi; miejscową arystokrację

popijającą, zgodnie ze swoim brytyjskim wychowaniem, herbatkę o piątej po południu i dla okazania tolerancji chodzącą do katolickiego kościoła rano, do protestanckiego zboru zaś – po południu. José zaśmiewał się do rozpuku, a nozdrza jego szerokiego nosa drgały gwałtownie nad fioletowawymi ustami, gdy przywoływał obrazy z czasów swego dzieciństwa, kiedy to mężczyźni w wieku jego ojca pocili się obficie w swoich surdutach i lekko uchylali cylindrów, kłaniając się elegancko ubranym damom z paryskimi parasolkami w dłoniach.

– Wie pan, *massa* Kilian, że kiedy się urodziłem, nie było w Santa Isabel ani jednej białej kobiety?

– Niemożliwe!

– Kilku kolonistów w Basile miało białe żony. Ciężko się im tam żyło. Ale w mieście nie było żadnej.

– A pamiętasz te dni, w które przyplýwał na Fernando Poo statek kompanii *Trasmediterránea*? – wtrącił Antón. – A przyplýwał raz na trzy miesiące, synu. Nawet sklepy wtedy zamykano! Wszyscy wychodzili do portu, po wieści z Hiszpanii...

– A wie pan, *massa* Kilian, że kiedy byłem dzieckiem, biali musieli wracać do Hiszpanii co dwa lata, aby nie ulec tropikalnym chorobom? Inaczej szybko umierali. Mało który wytrzymał tu wiele lat. Teraz to co innego.

– Tak, José – westchnął Antón. – Napatrzyliśmy się na różności, co? A przecież nie jesteśmy jeszcze tacy starzy... Tyle się zmieniło od czasu, gdy przyplýnałem tu z Marianą...

– I jeszcze więcej się zmieni, Antón! – dorzucił José, potrząsając głową z mieszaniną melancholii, pewności i rezygnacji. – I jeszcze więcej się zmieni!

W sobotę Kilian przywdział wyprasowany przez Simona jasny garnitur oraz krawat, zaczesał włosy do tyłu, używając do tego brylantyny, i przejrzał się w lustrze. Ledwie się rozpoznał. Wyglądał jak prawdziwy amant filmowy! W Pasolobino nie było okazji, by się tak ubierać. Co najwyżej – z okazji większych świąt i ślubów – wkładało się zawsze ten sam ciemny garnitur.

Dokładnie o siódmej wieczorem Mateo, Jacobo, Marcial, Kilian i Manuel – wszyscy podobnie wystrojeni – ruszyli na bal.

Po drodze Kilian droczył się z bratem.

– Myślałem, że soboty są święte. Wytrzymasz bez swojej cotygodniowej dawki rozrywek u Anity Guau?

– Trzeba być otwartym na wszystko – odparł Jacobo. – Nie co dzień ma się okazję pójść do kasyna. Poza tym, jeśli będzie nudno, to się zmyjemy i już. Tak czy owak z naszą dzisiejszą *ñanga-ñanga* zrobimy furorę wszędzie.

W samochodzie rozległy się śmiechy, do których przyłączył się i Kilian, gdy usłyszał, że zabawne wyrażenie *ñanga-ñanga* oznacza elegancję.

Kasyno mieściło się na Cyplu Cristiny, jakieś trzydzieści metrów nad poziomem morza. Przeszedłszy przez niewielką bramę wejściową, człowiek trafiał na wyłożony czarno-białą terakotą dziedziniec zajęty niemal w całości przez kort tenisowy oraz basen z dwiema trampolinami. Dookoła wznosiły się eleganckie pawilony; łukowate podcienia jednego z nich prowadziły na ogrodzony barierką taras, skąd, stojąc w cieniu jedynej,

odcinającej się na tle nieba palmy, można było podziwiać całą zatokę Santa Isabel, pełną zakotwiczonych statków i łodzi dłubanek.

Z całej ich grupy tylko Manuel był tu już wcześniej, więc to on poprowadził pozostałych ku miejscu, skąd dobiegała muzyka. Weszli do budynku z oknami w drewnianych ramach, przecięli salę pełną zajętych rozmowami ludzi i znaleźli się na niewielkim, otoczonym białym murem patiu delikatnie oświetlanym przez małe lampy. Na jego środku znajdował się parkiet do tańca, a dookoła stały białe marmurowe stoliki. W tym momencie na parkiecie nie było nikogo. Mężczyźni i kobiety, biali i czarni, wszyscy bardzo eleganccy, wymieniali serdeczne słowa powitania. Zespół na scenie – znacznie bardziej rozbudowany niż te, które Kilian widywał dotychczas, i noszący nazwę The New Blue Star, starannie wypisaną na pulpitych nutowych – grał przyjemną, nieutrudniającą konwersacji melodię.

– Tańce zaczną się po kolacji – wyjaśnił Manuel, uniesieniem dłoni pozdrawiając jakichś znajomych. – Obawiam się, że to będzie intensywny wieczór. Są tu ludzie, których nie widziałem od bardzo dawna.

– O nas się nie martw – oświadczył Jacobo, biorąc z podsuniętej przez kelnera tacy kieliszek. – Na razie znajdziemy sobie strategiczny stolik i zaczekamy, aż wielki świat pofatyguje się do nas.

Pozostali wyczuli w jego głosie ironię. W rzeczywistości ani Jacobo, ani Mateo, Marcial czy Kilian nie nawykli do pokazywania się w miejscach, gdzie zbierała się śmietanka towarzyska, i w związku z tym czuli się trochę onieśmieleni. Zdawali sobie sprawę, że bez względu na swoją elegancję przez wielu zaszufładowani zostaną całkiem trafnie – jako prości *chłopczy z plantacji* niezbyt pasujący do otoczenia.

Jacobo poprowadził ich do stolika znajdującego się nieopodal drzwi wejściowych, skąd mogli obserwować zarówno gwarną salę wewnątrz budynku, jak i patio z parkietem. Wkrótce do uszu braci dobiegły znajome głosy i obok wyrosli Emilio z Generosą, którym towarzyszyły jeszcze dwie pary oraz trzy dziewczyny.

– Julia! Patrz, kto tu jest! – Emilio się ucieszył. Zwrócił się do dziewcząt: – To Jacobo i Kilian z kolegami... Doskonale się składa!

Nastąpiły konieczne prezentacje i nieodzowna wymiana grzeczności, po czym Generosa wraz z dwoma znajomymi małżeństwami oddaliła się w swoją stronę. Julia i jej koleżanki usiadły przy stoliku, Jacobo i Kilian stali obok Emilia. Kilian kątem oka zauważył, że Julia jest nieco spięta i zostawia losy konwersacji w rękach swoich sympatycznych przyjaciółek, Ascensión i Mercedes, które natychmiast zaczęły wypytywać Marciała i Matea o ich codzienne życie na plantacji oraz wspomnienia z Hiszpanii. Same z kolei opowiadały o tym, co porabiają w Santa Isabel i jakie to szczęście, że mogą o każdej porze korzystać z basenu i kortów w kasynie.

Emilio, ojcowski i po paru kieliszkach bardzo ożywiony, zwlekał chwilę z odejściem. – Więc to wasz pierwszy bal w kasynie? A gdzie imprezujecie zazwyczaj? – Machnął ręką i ściszył głos. – Nie musicie odpowiadać, i tak się domyślam. Sam kiedyś byłem młody... – Puścił do nich oko. – Cóż, jak sami się przekonacie, tutaj mieszają się wszyscy, biali i czarni, Hiszpanie i cudzoziemcy, pod jednym warunkiem: że mają pieniądze.

Jacobo i Kilian wymienili szybkie, znaczące spojrzenie: tego warunku akurat nie spełniali.

Emilio wskazywał teraz różnych ludzi, opowiadając, czym się zajmują: byli tu kupcy, bankierzy, urzędnicy państwowi, posiadacze ziemscy, celnicy, importerzy aut, kolejni kupcy, adwokaci, lekarze, przedsiębiorcy, wysoko postawieni członkowie Straży Kolonialnej...

– A to, na przykład, właściciel firmy sprzedającej sprzęt mechaniczny i pojazdy. Wyłączny przedstawiciel firm Caterpillar, Vauxhall i Studebaker. Pracują dla niego ojcowie koleżanek Julii. Tamten z kolei pełni funkcję sekretarza gubernatora generalnego Fernando Poo i Río Muni. Gubernator nie mógł się dziś wyrwać. Szkoda. Przedstawiłbym was.

Kilian nigdy nie widział tylu ważnych ludzi naraz. Gdyby którykolwiek z nich nagle do niego podszedł, on, Kilian, nie wiedziałby, jak zacząć – a co dopiero poprowadzić – w miarę inteligentną rozmowę. Zakładał, że wszyscy tutaj mówią na poważne tematy takie jak zarządzanie koloniami albo gospodarka światowa. Zerknął na Jacoba, który zdawał się słuchać Emilia uważnie, choć nie przestawał szukać wzrokiem jakiegoś weselszego towarzystwa. Na szczęście ktoś do nich z daleka machał.

– Chłopcy – rzekł Emilio – chyba woła mnie małżonka. Miłego wieczoru!

Bracia skupili więc swoją uwagę na grupie przy stoliku, gdzie prym wiodły Ascensión i Mercedes, jednakowo inteligentne, mimo że fizycznie bardzo różne. Ascensión była bardzo jasną blondynką o zadartym nosie i błękitnych oczach odziedziczonych po babce Niemce. Miała na sobie ciemnoniebieską sukienkę z obniżoną talią, szerokim paskiem i okrągłym dekoltem. Mercedes, ubrana w obcisłą w stanie, a na dole obfitą w fałdy suknię z zielonej krepy, ciemne włosy upięła w wysoki kok, który elegancko podkreślał jej wyraziste rysy z dominującym, dużym nosem.

Kelnerzy zaczęli serwować pyszne kanapki. Przez dłuższą chwilę wszyscy głównie jedli, pili, palili i przerzucali się wesołymi uwagami. Kilian cieszył się z obecności Matea, Marciała oraz przyjaciółek Julii, ta bowiem nawet nie raczyła na niego ani na Jacoba spojrzeć. Siedziała w milczeniu, sztywno wyprostowana, przysłuchując się z udawanym zainteresowaniem słowom innych. Pomyślał, że wygląda prześlicznie w swojej jedwabnej sukience w białe grochy na jasnoniebieskim tle. Okrągły dekolt zdobiły delikatne perły. Gdyby nie brak szczerego uśmiechu, który zwykle malował się na jej twarzy, byłaby doskonała. Jacobo musiał zauważyć jej chłód, mimo że Kilian nie wspomniał ani słowem o wybryku Gregoria, aby nie podkreślać nastrojów.

Koło dziesiątej Julia zaczęła raz po raz zerkać na zegarek.

– Czekasz na kogoś? – spytał w końcu Jacobo.

– Prawdę mówiąc, tak – odparła sucho dziewczyna. – Zakładam, że twój *boy* zjawi się lada chwila, żeby wybawić cię od tak nudnej kompanii.

Jacobo skamieniał, Kilian zaś, zawstydzony, aż schylił głowę. Julia przypatrywała im się z wyraźnym zadowoleniem. Reszta zebranych zaskoczona czekała na wyjaśnienia.

– Jak się dowiedziałaś? – W głosie Jacoba pobrzmiwała raczej złość niż skrucha.

– Wszystko jedno. Ważne, że wiem. – Julia jeszcze bardziej wyprostowała się na

swoim krześle. – Chcesz, żebym ci powiedziała, gdzie byłeś wtedy o jedenastej wieczorem?

– Nie twoja sprawa. O ile wiem, nie jesteś moją narzeczoną, nie masz prawa mnie szpiegować.

Po tych słowach Jacobo wstał i odszedł. Reszta siedziała w ciszy. Kilian nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Spojrzał na Julię. Dziewczynie, która rozpaczliwie próbowała zachować godność i nie rozplakać się po obelżywych słowach jego brata, drżał podbródek. Zespół na scenie akurat w tym momencie zaczął grać paso doble, powitane owacją publiczności. Kilian wstał i wziął Julię za rękę.

– Chodź, zatańczymy.

Julia usłuchała, wdzięczna, że wybawił ją z tak niezręcznej sytuacji. W milczeniu przeszli na parkiet, gdzie Kilian otoczył ją ramieniem. Zakołysali się w rytm muzyki.

– Uprzedzam, że tańczę fatalnie. Mam nadzieję, że mi wybaczysz deptanie po palcach... I ten sobotni incydent. Naprawdę mi przykro.

Julia podniosła na niego oczy. Pełne łez. Skinęła głową.

– Najwyraźniej wybrałam sobie nie tego brata... – Próbowała się uśmiechnąć.

– Jacobo to dobry chłopak, Julio. Tyle że...

– Tyle że nie zamierza się wiązać. Przynajmniej nie ze mną.

– No bo to zbyt szybko... – Kilian nie chciał jej ranić ani dawać fałszywych nadziei. – Może w innych okolicznościach...

– Och, przestań! Ja nie mam piętnastu lat! – zbuntowała się Julia. – A to jest Afryka. Myślisz, że nie wiem, jak on się zabawia? Najbardziej mnie złości, że mężczyźni tacy jak on uważają nas, białe kobiety, za idiotki. Co właściwie da mu jakaś *taka*, czego nie mogę dać mu ja? Co by sobie pomyślał, gdybym mu zaproponowała swoje ciało, tak jak to robią one?

– Julio! Nawet tak nie mów! To nie to samo... Nie porównuj się z nimi. – Kilianowi taniec dłużył się w nieskończoność. – Teraz jesteś zła, i nie bez powodu, ale...

– Nie wytrzymuję już z tą podwójną moralnością, Kilianie! – przerwała mu dziewczyna. – Wszyscy tolerujecie swobodne obyczaje swoich czarnych przyjaciółek, a my musimy czekać, aż się nimi zmęczycie i zaczniecie szukać sobie wśród nas dobrych i wiernych żon. Co by było, gdyby to działało na odwrót? Gdybym ja spotykała się z Murzynem? Jak byście reagowali?

– Julio, ja... – Kilian przełknął ślinę. – To wszystko jest dla mnie nowe. Trudno mi...

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Kilian się zawahał. Nie zwykł rozmawiać na takie tematy z kobietami. Czuł się odrobinę zgorzony, ale Julia wyraźnie się uparła.

– Z mężczyznami to co innego... I chyba w ogóle nie powinniśmy tykać takich kwestii...

– Tak, pewnie... Przecież jestem kobietą. – Julia zirytowała się.

Na szczęście dla Kiliana akurat w tym momencie paso doble dobiegło końca i zespół zagrał z kolei swinga.

– To zbyt skomplikowane. – Kilian zmusił się do uśmiechu.

Opuszczając parkiet, minęli się z Mateem, Ascensión, Marcialem i Mercedes, którzy

też zdecydowali się zatańczyć. W milczeniu przeszli do stolika, przy którym zastali Manuela z drinkiem.

– Tak tu sobie odpoczywam – rzucił doktor do Kiliana. – Bo do tej pory bez przerwy gadałem.

– Manuelu, poznaj Julię, córkę przyjaciół moich rodziców.

Manuel wstał i szarmancko przywitał dziewczynę. Dostrzegł, że błękitna wstążka w jej brązowych włosach ładnie podkreśla regularność rysów i żywość spojrzenia.

– Manuel jest na plantacji lekarzem – wyjaśnił Kilian. – Wcześniej pracował w szpitalu w Santa Isabel.

– Nie spotkaliśmy się już kiedyś? – spytała Julia, przypatrując się jego twarzy, ciemnoblond włosom i jasnym oczom skrytym za okularami w grubych oprawkach. – Na pewno bywałeś wiele razy w kasynie.

– Tak. Często po południu przychodziłem tu popływać. A w niedziele zagrać w karty albo napić się czegoś z kolegami z pracy.

– Ja zaglądam tu w każdą niedzielę i w niektóre inne dni. Dziwne, że dotąd się na siebie nie natknęliśmy.

– Cóż, od kiedy zatrudniłem się w Sampace, rzadko przyjeżdżam do miasta.

– Jeśli pozwolicie, pójdę po coś do picia. – Kilian postanowił skorzystać z okazji i trochę się rozejrzeć.

Po nieprzyjemnej rozmowie z Julią chciał na moment zostać sam. Tymczasem w wielkiej sali obok gwar się wzmógł. Kilian skinął głową Generosie i Emiliowi, i skierował się ku stołom bilardowym, przy których dostrzegł spowitego chmurą dymu Jacoba. Ten dostrzegł brata, ale nie wykonał w jego stronę żadnego gestu. Gdy Kilian mimo wszystko się zbliżył, Jacobo, nie patrząc mu w oczy, powiedział:

– A! Jesteś! – Kilian uznał, że wciąż mu nie minęła złość na Julię. – To moi przyjaciele, Dick i Pao. Są z Baty. Poznaliśmy się w czasie mojej pierwszej podróży.

Kilian uściśnął im dłonie i zaraz się dowiedział, że Dick jest Anglikiem, który przez lata pracował w kameruńskiej Duali, a od niedawna, podobnie jak Pao – w przemyśle drzewnym w kontynentalnej części Gwinei. Od czasu do czasu, wykorzystując swoją przyjaźń z pewnym pilotem dragona rapide, odbywał godzinny lot z Baty do Santa Isabel. Był wysoki i mocno zbudowany, miał z natury bardzo jasną, od słońca jaskrawoczerwoną cerę i dziwne spojrzenie niesamowicie błękitnych oczu. Portugalczyk Pao wyglądał przy nim jak kościsty Mulat o ostrym nosie i długich kończynach. Obaj, tak samo zresztą jak Jacobo, wypili już zbyt wiele i teraz wszyscy trzej, zaśmiewając się z własnych żartów, uparli się, by opowiedzieć Kilianowi o swoim ostatnim spotkaniu.

– To było w Kamerunie, w trakcie polowania na słonie – zaczął Jacobo, a oczy mu błyszczały. – Nigdy nie przeżyłem nic równie ekscytującego! Wyprawiliśmy się dużą grupą, uzbrojeni w strzelby. Przewodnik prowadził nas przez dżunglę szlakiem, który znały połamane przez jakiegoś słonia gałęzie. Hałas kojarzący się z trzęsieniem ziemi dał nam znać, że zwierzę jest blisko, kawałek przed nami, a dalej znajduje się jeszcze kilka osobników...

– Umierałeś ze strachu! – wtrącił Dick dobrą hiszpańszczyzną, choć z silnym akcentem. – Byłeś blady jak prześcieradło...

– No bo spodziewałem się, że przyczaimy się w jakimś bezpiecznym, wysoko położonym miejscu! Ale nie! Słoń był tuż obok. Nasz przewodnik, rzecz jasna, wytrawny myśliwy, strzelił mu w ucho i zwierzę oszalało. Rzuciliśmy się w bok...

– Wiedzieliśmy, że tak wielkie stworzenie ma kłopoty ze zwrotnością – podjął Pao ze swoim śpiewnym akcentem. – I rzeczywiście, słoń pędził dalej przed siebie, krwawiąc z ucha, a my za nim...

Dick i Pao z każdą minutą podobali się Kilianowi coraz mniej. Było w nich coś, co wywoływało w nim nieufność i niechęć. Dick w ogóle nie patrzył rozmówcom w oczy, a Pao cały czas irytująco chichotał.

– W końcu słoń zaczął słabnąć i zwalniać. Wtedy strzeliliśmy jeszcze kilka razy i... – Jacobo rozłożył ręce. – On znikł! Ukrył się w dżungli! Polowanie się skończyło, a ja byłem strasznie sfrustrowany, bo nie widziałem, jak bestia pada.

– Słonie konają długo. – Dick zaciągnął się papierosem i na chwilę zatrzymał dym w płucach.

– No, ten zdychał dwa dni! – rzucił Pao. – Gdy wróciliśmy z przewodnikiem i odnaleźliśmy ciało, było wciąż ciepłe!

– Kilku ludzi zaraz sprawnie je poćwiartowało... Zostały same kości! – Jacobo mówił tym samym rozradowanym, zachwyconym tonem co dwaj pozostali. – A kły miały wysokość tych drzwi!

Na Kilianie cała ta opowieść zrobiła okropne wrażenie. Sam polował w Pirenejach na kozice, ale nie potrafił sobie nawet wyobrazić scen opisywanych przez brata i jego kolegów. Chodziło przecież o to, żeby oszczędzić zwierzęciu cierpienia, strzelając jak najcelniej. Nie znał nikogo, kto lubiłby przedłużać taką agonię. Dlatego powiedział tylko:

– To chyba niebezpieczne.

– Jeszcze jak! – Dick spojrzał na niego swoimi błękitnymi, zimnymi, pozbawionymi wyrazu oczyma. – Brałem udział w polowaniu, w czasie którego słoń złapał jednego z czarnych trąbą, podniósł go do góry, a potem rzucił na ziemię i zgniół na miazgę...

– Własna matka by go w takim stanie nie poznała! – zaśmiał się Pao głupkowato, ukazując nierówne zęby. – Dobrze, że to nie był żaden z nas!

Kilian miał dosyć. Wspaniały wieczór, doprawdy! Incydent z Julią, potem ich niesmaczna rozmowa, poczucie, że jest się wśród ludzi, którym nigdy się nie dorówna, i wreszcie okrutna historia opowiadana przez tych tu idiotów... Wyglądało na to, że jego pierwszy wieczór w słynnym kasynie okaże się zarazem ostatnim. Alkohol uderzał mu już do głowy, a na domiar złego krawat przeszkadzał do tego stopnia, że trudno się było powstrzymać przed ciągłymi próbami poluzowania węzła.

– Co ci znowu jest? – spytał po cichu Jacobo.

– Wychodzi na to, że najlepiej czuję się w dżungli... – mruknął Kilian, zapalając nowego papierosa od niedopałka poprzedniego.

– Co?

– Nic, nic. Zostajesz jeszcze?

– O, my wybieramy się w inne, weselsze miejsce. – Jacobo nie był pewien, czy zaprosić brata do kompanii, ale ostatecznie powiedział: – Możesz wrócić na plantację z

innymi.

– Jasne – odrzekł Kilian.

Jeśli i tamtym nie będę przeszkadzał, pomyślał.

Jacobo, Dick i Pao wyszli, a on przez kilka minut obserwował jakichś facetów grających obok w bilard.

Potem jego uwagę zwróciły podniesione głosy. Obrócił się i kilka kroków dalej zobaczył mocno wzburzonego Emilia, który dyskutował z potężnym czarnym mężczyzną ubranym w elegancki jasnobrązowy garnitur. Generosa ciągnęła męża za ramię, ale on nie zwracał na nią uwagi. Ton rozmowy nabierał ostrości i ludzie wokół zaczęli powoli milknąć. Kilian podszedł bliżej, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Jak możesz mi coś takiego mówić? I to właśnie ty, Gustavo? – Emilio niemal krzyczał. – Od lat przyjaźnię się z twoim ojcem! Czy kiedykolwiek źle was traktowałem? I ośmielę się powiedzieć, że mieszkam na tej wyspie dłużej niż ty!

– Nie chcesz mnie zrozumieć, Emilio – bronił się tamten. Krople potu perliły się na jego szerokim czole, zmarszczonym teraz z gniewu, i spływały po skroniach pod oprawkami dużych okularów o kwadratowych szklach. – Odnoszę się teraz do wszystkich białych. Długo nas wykorzystywaliście. I prędzej czy później, będziecie musieli stąd odejść.

– Tak, pewnie, połowa z was, dziś tu zebranych, bardzo by tego chciała. Żebyśmy stąd znikli, zostawiając wam wszystko... Na przykład nasze sklepy! Nigdy się tego nie doczekasz, Gustavo! – Emilio z całej siły dźgnął swego rozmówcę palcem. – Całe życie tu haruję, żeby moja rodzina miała lepiej! I nie pozwolę, żeby tacy jak ty mi wygrażali!

Generosa ze wstydu nie wiedziała, gdzie oczy podziać. Wciąż tylko błagała męża, by szli już do domu. Kilian dostrzegł, że wyraźnie jej ulżyło na widok Julii, która zbliżała się w towarzystwie Manuela.

– Nikt ci nie wygraża, Emilio! Sądziłem, że jesteś rozsądniejszy. Próbowaleś się kiedyś postawić na naszym miejscu? – Mężczyźnie zwanemu Gustavem ze wzburzenia mocno drgały szerokie nozdrza.

– Na waszym miejscu?! – ryknął Emilio. – I mnie nikt nigdy nie dał niczego za darmo!

– Wystarczy, tato! Akurat o to nikt cię nie oskarża. – Julia ujęła go pod ramię, rzucając obu groźne spojrzenie. – Można wiedzieć, o co wam chodzi? Tato, Gustavo... Pozwolicie, żeby polityka zrujnowała waszą przyjaźń? Trochę szkoda, bo tu jeszcze przez wiele lat i tak nic się nie zmieni.

Mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu, ale żaden nie wyciągnął do drugiego ręki. Emilio zgodził się w końcu ruszyć za Generosą do wyjścia. Zebrani stopniowo powrócili do swoich rozmów, skupionych teraz, bez wątpienia, na niedawnym zajściu. Manuel i Kilian odprowadzili Ribagorzów do bramy.

– Dobrze się czujesz, Julio? – spytał Manuel, widząc, że zdenerwowana dziewczyna ciężko oddycha.

– Tak, dziękuję, Manuelu. – Ciepło uścisnęła jego dłoń. – Miło się z tobą rozmawiało. Prawdę mówiąc, to były jedyne miłe momenty dzisiejszego wieczoru. – Kątem oka dostrzegła, że Kilian się krzywi, i pospiesznie dodała: – No, taniec z tobą też

wspominam przyjemnie. Tak czy owak powinniśmy już jechać. Co za wstyd, mój Boże! Nie będę mogła pokazać się w kasynie całymi tygodniami!

– Przykro mi, córeczko – mruknął zasepiony Emilio. – Nie potrafiłem się powstrzymać. Generoso, zanadto się uniosłem...

– Nic się nie stało, Emilio – pocieszyła go żona, nerwowymi ruchami naciągając koronkowe rękawiczki. – Obawiam się, że trzeba się powoli przyzwyczajać do wysłuchiwania idiotycznych roszczeń tych niewdzięczników. Bo tym właśnie są: prawdziwymi niewdzięcznikami.

– Już dosyć, mamó. – Julia zerknęła na Kiliana i Manuela. – Do zobaczenia.

– Mam nadzieję, że do rychłego – odparł głośno Manuel. – Dobranoc, Julio.

Manuel i Kilian stali jeszcze chwilę w bramie kasyna, dopóki rodzina Ribagorzów nie znikła im z oczu.

– Zachwycająca kobieta – rzucił Manuel, przecierając okulary chusteczką.

Słyszac to, Kilian po raz pierwszy od długiego czasu szeroko się uśmiechnął.

W następnym tygodniu boy z Sampaki przyniósł Julii liścik od Jacoba: „Naprawdę mi przykro, że się tak zachowałem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. To się więcej nie powtórzy”.

Te zdania towarzyszyły jej przez kolejne dni, podobnie jak wyobrażenie zielonych, błyszczących oczu, czarnych włosów i muskularnego ciała mężczyzny, w którym, jak sądziła, była zakochana. Ciągłe powtarzanie słów Jacoba sprawiło, że w jej głowie zrodziło się przekonanie, iż to zawieszenie broni coś oznacza: może wypadki w kasynie przyniosły niespodziewany efekt i uświadomiły Jacobowi, co traci.

Wytrzymała dwa tygodnie, po czym się poddała. Musiała go zobaczyć, usłyszeć jego głos. Rozważała najrozmaitsze sposoby zaaranżowania spotkania, ale odrzucała jeden po drugim: kolejna w tak krótkim czasie kolacja u rodziców wzbudziłaby podejrzliwość matki; trudno było zgadnąć, jak Jacobo zareagowałby na propozycję wspólnego wyjścia do kina czy do restauracji, a odmowa za bardzo by bolała; spotkanie w kasynie, w większym gronie, też odpadało po ostatnich wybrykach ojca, który pewnie nadal stanowił przedmiot najokropniejszych plotek. To było w Santa Isabel najgorsze: w tak małym mieście rzadkie sensacje przerywające monotonię wzbudzały zainteresowanie całymi tygodniami.

Nagle wpadła na szalony pomysł. Z początku nie potraktowała go poważnie, ale później szybko podjęła decyzję: któregoś wieczoru po kolacji wybierze się do Sampaki. Parę razy odwiedzała plantację z ojcem i doskonale wszystko pamiętała. Pod byle pretekstem dostanie się do pokoju Jacoba, a tam będą mogli spokojnie porozmawiać albo nawet... Z emocji aż przygryzła dolną wargę. A gdyby ktoś przyłapał ją na galerii wiodącej do pokoi sypialnych, zawsze może powiedzieć, że ma wiadomość od Emilia dla Antona. Nikt się niczego nie domyśli!

Stopniowo dopracowywała kolejne szczegóły swego planu i w końcu zdecydowała, że wcieli go w życie w czwartek. W czwartki rodzice grywali z sąsiadami w karty, a ona sama brała auto i jeździła do kina; nie istniał też żaden powód, dla którego Jacobo miałby w środku tygodnia opuszczać Sampakę.

W czwartek po kolacji ubrała się więc jak zwykle, aby nie wzbudzać podejrzeń, tyle

że zrobiła sobie wyjątkowo staranny makijaż. Gdy usiadła za kierownicą ojcowskiego czerwono-kremowego vauxhalla cresty, natychmiast rozpięła dwa górne guziki różowej sukienki w kwiatki, z rękawami do łokcia, którą wybrała po długich deliberacjach, i mocniej pomalowała usta. Serce biło jej tak mocno, że słyszała je nawet przez warkot silnika.

Po kilku minutach wyjeżdżała już z miasta na ciemną drogę. Światła samochodu sięgały zaledwie parę metrów w przód. Znienacka poczuła strach. Potrafiła sobie wyobrazić tę mnogość form życia pulsującego nocą w trzewiach dżungli. Podczas gdy jedne zwierzęta spały, inne, korzystając z mroku, urządzały sobie krwawą ucztę. Gdy mijała Saragosę, słabe płomyki migocące w części prowizorycznych domków rzucały przez pozbawione szyb okna dziwne cienie. Przez chwilę żałowała, że niecierpliwość nie pozwoliła jej poczekać na pełnię, kiedy to księżyc oświetlałby wszystko jak potężny reflektor. Kątem oka widziała palmy, które u wjazdu do Sampaki zaczęły migać po obu stronach drogi jak duchy. Gdy białowłosa mężczyzna z niewielką latarnią zatrzymał ją uniesieniem dłoni, stwierdziła, że serce ma gdzieś w gardle. Mężczyzna podszedł i na widok samotnej białej kobiety za kierownicą zrobił zdumioną minę.

– Dobry wieczór, *mis* – rzekł Yeremías. – Mogę w czymś pomóc?

– Mam wiadomość dla massy Antona. – Julia tyle razy powtarzała to zdanie, że zabrzmiało nawet dość naturalnie. – Zawsze tu tak ciemno?

– Mamy problemy z elektrycznością. Nie wiem, jak długo to potrwa. – Yeremías machnął za siebie ręką. – Będzie pani musiała zaparkować tutaj. Wszędzie teraz pełno Nigeryjczyków, bo...

– Dobrze – przerwała mu pospiesznie Julia, bojąc się, że staruszek wda się w niepotrzebne wyjaśnienia. – Dziękuję.

Przejechała jeszcze kawałek i całkiem niespodziewanie znalazła się pośród tłumu mężczyzn z maczetami w dłoniach. Niektórzy wysoko trzymali lampy naftowe, których blask sprawiał, że ich wielkie gałki oczne połyskiwały groźną bielą na tle ciemnych twarzy, pochylających się ciekawie w stronę dziwnego gościa. Julia oszacowała, że jeśli zaparkuje już tutaj, na piechotę będzie musiała pokonać tylko jakieś pięćdziesiąt metrów, dzielących ją od głównych zabudowań, od których wszakże wciąż odgradzała ją ta ludzka masa. Mogła też zostać w samochodzie albo zacząć szaleńczo trąbić, zawrócić i uciec. Odetchnęła głęboko i przez chwilę rozważała swoje położenie. Powodów do hysterii w gruncie rzeczy nie było, bo mężczyźni dookoła wcale nie zachowywali się wrogo. Większość przypatrywała jej się przez moment, po czym szła w swoją stronę. Julia postanowiła zatem zebrać się na odwagę i wysiąść. Na drżących nogach pospiesznie ruszyła przed siebie, słysząc wokół komentarze, których wprawdzie nie rozumiała, ale których znaczenia mogła się domyślać po tonie, jakim je wypowiedziano. Zewsząd otaczały ją dziesiątki nagich torsów i umięśnionych ramion, powoli oblewała się zimnym potem, wzrok jej się mącił. Gdy dotarła do głównych schodów, gdzie ktoś ją podtrzymał, była na granicy omdlenia.

– Julia! Na Boga! Co ty tu robisz o tej porze?

Nigdy nie przypuszczała, że czyjkolwiek głos może ją tak podnieść na duchu. Popatrzyła do góry.

– Nie jest znowu tak późno, Manuelu. Mam wiadomość od ojca dla Antona.

– A nie mogliście wysłać któregoś ze służących?

– Akurat żadnego nie było w domu – skłamała, czując, że się rumieni. – Więc pomyślałam, że wpadnę tu po drodze do kina.

– Ładne mi „po drodze”!

Stojąc u boku Manuela, odważyła się spojrzeć na mężczyzn, którzy wciąż gromadzili się za ich plecami.

– Co tu się w ogóle dzieje?

– Robotnicy postanowili urządzić wielkie polowanie na polne szczury.

– Na *gronbify*? Nocą?

– Tak załatwią ich więcej. Jeśli nie przetrzebimy ich teraz, za bardzo się rozmnożą i potem będą zagrażać zbiorom. Po polowaniu będzie wielka uczta.

– Wy też weźmiecie w niej udział?

– Ja nie, choć wyznam ci, że trochę mnie ciekawi, bo nigdy w niczym takim nie uczestniczyłem. Reszta białych pracowników i nadzorcy będą trzymali rękę na pulsie.

Julia sama nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Nigdy by nie przypuszczała, że w upragnionym, a tak trudnym do przeprowadzenia spotkaniu z Jacobem przeszkodzą jej akurat jakieś gryzonie.

– Masz ochotę się przejść? – spytał Manuel. – Dżungla nocą jest pełna tajemnic.

Julia nie zdążyła odpowiedzieć, bo tuż obok rozległ się głos Jacoba, który właśnie schodził po schodach razem z Kilianem, Mateem, Marcialem i Gregoriem.

– Co ty tu robisz?

Julia mocno zagryzła wargi, obmyślając kolejne kłamstwo, które pozwoliłoby jej zachować odrobinę godności w tym galimatiasie. Wzięła Manuela pod ramię i czując na policzkach całe gorąco tropikalnej nocy, oświadczyła:

– Manuel zaprosił mnie na polowanie, a ja z radością przystałam.

Manuel spojrział na nią ze zdumieniem, ale najwyraźniej coś w jej oczach uświadomiło mu, że lepiej nie zadawać pytań. Odsunęli się we dwoje, by przepuścić resztę, i odczekali, aż robotnicy rozejdą się w różnych kierunkach. Później Manuel poprowadził Julię do jednego z magazynów, po lampę naftową, i zaproponował, by przyłączyli się do grupy, która miała przeczesywać pola położone najbliżej. Dookoła panowała nieprzenikniona ciemność. Słyszeć było jedynie szepty i, od czasu do czasu, jakieś głuchoe stuknięcia. Pomijając nieprzyjemną świadomość, że jest się ze wszystkich stron otoczonym przez dżunglę, i niepokój związany z obecnością tysięcy owadów, polowanie – zdaniem Julii – nie dostarczało jak dotąd zbyt wielu emocji.

– Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje – mruknęła, pocierając dłońmi ramiona.

– To w dżungli typowe. Jeśli wolisz, możemy wypić w jadalni kawę i po prostu zaczekać.

Julia przyjęła tę propozycję z zachwytem. Przez dłuższą chwilę gawędzili z Manuelem na różne tematy, skacząc z jednego na drugi z taką łatwością, jakby się znali od lat.

Dudnienie bębnow ściągnęło ich z powrotem na ziemię.

Przed barakami żony robotników rozpałały już ogniska, by upiec pozabijane

maczetami polne szczury. Kilianowi całe to szwendanie się po ciemku wśród kakaowców mocno się dłużyło. Z przyjemnością ogrzał się przy ogniu, bo przed porą deszczową noc stawały się już chłodne. Jakiś robotnik podarował białym butelkę alkoholu znanego jako *malamba* i Simón pobiegł po szklanki. Wrócił w towarzystwie Antona, Santiaga i Josego, którzy wprawdzie nie brali udziału w polowaniu, ale na ucztę, owszem, się pisali. Brakowało jedynie zarządcy. Garuz miał zwyczaj po skończonym dniu pracy wracać do domu w Santa Isabel, gdzie czekała na niego rodzina. Na plantacji nocował tylko w wyjątkowych okolicznościach.

– Mocne jak diabli! – sapnął Mateo, machając dłonią, jakby chciał w ten sposób ulżyć gardłu piekącemu od wódki trzcinowej. – Nie wiem, jak oni to piją.

– Powinieneś być się już przyzwyczajaić! – zaśmiał się Marcial, wychylając od razu całą szklankę i zwracając się do Simona po dolewkę.

Kilian już po jednym łyku poczuł, że łyzy napływają mu do oczu, i zaczął kasłać.

– Ostrożnie, stary! – Marcial poklepał go po plecach. – Na początku trzeba powoli. To nie idzie do żołądka, tylko od razu do krwi!

– Coś mi się zdaje, że jutro rano wszystkich nas będzie bolała głowa – ostrzegł Antón z uśmiechem, maczając usta w alkoholu.

Kilian, który tymczasem doszedł do siebie, choć policzki wciąż go paliły, cieszył się, że ojciec bawi się z nimi. Przymknął oczy, pociągnął jeszcze jeden, ostrożny łyk i tym razem poczuł przyjemne ciepło rozlewające się w mięśniach. Kiedy znów uniósł powieki, zobaczył, że od strony domu zbliżają się Julia z Manuelem.

Julia na widok Antona nerwowo podskoczyła i już miała zawrócić, gdy Manuel złapał ją za ramię i mruknął:

– Spokojnie. Przecież cię nie wydam.

Nawet jeśli odgadł przyczynę jej nocnej wizyty w Sampace, nigdy później nie zająknął się na ten temat ani słowem.

Julia skinęła głową, wdzięczna mu i zarazem podekscytowana możliwością wzięcia udziału w afrykańskim święcie.

– Wciąż tu jesteś? – spytał zaskoczony Jacobo.

– Julio! – Antón też się zdziwił. – Dawno cię nie widziałem. Jak się mają Generosa i Emilio?

– Doskonale, dziękuję. Chociaż ojcu bardzo brakuje pańskiego towarzystwa.

– Przekaż rodzicom, że któregoś dnia do nich zajrzę. A skąd się tutaj wzięłaś o takiej porze?

Manuel pospieszył na pomoc:

– Obiecałem, że ją zaproszę na polowanie, i dotrzymałem słowa.

Jacobo zmarszczył brwi.

– Polowanie już się skończyło. Myślałem, że pojechałaś do domu.

– Miałabym przegapić resztę atrakcji? – odparła z kokieteryjnym uśmiechem.

– Nie wiem, czy to odpowiednie miejsce... – zaczął Jacobo, popatrując na Manuela i Antona.

– Dla białej kobiety? – dokończyła Julia z przekorą w głosie. – Przestań, Jacobo, nie bądź taki staroświecki.

Antón popatrzył na starszego syna i wzruszył ramionami. Nagłe wspomnienie ciekawskiej Mariany, która swego czasu też bardzo chciała wszystko oglądać z bliska, wywołało na jego ustach lekki uśmiech. Od tamtej pory minęło trzydzieści lat! Całe życie! Westchnął, napił się jeszcze malamby, usiadł na uczynnie podstawionym przez Josego krześle i postanowił porozpamiętywać tej nocy przeszłość, którą wygrywane na bębnach rytmy z pewnością miały mu przypomnieć.

Kilian przycupnął na ziemi obok Manuela i Julii, a kawałek dalej usadowiła się reszta białych. On też nigdy wcześniej nie uczestniczył w takiej typowo afrykańskiej imprezie, toteż doskonale rozumiał zainteresowanie dziewczyny. Zdziwił się natomiast reakcją Jacoba. Brat zdawał się zainteresowany Julią bardziej niż zwykle i marszcząc brwi, nieustannie się jej przypatrywał. Czyżby był zazdrosny? Nie zaszkodziłoby mu wcale, gdyby sam posmakował uczuć, które zazwyczaj wywoływał u innych, tyle że, tak czy owak, nie potrafił się niczym długo przejmować. Tak rozmyślając, Kilian przyjął rękę Simona kolejną szklankę alkoholu i wkrótce ogarnęła go rozkoszna błogość. Chłonąc wszystko dookoła, podobnie jak Julia dał się owładnąć magii tej jasnej od ognisk nocy.

Wiele kobiet ozdobiło szyje, talie i kostki u nóg sznurami koralików. Oprócz tego miały na sobie wyłącznie postrzępione spódnice, rozchylające się od ich ruchów w takt regularnego, obsesyjnego dudnienia skórzanych bębnów. Na spoconych ramionach muzyków rysowały się węzły mięśni.

Dudnienie stawało się coraz szybsze i tancerki zaczęły się wyginać w iście frenetycznym rytmie. Na oczach swoich dumnych mężczyzn obłądnie kołysały piersiami. Julia z chęcią zrzuciłaby sukienkę, żeby przyjąć w siebie choć trochę energii bijącej od tych ciał stworzonych do tańca i rozkoszy. Manuel obserwował ją kątem oka, zafascynowany jej wyraźnym podnieceniem.

Te nieprawdopodobne wygibasy trwały dłuższą chwilę. Do kobiet dołączyło paru mężczyzn, taniec zrobił się dziko wyuzdany. Kilian rozpoznał Ekona, Mosiego i Nelsona. Uśmiechnął się pod nosem: gdyby pojawił się jeszcze Umaru, do kompletu nie brakowałoby żadnego z jego *znajomych*. Skóra tancerzy lśniła, krople potu spływały po napiętych ciałach. Kiedy Kilianowi – a pewnie i innym – zaczynało się już kręcić w głowie od ciągłego wstrzymywania oddechu, muzyka zwolniła. Kilkoro dzieci skorzystało jeszcze z okazji, by wykonać parę tanecznych kroków, po czym dudnienie ucichło. Wtedy przyszała pora na jedzenie i dalszy ciąg picia. Nigeryjczycy pokrzykiwali i śpiewali radośnie, podczas gdy Hiszpanie, wciąż rozemocjonowani tym, co zobaczyli, siedzieli raczej w milczeniu.

Dla Julii wszystko skończyło się wraz z zerknięciem na zegarek.

– Boże święty! Jak późno! Moi rodzice... – szepnęła.

– Jeśli chcesz – Manuel pochylił się do jej ucha – wezmę samochód, pojedę za tobą i powiem twoim rodzicom, że spotkaliśmy się w kinie, a potem zasiedzieliśmy się w kawiarni.

– Zrobiłbyś to?

– Z przyjemnością. Ale nie będziemy się wdawać w szczegółowe streszczanie filmu. – Manuel puścił do niej oko.

– Do zobaczenia, Julio – zawołał za nimi Gregorio. – Ukłony dla Emilia.

Dziewczyna obróciła się, a widząc, kto się odezwał, ograniczyła się do bliżej nieokreślonego gestu.

– Nie wiedziałem, że ją znasz – rzucił Jacobo.

– O, tak. Parę tygodni temu nawet z nią rozmawiałem, w sklepie. Pytała mnie o jakąś rzekomą awanturę na plantacji. Wyprowadziłem ją z błędu. Braciszek ci nie opowiadał?

Jacobo popatrzył na Kiliana, który z rezygnacją skinął głową, i od razu zrozumiał, kto ich wsypał.

– Gregorio, jesteś skończonym kretynem – powiedział głośno i wyraźnie, zrywając się na równe nogi i stając nad nim. – Rusz tyłek! Zaraz ci go skopię!

Antón i reszta zareagowali natychmiast. Gregorio już się gotował do walki. Robotnicy obserwowali to wszystko w ciszy, połyskując rozbawionymi spojrzeniami: rzadko się zdarzały bijatyki wśród białych.

– Nikomu niczego nie skopiesz, Jacobo – rzekł twardo Antón, ujmując syna za ramię. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni i podpici. Rano zobaczymy sprawy w innym świetle.

Jacobo wyrwał się ojcu i klnąc, ruszył wraz z Mateem i Marcialem na poszukiwanie alkoholu. Gregorio z powrotem opadł na ziemię, rozglądając się za jakąś kobietą, z którą mógłby zakończyć wieczór.

Kilian postanowił pójść w ślady najstarszych. Od wódki nogi miał jak z gumy i musiał naprawdę się starać, by nie pokazać przy ojcu, jak bardzo jest pijany.

Gdy dotarł do pokoju, wciąż czuł się rozgrzany i rozluźniony. Światła nadal nie było, więc podszedł do okna, by uchylić okiennice i chociaż trochę rozproszyć ciemności. Po drodze potknął się o coś miękkiego i omal nie upadł. Potem usłyszał wysokie syczenie. Obrócił się i krew uderzyła mu do głowy, podczas gdy całe ciało zeszywniało ze strachu. Naprzeciwko przeżył się ponadmetrowy wąż z trójkątną głową wielkości kokosa.

Kilian chciał się ruszyć, ale nie potrafił. Zupełnie jakby jego mózg kontrolował wyłącznie oczy, wbite w poskręcane ohydnie gada. Wąż miał spiczasty łeb, a na nim dwie długie, ostro zakończone wypustki; podobne, tylko nieco mniejsze, dało się dostrzec w okolicach jego nozdrzy. Na głowie potwora widać było dużą plamę w kształcie strzałki, czarną tak samo jak podwójne romby na jego grzbiecie, układające się wraz z żółtymi arabeskami w fascynującą mozaikę.

Kilian chciał krzyknąć i też nie mógł. Wąż sunął teraz w jego stronę, nadymając się i sycząc jeszcze głośniej. Wyciągał do przodu łeb, pokazując długie, zakrzywione zęby jadowe, ociekające od śmiertelnej trucizny. Oczy Kiliana odnalazły na krześle po prawej maczetę. Musiał tylko wyciągnąć rękę, tyle że ręka ciążyła mu jak kawałek drewna. W skroniach waliły setki młoteczków, ogromna pustka przemieniała jego ciało w wydrążony pień. Czuł, że ocieka potem.

Musiał coś zrobić, przezwyciężyć tę słabość, w której pogrążyło go przerażenie.

Skupił całą wolę na mięśniach szyi i wydał z siebie przenikliwy, podobny do wycia krzyk, który jeszcze zyskał na intensywności, gdy ręka sięgała maczety i wściekle wywijala ją w powietrzu, żeby ściąć trójkątną głowę. Krzyk trwał, podczas gdy ręka zamieniała ciało węża w miazgę, z gwałtownością, której Kilian nie potrafił

kontrolować. Widok gadziej krwi sprawił, że jego własna, zmieszana z wódką, zaczęła krążyć szybciej, wywołując przesadną euforię. Kilian nadział łeb węża na maczetę i wypadł z pokoju rozwścieczony jak nigdy przedtem.

Natychmiast natknął się na zaalarmowanego Simona. Złapał go wolną ręką i mocno chłopakiem potrząsnął.

– To coś nie dostało się do mojej sypialni samo z siebie! – wrzasnął. – Na takie właśnie rzeczy powinieneś uważać! Kto ci za to zapłacił, no? Kto?

Simón nie rozpoznawał w tym furiacie zwykłego Kiliana.

– Ja nic nie wiem, *massa!* – bronił się błagalnym głosem. – Przez cały czas byłem z panem!

Sąsiednie drzwi uchylily się, ukazując Antona i Santiaga, którzy błyskawicznie oswobodzili Simona; mówili coś, czego Kilian nie słyszał, myślami cały skupiony na grupie wciąż biesiadującej przy ognisku. W jego głowie mieszały się obrazy nagich ciał tańczących w rytm bębnów, odgłosy urywanych chichotów, krzywe uśmiechy, krew i jeszcze więcej krwi, konający słoń, bezgłowe szczury, śliskie węże, uderzenia maczet, Mosi, Ekon, Nelson...

Skoncentrował uwagę na Simonie.

– Widziałeś, żeby ktoś się tu kręcił?

– Nie, *massa...* Tak, *massa...* – Chłopak mocno zagryzł wargi.

– Czyli w końcu jak? – krzyknął Kilian niecierpliwie, pokazując Antonowi i Santiagowi, żeby trzymali się z daleka.

– Kiedy przyszedłem po szklanki, zauważyłem schodzącego po schodach Umaru.

Umaru...

– Sprzątnij w pokoju! – nakazał Kilian. – Ale już!

Sfrunął po schodach, wielkimi susami pokonał dziedziniec i stanął przy dogasającym ognisku, pokazując siedzącym wciąż wokół niego mężczyznom nabite na maczetę trofeum. Na ziemi zarysował się groteskowy cień. Jacobo, Marcial i Mateo zerwali się na nogi, przestraszeni zakrwawioną, oszalałą twarzą chłopaka.

– Ten niech się stąd nie rusza! – Kilian wskazał Gregoria. – A ty, Nelson, powiedz mi, gdzie jest Umaru!

– Nie wiem, *massa.* – Nadzorca uniósł ręce, pokazując jasne wnętrza dłoni. – Nie widziałem go już jakiś czas.

– To idź po niego! Słyszysz? *Tell him make him come!* Jak trzeba, to go tu przywlecz! I przynieś bicz!

Zaległa śmiertelna cisza. Kobiety, popychając przed sobą dzieci, chyłkiem się wycofały. Jacobo wymienił z kolegami zdumione spojrzenia. W tym momencie dołączyli do nich Antón, Santiago i José.

Po chwili wrócił Nelson, ciągnąc za ramię Umaru. Postawił go przed Kilianem.

– Kto ci kazał to do mnie zanieść? – Kilian podsunął mu pod nos głowę węża. – Co? Kto ci za to zapłacił?

Umaru zaczął szczekać zębami. Skulił się pokornie i kilkakrotnie powtórzył te same słowa, które Nelson zaraz przetłumaczył:

– Mówi, że nic nie wie, że cały czas tutaj tańczył.

Kilian podszedł bliżej i schylił się, by spojrzeć oskarżonemu w oczy.

– Kłamstwo! – wycedził. – Widziano cię na galerii prowadzącej do naszych sypialni.

Rzucił maczetę na ziemię i wyciągnął rękę w stronę Nelsona.

– Daj mi bicz. – Nelson się zawahał. – Mówię, żebyś dał mi bicz! Umaru... *If you no tell me true, I go bit you!*

Antón zrobił krok do przodu, chcąc się wtrącić, ale Jacobo go powstrzymał.

– Nie, tato. Niech sam to rozwiąże.

Kilian poczuł w palcach rączkę bicza. Bolało go w skroniach, w piersi, bolały go zęby... Nienawidził tego miejsca! Miał dosyć upału, owadów, rozkazów, kakaowców i Gregoria! Boże, gdyby mógł wrócić do Pasolobino! Z trudem oddychał. Umaru stał bez słowa. Dziesiątki par oczu śledziło rozwój sytuacji. Pierwszy cios spadł na rękę Umaru. Ten jęknął z bólu i odruchowo się cofnął.

– Przytrzymaj go, Nelson! – rzucił Kilian. Podniósł bicz i znów spytał: – Kto ci za to zapłacił, Umaru?

Umaru pokręcił głową.

– *I know no, massa! I know no!*

Kilian obszedł go dookoła i ciął biczem po plecach – raz, dwa, trzy, cztery razy... Z popękanej skóry popłynęła krew. Kilian całkiem przestał nad sobą panować. Nie słyszał już błagań ani szlochów klęczącego teraz na ziemi Umaru.

Właśnie zamachnął się po raz kolejny, gdy jakaś dłoń przytrzymała go za ramię i czyjś spokojny głos powiedział:

– Wystarczy, *massa*. Chłopak powiedział, że wszystko wyzna.

Kilian spojrział na człowieka, który się do niego zwracał: był to José. Poczul zmieszanie. Znów owładnęła nim wielka pustka. Nie potrafił wytrzymać wzroku Josego. Umaru, wciąż klęcząc i pochlipując, wyjaśnił, że na skraju dżungli znalazł gniazdo wielkiej *biti* i zawołał masę Gregora, aby ten ją zabił. *Massa Gregor* wysłał go jednak po skrzynkę, w której przechowali gada do zmroku. Brak światła ułatwił przedostanie się do sypialni.

– A co z twoim strachem przed węzami? – spytał nagle zobojętniały Kilian. – Ile wzięłeś, żeby go przewyciężyć?

Nie czekał na odpowiedź. Zbliżył się do Gregoria, który obserwował całą scenę z bezczelnie założonymi rękoma. Mając Kiliana tuż przed sobą, przekrzywił głowę i lekko się uśmiechnął.

– Gratulacje – mruknął z pogardą. – Jesteś już prawie taki sam jak ja. Dobrze ci się tu będzie powodzić.

Kilian wpatrywał się w niego przez chwilę, która wszystkim pozostałym wydała się wiecznością. Potem, ku zaskoczeniu zebranych, bez zapowiedzi uderzył Gregoria pięścią w brzuch, tak mocno, że tamten upadł.

– I po sprawie. – Kilian z całej siły cisnął bicz na ziemię. – *Palabra conclú.*

Po tych słowach odwrócił się i odszedł wśród ogólnego milczenia.

W pokoju, oświetlonym lampą naftową, zastał porządek. Simón usunął najdrobniejsze ślady zajścia z węzem. Kilian usiadł na łóżku i, przymknąwszy oczy, ukrył twarz w dłoniach. Nadal ciężko dyszał. Ostatnie minuty wyświetlały mu się w

głowie bezgłośnie, lecz wyraziście. Widział białego mężczyznę, który bez litości chłostał czarnoskórego. Widział pękającą skórę i lejącą się krew. Widział dziesiątki przypatrujących się temu niemych, niewzruszonych ludzi. A bijącym był on sam! Dał się ponieść złości i skatował Umaru! Jak to możliwe? Co za diabeł w niego wstąpił?

Brzydził się samym sobą.

Kręciło mu się w głowie. Z trudem dźwignął się na nogi. Podszedł do umywalni i wsparł się o jej krawędź. Wygięty w kabłąk długo wymiotował. Potem uniósł głowę i w lustrze zobaczył swoją twarz.

Nie rozpoznał jej.

Jego zielone oczy – które zapadły się w czarne doły kontrastujące z białą wychudłych policzków obryzanych teraz krwią – zdawały się raczej szare, czoło przecinały cienkie, głębokie zmarszczki.

– Nie jestem taki jak on – powiedział. – Nie jestem!

Ramiona mu zadygotały, gdzieś w piersi zaczął nabrzmiwać głęboki szloch. Nie chciał się hamować, zapłakał.

I płakał, dopóki starczyło mu łez.

Nazajutrz zarządca wezwał go do siebie z samego rana. W gabinecie byli już również Gregorio, Antón i José.

– Przejdę od razu do rzeczy – zaczął Garuz tonem niewróżącym nic dobrego. – Wiem, co zaszło ubiegłej nocy, toteż oszczędzę wam przesłuchań. – Tu zwrócił się do Gregoria. – Nie ulega wątpliwości, że nie możecie z Kilianem pracować dłużej razem. Na Obsay wyślę z tobą Marciala. Tylko on sobie z tobą radzi i nie zrobi mu to różnicy.

Potem zajął się Kilianem, który z trudem powstrzymywał rozdrażnienie jego przemową. Każde słowo wbijało mu się w mózg jak bolesny kołek. Obudził się z potwornym kacem i momentami ledwie widział na oczy. Miał nadzieję, że zażyte na czczo optalidony szybko przyniosą efekt.

– Od tej pory będziesz pracował z Antonem i Josem tutaj. Ale nie traktuj tego jako nagrody. Jeszcze jedna awantura, wszystko jedno jaka, i wylatujesz, jasne? – Garuz zabębnił palcami po biurku. – Nie zwolnię cię teraz wyłącznie ze względu na twojego ojca, więc możesz mu podziękować. To tyle.

Otworzył szufladę i zaczął wyjmować z niej jakieś papiery.

– No, jesteście wolni.

Czterej mężczyźni wstali i w milczeniu ruszyli do drzwi. Kilian szedł ostatni, ze spuszczoną głową, bo nie miał odwagi spojrzeć na ojca. Gdy znaleźli się na zewnątrz, każdy udał się w swoją stronę. Kilian postanowił wpaść jednak do jadalni na kawę. Po chwili zjawił się tam również Jacobo.

– Szukałem cię. – Jego głos brzmiał ochryple. – Tata opowiedział mi o spotkaniu z Garuzem. Dobrze się czujesz?

Kilian skinął głową.

– Cieszę się, że nie muszę wracać na Obsay – rzucił – ale przykro mi ze względu na ciebie. Też pewnie wolałbyś pracować tutaj.

– Skąd! – Jacobo machnął ręką. – Dobrze mi tam, gdzie jestem. Na Yakató nikt mnie nie pilnuje. – Puścił do brata oko i po przyjacielsku szturchnął go łokciem. – Mateo i ja

świetnie się tam urządziliśmy. Tutaj wszystko dzieje się na widoku.. A tacy dranie jak my wolą się ukrywać. – Widząc, że Kilian nawet się nie uśmiechnął, porzucił żartobliwy ton. – Kilian, zrobiłeś to, co należało. Pokazałeś im, kto tu rządzi. Od tej pory będą cię szanować. Gregorio też.

Kilian zacisnął wargi. Świeżo nabyte prawo do „szacunku” jakoś nie wydawało mu się powodem do dumy. Usiadł i wziął od Simona filiżankę z kawą. Gestem pokazał, że nie chce do niej koniaku.

– To ja lecę – pożegnał się Jacobo. – Zobaczymy się wieczorem.

Gdy znikł za drzwiami, do Kiliana znów zbliżył się Simón. Parę razy otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć.

– W porządku – rzucił Kilian. – Nie potrzebuję nic więcej. Możesz iść. – Simón się nie ruszył. – O co chodzi?

– Widzi pan, *massa*... Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

– No? – mruknął niechętnie Kilian. Kawa rozgrzewała mu żołądek, ale ból głowy nie mijał. Do kompletu brakowało tylko nowych kłopotów.

– Dziś w nocy stało się coś jeszcze, *massa*. Dwaj przyjaciele Umaru chcieli go pomścić i przyszli do pana. – Oszołomiony Kilian powoli uniósł głowę. – Tak, *massa*. Po imprezie José nie położył się spać tak jak inni. Powiedział mi, że coś jest nie tak. I postanowił przy panu czuwać. Tak, tak, a ja razem z nim. Tamci, korzystając z ciemności, zakradli się do pana pokoju, gdzie na nich czekaliśmy: ja, José i dwaj strażnicy, winni mu przysługę. – Simón z przejęciem błysnął ciemnymi oczyma. – Oni mieli maczety! Chcieli pana zabić! Dobrze, że José się zorientował, *massa*! Och, jak dobrze!

Kilian nie zdołał wykrztusić słowa. Podał Simonowi filiżankę i chłopak poszedł dolać mu kawy. Gdy wrócił z kuchni, Kilian wychrypiał:

– Co się z nimi stanie?

– Zostali ukarani przez strażników, a teraz przymusowo wrócą do Nigerii. Umaru też. Ale proszę się nie martwić, *big massa* się o niczym nie dowie. Nikt nie puści pary z ust. I nikt też nie spróbuje już niczego podobnego. Niebezpieczeństwo minęło, *massa*, chociaż przez jakiś czas lepiej jednak zamykać drzwi i okna.

– Dziękuję, Simón – mruknął Kilian w zamyśleniu. – Za pomoc i za to, że mi powiedziałeś.

– Chciałbym prosić, *massa* – odezwał się błagalnym głosem chłopak – żeby nie mówił pan Josemu o naszej rozmowie. On zna moją rodzinę, pochodzimy z tej samej wsi... A kazał mi obiecać, że nic panu nie powiem...

– To dlaczego powiedziałeś?

– Pan jest dobry, *massa*. A z tym węzłem to było złe, naprawdę złe...

– Nie przejmuj się. – Kilian wstał i położył chłopakowi dłoń na ramieniu. – José się nie dowie.

Wyszedł na dwór i spojrzał w niebo, na niskie, ciemne chmury. W powietrzu czuć było wilgoć. Przez kolejne godziny upał miał się jedynie wzmacniać, jednakże sam fakt, że oto nastał nowy dzień, podnosił Kiliana na duchu mimo bólu głowy, wyrzutów sumienia i strachu na myśl o tym, co mogło się stać.

Kawałek dalej José spokojnie rozdzielał między robotników zadania. Był niezbyt

wysoki, ale silny, i to wbrew swojej chudości, kontrastującej z masywnymi ciałami Nigeryjczyków. Od czasu do czasu, gdy musiał podjąć jakąś decyzję, powolnymi ruchami przyglądał w zadumie swoją krótką szpakowatą brodę. Robotnicy go szanowali, może dlatego, że zachowywał się wobec nich jak ojciec. Znał ich wszystkich po imieniu i traktował z góry, lecz łagodnie, stanowczo, lecz sprawiedliwie, jak gdyby doskonale każdego rozumiał i potrafił przewidzieć jego reakcje.

Na jego widok Kilian poczuł przypływ głębokiej wdzięczności. Chcieli się na nim zemścić, kiedy spał... José uratował mu życie! Gdyby położył się spać, tak jak inni, on, Kilian, byłby już... martwy! Co nim kierowało? Dlaczego przejmował się losem jakiegoś białego? Prawdopodobnie ze względu na Antona. Kilian zadrżał. Nie wiedział jeszcze, jak to zrobić, ale musiał udowodnić temu szlachetnemu, odważnemu człowiekowi, że jego wysiłek nie poszedł na marne.

Tego samego wieczoru wziął pick-upa i, nic nikomu nie mówiąc, wyprawił się do Santa Isabel.

Pojechał prosto do Anity Guau. Przy barze od razu zamówił whisky i spytał o Sade.

Później wczepił się w jej ciało z zimną zachłannością, z jaką mech czepia się puchowca: czerpiąc z niego życie i niewiele dając w zamian.

VI. INSIDE THE BUSH

W dżungli, 1955

Ostatnia ciężarówka wyładowana workami kakao oddaliła się drogą wśród wielkich palm, zmierzając do portu w Santa Isabel. Kilian odprowadzał ją wzrokiem, pełen ulgi, dumy i satysfakcji. Jego pierwszy pobyt na wyspie zakończył się sukcesem. Po dwudziestu czterech spędzonych tutaj miesiącach człowiek czuł się prawdziwym ekspertem w sprawach kakao. To z Sampaki słynęło na cały świat ze swej wyjątkowej jakości, w związku z czym kosztowało aż pięć peset więcej za kilogram niż inne – a produkcja liczyła się przecież w tonach. Oznaczało to prawdziwą fortunę, którą on, Kilian, pomagał zarobić, harując jak wół w suszarniach: dniem i nocą własnymi rękoma sprawdzał stan ziaren, pilnując, by zgrubiały bez pękania i zyskały właściwy kolor osiągany tuż przed stadium niepożądanego bielenia. Suche, dobrze sfermentowane ziarno, które pakowano do worków i na statki, było brązowe, kruche, lekko gorzkie w smaku i miłe w zapachu.

Jacobo i Mateo zmęczeni usiedli nieopodal na murku i zapalili. Marcial stał obok.

– Jestem wykończony – sapnął Mateo. – A kakaowy pył mam wszędzie.

Jacobo przetarł czoło wyjętą z kieszeni chusteczką.

– Garuz jest zadowolony ze zbiorów – powiedział. – Są najlepsze od lat. Będzie musiał dać nam jakąś premię!

Kilian też był zmordowany. W ostatnich dniach niejednokrotnie odczuwał pokusę, by pójść w ślady niektórych robotników i, korzystając z okołobożonarodzeniowego zamieszania, wymigać się od pracy. Przysiadł teraz obok towarzyszy i wziął od brata papierosa. Głęboko się zaciągnął. Drobnutki proszek brązowego koloru wciskał się we wszystkie pory skóry. Nawet po zamknięciu suszarni w powietrzu utrzymywał się zapach prażonych ziaren. Słońce stało już nisko, lecz straszliwy upał nie zelżał. Kilian wciąż słyszał echo kołęd rozbrzmiewających podczas gwarnych, mocno zakrapianych alkoholem obchodów drugiej Gwiazdki, którą spędził poza domem, i ciągle dziwił się, jak to możliwe, że w styczniu do ciała lepi się przepocone ubranie. Przypomniał sobie bożonarodzeniową mszę, na którą poszedł w koszuli z krótkim rękawem, brązowe od słońca twarze w kaplicy i, wcześniej, poranne skoki do basenu. Tym razem pora sucha w Sampace okazała się jeszcze gorętsza niż zwykle, a przelotne deszcze nie przynosiły żadnej ulgi.

– W pasolobińskich górach z pewnością zimno teraz jak diabli, co, chłopcy? – odezwał się Marcial, z trudem rozpinając malutkie guziki koszuli wielkimi palcami.

Kilian wyobraził sobie rodziców i Catalinę, jak siedzą przed kominkiem, podczas gdy bydełko spokojnie pożywia się w oborach, a śnieg przykrywa łąki grubą kołdrą. Tęsknił za tym wszystkim, ale wraz z upływem czasu straszliwa melancholia pierwszych miesięcy na wyspie nieco zelżała, tak że teraz można ją było wytrzymać.

– Szczerze mówiąc, mam wielką ochotę zmienić klimat – rzucił.

– No, dużo ci nie zostało. Jak tylko wróci tata, bo założę się, że wróci, popłyniesz do

Hiszpanii. Ale ci zazdroścę...

Antón pożegnał się z synami tak, jakby planował nie pokazywać się na plantacji nigdy więcej, jednakże Kilian nie zamierzał się z bratem o nic zakładać, albowiem podobnie jak Jacobo nie wątpił, że ojciec, wzorem poprzednich lat, zawita do Sampaki niechybnie, wypoczęty i nieco mniej chudy.

– Ej, nie skarż się tak – upomniał Jacoba. – Przecież przyjdzie i twoja kolej.

– Mówię to na głos z niechęcią, ale muszę przyznać, że się sprawdziłeś. Sprawdził się, co, Mateo? – Tamten przytaknął. – Kto by pomyślał! Nawet twój wygląd się zmienił... Wcześniej byłeś jak szczapka, a teraz proszę: masz większe mięśnie niż Mosi!

Kilian uśmiechnął się na ten przesadny komplement, niemniej faktem pozostawało, że bardzo się starał, by ojciec, brat, koledzy i sam zarządca byli z niego dumni; pragnął też odkupić się w ich oczach po incydencie z Umaru i Gregoriem. Przyszło mu to zresztą bez trudu, jako że potrafił ciężko pracować i wywiązywać się ze swoich obowiązków. Pamiętał pierwsze dni spędzone na Fernando Poo i nawet nieco się dziwił, że ostatecznie tak łatwo wpasował się w codzienny rytm życia na wyspie, wyznaczany przez dudnienie bębnow i nigeryjskie śpiewy. Wkrótce znów mieli wrócić na pola, między kakaowce, na granicę fascynującej dżungli, gdzie maczety całymi godzinami nieubłaganie cięły *bicoro*, a ciecz bordoska spryskiwała młode krzewy...

– Chyba będę musiał przyznać wam rację: tacie, tobie, Julii... Tak, przyzwyczailem się do tutejszych warunków. Ale dłuższy pobyt w domu i tak dobrze mi robi...

Kątem oka zauważył, że Jacobo na wzmiankę o Julii zaciska zęby. W listopadzie, w atmosferze organizowanych w Santa Isabel raz po raz tańców, koncertów i wyścigów dżubanek, Julia i Manuel oficjalnie się zaręczyli. Od tamtej pory mogli spędzać czas po swojemu bez konieczności ukrywania się – jeżdżąc po wyspie w poszukiwaniu ciekawych roślin, jedząc podwieczorki w pensjonacie w Moce, chodząc do kina albo na basen w kasynie. Emilio i Generosa uwielbiali Manuela, ponieważ był dobrze wychowanym młodym człowiekiem, a w dodatku lekarzem. Jacobo przyjął wiadomość o zaręczynach jak gdyby nigdy nic, lecz jego duma trochę ucierpiała. Doskonale rozumiał, że nie chcąc wiązać się zbyt wcześnie, pozwolił innemu mężczyźnie sprzątnąć sobie sprzed nosa wyjątkową kobietę. Dla osłody wciąż krążył między Sampaką a Santa Isabel, otwarcie skarżąc się tylko na brak towarzystwa do nocnych hulanek. Bata leżała zbyt daleko, by Dick i Pao byli w stanie odwiedzać wyspę wystarczająco regularnie, a Mateo i Marcial nad erotyczne eskapady coraz częściej przedkładali spotkania z koleżankami Julii w kasynie.

– Twój wyjazd strasznie zmartwi tę ślicznotkę... No... Jakżeż się ona nazywa? Wiecznie zapominam. – Mateo złośliwie przymrużył oczy.

– Którą masz na myśli? Przecież wszystkie za nim szaleją. – Marcial ułożył usta jak do pocałunku. – Uważaj, Jacobo. Twój braciszek zaczyna ci zagrażać.

– Chyba musi bardziej się starać – zaśmiał się starszy z braci. – Bo na razie to przypomina mnicha... Wiecie, co słyszałem od dziewczyn z miasta? – Tu zwrócił się bezpośrednio do Kiliana. – Że niedługo będziesz wyglądał jak jeden z tych farmerów, co to dziczeją, bo nigdy nie wychodzą z dżungli...

– E tam... Bez przesady. A co do was – Kilian przystąpił do kontraktacji, wesoło

popatrując to na Matea, to na Marciala – pamięć służy wam nader wybiórczo. No, ale przypuszczam, że przy Mercedes i Ascensión łatwo zapomnieć o podopiecznych Anity.

– Oj, łatwo – zgodził się Mateo z szelmowską miną. – Tak samo jak przy podopiecznych Anity o Mercedes i Ascensión.

Wszyscy czterej wybuchnęli śmiechem.

– Śmieście się, śmieście – mruknął Jacobo z ironią. – Ale już was widzę, jak idziecie w ślady Manuela i po błyskawicznych zaręczynach zaczynacie jadać podwieczorki w pensjonacie.

– Na każdego przyjdzie kiedyś pora, Jacobo. – Marcial wzruszył potężnymi ramionami, uśmiechając się z rezygnacją. – Prędzej czy później. Latka lecą, trzeba pomyśleć o założeniu rodziny, ot co.

– Idę się wykąpać. Niedługo kolacja. – Jacobo wstał z nienacka i ruszył w stronę głównych zabudowań. Inni poszli za nim.

– Ten to dopiero zasmakował w czarnym mięsie! – szepnął Mateo do Marciala, potrząsając głową. – Nie wiem, czy zdoła się przestawić na inne...

Kilian skrzywił się na to z niechęcią. Zawsze było tak samo: nawet jeśli przez chwilę miał wrażenie, że jest jednym z nich, w końcu zostawał z uczuciem niesmaku. Zapalił papierosa i zwolnił kroku. Lubił tę chwilę, co wieczór o tej samej porze, gdy niemal bez zapowiedzi albo raczej po krótkim sygnale ostrzegawczym dzień zamieniał się w noc z iscie tropikalną gwałtownością. Oparł się o ścianę, czekając, aż zapadną ciemności, i pomyślał o Sade.

Przywołał obraz jej smukłego ciała, długich nóg, gładkiej skóry, dużych, twardych piersi i wąskiej twarzy o ciemnych migdałowych oczach, które pod względem piękności ani trochę nie ustępowały cudownym mięsistym ustom. Ostatnie miesiące były gorzkawo-słodkie, tak samo jak przesycający powietrze ciemny kakaowy pył: ciężką pracę wynagradzały wspaniałe zbiory i krótkie oraz rzadkie – ale wykorzystywane do oporu – chwile wypoczynku właśnie u boku Sade. Koledzy mieli rację. W miarę jak jego mięśnie twardniały od fizycznego wysiłku, a skóra nabierała ładnej, brązowej barwy, kobiety zaczynały do niego lgnąć nie mniej niż do Jacoba. Gdy bracia, wystrojeni w białe lniane, starannie wyprasowane koszule i szerokie beżowe spodnie, z wybrylantowanymi ciemnymi włosami, zjawiali się w towarzystwie, kobiety – białe i czarne – na wyścigi zabiegały o ich uwagę. Kilian doskonale zdawał sobie sprawę, że wyjście gdziekolwiek z bratem oznacza, że człowiek wypije zbyt dużo whisky i skończy wieczór w ramionach jakiejś pięknej kobiety. On sam wszakże już wiele miesięcy wcześniej zmęczył się tym nadmiarem alkoholu i imprez. Dlatego ograniczył swoje wizyty w mieście do sporadycznych spotkań z Sade, absolutnie koniecznych, żeby radzić sobie z cielesnymi żądzami. A Sade nigdy go o nic nie prosiła, nigdy mu niczego nie wyrzucała. Jechał do klubu i ona już tam była, zawsze gotowa, by po wielotygodniowej przerwie znów spędzić z nim noc. Jemu bardzo to odpowiadało. Lubił jej żywe poczucie humoru, jej towarzyskie obycie, jej czułość.

W końcu ich relacja wyszła, rzecz jasna, na jaw i trzeba było znosić typowe w takich sytuacjach komentarze. Kilian próbował przyjmować je ze spokojem, a nawet się żartobliwie odcinał, jednakże w głębi duszy czuł wobec siebie samego coś w rodzaju

pogardy, albowiem, przynajmniej na pozór, upodobił się do innych. Różnica między nim a bratem sprowadzała się jedynie do liczby kobiet, z którymi sypiali. Zniesmaczony tą myślą zaczął się w pewnym momencie zastanawiać, czy mógłby potraktować Sade jako ewentualną żonę lub matkę swoich dzieci...

Odpowiedź na to pytanie czała się gdzieś w jego wnętrzu tak długo, że w końcu mieszała się z potrzebą zapalenia kolejnego papierosa i tak już zostawała, skulona i tchórzliwa niby polny szczur, niezdolna wydostać się na światło dzienne.

Wkrótce potem Jacobo pokazał bratu telegram, który dostał z Baty.

– To od Dicka. Zaprasza nas do Kamerunu. Zapolujemy na słonie i przy okazji spędzimy kilka dni w Duali. Garuz jest z nas zadowolony, na pewno pozwoli nam jechać. Problem w tym, że w sobotę za tydzień w Klubie Rybackim ma się odbyć bal z okazji zakończenia zbiorów. Wszyscy tam będą. Poza tym zdobyłem bilety na mecz bokserski na stadionie w Santa Isabel. Slow Poison przeciwko Czarnej Kuli. – Zaklął. – Całymi miesiącami nic się nie dzieje, a potem nagle wszystko się zbiega! Co robimy?

Kiliana nie kusila żadna z tych trzech możliwości. Do polowań na słonie – od czasu rozmowy z Dickiem i Paem w kasynie – czuł zdecydowaną niechęć. Kolejny towarzyski spęd nie pociągał go w najmniejszym stopniu, co zaś do boksu – nigdy nie potrafił zrozumieć, jak można znajdować przyjemność w oglądaniu dwóch facetów lejących się nawzajem do utraty przytomności.

– Ja do Kamerunu nie jadę – oświadczył i zaraz podał bratu proste, zrozumiałe dla niego wyjaśnienie: – To na pewno droga wyprawa, a ja oszczędzam na podróż do Hiszpanii. Ale ty jedź.

– No... – Jacobo zmarszczył nos i cmoknął. – Wiesz co? Innym razem. Czyli idziemy na bal... Spokojnie zdążymy po meczu...

Kilian nie odpowiedział.

W polu jego widzenia pojawił się José, dźwigając naręcze pustych worków, które najwyraźniej nie przydały się do załadunku. Przystanął i pokazał jednemu z robotników w suszarni, że trzeba dokładniej zamiatać resztki, z których też wytwarzano kakao, tyle że niskiej jakości.

Kilian aż się uśmiechnął. Niesamowity był ten José! Wyjątkowo skrupulatny. W ostatnich miesiącach spędzili razem tyle czasu, że Kilian znał go lepiej niż pozostałych pracowników plantacji. I bardzo lubił jego towarzystwo. José należał do ludzi niekłótniowych – złościł się bardzo rzadko i zawsze tylko przez chwilę – systematycznych i obdarzonych wrodzoną mądrością, która objawiała się w każdej, nawet najprostszej rozmowie.

– Tylko mi nie mów, że macie z Josem inne plany – odezwał się Jacobo, podążając wzrokiem za spojrzeniem brata.

– Skąd taki pomysł?

– Daj spokój, Kilian, nie urwałem się przecież z choinki. Czy ja nie wiem, że jak tylko możesz, wyprawiasz się z nim do Bissappoo? Nie rozumiem tego.

– Byłem tam tylko trzy czy cztery razy.

– I co robiłeś?

– Pojedź kiedyś z nami, to się przekonasz.

– Do Bissappoo? Po co?

– Żeby miło spędzić wieczór. Porozmawiać z rodziną Josego... Wiesz, tam jest trochę jak w Pasolobino. Każdy wykonuje swoje obowiązki, a potem zasiada z innymi, żeby opowiadać różne historie, tak jak u nas przy kominku... Dzieci bawią się, śmieją i psocą, matki na nie krzyczą... Trochę się już zorientowałem w tutejszej kulturze, jest bardzo interesująca i tajemnicza... No i sam też mówię tym ludziom o naszej dolinie, a oni pytają...

Jacobo przerwał mu gniewnym machnięciem ręki.

– Na Boga, Kilian! Przestań! – mruknął z niejaką pogardą. – I w ogóle jak możesz woleć wyprawy do Bissappoo od atrakcji Santa Isabel?

– Nie wolę... – bronił się młodszy brat. – Na wszystko jest czas...

– Już sobie wyobrażam, jak inteligentne rozmowy tam prowadzicie!

– Ej, Jacobo. – Kilian zaczynał się irtutować. – Przecież znasz Josego. Tak inny od nas ci się wydaje?

– Poza tym, że jest czarny?

– Tak, poza tym.

– To wystarczy. Jesteśmy od nich różni i tyle.

– Zbyt różni, żeby rozmawiać, ale niekoniecznie, żeby ze sobą sypiać?

Jacobo przewrócił oczyma.

– Wiesz co? – niemal krzyknął. – Myślę, że naprawdę potrzebujesz wakacji!

To powiedziawszy, oddalił się szybkim krokiem, wściekły. Na Kilianie nie zrobiło to wrażenia. Jacobo był porywczy, ale złość szybko mu mijała.

Kilian znów rozejrzał się w poszukiwaniu Josego, który zmierzał akurat w stronę magazynów. Zawołał go po imieniu, wymawiając je tak, jak brzmiało w języku bubi:

– Ösé! Ej, Ösé!

José uniósł głowę, zmienił kierunek i podszedł.

– Jakie masz plany na najbliższą sobotę i niedzielę? – spytał Kilian.

– Nic specjalnego. – José wzruszył ramionami. Kilian zadawał mu to pytanie zawsze wtedy, gdy potrzebował dobrej wymówki, żeby się od czegoś wymigać. – Jedna z moich córek wychodzi za mąż.

– Naprawdę? I to nic specjalnego? – zawołał Kilian. – Gratulacje? Która?

Co nieco już wiedział o życiu osobistym Josego. Jego matka pochodziła z plemienia Bubi, ojciec z kolei wywodził się z ludu Fernandino, czyli spośród potomków pierwszych niewolników wyzwolonych przez władzę brytyjską w poprzednim stuleciu, sprowadzonych przede wszystkim ze Sierra Leone oraz Jamajki i z czasem wymieszanych z innymi wolnymi Afrykańczykami oraz przybyszami z Kuby. Wedle słów Josego, Fernandino swego czasu stanowili wpływową, mieszczańską klasę społeczną, a swój status stracili dopiero wraz z nastaniem Hiszpanów. Od ojca José nauczył się angielskiego oraz hiszpańskiego w odmianie bantu; ojcu również zawdzięczał, że wysłano go wraz z braćmi do katolickich misji, więc w przeciwieństwie do większości swoich czarnych rówieśników potrafił czytać i pisać. Ożenił się z dziewczyną z plemienia Bubi, z którą miał kilkoro dzieci. Idąc w ślady ojca, też posyłał je do katolickiej szkoły. Nie wszyscy Bubi to pochwalali: najbardziej konserwatywni uważali, że kultura białych

obraża duchy ich przodków, jednakże, bez względu na wszystko, musieli podporządkować się kolonizatorom.

– Ostatnia – odrzekł José.

– Ostatnia! – wykrzyknął Kilian, przewrotnie udając zgorzienie. – Na Boga! Ile ona ma? Pięć lat?

Dobrze wiedział, że dziewczyny z plemienia Bubi wychodzą za mąż koło dwunastego albo trzynastego roku życia, co znaczyło, że i ta córka Josego nie jest młodsza, niemniej wciąż widział przed sobą dziewczynkę, która ścisnęła go serdecznie przy każdym odwiedzinach i na pewno była ostatnią spośród licznych pociech jego przyjaciela. Katolicy Hiszpanie nie patrzyli zbyt przychylnie na poligamię, toteż José nigdy nie opowiadał o swoich kolejnych żonach – o ile takie miał – a już na pewno nie przy misjonarzach i księżach w rodzaju ojca Rafaela, wciąż próbujących wyzwolić tubylców od ich starych przekonań.

José nie zareagował. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, po czym, nie zwracając więcej uwagi na Kiliana, zaczął się oddalać na kolację. Dopiero po kilku metrach obejrzał się i zadał wyczekiwane przez chłopaka pytanie:

– Może chciałby pan zobaczyć nasz tradycyjny ślub, *massa* Kilian?

Kilianowi zabłyśły oczy.

– Tysiąc razy cię prosiłem, żebyś mnie tak nie nazywał! Przyjmę zaproszenie, jeśli obiecasz, że już nigdy nie użyjesz wobec mnie słowa *massa*.

– Dobrze, *ma...* – José poprawił się z uśmiechem: – Dobrze, panie Kilianie.

– Nie mów do mnie „pan”! Przecież jestem od ciebie dużo młodszy. Zgoda?

– Nie będę pana nazywał *massa*, ale z formy „pan” nie zrezygnuję. Ciężko mi się przyzwyczaić...

– Och, daj spokój! Przyzwyczajając się pewnie w życiu do trudniejszych rzeczy!

José popatrzył na niego przeciągle i nic nie powiedział.

Waldo podwiózł ich ciężarówką na południowo-wschodni kraniec plantacji, gdzie kończyła się przejezdna droga. Dalej José i Kilian poszli na piechotę, wąską ścieżką wśród drzew, lian i zarośli, miejscami niemal całkowicie tamujących światło słoneczne. Odgłos kroków tłumili zalegające na ziemi liście, usiane pestkami z owoców palmy, które zdążyły już przegnić albo zostały zjedzone przez małpy. Kilian z przyjemnością słuchał treli kosów, skowronków i ptaków zwanych *filicotoy*, skrzeczenia papug i gruchania dzikich gołębi, nieustannie zakłócających uroczysty spokój zielonego, miękkiego i pulsującego życiem korytarza, którym nie bez trudu się przedzierali. Dźwięki na wyspie, podobnie jak widoki, były niezwykle urokliwe. Nic dziwnego więc, że jej europejski odkrywca, Portugalczyk Fernando de Poo, wieki wcześniej nazwał ją Formosa, co znaczy „piękna”.

Kilian wyobrażał sobie innych, którzy tak jak on przez stulecia chadzali tą ścieżką. Trasa zresztą – myślał – może się i nie zmieniła, ale poza tym, ze względu na bujną roślinność, zmieniało się wszystko. Ileż to maczet walczyło tutaj z niepowstrzymanym naporem zieleni? W czasie poprzednich wypraw do Bissappoo zasypywany przez Kiliana pytaniami José opowiedział mu kilka epizodów z historii Fernando Poo, w związku z czym chłopak powoli uświadamiał sobie, jak wiele widziały tutejsze wiekowe

puchowce o spękanych pniach, ilu różnych języków się przez lata nasłuchały.

Wyspa należała do Portugalii, dopóki ta nie oddała jej w zamian za inne wyspy Hiszpanom, którym zależało na łatwiejszym dostępie do afrykańskich niewolników przewożonych do Ameryki. Kilian zawsze się wzdrygał na myśl o tym, że José, Simón, Yeremías czy Waldo mogliby zostać schwytani jak zwierzęta i sprzedani na jakimś targu. Ponieważ jednak Hiszpanie nie interesowali się zarządzaniem tym terenem, brytyjskie statki wojenne i handlowe korzystały z miejscowych zatok, by zaopatrywać się w wodę, bataty i żywe zwierzęta hodowlane – potrzebne w trakcie naukowych i handlowych wypraw w górę rzeki Niger, w głąb kontynentu – a przy okazji kontrolować i ograniczać handel żywym towarem, jako że Wielka Brytania tymczasem zniosła niewolnictwo. Kilian próbował sobie wyobrazić Dicka, jedyne go poznanego do tej pory obywatela Wielkiej Brytanii, jak ten, odziany w strój dawnego marynarza, wyzwala okolicznych Bubich, jednakże przychodziło mu to z trudem, albowiem Dick jakoś nie przypominał bohatera.

Europejskim językiem dominującym przez długi czas na Fernando Poo był zatem angielski. Wielka Brytania chciała nawet kupić wyspę, ale Hiszpanie nie palili się do sprzedaży, dlatego w połowie XIX wieku Anglicy, odstąpiwszy swoje nieruchomości baptystowskiej misji, przenieśli się do Sierra Leone. Od tamtej pory Hiszpania wdrożyła bardziej efektywny plan kolonizacji, z udziałem wojskowych, osadników oraz misjonarzy, którzy przybywali w wielkiej liczbie, by nawracać najpierw tubylców z wiosek – podatniejszych na ich nauki niż mieszkający w mieście baptyści w rodzaju przodków Josego – a później już wszystkich.

Kilian czuł się kolejnym ogniwem tego łańcucha mężczyzn, którzy z takiego czy innego powodu uczynili z tropików swój drugi dom, jednakże cieszył się, że żyje w epoce spokojniejszej, mniej niebezpiecznej i bardziej cywilizowanej niż poprzednie, nawet jeśli teraz, w samym środku dżungli, nie wydawało się to aż tak oczywiste.

Po dłuższej chwili wycinania sobie drogi maczetami i przeskakiwania wielkich pni zagrządzających miejscami przejście postanowili odpocząć na niewielkiej polance. Kiliana od potu piekły oczy, ramiona, podrapane przez gałęzie, lekko mu krwawiły. Umył się i odświeżył w pobliskiej rzeczce, po czym, wzorem Josego, ułożył się na zwalonym pniu cedru. Przymknął powieki i odetchnął ostrym zapachem zbutwiałych liści, przejrzałych owoców i wilgotnej ziemi, niesionym między drzewami przez ledwie wyczuwalne powiewy.

– A kim jest twój przysły zięć? – spytał po chwili.

– To Mosi – odparł José.

– Mosi? Mosi Egipcjanin? – Kilian natychmiast otworzył oczy. Przypomniał sobie olbrzyma pracującego przy karczowaniu dżungli: gdy Mosi napinał mięśnie, rękawy jego koszuli niemalże pękały w szwach. Głowę miał ogoloną, co tylko podkreślało rozmiary jego oczu, warg, uszu. Nietrudno było go zapamiętać. I należało raczej schodzić mu z drogi.

– Tak. Mosi Egipcjanin.

– I ty się na to zgadzasz?

– A dlaczego miałbym się nie zgodzić? – Kilian milczał. – Dlaczego tak to pana

dziwi?

– Och, nie dziwi mnie. To znaczy trochę... No bo... Mosi jest świetnym robotnikiem, ale nie wiadomo dlaczego sądziłem, że będziesz chciał wydać córkę za kogoś ze swoich...

– Moja matka była z plemienia Bubi, a wyszła za ojca...

– Wiem, tyle że twój ojciec też pochodził z Fernando Poo. A nigeryjscy robotnicy, jak już trochę zarobią, wracają do siebie.

– Bez urazy, ale to zupełnie tak jak biali, prawda? Choć skala zarobku jest inna.

– No, biali nie żenią się z twoją córką ani nie zamierzają jej nigdzie wywozić.

– Mosi jej nie wywiezie. – José chyba się trochę zdenerwował. – Wie pan, że to kontrakty zobowiązują Nigeryjczyków do powrotu, ale jeśli któryś się w Gwinei ożeni, wolno mu się tu osiedlić, założyć bar albo sklep, albo uprawiać kawałek ziemi... No i, przede wszystkim, tutaj są lepsze szkoły i opieka lekarska. To chyba dobre powody, żeby zostać, prawda? Dlatego niektórzy robotnicy, tak jak Mosi, oszczędzają, żeby móc zapłacić i ożenić się z jedną z naszych dziewcząt.

Pięiężny aspekt zawierania małżeństwa przypomniał Kilianowi różne anegdoty z rodzinnych stron. Tyle że w Pasolobino to kobieta wносиła wiano, a nie na odwrót.

– A ile dostaniesz za córkę od Mosiego? – spytał zaciekawiony.

José zdenerwował się jeszcze bardziej.

– *White men no sabi anything about Black fashion* – mruknął w pichi.

– Co takiego?

– Mówię, że biali nie znają się na naszych zwyczajach!

José zerwał się na nogi i stanął przed Kilianem.

– Proszę posłuchać, *massa* – świadomie wrócił do dawnego tytułu. – Coś panu powiem. Są rzeczy, których pan nie zrozumie, choćbym tłumaczył i tłumaczył. Uważa pan, że nie kocham córek i że sprzedaję je jak worki kakao...

– Nic takiego nie powiedziałem! – zaprotestował Kilian.

– Ale pan tak pomyślał! – rzucił José, lecz widząc smutek w oczach chłopaka, przyjął łagodniejszy, ojcowski ton: – Cieszę się, że moja córka wyjdzie za Mosiego, ponieważ Mosi to doskonały robotnik, będą mogli latami mieszkać na plantacji. Nasze dziewczęta mają dobre, beztróskie dzieciństwo, potem jednak, gdy wychodzą za mąż, bez przerwy pracują. Zajmują się absolutnie wszystkim, zbierają opał, noszą wodę, harują w polu... – Wyliczając, kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki ujmował kolejne palce lewej. – Sadzą, pielą, zbierają i magazynują malangę, produkują olej palmowy, gotują, wychowują dzieci... – Umilkł na moment i uniósł jeden z palców. – A tymczasem ich mężowie przez cały boży dzień nic, tylko siedzą w Domu Plemiennym... – palec zatańczył w powietrzu – ...piją wino palmowe albo gadają z innymi o polityce!

Kilian milczał i bawił się podjętą z ziemi gałązką.

– Małżeństwo z Mosim wyjdzie mojej córce na dobre – podjął José, już spokojniej. – Zamieszkają w jednym z robotniczych baraków na Obsayu. Dziewczyna jest zdolna. Będzie pomagać w szpitalu i wyuczy się na pielęgniarkę. *Massa Manuel* powiedział, że nie ma nic przeciwko.

– Świetny pomysł, *Ösé* – odważył się wreszcie wtrącić Kilian. – Przepraszam, jeśli cię

zdenierwowałem.

José wychwycił szczerość w jego głosie i skinął głową. Kilian wstał i powiedział:

– Chyba lepiej, żebyśmy się już zbierali.

Bissappoo leżało w jednej z najwyższej położonych części wyspy, toteż za jakiś czas miał się rozpocząć najtrudniejszy etap wędrówki – w górę stromego zbocza. Kilian wziął swój plecak i maczetę, założył hełm i ruszył za Josem. Przez dłuższą chwilę wędrowali w milczeniu, zagłębiając się w dżunglę. Na okolicznych pniach pleniły się pasożytnicze rośliny, wysokie paprocie i orchidee aż roiły się od mrówek, motyli i małych ptaków.

Kilian czuł się w tej ciszy trochę niezręcznie. Wiele razy pracował z Josem bez słowa, ale tym razem było inaczej. Martwił się, że przyjaciel źle zrozumiał jego uwagi, które brały się z ciekawości, nie z arogancji. W pewnym momencie José – jak gdyby czytał mu w myślach – przystanął, pozorując zmęczenie i, z rękoma wspartymi na biodrach, rzucił takim samym neutralnym tonem, jakim komentowałyby pogodę:

– Ta ziemia należała do mojego pradziadka. – Lekko kopnął ziemię. – Właśnie ten teren. Pradziadek przehandlował ją jednak za butelkę wódki i strzelbę.

Zaskoczony Kilian parę razy zamrugnął, ale zaraz się roześmiał, przypuszczając, że chodzi o żart.

– Przestań! Nabierasz mnie!

– Skąd. Mówię serio. Na tej wysokości dobrze rośnie kawa. Kiedyś ktoś tutaj założył plantację. Bogowie tylko wiedzą, czy tego doczekamy. – José spod oka zerknął na Kiliana, który wciąż marszczył się z niedowierzaniem, po czym zapytał z głęboką ironią: – A jak, pana zdaniem, kolonizatorzy zdobyli te ziemie? Widział pan jakichś bogatych Bubich?

– Nie, ale... No, nie wierzę, że tak to się odbywało, José. Przypadek twojego pradziadka musiał być odosobniony... – Kilian szukał argumentów na obronę ludzi, którzy uczynili z wyspy to, czym się stała. – Poza tym każdy rdzenny mieszkaniec Fernando Poo zaraz po urodzeniu otrzymuje przecież cztery hektary na własne uprawy, prawda?

– Tak, wydziela mu się skrawek ziemi, która i tak, w całości, do niego należała – odparł José z sarkazmem. – To bardzo szczerze ze strony białych! Gdyby nie ostatnia zmiana w prawie, nawet pan mógłby w ciągu dziesięciu lat załatwić sobie trzydziestohektarową posiadłość. A z pomocą znajomych nawet szybciej...

Kilian poczuł się jak skończony idiota. Nigdy nie myślał o tubylcach jako o właścicielach wyspy. No, dobrze, czasami myślał, ale najwyraźniej zbyt rzadko, skoro zadawał tak głupie pytania. Podobnie jak inni kolonizatorzy rozpatrywał historię Fernando Poo z perspektywy białego człowieka, ekscytując się dokonaniem Portugalczyków, Anglików i Hiszpanów. Zwłaszcza Hiszpanów. Och, czemu opowiadał takie głupstwa przed Josem – akurat przed nim, przed człowiekiem, któremu zawdzięczał życie?

– Cóż, ja... Tak naprawdę... To znaczy, chciałem powiedzieć, że... – Sapnął, wyprzedził Josego i jął z furją ciąż blokując drogę zarośla. – Najwyraźniej mam dziś zły dzień!

Rozbawiony José podążał za nim. Nie potrafił się długo na niego gniewać. W

odróżnieniu od reszty białych ten nerwowy, energiczny chłopak chętnie się uczył. Choć na początku bardzo źle znosił miejscowe warunki, ostatecznie przystosował się do nich szybciej niż inni Europejczycy. Poza tym nie ograniczał się do wydawania rozkazów. O, nie. Pierwszy wspinał się na rusztowanie, chwycił za worki, siadał za kierownicą, zrzucił koszulę, żeby wykopać dół albo posadzić palmę. Ta postawa zbijała z tropu robotników, przyzwyczajonych do wrzasków i wymachiwania batem. José przypuszczał, że Kilian stara się w ten sposób zadowolić ojca, nawet jeśli nie jest tego świadomy. Szukał jego uznania i, tym samym, uznania całej rodziny. Wciąż na nowo udowadniał swoją siłę i odwagę. Potrzebną zwłaszcza teraz, gdy zdrowie Antona wyraźnie się pogarszało.

Tak. Akurat z Kiliana byłby dobry wojownik Bubi.

Należało biedaka jakoś pocieszyć, bo nadal wymachiwał maczetą jak szalony.

– Ależ impet! Gdyby inni też mieli takie zacięcie, kolonizacja wyspy trwałaby dwa lata, a nie długie dekady. Wie pan, że członkowie pierwszych ekspedycji marli tu jak muchy, zaraz po pierwszych tygodniach? Na każdym statku przyływało dwóch kapitanów, na wszelki wypadek...

– Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, dlaczego tak się działo – rzucił Kilian z udawaną arogancją. – Przecież wcale nie tak trudno się zaadaptować.

– No, teraz wszystko wygląda inaczej. Kiedyś my, Bubi, żyliśmy sobie spokojnie, a ciężkie prace, te, które teraz spadają na czarnych, wykonywali biali przybysze: harowali w tropikalnym słońcu, tam gdzie najłatwiej złapać malarię. A wtedy nie było jeszcze chininy! W ciągu stu lat dziewicza wyspa pełna kanibali, których, jak opowiadał mi ojciec, opisywali pierwsi Europejczycy, zmieniła się nie do poznania.

– Jakoś sobie nie wyobrażam, żebyś mógł kogoś zjeść – zażartował Kilian.

– Zdziwiłby się pan, do czego jestem zdolny!

Kilian wreszcie się uśmiechnął: nie znał łagodniejszego, mniej agresywnego człowieka niż José.

– A z czego tu żylicie, bez nas i naszych plantacji? O ile wiem, nawet to, co sadzicie w przydomowych ogródkach, wzięło się z przywiezionych przez nas nasion...

– Przecież to oczywiste! Ta ziemia rodzi sama. Bogowie pobłogosławili ją darem płodności. Wystarczy sięgnąć. Dookoła pełno pomarańczy, cytryn, gujaw, mango, tamaryndowców, bananów i ananasów... Bawełna rośnie dziko... Są też chlebowce, z owocami większymi od kokosów... Do tego trochę zwierząt hodowlanych i niewielkie uprawy batatów, i starczy.

– Jasne, Ösé – mruknął Kilian, ocierając pot rękawem. – W ogóle nas nie potrzebowaliście!

– A! I jeszcze nasze palmy! Zna pan inne drzewo, które można wykorzystać w całości? Robimy z nich *topé*, czyli wino, oraz olej do gotowania i oświetlania domów. Liśćmi pokrywamy dachy, z włókien wytwarzamy wszystko, od ścian po kapelusze, a najdelikatniejsze części jemy jako warzywo. Proszę mi powiedzieć, czy w Pasolobino istnieje drzewo podobne do naszej świętej palmy? – Przystanął i zaczerpnął powietrza. – Zwrócił pan uwagę, jak one wyciągają się ku niebu, z tymi swoimi wojowniczymi pióropuszcami? – Wykonał stosowny gest, a jego głos nabrał uroczystych tonów. –

Sprawiają wrażenie kolumn podtrzymujących świat. Były tu przed nami i będą, gdy nas zabraknie. To w naszej kulturze symbol zmartwychwstania i zwycięstwa nad czasem. Bez względu na wszystko.

Kilian popatrzył w górę, poruszony tym, co usłyszał. Stykające się wysoko korony kilku palm wydały mu się nagle niebieskim sklepieniem, na którego tle kiście owoców wyglądały jak pulsujące konstelacje gwiazd. Delikatne powiewy kołysały wielkimi liśćmi, podobnymi do wyciągniętych ku wieczności ramion.

Zamknął oczy i poczuł, jak ogarnia go wielki spokój. Wszystko zniemacka stało się bliskie. Czas i przestrzeń, historia i świat, niebo i ziemia zlały się w jedną magicznie harmonijną całość.

– A oto i *böhabba!*

Słowa Josego, który wysforował się do przodu, zniweczyły czar. Kilka kroków dalej ścieżka rozszerzała się, wychodząc na równinę, którą mieszkańcy położonego obok Bissappoo przeznaczali pod uprawę. Po prawej stronie widać było szopę, gdzie tradycyjnymi metodami wytwarzano czerwony palmowy olej. Przy poprzedniej wizycie José dokładnie pokazał Kilianowi, jak to się robi: kobiety usypywały oddzielone od kwiatów owoce w stos, który inne przykrywały liśćmi na czas fermentacji; później sfermentowane pestkowce miażdżyło się wielkim kamieniem w swego rodzaju młódcy – którego funkcję spełniała wyłożona mniejszymi kamieniami dziura w ziemi – by na koniec, usunąwszy z tej masy pestki, zagotować ją i uzyskać z niej olej.

– To będzie prawdziwe święto! – oświadczył José, szczęśliwy, że znów jest wśród swoich. – Na specjalne okazje kobiety zawsze przygotowują mnóstwo jedzenia i picia.

Kilian pokiwał głową. Cieszył się na ten ślub tak, jakby chodziło o kogoś z jego rodziny. I w gruncie rzeczy tak było. Przez ostatnie dwa lata spędził z Josem więcej czasu niż kiedykolwiek z większością swoich ziomków. Pracował z nim i rozmawiał, i dzielił troski. A potem poznał też jego rodzinne strony. José miał łatwy charakter, na pierwszy rzut oka całkowicie inny niż większość jego sąsiadów z Bissappoo, wioski, którą ojciec Rafael uważał za jedną z najbardziej zacofanych i opornych względem katolicyzmu. José wykształcił w sobie zdolność współżycia tak z białymi, jak i z czarnymi, umiał przystosować się do wymogów świata kolonizatorów, nie zapominając zarazem o swoich tradycjach, i w związku z tym pozwalał, na przykład, by obcy, tacy jak Kilian, brali udział w uroczystości tak prywatnej jak ślub córki.

Kilian odchrząknął. Wstyd mu było odsłaniać swoje uczucia, lecz sądził, że akurat José na to zasługuje. Poza tym do tej pory nie nadarzył się sposobniejszy moment, by podziękować za uratowanie życia.

– Słuchaj, José – zaczął z przejęciem, patrząc przyjacielowi w oczy. – Chciałbym ci coś powiedzieć. Nie wspominałem o tym wcześniej, ale wiem, co dla mnie zrobiłeś tamtej nocy, kiedy pobiliśmy Umaru. I muszę ci podziękować. Naprawdę, z całego serca. – José skinął głową. – I chciałbym cię też o coś spytać. Zachowałem się źle, a jednak mi pomogłeś. Ze względu na ojca?

José zaprzeczył.

– Ze względu na pana. Słyszałem pana wtedy. Płakał pan, dorosły przecież mężczyzna, jak dziecko. – Wzruszył ramionami i uniósł ręce dłońmi do przodu. –

Żałował pan, bo w gruncie rzeczy dobry z pana człowiek. – Poklepał Kiliana po ramieniu i mruknął tonem poufnego zwierzenia: – Duchy wiedzą, że każdy się czasem myli...

Kilian znowu podziękował.

– I jeszcze jedno – dodał. – Choć różnimy się kolorem skóry, wbrew wszystkiemu, co to oznacza... kiedy na ciebie patrzę, nie widzę czarnego, tylko przyjaciela, José. To znaczy: Ósé. – Spuścił wzrok, nieco zawstydzony własną szczerością, i nerwowo podrapał się po ramieniu. – No, wiesz przecież, o co mi chodzi.

José wpatrywał się w niego ze wzruszeniem, potrząsając głową, jakby nie do końca wierzył w to, co właśnie usłyszał.

– Gdybym nie był z panem przez cały czas – rzucił – uznałbym, że nadużył pan *topé*. Zobaczmy, co pan powie pojutrze, jak już pan doświadczy na własnej skórze, co znaczy ślub dziewczyny z plemienia Bubi. – Tu żartobliwie pogroził Kilianowi palcem. – A! I uprzedzam: jeśli zacznie się pan przystawiać do którejś z moich córek albo siostrzenic, uwolnię w sobie dzikusa!

– Doprawdy? – roześmiał się Kilian, wracając do zwykłego tonu. – Nie chciałbyś takiego zięcia?

José nie odpowiedział. Spojrzał w stronę kobiet zajętych produkcją oleju, zagwizdał przeciągle i ruszył w ich kierunku.

Gdy mijali naczynia z pochodzącą z wiecznych źródeł wodą, która zapewnić miała wiosce pomyślność, i przechodzili pod chroniącym od złych duchów drewnianym łukiem z dwoma *iko*, czyli świętymi drzewami po bokach, Kilian przypomniał sobie swoją pierwszą wizytę w wiosce. Uprzedzeni gwizdaniem, że oto zbliża się biały człowiek, mężczyźni, kobiety i dzieci wylegli przed domy, by przypatrywać się gościowi z ciekawością i niejaką rezerwą, nie podchodząc zbyt blisko. Kilian także oglądał ich z zainteresowaniem, a niekiedy – musiał to przyznać – również z pewną odrazą. Dotyczyło to zwłaszcza starców, których ciała oszpecone były często przepukliną albo wrzodami, twarze zaś nosiły ślady ospy i głębokich nacięć. Wreszcie, za namową Josego, kilku mężczyzn pozdrowiło przybysza poważnymi, pełnymi szacunku gestami i zaproszono go do wnętrza wioski.

Pamiętał, że amulety wiszące w łukowatej bramie – owcze ogony, zwierzęce kości i czaszki, pióra kur i bażantów, rogi antylop i muszle ślimaków – zaskoczyły go głównie swoją różnorodnością. W Pasolobino też, dla odpędzania złych czarów, wieszano nad drzwiami kozie nóżki, na dachach zaś, u wylotu kominów, układano sterty kamieni o ciekawych kształtach. Strach przed nieznanym wszędzie był taki sam, choć w Afryce ludzie bali się złośliwych duchów, a w Pirenejach – czarownic. Im dalej jednak w głąb wioski, tym różnice stawały się wyraźniejsze. W Pasolobino ludzie mieli białą skórę, ubierali się grubo i mieszkali w solidnych, chroniących przed światem zewnętrznym budynkach; w Bissappoo nie okrywali swoich czarnych ciał prawie niczym, a ich prowizoryczne domki płynnie przechodziły w publiczną przestrzeń głównego placu. Wtedy, przy pierwszej wizycie, Kilian nawet nie przypuszczał, że te dwa światy, tak od siebie różne, z czasem, powoli, lecz na trwałe zleją się w jego sercu, w jedno, w miarę jak prosta nagość drugiego zacznie uzupełniać niewyszukaną ozdobność pierwszego.

Jakieś dzieciaki uczepliły się jego kieszeni, licząc na to, że znajdą tam słodycze. Kilian ze śmiechem rozdał maluchom cukierki, specjalnie w tym celu kupione w sklepie u Julii. Dwie czy trzy kobiety, które dźwigały kosze z praniem i żywnością, pozdrowiły go ruchem dłoni. Kilku mężczyzn, zmierzających dokądś niespiesznym krokiem, przystanęło, odłożyło na ziemię uprząże służące do wspinania się na palmy, po czym podeszło do nowo przybyłych i uściśnęło Kilianowi dłoń, swoim zwyczajem zamykając ją we własnych rękach i podnosząc do serca.

– Ösé... Gdzie się podziała reszta kobiet? – spytał Kilian. – Wygląda na to, że nie zdołam sprawdzić, czy groziłeś mi na poważnie...

José parsknął śmiechem.

– Pewnie kończą przygotowywać jedzenie i szykować się na ślub. Zostało niewiele czasu. A smarowanie się ntolą trwa i trwa.

– To co teraz zrobimy?

– Siądziemy razem z innymi i zaczekamy. Chodźmy, *riösa* jest tam.

Po chwili znaleźli się na kwadratowym placu, na którym spotykali się chłopcy i mężczyźni. Pośrodku, w cieniu świętych drzew, rosło trochę krzewów; między nimi, na specjalnych kamieniach, zasiadało kilku miejscowych, którzy pozdrowili przybyszy, machając rękoma. Nieco dalej znajdowały się dwie chatki poświęcone duchom.

– Nie chcesz się przebrać? – Kilian zrzucił swój plecak na ziemię.

– A co? Źle wyglądam? – José miał na sobie długie spodnie i białą koszulę. – Jesteśmy ubrani tak samo...

– Oczywiście, że wyglądasz dobrze. Tylko sądziłem, że jako ojciec panny młodej, włożysz coś bardziej... bardziej... tradycyjnego...

– W rodzaju piór i muszelek? Proszę posłuchać, w moim wieku nie trzeba już niczego nikomu udowadniać. Wszyscy dobrze mnie znają. Tu i na plantacji jestem tym samym człowiekiem. W koszuli czy bez.

Kilian skinął głową, otworzył plecak i wyjął z niego tytoń oraz alkohol. Mężczyźni radośnie podziękowali za prezenty. Najmłodszy mówił po hiszpańsku, najstarsi, będący zresztą co najwyżej w wieku Josego i Antona, próbowali porozumieć się z *öppottò*, czyli cudzoziemcem, gestami. Gdy im nie szło, szukali pomocy tłumaczy. Kilian z szacunkiem czekał, a w razie wątpliwości zwracał się po radę do Josego. Usiadł teraz, tak jak inni, na ziemi, i zapalił w oczekiwaniu, aż gospodarze skończą komentować jego dary i skupią się na nim.

Zwrócił uwagę, że skóra węża, którego nazwy – *boukaroko* – nigdy nie potrafił dobrze wymówić, zwisa, ogonem do dołu, z najniższej gałęzi drzewa, zamiast, jak zapamiętał, zdobić sam jego czubek. Uznał, że chodzi o to, by dosięgały do niej trzymane przez matki na rękach niemowlęta. Bubi wierzyli, że ów wąż jest jak ich anioł stróż, sędzia dobra i zła, nagradzający bogactwem i karzący chorobami. Dlatego raz na rok oddawali mu cześć, zanosząc pod drzewo dzieci narodzone przez poprzednie dwanaście miesięcy i kładąc im dotykać wysuszonego ogona.

Wśród chat przy głównym placu nic się nie działo. Wszystkie wyglądały dokładnie tak samo – były identycznych rozmiarów, prostokątne, otoczone jednakowymi palami. Boczne ściany nie miały więcej niż dwa metry wysokości, przednie i tylne, nieco wyższe,

podpierały dach. Wszystkie wykonano z gałęzi powiązanych lianami; zrobiony z palmowych liści dach trzymał się na ratanowych włóknach. Kilian jedynie raz zajrzał do chaty Josego – życie i tak toczyło się na zewnątrz. Musiał się wtedy mocno schylić – drzwi okazały się dla niego zdecydowanie zbyt niskie – a w środku bardzo się zdziwił, widząc, że chata składa się wyłącznie z dwóch pomieszczeń przedzielonych drewnianą przegrodą: w pierwszym znajdowało się palenisko, w drugim – poślanie.

– Czemu się pan przygląda z taką powagą? – spytał José.

– Prawdę mówiąc, myślałem o tym, że mój dom w Pasolobino jest jak czterdzieści takich chatynek.

Jeden z synów Josego, ciekawy świata dziesięcioletek, w wiosce znany jako Sóbeúpo, a w katolickiej szkole – pod imieniem Donato, przetłumaczył słowa Kiliana na język bubi, wywołując u starszych mężczyzn pomruk podziwu.

– A do czego potrzebujecie tak dużego domu? – spytał dzieciak z zainteresowaniem.

– Do wszystkiego. W jednym pomieszczeniu gotujemy, w drugim rozmawiamy, w kolejnych śpimy, w jeszcze innych składujemy drewno albo żywność na zimę: wino, jabłka, kartofle, fasolę, wieprzowinę i soloną wołowinę... Każda rzecz ma swoje miejsce. Na dole – Kilian poprosił chłopca o patyczek i nakreślił na ziemi rysunek – i w pozostałych budynkach mieszkają zimą zwierzęta, trzymamy tam też siano dla bydła, żeby miało co jeść, jak łąki przysypie śnieg...

Gdy padło to ostatnie słowo, wśród zebranych rozległy się śmiechy i ożywione dyskusje po hiszpańsku i w języku bubi. Kilian uznał, że i tym razem reszta popołudnia upłynie mu na opowiadaniu o śniegu i mrozie. I faktycznie, po paru minutach został, jak zwykle, zasypany gradem pytań, na przykład o narty, te dziwne deski, które ludzie w Pasolobino przywiązywali sobie do stóp, żeby zjeżdżać do innych wiosek w interesach albo po prostu dla zabawy. Kilian przewrócił oczyma i z rezygnacją wstał, by raz jeszcze wyjaśnić, na czym to wszystko polega. Złączył nogi, zgiął kolana, zacisnął pięści, łokcie przycisnął do boków i jął poruszać biodrami. Towarzyszyły temu wybuchy śmiechu, okrzyki zdumienia i klaskanie.

– Proszę nam wybaczyć. – José otarł wilgotne oczy, starając się ukryć rozbawienie. – Rozumie pan: nikt z nas nigdy nie widział śniegu. W naszym języku nie ma nawet takiego słowa!

Co młodszy widzowie usiłowali wyjaśnić starszym istotę rzeczy; machali rękoma z góry na dół i próbowali na różne sposoby: zimna woda, zmrożone krople, białe płatki, kryształki piany, chłodny proszek... Starsi z kolei marszczyli w skupieniu brwi, wyginali usta i wspierając brody na dłoniach, starali się pojąć ten cud natury.

Tak minęło parę godzin. Co fakt, to fakt, pomyślał Kilian. Mężczyźni z plemienia Bubi rzeczywiście zajmowali się wyłącznie rozmową.

Wreszcie o zmierzchu wśród chatynek zaczął się ruch i po chwili plac wypełnił się ludźmi.

– Zaraz zacznie się ceremonia – uprzedził José, wstając. – Muszę usiąść obok żony. Zobaczymy się później.

Grupa młodych kobiet ruszyła ku chacie narzeczonej z tańcem i śpiewem. Gdy dziewczyna stanęła w drzwiach, przez tłum przebiegł szmer aprobaty. Kilian też

westchnął z podziwem. Twarzy początkowo nie dostrzegł, gdyż przysłaniał ją wielki kapelusz udekorowany mnóstwem pawich piór i przypięty do włosów przechodzącym przez niego na wylot drewnianym szpikulcem, jednakże trudno było przypuścić, iż jej rysy mogłyby nie dorównywać urodą temu harmonijnemu ciału w kolorze najczystszej kakao. Szczupłą sylwetkę zdobiły małe, jędrne piersi, widoczne spod lśniącego od noli czerwonych wzorów oraz naszyjników – wykonanych ze szkiełek i muszli zwanych *tybö* – które pokrywały też szczupłe biodra oraz długie nogi i proporcjonalne ramiona dziewczyny. Cała jej postać zdawała się niezwykle delikatna, lecz uwagę Kiliana natychmiast przykuła jej wyzbytą wszelkiej nieśmiałości postawa.

Otoczona przez oklaskujący ją tłum dziewczyna kilkakrotnie okrążyła plac, śpiewając i tańcząc tak, że szklane paciorki nieustannie pieściły jej skórę, po czym usiadła w miejscu, gdzie czekali na nią rodzice i przyszły mąż. Mosi, podobnie jak Kilian, górował wzrostem nad resztą zebranych, a słomiany kapelusz z kurzymi piórami jeszcze dodawał mu centymetrów. Potężne ramiona i nogi olbrzyma ozdobione były kawałkami muszli i gadzich szkieletów, z jego szyi zaś zwisały lśniąca od tłuszczu naszyjniki zrobione ze zwierzęcych jelit. Narzeczony uśmiechał się bez przerwy, pokazując idealnie białe zęby. Gdy dziewczyna usiadła obok, pozdrowił ją ruchem głowy i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Jakiś mężczyzna, który zdawał się przewodniczyć całemu zgromadzeniu, podszedł do narzeczonej i jął do niej przemawiać tonem rady i zarazem groźby. Kilianowi, który z szacunkiem przycupnął w ostatnim rzędzie, niespodziewanie znajomy głos wyjaśnił, że chodzi o wierność małżeńską. Głos należał do Simona, na którego widok Kilian bardzo się ucieszył.

– Musiałem uciec, *massa* Kilian – oświadczył chłopak z nerwowym i pokornym uśmiechem. – *Massa* Garuz zaprosił na plantację gości i chciał mieć nas wszystkich na miejscu... Ale przecież nie mogłem przegapić ślubu, *massa*, co to, to nie. Pannę młodą znam od dziecka. Tu zresztą wszyscy jesteśmy jak rodzina...

– Nic się nie martw, *Simón* – uspokoił go Kilian. – Zjawiłeś się akurat na czas.

– I *big massa* o niczym się od pana nie dowie?

Kilian pokręcił głową, a chłopak się rozpromienił.

– Szedłem szybko, bo zarośla na ścieżce były już przetrzebione. Ale przebrać się nie zdążyłem. – Wskazał swoje, to samo co zawsze, ubranie: białą koszulę, krótkie spodnie, skarpetki do kolan i mocne buty. Potem zdjął koszulę i obuwie. – Tak lepiej! – rzucił, po czym spojrzał ku narzeczonym i wykrzyknął: – Proszę spojrzeć! To matka mojej matki!

Staruszka, która zbliżyła się do państwa młodych, gestem kazała im wziąć się za ręce. Potem zaczęła coś łagodnie mówić. *Simón* wyjaśnił, że udziela rad. Mężczyznę prosiła, by nie opuszczał żony bez względu na inne, które może kiedyś pojmie, kobietę zaś – by nie zapominała o obowiązku uprawiania ziemi, robienia oleju palmowego i dochowywania mężowi wierności. Gdy skończyła, parę głosów wzniosło okrzyk:

– *Yéi'yébaa!*

Wszyscy, łącznie z *Simonem*, odpowiedzieli:

– *Hîëë!*

Kilian nie potrzebował żadnych tłumaczeń, by zrozumieć, że te radosne zawołania

znaczą tyle co „hip, hip, hurra!”. Za trzecim razem, ulegając powszechnej euforii, odważył się dołączyć do chóru.

Potem, pośród ogólnego gwaru, wszyscy zgromadzeni jeden po drugim podchodzili do nowożeńców, by im pogratulować i złożyć młodej żonie życzenia pomyślności. Dziewczyna dziękowała im lekkim uśmiechem i skinieniami głowy.

Kilian ani się obejrzał, jak trafił do kolejki i nie miał innego wyjścia, jak wzorem pozostałych pokłonić się bohaterce dnia. Zastanawiał się przez chwilę, co właściwie ma powiedzieć nieznanemu, w dodatku nieznanemu z plemienia Bubi, z odległej tubylczej wioski położonej na krańcu świata. Potem jednak sam siebie poprawił: nie chodziło o nieznaną, lecz o córkę przyjaciela. I tak właśnie należało się do niej zwrócić: jak do córki przyjaciela. Podniósł oczy i odszukał wzrokiem Josego, który uśmiechnął się z dala, kiwając głową na znak aprobaty.

Kilian poczuł przyjemną ekscytację. Proszę, proszę! Oto on, biały, uczestniczy w afrykańskich uroczystościach! Zależało mu przecież na tym, by poznawać lokalne tradycje, a trudno byłoby wyobrazić sobie lepszą okazję...

Jak to opowie swoim wnukom, pewnie mu nie uwierzą!

Znalazłszy się parę kroków od panny młodej, mógł przypatrzeć się jej z bliska, choć twarz wciąż miała zasłoniętą kapeluszem. Wydała mu się bardzo młoda, musiała mieć jakieś piętnaście lat.

Zbyt młoda na ślub, pomyślał. Szczególnie na ślub z Mosim.

Od dziewczyny dzieliły go już jedynie trzy czy cztery osoby, a Simón, który nie odstępował go ani na krok, tłumaczył, co mówią:

– *Buë palè biuté wélä ná ötä biám.*

– Nie zapuszczaj się na nieznane tereny.

– *E buarí, buë púlö tyóbo, buë helépotò.*

– Kobieto, nie wychodź z domu, nie włócz się po ulicy, nie szukaj towarzystwa nieznanym.

– *Buë patí tyíbö yó mmèri ò.*

– Nie potłucz delikatnych muszli odziedziczonych po matce.

Skupiony na próbach pojęcia, co właściwie znaczą te wszystkie życzenia Kilian nie zauważył, że panna młoda uniosła rękę, by jedną przytrzymać kapelusz, a drugą wyjąć z niego drewnianą szpilę. I oto już przed nią stał. Nagle zdenerwowany nie zdołał wykrztusić nic poza zwyczajową w Pasolobino formułką:

– Ja... To jest... Gratulacje! Dużo szczęścia.

A wtedy dziewczyna zdjęła wreszcie kapelusz, uniosła głowę i popatrzyła białemu prosto w oczy.

Trwało to tylko chwilę, ale świat się zniemacka zatrzymał, śpiewy umilkły. Ogromne, inteligentne, niezwykle jasne oczy przeszły Kiliana niby dwie włócznie. Poczuł się jak drobny owad schwyty w gigantyczną i lepłą sieć, czekający ze spokojem, jaki daje pewność nadchodzącej śmierci, aż pośród gwarliwego milczenia dżungli nastanie ostateczny koniec.

Wszystko w tej zaokrąglonej twarzy było idealnie harmonijne: duże czoło, szeroki nosek, doskonałe policzki i podbródek, perfekcyjne karminowe wargi o lekko

niebieskawym połysku... I te oczy, wielkie, okrągłe, jaśniejsze niż najbardziej przejrzysta żywica, istniejące po to, by hipnotyzować, a teraz, przez krótką chwilę, skupione wyłącznie na nim, Kilianie, i przelewające na niego swój smutek.

Bo nie były to oczy szczęśliwej panny młodej. Brakowało w nich iskry, która powinna rozświetlać kobietę w dniu ślubu. Lekki uśmiech, malujący się na wargach dziewczyny, czynił zadość wymogom sytuacji, lecz spojrzenie wyrażało żal, strach i jednocześnie determinację, jak gdyby w gruncie rzeczy buntowało się przeciw temu, co na pozór akceptowało.

Jak to możliwe, że wcześniej jej nie zauważył? Była przecież olśniewająco piękna. Musiał jeszcze przez moment z nią zostać.

– Czemu w takim dniu twoje oczy są tak smutne? – szepnął raczej do siebie.

Dziewczyna usłyszała go jednak i aż się wzdrygnęła.

– Czy zrozumiałbyś, *massa*, nawet gdybym wyjaśniła? – spytała doskonałą hiszpańszczyzną. Głos był delikatny, raczej wysoki. – Nie sądzę. Jesteś biały i jesteś mężczyzną.

– Przepraszam – rzucił Kilian, jak gdyby budząc się z transu. – Na chwilę zapomniałem, że znasz mój język.

– Nie mogłeś tego wiedzieć. – Zdał sobie sprawę, że dziewczyna zwraca się do niego na „ty”, i poczuł względem niej dziwną bliskość. – Nigdy ze mną nie rozmawiałeś.

Już miał wyjaśnić, że nie o to chodzi, ale Simón właśnie wtedy poklepał go po łokciu, gestami i szeptami sygnalizując, że Mosi zaczyna się niecierpliwić, niezadowolony, że biały zbyt długo rozmawia z jego nową żoną, ta zaś go do tego nie zniechęca. Kilian zwrócił się więc ku zazdrosnemu mężowi i Mosi wydał mu się nagle jeszcze potężniejszy niż zwykle. Właściwe słowa jakoś długo się nie zjawiały.

– *Gud foyún*. Powodzenia.

– *Tènki, massa clak*.

Gdy składanie życzeń dobiegło końca, małżonkowie ruszyli w obchód po wiosce. W ślad za nimi, śpiewając uroczyście, postępowało kilka osób z drewnianymi dzwonkami o wielu sercach.

Po procesji zaczęła się uczta, w czasie której wszędzie rozlewano wino palmowe na cześć duchów. Żywi też nie skąpili sobie tego mlecznobiałego trunku, zapijając nim weselne potrawy z ryżu, batatów, piersi dzikich gołębi, potrawki z gryzoni i antylop, suszonego na słońcu mięsa żmij, a także różnych owoców. Tańce trwały od dziewiątej wieczorem aż do rana, od czasu do czasu przerywane dodatkową konsumpcją alkoholu, który pomagał zregenerować siły i utrzymać świetny nastrój.

José osobiście troszczył się o to, by czarka Kiliana była zawsze pełna.

– Ösé... Twoja córka, panna młoda... Ile ona ma lat? – Kilian wciąż nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia, jakie na nim zrobiła.

– Zdaje się, że wkrótce skończy szesnaście.

– Wiesz co, Ösé? Spędziliśmy tyle czasu na tym placu, który nazywacie *riösa*, a ja chyba nie poznałem jeszcze wszystkich twoich dzieci.

– Dwie córki wyszły za mąż w innych wioskach – zaczął nie bez pewnego wysiłku tłumaczyć José – a dwie w mieście, gdzie pracują razem z mężami u białych bogaczy.

Tutaj, w Bissappoo, mam dwóch synów, którzy zajmują się uprawą ziemi...

– Ale... To ile ty masz dzieci? – Kilianowi, który pamiętał też o chłopcu imieniem Sóbeúpo, coś się nie zgadzało.

– Jeśli wziąć pod uwagę także wnuki, to bardzo wielu spośród tu obecnych należy do mojej rodziny. – José zachichotał. – Dla ojca Rafaela mam cztery córki i dwóch synów. Ale tobie mogę powiedzieć prawdę... – ciągnął z przymkniętymi oczyma, nieco bełkotliwie po alkoholu, który był też przyczyną tego niespodziewanego przejścia na „ty”. – Dzisiejsza panna młoda urodziła się przed Sóbeúpem, a później, z inną kobietą, miałem jeszcze troje... – Zacisnął usta i pokiwał głową. Potem w zamyśleniu podjął: – Nasi bogowie obdarzyli mnie swoim błogosławieństwem, tak myślę. Mam wiele dobrych dzieci. Bardzo pracowitych. – Skinął w stronę nowożeńców, podniósł palec ku głowie i dodał z żarem: – Ona jest wyjątkowo inteligentna, Kilianie. Najinteligentniejsza spośród wszystkich dziesięciorga. Garnie się do wiedzy. *Massa* Manuel dużo ją nauczył, dlatego cieszę się, że zamieszkają z Mosim na plantacji.

– Szczerze mówiąc, nigdy dotąd nie zwróciłem na nią uwagi – rzucił Kilian bezbarwnym tonem.

Jak to możliwe, że José, czarny jak smoła, miał córkę o skórze barwy ciemnego karmelu.

– Wy, biali, zawsze narzekacie, że trudno wam nas rozróżnić – zaśmiał się José. – Ale nic to... My mamy ten sam problem z wami!

Zapewniam cię, że gdybym spotkał ją wcześniej, pomyślał Kilian, na pewno nie pomyliłbym jej z żadną inną.

Odszukał ją wzrokiem.

Czy tylko mu się zdawało, czy ona też na niego popatrzyła?

Mosi pił i pił, i ścisnął ją władczo, by wszystkim pokazać, że ma ją na własność. Kilian z trudem odganiał wizję jej nagiego ciała zgniatanego pod ciężarem tego kolosa.

– O czym myślisz, przyjacielu? – spytał José.

– O niczym... – Kilian otrząsnął się z tych nieprzyjemnych obrazów. – Wiesz co, Ösé? Takie uroczystości wszędzie są do siebie podobne. W moich stronach też jemy, pijemy i tańczymy na ślubach. A jutro euforia minie i wszystko będzie takie jak zawsze.

– Nic nigdy nie jest takie jak zawsze – zauważył z powagą José. – Nie ma dwóch identycznych dni, podobnie jak nie ma dwóch identycznych osób. Widzisz tego człowieka? – Skinął głową na prawo. – Ja jestem bardzo czarny, owszem, ale on jest jeszcze czarniejszy.

– To prawda, Ösé. Nic nigdy nie jest takie jak zawsze. Ty sam stanowisz najlepszy tego dowód... – José zrobił zaciekawioną minę, a Kilian specjalnie urwał i jednym haustem dopił swoje *topé*. – Mówisz do mnie na „ty”! Takie to było trudne?

Zamknął oczy. Słyszał swoją wewnętrzną ciszę. Dookolny gwar zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Alkohol dawał przyjemne poczucie lekkości, wręcz nieważkości.

Jest taki moment, tuż przed zaśnięciem, gdy ciało zachowuje się dokładnie tak, jak przed skokiem w przepaść.

Kręci się człowiekowi w głowie.

Trwa to tylko chwilę. Nie wiesz wtedy, czy po prostu zapadniesz w sen, czy umrzesz i

już nigdy się nie obudzisz. Parę sekund. Lekki zawrót głowy. Krótki zanik świadomości. Przelotne zamroczenie.

Tamtej nocy Kilianowi śniły się nagie ciała tańczące wokół ogniska w rytm diabelskich bębnow. Kobieta o ogromnych, niepokojąco głębokich oczach, tak jasnych, że niemal przezroczystych, zapraszała go do tańca. Jego dłonie obejmowały ją w pasie, sięgały ku jej drobnym piersiom, podrygującym w takt muzyki. Kobieta szeptała mu na ucho niezrozumiałe, podniecające słowa. Potem przylgnęła do niego całym ciałem. Czuł delikatny nacisk jej sutków na swoim nagim torsie. Nagle uniosła ku niemu twarz – i była to twarz Sade. Rozpoznawał jej ciemne migdałowe oczy, wydatne kości policzkowe, cienki nos i wargi mięsiste niczym jesienne maliny. Obok ogromni mężczyźni ujeżdżali jakieś kobiety, śpiewy brzmiały coraz bardziej przenikliwie. Kiedy znów spojrzał na swą partnerkę, stwierdził, że to nie Sade, lecz zamazana postać, która nie chce wypuścić go z uścisku. Pieściła go coraz śmieiej. Opierał się. Kazała mu rozglądać się dookoła.

„Słuchaj. Patrz. Dotykaj. Daj się ponieść!”

Obudził się mokry.

Od alkoholu bolała go głowa. Całe ciało pokryte miał czerwonymi plamkami od ukąszeń maleńkich komarów zwanych *jenjén*. Pijany zapomniał o moskitierze.

Zdało mu się, że słyszy muzykę, lecz gdy wyjrzał z chaty, którą mu przydzielono, stwierdził, że wioska jest opustoszała.

Przypomniał sobie nocne szaleństwa, w których uczestniczył. José wyjaśnił mu, że w lokalnej tradycji istnieją dwa rodzaje małżeństw: *ribalá rèötö*, z kupowaniem dziewictwa, i *ribalá ré rihólè*, z miłości. Prawnie liczyło się tylko to pierwsze, nawet jeśli dziewczyna została do niego przymuszona.

Kupujący płacił za dziewictwo narzeczonej, ponieważ Bubi uważali, że wraz z cnotą traci ona całą wartość i urodę. Małżeństwa drugiego typu uchodziły za nielegalne, w związku z czym w ogóle ich nie świętowano.

Czy ona... straciła już tymczasem swoją wartość i urodę?

Wątpił.

Pogoda była tego poranka wspaniała. Temperatura powietrza – idealna. Wiał przyjemny wietrzyk.

A Kilian i tak cały płonął.

VII. TORNADO WEATHER

Czas huraganów

Kilian pędził do portu. Statek, którym ojciec przyплыwał z Hiszpanii, od dobrej chwili stał już na kotwicy. On, Kilian, był spóźniony. Gdy dotarł na miejsce, trzech mężczyzn rozładowywało ostatnią barcę. Poza tym molo świeciło pustkami. Zdyszany i spocony Kilian przystanął i rozejrzał się za Antonem. Słońce odbijało się od morza tysiącem złotych refleksów, wśród których od czasu do czasu połyskiwała srebrem ławica sardynek. Kilian przymrużył oczy i dodatkowo osłonił je dłonią.

Dostrzegł w końcu malutką figurkę na tle niezmierzonego nieba – odwrócony tyłem i lekko przygarbiony ojciec siedział na swojej skórzanej walizce. Kilian postąpił kilka kroków w jego stronę i już otwierał usta, by go zawołać, lecz powstrzymał się, zdziwiony. Spodziewał się, że zastanie Antona na niecierpliwym przemierzaniu przystani w tę i z powrotem, wściekłego, że musiał czekać, a tymczasem ojciec zdawał się pogrążony w zadumie, zapatrzony gdzieś poza półokrągły pas plaży obrzeżonej wachlarzem bujnych palm i bananowców. Biła z tego obrazka taka przejmująca samotność, że Kilian, chcąc stłumić wewnętrzne drżenie, ruszył przed siebie ze sztucznie wesołym okrzykiem:

– Przepraszam, tato! Nie dałem rady wcześniej!

Antón uniósł głowę i, wciąż zamyślony, powitał syna smutnym uśmiechem.

Kilian przestraszył się na widok tej twarzy: w ciągu kilku miesięcy ojciec postarzał się o całe lata.

– Rzecz w tym, że – podjął – ubiegłej nocy burza zwała drzewo prosto na drogę. Niby nic, ale wie tato, jak to jest... Musiałem bardzo długo czekać, aż je uprzątą.

– Nie przejmuj się, synu. Miło tu sobie posiedziałem.

Antón wolno dźwignął się na nogi i padł sobie z Kilianem w ramiona. Choć ojciec wciąż należał do mocno zbudowanych mężczyzn, w jego uścisku – podejrzenie zresztą długim – Kilian wyczuł głęboką słabość.

– No, chodźmy – odchrząknął i wziął walizkę. – Już się nie mogę doczekać wieści z domu. Co u mamy i Cataliny? Dużo było śniegu, jak tata wyjeżdżał? Jak tam stryjek Jacobo z rodziną?

Antón uśmiechnął się i potrząsnął dłonią.

– Lepiej poczekajmy z tym, aż spotkamy się z twoim bratem – rzucił. – Inaczej będę musiał wszystko powtarzać dwa razy!

Gdy znaleźli się na wąskiej stromej ścieżce wiodącej ku miastu, Antón spojrzał w górę zbocza i ciężko westchnął.

– Wiesz, Kilianie, dlaczego tę ścieżkę nazywa się Zboczem Gorączki?

– Tak, tato. Zapomniał tato? Manuel wytłumaczył mi to zaraz pierwszego dnia.

Antón skinął głową.

– I co ci powiedział?

– Że podobno nikt, kto tędy wchodzi... – Nie chciał kończyć zdania, więc w sposób

całkowicie naturalny podał ojcu ramię. – Tato, to zupełnie normalne, że jest się zmęczonym po tak długiej podróży.

Antón wsparł się na synu i powolutku ruszyli w górę. Kilian przez całą drogę do samochodu i potem do Sampaki gadał jak najęty, opowiadając ojcu o plantacji, o kolegach, o nowych i starych robotnikach, o znajomych z Santa Isabel, o dniach spędzanych pośród kakaowców... Antón słuchał i przytakiwał, czasem nawet się uśmiechał, ale nie przerywał ani słowem.

Żył na tym świecie wystarczająco długo, by wiedzieć, że nadzwyczajna gadatliwość syna brała się z jego przerażenia faktem, iż oto po raz pierwszy prowadził pod ramię ojca, który czuł się zmęczony i stary.

– *Massa Kilian!* – wrzeszczał Simón z okna ciężarówki. – *Massa Kilian!* Szybko, szybko!

Samochód wznosił nad drogą wśród kakaowców wielką chmurę pyłu. Kilian sprawdzał akurat, czy pułapki na wiewiórki są dobrze rozmieszczone. Wiewiórki w jego kraju były miłymi zwierzątkami ukochanymi przez dzieci. Na Fernando Poo osiągały wielkość królika i zjadały jagody kakaowców. Niektóre miały nawet coś w rodzaju skrzydeł, żeby łatwiej przeskakiwać z drzewa na drzewo. Ciężarówka podjechała bliżej, trąbiąc przeraźliwie. Potem stanęła i ze środka natychmiast wyskoczył Simón.

– *Massa!* – wrzasnął ponownie. – Nie słyszy pan? Niech pan wsiada!

– Co się stało? – spytał przestraszony jego krzykami Kilian.

– *To Masantón!* – Chłopak wyrzucał z siebie słowa, prawie nie oddychając. – Znalezione go nieprzytomnego w biurze... Jest teraz w szpitalu z masą Manuelem i masą Jacobem. José przysłał mnie po pana! No, jedźmy!

Choć Simón prowadził z zawrotną szybkością, Kilianowi droga do szpitala dłużyła się w nieskończoność. Jego myśli wciąż krążyły wokół ojca.

Od marca zdrowie Antona ciągle się pogarszało, co nie przeszkadzało mu wcale udawać przed synami, że wszystko jest w porządku. Czasem nawet, chcąc rozładować napięcie, żartował, że praca w biurze, wśród stert papierów, męczy bardziej niż harówka na polu. I Kilian, i Jacobo zrezygnowali ze swoich sześciomiesięcznych wakacji, odkładając je na potem, może z nadzieją, że ojciec poczuje się w końcu lepiej...

Jedyna zmiana w zachowaniu Antona polegała na tym, że nagle zaczął rozmawiać z synami o najdrobniejszych szczegółach finansowych dotyczących Rabaltué. Wciąż powtarzał, ile sztuk bydła powinni chować, ile wziąć za dobrą kobyłę, a ile za jagnię, ile płacić pasterzom i jak wiele kosiarek wynająć na lato, żeby skosić łąki i zgromadzić dość siana na kolejną zimę. Mówił też o potrzebnych w domu i gospodarstwie naprawach. Należało wymienić jedną z belek sufitowych w stajni, podeprzeć ścianę kurnika, pobielić mury podwórza, unowocześnić instalację elektryczną i postarać się o większą i lepiej wyposażoną łazienkę. Pensje obu braci, jak liczył, w połączeniu z zyskami ze sprzedaży bydła mogły na to wszystko wystarczyć. A gdyby jednak zabrakło pieniędzy, nie pozostawało nic innego, niż rozłożyć te plany na lata. Co więcej, na wypadek, gdyby ustnych wyjaśnień nie było dosyć, bez przerwy spisywał szczegółowe instrukcje, zawsze – dzięki kalce – w dwóch egzemplarzach: jeden przeznaczał dla synów, drugi zaś wysyłał pocztą do Hiszpanii. Nawet z Afryki potrafił zawiadywać każdym szczegółem

życia w Rabaltué.

Wykorzystał też kilka osobistych pogawędek z Kilianem, by wtajemniczyć go w mniej oczywiste, lecz nie mniej ważne dla dobrego gospodarza sprawy, takie jak stosunki między rodzinami z Pasolobino a tymi z Cerbeanu oraz długi i zobowiązania wiążące rozmaite rody od bardzo dawnych czasów. Kilian słuchał tego wszystkiego bez słowa, bo też i nie bardzo wiedział, co odrzec. Czuł głęboki smutek na myśl, że oto ojciec dyktuje mu swój testament, nawet jeśli używał w tym celu lekkiego tonu oraz wymówek w postaci listów z domu, przychodzących zresztą coraz częściej. Nie ulegało wątpliwości, że Antón chce ze wszystkim zdążyć, zanim...

Ciężarówka zatrzymała się przed drzwiami szpitala. Kilian wbiegł po schodach i wpadł do głównej sali. Jeden z pielęgniarzy, rozpoznawszy go, wskazał mu pokój przyległy do gabinetu doktora. Właśnie tam, z zamkniętymi oczyma, leżał Antón. Jacobo siedział w fotelu w kącie; na widok brata zerwał się na nogi. José stał obok łóżka chorego. Jakaś pielęgniarka zbierała narzędzia na niewielką metalową tacę. Gdy się odwróciła, by wyjść, niemal wpadła na Kiliana.

– Przepraszam – powiedziała.

Ten głos...

Podniosła głowę, ich oczy się spotkały.

To była ona! Ta, o której ciągle śnił. Żona Mosiego.

Nie wiedział nawet, jak ma na imię.

José zwrócił się do córki, chcąc ją o coś zapytać, lecz w tym samym momencie zjawił się Manuel.

– Jest pod znieczuleniem – oświadczył. – Podaliśmy mu zwiększoną dawkę morfiny.

– Jak to: zwiększoną? – zdziwił się Kilian.

Lekarz zerknął na Josego, który pokręcił głową. Kilian nic nie rozumiał.

– Czy możemy porozmawiać w gabinecie?

Przeszli tam wszyscy czterej. Manuel od razu przystąpił do rzeczy.

– Antón od wielu miesięcy zażywa morfinę dla uśmierzenia bólu. Nikomu nie chciał nic mówić. Jego choroba jest śmiertelna, nieuleczalna i nieoperacyjna. Teraz to już kwestia dni. Obawiam się, że niewiele. Przykro mi.

Kilian zwrócił się do brata.

– Wiedziałaś coś?

– Tyle co ty – odrzekł ze smutkiem Jacobo. – Nie miałem pojęcia, że to aż tak poważne.

– A ty, Ösé?

José przez chwilę się wahał.

– Antón kazał mi przysiąc, że nic nikomu nie powiem.

Wstrząśnięty Kilian schylił głowę. Jacobo, też przytłoczony, zbliżył się i położył dłoń na ramieniu brata. Przez chwilę myśleli o tym samym. Zdawali sobie sprawę, że ojciec jest chory, ale nie – że aż tak. Jak mógł to przed nimi ukrywać? Dlaczego nie przejęli się bardziej jego ciągłym zmęczeniem, brakiem apetytu...? Wszystko przez ten upał – tak im zawsze powtarzał. Przez ten przekłęty upał! Czy matka wiedziała? Popatrzyli na siebie z przerażeniem. Jak jej mieli powiedzieć? Jakimi słowami należało poinformować

kobietę, że jej mąż umrze tysiące kilometrów od niej i że ona nigdy więcej go nie zobaczy?

– Czy możemy z nim porozmawiać? – zdołał wreszcie wykrztusić Kilian.

– Tak. Chwilami będzie odzyskiwał przytomność. Mam tylko nadzieję, że morfina zadziała w momencie agonii... – Manuel poklepał ich po plecach. – Kilianie... Jacobo... Naprawdę mi przykro. Każdego z nas to czeka. – Zdjął okulary i zaczął przecierać szkła skrajem lekarskiego fartucha. – Medycyna jest w takich wypadkach bezradna. Teraz to już faktycznie wola boska.

– To nie Bóg zsyła na nas chorobę – rzekł José, gdy znów stanęli u boku Antona, który wciąż leżał z zamkniętymi oczami. – Stwórca tego co piękne, słońca, ziemi, deszczu, wiatru i chmur, nie może być przyczyną zła. Choroba to dzieło duchów.

– Nie opowiadaj głupstw – rzucił Jacobo, podczas gdy Kilian ujmował ojca za rękę. – Jest, jak jest, i tyle.

Córka Josego przyglądała im się od progu.

– Dla nas – wtrąciła cicho – choroba to skutek czarów rzucanych przez duchy przodków obrażonych przez chorego lub jego rodzinę. – Urwała na moment i podeszła do swojego ojca. Kilian zauważył, że ma na sobie biały fartuch z krótkim rękawem, a pod spodem bładozieloną sukienkę z dużymi guzikami. – Dlatego tak bardzo staramy się je zadowolić ofiarami, napitkiem i obrzędami pogrzebowymi...

José popatrzył na nią z zadowoleniem: tak gładko tłumaczyła rzeczy, które jemu sprawiały trudność. Kilian wciąż milczał.

– To powiedz – rzucił z sarkazmem Jacobo, a oczy mu zabłyśły – co właściwie robisz w szpitalu? Dlaczego nie modlisz się w tym czasie do duchów?

Kilian aż się wzdrygnął, słysząc jego ton, lecz dziewczyna odparła tym samym cichym i spokojnym głosem:

– Czego nie można uniknąć, tego nie można uniknąć. Ale, owszem, można ulżyć cierpiącemu. – Po tych słowach podeszła do Antona i bardzo delikatnie przyłożyła mu do czoła zwilżoną szmatkę. – Większość dolegliwości daje się uśmierzyć za pomocą prostych środków, takich jak zimne lub gorące kąpiele, maści i masaże z użyciem oleju palmowego albo olejków migdałowych, dzięki okładom z ntoli albo ziołowym kataplazmom oraz naporom z wina palmowego z dodatkiem przypraw lub wody morskiej.

Kilian obserwował jej małe czarne dłonie na tle białego materiału: miękko przyciskała szmatkę do czoła Antona, a potem moczyła ją w chłodnej wodzie, wyzimała i znów czule kładła choremu na czole albo lekkimi ruchami zwilżała mu nią policzki. Przez dłuższą chwilę całkowicie pogrążyła się w tej czynności. Słyszała toczącą się dalej rozmowę, lecz jej umysł skupił się wyłącznie na metodycznej pracy rąk.

Nie chciała myśleć.

Nie chciała wyobrazić sobie tego, co miało nastąpić.

– Czasem – zaczął José, patrząc na córkę z dumą – *massa* Manuel pozwala jej stosować niektóre z naszych tradycyjnych metod...

Jacobo przerwał mu z gniewem w głosie:

– To powiedz, skoro jesteś taki mądry, jaką metodą pomóc ojcu?!

Kilian wrócił do rzeczywistości.

– Uspokój się, Jacobo! – rzucił ostro. – José cierpi teraz tak samo jak my.

Starszy brat prychnął sceptycznie i znów usiadł w fotelu w kącie.

– Ale serio, Ösé – Kilian zwracał się do przyjaciela, lecz nie odrywał wzroku od jego córki – co byś zrobił, gdyby chodziło o twojego ojca?

– Kilianie, ja wierzę w waszą cudzoziemską medycynę. Nie obraż się, jeśli powiem, że... – José zawahał się, a potem oświadczył z przekonaniem: – W tej sytuacji poprosiłbym naszego doktora-czarownika o modlitwę.

Z fotela w kącie dał się słyszeć ironiczny śmiech. Kilian energicznym gestem uciszył brata i skinął na Josego, zachęcając go, by kontynuował.

– Gdyby chodziło o mojego ojca – podjął José – zaniósłbym go przed ołtarz poświęcony najpotężniejszemu z naszych dobrych duchów, by błagać o odegnanie złego czaru. Tak właśnie bym zrobił.

– Tyle że w tym stanie ojca nie da się ruszyć, Ösé – zauważył Kilian. – Zresztą Manuel ani pan Garuz nigdy by na to nie pozwolili.

– Może zdołałbym nakłonić naszego doktora... – zaproponował ostrożnie José – ... żeby przyszedł tutaj.

Jacobo gwałtownie zerwał się na nogi.

– Pewnie! Jak obiecasz mu wódę i papierosy, to zaraz przyleci!

Kilian milczał. Wciąż patrzył na córkę Josego, która tymczasem podniosła głowę i wyraźnie czekała na jego, Kiliana, decyzję. Jej jasne oczy zdawały się mu mówić, że przecież niczym nie ryzykuje, że to co pomaga jednym, może pomóc także drugim. Czy odważyłby się poprosić o wsparcie tubylców? Sprawiała wrażenie, jakby rzucała mu bezgłośnie wyzwanie.

– Dobrze – rzekł wreszcie Kilian.

Wtedy uśmiechnęła się i spojrzała na ojca.

– Wyślę Simona do Bissappoo – oznajmiła z prostotą.

Jacobo, kręcąc głową, ruszył ku wyjściu.

– To śmieszne! – zawołał. – Od ciągłego zadawania się z czarnymi miesza ci się w głowie! Kilian, ty zupełnie zwariowałeś!

Po tych słowach wypadł z pokoju, trzaskając drzwiami. Kilian pobiegł za nim i zatrzymał go już na schodach.

– Co to właściwie było, Jacobo?

Starszy brat nie patrzył mu w oczy.

– Nie ma o czym gadać. Od dawna bardziej ufasz radom Josego niż moim.

– To nieprawda – zaprotestował Kilian, lecz Jacobo tylko się skrzywił. – José się z tatą przyjaźni. Chce pomóc.

– Słyszałeś Manuela. Tata umrze. I koniec. Może ty wolisz się chwytać złudnych nadziei, ale ja nie zamierzam. Tata ma tu dobrą opiekę, to najważniejsze. – Głos Jacoba drżał. – Marzę już tylko o tym, żeby się to wszystko jak najszybciej skończyło. Na tym etapie to najlepsze, co może się zdarzyć.

Jacobo zerknął na Kiliana i zobaczył, że brat mocno zaciska wargi. Kiedy zdążyli się tak bardzo od siebie oddalić? Pamiętał przecież, jak kiedyś mały Kilianek zasypywał go

pytaniami i słuchał odpowiedzi z podziwem, zdumieniem i całkowitą ufnością. To było tak dawno... Teraz wszystko się zmieniło: Kilian go nie potrzebował, ojciec umierał, a on, Jacobo, czuł się coraz bardziej samotny. To przez tę wyspę: chwyciła ich w swoje niewidoczne sieci – każdego na inny sposób. I miała ich wykończyć, podobnie jak wielu przed nimi.

– Zrobiłeś się strasznie uparty. Wcześniej taki nie byłeś. Zostaw tatę w spokoju, słyszysz?

– Zgodziłem się i już się nie wycofam – odparł stanowczo Kilian.

– To się dopiero okaże.

Przez kolejne godziny Antón odzyskiwał przytomność na krótkie chwile, w czasie których rozmawiał z Josem i synami, szczególnie z Kilianem, niemal nieodstępującym jego łóżka. Być może po raz pierwszy w życiu ojciec i syn gawędzili bez pośpiechu czy skrepowania o najbardziej osobistych sprawach. Oddalenie od domu, burzowa atmosfera czerwca w tropikach i świadomość zbliżającego się ostatecznego pożegnania – wszystko to sprawiało, że nawet ci twardzi górale powoli się otwierali.

– Kilianie, nie musisz tu ze mną ciągle siedzieć – powtarzał Antón. – Nie powinieneś zaniedbywać obowiązków. Idź z Jacobem, no, już.

Jacobo dusił się w szpitalnych ścianach i chętnie zastępował brata w pracy, byle tylko uciec z tego przesyconego bólem miejsca.

– Nigdzie nie pójdę, tato. Jakoś sobie beze mnie poradzą. Zresztą teraz i tak tylko czekamy, aż owoce dojrzeją. Nie wiem, czy mi się tylko zdaje, czy faktycznie co roku jagody kakaowców robią się większe...

– Dobrze mi tutaj – rzucił Antón z całym przekonaniem, do jakiego był zdolny, pragnął bowiem ulżyć synowi w ewidentnym duchowym cierpieniu. – Pielęgniarki bardzo o mnie dbają, zwłaszcza ta najmłodsza, ta, co się dopiero uczy, córka Josego. Widziałeś, jakie ona ma oczy, synu? Niesłychanie przejrzyste...

Kilian skinął głową. Doskonale wiedział, jak wyglądają jej oczy, twarz, dłonie, ciało... Gdy zjawiała się w pokoju, już sama jej obecność przynosiła mu przelotne ukojenie. Bo strasznie się bał. Naoglądał się w życiu, jak umierają zwierzęta, i było to bardzo nieprzyjemne. Widywał też na marach zmarłych członków rodziny i sąsiadów z Pasolobino. Nagle rozchodziła się wieść, że ten czy tamten nie żyje. Jednakże świadomość, że będzie świadkiem agonii ojca, sprawiała, że sam czuł się niemal chory. Nie chciał przez to przechodzić, lecz nie miał wyboru. Nie wiedział, co robić. Teraz sobie rozmawiali, a może już za godzinę... Matka, oczywiście, lepiej by się sprawdziła w roli towarzyszki tych ostatnich chwil w życiu ojca. W każdym razie na pewno byłaby bardziej czuła. Pomyślał o niej i o Catalinie – wysłał im przez Walda telegram z informacją o tym, co się dzieje. I płakał już tyle, że brakowało mu łez. Przy ojcu to i lepiej.

– Kilianie?

– Tak, tato?

– Musisz zająć się domem i rodziną. Jesteś bardziej odpowiedzialny niż Jacobo. Obiecay mi, że tego nie zaniedbasz.

Kilian pokiwał głową, nieświadom jeszcze, że niektóre obietnice ciążyą człowiekowi

bardziej niż młyńskie kamienie. Tak, miał szczerzy zamiar zająć się sprawami Rabaltué, podobnie jak przed nim czynili to jego rodzice i rodzice jego rodziców.

– Dlaczego tata tu wrócił, skoro nie czuł się tata dobrze? W Hiszpanii są doskonali lekarze, a w domu miałyby tata świetną opiekę i towarzystwo...

Antón zawahał się, zanim odrzekł:

– Cóż, zrobiłem tak jak słońce: wybrałem sobie miejsce, żeby umrzeć. Spędziłem tutaj tyle lat, że to chyba zrozumiało. Ta ziemia dużo nam dała, synu. Znacznie więcej, niż my daliśmy jej.

Kiliana nie zadowolila ta odpowiedź.

– Ale tato... Czy nie powinien być tata raczej w domu, z mamą...?

– Nie rozumiałbyś tego, nawet gdybym próbował ci wytłumaczyć...

Kilian słyszał to zdanie już wiele razy wcześniej.

– Niech tata chociaż spróbuje.

Antón zamknął oczy i westchnął.

– Nie chciałem, żeby twoja matka widziała moje ciało bez życia. I tyle.

Kilian cały zmartwiał wobec takiej szczerości.

– Twoja matka i ja – ciągnął Antón – bardzo się kochaliśmy mimo oddalenia. Gdy się teraz zegnaliśmy, oboje wiedzieliśmy, że to po raz ostatni... Takie rzeczy się wie, nie trzeba żadnych słów. Bóg postanowił zabrać mnie pierwszego i to dla mnie wielkie szczęście...

Słyszając, że głos mu się łamie, Antón przymknął powieki i zacisnął szczęki, by opanować wzruszenie. Po kilku sekundach znów otworzył oczy, lecz w jego spojrzeniu nie było wcześniejszego spokoju.

– Chciałbym teraz trochę odpocząć – wyszeptał.

Kilian marzył tylko o tym, by cofnąć czas i wrócić na zielone górskie łąki, do epoki, kiedy matka przyrządzała króliki i kozice z dodatkiem czekolady, a w świąteczne dni piekła też pączki z dziurką, ojciec przywoził dzieciom podarunki z dalekich krain, Catalina, podparta pod boki, złościła się na skłonnych do psot braci, on, Kilian, prowokował ją do wspinania się na najwyższe z kamiennych murków, zajadając się przy tym chlebem ze świeżą śmietaną i cukrem, wszyscy zaś czekali, aż pierwszy śnieg złagodzi melancholię jesieni.

Po śmierci ojca to przede wszystkim na niego, Kiliana, miała spaść odpowiedzialność za rodzinę i dom odziedziczony po przodkach. Wolałaby być taki jak Jacobo – odganiać troski żartami i piciem malamby, whisky lub koniaku na tutejszą modłę rozcieńczonego wodą, i każdy lęk natychmiast odreagowywać wybuchami gniewu.

Ale taki nie był.

Wsparł głowę na dłoniach i przez długą chwilę wspominał dzieciństwo i młodość.

Wzdrygnął się.

Dusza w nim zamierała z tęsknoty za dawnymi śniegami.

Nieuchronnie wkraczał w dorosłość i bał się jej. Bał się straszliwie.

Gdy drzwi się otwarły, spojrzał w ich stronę z obawą. Ale to był jedynie José. Podeszedł do łóżka i serdecznie uściskał Antonowi rękę, zatrzymując ją w swoich dłoniach.

– Ach, José, mój dobry José! – Antón podniósł powieki. – Ty też tutaj... Co to za mina? – Usiłował żartować. – I tak mam więcej szczęścia niż wielu spośród was w dawnych czasach! Wiesz, Kilianie, co robili kiedyś Bubi, jak ktoś ciężko zachorował? Zanosili go do specjalnej szopy i tam zostawiali. Codziennie kładli mu na progu banana albo batata i stawiali miseczkę z odrobiną oleju palmowego, aż w końcu śmierć kładła kres cierpieniom takiego nieszczęśnika. – Umilkł na chwilę, bo mówienie bardzo go już męczyło. – Opowiadał mi o tym pewien misjonarz, ojciec Antonio, chyba tak miał na imię. Wiele lat spędził wśród waszego ludu. Powiedz, José... Nigdy cię o to nie pytałem... Czy to prawda? Rzeczywiście tak robiliście?

– Duchy zawsze nam towarzyszą, Antonie, czy to w szopie, czy w szpitalu. Nigdy nie jesteście sami.

Antón uśmiechnął się słabo i przymknął oczy. José delikatnie cofnął rękę i zbliżył się do Kiliana. Zza ściany dobiegały jakieś głosy.

– Ojciec Rafael dyskutuje z doktorem – wyjaśnił cicho. – Twój brat poinformował wszystkich, że chcesz dopuścić do chorego jednego z naszych medyków.

Kilian zmarszczył brwi i wyszedł na korytarz. W gabinecie Manuela kłóciło się kilku mężczyzn, z których jednym był bez wątplenia Jacobo. Kilian bez pukania otworzył drzwi i wszyscy umilkli. Manuel siedział za swoim biurkiem, naprzeciwko niego stali Jacobo i ojciec Rafael.

– Jakiś problem? – Kilian od razu przystąpił do rzeczy.

– A tak, Kilianie – natychmiast odparł ojciec Rafael, cały czerwony ze złości. – Powinieneś wiedzieć, że w najmniejszym nawet stopniu nie podoba mi się pomysł, by któryś z tych szamanów zbliżał się do twojego ojca. Skoro nawet nasza wysoko rozwinięta medycyna nie potrafi mu pomóc, to znaczy, że wszystko w rękach Boga, jedyne i prawdziwe. Po co niby jakiś poganin miałby odczyniać nad twoim ojcem swoje gusła? To śmieszne!

Kilian posłał bratu pełne wyrzutu spojrzenie: całej tej sytuacji można było uniknąć, gdyby Jacobo się nie wygadał. Nie odrywając od winowajcy wzroku, wyjaśnił:

– Mój ojciec... Nasz ojciec podzielił swoje życie między Pasolobino i Fernando Poo. Rzekłbym, że po połowie. Nie rozumiem, dlaczego nie wolno mu pożegnać się z tym światem zgodnie ze zwyczajami panującymi w obu tych miejscach.

– Bo to nie w porządku! – odparował duchowny. – Tych rzeczy nie da się w ogóle porównywać! Twój ojciec zawsze był dobrym katolikiem. To co zamierzasz jest absurdalne!

– Gdyby tu była mama – wtrącił Jacobo – zaraz byś odzyskał rozum.

– Ale mamy nie ma, Jacobo! Nie ma jej tutaj! – krzyknął Kilian. Potem, zaskoczony własną reakcją, usiadł na jednym z krzeseł ustawionych przed biurkiem i ciszej, lecz wciąż z wyzwaniem w głosie zapytał: – Czy w obowiązującym na wyspie prawie cywilnym lub kościelnym istnieje jakikolwiek zapis, który wprost zabraniałby czarnemu pomodlić się o zbawienie duszy białego?

– Nie, nie istnieje – odrzekł twardo ojciec Rafael, przechadzając się po pokoju drobnymi kroczkami, z rękoma splecionymi na wydatnym brzuchu. – Ale teraz odwracasz kota ogonem, Kilianie. Ty nie chcesz, żeby jakiś czarny się tu modlił. Ty

chcesz, żeby spróbował twojego ojca wyleczyć. O to chodzi, prawda? A w ten sposób podważasz nie tylko autorytet naszego doktora, lecz i wyroki boskie. To grzech, mój synu. Próbujesz spierać się z Bogiem. Ba, wręcz rzucasz mu wyzwanie. – Tu zwrócił się do lekarza: – Manuelu, powiedz mu, że to... że to... że to jedno wielkie szaleństwo!

Manuel spojrzał na Kiliana i westchnął.

– Ani nasza, ani tutejsza medycyna nic już nie poradzi, Kilianie. Będziesz tylko tracił czas. Co więcej, choć nie ma zakazu, o który pytałeś, Garuz się wścieknie, jeśli się dowie. Nie spodoba mu się, że przywiązujemy jakąkolwiek wagę do tubylczych obrzędów. – Zabębnił palcami po biurku. – To już teraz nie żarty, sam wiesz... Z tymi wszystkimi tendencjami niepodległościowymi...

– Liczę na dyskrecję Josego – upierał się Kilian. – I mam nadzieję, że mogę liczyć też na waszą. Coś jeszcze?

Ojciec Rafael zacisnął usta i potrząsnął głową, wyrażając swoje potępienie względem tej niezrozumiałej nieustępliwości. Wściekły ruszył do drzwi i już z ręką na klamce rzucił:

– Rób, co chcesz, ale ja udzielę Antonowi ostatnich sakramentów już po tym, jak ten... – przerwał i po chwili zdecydował się ująć rzecz inaczej. – Ja i tylko ja udzielę twojemu ojcu ostatniego namaszczenia.

Zapadła niewygodna cisza. Jacobo, który milczał, gdy inni wykładali swoje argumenty, zaczął nerwowo spacerować po gabinecie, targając się za włosy i sapiąc. Wreszcie opadł na krzesło obok brata.

– To również mój ojciec, Kilianie – oświadczył. – Nie możesz nic zrobić bez mojej zgody.

– Nie wystarczy, że ja tego chcę? Co ci za różnica? Co w tym złego, Jacobo? A jeśli jednak jest szansa...? Manuelu, sam nam opowiadałeś o niezwykłych właściwościach roślin, które badasz...

Manuel pokręcił głową.

Kilian oparł się łokciami o biurko i potarł skronie. Musiał bardzo się starać, żeby się nie rozpłakać.

– On ma ledwie pięćdziesiąt siedem lat, do diabła! Wiecie, ilu wnuków doczekał się José? A tata nigdy nie pozna swoich! Przez całe życie tylko pracował, zaharowywał się na śmierć dla nas, dla rodziny, dla domu... To niesprawiedliwe. Potwornie niesprawiedliwe.

– Już dobrze, w porządku – westchnął Jacobo, w końcu ulegając błagalnemu tonowi w głosie brata. – Ale ja o niczym nie chcę wiedzieć. – Spod oka zerknął na Manuela. – Co ty na to?

– W gruncie rzeczy nic mi do tego. Szanuję cię, Kilianie... – Doktor lekko się zawahał. – Obu was szanuję, Jacobo. Tak czy owak, żadnych skutków to nie przyniesie, ani dobrych, ani złych. Dlatego mnie wszystko jedno, co zrobicie... co zrobisz, Kilianie. – Wzruszył ramionami. – Po tylu latach na Fernando Poo właściwie nic mnie nie dziwi.

Następnego ranka, gdy na plantacji zjawił się czarownik, *tyiántyo*, Antón był już prawie całkiem nieprzytomny. Czasem tylko coś niezrozumiale bełkotał, wołał kogoś i się uśmiechał, a zaraz potem krzywił się z bólu, jęczał i zaczynał ciężko dyszeć.

W pokoju, oprócz Kiliana, znajdowali się tylko José z córką.

Tyiántyo zaraz po wejściu podziękował białemu za hojne podarunki przesłane za pośrednictwem Simona. Następnie przygotował się do obrzędu. Najpierw założył krzykliwy, ozdobiony piórami kapelusz i przywdział długą, słomianą spódniczkę. Zapalił też fajkę. Później obwiązał ramiona, tułów, nogi i szyję Antona różnymi amuletami. José stał nieopodal w pozie pełnej szacunku, z pochyloną głową i splecionymi rękoma, jego córka zaś krążyła po pokoju, zachwycająco sprawnie i spokojnie wykonując polecenia czarownika. Wśród amuletów były muszle ślimaków, ptasie pióra, strzępki owczej sierści i liście ze świętych drzew, *iko*.

Kilian przypatrywał się temu wszystkiemu w milczeniu. Uznał, że amulety – tak samo jak te wiszące u wejścia do Bissappoo – służą do odpędzania złych duchów. Na widok przystrojonego w ten sposób ojca zaczął po trosze żałować, że nie usłuchał brata, jednakże gdzieś w głębi jego serca wciąż tliła się naiwna, irracjonalna nadzieja, która – karmiąc się pamięcią o zasłyszanych w dzieciństwie opowieściach pełnych cudów, jak również o świętych obrazkach z klasztoru w Saragossie, przedstawiających Wiarę podtrzymującą słabych – sprawiała, iż wciąż wpatrywał się w Antona, wciąż liczył, że ojciec nagle wstanie, uśmiechnie się, da jakiś znak, powie: „Tak, chłopcze, alarm był przedwczesny, chodziło o zwykłą gripę, zdradliwy atak malarii, przejściowe zmęczenie”...

Czarownik odwiązał od pasa tykwę pełną muszelek i przystąpił do odprawiania rytuału. Wezwał duchy i poprosił je, by zdradziły mu rodzaj choroby, jej przyczyny oraz najskuteczniejsze na nią lekarstwo. Później ze skórzanego woreczka wyjął dwa bardzo okrągłe, gładkie kamyki i ułożył je jeden na drugim. Stanowiły one, jak wyjaśnił José, podstawowe narzędzie pozwalające stwierdzić, czy chory wyzdrowieje, czy umrze.

Tyiántyo mówił, gwizdał, mruczał, szeptał. Kilian nie rozumiał ani słowa. A potem, kiedy José przetłumaczył ostateczną diagnozę – chory nie wypełnił swych zobowiązań wobec zmarłych, w związku z czym najprawdopodobniej skona – słaby płomyk nadziei w sercu chłopaka zgasł, zastąpiony natychmiast przez wszechogarniającą pustkę. Kilian schylił głowę. Prawie nie zdając sobie z tego sprawy, za namową Josego obiecał czarownikowi nie powtarzać błędu ojca i lepiej wywiązywać się z obowiązków względem zmarłych przodków. Wtedy czarny doktor skinął z zadowoleniem głową, zebrał swoje rzeczy i odszedł.

– Dobrze zrobiłeś, Kilianie. – José, wdzięczny za szacunek okazany przez chłopaka tradycjom ludu Bubi, położył mu rękę na ramieniu.

Kilianowi nie bardzo to pomogło. Przyciągnął do łóżka krzesło i usiadł. Nie zwrócił uwagi na nieśmiały uśmiech, jaki posłała mu córka Josego, dziewczyna uporządkowała więc pościel i w ślad za ojcem opuściła pokój. Kilian przez chwilę ścisnął dłoń Antona, jak gdyby chciał przelać w niego całe swoje, po ludzku nietrwałe, ciepło. Wentylator pod sufitem mierzył czas powolnymi, miarowymi obrotami, mimo wszystko okrutnie szarpiącymi nerwy.

Trochę później pojawił się Jacobo z ojcem Rafaelem. Bracia obserwowali – z takim samym szacunkiem, z jakim José przyglądał się poczynaniom swojego czarownika – jak duchowny udziela Antonowi ostatnich sakramentów.

Potem chory zaczął niespodziewanie zdradzać straszliwy niepokój, którego nie mogły uśmierzyć ani słowa synów, ani starania pielęgniarki, natychmiast wezwanej przez zdenerwowanego Jacoba do pokoju, ani nawet kolejna dawka morfiny podanej konającemu przez Manuela. Antón z niezwykłą siłą ścisnął dłonie synów i rzucał głową na poduszce, jak gdyby walczył z jakąś przemożną siłą.

W pewnym momencie otworzył oczy i głośno, wyraźnie powiedział:

– Huragan. Życie jest jak huragan. Spokój, furia i znów spokój.

Z powrotem przymknął powieki, uspokoił się nagle i wypuścił z płuc powietrze.

Towarzyszący temu dźwięk był krótki, suchy, chrapliwy.

I wtedy pogrążony w rozpacz Kilian ujrzał, jak rysy ojca tracą wyraz i sztywnieją, upodabniając się do maski.

Tak wyglądała śmierć.

Kiedy najstraszliwszy huragan, jaki pamiętali najstarsi mieszkańcy, spustoszył plantację, Kilian w końcu zrozumiał ostatnie słowa ojca. Wcześniej uważał huragany za prostą kombinację czynników takich jak wiatr, deszcz i potężne wyładowania elektryczne. Po fali dusznego upału temperatura mocno spadała – o dwanaście do dwudziestu stopni – by, kiedy było już po wszystkim, znów nieprzyjemnie wzrosnąć.

Jednakże tym razem nie tyle obserwował to zjawisko, ile się w nie wtapiał, ogarnięty takim samym destrukcyjnym szaleństwem jak cała przyroda.

Zaczęło się od widocznej wysoko na niebie białej chmurki, która stopniowo rosła i ciemniała, opuszczając się nad horyzont. Później wszystko dokoła zamarło, pogrążając się w całkowitej z pozoru martwocie.

Zaległa kompletna cisza.

Kilian pamiętał z domu chwile, które poprzedzały pojawienie się pierwszych płatków śniegu – ten niesamowity spokój, wywołujący przyjemne poczucie osłabienia i nierzeczywistości.

Taki właśnie spokój – absolutny, głęboki, uroczysty – zapanował teraz. A potem w oddali zagrzmiało i błysnęło. Błyskawice były tak ostre, że zdawały się trwać całymi minutami, podczas których świat jak gdyby płonął. I wreszcie uderzył wichur – gwałtowny, niepowstrzymany.

Burza trwała dłużej niż zwykle i zakończyła się potworną ulewą. Wiatr i deszcz sprawiały wrażenie, jakby rywalizowały w próbach zniszczenia świata, lecz gdy ustały, w powietrzu rozeszła się cudowna świeżość. Żywe stworzenia uaktywniły się z nową siłą, jakby odrodzone.

Podobnie Kilian, po śmierci Antona, przeszedł ze stanu otępiełego wyciszenia w stan dzikiej furii.

Na ukojenie miał czekać latami.

Postanowili, że pochowają ojca na cmentarzu w Santa Isabel, nie w krypcie, lecz w ziemi.

Pielęgniarki, pod ich przerażonymi spojrzeniami, sprawnie umyły i ubrały ciało. Córka Josego na wysokości martwego serca wymalowała drobne znaki.

– *Ntola* cię oczyści – wyszeptwała. – Dzięki niej zostaniesz przyjęty z otwartymi ramionami tak przez swoich, jak i przez naszych przodków. Bez trudu będziesz krążył

między jednymi a drugimi.

Trumnę wyprowadzono ze szpitala i załadowano na ciężarówkę, która miała ją zawieźć do miasta. Pracownicy plantacji jechali z tyłu paroma furgonetkami i mercedesem zarządcy, kierowanym przez pogrążonego w smutku Yeremiasa, który specjalnie poprosił masę Garuza, by ze względu na pamięć zmarłego było mu wolno poprowadzić auto z braćmi. Na czas przejazdu konduktu większość robotników pozamykała okna i drzwi swoich baraków, niektórzy uderzali też w drewniane dzwonki.

Afrykańscy wierzyli, że dusza towarzyszy ciału aż do pochówku, a nawet potem kręci się w pobliżu miejsc, gdzie za życia mieszkał nieboszyk. Dlatego używali dzwonków: chcieli przestraszyć i zdezorientować duszę tak, by nie wróciła na plantację. Z tej samej przyczyny zamykali drzwi i okna. Kilian nieuważnie słuchał wyjaśnień Josego, patrząc, jak odbicia palm rosnących przy wjeździe do Sampaki rytmicznie prześlizgują się po błyszczącej karoserii auta. Myślami był wśród szczytów Pasolobino, wyobrażając sobie, jak pogrzeb ojca wyglądałby w jego rodzinnych stronach. Tam, gdy ktoś umierał, zwłoki przez jakiś czas leżały w domu, gdzie odbywało się czuwanie i modlitwa różańcowa. Szmer łacińskich litanii koił rozpacz zebranych: w trakcie modłów nikt nie płakał, ciągłe powtarzanie tych samych słów uspokajało oddech i na moment odpędzało przerażenie. Umysł skupiał się na samym obrzędzie.

Dawniej – w czasach, których Kilian za dobrze nie pamiętał – mężczyźni zajmowali się zbiciem trumny na wymiar, wykopaniem grobu, rozstawieniem krzeseł w kościele i w domu, a kobiety przygotowywały jedzenie dla krewnych i sąsiadów zjeżdżających się z innych wiosek. W wielkich garach gotowały fasolę, typowe danie pogrzebowe. Trochę płakały, a trochę rozmawiały o tym, czy dodać jeszcze soli. W oczach dzieci pogrzeby jawiły się jako święta, w trakcie których poznawało się nowych kuzynów i które tym tylko różniły się od innych, że część dorosłych uczestniczyła w nich z zaczerwienionymi oczami. Następnego dnia po czuwaniu najsilniejsi mężczyźni z rodziny brali skromną trumnę na ramiona i wynosili ją z domu przez główne drzwi – te, które wychodziły na ulicę, nie na ogród – a reszta zgromadzonych podążała za nią do kościoła, gdzie odprawiano mszę. Potem ksiądz prowadził orszak żałobny na przykościelny cmentarzyk. Wszystko to odbywało się przy dźwięku dzwonów, które biły powoli, monotennie, odcinając się ponuro od panującej wokół ciszy.

Kilian nigdy się nie zastanawiał nad rolą tych dzwonów.

Być może, podobnie jak wyposażone w kilka serc drewniane dzwonki Bubich, miały dezorientować dusze zmarłych.

Pasolobino leżało tak daleko...

Czy dusza ojca będzie potrafiła odnaleźć drogę powrotną?

Na miejsce jego wiecznego spoczynku wybrali cichy kąt cmentarza ocieniony przez dwa ogromne puchowce. Kilku wynajętych przez Garuza grabarzy umieściło tam prosty kamienny krzyż, na którym Jacobo i Kilian kazali wyryć imię ojca, nazwę jego domu – Rabaltué – oraz miejsce i datę narodzin i śmierci. Napis „Pasolobino” w tym zakątku Afryki wydał się Kilianowi bardzo dziwny.

Na pogrzebie zjawili się wszyscy pracownicy plantacji, w tym zarządca i doktor, a także Generosa, Emilio, Julia i inni znajomi z Santa Isabel. Najbardziej ze wszystkich

rozpaczał Santiago, który przybył na wyspę równie dawno jak Antón. Marcial od czasu do czasu poklepywał go po ramieniu, lecz po bladej, wychudłej twarzy biedaka wciąż płynęły nowe łzy.

Gdy trumnę spuszczono do grobu – wedle zaleceń Josego nogami w stronę morza, a głową w kierunku gór – Jacobo z wdzięcznością zacisnął dłoń na trzymających go mocno palcach Julii. Czuł, że druga jej ręka głaszcze go po ramieniu, słyszał szeptane przez dziewczynę słowa pociechy. Kiedy dół zasypano i Manuel zbliżył się do narzeczonej, by powiedzieć jej, że pora się rozejść, Jacobo niechętnie puścił tę delikatną, lecz silną dłoń dodającą mu odwagi. W końcu jednak Julia, wspiąwszy się na palce, pocałowała go w policzek, delikatnie pogłaskała go po twarzy, popatrzyła w jego zrozpaczone oczy i odeszła.

Przy świeżym kopczyku zostali Kilian, Jacobo i José, który oddalił się na moment po jakieś przedmioty, przed pogrzebem dyskretnie ukryte nieopodal. Łopatą wykopał dołek mniej więcej tam, gdzie znajdowała się głowa Antona, po czym zasadził tam święte drzewko. Następnie otoczył grób kamieniami i patyczkami.

– To odeгна inne duchy – oświadczył.

Jacobo cofnął się trochę, ale nic nie powiedział. Słowa nie miały już żadnego znaczenia, poza tym obaj z bratem byli zbyt smutni, żeby wdawać się w jakiegokolwiek dyskusje.

Kilian nie odrywał wzroku od napisu wyrytego na kamiennym krzyżu.

Kto tu zajrzy po ich wyjeździe?

Wiedział, że nawet Josemu będzie trudno dbać o tę mogiłę. Yeremías tłumaczył przecież, że Bubi, raz pogrzebawszy zmarłego, boją się odwiedzać cmentarz, wierzą bowiem, iż może to z powrotem przyciągnąć śmierć do wioski. Gdyby pochowali ojca w Pasolobino, matka zaglądałaby do niego najpierw codziennie, a potem przynajmniej co tydzień. Zawsze ktoś dotrzymywałby mu towarzystwa.

Dlaczego zatem wrócił do Afryki? Dlaczego kazał jemu, Kilianowi, przez to wszystko przechodzić?

A teraz w dodatku należało odtworzyć ostatnie zdarzenia, by opisać je w liście do matki. Mariana chciała znać najdrobniejsze szczegóły: jak brzmiały ostatnie słowa jej męża, kiedy udzielono mu sakramentów świętych, w jaki sposób ksiądz wychwalał i wspominał zmarłego w kazaniu, a także ile osób przyszło na pogrzeb lub wysłało kondolencje. Trzeba więc było zdać jej dokładną relację, udając, że mimo wszystko z nim, Kilianem, nic złego się nie dzieje, że nie ma się czym martwić, życie toczy się dalej, a pracy ani pieniędzy nie brakuje.

– O czym myślisz? – spytał José.

– Zastanawiam się – odrzekł Kilian, wskazując grób – gdzie on teraz jest...

José podszedł bliżej.

– Jest razem z waszymi przodkami. Na pewno dobrze się wśród nich czuje.

Kilian z rezygnacją pokiwał głową i odmówił w duchu krótką modlitwę, życząc ojcu szczęśliwej podróży, bez względu na to, dokąd się wybierał.

Jacobo, chcąc ukryć łzy, ruszył ku bramie cmentarza.

Antón zmarł pod koniec czerwca 1955, w dniu, w którym całe Pasolobino

świętowało na cześć patronów lata. W lipcu zaczynało się koszenie łąk w dolinie, w sierpniu natomiast – zbiory kakao na Fernando Poo, przeciągające się zawsze do stycznia kolejnego roku. Były to w suszarniach miesiące najcięższej pracy.

Kilian oddawał się jej dniem i nocą. Całe jego życie kręciło się teraz wokół obowiązków zawodowych. A jeśli już musiał odpocząć, palił tylko i pił ponad miarę. Zrobił się nietowarzyski, milczący i drażliwy. Jacobo i José, z którymi – w drodze wyjątku – czasami rozmawiał, zaczynali się martwić: nikt nie mógł długo wytrzymać podobnej harówki. Początkowo sądzili, że zły nastrój Kiliana to naturalna reakcja po śmierci Antona, jednakże mijały tygodnie i nic się nie zmieniało.

Kilian wciąż pracował za dwóch, narzucając sobie bezlitosną dyscyplinę.

Nieustannie zamartwiał się rzekomymi problemami w suszarniach, choć żadnych problemów nie było, i chodził wściekły, że nic nie idzie jak należy, choć właśnie wszystko szło świetnie. Krzyczał na robotników, co wcześniej nigdy mu się nie zdarzało, i wymyślał sobie nieistniejące kłopoty.

– No, Kilianie! – błagał go brat. – Odpocznij wreszcie!

– Odpocznę po śmierci! – odpowiadał Kilian z dachu jakiegoś baraku. – Ktoś musi się tu wszystkim zajmować!

José obserwował go z niepokojem. Prędzej czy później musiało przyjść fizyczne załamanie. Nikt nie dałby rady żyć w stanie tak permanentnego pobudzenia.

I niedługo po Bożym Narodzeniu Kilian rzeczywiście zachorował. Zaczęło się od ataków lekkiej gorączki, która jednak, w ciągu tygodnia, wzrosła do czterdziestu stopni. Dopiero wtedy chłopak zgodził się pójść do szpitala.

Całymi dniami majaczył. Ciągłe o tym samym: znajdowali się z ojcem w jakimś domu, a na zewnątrz strasznie padało. Słyszał było, jak z pobliskiego jaru wypływa błoto, niosąc kamienie i grożąc zalaniem okolicy. Wcześniej już raz się tak stało, nie przetrwały nawet najmocniejsze domy. Jeśli chcieli przeżyć, musieli uciekać. Kilian błagał, ale Antón ani myślał się ruszyć, powtarzał, że jest bardzo zmęczony i żeby syn go zostawił. Na dworze szalały wiatr i ulewa, Kilian rozpaczliwie krzyczał na ojca, ten jednak wciąż podrzemywał w swoim bujanym fotelu. Wreszcie, płacząc, Kilian ratował się sam.

Jakaś ręka uspokajająco zacisnęła się na jego dłoni. Uniósł powieki, zamrugał, żeby odegnać koszmary, i zmarszczył brwi, widząc nad sobą poruszające się rytmicznie skrzydła wentylatora. Potem w polu widzenia pojawiła się znajoma twarz o wielkich, jasnych, zatroskanych oczach.

Córka Josego, widząc, że chory odzyskał przytomność, odgarnęła mu ze spoconego czoła połyskujące miedzią kosmyki i łagodnie powiedziała:

– Jeśli nie uczciłeś swoich zmarłych należycie, ich duchy cię potem dręczą. Nie musisz naszym zwyczajem składać ofiar z kurczaków czy kóz. Uczcij ojca na swój sposób, a duch Antona zostawi cię w spokoju. Pozwól mu odejść. Możesz też pomodlić się do swojego Boga. Ostatecznie to on wszystko stworzył, również duchy. Pozwól ojcu odejść. Tak trzeba.

Kilian mocno zacisnął usta, świadom, że drży mu podbródek. Czuł się zmęczony i słaby, lecz zarazem wdzięczny za te życzliwe i jednocześnie stanowcze słowa.

Zastanawiał się także, ile godzin lub dni spędził na szpitalnym łóżku i od jak dawna akurat ona jest milczącym świadkiem jego cierpienia. Zauważył, że wciąż go dotyka, i nie chciał, żeby przestawała. Jej dłonie były delikatne, a jej świeży oddech niemal muskał jego wyschnięte wargi. Rozkleił je, by spytać ją o imię, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, drzwi zniecka się otworzyły i do pokoju wpadł z hukiem Jacobo. Dziewczyna natychmiast przestała głaskać chorego po głowie, jednakże Kilian zatrzymał w ręku jej drugą dłoń. Jacobo trzema susami dopadł łóżka i widząc, że młodszy brat jest przytomny, wykrzyknął:

– Na Boga, Kilian! Jak ty się czujesz? Nieźle nas przestraszyłeś!

Zaraz potem zmarszczył brwi, popatrując na pielęgniarkę, która wprawdzie oswobodziła rękę z palców Kiliana, lecz nie ruszyła się z miejsca. Jacobo lekko zadrżał pod jej spojrzeniem. Proszę, proszę, pomyślał. Skąd tu się wzięła podobna ślicznotka? Zagapił się, zaskoczony jej niezwykłą urodą. Szybko się jednak opanował.

– Kiedy się ocknąłeś? Zamierzałeś mnie w ogóle zawołać, co? – Nie czekając na odpowiedź, skupił uwagę na wyglądzie brata. – Matko święta! Mało brakowało, a dołączyłbyś do taty... – Kilian przewrócił oczyma. Jacobo przysiadł na brzegu łóżka. – Serio mówię. Bardzo się martwiłem. Przez pięć dni miałeś straszną gorączkę. Manuel zapewniał, że to minie, ale sporo się przy tobie nachodził... – Tu potrząsnął głową. – Trochę potrwa, zanim odzyskasz siły. Rozmawiałem z Garuzem i zgodziliśmy się, że możesz rozpocząć rekonwalescencję na statku...

Korzystając z tego, że brat urwał, by zaczerpnąć powietrza, Kilian wtrącił:

– Cieszę się, że cię widzę, Jacobo... Ale nie. Nie zamierzam wracać do domu. Nie teraz.

– Dlaczego?

– Nie mam ochoty. Jeszcze nie.

– Kilian, jesteś największym uparciuchem, jakiego znam! Patrz, parę dni temu przyszedł list od mamy. – Jacobo sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął stamtąd pognieciony papier. – Najświeższe wiadomości! Nie mogłem się doczekać, żeby ci wreszcie powiedzieć. Catalina wychodzi za mąż! Co ty na to? A wiesz za kogo? Za Carlosa, Carlosa Guariego, pamiętasz go? – Kilian przytaknął. – Całkiem niezła partia, rodzina może niezbyt bogata, ale chłopak pracowity i uczciwy. Mama pisze o wysokości posagu, pyta nas o zdanie... Ślub, rzecz jasna, odbędzie się dopiero po zakończeniu okresu żałoby, dlatego nie było jeszcze oficjalnych zapowiedzi, ale... – Urwał, dostrzegając, że Kilian w ogóle nie sprawia wrażenia ucieszonego. – Dzieciaku, ty wpadasz ze skrajności w skrajność! Wcześniej interesowałeś się wszystkim, a teraz najwyraźniej niczym. Życie toczy się dalej, Kilian, z nami albo bez nas...

Kilian odwrócił twarz do okna i jego oczy napotkały spojrzenie pielęgniarki, która przez cały czas była obok, z pozoru zajęta przygotowywaniem termometru i lekarstw. Skinieniem głowy, zauważalnym tylko dla Kiliana, wyraziła poparcie dla słów jego brata. Życie toczy się dalej, powtórzył w duchu Kilian, wpatrując się w jej niebiańskie oczy.

Ktoś lekko zapukał we framugę drzwi.

– W samą porę! – Jacobo wstał na powitanie kobiety, która ruszyła w stronę łóżka,

rozsiewając dokoła woń perfum.

Kilian spojrział w tamtym kierunku i dostrzegł posągową figurę Sade, ubranej w prostą bawełnianą białą sukienkę, ściśniętą w pasie wąską szarfą i ozdobioną na wysokości kolan szlaczkiem z niebieskich lobelii i małych spiczastych palm. Nigdy jej nie widział w takim stroju, bez biżuterii i makijażu. Ba, nigdy nie widział jej w świetle dziennym i teraz wydała mu się jeszcze piękniejsza niż w klubie.

– Wczoraj wysłałem jej wiadomość, że dziś przyjedzie po nią Waldo – wyjaśnił Jacobo najnaturalniej w świecie, choć w jego oczach błyskały iskierki przekornego triumfu.

Od tygodni zachodził w głowę, jak przekonać Kiliana, że cierpienia duszy można skutecznie leczyć zaspokajaniem cielesnych pragnień, które – u mężczyzn takich jak on – wraz z narastającą świadomością nieuchronnej śmierci jedynie się potęgowały. Teraz, gdy młodszy brat nie mógł się wymigać od długiego wypoczynku, okazja nadarzała się sama.

– Nie chciałem, żebyś tak leżał sam godzinami, a ona zaoferowała się ci towarzyszyć. Zaopiekuję się tobą, aż dojdiesz do siebie. Ja muszę zaraz wracać do suszarni. – Zerknął na zegarek, wstał i poklepał Kiliana po ramieniu. – Zostawiam cię w dobrych rękach!

I wyszedł. Sade zajęła jego miejsce na brzegu łóżka, ucałowała opuszki swoich palców – wskazującego i serdecznego – i tak długo przesuwała nimi po ustach Kiliana, aż ten w końcu lekko odwrócił głowę.

– Tak nie można, mój *massa* – zaczęła mu wyrzucać melodyjnym głosem. – Od tygodni się ze mną nie spotykasz. To niedobrze. Nie, nie. Nie pozwolę, żebyś o mnie zapomniał. – Następnie porozumiewawczo uśmiechnęła się do pielęgniarki i dodała: – Możesz odejść. Zadbam, żeby gorączka mu nie wzrosła.

Kilian zauważył, że córka Josego zeszywniała. Wpatrywał się w nią tak uporczywie, że w końcu też na niego spojrzała, a wtedy posłał jej zmęczony, pełen wdzięczności uśmiech. W tym momencie oddałby wiele, żeby cofnąć się do tej chwili, gdy ocknął się ze swojego koszmaru, czując na sobie dotyk miękkich dłoni. Dziewczyna, jak gdyby czytając w jego myślach, przyłożyła mu rękę do policzka – na oczach Sade, która nie umiała ukryć zdumienia – i wyszeptała kilka uspokajających zdań w języku bubi. Kilian nie zrozumiał ich znaczenia, lecz przymknął oczy i natychmiast zapadł w zdrowy sen.

Mijały miesiące i na plantacji nastała pora deszczowa ze swoimi obfitymi, choć przelotnymi ulewami i niosącymi się znad oceanu chłodniejszym powiewami, które wszakże łatwo ulegały wszechogarniającemu lepkiemu upałowi. Nawet jeśli czasem w środku dnia zapadały ciemności i pomniejszy huragan przetaczał się po polach, przykrywając je gałęziami erytryn, prace postępowały w zwykłym rytmie, albowiem jagody kakaowców – których naukowa nazwa, znana już Kilianowi, brzmiała *theobroma*, co oznacza pokarm bogów – powoli rosły i dojrzewały na drzewach. Gdy robiły się czerwone, były gotowe do zebrania.

Od sierpnia do stycznia, w ciągu wielu identycznych tygodni – urozmaicanych przez poniedziałki, kiedy to każdemu robotnikowi wydawano racje żywnościowe w postaci dwóch kilogramów ryżu, kilograma solonej i suszonej ryby, litra oleju palmowego i pięciu kilogramów malangi albo batatów, oraz przez soboty, czyli dni wypłat – tysiące

jagód kakaowca przechodziło przez ręce doskonale zorganizowanych mężczyzn. Pilnowani przez Jacoba, Gregoria, Matea i nadzorców robotnicy zbierali dojrzałe, zdrowe owoce za pomocą niewielkich haków zamocowanych na długich tyczkach. Ostrożnie i niezwykle zręcznie strącali, nie dotykając pozostałych, wybrane jagody, które następnie usypywali w kopce, żeby inni, specjalnie do tego wyznaczeni, pocięli je maczetami i powyjmowali z nich ziarna, ładowane potem do worków układanych w stosy przy drodze.

W głównym majątku praca nie ustawała dniem ani nocą. Ciężarówki przywoziły tu worki pełne ziaren, które przesypano później do wielkich drewnianych zbiorników, gdzie przez siedemdziesiąt dwie godziny fermentowały, wypuszczając lepki, gęsty sok. W następnej kolejności inne ekipy rozkładały sfermentowane ziarno w suszarniach, na łupkowych półkach, pod którymi krążyło gorące powietrze rozgrzewające je aż do siedemdziesięciu stopni.

Kilian, José, Marcial i Santiago zmieniali się przy doglądaniu trwającego od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu godzin procesu suszenia, pilnując, by robotnicy nieustannie przesypano ziarna, dopóki nie osiągnęły one odpowiedniego stanu. Wtedy przetrzucano je na wielkie taczkę o ażurowym dnie, by się schłodziły, później przepuszczano przez maszyny czyszczące i, na koniec, pakowano do worków i wysyłano w różne strony świata.

Tak w stosunkach między ludźmi, jak i w ich duszach po okresie burz zapanował spokój. Nerwowość cechująca Kiliana w miesiącach poprzedzających chorobę dzięki systematycznej pracy stopniowo słabła, ustępując jednak apatii, która zdawała się zmieniać jego naturę, wcześniej raczej wesołą i otwartą, na trwałą.

Ta bierność rozciągała się na wszystkie dziedziny jego egzystencji z wyjątkiem działalności zawodowej – na tym polu wciąż wyróżniał się dzięki niesłychanemu zaangażowaniu – i przejawiała się w całkowitej obojętności na wszystko, co nie dotyczyło plantacji. Owszem, jeździł do Santa Isabel, jeżeli wysyłano go po większe zakupy albo jeżeli Sade zaczynała mu grozić, że gdyby się nie zjawiał przez kolejny miesiąc, osobiście pofatyguje się do niego do Sampaki. Kilian nie wiedział zresztą, czy te groźby rzeczywiście pochodzą od niej, czy raczej są pomysłem Jacoba. Skłaniał się ku tej drugiej możliwości, gdyż Jacobo z uporem przekonywał młodszego brata do jedynej rozrywki, którą ten dzielił jeszcze z resztą śmiertelników, Sade tymczasem, z czego Kilian doskonale zdawał sobie sprawę, bynajmniej nie rozpaczała pod jego nieobecność. Przestał chodzić do kina, udało mu się zniechęcić kolegów do wyciągania go na kolejne imprezy i kilka razy odrzucił zaproszenie na wieczór z Julią, Manuelem, Generosą i Emiliem. Dobrze czuł się jedynie w samotności, pośród dżungli, ewentualnie w towarzystwie Josego, który nigdy mu niczego nie wyrzucał.

Niedługo po tym, jak minęły dwa lata od śmierci Antona, Jacobo wrócił z Hiszpanii, z urlopu, który zbiegł się ze ślubem Cataliny. Po kolacji, gdy koledzy oddalili się do swoich pokoi, przygotował dwie whisky i opowiedział Kilianowi najdrobniejsze szczegóły swojego pobytu w Pasolobino.

– Wszystkim cię brakowało, Kilian – zakończył. – Catalina z pewnością by wolała, żebyśmy obaj prowadzili ją do ołtarza w zastępstwie taty... A mama, cóż, jest silna jak

dąb, mimo wszystko. Gdybyś widział, jak się krzątała wokół menu, strojów, dekoracji kościoła... – Parsknął śmiechem. – Dla większego efektu wywróciła Rabaltué do góry nogami!

– Wyjaśniłeś jej, że teraz nie możemy stąd wyjeżdżać obaj naraz...?

– Tak, pewnie, wyjaśniłem. Ale ona wie, że nie do końca o to chodzi. Dzięki tym nowym samolotom mógłbyś się znaleźć w domu za trzy czy cztery dni...

– Samolot jest za drogi. Przy wydatkach na ślub i posag, bez pensji taty, nie stać nas na ekstrawagancje...

– Tu masz trochę racji... – Jacobo dopił whisky. – Wiesz co? Jak tutaj przyjechałeś cztery lata temu, założyłem się z Marcialem, że nie wytrzymasz nawet jednego pełnego sezonu i...

– I przegrałeś – dokończył Kilian. – Mam nadzieję, że dużo nie straciłeś...

Zaśmiali się obaj jak kiedyś, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby wciąż byli tymi samymi młodymi ludźmi, pełnymi złudzeń i silnymi niby jesiony zahartowane przez wichury szalejące u stóp ośnieżonych szczytów Pasolobino. Potem pogrążyli się w melancholijnym milczeniu, wpatrzeni w szklaneczki, aż z zadumy wyrwał ich odgłos otwierających się drzwi.

– Jak dobrze, że tu jesteście! – Manuel wziął sobie whisky i usiadł obok. – Zobaczyłem przez okno, że się świeci, i zapragnąłem trochę rozmowy. Wpadałbym częściej, ale zazwyczaj lecę z nóg i mi się nie chce.

– Tak to jest mieszkać samemu na uboczu. – Jacobo dolał sobie alkoholu.

– Mam nadzieję, że już niedługo...

Kilian uniósł brew.

– Zamierzasz wyjechać?

– Nie, skądże znowu. – Manuel uniósł swoją szklaneczkę. – Wypijmy za mój ślub!

Odczekał, aż bracia otrząsną się ze zdumienia i razem z nim dopełnią toastu.

– Razem z Julią i jej rodzicami za dwa tygodnie ruszamy do Madrytu. Tam się pobierzemy i spędzimy jakieś trzy miesiące. To znaczy: Generosa i Emilio wrócą wcześniej, ze względu na interesy.

Jacobo wypił whisky duszkiem. Odstawiana szklaneczka stuknęła głucho.

– Cieszę się, Manuelu – oświadczył, nie patrząc na przyjaciela, sztucznie wesołym głosem. – Naprawdę się cieszę. Masz szczęście. Julia to wspaniała kobieta.

– Wiem.

– Ja też się cieszę – wtrącił Kilian. – To cudowna wiadomość, Manuelu. A co planujecie potem?

– O, Julia zgadza się, żebyśmy zamieszkali tutaj, w Sampace, przy szpitalu. Jakoś się pomieścimy. A ponieważ umie prowadzić samochód, będzie nadal pracować w sklepie rodziców. Więc, na razie, wszystko zostanie po staremu...

– No, po staremu to nie... – próbował żartować Jacobo. – Teraz już zawsze ktoś będzie miał na ciebie oko!

– Z Julią w roli *wachiwoman*, Jacobo, to nie takie trudne – odparował Manuel z uśmiechem.

Kilian zauważył, że Jacobo się krzywi, i rzucił:

– A nie myśleliście, żeby zamieszkać w Madrycie? Czy dla Julii życie tutaj nie okaże się ciężkie i nudne? To raczej miejska dziewczyna, prawda?

Manuel wzruszył ramionami.

– Julia czuje się związana z Fernando Poo bardziej niż ktokolwiek inny. Nawet nie chce słyszeć o wyprowadzce na stałe. Tak czy owak, jeśli nie spodoba jej się w Sampace, zawsze możemy później wynająć dom w Santa Isabel, zobaczymy... – Sięgnął po butelkę i już chciał sobie dolać whisky, ale zerknął na zegarek i zmienił zdanie. – Cóż, skoro już wam zdradziłem wielką nowinę, a poza tym u mnie nic nowego, lepiej już pójdę. Muszę jeszcze zajrzeć przed snem do paru chorych.

Obaj bracia po raz kolejny złożyli mu gratulacje. Gdy zostali sami, Kilian spojrzał na Jacoba i spokojnie powiedział:

– Przyjąłeś to lepiej, niż się spodziewałem.

– A niby jak miałem to przyjąć? – najeżył się Jacobo.

– Cóż, wypuściłeś ją z rąk... A wiesz, że podobałaby mi się taka szwagierka.

– Nie opowiadaj głupstw. W gruncie rzeczy wyświadczyłem jej przysługę.

– Jak to? – Kilian uniósł w zdumieniu brwi.

– Naprawdę nie rozumiesz? Ktoś taki jak Julia zasługuje na kogoś takiego jak Manuel.

– Zaskakuje mnie twoja chęć zrozumienia, Jacobo. – Kilian potrząsnął głową, wydymając wargi. – Jeszcze jak mnie zaskakuje.

Jacobo popatrzył mu w oczy, a na jego twarzy odmalowała się pełna melancholii, choć chyba nie całkiem szczerą rezygnacją. Uniósł szklaneczkę i delikatnie stuknął się z bratem.

– Życie toczy się dalej, mój drogi. Jak gdyby nigdy nic. Już ci mówiłem.

Julia i Manuel wrócili ze swojej długiej podróży poślubnej na początku jesieni. Zgodnie z planem zamieszkali w domku plantacyjnego lekarza, a Julia rozpoczęła swoje codzienne wyprawy do miasta, do pracy w sklepie rodziców.

Pewnego deszczowego listopadowego poranka Jacobo wybrał się tam po odbiór większego zamówienia. Kiedy parkował pick-upa, zauważył, jak Generosa i Emilio, bardzo eleganccy, wsiadają do swojego czerwono-kremowego auta. Ze wszystkich używanych na wyspie drogich samochodów Jacobo najbardziej lubił tego właśnie vauxhalla rocznik 1953. Podszedł i uprzejmie powitał rodziców Julii.

– Wybacz, że nie możemy z tobą dłużej porozmawiać, Jacobo – rzuciła Generosa przez okno, mówiąc szybciej niż zwykle i raz po raz obciążając kołnierz adamaszkowego żakietu w barwie cynamonu, jak gdyby wciąż nie do końca pewna, czy dobrze leży – ale bardzo się spieszmy. Już jesteśmy spóźnieni na mszę ku czci patronki miasta, a potem jeszcze mamy wziąć udział we wczesnym oficjalnym obiedzie. – Z dumą wskazała męża. – Wiesz, że Emilio właśnie wszedł do Rady Miasta? – Ojciec Julii niby to lekceważąco machnął ręką. – Całymi miesiącami nic się nie dzieje, a potem nagle tyle rzeczy naraz! Bo trzeba już zacząć organizować przyszłoroczne obchody: sto lat minie od przybycia na wyspę gubernatora Chacona i jezuitów, i sześćdziesiąt lat, od kiedy zjawili się tu ojcowie klaretyni.

Jacobo powściągnął uśmiech, widząc, że Emilio się niecierpliwi.

– A tak w ogóle – ciągnęła jego żona – to słyszeliście o tej tragedii w Walencji? Prawie sto ofiar śmiertelnych, Turia wystąpiła z brzegów! – Jacobo nic o tym nie wiedział. – Przekaż Garuzowi, że władze kolonii odpowiedziały na apel o pomoc. Zebraliśmy już dwieście pięćdziesiąt tysięcy peset, wyślemy też kakao. Każda propozycja jest cenna.

Emilio wcisnął gaz, nie puszczając sprzęgła.

– Tak, tak, jedziemy, do widzenia!

– Julia cię obsłuży, chłopcze – zawołał Emilio, ruszając. – Znajdziesz ją w sklepie.

Zajrzyj do nas kiedyś! I przyprowadź brata!

Jacobo, uśmiechając się z rozbawieniem, pomyślał, że przy takiej matce Julia musiała wyrosnąć na zdecydowaną dziewczynę. Wszedł do sklepu i nie dostrzegł nikogo. Zapuścił się więc w korytarzyk obstawiony regałami pełnymi towarów i prowadzący na zaplecze. Tam wreszcie zobaczył Julię, która stała na palcach na chwiejnej drabince, usiłując dosięgnąć jakiejś skrzynki. Jacobo, widząc jej opalone nogi, w tej pozycji prawie nieosłonięte przez jaskrawoczerwoną spódnicę, poczuł niespodziewany przypływ pożądania. Zdziwiony własną reakcją przez chwilę przypatrywał się dziewczynie. Znowu słyszał ten wewnętrzny głos, wyzywający go od idiotów za to, że pozwolił jej się wymknąć. Pamiętał przecież, jak wspierała go w czasie pogrzebu ojca. Taka kobieta nigdy nie opuści męża. Zresztą wystarczyło popatrzeć na Manuela, by zrozumieć, że czuje się bardzo szczęśliwy ze swoją żoną.

To słowo uwierało.

Julia była żoną innego.

Inny głos kontrargumentował jednak, że taki ożenek oznaczałby nie tylko utratę umiłowanej wolności, lecz również niemożność opuszczenia wyspy. A on, Jacobo, czuł się na niej dobrze, ponieważ mógł co jakiś czas wracać do Hiszpanii. Nie zamierzał iść w ślady własnego ojca czy Santiaga: nie wytrzymałby na Fernando Poo tyle lat. Był pewien, że prędzej czy później wróci do domu. Tak samo jak Kilian. Julia zaś pozostanie na zawsze gdzieś nieopodal Santa Isabel. Co do tego nie miał wątpliwości.

Dlaczego więc tu sterczał, podglądając dobrą znajomą świeżo poślubioną przyjacielowi? Bo przecież Manuel był jego przyjacielem. Nawet tacy jak on, Jacobo, nie posuwali się aż tak daleko!

Podkraść się bliżej.

– Uważaj, Julio! – zawołał ze złośliwym błyskiem w oku.

Dziewczyna przestraszyła się i zachwiała. Spadłaby, gdyby nie przytrzymała się żelaznych szyn wystających ze ściany tuż nad jej głową. Ledwie odzyskała równowagę, a już silne ręce chwyciły ją w pasie i specjalnie powoli opuściły na dół, co pozwoliło Jacobowi przyjrzeć się z bliska jej udom, biodrom, piersiom, szyi i wreszcie zaczerwienionym policzkom. Gdy stanęła na podłodze, z twarzą na wysokości jego torsu, przez chwilę nie miała odwagi podnieść wzroku.

Nigdy wcześniej nie znalazła się tak blisko Jacoba.

Czuła jego zapach.

Czuła, że powinna wyzwolić się z jego uścisku, i wcale nie chciała. Skoro to on ją złapał, myślała, to niech i on ją puści. Serce biło jej jak szalone. Jacobo nie cofnął rąk,

odsunął ją tylko odrobinę i pochylił się, szukając jej spojrzenia. W odpowiedzi podniosła ku niemu twarz. I znalazła w jego zielonych, pociemniałych teraz oczach coś dziwnego, innego niż zwykle – jakąś wątpliwość, niepewność, wahanie, wyczekujące pragnienie.

Uchyliła więc wargi i pozwoliła na ten pierwszy pocałunek, zaskakująco czuły, na kilka długich, intensywnych chwil unieważniający nieuchronne poczucie winy. Przywarła do Jacoba całym ciałem i, świadoma jego dłoni obejmujących jej plecy, z rozkoszą, ale ostrożnie głaskała jego czarne włosy.

Całowali się chciwie, aż końcu musieli zaczerpnąć oddechu. Wtedy ona wreszcie wyplątała się z jego ramion.

– Nigdy więcej tego nie rób – rzuciła rwącym się głosem.

– Przykro mi – odrzekł mechanicznie Jacobo, lecz zaraz się poprawił: – A właściwie wcale nie.

– Miałam na myśli straszenie ludzi stojących na drabinie. Przecież bym się zabiła! No, tamtego drugiego też więcej nie rób.

– Odniosłem wrażenie, że ci się podobało... – Jacobo znów pochylił się w jej stronę.

– Za późno, Jacobo. – Julia położyła mu dłonie na piersiach, łagodnie go odpychając – Za późno.

– Ale...

– Nie, Jacobo. Przysięgłam przed Bogiem i rodziną, że będę wierna swojemu mężowi.

– To dlaczego pozwoliłaś...?

Najchętniej by mu powiedziała, że ten pocałunek to zadośćuczynienie za wszystkie godziny spędzone na marzeniach o nim. Że poczuła się naprawdę szczęśliwa, czytając w jego oczach tak długo wyczekiwana obietnicę wspólnej przyszłości. Gdyby chciał tego wcześniej... Tyle że było już za późno. Dlatego wzruszyła ramionami i odparła:

– Tak wyszło. Nigdy do tego nie wracajmy. Zgoda?

Jacobo niechętnie skinął głową. Julia zbyt szybko ucięła temat. On, Jacobo, przywykł wprawdzie do krótkich, niewymagających żadnego wyjaśniania zbliżeń, lecz teraz czegoś nie rozumiał. Przecież chyba nie dało się zaprzeczyć, że wydarzyło się coś ważnego. Jak to możliwe, że Julia zdołała odzyskać rozsądek tak prędko po tym niesłychanym wybuchu namiętności? Niejakie doświadczenie z białymi kobietami kazało mu się spodziewać raczej łez, samooskarżeń albo, przeciwnie, propozycji ukradkowych spotkań... Natomiast ta świadoma odmowa realizacji pragnienia wprawiała go w osłupienie.

– Miałeś coś odebrać, prawda? – Julia próbowała wrócić do normalności.

– E... Może lepiej wpadnę po to innego dnia. – Jacobo niewiele razy w życiu czuł się tak kompletnie niezdolny do podtrzymywania rozmowy.

– Jak chcesz.

W tym momencie do sklepu weszła drobna dziewczyna z krótkimi, starannie ułożonymi włosami przewiązanymi szeroką różową wstążką.

– Jak się masz, Oba? – rzuciła Julia. Jacobo rozpoznał spotkaną u Anity Guau towarzyszkę Sade, ale się nie odezwał. – Jacobo, zatrudniliśmy Obę do pomocy w sklepie. Rodzice są coraz bardziej zajęci, a i ja nie mogę siedzieć tu cały czas. Mam teraz także inne zobowiązania... – umilkła znacząco.

– Doskonały pomysł – stwierdził bezdźwięcznym głosem Jacobo. – Dobrze, to ja już pójdę. Do zobaczenia, Julio.

– Pa, Jacobo.

Wyszedłszy z budynku, przez dłuższą chwilę stał na deszczu, zanim wreszcie wsiadł do pick-upa. Tymczasem w sklepie Julia zaczęła tłumaczyć Obie, co się gdzie znajduje. Gdy zatrzymały się koło drabinki, umilkła na kilka sekund i podniosła rękę do ust. Oba, z natury bardzo gadatliwa, skorzystała z okazji.

– Ten *massa* taki przystojny... Znam go, wie pani? Przyjaźnicie się państwo? Ja mam z nim wspólne znajome... Czasem spotykamy się w...

– Oba! – Julia zdumiała się własnym krzykiem. Widząc minę dziewczyny, zmieniła ton. – Nie rozpraszaaj się, bo muszę ci jeszcze dużo rzeczy pokazać.

Nie potrzebowała, doprawdy, by teraz, gdy jeszcze miała smak pocałunku Jacoba na ustach, ktoś przypominał jej – właśnie jej! – co to za człowiek.

Pod koniec grudnia wszyscy biali pracownicy plantacji otrzymali pisemne zaproszenie na obchody Nowego Roku do domku lekarza.

– Już dawno chcieliśmy uczcić z wami nasz ślub, ale z różnych powodów rzecz się odwleką – oświadczyła gościom rozpromieniona Julia. – W końcu uznaliśmy, że to dobra okazja. Jak w tym powiedzeniu: nowy rok, nowe życie...

Kilian spotykał się młodymi małżonkami dosyć często, jednakże tego wieczoru Julia wydawała mu się jeszcze bardziej szczęśliwa niż zwykle. Miała na sobie wiskozową bladożółtą sukienkę z klinami uwypuklającymi biust, a włosy zebrała w wysoki kok, który podkreślał porcelanową gładkość jej cery. Nie była wybitną piękną, lecz wyglądała naprawdę ślicznie, taka świeża i nieustannie uśmiechnięta. Jej rodzice i Manuel też tryskali radością.

Julia urządziła swoje nowe mieszkanie na wzór domu rodziców – skromnie i przytulnie. W niezbyt wielkim salonie udało jej się zmieścić spory stół, przy którym zasiadało teraz wygodnie czternaścioro biesiadników: jej rodzina, zarządca plantacji, sześciu jego białych podwładnych, ksiądz oraz jej dwie najbliższe przyjaciółki, Ascensión i Mercedes, które, jak się zdawało, zdążyły już zacieśnić relacje – odpowiednio – z Mateem i Marcialem.

Kilian przez chwilę przyglądał się dwóm ciekawym obrazom wiszącym na ścianie, która, gdy potem usiadł, znalazła się za jego plecami. Na czarnym tle artysta przedstawił – za pomocą kolorowych, oryginalnych maźnięć – łatwe mimo to do rozpoznania kształty: na pierwszym płótnie kilku mężczyzn płynęło dżubanką po rzece obrosniętej gęstą roślinnością; na drugim wojownicy w pióropuszech rzucali się z dzidami na dzikie zwierzę. Julia, mijając Kiliana w drodze ku swemu miejscu u szczytu stołu, spytała:

– Ładne, prawda? – Kilian przytaknął. – Kupiłam je niedawno na ulicznym stoisku. Maluje je niejaki Nolet. Zakochałam się w nich od pierwszego wejrzenia. Są... Jak to ująć? Zarazem proste i złożone, łagodne i brutalne, tajemnicze i oczywiste...

– Jak ta wyspa... – mruknął Kilian.

– Tak. I jak my wszyscy.

Mimo że część gości trochę cierpiała z powodu kaca i niewyspania po ostatnim

wieczorze w kasynie, przy kolacji panowała swobodna atmosfera, której sprzyjało specjalne, typowo pasolubińskie menu na tę okazję przygotowane przez Generosę. Jedli więc delikatne purée z ciecierzycy oraz potrawkę z kury. Mięciutkie mięso, obtoczone w mące, usmażone na oleju, a następnie duszone na wolnym ogniu z winem, mlekiem, orzechami, czosnkiem, cebulą, solą i pieprzem, wywołało falę pełnych nostalgii wspomnień na temat kulinarnych umiejętności nieobecnych matek. Na deser były przepyszny rumowy suflet i ciastka.

Kilian zauważył, że Jacobo jest wyjątkowo milczący i prawie nie patrzy na Julię. Przypomniał sobie, że powitanie tych dwojga wypadło nienaturalnie chłodno. Nie przywiązywał jednak do tego większej wagi. Uznał, że Jacobo zapewne świętował sylwestra po swojemu i teraz nie był w nastroju do uprzejmości.

W pewnym momencie koledzy tak już dopiekli Manuelowi ciągłymi żartami na temat jego kondycji żonkosia, że doktor uciał kwestię, odwołując się do mądrości ludowej.

– Wiecie... – zwrócił się do Matea i Marciała. – Przyjdzie kryska...

– Na matyska! – dokończyła Ascensión, czule skubiąc włosy Matea.

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

Po deserze dwaj służący serwowali whisky Johnny Walker oraz szampana Veuve Cliquot. Emilio, z zaczerwienioną twarzą i błyszczącymi oczyma, wstał, wznosił swoją szklaneczkę i zaproponował toast za młode małżeństwo, które, jak potwierdził ostatnio Manuel, wkrótce miało się doczekać potomka. W odpowiedzi rozległy się wiwaty, brawa i komentarze tak śmiałe, że Julia zalała się rumieńcem, a ojciec Rafael pokręcił głową. Ascensión i Mercedes rzuciły się ścisnąć przyszlą mamę, jak również przyszlą babcię, mężczyźni zaś poklepywali po plecach Manuela i przyszłego dziadka.

Kilian skorzystał z zamieszania i wymknął się na papierosa. Po chwili dołączyła do niego Julia, wciąż zaróżowiona z emocji, i oparła się o płotek ogradzający przydomowy ogródek.

– Gratulacje, Julio – powiedział Kilian, oferując jej papierosa, którego nie przyjęła.

– Dziękuję. Bardzo się cieszymy. – Przyłożyła dłonie do brzucha. – To takie dziwne uczucie...

Spojrzała na Kiliana i bez owijania w bawełnę spytała:

– Kiedy wybierzesz się do domu, Kilianie? Od jak dawna nie widziałeś matki?

– Od prawie pięciu lat.

– To szmat czasu...

– Wiem. – Kilian zacisnął wargi, dając do zrozumienia, że nie zamierza niczego wyjaśniać.

Julia przez chwilę uważnie mu się przyglądała. Był bardzo podobny do Jacoba i tak samo jak on emanował niesamowitą siłą. A jednak skrajnie się od niego różnił. Głównie tym, że oprócz siły emanował też wrażliwością, i to mimo wyraźnych starań, by wyglądać na zimnego i obojętnego. Dużo przecierpiał od czasu przybycia na wyspę – usiłując dostosować się do nowych warunków, walcząc o szacunek kolegów, towarzysząc ojcu w ostatnich momentach, odmawiając powrotu do domu... Jakąż trudność musiało mu sprawiać tłumienie odruchów człowieczeństwa, empatii, a nawet zwykłej serdeczności w tym świecie mężczyzn zdziczałych od ciężkiej pracy i klimatu.

Każdy z braci wywoływał u niej, Julii, inne emocje: pociąg, który odczuwała do Jacoba, był wprost proporcjonalny do siostrzanej sympatii, jaką wyzwał w niej Kilian.

– Ja nie wytrzymałabym tyle bez swojego dziecka – drążyła. – Nie, nie wytrzymam.

Na pewno nie.

Kilian wzruszył ramionami.

– Jest jak jest – mruknął.

– Czasem jest tak, jak chcemy, żeby było. – Julia przypomniała sobie pocałunek Jacoba i aż się wzdrygnęła. Mogła tego uniknąć, ale właśnie nie chciała. – W tym przypadku doskonale to widać. Ile by cię kosztowało wsiąść na statek czy do samolotu i zajrzeć do domu?

– Bardzo dużo, Julio, bardzo dużo.

– Nie chodzi mi o pieniądze.

– Mnie też nie. – Kilian zgasił papierosa, pochylił się i wsparł przedramionami o ciepły jeszcze od słońca płot. – Nie mogę, Julio. Jeszcze nie. – Zmienił temat. – Widzę, że służy ci to nowe życie.

– O, tak, ale nie myśl sobie... Na początku trzeba się przyzwyczać.

– Manuel to dobry człowiek.

– Tak, bardzo dobry. – Julia spuściła wzrok. – Mam dla ciebie propozycję. Zdradzę ci pewien sekret, jeśli mi w zamian wyjaśnisz, dlaczego nie chcesz wrócić do domu.

Kilian się uśmiechnął. Cóż za uparta kobieta!

– Jest za wcześnie.

– Za wcześnie? – Julia zmarszczyła brwi. – Na co?

– Na wszystko. Na oglądanie cierpienia mamy i wszechobecnych pamiątek po ojcu... Na wszystko, Julio. Nic nie będzie takie samo jak dawniej. Odległość pozwala kontrolować emocje. – Poszukał wzrokiem jej spojrzenia. – I tyle. Teraz twoja kolej. Jakiż to sekret?

Julia milczała przez kilka sekund: ona dzięki odległości unikała pokus. Ostatecznie zrobiła unik, mówiąc wesoło:

– Dowiedziałam się, że twoja siostra też jest w ciąży. Dzieci to zawsze wielki powód do radości! Wiesz, że mój tata już wymyśla imiona? Mówi, że dziewczynkę mogę nazwać, jak mi się spodoba, ale chłopiec musi mieć na imię Fernando. Założył się z kolegami z kasyna o tysiąc peset, że w każdym hiszpańskim domu w Gwinei jest jakiś Fernando. Wszczęliśmy dochodzenie i wygląda na to, że faktycznie...

Kilian nie umiał się nie uśmiechnąć.

– Ładne imię. Bardzo stosowne.

– Mógłbyś je podsunąć Catalinie. Choć w razie czego, pewnie będzie wolała nazwać chłopca Antón, po dziadku...

– Czy ja wiem... To powtarzanie imion sprzyja jedynie porównaniom. W rezultacie trudno ocenić, gdzie oryginał, a gdzie kopia.

– No, daj spokój! Ciągłe nie zaraziłeś się afrykańskim sposobem myślenia? Co zawsze powtarza José?

Zbity z tropu Kilian uniósł brew.

– Życie zatacza koło, wydarzenia się powtarzają. W innych okolicznościach, owszem,

ale zasadniczo w tej samej formie. Tak samo jak w przyrodzie. Tutaj, na wyspie, szczególnie łatwo uświadomić sobie tę cykliczność życia i śmierci. – Julia wzruszyła ramionami. – Jak już to zrozumiesz, wszystko staje się prostsze. Wiesz, co mi zawsze mówiła babcia, jeszcze w domu, jak byłam mała? Że aby umieć żyć, trzeba umieć umierać. A kto jak kto, ale ona widziała mnóstwo śmierci, nawet jeśli pominąć wojnę domową...

Wzdrygnęła się i potarła ramiona.

– Lepiej wracajmy – powiedział Kilian, odrywając się od płotu.

– Tak. Założę się, o co zechcesz, że wiem, czego teraz dotyczy rozmowa.

– Polityki? – zrzykował on.

Julia przytaknęła z uśmiechem. Kilian popatrzył jej w oczy, też się uśmiechnął i czule pocałował ją w policzek.

– Zasługujesz na wszystko, co najlepsze, Julio – oświadczył, po czym puścił do niej oko i dodał: – Nawet jeśli czasem nie dotrzymujesz słowa...

Zarumieniła się.

– Ty też zasługujesz, Kilianie. Zobaczysz... To, co najlepsze, dopiero przed tobą...

Gdy tylko wrócili we dwoje do salonu, Mateo, Marcial, Ascensión i Mercedes pożegnali się, albowiem czekało ich jeszcze jedno spotkanie w mieście. Reszta towarzystwa, zgodnie z przewidywaniami, rozprawiała o polityce.

– Tak mówili ostatnio w kasynie – wykrzykiwał Emilio. – Podobno ONZ wydała już rezolucję o dekolonizacji. Dlatego Carrero Blanco zaproponował „prowincjonalizację”.

– Czyli właściwie co? – chciał wiedzieć Santiago.

– Przecież to jasne – wtrącił Lorenzo Garuz. – Chodzi o to, żeby zrobić z naszych kolonii zwykłe prowincje.

– No, aż taki głupi nie jestem. – Lekko zirytowany Santiago przygładził kościstą dłonią przerzedzone już włosy. – Tyle sam rozumiem. Pytałem, co się wtedy zmieni...

– Zależy. Mnie pomysł wydał się rozsądny. Po tylu latach to jest przecież właściwie Hiszpania. – Emilio wyciągnął swoją szklankę w stronę boya. – Ale, rzecz jasna, czarni widzą to inaczej. Skończy się tak, że nie będę mógł rozmawiać z Gustavem, bo zaraz zaczynamy na siebie krzyczeć. Miał czelność mi oświadczyć, że to wszystko sprytna strategia, aby dalej ich wykorzystywać, wyobrażacie sobie?

– Rozumiem tę prostą logikę – rzekł ojciec Rafael. – Prowincje to nie kolonie, więc nie da się ich zdekolonizować.

– To samo mówił Gustavo. Innymi słowami, ale to samo.

– Cóż, nie wydaje mi się, żeby coś z tego wszystkiego wynikło – wtrąciła Generosa. – Bez Hiszpanii nie ma Gwinei, a bez nas... Mogą sobie wracać do dżungli, skąd ich wyciągnęliśmy... – Julia skrzywiła się, ale zmilczała. – W gruncie rzeczy kolonie kosztują więcej, niż przynoszą dochodu. Ale oni tego nie rozumieją, skąd.

– No, nie zgodziłbym się co do tego dochodu – rzekł Jacobo, myśląc o tonach kakao zebranych w ostatnim sezonie. – Któż lepiej od nas wie, jaki jest duży, nieprawdaż, panie Garuz?

– Niby tak, ale... – Zarządca potrząsnął głową. – Kto, jeśli nie Hiszpania, płaci za szkoły, szpitale, rozwój miast... Nie wiem... Nie wiem, czy to się opłaca...

– Na pewno nie – stwierdziła Generosa. – Widzieliście naszą ochronkę? Kto łoży na sześćdziesięcioro dzieciaków, które tam mieszkają? A co powiecie na roboty w Moce? Kilka tygodni temu uczestniczyliśmy z Emiliem w inauguracji wodociągów mających służyć wioskom Moka, Malabo i Bioko oraz w uroczystym przekazaniu mieszkań czarnym zaangażowanym w prace. Organizacja do spraw Tubylców zapłaciła połowę ceny każdego domu, a każdy wyposażony jest w drewniane okna z szybami!

– I to jeszcze nie wszystko! – dodał Emilio podniesionym głosem. – Jak myślicie, dokąd jeździł ostatnio Gustavo? Do Kamerunu. Ni mniej, ni więcej tylko po to, żeby spotkać się z tą zgrają niepodległościowców, którzy nie spoczną, aż dostaną to, czego chcą. Gustavo mówi nawet o możliwej unii z Gabonem i...

– Oczywiście – przerwał mu ojciec Rafael. – Ponieważ Francja nosi się z zamiarem przyznania niepodległości Kamerunowi i Gabonowi, zaraza się rozprzestrzenia. A tyle zrobiliśmy, żeby wskazać tym niewdzięcznikom właściwą ścieżkę! Zauważyliście, co się działo w ostatnie Boże Narodzenie? Ulice Santa Isabel aż się roiły od tych błaznów w maskach. Wcześniej siedzieli po domach, a teraz panoszą się na mieście, tańcząc jak dzicy, wrzeszcząc i siejąc zgorszenie, z nadzieją odrodzenia swoich absurdalnych zwyczajów. Czy o to chodzi bojownikom o wyzwolenie, zapalonym nacjonalistom? A biskupi w ostatnim liście pasterskim ostrzegają: wkrótce najgorszym wrogiem staną się komuniści.

– Miejmy nadzieję, że nie powtórzą się u nas zajścia z Ifni... – rzucił niespokojnie Garuz.

Wszyscy pokiwali głowami. Maroko, które uzyskało niepodległość rok wcześniej, domagało się teraz zwrotu niewielkich terenów należących do Hiszpanii. Chodziły słuchy, że garnizony w Ifni zostały zaatakowane przez nacjonalistów marokańskich wspieranych przez króla.

– Jeśli Franco się ugnie, to ja nie wiem, co będzie!

– Tato! – wykrzyknęła Julia, pełna obaw, że Emilio za bardzo się zdenerwuje i impreza skończy się źle.

– Cóż, twój przyjaciel sporo ryzykuje – zauważył Gregorio. – Lada dzień go zatrzymają i wyślą do Black Beach. Gubernator nie jest w nastroju do żartów.

– I słusznie, trzeba działać energicznie, wzmocnić granice z Kamerunem i Gabonem, i zamykać każdego, kto knuje przeciw naszej władzy – oznajmiła z przekonaniem Generosa. – To jest i jeszcze długo będzie Hiszpania. Wielu z nas codziennie walczy tu o swoje interesy. Ojczyzna nas nie opuści.

Po tym ostatnim zdaniu zaległa nagła cisza. Służący, na znak Manuela, dolali gościom alkoholu.

– Ależ czasem my, starzy, przynudzamy, prawda, dzieci? – Emilio powiódł wzrokiem po twarzach Jacoba, Kiliana, Manuela i Julii. – Tak czy owak, proponuję kolejny toast za was, za przyszłość... – Wzniósł szklaneczkę, a reszta poszła za jego przykładem. – Szczęśliwego roku, tego nam wszystkim życzę. Wielu szczęśliwych lat!

Kilian wypił z innymi, rozmyślając nad tym, co właśnie usłyszał. Nie podzielał niepokoju rodziców Julii, ale, rzecz jasna, był jedynie szeregowym pracownikiem jednej z wielu miejscowych plantacji, nie właścicielem biznesu. Gdyby musiał opuścić wyspę,

znalazłby sobie pracę w Hiszpanii i tyle. Nie zostawiłby za sobą zbyt wiele. Pociągnął jeszcze jeden łyk whisky i niespodziewanie się wzdrygnął. Przestał zwracać uwagę na otoczenie, wyobrażając sobie, jak świętują Nowy Rok w Bissappoo członkowie licznej rodziny Josego.

Kilka miesięcy później przyszedł na świat syn Julii i Manuela. Ostatecznie nazwali go Ismaelem, bo, jak po chrzcie wyjaśniła Jacobowi i Kilianowi szczęśliwa matka, Emilio nie tylko wygrał zakład w klubie, ale wręcz zdał sobie sprawę, że Fernandów jest w Gwinei po prostu zbyt wielu. Mniej więcej w tym samym czasie Catalina urodziła chłopca, któremu dano na imię Antón i który po dwóch miesiącach umarł na bronchit, czego jej bracia dowiedzieli się ze smutnego listu od matki.

Kilian przyjął tę wiadomość z głębokim żalem, zdawał sobie bowiem sprawę, że Catalinie trudno będzie po czymś takim dojść do siebie. Nigdy nie cieszyła się zbyt dobrym zdrowiem. Ciężę zniosła ciężko, przez ostatnie miesiące musiała ciągle leżeć, a w czasie porodu obawiano się wręcz o jej życie. Kilian pamiętał, jak czuł się po śmierci ojca, i usiłował sobie wyobrazić, przez co przechodzi Catalina po utracie dziecka. To było z pewnością cierpienie nie do wytrzymania.

Po raz pierwszy od dawna postanowił więc stawić czoło sytuacji i napisał do Mariany i Cataliny czuły list, zapowiadając, że wkrótce, na początku nadchodzącego roku, odwiedzi Pasolobino. Może – myślał sobie, z trudem dobierając słowa pocieszenia – niespodziewana radość z jego powrotu chociaż trochę złagodzi ból siostry.

A plantacja zdawała się z nim powoli żegnać: kakaowce zostały w tym roku wyjątkowo gwałtownie zaatakowane przez szkodniki. Pola wyglądały żałośnie, nie było jagody, która uchroniłaby się przed drobniutkimi, żerującymi na powierzchni owoców różowymi gąsienicami. Obumarła, łuszcząca się skórka nie pozwalała porządnie ocenić stopnia dojrzałości jagód, ba, w niektórych miejscach zbiory znacząco się opóźniły, ponieważ stwardniałe łupiny nie tylko hamowały działanie słońca i ciepła, ale również środków grzybobójczych. Jeśli w normalnych warunkach zbiory były trudne, to w tym roku wymagały jeszcze więcej pracy niż zazwyczaj. Z obawy przed kolejnymi atakami upartej zarazy należało podjąć zdecydowane kroki zapobiegawcze. Po wywiezieniu owoców zbierano łuski, żeby je zakopać, spalić lub przysypać wapnem, obrywano też wszystkie pędy i, co do jednej, pozostałe jagody, poza tym nie żałowano pestycydów.

– Garuz nie będzie zbyt zadowolony – mruknął José, biorąc garść ziaren, przyglądając się im, wachając je i odrzucając na półkę w suszarni. – Przez te deszcze i plagę kakao straci na jakości.

Stojący obok Kilian wydawał się jakiś nerwowy. Co chwila uderzał w ziemię czubkiem prawego buta.

– Co ci jest? Tańców ci się akurat teraz zachciało?

– Od kilku dni łaskocze mnie stopa. A dzisiaj w dodatku mnie boli.

– Pokaż.

Kilian usiadł, zdjął but i skarpetę.

– O, tutaj – wskazał paznokiec czwartego palca. – Strasznie łaskocze.

José ukląkł, żeby lepiej się przyjrzeć i potwierdzić swoje przypuszczenia.

– To *nigua* – prychnął. – Jesteś jak nasze kakaowce: zaatakował cię pasożyt. Pchła

piaskowa. – Widząc wstępną na twarzy Kiliana, pospieszył z wyjaśnieniem: – Nie przejmuj się, to bardzo częste. Pchła piaskowa jest tak mała, że możesz ją złapać wszędzie. Zagnieżdża się w skórze palców i wydłużonym rykiem wyjada ciało, jednocześnie składając jaja. Widzisz? W tym wybrzuszeniu są jaja. – Kilian pospiesznie wyciągnął rękę, jakby chciał natychmiast zdrapać to obrzydlistwo, jednakże José go powstrzymał. – O, nie, nie. Trzeba to usunąć bardzo ostrożnie, inaczej małe pchły zaatakują inne palce. Nieraz się zdarza, że ktoś traci w ten sposób kawałek kciuka albo...

– Lecę do szpitala! – Kilian, zdenerwowany i pełen odrazy, włożył skarpetkę i but z wielką ostrożnością.

– Spytaj o moją córkę – poradził José. – Zna się na pchłach piaskowych jak nikt!

Kuśtykając do szpitala, Kilian poczuł, że jego niepokój ustępuje miejsca przyjemnemu wyczekiwaniu. Nie widział córki Josego od tygodni. Musiał przyznać, że ilekroć – w tym roku z rzadka – wyprawiał się z przyjacielem do Bissappoo, żywił nadzieję, że ją tam spotka, lecz najwyraźniej ona też nieczęsto zaglądała do wioski. Dzieliła swój czas między szpital a męża. José przy jakiejś okazji dał już wyraz zdziwieniu, że po czterech latach małżeństwa nie mają jeszcze dzieci. Cztery lata! Kilianowi trudno było uwierzyć, że tyle czasu upłynęło od chwili, gdy poznał ją w trakcie jej ślubu. Wspomnienia z tamtego dnia zatarły się nieco, wyparte przez inne, związane z okresem jego choroby. A potem – nic, pustka. Nigdy więcej nie nadarzyła się sposobność, by pobyć sam na sam. Kilka razy widział dziewczynę, jak zdecydowanym krokiem zmierzała do suszarni, by pogawędzić z ojcem. Witła się z nim miło, przytakiwała temu, co opowiadał, i czasem odrzucała do tyłu głowę, wybuchając śmiechem, niezwykle świeżym pośród dusznego zapachu prażonych ziaren. Kilian obserwował ją w takich chwilach, czekając, aż – jak zawsze – dyskretnie zerknie w jego stronę i popatrzy na niego tymi swoimi oczyma, które później zwidywały mu się w ciemnościach nocy.

Nie mógł się tego wyprzeć: całe dni, słuchając miłych dla ucha nigeryjskich śpiewów, snuł fantazje, w których on sam zastępował Mosiego, a ona – Sade. I przeklinał swój los. Ze wszystkich możliwych kobiet musiał sobie upodobać akurat zamężną, czyli zakazaną – i w Afryce, i w Hiszpanii, i zapewne wszędzie indziej. Na szczęście, pocieszał się teraz, wchodząc po schodach szpitalnego budynku, nikt nie znał jego myśli ani uczuć. A dzięki ohydnyemu robakowi, który usiłował zawładnąć jego stopą, trafiała się okazja do upragnionego sam na sam.

Zajrzał do dużej sali, gdzie kładziono chorych robotników, i powiódł wzrokiem po rozstawionych naprzeciwko siebie łózkach. Zagadnięty pielęgniarz wskazał niewielkie pomieszczenie, w którym przeprowadzano zabiegi. Kilian zapukał i, nie czekając na odpowiedź, wszedł.

I wydał okrzyk zaskoczenia, a wszystkie jego nadzieje natychmiast się rozwiały.

Na krześle, w poplamionej krwią koszuli, siedział jego brat, trzymając w zębach drewniany patyk, córka Josego zaś zszywała mu głębokie rozcięcie na lewej ręce. Teraz przerwała na chwilę i zasłoniła ranę gazą.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony Kilian.

Jacobo wyjął patyk z ust. Twarz miał zlaną potem.

– Zaciąłem się maczetą.

– Trzeba trochę uważać! – Kilian zerknął pytająco na pielęgniarkę. – Gdzie Manuel?

– Pojechał do miasta – odrzekła. A widząc, że gość nie odrywa od niej wzroku, uznała, że może nie dowierza jej umiejętnościom, i odrobinę wyniośle dorzuciła: – Ale i ja znam się na takich ranach.

– Nie mam co do tego wątpliwości – pospieszył z zapewnieniem Kilian. – Czy to poważne?

– Jeszcze parę szwów i koniec. Rana jest czysta, ale głęboka. Trochę to potrwa, zanim się zagoi.

– Dobrze chociaż, że to lewa ręka, nie prawa – oświadczył Jacobo. – Przynajmniej będę mógł sam sobie zapinać rozporek. – Zaśmiał się nerwowo. – Żartuję. Chodź, Kilian, siadaj tu i zabawiaj mnie rozmową, dopóki ta ślicznotka nie skończy. Pierwszy raz mnie szyją. Strasznie boli.

Kilian przystawił sobie krzesło, a córka Josego wróciła do poprzedniego zajęcia. Jacobo cały zeszywniał.

– Taka ładna i tak człowieka torturuje!

Brat wsunął mu w usta patyk. Jacobo mocno zacisnął na nim zęby, oddychając w przyspieszonym rytmie. Kilian na widok rany aż się skrzywił, pełen podziwu, że dziewczyna nie zdradza żadnych emocji. Z pewnością przywykła do gorszych rzeczy, pomyślał. Założyła ostatni szew, ucięła nić, raz jeszcze zdezynfekowała okolice rozcięcia, zakryła wszystko czystą gazą i starannie zabandażowała.

– Dzięki ci, Boże, że to koniec. – Jacobo zwilżył językiem spierzchnięte wargi i westchnął. – Jeszcze trochę, a bym się popłakał.

– Nic się nie martw, twój honor nie ucierpiał. – Kilian poklepał brata po ramieniu. – Zachowałeś się jak mężczyzna.

– Mam nadzieję... – Jacobo puścił oko do pielęgniarki. – Bo tutaj nic się nie ukryje.

Córka Josego zignorowała tę uwagę. Zebrała swoje rzeczy i wstała.

– Musi pan do nas wpaść za kilka dni, żeby don Manuel obejrzał ranę i ocenił, kiedy można będzie zdjąć szwy. Proszę się starać nie ruszać tą ręką.

Podeszła do drzwi.

– Poczekaj! Nie odchodź! – zawołał Kilian. – Ja też potrzebuję pomocy.

Zawróciła.

– Przepraszam. Myślałam, że przyszedłeś do brata. – Zmarszczyła brwi. – Co ci jest?

– *Nigua*.

– Moment – rzuciła z uśmiechem. – Pójdę po bambusowy patyczek.

– Zauważyłeś, Kilian? – odezwał się Jacobo, gdy znikła za drzwiami. – Do ciebie mówi na „ty”, a do mnie na „pan”.

Młodszy brat wzruszył ramionami.

– Pewnie uważa cię za poważniejszego niż ja – mruknął, na co Jacobo wybuchnął śmiechem. – Słuchaj, jak chcesz, to idź. Może chcesz się napić kawy po tych wszystkich ciężkich przeżyciach.

– Mowy nie ma. Nie ruszę się stąd, dopóki obaj nie będziemy opatrzeni.

Kilian bardzo się starał, żeby nie zdradzić rozdrażnienia: i tym razem nie zostanie z

nią sam na sam.

– Jak wolisz.

Nie został z nią sam na sam, ale dokładnie zapamiętał dotyk jej palców na kostce, na podbiciu stopy, na pięcie – we wszystkich tych miejscach, których musiała dotknąć, podważając bambusowym patyczkiem gruzełek pełen pchlich jaj, aż ten w końcu odpadł. Zapamiętał każdy gest wykonany przez nią w czasie tych kilku minut, które zajęła cała operacja i które Jacobo wykorzystał na nieustanne paplanie o zbliżającej się wyprawie brata do Hiszpanii. Córka Josego zdawała się całkowicie skupiona na swym zadaniu, jednakże Kilian zauważył w pewnym momencie, że oczy jej posmutniały, a między brwiami pojawiła się delikatna zmarszczka. Właśnie wtedy Jacobo uznał za stosowne powiedzieć:

– A co poczniesz bez ciebie Sade, braciszku? Mam się nią zająć? Żeby nie było jej aż tak smutno?

Kilian zacisnął usta i nic nie odrzekł.

W tygodniach poprzedzających podróż nie potrafił odegnąć myśli o podobieństwach łączących go z nigeryjskimi robotnikami z plantacji. Tak jak oni przybył na wyspę jako chuderlawy, pełen ciekawości wyrostek, a wyjeżdżał stąd po latach przemieniony w barczystego, silnego mężczyznę. Tak jak oni zgromadził wiele przedmiotów i sporo pieniędzy. Jedyna różnica sprowadzała się do tego, że Nigeryjczycy wracali do siebie, ponieważ ich kontrakty – specjalnie zredagowane tak, by kapitał przepływał do Nigerii – stanowiły, że połowę zapłaty dostaną w Gwinei, a połowę już w swoim kraju. Kilian natomiast, choć przemierzał ogromne przestrzenie, kraju właściwie nie zmieniał, a wracał przede wszystkim do swojej przeszłości, którą sześć lat na tropikalnej wyspie oddaliło, nie wypierając jej wszakże ani z jego pamięci, ani z serca.

Niemniej, kiedy znalazł się z powrotem w Pasolobino – po nocy spędzonej w Saragossie, gdzie wiele kobiet chodziło już w spodniach, gdzie fiaty 1400 i nieliczne jeszcze seaty 600 wyraźnie zajmowały miejsce peugeotów 203, austinów FX3 i citroënów CV i gdzie tymczasem przestała istnieć kawiarnia Ambos Mundos – kiedy więc dotarł do miasteczka, tą samą co zawsze, oczyszczoną z zarośli kamienistą drogą, w tym samym szarym palcie, którego przez ostatnie lata nie potrzebował, poprzedzany przez jednego ze swoich kuzynów, prowadzącego objuczoną bagażem kobyłę, popatrzył w górę, na ciemny zarys domów odcinających się ostro na tle jasnego nieba, i tego zimnego marcowego dnia 1959 roku poczuł się bardzo dziwnie.

Pasolobino i rodzinny dom prawie się nie zmieniły – tylko stodoła w Rabaltué była teraz większa, a w pobliżu wznosił się nowy budynek przeznaczony na szkołę. Ludzie też wyglądali z grubsza tak samo, nawet jeśli upływ czasu odcisnął na nich swoje piętno.

Kilianowi na początku niełatwo przychodziła rozmowa z matką o posiwiiałych włosach zebranych w ścisły kok, podkreślający mnogość widocznych na twarzy nowych zmarszczek. Ba, nie potrafił zbyt długo znosić przenikliwego matczynego spojrzenia. Starał się, by krótkie, powierzchowne pogawędki ustanawiały między nim a Marianą granicę, pozwalając kontrolować oczywiste emocje. Matka dokładała starań, by niczego mu nie brakło, konsekwentnie unikając smutnych tematów, które – jak łatwo było odgadnąć – musiały stanowić główny przedmiot jej rozmyślań. Kilian zazdrościł jej

wewnętrznej siły, która odróżniała ją od innych, skłonnych do ponurej rezygnacji kobiet, każąc jej raz po raz zachęcać wymizerowaną, przybitą Catalinę, by ta nie zaniebyszała swoich codziennych obowiązków ani męża, Carlosa, i by pamiętała, że życie mija, a przecież ona, Mariana, straciła troje dzieci oraz męża i oto wciąż walczy, w imię kolejnych pokoleń. Na ile pamiętała, żaden dom nie stał nigdy pusty zbyt długo.

Kilian porozdawał przywiezione prezenty. Najpiękniejsze, kupione w sklepie Dumbo w Santa Isabel, przeznaczył dla matki i siostry: delikatne, bawełniane i jedwabne tkaniny, chusty z Manili, torebki, kunsztownie haftowane obrusy i nowe kapy na łóżko. Dalszą rodzinę i sąsiadów obdarował czerwonymi metalowymi pudełkami papierosów Craven A, butelkami najlepszej irlandzkiej i szkockiej whisky – stanowiącej w tej części świata prawdziwy luksus – oraz tak egzotycznymi w Pasolobino smakołykami, jak ananasy i kokosy. Wzbudzał prawdziwą sensację, gdy trzymając kokos w lewej ręce, prawą unosił maczetę i jednym cięciem odkrawał twardy czubek, by poczęstować zebranych najpierw sokiem, a potem chrupiącym miąższem owocu.

Dziewczyny albo właściwie już kobiety z sąsiedztwa uśmiechały się do niego z kokieterią i w czasie wizyt pytały, między innymi, o to, czy je aby pamięta. On, paląc swoje ulubione papierosy Rumbo i usiłując na nowo przywyknąć do brzmienia pasolobińskiej mowy, cierpliwie udzielał wciąż tych samych odpowiedzi, młode sąsiadki zaś ze śmiechem komentowały te odmienności jego języka, którymi zaraził się od nigeryjskich robotników, zwłaszcza krótkość formułowanych przez niego zdań oraz dziwaczne słowa.

Gdy zamieszanie związane z jego powrotem minęło – tak samo zresztą nagle jak wybuchło – Kilian włączył się w prace gospodarskie: naprawiał zabudowania, przycinał drzewa, rąbał drewno, karczował zarośla, nawoził łąki i pola. W ten sposób długie godziny spędzał na powietrzu, pośród przyrody, śpiącej jeszcze w oczekiwaniu na nieśmiałą, chłodną wiosnę.

Na pierwszy rzut oka naprawdę niewiele się zmieniło. Bydło w oborach niecierpliwiło się w przeczuciu wiosennej wolności. Dym lizał kominy ukoronowane niewzruszonymi konstrukcjami z kamieni mających odpędzać czarownice. Jednakże Kilian musiał się w głębi duszy bardzo starać, by nie porównywać Pasolobino z Fernando Poo. Bo choć robił co mógł, by rodzinne miasteczko wypadło w takich porównaniach jak najlepiej, ulice i tak wydawały mu się brudne i pełne dziur; ciała ludzi – blade i zbyt miękkie; dachy – jednobarwne i nudne; promienie słońca – przygaszone i słabe; widoki – niewystarczająco zielone; temperatury – nużąco umiarkowane, a ściany rodzinnego domu, Rabaltué – zimne i przytłaczające niczym skalne nawisy.

W takich chwilach, gdy sam przed sobą przyznawał, że ostatnie lata naznaczyły jego ciało i duszę głębiej, niż mógł się spodziewać, krew mu się burzyła, zamykał oczy i dawał się porwać rzece obrazów, która zawsze, bez litości, wyrzucała go u stóp wyrastającego nad Santa Isabel potężnego wulkanu, nieodmiennie spowitego w chmury, niemal po sam czubek porośniętego lasem i zrytego korytami strumieni.

Wtedy, pogrążony w bezgłośnych wspomnieniach, chciwie chłonał w siebie słońce i deszcz tego ziemskiego raj, w którym tysiące gatunków roślin swoim codziennym,

gwałtownym wzrostem niezbitie dowodziły cykliczności życia.

Bujnego, upartego.

Nie do zatrzymania.

VIII. DROGA WŚRÓD PALM

2003

Wreszcie była w Santa Isabel!

A raczej – poprawiła się zaraz – w Malabo!

Wciąż miała kłopoty z używaniem aktualnej nazwy miasta. Nie wspominając już o określaniu mianem Bioko wyspy znanej z opowieści ojca i stryja jako Fernando Poo.

Otworzyła oczy i przez chwilę śledziła wzrokiem ruch skrzydeł zawieszzonego pod sufitem wentylatora. W pokoju panował duszny, lepki upał. Rozpakowując bagaże, spociała się jak mysz, a prysznic przyniósł jedynie chwilową ulgę.

Pomyślała: i co teraz?

Wstała z łóżka i wyszła na balkon. Natychmiast ogarnęła ją kleista wilgoć przesycona ostrą wonią, którą Clarence wyczuła od razu, gdy tylko wysiadła w Malabo z wygodnego airbusa A139. Wciąż była oszołomiona tą gwałtowną zmianą scenerii. Próbowwała wyobrazić sobie, co czuł ojciec, gdy po raz pierwszy zjawiał się na wyspie, jednakże warunki całkowicie się zmieniły. Ojciec na pewno nie miał tego wrażenia, że oto przybywa do kraju opanowanego przez wojskowych. Sapnęła z irytacją na samo wspomnienie korowodów, jakich wymagało wydostanie się z nowoczesnego lotniska ze szkła i metalu: musiała kilkakrotnie okazać paszport, zaświadczenie o niekaralności, książeczkę szczepień oraz zaproszenie z Narodowego Uniwersytetu Gwinei Równikowej, by następnie przejść przez rozmaite kontrole celne, podczas których otwierano jej walizkę i skrupulatnie sprawdzano zawartość; potem trzeba było wypełnić specjalny formularz, wymieniając cele podróży, a także nazwy zarezerwowanych hoteli. No i na domiar złego należało pamiętać, by zawsze nosić przy sobie ten plik papierzysk, na wypadek kontroli policyjnej, która, jak ją ostrzegano, mogła się przytrafić każdemu w każdej chwili.

Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła. Patrzyła na skąpane w słońcu palmy i drzewa rosnące wśród obdrapanych domów, słuchała śpiewu ptaków zmieszanego z pokrzykiwaniem chłopców grających w piłkę w pobliskim zaułku i próbowała cokolwiek zrozumieć z rozmów kobiet i mężczyzn, którzy, ubrani w krzykliwe kolorowe stroje, przechodzili ulicą w dole, mijając auta najrozmaitszych marek i w najróżniejszym stanie. Cóż za niesamowite miejsce! Tę wysepkę, pod względem powierzchni podobną do jej rodzinnej doliny, przez długie wieki zamieszkiwali ludzie z wielu krajów, mówiący co najmniej dziesięcioma językami: po portugalsku, angielsku, francusku, hiszpańsku, annabońsku, w językach bubi, pichi, fang, ndowe, bisio... Najprawdopodobniej o jakimś zapomniała, ale jedno po tych kilku godzinach wiedziała z pewnością: wpływy hiszpańskie wciąż było tu widać na każdym kroku.

Owszem, Hiszpanie, między innymi kilku członków jej rodziny, odcisnęli na tym kraju głębokie piętno, natomiast nikt się nie zastanawiał, w jaki sposób ta niewielka wyspa naznaczyła ludzi, którzy, tak jak ona, nawet tu nie mieszkali.

Ją samą łączyły z tym miejscem dziwne stosunki. Świstek papieru i słowa Julii

okazały się ostatnim, decydującym bodźcem; postanowiła wreszcie spełnić jedno ze swoich największych marzeń: marzenie o podróży na wyspę Fernando Poo-Bioko, od dzieciństwa doskonale znaną jej z opowieści. W końcu miała chodzić po ścieżkach wydeptywanych latami przez jej przodków; oddychać tym samym co oni powietrzem; cieszyć się tymi samymi widokami i tą samą muzyką. Dotykać ziemi, w której spoczywał dziadek Antón.

Czuła wszechogarniającą wdzięczność. Już sam fakt, że tu dotarła, był niezwykle istotny, albowiem w całym swoim życiu, skupionym na studiach, nie zrobiła nic bardziej śmiałego. I proszę, starczyło jej odwagi, by odpowiedzieć na słabe wezwanie rezonujące jednak w jej sercu z mocą tam-tamów.

Ktoś nieco starszy od niej, urodzony w Sampace...

Szukała konkretnych, a przecież tajemniczych ludzi, którym pragnęła przypisać jakąś twarz, jakieś imię.

W chwili gdy Julia wspomniała o tym całym Fernandzie, ona, Clarence, nabrała nagle podejrzeń, że ma na wyspie krewnych. Może nawet brata? Bo o cóż innego mogło chodzić Julii? Aż trudno było o tym myśleć! I jeszcze trudniej mówić. Kilka razy kusiło ją, by zwierzyć się ze swoich rozterek kuzynce Danieli, niemniej ostatecznie zdecydowała się poczekać do momentu, aż zdobędzie niepodważalne dowody – o ile takie istniały.

A gdyby jednak była to prawda?

Jak wytrzymałby coś takiego ojciec? A stryj... Przecież musiałby wiedzieć! Niemożliwe, żeby nie wiedział... Chyba że się myliła i w gruncie rzeczy szukała nie brata, lecz kuzyna... Potrząsnęła głową. List znajdował się wśród korespondencji ojca, Julia sugerowała, żeby to właśnie z nim porozmawiać. Poza tym trudno było sobie wyobrazić, żeby Kilian posunął się do czegoś takiego. Należał do najuczciwszych i najpoważniejszych ludzi, jakich znała. Zawsze dotrzymywał słowa i wyżej cenił sobie prawdę niż cudzą opinię, czy szło o miedzę z sąsiadem, czy o sprawy bardziej osobiste. Trochę ją nawet zdziwiło, z jaką łatwością wybiela stryja, a oskarża ojca, ale przecież nie była już dzieckiem. Ojciec bez wątpienia mógł chcieć się wymigać od konsekwencji niewygodnej – delikatnie mówiąc – sytuacji, zwłaszcza jeśli rzecz dotyczyła ciemnoskórego dziecka. Niejednokrotnie przecież wychodził z niego rasista. Ku oburzeniu córki często ucinał rozmowę tekstami typu: „Ja wśród nich żyłem, więc wiem, o czym mówię”, na które Kilian odpowiadał zwykle: „Ja też, ale się nie zgadzam”, co z kolei wywoływało pełen dumy uśmiech na twarzy Danieli, świadomej, że jej ojciec jest rozsądniejszy, bardziej umiarkowany i sprawiedliwy. Więc jak w tych warunkach mówić o uznaniu czarnego syna? Zwłaszcza w Hiszpanii sprzed trzech czy czterech dekad!

Stwierdziła, że trzeba trochę przystopować: chwilowo dysponowała wyłącznie świstkiem papieru, paroma słowami Julii i kilkoma faktami, które teraz ponownie przeanalizowała.

Z pierwszych listów wysłanych przez Kiliana nie dało się wywnioskować nic, co rzucałoby jakiegokolwiek światło na słowa Julii dotyczące dziwnej wiadomości. W jednym z tych listów stryj szczegółowo opisywał, jak dobrą opiekę miał w szpitalu Antón, zwłaszcza ze strony pewnej tubylczej pielęgniarki, oraz jak wiele osób uczestniczyło w

pogrzebie. Poza Manuelem i Julią Clarence znała część z tych ludzi ze słyszenia.

Po śmierci Antona Kilian odzywał się rzadko, prawie zawsze skupiając się na finansach Rabaltué. Tylko raz pozwolił sobie na ton nieco bardziej osobisty: w oszczędnych słowach usiłował pocieszyć ciotkę Catalinę po śmierci jej dziecka, po czym od razu zawiadamiał o swojej wizycie w domu. Szczegóły na jej temat – jakim statkiem przyplynie, dokąd, ile to potrwa – podawał w kolejnych listach. Został w Hiszpanii do roku 1960, kiedy to wrócił na wyspę z zamiarem spędzenia tam jedynie dwóch dwuletnich sezonów roboczych. Planował więc osiąść w Pasolobino na stałe w 1964 roku, w wieku lat trzydziestu pięciu. Niewykluczone, że – podobnie jak Jacobo i wielu innych – chciał porzucić tropiki na tyle wcześnie, by zdążyć założyć rodzinę w swoich stronach.

Coś się wszakże nie zgadzało.

Po roku 1964 roku stryj pisywał rzadko, ale pisywał, co znaczyło, że jego pobyt w Gwinei się przedłużał.

Najwyraźniej w 1965 roku, po śmierci ciotki Cataliny, miał miejsce jakiś przełom.

Mniej więcej w tym czasie doszło do konfliktu między braćmi – wzmiankę na ten temat Clarence znalazła gdzie indziej. Czy dlatego jej ojciec zrezygnował z pracy na plantacji? Ze względu na kłótnię z Kilianem?

Westchnęła niecierpliwie. To wszystko nie trzymało się kupy. Ojciec i stryj do tej pory utrzymywali bliskie stosunki, czyli ich konflikt okazał się niezbyt poważny. Co się zatem stało?

Spojrzała na zegarek. Do kolacji miała parę godzin. Postanowiła się przejść i chwilę później wędrowała już aleją Libertad. Znalezienie hotelu przysporzyło jej zresztą przed przyjazdem sporo kłopotów, albowiem w mieście nie było specjalnego wyboru. Znane dzielnice takie jak Los Ángeles czy Ela Nguema odpadały, bo mieszkanie w nich wymagałoby jeżdżenia autobusami. Bahía, stary, czterogwiazdkowy hotel, położony w samym sercu nowego portu, kusił ją najbardziej, jako najbardziej zbliżony do jej wizji dobrego lokum, jednakże ostatecznie zdecydowała się na hotel Bantú, ponieważ stąd miała najbliżej do wszystkich głównych atrakcji Malabo, a poza tym internetowe komentarze gości brzmiały w miarę zachęcająco.

Skierowała się teraz ku starej części miasta, która – choć niezbyt zadbana w porównaniu z takimi miejscami w Europie – była w zdecydowanie lepszym stanie niż brudne, zaśmiecone i zrujnowane wille widziane z taksówki w drodze z lotniska do hotelu. Jeśli nie liczyć band wyrostków, którzy co chwila ją zaczepiali, uwagę Clarence zwróciły przede wszystkim dwie zabawne rzeczy. Po pierwsze – kable przewodzące elektryczność, splątane niczym liany ponad ulicami. Po drugie – dziwaczna zbieranina aut przemieszczających się po wyasfaltowanych od przypadku do przypadku jezdniach. Dzięki umiłowaniu samochodów wpajanemu jej przez ojca od dzieciństwa Clarence potrafiła rozpoznać rozklekotane łady samary, volkswageny passaty, fordysy sierra, ople manta, renault 21, bmw C30 i jeepy laredo przemieszczane z nowiutkimi mercedesami i pick-upami marki Toyota.

Chcąc skupić się na pozytywach, zaczęła przypatrywać się budynkom.

Stopniowo, pod warstwą brudu, odkryła coś ciekawego. Malabo przypominało

miasta Antyli albo Andaluzji. Pełno w nim było kolonialnych, angielskich lub hiszpańskich domów. Nie ulegało wątpliwości, że obecność – kolejno – Portugalczyków, Brytyjczyków, Hiszpanów i kosmopolitycznych kupców handlujących z Antylami nadała miejscowej architekturze wyjątkowy charakter. Pośród rozpadających się baraków pozbawionych jakiegokolwiek wartości objawiała się nagle stara drewniana willa z zewnętrznymi galeriami, przywodząca na myśl hiszpańskie posesje o kutyh z żelaza balkonach.

Do tego palmy, mnóstwo palm.

Po dłuższej chwili Clarence przystanąła, wyczerpana i spragniona. Z niewielkiego błękitnego domku o dachu z blachy falistej dobiegała muzyka. Clarence zajrzała do środka i stwierdziła, że to bar, tak prosty jak te, które pamiętała z dzieciństwa w Pasolobino. Były tu dwa czy trzy stoliki przykryte ceratą, krzesła ze sklejki i skromna lada, nad którą wisiały kalendarze bez przerwy kartkowane powiewem wentylatora. Muzyka nie dawała rady zagłuszyć uporczywego pomruku wydawanego przez schowany za ladą generator.

Gdy Clarence przekroczyła próg, cztery czy pięć znajdujących się w lokalu osób zamilkło i popatrzyło na nią ze zdziwieniem. Zarumieniła się, czując, że ją obserwują, zawahała się nawet, czy się aby nie wycofać, ale postanowiła zachować spokój i poprosić o butelkę wody. Zamówienie przyjęła gruba kobieta w średnim wieku, o piskliwym głosie, która wzięła na siebie obowiązek wypytania nieznanym. Clarence z ostrożności nie wdawała się w szczegóły dotyczące powodów swojego pobytu na wyspie oraz w tej akurat części miasta. Dwóch usadowionych koło drzwi chłopaków w przepoconych koszulkach nie spuszczało z niej wzroku. Zdecydowała, że normalnie, ale raczej szybko, wypije swoją wodę, po czym opuści bar jak gdyby nigdy nic, udając, że kontroluje sytuację.

Jednakże gdy zerknęła na zewnątrz, serce w niej zamarło. Jak to...?

Pożegnała się uprzejmie, lecz pospiesznie, i wyszła. Na dworze, ku jej zdumieniu, panowały ciemności.

Potrząsnęła głową. Przecież spędziła w tym barze ledwie kilka minut!

Ruszyła opustoszałą ulicą, usiłując zorientować się po budynkach, w którą stronę powinna zmierzać. Gdzie się podziali ludzie? Dlaczego działała tylko część latarni?

Po czole i szyi spływały jej krople potu.

Czy tylko jej się zdawało, czy naprawdę słyszała za sobą kroki? A jeśli tamci dwaj z baru ją śledzili? Przyspieszyła. Może wpadała w paranoję, ale przysięgłaby, że ktoś za nią idzie. Nie zwalniając, szybko obróciła głowę i dostrzegła policyjne mundury. Zakłęła na głos. Wszystkie dokumenty zostawiła w hotelu!

Usłyszała głos, który najwyraźniej ją wołał, ale zignorowała go i pędziła dalej, usiłując nie biec, aż skręciła za róg, gdzie otoczyła ją grupka rozbawionych wyrostków. Clarence, wykorzystując zamieszanie, rzuciła się w prawo, po czym zaczęła kluczyć, żeby zmylić policjantów. Kiedy poczuła, że serce zaraz jej pęknie, przystanąła, zdyszana i zlana potem, i z zamkniętymi oczyma oparła się o ścianę.

Po cichym szmerze poznała, że znajduje się blisko rzeki. Otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że zamiast na południe pobiegła na północny wschód. Tuż obok niej

wyrastał mur zieleni. Co się właściwie działo? Z samolotu miasto wyglądało przecież na takie, w którym nie sposób się zgubić! Wyobraziła sobie nawet, że zostało zaprojektowane przez artystę, który za pomocy ekierki, zdecydowanymi pociągnięciami ołówka wytyczył proste, równoległe i prostopadłe ulice, podzielone na idealnie regularne kwartały i ciągnące się od brzegu morza ku wnętrzu lądu.

Winą za jej histeryczną reakcję należało obarczyć książki, które czytała w podróży. Wzdrygnęła się. Ależ z niej tchórz! Z takim podejściem nie zniosłaby wielotygodniowej morskiej przeprawy, na statku zdanym na łaskę i niełaskę zmiennej pogody, przy świadomości, że u celu czeka wyspa, na której, jeśli nie zginąłeś z rąk dzikich, wrogo nastawionych tubylców, zatruwających ujęcia wody i odcinających żeglarzom głowy, to umierałeś od gorączki. Dla uspokojenia próbowała postawić się na miejscu tych setek ludzi, którzy przez dwa wieki – na długo przed tym, jak Antón, Jacobo i Kilian mogli skorzystać z uroków kolonializmu w jego dojrzałej formie – brali udział w ekspedycjach mających podporządkować te ziemie Hiszpanii. Sama myśli o nich, zamiast ją uspokoić, przyprawiła ją o nowy dreszcz.

Czytała, że sypiali w ubraniu, z bronią pod poduszką, że niekiedy nie zdradzali załozdze statku, dokąd płyną, z obawy przed buntem na pokładzie, że często byli wśród nich więźniowie polityczni, którym w zamian za dwa lata na Fernando Poo obiecywano wolność... Wyobrażała sobie tych przedsiębiorczych śmiałków, którym bezpłatnie przydzielano ziemię, tych skazańców marzących o swobodzie, misjonarzy – początkowo jezuitów, a później klaretynów – przekonanych o świętości swojej ewangelizacyjnej misji, pojedynczych zuchwałych odkrywców ciągnących za sobą nierozważne żony... Iluż z nich pomarło, iluż błagało o możliwość powrotu, choćby i do więzienia! Oni, owszem, mieli powody do strachu. W przeciwieństwie do niej. Choć z drugiej strony... Natknęła się przecież na tę powieść o porwaniu białej dziewczyny i strasznych wybrykach gwinejskiej policji...

W takich chwilach jak ta sama nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

Powiodła spojrzeniem dookoła i, oddalając się już od rzeki, poczuła nowe ukłucie niepokoju. Musiała przypomnieć sobie plan miasta, który tyle razy oglądała w samolocie, i skierować się na zachód, ku bardziej uczęszczanej alei Independencia...

Zdążyła przejść zaledwie kawałek, gdy aż podskoczyła na dźwięk klaksonu.

– Potrzebuje pani podwózki? – zawołał ktoś z auta.

Odszukała go wzrokiem: młody mężczyzna w okularach, za kierownicą kanciastej niebieskiej wołgi w stylu lat osiemdziesiątych.

Tylko tego jej brakowało!

Nie odpowiadając, przyspieszyła.

Mężczyzna dostosował prędkość samochodu do jej kroku i powtórzył pytanie, po czym dodał:

– Proszę pani, jestem taksówkarzem. – Clarence rzuciła mu nieufne spojrzenie. – W Malabo taksówki nie mają żadnych specjalnych oznaczeń.

Uśmiechnęła się półgębkiem. To już wiedziała – z lotniska. Ponadto śpiewny, miły ton tego człowieka wzbudzał w niej zaufanie. Przystanęła i przyjrzała się facetowi uważniej. Oceniała go na jakieś trzydzieści lat. Miał bardzo krótkie włosy – w związku z

czym jego czoło wydało się bardzo szerokie – poza tym wydatną szczękę i duży nos oraz, na pierwszy rzut oka, szczery uśmiech.

Była tak zmęczona i dezorientowana, że w końcu skinęła głową.

Kilka minut później, już spokojna, uznała, że jej się poszczęściło. Taksówkarz, imieniem Tomás, okazał się nauczycielem, dorabiającym sobie wożeniem ludzi. Ponieważ i ona zajmowała się działalnością dydaktyczną, nawiązali rozmowę.

Mimowolnie zaczęła analizować jego sposób mówienia – specyficzny pod względem intonacji, ale poza tym całkowicie poprawny. Tomás ani nie pomijał rodzajników, ani nie mylił czasów, zaimków czy przymków, co, według jakiegoś przeczytanego przez nią artykułu, miało być charakterystyczne dla mieszkańców wyspy. Po prostu zbyt słabo wymawiał niektóre głoski, stosował seseo i akcentował ostatnią sylabę wyrazów.

Robiła tak, rzecz jasna, ze zdenerwowania: tyle się przed chwilą najadła strachu, że rozważania natury lingwistycznej były teraz czymś w rodzaju terapii...

Odetchnęła głęboko, żeby się rozluźnić.

– I jak się pani podoba Malabo? – spytał Tomás.

– Niewiele jeszcze widziałam, bo przyleciałam dzisiaj – odrzekła, myśląc jednocześnie, że Malabo jest brudne, pełne kabli i krętych uliczek.

Tomás zerknął na nią w przednim lusterku.

– Na pewno bardzo się różni od miejsca, w którym pani mieszka. Przyjezdni strasznie się dziwią, że choć Gwinea ma tyle ropy, wydaje się taka biedna. Nowa, elegancka dzielnica zwana Małą Hiszpanią znajduje się tuż obok slumsów w Yaundé. – Wzruszył ramionami. – My już się przyzwyczailiśmy do tych kontrastów. Jeśli pani chce, mogę panią teraz szybko obwieźć po najważniejszych miejscach.

Jak gdyby czytając w myślach pasażerki i chcąc zatrzeć pierwsze negatywne wrażenie, jakie zrobiło na niej miasto, pokazał jej kilka pięknych miejsc, które знаła z fotografii: plac przy Ratuszu i jego malownicze ogrody, zatokę w formie podkowy, plac Independencia z czerwonym Pałacem Obrad, w którym mnóstwo było łukowatych okien, Pałac Prezydencki położony ponad starym portem... Ani widziane w domu nieliczne czarno-białe zdjęcia z czasów kolonialnych, ani te współczesne, kolorowe, z internetu, nie oddawały urody tego, co właśnie oglądała – a przecież było już ciemno.

Z otwartymi ustami i mocno bijącym sercem na chwilę przeniosła się w czasie, do innej epoki, kiedy jej ojciec i stryj, ubrani w białe garnitury, przechadzali się po tych samych ulicach, pozdrawiając białych i czarnych znajomych. Przypomniała sobie jednak, że średnia długość życia w Gwinei wynosi koło pięćdziesięciu lat, i złudzenie od razu prysło. Ludzie, którzy mogli znać Jacoba i Kiliana, na pewno już pomarli, podczas gdy obaj bracia, sami po siedemdziesiątce, wciąż cieszyli się dobrym zdrowiem. Historyczne budynki, nadal dumne, choć obdrapane, w sposób nieunikniony radowały teraz kolejne generacje.

Taksówkarz skręcił w końcu z alei Independencia, pełnej budynków rządowych i restauracji, w aleję Libertad, po czym zaraz przystanął i wysiadł, żeby otworzyć Clarence drzwi. Zapłaciła mu, dodając szczodry napiwek w dolarach.

– To dobre miejsce... – powiedział Tomás. – W pobliżu są trzy restauracje i małe centrum handlowe. – Zawahał się. – Czy mogę dać pani radę? Lepiej nie chodzić samej

po nocy. Samotna biała kobieta... to tutaj rzadkość.

Clarence wzdrygnęła się na wspomnienie swojego koszmarnego spaceru.

– Proszę się nie martwić. – Dziwne było, że, oboje tak młodzi, zwracają się do siebie na „pan, pani”, ale ponieważ to Tomás zaczął, nie chciała mu się wydać źle wychowana. – Bardzo dziękuję. A, właśnie, jutro wybieram się do Sampaki. Nie chciałby mnie pan tam zawieźć?

– Jutro... – Tomás namyślał się przez parę sekund. – Tak. Jutro jest sobota, nie mam szkoły. Zawiozę panią z przyjemnością. – Chwilę czekał, czy może sama czegoś nie dorzuci, a potem uległ ciekawości: – Zna pani kogoś w Sampace?

– Zarządcę. To znajomy mojego ojca. Umówiłam się z nim... – odparła, poniekąd zgodnie z prawdą.

Faktem było, że wysłała mejl do niejakiego F. Garuza, pytając go, czy w trakcie jej wizyty służbowej na wyspie nie pokazałby jej plantacji, na co on bardzo uprzejmie przystał. Nazwisko nosił takie samo jak zarządca Sampaki z czasów Jacoba i Kiliana, a jeśli chodziło o to „F.”... Uznała, że trudno oczekiwać aż takiego zbiegu okoliczności, aby...

– Z panem Garuzem? – zapytał Tomás.

– Niech pan nie mówi, że go pan zna...

– Proszę pani, to mała wyspa! Wszyscy się tu znamy.

Clarence popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Hm, no tak. To o dziesiątej będzie dobrze?

– Tak. A... O kogo mam pytać?

Zdała sobie sprawę, że się nie przedstawiła.

– Mam na imię Clarence.

– Clarence! Jak to miasto!

– Owszem. Jak to miasto.

Po lekturach z ostatnich tygodni domyślała się już, że w najbliższym czasie usłyszy to wiele razy. Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

– Jeszcze raz dziękuję, i do jutra.

Znalazłszy się z powrotem w pokoju, padła na łóżko, całkowicie wyczerpana. Nigdy by nie przypuściła, że jej pierwszy dzień w Gwinei okaże się tak intensywny. Dobrze chociaż, że miała jeszcze trochę czasu, by odpocząć przed wizytą w Sampace.

Dokładnie o dziesiątej Tomás zatrzymał samochód przed wejściem do hotelu. Tak samo jak poprzedniego wieczoru miał na sobie beżowe spodnie do kolan, białą koszulę i sandały. Clarence, która w ostatniej chwili zmieniła długą letnią spódnice na spodnie i żakiet, czekała na niego ze skrzywioną miną.

Lało jak z cebra.

– Wydaje mi się, że dziś nie zwiedzi pani plantacji – stwierdził Tomás. – To ta pora. Nic tylko deszcz i deszcz. Na szczęście nie spodziewamy się na razie żadnego huraganu.

Przez mokre szyby nic nie było widać. Clarence pozwalała się zatem wieźć asfaltową szosą, nie mając pojęcia, którądy jedzie. Po jakichś dziesięciu minutach auto stanęło przy punkcie kontroli, gdzie dwaj znudzeni, uzbrojeni po zęby strażnicy poprosili cudzoziemkę o dokumenty. Na szczęście tym razem je ze sobą wzięła, a cała procedura

nie trwała długo, ponieważ strażnicy znali Tomasa, pogoda zaś nie sprzyjała pogawędkom.

Kiedy Tomás oznajmił, że właśnie skręcają w gruntową drogę prowadzącą do słynnej niegdyś plantacji, Clarence poczuła, że serce wali jej jak młotem, i przykleiła nos do szyby.

– Jak nie przestanie padać – mruknął Tomás – nie wydostaniemy się z *poto-poto*.

– A co to takiego? – spytała Clarence, nie odrywając wzroku od zamazanego krajobrazu za oknem.

– Błocko. Mam nadzieję, że nie zabawi pani w Sampace zbyt długo. Inaczej nie zdołamy wrócić do miasta.

W tym momencie Clarence dostrzegła białe pnie ogromnych palm, które pięły się ku niebu na podobieństwo otoczonych nimbem świętości strażników, niewzruszonych wobec zalewającego wszystko potopu.

– Proszę się zatrzymać – poprosiła drżącym głosem. – Na sekundkę.

Uchyliła okno i pozwoliła, by deszcz, który padał na te majestatyczne, ponadtrzydziestometrowe drzewa, zwilżył również jej twarz. Fakt, że oto znalazła się w miejscu, gdzie Antón, Jacobo i Kilian spędzili długie lata, wywołał w niej niebezpieczną mieszaninę radości i smutku. Pomyślała o tych należących do rodziny mężczyznach i o sobie samej. Możliwość oglądania na własne oczy tego, co oni widzieli wiele dekad wcześniej, napełniła ją dziwnym uczuciem nostalgii.

Jak mogła tęsknić za miejscem, którego jeszcze nie знаła? Jak mogła popadać w melancholię w związku ze stratą, której jeszcze nie doświadczyła?

Czuła chyba to samo, co musieli czuć Kilian i Jacobo, gdy ich oczy wilgotniały na wspomnienie młodości spędzonej w Gwinei: lekki ucisk w piersi, w gardle i w żołądku, nagłą potrzebę ciszy i odosobnienia.

– Wszystko dobrze? – spytał Tomás. – Mam jechać dalej?

– Tak, tak. – Już wiedziała, że wróci w to miejsce, w którym jeszcze nie była, którego jeszcze nie opuściła. Musiała je obejrzeć w świetle słońca. – Jedźmy.

Od tego momentu przestała zwracać uwagę na deszcz. Nawet z zasłoniętymi oczyma potrafiłaby opisać tę drogę wśród palm, wiodącą na centralny dziedziniec z ubitej czerwonej ziemi, przy którym wznosił się wielki, kwadratowy budynek z białymi kolumnami, czterospadowym dachem i pobielonymi ścianami o wystających gdzieś belkach, pomalowanych na zielono podobnie jak zewnętrzna galeria okrążająca piętro. Do drzwi wejściowych wiodły szerokie, imponujące schody z białą, elegancką balustradą.

Tomás zaparkował w podcieniach zewnętrznej galerii i zatrąbił, lecz dźwięk klaksonu niemal zginął wśród odgłosów tropikalnej ulewy. Mimo to, gdy wysiedli z auta, na spotkanie wyszedł im mniej więcej pięćdziesięcioletni, poważny, potężnie zbudowany i mocno opalony mężczyzna, który grzecznie powitał Clarence. Ubrany był w krótkie spodnie i niebieską koszulę; szpakowate włosy, z trochę niesforną grzywką, nosił przystrzyżone bardzo krótko, twarz miał szeroką, a oczy jakby odrobinę zapadnięte.

– Witamy w Sampace... Jesteś Clarence, tak? Fernando Garuz, do usług.

Słyszając to imię, Clarence zamarła. Czyli jednak! „F” od Fernando! Czy o tego Fernanda chodziło Julii? Takie to miało być proste? Nie!

– Jesteś młodsza, niż przypuszczałem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, rozglądając się wokół ze zdumieniem.

– I co? Tak to sobie wyobrażałaś?

– Mniej więcej. Najbardziej zaskakują mnie kolory. Te cztery zdjęcia, które widziałam, były czarno-białe. No i jakoś tu pusto...

– Przy tej pogodzie nic się nie da zrobić. Obawiam się też, że nie zdołam ci dziś pokazać plantacji, pól ani nowych szkółek. Co najwyżej obejrzymy zabudowania. Ale zostaniesz w Malabo przez kilka dni, prawda? Więc trafi się jeszcze odpowiedniejszy moment na spacer. A dzisiaj, jeśli zechcesz, możemy napić się kawy i porozmawiać.

– Ja tu na panią zaczekam – wtrącił Tomás.

– Nie ma takiej potrzeby. – Fernando podał mu parę banknotów. – Koło południa wybieram się do miasta, to ją odwożę. – Tu zwrócił się znowu do dziewczyny. – Zgoda?

– Jeśli to nie problem... – Clarence wyjęła z torby notes i długopis, i poprosiła Tomasa, żeby zapisał jej swój numer telefonu. – W razie potrzeby zadzwonię do pana z hotelu.

Taksówka odjechała, a Fernando poprowadził swego gościa do niewielkiej, umeblowanej w stylu kolonialnym salki, gdzie zaparzył najsmaczniejszą kawę, jaką Clarence piła w całym swoim życiu. Gdy zasiedli w ratanowych fotelach koło okna, Fernando zaczął ją wypytywać o sprawy osobiste i zawodowe, i o jej związki z Sampaką. Clarence odpowiadała i sama słuchała wyjaśnień, cały czas uważnie przypatrując się gospodarzowi, szukając jakichkolwiek śladów podobieństwa... Bez skutku. Żadnych znajomych rysów twarzy czy gestów. A może... Może Julii chodziło po prostu o to, że ten cały Fernando pomoże jej w poszukiwaniach?

Postanowiła zacząć od początku.

– Czy jesteś spokrewniony z Lorenzem Garuzem? W domu słyszałam kilka razy, że pracował tu kiedyś taki zarządca.

– Owszem. – Fernando uśmiechnął się, a Clarence stwierdziła, że przerwa między górnymi siekaczami nadaje mu niespodziewanie młodzieńczy wygląd. – To był mój ojciec. Umarł w zeszłym roku.

– Och, wyrazy współczucia...

– Dziękuję. Ale staruszek miał już swoje lata...

– A ty skąd się tu wzięłaś? Zawsze mieszkałaś w Gwinei?

– Nie, skąd. Chociaż urodziłem się w Santa Isabel. – Clarence zacisnęła usta. Julia kazała jej szukać Fernanda *urodzonego* w Sampace. – Dzieciństwo spędziłem częściowo w Gwinei, a częściowo w Hiszpanii. Potem długo nie pojawiałem się na wyspie, aż wreszcie, pod koniec lat osiemdziesiątych, osiadłem tu na stałe.

– W Sampace?

– Najpierw w mieście.

– I jaki sposób wróciłeś na plantację? Nie przeszła na własność rządu jak inne? Mam na myśli to, co stało się po wyzwoleniu...

– W Sampace został wtedy zaufany człowiek, który prowadził ją, jak mógł, przez te

kilka lat, kiedy plantacje jeszcze jakoś działały. Oczywiście nie tak jak w czasach twojego ojca... No, ale coś się jednak działo. Pamiętaj, że to było jedyne źródło dewiz koniecznych do przeżycia. Po zamachu z 1979 roku, kiedy skończyła się era Macíasa, dawni właściciele, wśród nich mój ojciec, główny udziałowiec Sampaki, stracili swoje plantacje, które rząd oddał na własność wysoko postawionym wojskowym.

– To jak ci się udało wrócić?

– Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych wojskowy, któremu przydzielono Sampakę, umarł, ja pracowałem już na wyspie, przy wdrażaniu projektów rolnych finansowanych przez Unię Europejską i Hiszpańską Agencję Współpracy Międzynarodowej, a skupionych na rewitalizacji upraw kakao oraz wprowadzaniu nowych upraw, takich jak pieprz i gałka muszkatołowa. Tak się złożyło, że spadkobiercy tamtego wojskowego dogadali się co do sprzedaży plantacji, dzięki czemu zdołałem odzyskać to, co należało do mojej rodziny od początku ubiegłego wieku – wyjaśniał Fernando z dumą – i osiadłem w miejscu, gdzie spędziłem dzieciństwo.

Zaproponował Clarence kolejną kawę, na którą ona z ochotą przystała.

– Zakładam, że nazwali cię Fernando na cześć wyspy.

– Sądzę, że w każdej hiszpańskiej rodzinie w taki czy inny sposób związanej z Gwineą jest jakiś Fernando...

Clarence lekko się skrzywiła. To jeszcze bardziej utrudniało sprawę.

– W twojej też? – spytał Fernando, źle interpretując jej minę.

– Słucham? A, nie. U nas są same dziewczyny – uśmiechnęła się. – Ale nie ma żadnej Fernandy... – Umilkła na chwilę, po czym spróbowała ostrożnie: – Tak z ciekawości... Zachowały się jakieś dokumenty z lat pięćdziesiątych?

– Coś tam się zachowało. Ojciec przed wyjazdem włożył akta pracowników do szafy. Kiedy wróciłem, zastałem w biurze potworny bałagan, ale, dziwna rzecz, żadnych poważnych zniszczeń. Chyba ktoś zdał sobie sprawę, że to nie są niebezpieczne papiery.

– A twój ojciec? Wrócił tu kiedyś?

Fernando wzruszył ramionami.

– Tak, pewnie. Nie potrafił długo wytrzymać z dala od swojej wyspy. Nieustannie za nią tęsknił. Zgodnie z obietnicą pochowałem go pod drzewem puchowca. Wiesz... Aż do śmierci marzył, że przywróci Sampace dawną świetność. – Fernando popatrzył ze smutkiem przez okno. – I jest w tej ziemi coś, co cię zaraża, bo i ja myślę teraz w podobnych kategoriach. Nadal wierzę, że można by w Sampace uprawiać kakao na wielką skalę...

Clarence westchnęła i postanowiła zrobić kolejny krok.

– Fernando, skoro już tu przyjechałam... Czy sprawiłoby ci duży kłopot, gdybym poprosiła o możliwość wglądu w te akta... To głupie, ale chciałabym sprawdzić, czy nie znajdę czegoś na temat dziadka lub ojca...

– Żaden problem. – Gospodarz wstał. – Tylko że te papiery trafiły z powrotem do szafy nieuporządkowane. – Sięgnął po stojący w kącie parasol i ruszył do drzwi. – Chodź, stare biura są naprzeciwko.

Otworzywszy parasol, z galanterią trzymał go nad głową Clarence przez całą drogę do jednopiętrowego białego budynku o dwuspadowym dachu i niewielkim ganku.

Clarence bardzo się cieszyła, że właściciel Sampaki okazał się taki miły, rozmowny i skłonny jej wszystko ułatwić.

Weszli do dużego pomieszczenia z ogromnym biurkiem ustawionym naprzeciw okna, które wyglądało jak obraz przedstawiający mokrą od deszczu gęstwinę. Po prawej znajdowała się biblioteczka o drzwiach z listewek, zajmująca połowę ściany. Kiedy Fernando zaczął otwierać kolejne szafki, Clarence ciężko westchnęła. Półki w środku uginały się od spiętrzonych chaotycznie papierów. To była praca na długie godziny.

– Widzisz? Oto zawiłana historia Sampaki. Mówiłaś, że w jakich latach przebywał tu twój ojciec?

– Dziadek przyjechał w latach dwudziestych. Ojciec pod koniec czterdziestych. A stryj na początku pięćdziesiątych.

Sięgnęła po pierwszy lepszy dokument. Datowany na rok 1946, zawierał listę wypisanych po lewej stronie nazwisk, którym, po prawej, odpowiadały odciski palców. Odłożyła go na miejsce i wzięła następny, identyczny, tylko o trzy lata późniejszy.

– Pokaż. – Fernando podszedł bliżej. – A, to raport z cotygodniowego wydawania żywności. Cóż, w gruncie rzeczy dużą część tych papierzysk można odsiać od razu. – Spojrzał na zegarek. – Właściwie nie muszę jechać do Malabo przed trzecią. Jak chcesz, poszperaj tu do tego czasu. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, jeśli ci w tym nie pomogę...

– Oczywiście, że nie. – Clarence bardzo chciała zostać sama, żeby bez przeszkód poszukać czegoś na temat dzieci urodzonych nieco wcześniej niż ona, tak jak mówiła Julia. – Poza tym, jeśli się zgodzisz, w ramach wdzięczności trochę ci to uporządkuję. Mam smykałkę do wszelkiego rodzaju dokumentów.

– Doskonale. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wyjdź do mnie na dziedziniec albo... – stanął na progu i wskazał coś znajdującego się na zewnętrznej ścianie – ...zadzwoń tym dzwonkiem. W porządku?

Clarence skinęła głową. Była zdecydowana wykorzystać ten czas do maksimum. Zaczęła od rozłożenia stert dokumentów na biurku. Wyjęła z torby notes i na kilku kolejnych stronach wypisała nazwy kategorii potencjalnie przydatnych w poszukiwaniach: listy pracowników i umowy, wykazy przydzielanych robotnikom mieszkań, raporty z rozdziału żywności, rachunki, faktury, zamówienia sklepowe, akta personalne, certyfikaty medyczne i mniej ważne różności. Potem przystąpiła do segregowania papierów.

Godzinę później otworzyła teczkę pełną akt poszczególnych pracowników, z załączonymi umowami, listami płac, zaświadczeniami lekarskimi, a także zniszczonymi, niezbyt wyraźnymi zdjęciami przedstawiającymi młodych mężczyzn. Przeglądała je po kolei, aż odnalazła dziadka, a zaraz potem ojca i stryja. Wzruszyła się. Myśl o którymkolwiek z tych trzech, składającym swój podpis pod datą widoczną na dotyczącym go dokumencie, wzbudziła w niej emocje podobne do tych, jakich doświadczyła na widok palm przy wjeździe na plantację, tyle że okraszone teraz odrobiną dumy niepozwalającej popłynąć łzom. Przez chwilę wodziła palcami po fotografiach. Wszyscy trzej byli na nich tacy młodzi i przystojni! I tacy odważni! W przeciwnym razie nie zdecydowaliby się przecież chyba na porzucenie Pirenejów dla

Afryki!

W teczce znajdowały się także akta pięćdziesięciu innych podobnych mężczyzn. Clarence zanotowała nazwiska tych, którzy pracowali na plantacji w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Zamierzała spytać Kiliana i Jacoba, czy pamiętają Gregoria, Marciała, Matea, Santiaga...

Zanim wróciła do przeglądania pozostałych dokumentów, poświęciła moment na dokładne przeczytanie informacji o swoich bliskich. Najbardziej zdziwiło ją to, że jej ojciec ciężko chorował na malarię.

Zmarszczyła brwi.

Jacobo i Kilian zawsze twierdzili, że z obawy przed zimnicą niezwykle skrupulatnie zażywali chininę oraz resochin. Każde przeoczenie mogło przynieść skutek w postaci bardzo wysokiej gorączki i dreszczy, taki atak wszakże – z tego, co mówili – przypominał po prostu silną grypę. A od grypy do wielotygodniowego pobytu w szpitalu... Zdziwiona Clarence uznała, że po powrocie do domu musi zagadnąć ojca w tej sprawie.

Sprawdziła godzinę. Pierwsza! W tym tempie nigdy nie skończy. Szacowała, że udało jej się uporządkować mniej więcej sześćdziesiąt procent materiału. Przeciągnęła się, potarła oczy i ziewnęła. Odnosiła wrażenie, że nic nie znajdzie na interesujący ją temat, to znaczy na temat narodzin tajemniczego Fernanda. W umowach z robotnikami wyszczególniano imię i nazwisko ojca *rodziny*, jednakże nie wspomniano nic o liczbie ani imionach jego dzieci. Czasem w dokumentach medycznych pojawiały się wzmianki o porodach, odnotowujące płeć noworodka, ale już nie jego imię. W takich wypadkach musiało chodzić o miejscowe kobiety, bo przecież – o ile wiedziała – w tamtym czasie jedynym białym małżeństwem w Sampace byli Manuel i Julia. Powoli traciła nadzieję, lecz postanowiła przynajmniej spróbować dokończyć to, co zaczęła. Jeśli jeszcze kiedyś potomek któregoś z kolegów ojca i stryja zdecyduje się odwiedzić plantację, z pewnością ucieszy się z porządku w archiwum.

Pochłonięta swoim zajęciem nie zauważyła, że ktoś wchodzi do pokoju, i wyczuła jego obecność, dopiero gdy znalazł się bardzo blisko. Aż podskoczyła, odwracając się ku intruzowi z bijącym mocno sercem.

Potem, jak wrosnięta w ziemię, zagapiła się na niego z otwartymi ustami.

Tuż przed nią stał olbrzym o skórze czarnej jak noc, a w jego spojrzeniu kryły się ciekawość, zaskoczenie i pogarda. Clarence była wysoka, lecz i tak musiała podnieść oczy, aby stwierdzić, że to muskularne ciało zwieńczone jest ogoloną na zero głową, po której spływają krople wody.

– Przestraszył mnie pan – powiedziała, popatrując na drzwi. Nerwowo przygryzła wargę. Od dzwonka, o którym wspomniał Fernando, dzielił ją ten facet, nie tylko wielki, ale w dodatku milczący i dziwny.

– Szukam Fernanda – przemówił wreszcie niskim głosem po kilku nieprzyjemnych sekundach.

No proszę, ja też, pomyślała Clarence. I lekko zachichotała.

– Jak pan widzi, tutaj go nie ma. Może jest naprzeciwno.

Mężczyzna pokiwał głową, jednocześnie nasuwając grubą dolną wargę na górną w

wyrazie zadumy.

– Zatrudnili panią jako sekretarkę? – Skinął głową w stronę stołu.

– A, nie, nie. Przyjechałam z wizytą i... No... – Nie wiedziała, ile powinna mu tłumaczyć. Znow popatrzyła na zegarek. Fernando miał się zjawić lada chwila. – Szukałam dokumentów z epoki, kiedy pracował tu mój ojciec.

Facet uniósł brwi.

– Córka kolonizatora.

Wypowiedział te słowa zupełnie bezbarwnym tonem, jednakże dla niej zabrzmiało to jak obelga.

– Córka pracownika plantacji – poprawiła. – To nie to samo.

– Uhm.

Zapadło irytujące milczenie. Mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku, ona zaś nie wiedziała, czy wrócić do pracy, czy odszukać Fernanda. W końcu zdecydowała się na to drugie.

– Przepraszam, muszę iść.

Wyminęła intruza i, wyszedłszy na zewnątrz, pospiesznie przecięła dziedziniec. Deszcz nieco zelżał, ale wciąż padał. Na parterze głównego domu nie było nikogo. Clarence zajrzała więc w podcienia, gdzie wcześniej zaparkował Tomás: jeśli nie liczyć samochodu terenowego, który wcześniej tam nie stał, świeciły pustkami. Gdzież ten gwar, o którym tyle opowiadał ojciec? Gdzie te setki robotników? To była jakaś plantacja widmo! Chyba należało wrócić do biura. Tyle że... ten wielkolud mógł się tam wciąż czaić. Zachowywała się idiotycznie. Dlaczego się tak wszystkiego bała?

Odwróciła się i zobaczyła, że, gestykulując i mówiąc coś w jakimś obcym języku, zmierza ku niej człowiek o włosach białych jak mleko. Jeszcze tego brakowało! Zanim zdążyła cokolwiek przedsięwziąć, okropnie poznaczona twarz nieznanego znalazła się tuż przed nią. Mężczyzna przypatrywał się jej badawczo, cofał się trochę i znow przybliżał, mrużąc niezrozumiałe słowa i potrząsając głową.

– Przepraszam, ale nic nie rozumiem – powiedziała Clarence, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

Wyszła z powrotem na dziedziniec, a mężczyzna podążył za nią, wznosząc powykręcane przez reumatyzm ręce ku niebu, potem zaś wyciągając je ku niej, jakby chciał ją złapać. Clarence odniosła wrażenie, że ma do niej o coś pretensję.

– Niech mnie pan zostawi, już sobie jadę. Fernando Garuz czeka na mnie w biurze, o, widzi pan? – Machnęła w stronę niskiego budynekczku. – Tak, tam na mnie czeka.

Przyspieszyła i jak burza wpadła do pokoju, oglądając się za siebie, czy tamten dziwak aby nie depce jej po piętach.

Właśnie wtedy zderzyła się z granitowym murem ubranym w dzinsy i biały podkoszulek.

– Ślepa pani jest czy co? – Silne ręce ujęły ją za ramiona i odsunęły. Poczowała, że coś mokrego spływa jej po twarzy. – No, na pewno delikatna. Krew pani leci z nosa.

Clarence uniosła dłoń i stwierdziła, że to prawda. Odszukała torbę i wyjęła z niej paczkę chusteczek. Czyli wielkolud wciąż się czaił.

– Sądziłam, że już pan sobie poszedł – mruknęła, odrywając kawałek jednorazowej

chusteczki, żeby zatkać nos i zatamować niezbyt mocne krwawienie.

– Donikąd się nie spieszę.

– A ja akurat owszem. Muszę to wszystko pozbierać, zanim wróci Fernando.

Mężczyzna spokojnie zasiadł za stołem. Krzesło zatrzeszczało. Clarence zaczęła przenosić uporządkowane dokumenty z powrotem na półki, czując na sobie baczne spojrzenie nieznanego. Denerwowało ją to. Poza tym – mógłby, doprawdy, zaoferować jej pomoc! Co za grubianin.

– Przepraszam za spóźnienie, Clarence. – Znowu aż podskoczyła z przestachu. Fernando wszedł do pokoju, a na widok mężczyzny wyraźnie się zdziwił. – Myślałem, że przy takiej pogodzie dziś już nie przyjedziesz. – Podszedł do tamtego i podał mu rękę. – Długo czekasz?

Clarence zbliżyła się do biurka po ostatnią stertę papierów.

– O, co ci się stało? – spytał Fernando.

– Nic, wpadłam na drzwi.

Fernando zajrzał do wnętrza biblioteczki.

– Ale zmiana! Widzę, że nie próżnowałaś... Znalazłaś coś ciekawego?

– W zasadzie niewiele ponad to, co już wiedziałam... Dziwi mnie, że brak jakichkolwiek informacji na temat tutejszych noworodków. Pojawiają się jedynie imiona matek rodzących w szpitalu. Sama nie wiem. Wyobrażałam sobie, że w Sampace było mnóstwo dzieci...

– Bo było ich mnóstwo. – Fernando wskazał siedzącego za biurkiem mężczyznę, który przysłuchiwał się im ze zmarszczonymi brwiami. – Też do nich należałeś, prawda?

Clarence poczuła nagłe zainteresowanie nieznanym. Musiał mieć jakieś czterdzieści lat, co znaczyło, że mieścił się w zajmującym ją przedziale czasowym...

– Ale nie potrafię ci powiedzieć, czy istniały jakieś spisy. Może w szkole... Tyle że z dokumentów szkolnych naprawdę nic nie zostało. Co o tym wszystkim myślisz, Iniko?

Iniko, powtórzyła w duchu Clarence. Ma na imię Iniko. Dziwnie.

– Było nas mnóstwo – przyznał Iniko bez specjalnego entuzjazmu. – Ja spędzałem więcej czasu w wiosce, z rodziną matki, niż na plantacji. Co do spisów, dzieci Bubich rodziły się po wioskach, a dzieci Nigeryjczyków w ich barakach. Kobiety trafiały do tutejszego szpitala jedynie w razie komplikacji. Białe jeździły do kliniki w mieście.

– Czemu cię to interesuje, Clarence? – chciał wiedzieć Fernando.

– Cóż... – Zawahała się, obmyślając przekonujące kłamstwo. – Razem z moimi współpracownikami, na uniwersytecie, znaczy, zajmujemy się, między innymi, imionami dzieci urodzonymi w czasach kolonii...

– Którymi imionami? – ostro przerwał Iniko. – Rodzice nadawali nam jedno, a w szkole zmieniano je nam na inne.

Co dodatkowo komplikuje sprawy, pomyślała Clarence.

– Hm. – Fernando westchnął. – Trochę to... drażliwy temat.

– Tak. – Clarence postanowiła go już nie ciągnąć za język, żeby nie wzbudzać podejrzeń. – Tak czy owak, jak już mówiłam, nic nowego tu nie znalazłam.

No, oprócz informacji, że mój ojciec ciężko chorował, dodała w duchu.

– Nie zdążyłam wszystkiego uporządkować. Jeśli pozwolisz, kiedyś jeszcze wpadnę i

dokończę.

– Musisz jeszcze wpaść! Przecież niczego nie widziałaś! – Tu Fernando zwrócił się do Inika: – Jedziesz teraz do Malabo? – Tamten przytaknął. – Mógłbyś podwieźć Clarence? – Brzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż jak pytanie, dlatego Fernando od razu popatrzył na swego gościa. – To znaczy... Przepraszam, Clarence, ale pojawił się mały problem. Podtopiło nam generatory prądu i muszę jeszcze zostać. – Wyjął z kieszeni klucz. – Jeśli nie masz nic przeciwko, Iniko zaraz będzie wolny.

Clarence zrozumiała, że ci dwaj chcą porozmawiać na osobności, toteż jedynie skinęła głową. Wzięła torbę, podczas gdy Fernando otwierał jedną z szafek, i zdała sobie sprawę, że Iniko wciąż wpatruje się w nią spojrzeniem zimnym jak lodowiec. Najprawdopodobniej cieszył się tym wymuszonym sam na sam tak jak ona. Zaciśnęła usta i wyszła. Trudno sobie wyobrazić, pomyślała z ironią, coś bardziej interesującego niż jego towarzystwo w drodze powrotnej do Malabo. Zakładała, że terenowy samochód widziany w podcieniach jest jego własnością, niemniej nie odważyła się tam podejść z obawy przed tamtym drugim wariatem i dlatego zatrzymała się zaraz za drzwiami.

Słyszała, że tamci dwaj rozmawiają o pieniądzach. Przez moment zdawało się jej, że się kłóca, bo głos Inika zabrzmiał niebezpiecznie głośno, jednakże Fernando chyba załagodził sytuację jakimiś długimi wyjaśnieniami. Po chwili obaj wyszli na zewnątrz. Fernando nalegał, by Clarence podczas swego pobytu na wyspie odwiedziła jego plantację tyle razy, ile zechce. Zanotował jej na kartce swój numer telefonu i poprosił, żeby w razie potrzeby od razu do niego dzwoniła.

Iniko był już niemal przy samochodzie. Clarence musiała gonić za nim do białego land-rovera. Nie zdążyła: Iniko wskoczył do auta, uruchomił silnik i wykręcił. Czyżby zamierzał ją jednak zostawić? Zobaczyła, że przechyla się i spuszcza szybę po stronie pasażera.

– Czeka pani na specjalne zaproszenie? – spytał.

Clarence wsiadła i, już na fotelu, zdała sobie sprawę, że ma spodnie obryzgane krwią. Zupełnie bez sensu chciała ją wytrzeć i tylko rozmazała.

Narzucone przez Inika niewygodne milczenie utrzymywało się przez kilka kilometrów. Clarence patrzyła przez okno. Przestało padać, ale gęstą zieleń po obu stronach drogi spowijały niskie mgły. Land-rover bez problemów mknął ku głównej szosie. Niedługo potem pojawiły się pierwsze miejskie zabudowania. Iniko spojrzął na zegarek.

– Gdzie pani mieszka?

Clarence podała nazwę hotelu i ulicy, przy której się znajdował, a Iniko skinął głową.

– Muszę teraz jechać na lotnisko. Jeśli mam panią zawieźć do hotelu, to jeszcze chwilę potrwa. Ale mogę też wysadzić panią tutaj.

Clarence zmarszczyła czoło. Wciąż byli daleko od centrum, ona zaś nie zamierzała znów się samotnie włóczyć po jakichś obskurnych dzielnicach.

– Dobrze.

– Czyli właściwie co?

– Czyli właściwie to, że, jeśli to panu nie przeszkadza, pojedę z panem na lotnisko –

odrzekła, zirytowana. – Mam tylko nadzieję, że potem pan nagle dokądś nie odleci.

Co za idiotyczna uwaga, pomyślała. Przecież mogła wrócić do hotelu taksówką.

Twarz Inika wykrzywiła się w grymasie zbliżonym do powściąganego uśmiechu.

– Bez obaw. Po prostu powinienem kogoś odebrać. I już jestem spóźniony.

Skręcił w lewo, ku obwodnicy prowadzącej na lotnisko, i po kilku minutach Clarence rozpoznała drogę przebytą dnia poprzedniego. Gdy dotarli na niewielki parking ocieniony ogromnymi drzewami, na których siedziały wielkie czarne ptaki o białych kołnierzach z piór, wśród pasażerów czekających na taksówkę dostrzegła machającego ręką chłopaka. Zwróciła uwagę, że w porównaniu z większością ludzi na wyspie był bardzo dobrze ubrany. Miał na sobie jasne, markowe džinsy i białą koszulę. Podniósł z ziemi walizkę i ruszył w kierunku samochodu. Iniko wysiadł, po czym serdecznie się z tamtym drugim uściskali, poklepując się nawzajem po plecach. Następnie popatrzyli w stronę auta i Clarence się domyśliła, że rozmawiają o niej. Zawahała się, czy też nie wysiąść, ale ostatecznie postanowiła czekać.

Po chwili drzwi się otworzyły.

– Mam usiąść z tyłu? – spytała Clarence Inika.

– Nie, nie, nie trzeba – odparł tamten drugi z za jego pleców. – Iniko powiedział, że jesteś Hiszpanką i że poznaliście się w Sampace. – To, że od razu zaczął mówić do niej na „ty”, sprawiło, że poczuła z nim jakąś bliskość. Poza tym jego głos brzmiał bardzo wesoło. – I że masz na imię Clarence, jak to miasto. – Przytaknęła. Już nigdy nikt nie powie do niej po prostu „Clarence”. Przynajmniej nie w tym miejscu. Tu nazywała się „Clarence-jak-to-miasto”. Chłopak wyciągnął dłoń. – Ja jestem Laha.

– Miło mi.

– Co porabiasz w Malabo? Niech zgadnę! Pracujesz dla jakiejś organizacji pozarządowej.

– Nie.

– Nie? – Wyglądał na zdziwionego. Wsparł łokcie na oparciach przednich foteli, między głowami Clarence i Inika, przymrużył powieki. – Pomyślmy... Pisziesz raport dla ONZ?

– Nie. – Z każdą sekundą podobał jej się coraz bardziej. Był bardzo sympatyczny, a do tego niesłychanie pociągający, poza tym po hiszpańsku mówił wręcz świetnie, choć z lekkim, jakby północnoamerykańskim akcentem.

– Przyjechałaś w interesach? Jako inżynier? Iniko! Pomocy!

– Jako badacz – oświadczył Iniko bezbarwnym tonem. – Pewnie z uniwersytetu.

Cóż, przynajmniej pamięć ma jaką taką, pomyślała Clarence.

– A co badasz? – chciał wiedzieć Laha.

– Jestem językoznawczynią. Zbieram informacje o miejscowej odmianie hiszpańskiego.

– Interesujące! I co? Jak ci się widzi nasza odmiana?

Clarence parsknęła śmiechem.

– Przyjechałaś wczoraj! Jeszcze na nic nie miałam czasu... A ty? Czym się zajmujesz? Przyjechałeś na wakacje?

– I tak, i nie. Jestem inżynierem, firma przysłała mnie, żebym nadzorował montaż

skraplarek. – Zobaczył, że Clarence szeroko otwiera oczy, i spytał: – Wiesz, o czym mówię? – Zaprzeczyła ruchem głowy. – No więc tak... – Machnął gdzieś na lewo. – Tu niedaleko znajduje się prawdziwy labirynt gazociągów, czyli kompleks petrochemiczny Punta Europa. Jak może słyszałaś, Gwinea posiada duże złoża ropy naftowej i gazu, eksploatowane wyłącznie przez zagraniczne firmy, takie jak moja, i w całości eksportowane. Dzięki montowanym teraz urządzeniom będziemy mogli skraplać tutaj gaz. Następnym krokiem będzie zbudowanie rafinerii...

Iniko prychnął i rzucił coś w nieznanym Clarence afrykańskim języku. Laha zmarszczył brwi.

– W ogóle dużo się tu teraz wdraża projektów... – dorzucił.

– Dlatego często odwiedzasz wyspę – wtrąciła Clarence. – A gdzie normalnie mieszkasz?

– W Kalifornii. Ale lubię tu wracać. Tu się urodziłem.

– No proszę! – Clarence była coraz bardziej zdumiona.

– Studiowałem w Berkeley, potem zatrudniłem się w międzynarodowej korporacji. Traf chciał, że moja firma kupiła udziały w innej, zaangażowanej w przemysł naftowy w Gwinei. No i zaproponowano mi nadzór nad rozbudową instalacji, właśnie dlatego, że znam wyspę i nie przeszkadzają mi ciągłe podróże. Dzięki nim odwiedzam rodzinę, prawda, Iniko? – Poklepał tamtego po ramieniu.

– Jesteście spokrewnieni? – Clarence zupełnie zdębiała. Ci dwaj nie byli do siebie podobni w najmniejszym nawet stopniu.

– Iniko ci nie mówił, że jedzie na lotnisko po brata?

– Jakoś o tym nie wspomniał.

Podobnie jak o niczym innym. Czy to możliwe, żeby bracia aż tak się różnili? Iniko sprawiał wrażenie obojętnego na wszystko.

Laha ziewnął i zmienił temat:

– I co planujesz? Poprosiłaś już kogoś, żeby ci pokazał miasto?

– Jeszcze nie. W poniedziałek wybieram się na uniwersytet. – Liczyła, że Laha zaproponuje jej coś na wieczór albo następny dzień, nie chciała jednak wyjść na zdesperowaną albo znudzoną. Poza tym on przecież dopiero co odbył długą podróż. – Może dzisiaj trochę pozwiedzam.

– My mamy rodzinne spotkanie – oświadczył Iniko tonem, który nie pozostawiał jej cienia złudzeń co do możliwości dalszego cieszenia się towarzystwem jego brata.

– Nie sądzę, żebym na nim długo wytrzymał – mruknął Laha, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

Co za pech, pomyślała Clarence, odrobinę rozczarowana. Wyrzała przez okno i rozpoznała ulicę, przy której stał jej hotel.

Iniko zatrzymał samochód przed wejściem. Najwyraźniej nie zamierzał wysiąść. Zrobił to natomiast jego brat.

– Clarence... Może chcesz, żebym cię w poniedziałek zaprowadził na uniwersytet? – rzucił, jak gdyby dobrze rozumiał jej osamotnienie na tej wyspie. – Mam znajomych na wydziale mechanicznym. Czasem do nich wpadam. – Myślał przez chwilę. – Może o dziesiątej pod katedrą? Czy wolisz, żebym tu po ciebie przyszedł?

– Niech będzie pod katedrą. Dziękuję.

– To do poniedziałku.

Podał jej rękę, którą uściśnęła z wdzięcznością i zadowoleniem, że poznała kogoś takiego. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że nie pożegnała się z Inikiem, a to w sumie on wyświadczył jej grzeczność. Pochyliła się więc, zaglądając do wnętrza land-rovera, lecz jego kierowca ani drgnął. Siedział z łokciem wspartym o krawędź otwartego okna i patrzył przed siebie. Clarence zacisnęła usta, na które już miał wypłynąć uprzejmy uśmiech.

Nigdy w życiu nie spotkała nikogo tak niemiłego jak ten typ.

Po obiedzie i sjeście odważyła się na spacer do katedry – imponującej neogotyckiej budowli z dwiema czterdziestometrowymi wieżami. Znowu zauważyła, że wszyscy się na nią gapią: białe kobiety chyba rzadko przechadzały się same po mieście. Tak czy owak, było jej nieswojo; żałowała, że nie zdołała przekonać Daniela albo kogoś z przyjaciół, aby jej towarzyszyli. A przebywała na wyspie dopiero jeden dzień!

Na dłuższą chwilę schroniła się do wnętrza katedry, jedyne miejsce, gdzie poczuła się spokojna i bezpieczna. Zdobily je smukłe kremowe kolumny o cokołach z czarnego marmuru, podtrzymujące krzyżowe sklepienie nawy głównej. Podeszła do ołtarza i przez moment przypatrywała się drewnianej figurce czarnej Matki Boskiej, która prawą dłoń trzymała na lewym ramieniu. Zza ręki wychylała się buzia również wyrzeźbionego w drewnie dziecka. Wieczorne, filtrowane przez witraże światło oblewało rysy lekko pochylonej Najświętszej Panny i Clarence odnosiła wrażenie, że czarna Madonna jest bardzo smutna, a spojrzenie utkwiła w jakimś bliżej nieokreślonym punkcie. Czemu wyrzeźbili ją taką zmartwioną? Clarence potrząsnęła głową. Może jej się tylko zdawało... Z nadmiaru wolnego czasu zwidywały jej się różne dziwne rzeczy.

Postanowiła wrócić do hotelu; padła na łóżko i z oczyma wbitymi w sufit zaczęła rozważać, co począć z niedzielą. Jak dotrzeć do poniedziałku?

Włączyła telewizor, ale ekran pozostał czarny. Zadzwoiła do recepcji, żeby zgłosić awarię, lecz, ku swemu zaskoczeniu, od dziewczyny mówiącej z dziwnym akcentem, dowiedziała się, że emisja programów została zawieszona. Podobno zdarzało się niekiedy, że ktoś zapominał uzupełnić paliwo w generatorze energii potrzebnym do funkcjonowania nadajników radiowych i telewizyjnych zamontowanych na wzgórzu Basilé, na które nie docierała elektryczność z miasta.

Po prostu świetnie...

Oto była w całkiem nowym kraju i nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Musiała jednak przyznać, że jej irytacja wynikała nie tylko z obawy przed samotnym wyjściem z hotelu, ale również z faktu, że wizyta w Sampace nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Po pierwsze, z powodu ulewy nie dało się nic zobaczyć, a po drugie zalecenia Julii zaczęły się nagle wydawać niemożliwe do zrealizowania. Na plantacji nie było czego szukać.

Należało poczekać do spotkania z Lahą i spróbować go wypytać o jego i Inika dzieciństwo. Może z tego coś wyniknie. Na szczęście Laha nie przypominał brata, bo wypytywanie tego ostatniego o cokolwiek byłoby tak samo sensowne, jak wypatrywanie na Bioko śniegu. Ale skoro Iniko urodził się czy też częściowo

wychowywał w Sampace, to Laha pewnie też. Przynajmniej jakiś trop...

Clarence zastanawiała się jeszcze przez chwilę, co dalej, po czym sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Tomasa.

Chciała przecież zobaczyć na wyspie trzy miejsca. Pierwsze – Sampakę – już odwiedziła... Więc czemu nie wykorzystać niedzieli na wyprawę do drugiego?

– Nie podoba mi się tutaj – oświadczył Tomás, krzywiąc się i nerwowo popatrując w stronę starego cmentarza, położonego w dzielnicy Ela Nguema. – Zaczekam na panią na zewnątrz.

– Tomás, mówmy sobie po imieniu, dobrze? Jesteśmy rówieśnikami...

– Jak sobie życzysz, ale, tak czy owak, zaczekam na zewnątrz.

– W porządku, tylko nie odjeżdżaj.

Zaraz przy bramie pożałowała swojej decyzji o zapuszczeniu się w to miejsce. Nie bardzo pociągała ją myśl o łożeniu bez żadnego towarzystwa po tym nieprzyjemnym już na pierwszy rzut oka zakątku. Spojrzała błagalnie na Tomasa z nadzieją, że ten jednak zmieni zdanie, lecz chłopak jedynie pokręcił głową. Clarence oparła dłoń o zardzewiałe ogrodzenie i przystanęła, niepewna, czy ulec ciekawości, jaką wzbudzał w niej grób dziadka, czy raczej natychmiast uciec i schować się do niebieskiej wołgi.

– Potrzebuje pani czegoś? – odezwał się męski głos. Tak się przestraszyła, że postanowiła jednak uciekać. Głos wszakże mówił dalej: – Jestem strażnikiem cmentarza. Mogę w czymś pani pomóc?

Clarence podeszła więc bliżej, ze swoim bukietem orchidei kupionych na ulicznym straganie, i wyjaśniła, że w latach pięćdziesiątych został tu pochowany jej dziadek i że, przy okazji kilkudniowej wizyty na wyspie, zapragnęła odwiedzić jego grób, o ile ten jeszcze istniał.

– Jeśli sędzić po dacie – oznajmił leciwy strażnik – trzeba szukać w starej części. Jeśli pani chce, to z panią pójdę. Niewiele osób tu zagłada.

W Hiszpanii nawet cmentarze w porzuconych wioskach wyglądały na bardziej zadbane! Tutaj niektóre groby całkiem ginęły w zaroślach, inne niemal zupełnie zapadły się w ziemię. Wszędzie panowała atmosfera kompletnego opuszczenia. Najwyraźniej prawdą było to, co Clarence słyszała: że miejscowi nie lubią miejsc pochówku... Strażnik – z obojętnością płynącą z wieloletniego przyzwyczajenia – wyjaśnił, że wskutek wysokiej w kraju śmiertelności nierzadko kopano nowe groby tam, gdzie znajdowały się już stare, co niekiedy prowadziło do bardzo niemiłych sytuacji. Clarence na próżno rozglądała się za porządnymi kamiennymi tablicami i wrytymi na nich napisami. Wszystko tonęło w gąszczu zieleni, a przecież strażnik twierdził, że teraz i tak wyglądało lepiej niż kiedyś. Jeszcze kilka lat wcześniej, opowiadał, nie dało się tu wejść bez ryzyka, że zostanie się zjedzonym przez węża boa.

Stara część cmentarza okazała się wszakże przyjemniejsza. Może dlatego, że mogiły, otoczone zardzewiałymi starymi płótkami, zachowały się w lepszym stanie. Albo może ze względu na rosnące tu ogromne, przepiękne drzewa, których kora skojarzyła się Clarence ze skórą słoni. Były tak wielkie, że musiały mieć przynajmniej po sto lat, i choć niektóre wydawały się uschnięte, i tak nic nie traciły na majestatyczności.

– Jakie wspaniałe puchowce! – wykrzyknęła z przejęciem Clarence.

– To święte drzewa – zaczął starzec. – Nie imają się ich huragany ani gromy. Nikt nie odważyłby się ich tknąć. Ścinanie ich jest grzechem. A puchowce nie wybaczą. Jeśli pani krewny spoczął akurat tutaj, jego mogiła ostała się tak samo jak one.

Po plecach Clarence przebiegł dreszcz. Nadal miała ochotę uciekać, ale coś ją powstrzymywało. Panował tu jakiś dziwny spokój, który łagodził strach.

Przechadzała się między grobami, odczytując nazwiska wyryte na krzyżach i płytach. W końcu podeszła do mogiły, która zdawała się kryć między pofałdowanymi pniami dwóch niemal splecionych puchowców. Obok rosło też mniejsze drzewo, którego nie potrafiła rozpoznać. Grób zwracał uwagę, ponieważ wyglądał na bardziej zadbany niż inne.

Podniosła wzrok i głośno przeczytała:

– Antón de Rabaltué. Pasolobino 1898 – Sampaka 1955.

Poczuła, że serce jej szaleje, i nie zdołała pohamować płaczu.

Jak dziwnie było zobaczyć nazwę rodzinnej doliny w takim miejscu! Jak gdyby nie istniały te tysiące kilometrów, dzielące początek Antonowego życia od jego końca!

Otarła łzy i schyliła się, by zamiast złożonego tu kiedyś przez kogoś zwiędłego bukietu oprzeć o kamienny krzyż swoje orchidee.

Ale jak to...? Te kwiaty były stosunkowo świeże!

Ktoś zaglądał do tego ustronia i przynosił Antonowi kwiaty!

Zmarszczyła brwi.

– Widział pan, kto tu przychodzi? – Strażnik przez cały czas trzymał się nieco z tyłu.

– Nie, proszę pani. Ci, którzy przychodzą, nieliczni zresztą, nie potrzebują moich wskazówek. O pomoc, z rzadka, proszą tylko cudzoziemcy tacy jak pani... Ale żaden z nich nie odwiedzał tego grobu. Pamiętałbym przecież, tak, tak, pamiętałbym.

– A ci nieliczni, z tego, co rozumiem: miejscowi, to kobiety czy mężczyźni?

– Trudno powiedzieć, i kobiety, i mężczyźni. Przykro mi, że nie bardzo potrafię się przydać.

– Tak czy owak, dziękuję.

Staruszek poprowadził ją z powrotem do bramy, gdzie Clarence wręczyła mu napiwek, za który podziękował, kilkakrotnie ściskając jej rękę.

Tomás zauważył zaczerwienione oczy swojej pasażerki i rzucił:

– Pobyt tutaj ci nie służy, Clarence. Gdziekolwiek pojedziesz, tam płaczesz.

– A bo jestem zbyt sentymentalna. Nic na to nie poradzę.

– Masz ochotę na piwo w jakimś nadmorskim barze? Mnie to pomaga, jak mi smutno.

– Świetny pomysł. Jakie to szczęście, że cię poznałam, Tomás. Jesteś taki miły!

– Bo pochodzę z plemienia Bubi – odparł, a na jego twarzy odmalowało się niewzruszone przekonanie kogoś, kto odwołuje się do najczystszej logiki.

W poniedziałek rano Clarence stawiła się na spotkanie z Lahą trochę przed czasem. Podobnie jak w niedzielę rano wstał świeży i słoneczny. Niemniej, w miarę upływu godzin, zapanuje zapewne nieznośny upał, uniemożliwiający robienie czegokolwiek poza drzemaniem albo piciem piwa.

Uprzedzano ją, że w Gwinei nie wolno niczego fotografować ani filmować – ani

pozwałać sobie publicznie na nieostrożne gesty czy komentarze – jednakże o tej porze wszędzie było tak pusto, że Clarence wyjęła swój cyfrowy aparacik i zaczęła robić zdjęcia katedry. Najpierw obfotografowała fasadę oraz stojącą naprzeciw niej okrągłą fontannę z białego marmuru, ozdobioną kilkoma postaciami, które podtrzymywały na ramionach niewielki puchowiec. Potem ruszyła w głąb przyległej uliczki. W pewnym momencie entuzjazm sprawił chyba, że zapomniała o ostrożności, albowiem niespodziewanie wyrosli przy niej dwaj policjanci, dość gwałtownie domagając się okazania dokumentów.

Powoli zaczynała się denerwować, widząc, że ani paszport, ani reszta papierów ich najwyraźniej nie zadowala. Przestraszona podniosła głos, zarzucając im popadanie w paranoję. Czy ona wyglądała na szpiega? Policjanci wzięli jej strach za bezczelność i jeszcze się usztywnili, i kiedy jeden z nich już ciągnął ją za ramię, nie wiadomo skąd pojawił się trzeci mężczyzna, który uprzejmie zaoferował pomoc w wyjaśnieniu całego zajścia.

Laha mówił szybko, ale stanowczo. Wyjaśnił, kim jest Clarence i co robi w Malabo. Wsunął rękę do kieszeni i bardzo dyskretnie wyjął z niej kilka banknotów. Potem tą samą ręką serdecznie uściśnął dłoń jednego z policjantów, dodając:

– Nie chcą panowie chyba, żeby nasz rektor dowiedział się, jak traktujemy jego gości, prawda?

I, zanim Clarence zdążyła tworzyć usta, by wyrazić swoje zdumienie i wdzięczność, delikatnie, lecz zdecydowanie popchnął winowajczynię w stronę auta.

Policjanci wydawali się usatysfakcjonowani i nawet całkiem uprzejmie go pożegnali. Z kolei w oczach Clarence Laha natychmiast stał się najbardziej pociągającym i najwspanialszym mężczyzną na świecie. Tego poranka miał na sobie jasny garnitur. Najprawdopodobniej ubrał się tak do pracy.

– Dziękuję – odezwała się Clarence. – Nie wyglądało to dobrze.

– Przykro mi, Clarence. Właśnie takich rzeczy tu nienawidzę. No, takich i jeszcze gorszych. Sama się o nich przekonasz...

– Nie powinieneś być o tej porze w pracy?

– Właśnie stamtąd wracam. Fajne jest to, że amerykańskiego inżyniera nikt nie kontroluje. – Zaśmiał się. – Przynajmniej mnie. Bo wiesz... Większość i tak woli siedzieć w Pleasantville, jak nazywamy taką pokazową dzielnicę z domami wyposażonymi w klimatyzację, supermarketami i innymi udogodnieniami godnymi Ameryki. Ci ludzie żyją oderwani od wszystkiego. Choć nie bardzo mnie to dziwi. Bo znam i takich, co zostali stąd odesłani za krytykę reżimu. Więc lepiej się nie wychylać. Wiadomo, czego oko nie widzi...

Clarence po raz kolejny gratulowała sobie w duchu, że trafiła na kogoś równie rozmownego. Poza tym Laha śmiał się tak zaraźliwie, gestykulował tak gwałtownie, że natychmiast wchodził z rozmówcą w pełną radości komitywę. Przyglądała się jego profilowi. Coś w tej regularnej twarzy wydawało jej się znajome. Odnosiła niejasne wrażenie, że już go gdzieś widziała. Najprawdopodobniej to jego wszechogarniająca, wrodzona serdeczność sprawiała, że ludzie czuli się przy nim tak, jakby znali go całe życie.

– A, właśnie – ciągnął chłopak – przedwczoraj chciałem cię o coś zapytać, ale ostatecznie nie zdążyłem. Wiesz, że Malabo nazywało się kiedyś Clarence? Czy to nie dziwne imię dla Hiszpanki?

– Tak, wiem – odrzekła, z rezygnacją potrząsając głową. – Bardzo długo sądziłam, że mam je po bohaterce jakiejś angielskiej powieści. Dopiero potem odkryłam, że tak nazwano tę wyspę w czasach brytyjskich, na cześć króla Jerzego, księcia Clarence.

Wyjaśniła pokrótce, że niektórzy mężczyźni z jej rodziny brali udział w kolonizacji. Nie wchodziła w szczegóły, bo nie chciała okazywać nadmiernego podekscytowania kwestiami, które, ostatecznie, dotyczyły trudnej przeszłości rodzinnego kraju Lahy. Od czasu spotkania z Inikiem wyczuwała, że nie wszyscy zachowali z minionej epoki dobre wspomnienia. Poza tym doskonale zdawała sobie sprawę, że zna całą historię wyłącznie z perspektywy białych, toteż i na temat Hiszpanii wyrażała się ostrożnie. Laha jednak zdawał się nie mieć nic przeciwko temu, by potomkini kolonizatorów interesowała się przeszłością wyspy.

– To dlatego wybrałaś się do Sampaki! – wykrzyknął. – Iniko opowiadał, że szukałaś jakichś dokumentów z czasów, kiedy pracował tam twój ojciec. Sporo się od tamtej pory zmieniło! Wyobrażam sobie, że inaczej ci to wszystko przedstawiano...

– Owszem, zupełnie inaczej – przytaknęła, udając głębokie rozczarowanie. – Na razie nie widziałam jeszcze żadnych hełmów korkowych, maczet ani worków z kakao.

Laha parsknął śmiechem, a ona ucieszyła się, że ma poczucie humoru. To znaczyło, że będą mogli porozmawiać na wiele tematów.

– Nie wiem, czy wiesz – rzucił znowu on – że Malabo w języku bubi nazywało się Ripotò, czyli miejsce cudzoziemców. Chwała Bogu, że twój ojciec wolał nazwę Clarence! Nie wspominając już o tym, że skoro nadał ci imię na cześć tego miasta, to musiał naprawdę sporo do niego czuć.

– Coś ci powiem. Wszyscy, których znam i którzy mieli okazję tu mieszkać, a jest takich, wśród jeszcze żyjących, naprawdę wielu, do tej pory śnią o tej wyspie. – Umilkła na moment, by dokończyć: – I kiedy o niej mówią, mają łzy w oczach.

Laha skinął głową, jakby doskonale to rozumiał.

– A przecież się tu nawet nie urodzili... – rzekł ze smutkiem w głosie.

Clarence przypomniało się to, co czytała na temat białych, o których nikt nie wspominał, a którzy, owszem, urodzili się na wyspie i czuli się jej częścią; o białych, którzy nie wybrali sobie miejsca przyjscia na świat i którzy musieli opuścić ziemię swego dzieciństwa, tracąc możliwość ponownego odwiedzania zakątków oglądanych od najwcześniejszych lat... Nic wszakże nie powiedziała, bo Laha raczej nie ich miał na myśli.

– Wyobraź sobie, co w takim razie czują emigranci...! – westchnął i urwał. – No, jesteśmy na miejscu. Może tutaj znajdziesz to, czego szukasz, ale raczej się nie łudź. W krajach takich jak nasz edukacja znajduje się daleko na liście priorytetów...

Clarence przytaknęła, zamyślona. W milczeniu zmierzali ku białym uniwersyteckim budynkom z podcieniami, krytym czerwoną dachówką o wąskich zielonych okapach, a wznoszącym się wśród przystrzyżonych trawników gdzieniegdzie porośniętych palmami i poprzedzielanych gruntowymi ścieżkami. Gdy dotarli do głównej bramy, Clarence

znowu się odezwała:

– Jeszcze jedno. Domyślam się, co mi odpowiesz, ale chcę mieć pewność. Ty i twój brat... Należycie do plemienia Bubi czy Fang?

– Bubi. Dobrze, że spytałaś mnie, a nie Inika! – parsknął Laha. – Bo on by się zaraz obraził i powiedział: „Czy to nie jest oczywiste?”.

Przez kolejne dni Laha był dla Clarence idealnym przewodnikiem. Rankami każde zajmowało się swoją pracą: on sprawdzał postępy instalacji petrochemicznych, ona zaś szukała starych dokumentów na temat historii Gwinei, zarówno w bibliotece uniwersyteckiej, jak i w innych, zwłaszcza w Centrum Kultury Hiszpańsko-Gwinejskiej oraz w Szkole Hiszpańskiej mieszczącej się w dzielnicy Ela Nguema, ciągle z nadzieją, że znajdzie cokolwiek dla siebie użytecznego – spisy ludności, fotografie albo opowieści świadków. Popołudniami Laha pokazywał jej różne zakątki miasta, wieczorami zaś siadywali w nadmorskich kawiarniach, spokojnie gawędząc. Chciał też zapoznać ją z lokalną kuchnią, jednakże szybko wyszło na jaw, że Clarence skłania się raczej ku daniom z ryb i owoców morza serwowanym w Klubie Wyspiarskim oraz ku włoskim potrawom z Pizza Place niż ku ogromnym ślimakom, które podawano w wielu innych knajpach.

Tak, Clarence czuła się jak na prawdziwych wakacjach, lecz jednocześnie pamiętała, że dni mijają szybko, a ona na razie nie posunęła się ani na krok w swoim prywatnym dochodzeniu.

Właściwie w ogóle nie bardzo wiedziała, co dalej.

Pamiętała, że Fernando Garuz wybierał się wkrótce w jakąś podróż, i myślała, żeby wrócić do Sampaki. Może coś jej za pierwszej bytności umknęło... Poza tym przy odrobinie szczęścia mogła się natknąć na Inika – który ewidentnie nie palił się do dalszych spotkań – i spytać go o jego dzieciństwo. Z Lahy niewiele dało się wyciągnąć, bo prawie nie pamiętał plantacji. Był o sześć lat młodszy od brata i pierwsze wspomnienia miał dopiero z domu i ze szkoły w Santa Isabel. Clarence doszła do wniosku, że pierwsze lata życia bracia spędzili zupełnie inaczej, tyle że wciąż nie starczało jej odwagi, by drążyć ten temat. Jedynie raz, niby na luzie, zagadnęła Lahę o Inika i usłyszała w odpowiedzi, że pracuje jako przedstawiciel firm handlujących kakao i musi dużo podróżować po wyspie. Dlatego spotkali się w Sampace: Iniko zajmował się tam księgowością i rozliczaniem lokalnych dostawców.

W czwartek wieczorem Clarence postanowiła nie zwlekać dłużej i skontaktować się wreszcie z Fernandem. Kiedy wszakże zadzwoniła do niego od siebie z pokoju, właściciel Sampaki powiadomił ją z żalem, że musiał zmienić plany, że nazajutrz wyjeżdża w niecierpiących zwłoki sprawach rodzinnych do Hiszpanii i że nie wie, czy zdąży wrócić przed jej wyjazdem z Bioko. Oświadczył jednak, że ona, Clarence, ma jego zgodę, by odwiedzać plantację do woli, i że wydał już polecenie, aby pokazano jej wszystko, co zechce zobaczyć. Podziękowała i życzyła mu udanej podróży.

Nieco zbyt energicznie zamknęła notes z numerem jego telefonu, a wtedy ze środka wysunęła się notatka stanowiąca główny powód jej wyprawy na wyspę. Wzrok Clarence zatrzymał się na słowach: „...znowu napiszę do Ureki...”.

Westchnęła. Wciąż nie odważyła się zorganizować sobie wycieczki w to miejsce.

Cóż, pomyślała z rezygnacją, nie zrobiłabym kariery jako prywatny detektyw.

Nazajutrz Laha zadzwonił z informacją, że jego matka zaprasza ich dwoje oraz Inika do siebie na kolację.

Clarence natychmiast odzyskała animusz. Miała tylko nadzieję, że starsza pani, jak wiele osób w podeszłym wieku, lubi snuć wspomnienia z młodości, zwłaszcza z lat spędzonych w Sampace. Sądząc po wieku Inika, należało przypuszczać, że znała plantację z lat sześćdziesiątych. Być może nawet spotkała Jacoba. Ta myśl nie dawała Clarence spokoju przez cały dzień.

Trudno jej było się zdecydować, w co się właściwie ubrać. Nic nie wiedziała o matce Lahy, a nie chciała jej się wydać ani zbyt prosta, ani zbyt ostentacyjnie elegancka. Bezczelny wewnętrzny głosik co chwila dopytywał, czy ten niepokój związany z wyglądem nie ma aby nic wspólnego z przewidywaną obecnością Inika. Clarence, zaciskając usta, włożyła wreszcie zwykłe džinsy oraz białą twarzową koszulkę z błyszczącą aplikacją przy dekolcie. Wahała się jeszcze, czy rozpuścić włosy, czy raczej spleść je w warkocz, ale ostatecznie wybrała ten drugi wariant, odpowiedniejszy w kontekście kolacji u matki znajomych. Jeśli Inika można w ogóle było w ten sposób zakwalifikować...

Matka jego i Lahy mieszkała w skromnym, niewysokim budynku na osiedlu wzniesionym chyba w latach sześćdziesiątych, w dzielnicy Los Angeles. Dało się zauważyć, że kiedyś było to osiedle nowoczesne, ale teraz zdecydowanie wymagało odnowienia. Tak czy owak, wewnątrz mieszkania, pełne kolonialnych mebli, sprawiało przytulne wrażenie. Wszystko tu lśniło czystością, starannie wysprzątane wnętrza zdobiły proste i eleganckie afrykańskie malunki i bibeloty. Clarence, gdy tylko ujrzała matkę Lahy, zrozumiała, skąd brały się ta prostota i elegancja.

Jeszcze się witały, gdy rozległo się trzaśnięcie drzwiami i do pokoju wpadł Iniko. Pocałował matkę, poklepał po ramieniu brata i, ku zdumieniu gościa, otworzył usta, by powiedzieć:

– Cześć, Clarence.

IX. CIĘŻKIE CZASY

Clarence z uwagą przyglądała się pani domu. Kobieta miała koło siedemdziesiątki i była naprawdę piękna. Nieco od Clarence niższa i bardzo szczupła, patrzyła na nią niewiarygodnymi, niezwykle jasnymi, wielkimi i wyrazistymi oczyma. Ubrała się w narzuconą na spodnie długą tunikę, podobnie jak one turkusową i ozdobioną haftami, a poprzetykane siwizną włosy częściowo zakryła jedwabną chustką w identycznym jak reszta stroju kolorze. Takie uczesanie sprawiało, że te dziwne oczy wydawały się jeszcze bardziej niepokojące. Clarence pomyślała, że w młodych latach musiała być wybitną piękną.

Na imię miała Bisila, tak samo jak patronka Bioko, szczególnie czczona przez lud Bubi. Clarence dowiedziała się przy okazji, że smutna rzeźba w katedrze przedstawia właśnie Bisilę, dla Bubich Pierwszą Matkę, Stworzycielkę Życia, na której cześć wciąż urządzano świąteczne ceremonie, nawet jeśli trzeba się było z nimi kryć, ponieważ – jak wyjaśniono Clarence – rządzący Gwineą wojskowi z najliczniejszego w kraju plemienia Fang kilka lat wcześniej zakazali takich obchodów.

Przygotowana przez Bisilę kolacja okazała się istną ucztą, złożoną z przepysznych lokalnych dań na bazie oleju palmowego, batatów, malangi, mięsa antylopy oraz warzyw i ryb, z których zrobione było nieco pikantne *böka'ó*. Clarence nie wiedziała, czy w tym domu każdego gościa traktuje się z równymi honorami, niemniej dzięki staraniom Lahy i jego matki czuła się naprawdę wyróżniona.

Oczywiście Iniko znowu zachowywał się tak, jakby mu przeszkadzała.

Siedziała naprzeciwko obu braci, więc mogła ich bez przeszkód obserwować. Na pierwszy rzut oka najbardziej różnili się posturą. Iniko był starszy, ale nadal pięknie, młodzieńczo umięśniony. Clarence próbowała dopatrzeć się między nim a Lahą jakiegokolwiek podobieństwa, lecz prędko dała za wygraną. Iniko głowę miał całkowicie ogoloną, a Laha – porośniętą bujnymi, kręconymi, półdługimi włosami. Skóra Inika wydawała się dużo ciemniejsza, toteż Laha wyglądał przy nim jak Mulat. Oczy Inika były wielkie, podobne do oczu matki, tyle że bardzo czarne i delikatnie migdałowe, gdy tymczasem tęczówki Lahy połyskiwały ciemną zielenią i kryły się w sieci zmarszczek za każdym razem, gdy się uśmiechał, to znaczy bardzo często.

Clarence doszła do wniosku, że jedyne, co ich łączy, to instynktowny ruch, jakim w zamyśleniu gładzili palcem wskazującym brwi. Spojrzała na Bisilę. Jak jedna kobieta mogła urodzić tak różnych synów? Clarence wcale by się nie zdziwiła, gdyby któryś z nich był dzieckiem adoptowanym. Tyle że nie potrafiłaby odgadnąć – który.

Co do usposobienia – Laha czarował subtelnością, rozmownością i empatią. Nie ulegało też wątpliwości, że w Stanach Zjednoczonych przyswoił sobie charakterystyczną dla Amerykanów gestykulację. Iniko natomiast zachowywał się raczej nieuprzejmie, wręcz gburowato, i głównie milczał. Nawet nie udawał, że zajmują go opowieści Clarence o Hiszpanii, ani nie próbował odpowiadać na jej pytania o mieszkańców Bioko i ich zwyczaje. Clarence usiłowała kilkakrotnie wciągnąć go do rozmowy, zagadując o

jego życie i pracę, ale tylko odmrukiwał jej coś zdawkowo, wręcz pogardliwie.

Bisila zorientowała się w sytuacji i przy okazji wyprawy do kuchni po kawę powiedziała synowi w ich języku coś, co, ku zdumieniu Clarence, zadziało. Od tego momentu Iniko symulował pewne zaciekawienie problemami potomkini kolonizatorów, która zresztą nie omieszkła skierować zaraz rozmowy na interesujące ją kwestie.

– Czy mogę panią o coś spytać? – Gospodyni popatrzyła na nią z zachęcającym uśmiechem. – Z tego, co rozumiem, mieszkała pani z synami w Sampace. Zdradzi mi pani, kiedy to było? – Bisila zamrugła i Clarence odniosła wrażenie, że starsza pani powściąga uśmiech. – Po prostu chciałabym wiedzieć, czy miała pani okazję zetknąć się z moim ojcem. Pracował na plantacji mniej więcej w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

– Prawdę mówiąc, czarni nie za bardzo zadawali się tam z białymi. Ojciec pewnie ci opowiadał, że w Sampace mieszkały setki ludzi. To przypominało spore miasteczko.

– No, ale białych nie było aż tak wielu. – Clarence zmarszczyła brwi. – Zakładam, że wszyscy ich znali, a przynajmniej wiedzieli, kim są.

– Ja właściwie – odparła Bisila, teraz chyba odrobinę spięta – spędzałam więcej czasu w swojej wiosce niż na plantacji.

Laha i Iniko wymienili szybkie, znaczące spojrzenia. Obaj wiedzieli, że matka nie lubi opowiadać o tamtych latach. Dobrze ją znali i zakładali, że będzie próbowała grzecznie zbyć pytania gościa.

– A wiesz, mam – Laha postanowił pomóc jej zmienić temat – że Clarence mieszka na północy Hiszpanii?

– Północ Hiszpanii jest wielka – pospieszyła z uściśleniem dziewczyna – a moja dolina malutka jak ta wyspa.

– I pewnie bardzo tam zimno? I pada śnieg? – dopytywał Laha.

– Ja nie potrafiłbym żyć w zimnym miejscu – wtrącił niespodziewanie Iniko, bawiąc się niewielką muszlą, którą nosił na szyi zawieszoną na skórzanym rzemyku.

– Ty nie potrafiłbyś żyć nigdzie poza Bioko – żartobliwie zganił go młodszy brat.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdziła Clarence, wzruszając ramionami. – Ze mną jest tak samo. Czasem skarżę się na nasz klimat i związane z nim uciążliwości, ale nie wytrzymuję zbyt długo z dala od domu. To ciekawa mieszanka miłości i nienawiści.

Iniko podniósł na nią oczy.

Były ogromne i patrzyły na nią tak intensywnie, że aż się zarumieniła.

Ten facet zdecydowanie działał jej na nerwy.

– A jak się nazywa twoje miasto? – spytała Bisila, która właśnie wstała, by dolać im wszystkim kawy.

– O, to naprawdę mała miejscina – odrzekła Clarence. – Choć teraz nawet dość znana, bo mamy ośrodek narciarski. Nazywa się Pasolobino.

Brzęk odbijającej się od stołu i tłukącej o podłogę filiżanki sprawił, że wszyscy podskoczyli na krzesłach. Bisila zareagowała błyskawicznie i, przepaszając, wycofała się do kuchni po zmiotkę i ścierkę. Jej synowie usiłowali zbyć całe zajście żartami.

– No, faktycznie przerażająca nazwa – wygłupiał się Laha.

– Podobno każda nazwa coś oznacza. – Iniko spoglądał na Clarence, a jego oczy

zdawały się wreszcie uśmiechać. – Ta akurat musi mieć coś wspólnego z wilkami. – Uniósł lewą brew. – Ty natomiast nie wyglądasz na szczególnie groźną. – Po raz pierwszy zwrócił się do niej na „ty”.

– Cóż, jeszcze mnie znasz – odparowała z niezwykłą jak na siebie śmiałością, wytrzymując jego spojrzenie.

– Jeśli macie tam ośrodek narciarski, to znaczy, że okolica jest bogata, prawda? – rzucił Laha.

– Teraz owszem – odparła Clarence. – Ale nie tak znowu dawno dolinie groziło całkowite wyludnienie. Ludzie wyjeżdżali do miasta. Nie było pracy, nic, tylko mróz i krowy. Obecnie wszystko się zmieniło. Sprowadziło się do nas dużo przyjezdnych, część dawnych mieszkańców wróciła, poprawiła się infrastruktura...

Laha zwrócił się do brata:

– Widzisz? Postęp wcale nie jest taki zły.

Iniko przez chwilę mieszał swoją kawę.

– O to należałoby spytać rdzenną ludność – oświadczył w końcu.

– A ja, przepraszam, kim jestem? – oburzyła się Clarence.

– Dla Inika jesteś kimś takim jak ja – mruknął sarkastycznie Laha. – Należysz do obozu wroga.

– Przecież to niemądre uproszczenie! – zaprotestowała, cała czerwona. Przez stół wyciągnęła rękę w stronę Inika, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, i odrobinę podniosła głos. – Bardzo łatwo ferować wyroki, nie zadając sobie trudu, by spytać o szczegóły. Ty w ogóle nic o mnie nie wiesz!

– Wiem dosyć – odburknął on.

– Tak ci się tylko wydaje! – wybuchnęła. – Fakt, że mój ojciec był kolonizatorem, nie oznacza, że powinnam tu teraz ciągle błagać o wybaczenie... – Urwała, zadając sobie pytanie, czy któregoś dnia będzie się mimo wszystko musiała kajać przed biologicznym bratem.

Iniko skrzywił się, popatrzył na Lahę i zagwizdał.

– Jedno ci przyznam: charakter to ona ma...

Zabrzmiało to nawet dosyć pojednawczo, jednakże Clarence jeszcze bardziej się wściekła, że oto mówią o niej tak, jakby jej tam wcale nie było. Wyprostowała się na krześle. Nie zamierzała dalej brnąć w tę rozmowę. Na szczęście z kuchni wróciła Bisila. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Laha zerwał się, by wyręczyć ją w sprzątanii, ale ona tylko pokręciła głową. Siedzieli w milczeniu, podczas gdy zmiatała skorupy filiżanki, aż w końcu drżącym głosem spytała:

– Jak się nazywał twój ojciec?

Clarence natychmiast pochyliła się w jej stronę, wspierając łokcie o stół.

– Jacobo. Nazywa się Jacobo. Wciąż żyje. – Niespodziewane zainteresowanie Bisili ożywiło w niej nadzieję. „Jacobo” to nie było tak znowu częste imię. I czy jej się tylko zdawało, czy Bisila naprawdę zamarła? – Coś to pani mówi?

Bisila potrząsnęła głową i gwałtownymi ruchami dokończyła sprzątanii.

– Przykro mi.

– Przyjechał tu z moim stryjem, stryjem Kilianem. Łatwo zapamiętać. Mało kto się

tak nazywa. – Bisila znów się zatrzymała. – Stryj też jeszcze żyje...

– Przykro mi – powtórzyła Bisila zgaszonym głosem – ale nie, nie pamiętam. – Potem zawróciła w stronę kuchni, mruczając: – Pamięć coraz bardziej mi szwankuje.

Laha zmarszczył brwi.

Zapadło krótkie milczenie, które przerwał Iniko, wstając i nalewając do kieliszków trzciniowej wódki.

Clarence w zamyśleniu przygryzła dolną wargę. Każdy trop, który wiązał się z Sampaką, urywał się i znów utknęła w martwym punkcie. Jeśli nawet ktoś taki jak Bisila nie pamiętał jej ojca, to pozostawało jedynie dać ogłoszenie do prasy. Przypomniała sobie wizytę na cmentarzu i postanowiła wystrzelić swój ostatni nabój. Oczekała, aż gospodyni wróci na miejsce, po czym opowiedziała o dziwnym wrażeniu, jakie zrobiła na niej płyta z napisem „Pasolobino” odnaleziona w tym miejscu w Afryce.

– Ciekawe – dodała – kto zadaje sobie trud, żeby składać kwiaty na grobie mojego dziadka...

Bisila siedziała ze spuszczoną głową i splecionymi na podołku rękoma. Jej zachowanie wyraźnie się zmieniło. Być może nie była przyzwyczajona do tak późnej pory.

– No, dobrze. – Clarence zerknęła na zegarek. – Bardzo pani dziękuję za kolację. I za gościnę. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy przed moim wyjazdem do Hiszpanii.

Bisila lekko skinęła głową, ale nic nie powiedziała.

Laha rozumiał, że Clarence żegna się, bo zamierza wrócić do hotelu, lecz miał wobec niej inne plany.

– Jaką muzykę wolisz? – zapytał, wstając. – Afrykańską czy anglosaską? – Clarence najpierw zdumiała się tą nagłą zmianą tematu, zaraz jednak, widząc, że chłopak wykonuje taneczne ruchy, pojęła, że proponuje jej wyjście do dyskoteki. – Co ty na to, Iniko? Może ją zabierzemy do naszego ulubionego klubu?

Iniko zawahał się, a później przeciągle cmoknął. Clarence zinterpretowała to jako oznakę zirytowania tym, że Laha ją w ogóle zaprosił.

– Twój brat chyba nie chce, żeby jakaś cudzoziemka dawała mu lekcje tańca – rzuciła z ironią, zwracając się do Lahy.

Iniko wyduł grube wargi, wsparł dłonie o stół i powoli dźwignął się na nogi.

– Jeszcze zobaczymy, kto komu będzie dawał lekcje – mruknął z żartobliwym błyskiem w oku.

Pożegnawszy się z Bisilą, wsiedli do terenówki Inika i pojechali do dyskoteki, która nazywała się Bantú, tak jak hotel. Wśród rytmów dominowały tu kongijski soukous, kameruńskie bikutsi, a także antylska albo – jak tu mówiono – antylijska salsa. Gdy tylko weszli, kilka osób zaczęło na nich machać od swojego stolika.

– Przecież to Tomás! – wykrzyknęła Clarence, rozpoznając swojego taksówkarza, który zaraz wstał, by uścisnąć jej rękę. – Nie mów, że wy się znacie!

– A kto na wyspie nie zna Inika? – zażartował Tomás, raz po raz poprawiając sobie okulary. W lokalu było gorąco, więc bardzo się pocił.

Usiedli wszyscy razem, faceci i dziewczyny, a po dokonaniu koniecznych prezentacji, zaopatrzeni w drinki i papierosy, zaczęli żartować i przerzucać się uwagami na temat

sensacji wieczoru, czyli jej, Clarence. Imiona części z tych ludzi były proste, na przykład to, które nosiła śliczna dziewczyna z włosami splecionymi w cieniutkie warkoczyki, Melania, zdeterminowana, by Iniko usiadł u jej boku. Natomiast sporego wysiłku wymagało zapamiętanie, jak nazywają się dwie pozostałe – Rihèka, niska i grubiutka, oraz Bõrihí, ostrzyżona na zapałkę, wysoka i atletycznie umięśniona – jak również młody chłopak o wielkim nosie, niejaki Köpé.

Clarence początkowo czuła się onieśmielona, choć towarzystwo Lahy i Inika dodawało jej pewności siebie. Co chwila ktoś wstawał, żeby wyjść na otoczony lustrami parkiet, jednakże ona wołała siedzieć koło młodszego z braci – który przyznawał, że niezbyt dobrze tańczy – nad swoim rumem z colą, niespecjalnie łagodzącym upał, i nieśmiało kołysać stopą w takt wesołej, rytmicznej muzyki. Jednocześnie przypatrywała się tańczącym parom, zachodząc w głowę, skąd, do diabła, biorą się u nich takie ruchy. To było przecież jakieś szaleństwo.

Sporą część uwagi skupiła na wielkoludzie Iniku, który, ku jej zdumieniu, wywijał z Melanią tak, jakby w ogóle nic nie ważył. Lekko przygarbiony kołysał biodrami i kończynami idealnie w rytm muzyki, jakby kolejne takty wypływały wprost z jego ciała. Od czasu do czasu przymykał oczy i najwyraźniej przenosił się w jakąś tajemniczą przestrzeń, gdzie cała jego mrukliwość zniknęła, zastąpiona uśmiechami czystego szczęścia. Nagle muzyka się zmieniła. Melania wróciła do stołu, lecz jej partner pozostał na parkiecie.

Clarence nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Jak gdyby tego świadomy, Iniko odwrócił się i utkwiał w niej wyzywające spojrzenie. Uniósł rękę i, nie przestając się ruszać, gestem zaprosił Clarence do tańca. Zawstydzona pokręciła przecząco głową. Rozumiała już, że to, co powiedziała u Bisili o jego umiejętnościach tanecznych, całkowicie mijało się z prawdą. Iniko wzruszył ramionami i tańczył dalej, jeszcze bardziej żywiołowo. Clarence pożałowała swojego tchórzostwa. Jednym haustem dopiła drinka i wyszła na parkiet.

Iniko zaśmiał się, przedrzeźniając jej sztywne kroki. Clarence natychmiast się cofnęła. On jednak złapał ją za rękę i szepnął jej wprost do ucha:

– Nie chcesz lekcji u mistrza?

Zaczął ją okręzać, sygnalizując, by się rozluźniła, dała się ponieść, wyłączyła umysł. W ogóle jej nie dotykał, ale ona i tak odnosiła wrażenie, że atakuje swoją obecnością każdy milimetr jej skóry. Gdziekolwiek spojrzała, lustro zwielokrotniały podniecający obraz kobiety odrzucającej początkowe opory i ulegającej niematerialnemu wpływowi mężczyzny, od którego zdawały się jednak bić fale gorąca.

Zamknęła oczy i usiłowała o wszystkim zapomnieć: o swoich lękach i niepokojach, o Pasolobino i Sampace, o licznych obowiązkach, o powodach swojej podróży, o przeszłości i przyszłości. Jedyna, uporczywa zresztą myśl, na którą sobie pozwalała, dotyczyła tego, że jej ciało od wieków nie pragnęło w ten sposób bliskości mężczyzny.

Muzyka umilkła. Clarence podniosła powieki i tuż nad sobą ujrziała twarz Inika. Po raz pierwszy od spotkania w Sampace zdawał się na nią patrzeć z zaciekawieniem i niepewnością. Może i on czuł się nieco zdezorientowany po powrocie do rzeczywistości.

– Mistrz zadowolony z uczennicy?

– W miarę. Za mało danych, żeby wystawić ostateczną ocenę.

W sumie, pomyślała Clarence, chętnie powtórzyłabym ten egzamin.

– Od lat nie zarywałam w ten sposób nocy! – oznajmiła, wzbudzając ogólną wesołość.

Właśnie zjadła w towarzystwie swoich nowych znajomych kolację w restauracji ze stolikami przykrytymi kolorową ceratą i ścianami wyłożonymi terakotą, gdzie serwowano ciekawą mieszankę kuchni hiszpańskiej, włoskiej i amerykańskiej.

Jak się zorientowała, co wieczór ktoś występował z nowym planem, który przewidywał zabawę do rana.

Zastanawiała się, jak oni to wytrzymują, przecież chodzą do pracy. Bardzo pociągająca, choć raczej nieskomplikowana Melania na co dzień była dozorczynią w Instytucie Francuskim; malutka Rihéka prowadziła na targu w Malabo stoisko z rękodziełem plemienia Bubi; sympatyczny Köpé zajmował się konserwacją instalacji elektrycznych, a atletyczna Börihi, która zresztą już wyszła, pracowała jako urzędniczka w firmie budowlanej.

– Tylko Börihi zachowała odrobinę zdrowego rozsądku – stwierdziła Clarence. – Resztę z was niedługo zwolnią. Ciebie pierwszego, Laha. Czy ty aby nie masz dostępu do substancji niebezpiecznych...?

Chciała kontynuować w tym żartobliwym tonie, ale w tym momencie Melania zasygnalizowała, że coś się dzieje na zewnątrz. Wszyscy popatrzyli w tamtą stronę.

Kilka czarnych samochodów otwierało oficjalną kawalkadę, eskortowaną przez policjantów na motorach. Na trasie jej przejazdu ustawiło się sporo ciekawskich. W większości byli to miejscowi, choć trafiali się również biali turyści. Stojąca po drugiej stronie ulicy biała kobieta zapomniała o przepisach i zaczęła wszystko fotografować. Kiedy rządowe auta przejechały, przed kobietą zatrzymał się czarny samochód. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni, którzy brutalnie wyrwali jej aparat, a potem popchnęli biedaczkę na maskę i bezlitośnie przeszukali. Z okien restauracji widać było, że kobieta krzyczy i płacze.

– Co oni wyprawiają! – wstrząśnięta Clarence zerwała się na nogi.

Iniko pociągnął ją za rękę i zmusił, żeby usiadła.

– Zwariowałaś? Uspokój się, jeśli łaska! – Jego twarz i słowa zdradzały silne rozdrażnienie. Melania objęła go i pogłaskała po ramieniu.

Clarence, wściekła, zacisnęła wargi i spojrzała na Lahę, który od razu zrozumiał, że chodzi jej o spotkanie pod katedrą.

– Nie, Clarence – powiedział, potrząsając głową. – Tym razem nic się nie da zrobić.

– Ale...

– Słyszałaś, co mówił Iniko – głos mu stwardniał. – Daj spokój.

Clarence obserwowała z przerażeniem, jak tamci zakuwają kobietę w kajdanki, by następnie wepchnąć ją do samochodu i odjechać z piskiem opon, na oczach zrezygnowanych czy wręcz zobojętniałych przechodniów.

– I co teraz z nią będzie? – szepnęła.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Może się zbierajmy? – rzuciła Rihéka z niepokojem, który wyraźnie malował się na

jej okrągłej twarzy.

– Lepiej nie. Zaczęlibyśmy się rzucać w oczy. Po prostu normalnie rozmawiajmy – zaproponował Köpé. – W głębi, po prawej, siedzą... widzowie. Nie patrzcie tam.

– Wyglądają na „zapalniczki”? – spytała Rihéka.

– Na co? – zdziwiła się Clarence.

– Zapalniczki to młodzi ludzie na usługach partii – wyjaśnił Tomás.

– Nie wyglądają – odrzekł Köpé. – Ale nigdy nic nie wiadomo...

Tomás opowiedział absurdalny dowcip, który reszta skwitowała wymuszonymi śmiechami. Clarence zerknęła na dziwną parę przy stoliku w głębi. Kobieta, stara i otyła, miała zupełnie białe włosy, wielki biust, tak samo zwiędły jak jej usta, zbyt mocny makijaż i ostentacyjną biżuterię. Naprzeciw niej, tyłem do Clarence, siedział chudy, kościsty Mulat, dużo od swojej towarzyszki młodszy.

– Ta baba wciąż się na nas gapi – poinformowała Clarence.

– Nic dziwnego – rzuciła Melania z irytacją. – Mało brakowało, a przez ciebie by nas wszystkich zatrzymali.

– Co ty opowiadasz? – zaprotestowała Clarence.

Z całej grupy Melanię lubiła najmniej, bo ta wciąż się jej o coś czepiała. Była żeńskim odpowiednikiem Inika z pierwszego spotkania. Starszy z braci bowiem od wieczoru w dyskotecce zachowywał się wobec Clarence zdecydowanie inaczej, choć przy Melanii, zasypującej go czułościami, milkł i zamykał się w sobie. Clarence spojrzała na Lahę, który potwierdził słowa koleżanki lekkim skinieniem głowy.

– Trzeba bardzo uważać – powiedział znowu miłym tonem. – Tu jest inaczej niż w Hiszpanii czy Stanach.

– Każdy może cię oskarżyć o działanie na szkodę rządu – dodał cicho Tomás. – Każdy...

Clarence trochę się zreflektowała. Na chwilę zapomniała, w jakim kraju się znajduje.

– Przepraszam – mruknęła.

Köpé wstał, by zamówić jeszcze jedną kolejkę wielgachnych i bardzo popularnych piw 33. Kiedy z powrotem usiadł, oświadczył:

– Zdaje się, że to fałszywy alarm. Nie poznajecie tej kobiety? – Tomás i Iniko odwrócili się dyskretnie, po czym obaj się uśmiechnęli. – No właśnie.

– Znacie ją? – zainteresowała się Clarence.

– A kto nie zna Mamy Sade? – Tomás przewrócił oczyma.

– Nie mów, że to ona! – Laha przymrużył powieki. – Bardzo się postarzała, od kiedy ją ostatnio widziałem.

– Sądziłam, że nie wychodzi już z domu – wtrąciła Melania.

– A ja, że nie żyje! – zaśmiała się Rihéka.

Clarence umierała z ciekawości.

– Dla nas Mama Sade jest jak puchowiec – zaczął tłumaczyć Laha, dostrzegając jej minę. – Zawsze tu była, przynajmniej od czasów naszego dzieciństwa, jeszcze za kolonii. Według legendy pracowała jako... no, pracowała ciałem. Przy swojej urodzie nie mogła opędzić się od klientów. Zarobiła w ten sposób fortunę, którą zainwestowała najpierw w jeden klub, potem w drugi, aż w końcu została właścicielką wszystkich liczących się

nocnych lokali w mieście.

Zrobił przerwę na łyk piwa, co Tomás wykorzystał, by dodać:

– Za Macíasa też jej się wiodło. To dopiero tajemnica. Podobno tylko ona wiedziała, jak zaspokajać potrzeby jego ludzi. No i zatrudniała najlepsze dziewczyny...

– A ten obok to kto? – chciała wiedzieć Clarence.

– Jej syn – odparł Köpé. – Teraz to on kieruje interesem.

– Wygląda na Mulata. – Clarence podniosła butelkę do ust, nie spuszczać oczu z interesującej ją pary.

– Bo nim jest. – Rihéka pochyliła się nad stołem, szepcząc poufnie: – Krążą plotki, że Mama Sade zakochała się kiedyś w białym z plantacji, który zrobił jej dziecko, a potem ją zostawił. – Clarence zakrztusiła się, zaczerwieniła i zaczęła kasłać. Rihéka poklepała ją po plecach. – Potem nie chciała już więcej dzieci.

– Ja na jej miejscu starałabym się ich urodzić jak najwięcej – oznajmiła mściwie Melania. – Taki jedynak tylko jej ciągle przypomina swojego tchórzliwego tatusia.

Clarence poczuła, że serce jej wali. Miała ochotę wstać i podejść do tamtego stolika, żeby popatrzeć synowi Mamy Sade w twarz. Idiotyczny pomysł! Bo co by potem zrobiła? Spytała faceta, czy aby nie ma na imię Fernando? Przecież takie rzeczy musiały się zdarzać wielu kobietom na wyspie. Siedzący obok Laha wydawał się dziwnie zadumany i zaciskał dłonie na swojej butelce. Marszczył czoło. On jedyny wśród swoich znajomych nie był całkowicie czarny.

Nagle zerwał się na nogi, mruknął coś o pójściu do toalety i zniknął. Clarence ponownie skupiła uwagę na stoliku w głębi.

– Skoro ta kobieta nie jest kapusiem, to czemu się nam tak przygląda?

– Nie tyle nam, ile tobie – zakpił Iniko. – Może ci zaproponuje pracę? Zawsze miała dobre oko...

Clarence oblała się rumieńcem.

– Hm – rzuciła sarkastycznie, przechylając głowę. – Uznam to za komplement.

Wszyscy się roześmieli – poza wyraźnie niezadowoloną Melanią.

– Nie wiecie przypadkiem, jak ma na imię jej syn? – zapytała Clarence i natychmiast pożałowała tego pytania.

– A co cię to obchodzi? – zdziwiła się Melania, przytulając się do Inika. – A, prawda! Przecież to on zarządza biznesem! – Znowu rozległy się śmiechy, Melania zaś wykorzystała okazję do przeprowadzenia nowego ataku. – Biała dziewczyna przyniosłaby lokalowi sławę, chociaż zdaje się, że w porównaniu z nami trochę wam brakuje temperamentu...

Clarence spiorunowała ją wzrokiem. Tomás, Köpé, a także Iniko ukryli uśmiechy każdy za swoją butelką. Tylko Rihéka zganiała koleżankę.

Iniko zauważył, że Clarence usiłuje być grzeczna, więc – choć z chęcią wysłuchałby z jej ust jakiejś ciętej riposty – postanowił przejąć stery konwersacji.

– Clarence interesuje się imionami dzieci urodzonych za czasów kolonii – wytłumaczył, odchylając się na oparcie krzesła w ten sposób, że ramieniem objął Melanię. – W celach naukowych. Pisze na ten temat artykuł.

Clarence obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem: ewidentnie słuchał jej uważniej, niż

przypuszczała. Melania zrobiła lekko zdziwioną minę i przysunęła się do niego jeszcze bliżej.

Proszę, proszę, zaraz wleziesz mu na kolana, a przecież i tak wszyscy widzą, że ci się podoba, pomyślała Clarence, zaskoczona, że odczuwa coś w rodzaju ukłucia zazdrości.

– W tym akurat możemy ci pomóc – rzucił Tomás. – No, już, daj mi ten swój notesik, z którym się nigdy nie rozstajesz.

Zaraz potem zaczął głośno wymieniać i zapisywać imiona wszystkich, których znał, poczynając od członków rodziny, a kończąc na sąsiadach i innych. Reszta poszła za jego przykładem. Clarence zastanawiała się tymczasem, dlaczego jej przeszkadza, że Melania tak się lepi do Inika. Czyżby naprawdę była... zazdrosna? O Melanię? O tego małomównego, nieufnego i zacofanego wielkoluda? Bez sensu. Kompletnie bez sensu. Więc dlaczego wciąż kątem oka sprawdzała, w jaki sposób Iniko reaguje na te wszystkie awanse? Zresztą, ku jej uldze, właściwie nie reagował. Najwyraźniej nie należał do tych, co to okazują emocje publicznie, jednakże, jeśli pozwalał Melanii na podobne zachowanie, zapewne lubił jej towarzystwo. Była ładna, miała charakter, pochodziła z plemienia Bubi i mieszkała na Bioko. Dla Inika z pewnością ideał. Clarence westchnęła.

– Jak już opublikujesz wyniki swoich badań – odezwał się Köpé, oddając jej zeszyt – musisz nam wysłać kopię artykułu.

Clarence zerknęła na spis imion. Przez kilka minut w jej notesie pojawiło się ich ponad sto. Poczuła się trochę winna, że tak wszystkich oszukuje. Nie miała zwyczaju kłamać, a od przyjazdu na wyspę nie robiła nic innego. Nie zamierzała pisać takiego artykułu. Interesował ją jedynie pewien Mulat imieniem Fernando. O ile rzeczywiście tak miał na imię... Może zresztą Julii chodziło jednak o Garuza, który nie na wiele się przecież przydał...

Laha wrócił do stolika, ale nie usiadł.

– Może zmienimy lokal? – zaproponował. – Chociażby na naszą ulubioną dyskotekę? Wszyscy się z nim zgodzili.

– Ale przecież zawsze powtarzasz, że nie cierpisz tańczyć – zaśmiała się Clarence, wstając.

Wtedy zauważyła, że Mama Sade i jej syn też zmierzają w stronę drzwi. Korzystając z ogólnego zamieszania, udała, że szuka czegoś w torbie, i zerkała na tamtą dwójkę. W przeciwieństwie do matki, kobiety bardzo obfitych kształtów, mężczyzna był naprawdę chudy. Teraz wreszcie widziała jego twarz. Poszczególne jej elementy wyglądały całkiem przyjemnie: oczy miał ciemne, lekko migdałowe, nos i usta – delikatne, podbródek – mocno zarysowany. Jednakże efekt psuła wyniosła, bardzo niesympatyczna mina. Clarence aż się wzdrygnęła.

– Jakiś problem, białasko? – Mężczyzna zatrzymał się tuż przy niej, wbijając w nią ostre spojrzenie. – Coś ci się nie podoba?

– Och, nie, przepraszam, ja...

Czyjaś dłoń ujęła ją pod ramię, Clarence usłyszała niski głos Inika, który powiedział:

– Idziemy?

– E, ty, Bubi! Naucz swoją dziewczynę manier – rzucił pogardliwie tamten. Iniko zeszytniał. – Nie lubię, jak ktoś się tak na mnie lampi.

Stojąca obok Mama Sade odezwała się rozkazująco:

– Nie trać czasu na...

Urwała, bo przeniosła wzrok na Clarence. Zmarszczyła brwi i wydała dziwny dźwięk. Odepchnąwszy syna na bok, przysunęła się do dziewczyny. Mimo wieku wciąż była wysoka. Pomarszczoną dłonią sięgnęła do twarzy Clarence i, nie dotykając jej, powiodła od czoła ku brodzie. Clarence cofnęła się o krok, a Iniko pociągnął ją ku drzwiom.

– Poczekaj! – zawołała Mama Sade, szeroko otwierając bezzębne usta. – Nic ci nie zrobię!

Clarence dała znać Inikowi, że chce sprawdzić, o co chodzi.

Mama Sade powtórzyła poprzedni gest, mamrocąc coś w niezrozumiałym dla Clarence języku. Kiwała przy tym głową i śmiała się jak wariatka. Potem trochę się uspokoiła.

– A więc? – spytała Clarence, zirytowana, ale i zaintrygowana tą sytuacją.

– Kogoś mi przypominasz.

– Tak? Kogo? – Clarence natychmiast pożałowała, że pozwoliła sobie na okazanie ciekawości. Czy to możliwe, żeby jedyną osobą pamiętającą jej ojca była emerytowana prostytutka o wyglądzie czarownicy? Nie podobali jej się ani ona, ani jej syn, który teraz co chwila zerkał zniecierpliwiony na zegarek.

– Kogoś, kogo znałam bardzo dawno temu. Kogoś z Hiszpanii. Ty też jesteś stamtąd, prawda? – Clarence przytaknęła. – Pochodzisz od kolonizatorów? – Clarence przytaknęła ponownie, choć teraz z mniejszym przekonaniem. – Skąd dokładnie? Z północy czy z południa?

– Z Madrytu – skłamała dziewczyna.

Potwornie żałowała, że nie umknęła z restauracji w porę. Woląca sobie nawet nie wyobrażać, jakie związki mogły ją łączyć z tą piekielną parką. Wcześniej nigdy nie przypuszczała, że zdecydowanie odrzuci jakiegoś pretendenta do roli swojego brata tylko dlatego, że delikwent nie przypadnie jej do gustu. Cóż za konsekwencja! Poczuła, że robi jej się gorąco i duszno. Mocniej uczepliła się ręki Inika.

– Z kimś mnie pani pomyliła. Przykro mi, ale trochę się spieszymy. Czekają na nas.

Skrzywiony niemiłosiernie syn już podawał Mamie Sade ramię.

– Jeszcze jedno pytanie! – niemal krzyknęła staruszka. – Jak ma na imię twój ojciec?

– Proszę pani, mój ojciec umarł dawno temu. – To jakby ją nieco uspokoiło.

– Ale jak miał na imię? No?

– Alberto – raz jeszcze skłamała Clarence. Zaczynało jej się kręcić w głowie. Była na skraju paniki. – Miał na imię Alberto!

Mama Sade zacisnęła usta. Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w dziewczynę, po czym spuściła głowę, choć pozostała dumnie wyprostowana, odruchowo wyciągając rękę ku synowi.

Clarence odetchnęła z ulgą, widząc, że tamci wychodzą. Oparła się o stół. W jednej z butelek wciąż było trochę piwa. Wypiła je duszkiem. Zdążyło się zrobić ciepłe, ale co tam. Usta miała tak wyschnięte, że orzeźwiłyby ją nawet łyk gorącego rosółu.

Iniko patrzył na nią spod zmarszczonych brwi, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Gdzie się podziała reszta? – spytała.

– Poszli przodem.

– Dzięki, że zaczekałeś.

– Cieszę się, że to zrobiłem. – Żadne nie ruszało się z miejsca. – Czyli poczekaj...

Żeby dobrze zrozumiał... – Iniko odezwał się znowu po dłuższej chwili, gładząc palcem jedną z brwi. – Nie pochodzisz z Pasolobino. Twój ojciec nie ma na imię Jacobo, a poza tym w ogóle nie żyje. Kim ty jesteś? „Zapalniczką”?

I uśmiechnął się.

O, tak, pomyślała Clarence, jestem najodważniejszym szpiegiem świata: jak tylko odkryję coś, co mi się nie podoba, dostaję ataku paniki.

– Nie chciałam się tak ze wszystkim zdradzać – powiedziała. – Sami kazaliście mi uważać.

Wyszli na zewnątrz. Clarence rozejrzała się dookoła. Księżyc świecił jak potężny reflektor spomiędzy poszarpanych chmur.

– Wiesz co, Iniko? Księżyc tu nawet ładny, ale jednak u nas, w górach, to zupełnie co innego...

– A! Czyli Pasolobino jednak istnieje. Od razu mi lepiej...

Clarence żartobliwie pacnęła go w ramię. Najwyraźniej mimo wszystko miał poczucie humoru. Proszę, proszę.

– A dlaczego zaczekałeś na mnie akurat ty?

Właściwie chciała zapytać: „Jak to się stało, że Melania ci na to pozwoliła?”.

– Chciałbym ci coś zaproponować.

Co miała mu odpowiedzieć?

Czas jej się kończył i została już tylko jedna możliwość: Ureka.

Takiej okazji nie można było przegapić.

Zwłaszcza teraz, gdy wszystko inne zawiodło. Na uniwersytecie od początku, całkiem kłamliwie powtarzała, że ma strasznie dużo pracy z badaniami terenowymi, bo nagrywa ustne świadectwa dla przyszłej analizy. Co do prywatnego śledztwa – ograniczało się do nieistotnych, choć faktycznie nagrywanych na dyktafon rozmów z przypadkowymi, nieco od niej starszymi Mulatami, którzy wzbudzali w niej żywe zainteresowanie, dopóki nie wyjawiali, że nie mają na imię Fernando albo że ich nieliczne wspomnienia z dzieciństwa przeżytego w czasach kolonialnych nijak się nie wiążą z Sampaką.

Klika razy natknęła się na takich, którzy odmawiali udzielania odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, a nawet rzucali uwagi w stylu: „Nie zwracaj mi głowy!” albo: „Nie zamierzam ci o niczym opowiadać!”, kończąc swoje wypowiedzi wyraźnie obelżywym: „Ty białasko!”. A przecież wszystkim okazywała dokument potwierdzający, że ma afiliację przy miejscowym uniwersytecie.

Powiodła wzrokiem po gładkiej powierzchni morza. Siedzieli z Lahą na zastawionym białymi stołami i krzesłami tarasie kawiarni w hotelu Bahía, skąd widać było zacumowany tuż obok ogromny statek. Laha przyszedł po nią do hotelu trochę wcześniej niż zwykle. Iniko miał się dopiero zjawić.

Co mogła mu odpowiedzieć?

– Wygląda na to – rzucił lekkim tonem Laha, mieszając kawę – że mój brat cię

polubił. A to rzadkie. On zwykle odrzuca wszystko, co pochodzi z zewnątrz.

Clarence nie potrafiła opanować rumieńca satysfakcji.

– Dziwne, że będąc braćmi, życie zupełnie inaczej...

– Zawsze powtarzam, że Iniko urodził się zbyt wcześnie. Te sześć dzielących nas lat odegrało kluczową rolę w historii wyspy. Jego jeszcze objęło prawo, które zmuszało wszystkich powyżej piętnastego roku życia do pracy na państwowych plantacjach. Bo wcześniej wyrzucono stąd robotników z Nigerii. – Laha niespodziewanie umilkł, zdziwiony, że Clarence słucha go z taką uwagą. – Iniko musiał ci o tym wszystkim już opowiadać.

Faktycznie, Iniko dużo jej mówił o najnowszej historii swojego kraju, o której ona, Clarence, coś tam już zresztą wiedziała, tyle że, oczywiście, bez szczegółów znanych jedynie komuś, kto to wszystko oglądał na własne oczy. Po wyzwoleniu uzyskanym w 1968 roku Gwinea przeżyła swoje najkoszmarniejsze jedenaście lat pod rządami Macíasa, okrutnego dyktatora, który sprawił, że określano ją mianem afrykańskiego Auschwitz. Iniko był wtedy nastolatkiem: opowiadał, że nie wychodziły żadne gazety, imion hiszpańskich w ogóle nie używano, pozamykano szpitale i szkoły, zrezygnowano z uprawy kakao, zakazano wyznawania katolicyzmu, zakazano noszenia butów, zakazano w ogóle wszystkiego. Represje, oskarżenia, zatrzymania i egzekucje dotyczyły każdego – Bubich, Nigeryjczyków, Fangów, przedstawicieli plemienia Ndowe z Corisco i z dwóch wysp Elobey, mieszkańców Annobonu i ludzi mówiących językiem krio – za byle co.

Clarence zamyśliła się nad słowami Lahy, przypominając sobie, że dopiero od kilku dni wiedziała, że Iniko jest wdowcem i że ma dwóch synów – w wieku dziesięciu i czternastu lat – którzy mieszkają u dziadków ze strony matki. Potem rzuciła:

– Iniko mówi o wszystkim i o wszystkich z wyjątkiem siebie samego.

Laha skinął głową i łyknął kawy. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Clarence postanowiła skorzystać z okazji i wypytać go o jego sprawy.

– Jak twoi rodzice zdołali opłacić ci studia w Stanach?

Laha wzruszył ramionami.

– Mama zawsze umiała sobie radzić, zarabiała, zdobywała stypendia i fundusze pomocowe. Razem z Inikiem zawsze bardzo mi pomagali, widząc, że nauka wyjątkowo dobrze mi idzie.

– A wasz ojciec? – odważyła się spytać Clarence, ponieważ on nie poruszał tego tematu. – Co się z nim stało?

Laha wydał z siebie dźwięk podobny do parsknięcia.

– Właściwie powinnaś powiedzieć: wasi ojcowie. Ojciec Inika wcześniej umarł, a ja nigdy nie poznałem swojego. Mama nigdy mi o nim nie opowiadała.

Clarence zrobiło się trochę głupio.

– Przykro mi – wykrztusiła, zawstydzona swoim wścibstwem.

Laha lekceważąco machnął ręką.

– Nie przejmuj się. Tutaj to normalne.

Smutek na jego twarzy sprawił, że poczuła się jeszcze gorzej. Postanowiła więc zadać pytanie, które wydawało się mniej problematyczne.

– A w jakież to awantury wdawał się Iniko we wczesnej młodości?

– We wczesnej... I w mniej wczesnej też! – Laha wyprostował się na krześle, rozejrzał dookoła i zniżył głos. – Słyszałaś o Black Beach albo Blay Beach?

Clarence, zaciekawiona, pokręciła głową.

– To jedno z najbardziej osławionych więzień w Afryce. Mieści się tutaj, w Malabo. Znane jest z wyjątkowo złego traktowania więźniów. Iniko tam siedział.

Szczęka jej opadła. Trudno było w coś takiego uwierzyć.

– A za co?

– Za przynależność do ludu Bubi.

– Ale... Jak to?

– Wiesz przecież, że od czasu wyzwolenia Gwinei u władzy utrzymują się głównie przedstawiciele Fangów. Pięć lat temu doszło do poważnych incydentów w Lubie, czyli, dla ciebie, w San Carlos. Zakapturzeni i uzbrojeni sprawcy zabili czterech robotników i władze oskarżyły o tę zbrodnię członków organizacji popierającej niezależność Bioko. W konsekwencji armia zaczęła prześladować Bubishi. Nie chcę się tu wdawać w szczegóły, ale działy się prawdziwe okropności...

Laha umilkł.

– Ja... – Clarence przełknęła ślinę. – Nie przypominam sobie, żebym coś o tym czytała w hiszpańskiej prasie...

Laha znów napił się kawy i potrząsnął głową, jakby chciał odegnać wspomnienie o tych strasznych wypadkach. Później podjął:

– Zatrzymano setki osób, między innymi mojego brata. Ja miałem szczęście, byłem akurat w Kalifornii. Mama kazała mi przysiąc, że nie wrócę na Bioko, dopóki się wszystko nie uspokoi.

– A Iniko? – spytała Clarence słabym głosem.

– Spędził dwa lata w Black Beach. Nigdy o tym nie mówi, ale ja wiem, że go torturowali. Potem przenieśli go, razem z innymi na przymusowe roboty, do więzienia w Evinayoung, w Mbini, czyli kontynentalnej części kraju, tobie znanej zapewne jako Río Muni. Jeden z towarzyszy Inika miał osiemdziesiąt jeden lat, co ty na to? – Laha nie oczekiwał odpowiedzi, poza tym Clarence i tak nie potrafiłaby żadnej udzielić. – Pamiętaj, że dwie części składające się na Gwineę, wyspę i terytorium kontynentalne, dzieli ponad trzysta mil morskich. I chodzi o dystans nie tylko geograficzny, lecz również kulturowy: Bubi na kontynencie czują się całkiem obcy. Dlatego ich tam wysłali: żeby oddzielić ich od rodziny i tym skuteczniej dręczyć.

– Ale... – wtrąciła Clarence łagodnie – ...o co ich oskarżono?

– O wszystko. O zdradę, terroryzm, nielegalne posiadanie środków wybuchowych, szmuglowanie broni, spiskowanie przeciw bezpieczeństwu narodowemu, próbę zorganizowania zamachu stanu, secesję... Surrealistyczne, co? Na szczęście dwa lata temu kilku więźniów, wśród nich Iniko, zostało ułaskawionych. Na określonych warunkach, rzecz jasna, ale, tak czy owak, oznaczało to ucieczkę z piekła. Melania też tam była. Tak się poznali.

Clarence siedziała oszołomiona. Czy to wszystko działo się w XXI wieku? Komuś takiemu jak ona, przyzwyczajonemu do korzystania z demokracji, o którą jej

przodkowie walczyli nie tak zresztą dawno – wystarczająco jednak dawno, by młodzi ludzie w ogóle o tym nie pamiętali – trudno było przyswoić sobie to, o czym opowiadał Laha. Nic dziwnego, że nikt specjalnie nie zareagował na kłopoty tamtej cudzoziemki.

Biedy Iniko!

Wtedy przypomniała sobie jego propozycję i poczuła się zagubiona. Już miała się zgodzić, ale teraz, po opowieściach Lahy, znów nabrała wątpliwości.

Tego wieczoru nie mogła zasnąć.

Ostatecznie przyjęła zaproszenie Inika. Zgodziła się wyprawę w głąb wyspy. Miała poznać wioski, które przez samą swoją nazwę kojarzyły jej się z anegdotami opowiadanymi przez Jacoba i Kiliana. A wszystko w ciągu dwóch albo trzech dni. Iniko argumentował, że oto kończą jej się wakacje, a nie wyściubiła jeszcze nosa poza Malabo. Planował wizytę w szczególnym miejscu zwanym Ureką, a także krótki przystanek w Sampace. Przysięgał, że to będzie niezapomniana podróż, że Bioko to niezwykła wyspa i że razem zwiedzą miejsca mało komu dostępne.

A jeśli ktoś ich zatrzyma w jakimś punkcie kontrolnym?

Znów ten strach...

Iniko był znanym przedstawicielem firm handlujących kakao, zajmował się opłacaniem indywidualnych rolników. Poza tym znał wyspę jak własną kieszeń.

Tyle że nikt, z wyjątkiem Lahy, nie wiedziałby, gdzie ich szukać. Gdyby się coś stało, rodzina w Hiszpanii zorientowałaby się dopiero po kilku dniach.

Z drugiej strony – cóż za okazja! W jakiś sposób zmuszająca ją do wytoczenia ostatnich dział. To było nawet ekscytujące. Bo w sumie dlaczego porzuciła swoje dochodzenia w sprawie domniemanego brata aż tak szybko?

Odpowiedź nasuwała się sama. Za każdym razem, gdy wyrzucała sobie tchórzliwą rezygnację, natychmiast wspominała Mamę Sade i jej syna. Może jednak lepiej nie grzebać w przeszłości. Może pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Każda rodzina miała swoje sekrety – i dobrze. Życie toczyło się dalej...

Głośno westchnęła.

Wyprawa w głąb wyspy w towarzystwie Inika...

Przecież to śmieszne. Sen nie przychodził, zamiast niego zjawiały się absurdalne miłosne rojenia... Jak u piętnastolatki!

No, no, pomyślała: tchórzliwa Clarence zapuszcza się w dżunglę razem z wielgachnym facetem, który siedział w więzieniu i chyba ma dziewczynę.

Z Inikiem.

Nie dało się ukryć, że strasznie mocno na nią działał.

Kilka dni u jego boku. Sam na sam.

Był taki inteligentny, wrażliwy, odpowiedzialny, a – jeśli chciał – także rozmowny i uważający.

No, może jednak poczucia humoru trochę mu brakowało...

Dokładnie o siódmej czekała przy recepcji. Bardzo się zdziwiła, gdy wyszło na jaw, że w pierwszej części podróży towarzyszyć im będzie Bisila. Nawet się trochę ucieszyła, bo to znaczyło, że nie zostanie całkiem sama z Inikiem. Nocne rojenia zdecydowanie różniły się od rzeczywistości.

Przywitała się z Bisilą, serdecznie całując ją w oba policzki. Pochwaliła w duchu jej jaskrawą suknię marszczoną pod biustem, tak samo pomarańczową jak zakrywająca głowę chusta zwinięta w afrykański turban.

Wsiedli do białego land-rovera. Iniko wyjaśnił, że wprawdzie dwie główne szosy na wyspie – jedna wiodąca na wschód, do Luby, a druga na zachód, do Riaby – były wyasfaltowane, jednakże reszta dróg pozostawiała wiele do życzenia: kierowca co parę kilometrów natykał się na roboty, szlabany, wyboje i objazdy pylistymi albo błotnistymi ścieżkami, trudnymi do pokonania bez napędu na cztery koła. Zwłaszcza południowa część Bioko stanowiła wyzwanie, nie tylko ze względu na brak ludzkich osiedli, ale także przez ukształtowanie terenu, szczególnie uciążliwe w porze deszczowej.

A właśnie mieli porę deszczową. Dzień zresztą wstał chmurny i burzowy. Delikatna mgła spowijała wulkan Basilé, u którego stóp rozciągało się Malabo. Po przyjeździe na wyspę Clarence szczęśliwie trafiła na kilka rzadkich w kwietniu, pogodnych i upalnych dni. Tego ranka było jednak chłodniej niż zwykle i zanosilo się na deszcz.

Wyjrzała przez okno i pomodliła się w duchu, by oszczędzone jej zostało chociaż doświadczenie huraganu.

Iniko pospieszył z zapewnieniem:

– Będziemy jechali przez dobrze znane tereny. Wyspa jest mała, przez większość czasu łatwo się w razie czego gdzieś schronić.

– Doskonale. Dokąd zajrzemy najpierw? – spytała Clarence, zakładając, że ich pierwszym przystankiem będzie Sampaka.

– Pomyślałem, że okrążymy wyspę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Zaczniemy od Reboli.

– O! Sądziłam, że ze względu na bliskość przede wszystkim zajrzemy do Sampaki.

– Cóż, jeśli ci to nie przeszkadza, plantację zostawimy sobie na koniec. – Iniko obrócił się nieco w jej stronę. – Wcześniej wolałabym odwiedzić pozostałe miejsca. Zresztą mama nie lubi wizyt w Sampace.

Clarence spojrzała na Bisilę, która siedziała obok niej na fotelu z tyłu i przyglądała się jej w milczeniu. Trudno było orzec, czy to przywidzenia, czy starsza pani faktycznie analizuje każdy jej ruch, jak gdyby wypatrując jakiegoś znanego sobie gestu. Miała niesłychanie przenikliwy wzrok, a w świetle dnia wydawała się jeszcze piękniejsza. Teraz uśmiechnęła się nieśmiało, jakby czekając na zatwierdzenie zmian w trasie wycieczki.

– Pewnie, że mi nie przeszkadza – rzuciła Clarence, odpowiadając jej uśmiechem.

Bardzo chciała się dowiedzieć o Bisili czegoś więcej, jednakże chwila nie sprzyjała zadawaniu pytań.

W miarę jak oddalali się od miasta ku wschodowi, zostawiali też z tyłu wulkan, który skojarzył się Clarence z Pasolobino, ponieważ nad jej rodzinną doliną również wznosił się szczyt widoczny ze wszystkich sąsiednich miasteczek. Także krajobraz przywodził na myśl tamte górskie okolice, tyle że na Bioko roślinność była dużo bardziej zielona i, przede wszystkim, bujna.

– Basilé naprawdę robi wrażenie – szepnęła Clarence, zwracając się do Bisili.

Starsza pani skinęła głową.

– To najwyższy szczyt na wyspie, wygasły wulkan – wyjaśniła. – W pogodne dni widać z niego całą wyspę. Ostatni wybuch miał miejsce w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku.

– Co za niesłychana rzecz, taka erupcja wulkanu – powiedziała w zamyśleniu Clarence. – Wyobrażam to sobie jako nagły zryw namiętności. Przez jakiś czas nic się nie dzieje, przynajmniej na pozór... Nikt niczego nie podejrzewa... – Zdała sobie sprawę, że mówi odrobinę zbyt poważnym tonem, i natychmiast się roześmiała. – Cóż, nic dziwnego, że takie wulkaniczne tereny są wyjątkowo urodzajne. Tak się przynajmniej uważa, prawda?

Iniko popatrzył na nią we wstecznym lusterku, a ona znów się pod tym spojrzeniem zarumieniła.

– Podoba mi się twoja wizja – oświadczył. – Ma bardzo wiele wspólnego z naszą rzeczywistością. We wszystkich jej aspektach.

– Nie obraż się – odparowała z ironią – ale sądziłam, że Bubi cieszy się opinią niezwykle spokojnych.

– Dopóki nie wybuchną... – uśmiechnął się przewrotnie Iniko.

Bisila odkaszlnęła, albowiem konwersacja zmierzała w dziwnym kierunku.

– Wiesz, że szczyt, o którym rozmawiamy, ma pięć nazw?

– Słyszałam o dwóch: Basilé i Santa Isabel. Ojciec i stryj zawsze używali tej drugiej. A inne?

– W języku bubi ta góra nazywa się Öwassa – odrzekła Bisila. – Nigeryjczycy znali ją jako Big Pico, a Brytyjczycy jako Clarence Peak.

– No, proszę! – zakpił Iniko. – Wulkan Clarence! Nie obraż się, ale mnie osobiście wydajesz się niezwykle spokojna...

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Nawet Bisila stopniowo się rozluźniała. Gawędzili niezobowiązująco aż do Reboli, miasteczka złożonego z niskich domków o czerwonych i brązowych dachach, położonego na zboczu niewielkiego pagórka, u stóp prześlicznego katolickiego kościoła. Iniko poszedł z kimś porozmawiać, a Clarence i Bisila wybrały się na spacer po wąskich uliczkach, którymi zawędrowały na samą górę. Rozciągał się stąd wspaniały widok na zatokę Malabo. Clarence po raz pierwszy została z Bisilą sam na sam i, jeśli odrzuciła tematy związane z przeszłością, nie bardzo wiedziała, o czym z matką Inika rozmawiać.

– Zdziwiał mnie to połączenie katolickich jak w Hiszpanii kościołów ze wszechobecnym kultem duchów...

Bisila wyjaśniła jej pokrótce, dlaczego katolicyzm tak się na wyspie przyjął. Clarence słuchała, zdumiona podobieństwami między kosmogonią Bubich a tą, o której uczyła się od dzieciństwa.

– Różnice nie są wielkie – ciągnęła Bisila. – Nasz *Mmò* odpowiada waszemu Duchowi Świętemu, Bisila Matce Boskiej, nasze *bahulá abé* to wasze złe duchy czy raczej demony, z kolei *bahulá* to anioły...

– Niby tak, ale wy uchodźcie przecież za znacznie bardziej przesądnych. Wszędzie macie amulety, zwierzęce kości, muszle i pióra...

Bisila popatrzyła na nią z rozbawieniem.

– A czym to się różni od waszych relikwii, świętych kości, obrazków i medalików...?

Clarence nie potrafiła zbić tego argumentu, toteż od razu zapytała, dlaczego Bubi tak bardzo czczą duchy zmarłych. Bisila zaczęła tłumaczyć, że świat składa się nie tylko ze sfery materialnej, ale także z niematerialnej, zamieszkannej właśnie przez duchy. Te czyste, zwane *bahulá*, odpowiedzialne są za prawa fizyczne rządzące materią. Natomiast ludzkimi duszami zajmują się *baribò*, czyli duchy przywódców różnych rodów składających się na plemię Bubi. Widząc, że Clarence nie rozumie i marszczy czoło, Bisila powiedziała:

– Weźmy na przykład mnie. Bóg stworzył moją duszę, jednakże odstąpił ją lub sprzedał mojemu *morimò*, czyli duchowi jednego z moich przodków, który chroni ją pod warunkiem, że oddaję mu cześć. A ja, jako kolejna spadkobierczyni swojej rodziny, dokładam starań, żeby odpowiednio czcić zarówno swojego ducha-opiekuna, jak i innych swoich przodków, prosząc ich o opiekę nad moimi bliskimi, tu, na ziemi, i później.

– To znaczy... po śmierci.

– Zabrzmiało to tak, jakby śmierć była czymś strasznym.

– Bo jest straszna.

– Nie dla mnie. Kiedy stąd odchodzimy, nasza dusza opuszcza martwe ciało i przenosi się po prostu do lepszego świata. I właśnie po to, by się po drodze nie zgubiła, nie zabłąkała i nie zmieniła w złego ducha, trzeba odprawić rytuały pogrzebowe, a i później pamiętać o swoich wobec niej obowiązkach.

Clarence usiłowała to wszystko jakoś przetrwać. Potrafiła zrozumieć, że ktoś żywi szacunek względem swoich przodków, jednakże wiara w duchy wydawała jej się nieco dziecinna.

– Dlatego – rzuciła, starając się zachować neutralny wyraz twarzy, by nie urazić uczuć Bisili – pani zdaniem zapewne nie da się wykluczyć, że tu i teraz krążą wokół nas jakieś dusze, być może szukając drogi.

– Jeśli ich rodziny zaniedbały swoich powinności – przytaknęła z przekonaniem Bisila – to oczywiście.

Clarence w zadumie powiodła spojrzeniem po widocznych w dole czerwonych dachach miasteczka, po czym utkwiała wzrok w zachwycającym bezkresie morza. Słaby wietrzyk zakołysał liśćmi palm. Bisila potarła ramiona, jakby zdjęta chłodem.

Nagle coś wybiegło na drogę i raptem zamarło. Clarence krzyknęła. Instynktownie chwyciła za rękę Bisilę, która nie zdradzała najmniejszych oznak strachu.

– Co to takiego? – zawołała Clarence.

Bisila się roześmiała.

– To tylko jaszczurka, Clarence. Nie bój się.

– Jaszczurka? Chyba jakiś jaszczur albo kolorowy krokodyl – mruknęła Clarence, obserwując wielkie, zielono-czerwono-żółte stworzenie.

– Zaraz sobie pójdzie.

Gad wszakże nie miał takich zamiarów. Z wolna kręcąc głową osadzoną na krótkiej, pomarszczonej szyi, z ciekawością przypatrywał się obu kobietom – to jednej, to drugiej. Wreszcie zdecydował się na Clarence i gwałtownie ku niej skoczył. Dziewczyna

opanovała odruch ucieczki i przygotowała się do wymierzenia jaszczurce kopniaka, jednakże stwór wcale nie planował ataku. Zatrzymał się kilka centymetrów przed nią i, jak gdyby ogarnięty nagłym szaleństwem, jął się kręcić dookoła, próbując ugryźć się w ogon. Próbował i próbował, aż w końcu mu się udało. Wtedy przystanął, spojrzał na kobiety, najpierw na jedną, a potem na drugą, następnie wypuścił ogon z zębów, parokrotnie okrążył Clarence i znikł tak samo błyskawicznie, jak się pojawił.

Oślupiała Clarence odwróciła się ku Bisili i stwierdziła, że matka Inika zakrywa sobie usta dłonią. Wydawała się skrajnie zdumiona.

– Czy one zawsze tak robią?

Bisila pokręciła głową.

– To znak – oświadczyła z powagą. – Coś się wydarzy. I to już niedługo...

Clarence zadrżała. Na szczęście z tyłu odezwał się znajomy głos.

– Wszystko załatwione! – zawołał Iniko, ale widząc wyraz twarzy Clarence, zaraz dodał: – Ducha zobaczyłaś? Czemu jesteś taka przestraszona?

– Biedna Clarence – pospieszyła z odpowiedzią Bisila. – Rozmawialiśmy o religii i chyba ją trochę przytłoczyły te wszystkie opowieści o zmarłych.

– Dobrze, że mamy południe! – zażartował jej syn. – Po nocy to i ja w takich razach umieram ze strachu... – To mówiąc, zastąpił Clarence drogę i, podczas gdy jego matka szła dalej w stronę samochodu, powiedział: – Chyba mam coś na twoje lęki.

Podniósł ręce do szyi i odwiązał rzemyk, na którym wisiała muszla. Potem stanął za Clarence i otoczył ją ramionami, by założyć jej wisiorek.

Clarence poczuła jego dłonie na swojej skórze i znów zadrżała, tylko teraz z przyjemności.

Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

– Dziękuję – rzuciła. – Ale... Kto teraz będzie chronił ciebie?

– Mam dwie opcje – szepnął. – Mogę kupić sobie nowy amulet na pierwszym lepszym straganie albo trzymać się blisko ciebie, żeby ten chronił nas oboje.

Clarence pochyliła głowę.

Dokładnie w tym momencie poczuła, że prawdziwe Bioko i wyobrażone Fernando Poo zaczynają być dla niej tym samym.

X. STRAŻNIK WYPY

I co teraz? – spytała Clarence, patrząc na prostą mapę, na której krzyżykiem zaznaczyła ostatnią miejscowość.

– Czyżbyś się bała, że się zgubisz? – zakpił Iniko.

Bisila dostrzegła, że dziewczyna się rumieni. Nie trzeba było specjalnego geniuszu, by zauważyć, że wymieniane przez tę dwójkę uwagi coraz częściej nabierają podwójnego znaczenia.

– Mam w Baneyu rodzinę – wyjaśniła Bisila. – Od czasu do czasu spędzam u nich parę dni.

Poprzednim razem widziała się z nimi ledwie dwa tygodnie wcześniej. Dlatego Iniko trochę się zdziwił, gdy go poprosiła, by przy okazji wyprawy z Clarence znów ją tam zawiózł. Nie przywiązywał jednak do tego szczególnej wagi. Bisila przygryzła dolną wargę. Gdyby znał jej prawdziwe motywy... Usłyszała, że jej syn coś mówi, a Clarence wybucha śmiechem. Wesoła dziewczyna, podobna w tym do ojca...

Do Jacoba.

Od jak dawna o nim nie myślała? Od ponad trzydziestu lat. Zdołała całkowicie wymazać go z pamięci, aż do chwili, kiedy Clarence w czasie kolacji wymówiła jego imię. Od tego momentu widziała go w jej gestach, rysach, oczach... Zezłościła się na duchy, że obudziły w niej uspione wspomnienia. Tak. Bardzo się zezłościła. Ale po dłuższym namyśle zaczęła wszystko rozumieć.

Musiała przyznać, że duchy były niezwykle sprytne. Od początku – a właściwie końca – wiedziała, że prędzej czy później wszystko nabierze sensu, że doczesne cierpienie rozplynie się w wiecznej uldze. Znaki świadczące o tym, że ta chwila się zbliża, rzucały się w oczy. Clarence przyjechała na Bioko, a jaszczurka odtańczyła przed nią swój taniec.

Cykl się domykał.

– Dojeżdżamy – rzucił Iniko.

Clarence popatrzyła przez okno. Gęsta roślinność ustąpiła niewyasyfaltowanym uliczkom, przy których stały niewielkie, najwyżej jednopiętrowe domki, podobne do tych na obrzeżach Malabo. Iniko wjechał na samą górę i zobaczyli obłążący z czerwonego tynku kościół. Miał bardzo wysoką dzwonnice, pokrytą grzybem fasadę z wielkim krzyżem oraz szerokie schody pod dwoma łukami. Iniko musiał kilka razy zatrąbić, żeby przepłoszyć chmarę bawiących się na środku ulicy dzieciaków w kolorowych koszulkach i plastikowych sandałach.

Clarence wszystkie te dzieci wydały się bardzo ładne, zwłaszcza dziewczynki, w swoich jasnych sukieneczkach, z włosami splecionymi pracowicie w kunsztowne warkoczyki i zebranymi w koczki. Kiedy samochód stanął przed jednym z domów, kilkoro maluchów podbiegło, by się przywitać. Bisila zaraz weszła do budynku, a Clarence z Inikiem zostali jeszcze chwilę na zewnątrz. Dzieciaki z ciekawością przyglądały się białej kobiecie, czasem nieśmiało jej dotykając, a ona bardzo się

martwiła, że nic dla nich nie ma. Przejrzała zawartość plecaka i postanowiła dać im trochę drobnych z portfela. Ledwie wręczyła monety paru zachwyconym malcom, gdy Iniko warknął:

- Co ty wyprawiasz?
- Rozdaję drobne.
- To widzę, ślepy nie jestem. Ale dlaczego to robisz?
- Nic innego nie mam.
- Nie powinnaś. Widzisz? Po prostu nie potrafisz inaczej.

Jego ton zaczynał Clarence irytować.

- Czego nie potrafię inaczej?
- Nie potrafisz zachowywać się inaczej niż typowa, paternalistycznie nastawiona turystka...

– Ja w dzieciństwie bardzo lubiłam, jak mi ktoś dawał takie drobne – broniła się zdenerwowana Clarence, starając się jednak nie podnosić głosu, żeby dzieciaki nic nie zauważyły. – Spójrz na ich buzie! Naprawdę uważasz, że robię im jakąś krzywdę?

– W Baneyu mieszka dwa tysiące ludzi – rzucił z sarkazmem Iniko. – Jak wieść się rozniesie, zostaniesz bez niczego.

Po tych słowach wszedł do domu. Clarence stała jeszcze przez chwilę na dworze, rozdrażniona otrzymaną reprimendą. Nie przywykła do krytyki... Cóż, amulet chyba nie bardzo ją chronił! Postanowiła zignorować całe zajście i ruszyła do środka.

Na wieść, że wśród gości jest Europejka, którą można wypytać o jej kraj, siostry Bisili, Amanda i Jovita – obie, podobnie jak matka Inika, z włosami zebranymi do tyłu ładną chusteczką – ze zwykłego rodzinnego spotkania zrobiły prawdziwą ucztę. Clarence nie mogła pojąć, jak to możliwe, że przy prostokątnym stole nakrytym kwiecistą ceratą zmieściło się jakieś siedemnaście osób – szwagrów Bisili, jej siostrzenic i siostrzeńców, ich mężów i żon, i dzieci. Wszyscy zaczęli się wkrótce raczyć kurczakiem w manioku, doradą w sosie z awokado i warzywnym *bōka'ó*, znanym już Clarence z kolacji u Bisili. Potrawy były pyszne, ale najbardziej smakował jej deser: kruche kokosowe ciasteczka i orzeźwiający napój z imbiru i ananasa.

Pogrążeni w rozmowie nie zauważyli, że niebo zaciąga się chmurami i że nadchodzi tropikalna ulewa, która zresztą minęła tak samo szybko, jak się rozpętała.

Clarence wyszła na ganek na papierosa. Iniko nie odzywał się do niej przez cały posiłek. Jego strata, pomyślała. Nie podobało jej się, że zinterpretował jej niewinny, spontaniczny gest w sposób pasujący raczej do ich pierwszego spotkania w Sampace, a przecież zdążył ją już lepiej poznać. Wyglądało na to, że ich relacja rozpięta jest między wzajemnym przyciąganiem a nieustannie nawracającym konfliktem. W jednej chwili wygłupiali się jak dwoje nastolatków, by w następnej odkryć, że są sobie jednak obcy, i znów na siebie napadać. No, dobrze – napadał głównie on. Bała się teraz, że przez tę kłótnię nici z wycieczki, bo Iniko postanowi wracać do Malabo. To by była wielka szkoda. Dobrze chociaż, że piękno krajobrazu podnosiło trochę na duchu.

Skupiła się na wspaniałym widoku na pas morza oddzielający wyspę od kontynentu. Na godzinę się przejaśniło i w oddali ukazała się majestatyczna góra Kamerun. Stopniowo jednak chmury znów spowiły jej czubek, zasłaniając go niby kurtyna.

– Pięknie, prawda? – Bisila podeszła do barierki, o którą opierała się Clarence.

– To jest... – Clarence szukała odpowiednich słów, by wyrazić swój zachwyt. – To jest aż nieprawdopodobne. Nic dziwnego, że mój ojciec zakochał się w tej wyspie.

Bisila zacisnęła wargi.

– Pewnie wiele ci opowiadał o swoim życiu tutaj – mruknęła ze wzrokiem wciąż wbitym w horyzont.

Clarence przypatrywała się jej profilowi. Coś w tej kobiecie wyjątkowo jej się podobało. Jej niepokojąco jasne oczy i stanowcze usta zdradzały inteligencję, siłę i determinację, choć fizycznie Bisila była raczej drobna i krucha. Laha i Iniko powtarzali, że jest odpowiedzialna, pracowita i wesoła, jednakże na Clarence nieustannie robiła wrażenie smutnej i wrażliwej. Być może życie przytłumiło nieco jej radość.

– Obawiam się, że rodzice nigdy nie mówią dzieciom wszystkiego...

Bisila spojrzała na nią z ukosa. Clarence uznała, że analizuje jej rysy, i przypomniała sobie Mamę Sade. Ileż tamta mogła mieć lat? Pewnie trochę więcej niż matka Inika. Jakże inaczej ona, Clarence, zareagowałaby, gdyby o jej ojcu napomknęła Bisila!

– Wie pani, co mi się ostatnio przydarzyło? – spytała. – Może Iniko pani opowiadał?

– Bisila pokręciła głową, toteż Clarence nabrała odwagi, by ciągnąć: – W pewnej restauracji dopadła mnie niejaka Mama Sade. Upierała się, że kogoś jej przypominam: mężczyznę, którego znała wiele lat temu. – Zmusiła się do uśmiechu. – To głupie, ale przez chwilę pomyślałam, że może ona faktycznie znała mojego ojca...

Zawiesiła głos. Na twarzy Bisili nie było zdziwienia.

– Mama Sade miała w życiu do czynienia z wieloma ludźmi.

– Czyli pani też wie, o kogo chodzi...

Bisila przytaknęła.

– A dlaczego tak się przejęłaś tym, że mogła znać twojego ojca?

– No bo...

Clarence zawahała się, lecz jakiś wewnętrzny głos zachęcał ją do szczerości. Czemu nie przyznać się wreszcie głośno do prawdziwych powodów swojego przyjazdu na wyspę? Już otwierała usta, gdy jej przeszkodzono.

– A! Tu jesteście! Clarence, będziemy już jechać – oświadczył Iniko, nie patrząc jej w oczy. – Chciałbym dotrzeć do Ureki przed zmrokiem.

Wróciły więc za nim do środka. Amanda i Jovita zmusiły ich do przyjęcia kilku zawiniątek z jedzeniem oraz torebki pełnej kokosowych ciasteczek, które tak smakowały Clarence. Znów otoczyły ją dzieci, jeszcze liczniej niż przedtem. Ta biała kobieta była sensacją dnia, a prawdopodobnie i roku.

Tuż przed odjazdem Clarence zwróciła uwagę, że wzrok Bisili uporczywie wraca do prostego wisiora, który podarował jej Iniko. Nie potrafiła odgadnąć, czy to spojrzenie wyraża konsternację ewentualnymi implikacjami tego faktu, czy po prostu widok muszli coś Bisili przypomina. Przy pożegnaniu oczy starszej pani napełniły się łzami, które nie zdążyły jeszcze spłynąć na policzki, gdy Bisila uściśnęła Clarence tak mocno, jakby miały się już nigdy więcej nie spotkać.

W aucie Clarence nadal o niej myślała. Żałowała, że nie odważyła się zadać jej więcej pytań. Ogromna większość Gwinejek w jej wieku nie miała żadnego

wykształcenia, przygotowana wyłącznie do wypełniania tradycyjnie kobiecych obowiązków: opieki nad domem, gotowania, pracy na plantacji i rodzenia dzieci. Niekiedy dochodziło do tego prowadzenie straganu na targu. Co więcej, z tego, co opowiadały Rihéka, Melania i Börihi, wynikało, że sytuacja niewiele się zmieniła, choć konstytucja teoretycznie chroniła kobiety i stawiała je na równi z mężczyznami, dając wszystkim takie same prawa i obowiązki. W praktyce, podobno, respektowano wyłącznie część dotyczącą obowiązków.

A jednak Bisila zdobyła niezależność i zaczęła naukę jeszcze za czasów kolonialnych. Clarence nie wiedziała, ile mogła wtedy zarabiać kobieta, ale zakładała, że niedużo. Poza tym Bisila nie miała nikogo do pomocy. Jak w takich warunkach, całkiem sama, zdołała wychować dwóch synów?

– O czym tak myślisz? Bo coś się nie odzywasz... – Iniko przejawiał zainteresowanie jej stanem ducha po raz pierwszy od zajścia z dziećmi z Baneyu.

Białe linie znaczące krawędź wąskiej asfaltowej szosy wiły się wśród zieleni.

– Myślałam o twojej matce – odrzekła Clarence. – Chciałabym się czegoś o niej dowiedzieć. Wydała mi się niezwykłą kobietą.

– A czego konkretnie chciałabyś się dowiedzieć? – spytał Iniko miłym, pojednawczym tonem, który Clarence potraktowała jako przeprosiny za niedawną scenę.

– Cóż... Dlaczego nie mieszka w Baneyu, z rodziną? Skąd się wzięła w Malabo? Jak zdobyła wykształcenie? Ile razy wyszła za męża? Kim był twój ojciec? Kim był ojciec Lahy? Jak wyglądało twoje życie w Sampace?

– Spokojnie, spokojnie! – przerwał jej, udając oszołomienie. – Trochę tego za dużo!

– Przykro mi, sam pytałeś, co chcę wiedzieć. – Przez moment bała się, że przesadziła z dociekliwością, ale Iniko nie wyglądał na zirytowanego.

– Matka – zaczął – pracowała w Sampace jako pomocnica pielęgniarki, wyszła za człowieka z plantacji i urodziła mnie. Ojciec zginął w wypadku, a my przenieśliśmy się do Malabo. W pewnym momencie musiała związać się z jakimś mężczyzną, bo na świat przyszedł Laha, ale ja nic o tym nie wiem. Nigdy nie chciała na ten temat rozmawiać, a my nie nalegaliśmy. Z dzieciństwa w Sampace pamiętam niewiele, szkołę i baraki Nigeryjczyków, gdzie zajmowała się mną sąsiadka. Potem przez wiele lat mieszkałem z babcią. Wolałem to od życia na plantacji, bo czułem się wolny...

Clarence przypomniała sobie nagle fragmenty listu, w którym była mowa o pielęgniarce opiekującej się Antonem na łożu śmierci. Dłonie zwilżające czoło dziadka stały się znienacka dłońmi Bisili.

Czy to możliwe?

Przez chwilę jechali w milczeniu, zamyśleni. Iniko prowadził ze wzrokiem wbitym przed siebie, głową wspartą na dłoni i łokciem wystawionym za okno.

– A co się stało później?

– Kiedy: później?

– Po wyzwoleniu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. Dlaczego pozwolili twojej matce zostać? Przecież wydalili z kraju wielu Bubich i Nigeryjczyków, prawda?

– Cóż, matka najwyraźniej wydawała się politycznie niezbyt groźna. Poza tym znała

się na medycynie lepiej niż niejeden lekarz, więc była raczej przydatna...

Przerwał, a na jego twarzy odmalował się wyraz powściąganej wściekłości, wywołanej – jak założyła Clarence – przez wspomnienie straszliwych prześladowań, którym poddany został jego lud po dojściu do władzy dyktatora Macíasasa. Żałowała, że swoim pytaniem pogorszyła mu nastrój. Położyła mu dłoń na udzie i postanowiła skupić się na pejzażu. Iniko, wyraźnie wdzięczny, przykrył jej dłoń prawą ręką, lewą przytrzymując kierownicę.

Zostawili z tyłu niewielką Riabę – znaną za kolonii jako Concepción, teraz zaś schodzącą ku morzu ruinami podupadłych rezydencji, niemal całkiem pochłoniętych przez wybujałą roślinność, oraz prowizorycznych, jednopiętrowych baraków – i skierowali się na południe.

– Co znaczy „Iniko”? – spytała Clarence po dłuższej chwili. – To twoje jedyne imię? Myślałam, że macie tutaj jedno gwinejskie i jedno hiszpańskie.

– Chodzi ci o coś w stylu Iniko Luis?

Parsknęła śmiechem.

– Tak, o coś w tym stylu.

– Cóż, ja mam tylko takie, zresztą nigeryjskie. Ksiądz w szkole zawsze nam powtarzał, że z naszymi imionami Bóg nas nie rozpozna i pójdziemy prosto do piekła. Ja się jakoś nie bałem i reagowałem tylko wtedy, gdy wołał mnie moim prawdziwym imieniem, więc w końcu się poddał.

– I co ono znaczy?

– „Urodzony w ciężkich czasach”.

– Bardzo stosownie... Do epoki, w której się urodziłeś, z tym przejściem od kolonii do niepodległości i w ogóle... Ze wszystkim, co cię spotkało...

– Gdybym nazywał się inaczej, pewnie spotkałoby mnie to samo. Imię nie ma aż takiej mocy.

– Owszem, ale nadaje doświadczeniom inny wymiar. Czyni cię szczególnym.

– Cóż, w moim aucie siedzą zatem dwie bardzo szczególne osoby: Clarence, imienniczka miasta i wulkanu zarazem – jego głos stał się znowu miękki i ciepły – oraz Iniko, człowiek urodzony w ciężkich czasach... Czego należy się spodziewać po takim zestawieniu?

Choć spojrział na nią tylko przelotnie, Clarence i tak zorientowała się w intensywności tego spojrzenia. Poczuła, że pod resztkami kremu przeciwsłonecznego, którym smarowała się przez cały dzień, jej policzki płoną na samą myśl o możliwym rozwoju sytuacji. Musiała wykorzystać ten magiczny moment, póki trwał, uchwycić się – zanim pęknie – tej cienkiej nici, którą niewidzialny pajak uprzął wokół nich dwojga.

– Tak – odparła znaczącym tonem. – Czego należy się spodziewać po zestawieniu wulkanu z wojownikiem z plemienia Bubi?

Ognia, czystego ognia, pomyślała.

Wydało jej się nagle, że dżungla wokół, bujna i gęsta, jak gdyby umilkła. Gdzie się podział cały ten rejwach, towarzyszący im w trakcie dotychczasowej podróży? Poczuła się tak, jakby ktoś ją z ukrycia podpatrywał. Po raz kolejny, z ulgą, przypomniała sobie, że, w odróżnieniu od części kontynentalnej, na wyspie nie ma dzikich zwierząt takich

jak słonie czy lwy – były jedynie mały – lecz i tak podobny spokój sprawiał wrażenie podejrzanego. Zbliżał się zmierzch. Iniko, jakby czytając jej w myślach, rzucił:

– Niedługo będziemy w Urece.

Na dźwięk tej nazwy Clarence poczuła nowy przypływ nadziei. A może jednak ich wycieczka miała przynieść rezultaty? Może ktoś tam pamiętał Jacoba?

Land-rover wjechał na wąską gruntową drogę i Clarence odniosła wrażenie, że powoli zostawiają za sobą ostatnie ślady cywilizacji. Terenowy samochód z trudem pokonywał nieoznaczoną trasę. Kilka kilometrów dalej zobaczyli prowizoryczny szlaban.

– To punkt kontroli – oznajmił lekko spięty Iniko. – Nic nie mów, dobrze? Mnie tu znają. To potrwa chwilę.

Clarence skinęła głową.

Z bliska stwierdziła, że „szlaban” składa się w istocie z dwóch ustawionych po bokach drogi kanistrów, na których leżał pień bambusa. Iniko zatrzymał samochód, wysiadł i bez specjalnego entuzjazmu pozdrowił dwóch policjantów. Umundurowani mężczyźni spojrzeli kilka razy w stronę auta i z powagą zadali parę pytań. Clarence, przeczuwając, że coś idzie nie tak jak trzeba, od razu się zdenerwowała. Iniko kręcił głową, a jeden z policjantów zdawał się grozić mu palcem. Clarence postanowiła więc zignorować wcześniejsze ustalenia, wzięła dokumenty i parę banknotów z portfela, po czym wysiadła.

– Dobry wieczór – powiedziała grzecznie, nieśmiało się uśmiechając. – Jakiś problem?

Iniko skrzywił się z irytacją i posłał nieposłusznej dziewczynie pełne wyrzutu spojrzenie.

Grubszy z policjantów, wyraźnie w złym humorze, podszedł do Clarence i, zmierzyszy ją wzrokiem od stóp do głów, zażądał od niej dokumentów. Podała je, a on zaczął wszystkie specjalnie wolno i dokładnie oglądać. Potem wrócił do kolegi, skonsultował się z nim, by wreszcie, pochrzäkując, oddać papiery właścicielce. Minęła chwila, podczas której nic się nie działo. Clarence, pamiętając, w jaki sposób Laha uratował ją przed policją koło katedry, wyciągnęła do grubego dłoń z banknotami i szybko, żeby nie zauważył jej zdenerwowania, ucisnęła jego rękę. Policjant błyskawicznie przeliczył otrzymane pieniądze i, ku uldze Clarence, zrobił zadowoloną minę. Skinął na kolegę i tamten ruszył w stronę „szlabanu”.

Już w samochodzie trochę spokojniejszy Iniko zapytał:

– Można wiedzieć, kto cię wtajemniczył w tutejsze zwyczaje?

Clarence wzruszyła ramionami.

– Laha – odrzekła z uśmiechem satysfakcji na ustach. – Jak widzisz, szybko się uczę.

Iniko potrząsnął głową.

– Ten Laha... On z pewnością nosi właściwe imię.

– Tak?

– Laha to nasz bóg muzyki i pozytywnych uczuć. Więc pierwsze imię mojego brata oznacza człowieka o dobrym sercu.

– Piękne.

– Na pewno piękniejsze od drugiego. Bo po hiszpańsku Laha nazywa się Fernando.

– Zatrzymaj się!

Iniko gwałtownie zahamował. Clarence otworzył drzwi, wyskoczyła z samochodu i oparła się o karoserię. Była oszołomiona. Podniosła ręce do czoła i potarła skronie. W jej głowie raz po raz rozbrzmiewało jedno i to samo zdanie: „Po hiszpańsku Laha nazywa się Fernando!”.

Wszystko nagle zaczęło układać się w całość: słowa Julii, która wspomniała o jakimś Fernandzie, nieco starszym niż ona, Clarence, i urodzonym w Sampace, luki w biografii Bisili, fakt, że mieszkała ona na plantacji, brzęk filiżanki stłuczonej przy nazwie „Pasolobino”, kwiaty na cmentarzu... Czy to możliwe? Laha był Mulatem i nazywał się Fernando! A jeśli...? A jeśli...?

Iniko położył jej dłoń na ramieniu, sprawiając, że nerwowo podskoczyła.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, Iniko, przepraszam, ja... – szukała jakiegoś wiarygodnego usprawiedliwienia. – Trochę mnie zemdliło. To pewnie przez upał i te kłopoty z policjantami. Nie jestem przyzwyczajona...

Iniko skinął głową.

Rzeczywiście wciąż było gorąco, ale Clarence potarła ramiona, jakby nagle przejęta chłodem. Spojrzała na Inika, który obserwował ją ze zmarszczonymi brwiami. A gdyby zwierzyła mu się ze swoich podejrzeń? Potrząsnęła głową. Co by osiągnęła, informując go, że wedle jej ostatnich ustaleń istnieje niewielka możliwość, iż mają wspólnego brata? Czy w imię pochopnych wniosków wysnutych na podstawie wątplych przesłanek chciała pozbawić się szansy na spędzenie z nim kilku cudownych dni? Od jak dawna nie pozwalała sobie na choćby odrobinę nierozwagi? Zresztą, czyż nie rozsądniej było poczekać do Ureki?

Otworzyła oczy, a on tam stał – tuż przed nią, na lekko rozstawionych nogach, z rękoma skrzyżowanymi na muskularnej, twardej jak kamień piersi, oczy miał lekko przymrużone, spojrzenie ciepłe i pełne cierpliwości.

– Już mi lepiej – oświadczyła z głębokim westchnieniem. – Jeśli chcesz, możemy jechać.

Ostatni etap podróży zdominowała nieustanna walka między potężnym silnikiem terenówki a wdzierającą się na drogę roślinnością.

– To zupełnie ustronie też musisz odwiedzać w sprawach zawodowych? – spytała Clarence, porządnie już wytrzęsiona na wybojach.

– Tutaj zaglądam rzadko – przyznał Iniko. – Raczej dla przyjemności niż z obowiązku.

– A kiedy byłeś tu po raz ostatni?

Nie chciała wyjść na zazdrośnicę, ale po głowie kołatało jej się pytanie: „Czy przywiozłeś tu też Melanię?”.

– Nie pamiętam – uśmiechnął się w odpowiedzi. – Po prostu mam ochotę pokazać ci pewne miejsce. Potraktuj to jako prezent.

Zatrzymał auto na maleńkiej polance, z której widać było kilka domów.

– Teraz będziemy musieli kawałek zejść, żeby dostać się na plażę Moraka. Ale

zapewniam cię, że wysiłek się opłaci.

Najpierw szło się w dół łagodnego, porośniętego kakaowcami zbocza, potem ścieżką przez gęsty las ogromnych drzew, których korzenie wystawały ponad grunt i sprawiały, że Clarence nieustannie się potykała. Po jakimś czasie usłyszeli huk fal i w zieleni otworzyło się wielkie okno, ukazujące widok nie do opisania.

U ich stóp ziała niemal stumetrowa przepaść, od której kręciło się w głowie. Iniko skręcił na wąską, stromą i krętą ścieżynkę, właściwie przyklejoną do klifu, a Clarence nie bez lęku ruszyła za nim. Raz po raz zawadzała stopami o służące za stopnie głazy i drewniane bale, narażając się na kpiny Inika, który w obliczu takiego niedołęstwa podawał w wątpliwość jej związek z górami. Gdy stanęli na dole, obejrzała się i stwierdziła, że nigdy w życiu nie wdrapie się z powrotem.

O ile wdrapywanie się z powrotem wchodziło jeszcze w rachubę...

Albowiem gdy popatrzyła przed siebie, otworzyła usta i oniemiała. Wysiłek rzeczywiście się opłacił. Oto zmaterializowały się przed nią wszelkie wcześniejsze wyobrażenia rajów.

Przed jej oczami rozpościerał się najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek miała okazję oglądać. Plaża była długa i wąska, pokryta czarnym piaskiem i – przy brzegu – wodą o niesłychanej przejrzystości. Koło miejsca, gdzie urywała się ścieżka, którą zeszli, sporych rozmiarów wodospad wpadał do krystalicznego jeziora – tak kończyła bieg rzeka Eola: swoje unicestwienie zamieniając w czyste pięknio.

Tchnęło nim wszystko wokół. Rozrzucone po piasku nieregularne skały, łagodnie obmywane przez fale, wchodziły głęboko w morze. Tam gdzie kończyła się plaża, błękit wody i zieleni dżungli zwierzały się w pokojowych zapasach.

– I jak? – spytał Iniko, uszczęśliwiony miną Clarence.

– Mój ojciec, choć nie ma w sobie nic z poety, zawsze się chwali, że dane mu było poznać dwa ziemskie raje: naszą dolinę i tę wyspę. Całkiem słusznie. To jest raj!

Iniko zdjął buty i gestem zaproponował Clarence to samo. Potem wziął ją za rękę i ruszyli wzdłuż plaży.

– Co rok w listopadzie albo grudniu tysiące wielkich żółwi morskich kończą tu swoją wyprawę przez Atlantyk. Większość się tutaj urodziła i wraca, by złożyć jaja. Wychodzą z wody na suchy piasek, składają jaja i zagrzebują je. Potem niektóre wracają do wody, inne umierają z wyczerpania, jeszcze inne padają ofiarą kłusowników, którzy się tu na nie zaczajają, mimo że to gatunek objęty ochroną. Odwracają je brzuchem do góry, wiedząc, że nie będą mogły wstać, po czym je zabijają. – Objął Clarence i przyciągnął ją do siebie. – Myśląc o tych żółwiach, wlokących się resztką sił po brzegu, zawsze myślę o swoich rodakach, którzy stąd wyjechali i nie mogli wrócić, i tych, którzy wrócili, ale doświadczyli tu przemocy, i wreszcie tych, którzy wbrew wszystkiemu, często z sukcesem, usiłują wychowywać tu dzieci.

Clarence nie wiedziała, co na to odrzec.

Spacerowali przez dłuższą chwilę, wreszcie przystanęli przed ogromnym głazem pokrytym mchem i zamieszkanym przez drobne ptaszki, wznoszącym się jak naturalny menhir na wysokość ponad trzydziestu metrów. Z jego czubka tryskał niewielki wodospad.

– To strażnik wyspy – wyjaśnił Iniko. – Czuwa przede wszystkim nad Ureką.

Wsunął dłoń do kieszeni spodni i wydobyl stamtąd garść jakichś nasion wymieszanych z płatkami kwiatów, i, mrużąc coś pod nosem, złożył to wszystko u stóp głązu.

– Co robisz?

– Składam ofiarę.

– Mogłeś mi powiedzieć. Coś bym przywiozła.

Iniko poszperał w kieszeni i wyjął jeszcze trochę ziarenek.

– To wystarczy.

Clarence pochylała się i rozsypała je przy skale, prosząc o pomoc nie tylko w rozwiązaniu zagadki, która przywiodła ją na Bioko, lecz również we wszystkich innych sprawach. Skrzywiła się: dużo oczekiwała w zamian za tak skromny datek.

– Nie chciałbyś wiedzieć, o co poprosiłam?

Iniko się uśmiechnął.

– Pewnie o to samo co ja: żeby nasiona wykiełkowały.

Skinęła głową. Iniko wziął ją pod ramię i w milczeniu poprowadził z powrotem.

Zatrzymali się nad jeziorkiem utworzonym przez spadającą w formie wodospadu Eolę. Iniko, nie zdejmując ubrania, zanurzył się w wodzie z rozłożonymi ramionami i zwróconymi ku górze dłońmi. Clarence z przyjemnością obserwowała, jak krople – będące częścią naturalnego, nieodwracalnego, lecz zarazem cyklicznego ruchu – rozbijają się o jego skórę. A wtedy on zwrócił się ku niej i gestem zaprosił ją, by poszła w jego ślady.

Uczyniła to więc i pozwoliła, by otoczył ją swoimi ogromnymi ramionami. Nie przestając na nią patrzeć, bardzo powoli ją do siebie przyciągnął, aż w końcu ukrył twarz w jej włosach, a ona poczuła, że serce bije jej jak szalone. Słyszała jego oddech tuż przy swoim uchu i dygotała na całym ciele. Słyszała, że on zaciąga się jej zapachem, delikatnie przytykając wargi do jej mokrej skóry i sunąc językiem po szyi i ramieniu, a później z powrotem do ucha i dalej – do skroni.

Stała nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, napawając się intensywnością tej chwili, kiedy nie istniało nic poza dwoma przyciśniętymi do siebie ciałami i szumem wodospadu. Nigdy wcześniej nie miała okazji wcielić podobnej fantazji w życie. A Iniko tymczasem smakował ją, Clarence, powoli, jak gdyby była ostatnim słodkim kęsem, jakiego mógł się spodziewać na długie lata. Leciutko się o nią ocierał i przesuwiał opuszkami palców po jej ramionach, obejmujących jego szerokie plecy, jakby bał się jej dotknąć mocniej; wodził swoimi mięsistymi wargami po jej policzkach; wdychał zapach włosów; opierał się uchem o jej czoło; wpatrywał się w twarz... I znów zaczynał, od początku, bardzo powoli, przez co pragnęła go jeszcze gwałtowniej.

Później, nie odrywając od niej spojrzenia, delikatnie rozpiął jej koszulę. Oddech Clarence przyspieszył, a po ciele przebiegły jej ciarki. Iniko po raz kolejny ją objął, znowu przytknął usta do jej szyi, by w końcu nieśmiało ześlizgnąć się ku sutkom, które pod wpływem gorąca i wilgoci jego warg natychmiast stwardniały.

Pozwalała mu na wszystko. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio jakiś mężczyzna dotykał jej tak umiejętnie i tak doskonale kontrolował własne pragnienie.

Wciąż bardzo powoli przyłożył wargi do jej ust i pocałował ją, ssąc miękko, z rękoma zaciśniętymi wokół jej talii. Clarence, chcąc zaczerpnąć powietrza, rozchyliła usta, a wtedy on kilka razy delikatnie ją ugryzł, po czym wsunął do środka język.

Stali tak blisko siebie, że, mimo szumu spadającej wody, słyszała szybkie bicie jego serca. Powiodła palcami po jego barkach i plecach, by wsunąć dłonie pod mokrą koszulkę.

Iniko minimalnie się odsunął i zdjął ją, odsłaniając nagi tors. Clarence przyjrzała się mu, upewniając się, że to, co wcześniej wyczuły jej palce, było prawdą: napiętą od mięśni skórę w wielu miejscach znaczyły blizny nadające Inikowi wygląd ponacinanego rytualnie wojownika. Nie komentując tego ani słowem, pogładziła zabliznione rany dłońmi, a potem je pocałowała.

Podobnie jak on wcześniej lizał jej sutki, tak ona teraz pochylała się ku jego piersi, podczas gdy twarde palce głaskały jej szyję i bawiły się włosami, rozplatając warkocz. Później Iniko zdecydowanym ruchem wziął jej twarz w swoje dłonie, uniósł i znów pocałował Clarence w usta, tym razem mocniej, a ona poczuła, jak zalewa ją fala podniecenia, i odpowiedziała na jego pocałunki z nietypową dla siebie zachłannością.

Iniko całował jej wargi, czoło, uszy, szyję... Słyszała, jak dyszy. Szeptem zaproponował, by położyli się na piasku, i już po chwili ich oddechy zlały się ze szmerem fal, które lizały brzeg, by wycofywać się leniwie, wracać i wycofywać się znowu.

Clarence nie potrafiła przestać go dotykać, jakby jej palce pragnęły dokładnie go zapamiętać i przechować tę pamięć na czasy, gdy go nie będzie, już w Pasolobino. W Pasolobino zawsze panował chłód. I nie było piasku. Ani nagich ciał na brzegu morza. Ta chwila z Inikiem miała się wkrótce stać jednym z najpiękniejszych wspomnień jej życia. Chwila, gdy ona, Clarence, dygocąc na całym ciele, z niecierpliwości wyginała się w łuk. W krótkim przebłysku rozsądku pomyślała, że, być może, spotka jeszcze kogoś, z kim spędzi resztę życia. Wątpiła jednak, by cokolwiek mogło przebić tę nagłą, dziwną bliskość, która połączyła ją teraz z Inikiem. Bez żadnych obietnic. Bez zastrzeżeń. Bliskość tajemniczą, całkiem niezależną od kulturowych i geograficznych barier. Odnosiła wrażenie, że odtąd zawsze gdy usłyszy słowo „Afryka”, będzie widzieć przed sobą przystojną twarz i smutny uśmiech Inika.

On zachowywał się tak, jakby czuł to samo.

Oboje mieli od tej pory żyć ze świadomością, że gdzieś daleko chodzi po świecie ktoś, kto oszołomił to drugie swoim zapachem, zwilżył swoim potem, nasycił swoim ciałem. Spotkali się zresztą w bardzo szczególnym momencie: gdy każde z nich przekroczyło już próg dojrzałości, droga przebyta przez jedno i drugie była całkiem długa, a ta do przebycia – kto to mógł wiedzieć?

Kiedy szli z powrotem w stronę wioski, Clarence przystanęła na chwilę na krawędzi klifu. Morze rozpościerało się przed nią w całej swojej krasie, idealnie okrągły księżyc widoczny w ramie z palmowych liści połyskiwał na wodzie tysiącem srebrnych refleksów.

Zdawało jej się, że spędziła w tym miejscu całą wieczność. Czowała się spokojna i rozluźniona. A potem znienacka ogarnęła ją fala osamotnienia. Nie wiedziała, o co

chodzi, ale zaczynała mieć wrażenie, że Iniko próbuje zawładnąć jej ciałem i duszą. Jak gdyby mówił: „Pamiętaj”. „Pamiętaj te nazwy i te miejsca. Pamiętaj mnie. Wróć do swojego kraju, nie zapominając o tym śladzie, który w tobie zostawiłem”. Pod wodospadem w jego oczach, oprócz pragnienia, malowało się też chyba coś w rodzaju urazy. „Pamiętaj, że przez kilka dni byłaś moja”.

– Coś zamilkłaś, Clarence – przerwał jej dumania Iniko. – Zadyszałaś się? Czy w Pasolobino wszystko jest płaskie?

– Nie mogę uwierzyć, że byłam w takim miejscu! – odpowiedziała Clarence wesoło, by nie zorientował się w jej dziwnym stanie ducha.

Iniko pogłaskał ją po włosach.

– Od tej pory – mruknął – nazwa „Hiszpania” będzie mi się kojarzyła inaczej niż dotąd. Bo będzie mi się kojarzyła z tobą.

Clarence przymknęła powieki.

– To samo będzie ze mną, gdy usłyszę nazwę tej wyspy. O której, notabene, wspomina się u mnie w domu bardzo często. – Westchnęła i ruszyła dalej. – Więc właściwie jestem skazana na to, by o tobie pamiętać...

Wrócili do samochodu, wyciągnęli z bagażnika plecaki i zagłębili się między domki Ureki, kryte bambusem i palmowymi liśćmi, otoczone czymś w rodzaju żywopłotu i zbudowane na palach dla ochrony przed skutkami deszczu.

Domków tych było koło trzydziestu – stały wzdłuż uliczki z ubitej ziemi, pośród drzew i słupów, z których zwisały czaszki małp i antylop oraz szkielety węży, mające odpędzać złe duchy. To miejsce przez ostatnie dekady niewiele się zmieniło. Gdyby Jacobo i Kilian tu teraz zawitali, najprawdopodobniej doświadczyliby powrotu do przeszłości. Ureka nie miała nic wspólnego ze stolicą wyspy ani z jej północną częścią.

Na jednym z krańców uliczki wznosił się budynek bez ścian. Kilka osób rozpoznało Inika i pozdrowiło go uniesieniem dłoni.

– Co to za budowla? – spytała Clarence.

– To Dom Plemienny. Miejsce bardzo ważne w naszej tradycji. Tam się zbieramy i opowiadamy sobie różne historie, dyskutujemy o problemach życia codziennego i rozstrzygamy konflikty. Wszystko, co wiem o swoim ludzie, usłyszałem w Domu Plemiennym. A tak swoją drogą... – Pomachał w kierunku zbliżających się osób. – Teraz i ty będziesz częścią opowieści snutych we wszystkich tych miasteczkach i wioskach, które odwiedziliśmy.

– Naprawdę? – Clarence zerknęła na niego z ciekawością. – A właściwie dlaczego? Bo jestem biała?

– Biali nie stanowią dla nas aż takiej sensacji, jak wam się wydaje. Przejdziesz do historii jako „narzeczona Inika”. Choćbyś natychmiast wyjechała. – Uśmiechnął się złośliwie. – Już nic na to nie poradzisz.

Odwrócił się i ruszył miejscowym na spotkanie. Przywitali się z wylewną serdecznością, wymienili kilka zdań, a potem jedna z kobiet wskazała jakiś dom.

– Chodź, Clarence – zawołał Iniko. – Zostawimy rzeczy w „hotelu”.

Clarence uniosła brwi, zaintrygowana i rozbawiona. Wszedłszy do domku, aż gwizdnęła ze zdumienia.

Pokój był niezwykle romantyczny i przytulny mimo polepy zamiast podłogi i braku większości domowych sprzętów. Ułożony na środku krąg z kamieni oznaczał miejsce przeznaczone pod palenisko. Nieopodal znajdowało się sporych rozmiarów posłanie umoszczone na przypominającym łożko szkielecie z bambusa. Ponadto na niewielkim stoliku ktoś postawił misę z niezwykle apetycznymi owocami.

– Tu będziemy spali – oświadczył Iniko, odkładając plecak na ziemię. – Teraz czeka nas kolacja z przewodniczącym wioski. Już pora. Będą wszyscy.

Clarence poczuła niepokój. A więc miała poznać tutejszych mieszkańców? Czyż nie jest to doskonała okazja, by wypytać o ewentualnych przyjaciół ojca?

Podążyła więc za Inikiem do Domu Plemiennego, który powoli zapełniał się ludźmi, zdenerwowana i pełna oczekiwań.

Przewodniczący miał na imię Dimas. Był surowym, niskim mężczyzną o szpakowatych, zmierzwionych włosach i bardzo wyrazistych rysach. Dwie głębokie zmarszczki biegły po jego policzkach od szerokiego nosa do grubych mięsistych warg. Po sposobie, w jaki powitał Inika, Clarence poznała, że tak samo jak większość mieszkańców Ureki bardzo wysoko go ceni.

Usiedli na ziemi, w szerokim kręgu. Clarence razem z Inikiem zajęła honorowe miejsce naprzeciwko Dimasa. Niektórzy mężczyźni obrzucali ją zaciekawionymi spojrzeniami, wokół przykucnęło kilkoro zaintrygowanych dzieci. Nie ulegało wątpliwości, że tego wieczoru to ona będzie w centrum uwagi, i faktycznie, podczas kolacji – bardzo zresztą obfitej, złożonej z ryb, smażonych bananów, manioku i pieczonych krążków owocu drzewa chlebowego – musiała odpowiadać na mnóstwo pytań dotyczących życia w Hiszpanii. Mężczyźni słuchali wygodnie usadowieni, podczas gdy kobiety krążyły z naczyniami pełnymi jedzenia i picia – przede wszystkim picia – usiłując odpędzać dzieciaki, które kręciły się koło białej i smakowitych potraw. Gdy w sposób nieunikniony wypłynął temat śniegu i nart, Clarence, po części z zaskoczenia wesołością zebranych, po części zaś pod wpływem wina palmowego, którego właśnie spróbowała po raz pierwszy w życiu, poddała się ogólnemu rozbawieniu.

– Dlaczego ten alkohol jest taki mocny? – spytała. Oczy jej łzawiły, gardło ją piekło.

Siedzący obok Dimasa mężczyzna imieniem Gabriel, mniej więcej w jego wieku, ale tak chudy, że widać mu było wszystkie kości, odrzekł:

– Wytwarzamy go tradycyjnymi metodami. Za pomocą specjalnych uprząży z lian wspinamy się na palmy, obcinamy szypułki męskich kwiatów – wykonał płaski ruch dłonią – i zbieramy sok do tykw albo butelek. Potem odstawiamy go na kilka dni, żeby nabrał mocy – wyciągnął ręce ku ziemi, dłońmi do spodu – bardzo, bardzo powoli. Tak. Sok potrzebuje czasu, żeby nabrać mocy.

– Zupełnie jak my, Bubi – wtrącił Iniko i wszyscy się roześmiali, kiwając głowami.

Skończyli jeść i Dimas spoważniał. Reszta umilkła, a on zaczął opowiadać po hiszpańsku historię swojej wioski. Clarence pomyślała, że każdy tutaj zna tę opowieść doskonale, jednakże nikt nie przejawiał zniecierpliwienia. Przeciwnie, zebrani słuchali w skupieniu o tym, jak to tysiące lat wcześniej pierwsi Bubi przybyli na wyspę, jak różne plemiona walczyły o najlepsze ziemie, jak bohatercko poczynali sobie kolejni królowie, jak położenie Ureki stało się jej szczęściem w czasach handlu niewolnikami i

w końcu jak pojawili się kolonizatorzy, jak się im opierano, a później z nimi współżyto.

Dimas uroczyście wymieniał imiona królów:

– Mölambo, Löriíte, Löpóa, Möadyabitá, Sëpaókó, Möókata, A Löbari, Óríityé...

Clarence przymknęła oczy, przenosząc się w epokę niewolnictwa, a potem walk między Bubimi a Hiszpanami, poprzedzających całkowitą pacyfikację plemienia.

– Kolonizatorzy pozbawili nas królów – szepnął Iniko – ale tylko w wymiarze praktycznym, nie symbolicznym. Osobiście poznałem Francisca Malaba Beösá. Był kimś w rodzaju naszego duchowego ojca. Urodził się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku i wyobraź sobie, że umarł dopiero dwa lata temu, w wieku stu pięciu lat.

– No co ty! – odszepnęła Clarence. – W kontekście tutejszych statystyk to tak, jakby przeżył ponad dwa życia...

– A teraz słuchaj – Iniko wszedł jej w słowo. – Za chwilę będzie mój ulubiony kawałek, o Esásim Eweerze.

I Dimas faktycznie opowiedział historię zaufanego człowieka króla Moki, Esaasiego Eweery, zdecydowanego, odważnego młodzieńca, który proklamował się królem najpierw w Riabie, a potem w Malabo, i tak nienawidził kolonizatorów, że zaciekle tępił nie tylko przybyszy z zewnątrz, próbujących zajmować ziemie uprawne na wyspie, ale również swoich ziomków, jeśli sprzyjali białym. Ostatecznie został schwytyany przez wojsko kolonialne i osadzony w Black Beach wraz ze swoimi ludźmi oraz żonami, które torturowano i gwałcono na jego oczach. W końcu ogłosił strajk głodowy.

Wszyscy milczeli, gdy Dimas kończył swoją opowieść, mówiąc, że wedle kolonizatorów Esási Eweera nawrócił się, ochrzcił i spoczął w grobie jako Pablo Sas-Ebuera, podczas gdy zgodnie z wersją Bubich został przez kolonialne władze zamordowany, a następnie pochowany w głębi wyspy, w Moce, tyle że przynajmniej w pozycji siedzącej, tak jak zwykle się wśród Bubich grzebać królów.

Uporawszy się z historią plemienia, Dimas przeszedł do własnego życiorysu. Iniko szepnął ironicznie:

– Teraz będzie nam opowiadał, jak dobrze się żyło za Hiszpanów.

I rzeczywiście, Dimas z nostalgią wspominał Santa Isabel z czasów swojej młodości: wygodny domek, gdzie mieszkał z żoną i dziećmi; pieniądze, które zarabiał jako nadzorca *batas*, czyli robotników, na plantacji kakao zwanej Constancia, pozwalające mu nawet na to, by kupić sobie niewielki samochód i posłać dzieci do szkoły. Clarence kątem oka obserwowała Inika, który siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę. Dało się zauważyć, że ta część opowieści bynajmniej mu się nie podoba.

Gdy Dimas umilkł na moment, by pociągnąć łyk wina z czarki, Clarence skorzystała z okazji i wtrąciła:

– A ta plantacja... Constancia... Daleko było stamtąd do Sampaki?

– O, nie, bardzo blisko. Nie zaglądałem tam zbyt często, ale ludzi znałem. Na przykład takiego lekarza – przymknął powieki – Manuela. Dobry był z niego człowiek. Raz mi pomógł. Potem w ramach wdzięczności też oddałem mu przysługę. Ciekawe, co się z nim stało...

Serce podskoczyło Clarence w piersi. Lekarz imieniem Manuel? Wiek Dimasa by się zgadzał. O jaką przysługę mogło chodzić? Czyżby o przesyłanie pieniędzy? Ale do tej

zapadłej wioski? Bez sensu...

– Wie pan może, czy ten Manuel miał żonę, Julię?

Dimas, zaskoczony, natychmiast otworzył oczy.

– Tak, tak się nazywała. Była córką don Emilia... – Zawahał się. – Czy to możliwe, że ich znasz?

– Manuel niedawno umarł. A Julię znam bardzo dobrze... – Clarence usiłowała opanować podniecenie. – Mieszkali na wyspie w tym samym czasie co mój ojciec, Jacobo, i mój stryj Kilian. – Wpatrywała się w Dimasa, lecz nie wychwyciła żadnej zmiany w wyrazie jego twarzy. – Nie wiem, czy pan ich pamięta...

Dimas potrząsnął głową, mrużąc coś pod nosem.

– Imiona brzmią znajomo – odrzekł – ale twarze się pozacierały. Mogłem ich spotkać, mogłem, tyle że to już tak wiele lat...

Clarence postanowiła posunąć się jeszcze o krok dalej. Musiała wiedzieć, czy istnieje jakakolwiek szansa, że Dimas należał do grona tajemniczych przyjaciół z Ureki, przez których jej ojciec wysyłał komuś pieniądze. Komu? I dlaczego?

– I mówi pan, że Manuel panu pomógł, a pan później mu się odwdzieczył...?

Dimas potarł czoło, jakby chciał uspokoić kłębiące się pod czaszką wspomnienia z tamtych lat.

– To były ciężkie czasy, dla wszystkich, dla czarnych i dla białych...

– Biali wsadzili do więzienia twojego brata – wtrącił zniecierpliwiony Iniko, wyraźnie zirytowany jego tonem. – Zamknęli go w Black Beach i torturowali.

Dimas najpierw skinął głową, a następnie nią pokręcił.

– To nie biali go zabili. Zabił go Macías. To on zlikwidował wszystkich, którzy mieli jakikolwiek majątek. A tych, którzy uniknęli śmierci, zrujnował. Tak jak na przykład mnie. Ale to nie to samo.

– Macías dostał władzę od białych – upierał się Iniko.

– A Gwinea dostała od nich niepodległość – rzuciła Clarence pospiesznie, czekając na sposobność, by wrócić do najbardziej interesującego ją tematu. – Czy nie tego chcieliście? Żeby Hiszpania zostawiła was w spokoju?

– Mnie nikt żadnej niepodległości nie dawał – odburknął Iniko, nie podnosząc na Clarence oczu. – Ja jestem Bubi. Bubi mieszkali na tej wyspie, zanim pojawił się tu ktokolwiek inny, zanim przez fatalny przypadek przybił tu pierwszy statek. Przed nami nie było tu nikogo: ani Portugalczyków, ani Anglików, ani Hiszpanów, ani Fangów. A jednak Hiszpanie, kiedy wobec nacisków ONZ nie mieli już innego wyboru, niż przyznać Gwinei niepodległość, zrobili to tak, jak zrobili: dali władzę paranoicznemu Fangowi, pod genialnym pretekstem zjednoczenia narodu. Jak gdyby dało się pogodzić dzień z nocą! – Powiódł wzrokiem po zebranych i podniósł głos. – Tymczasem Bioko i Mbini są... No, dobrze, były do niedawna dwoma całkowicie różnymi światami zamieszkanymi przez osobne grupy etniczne. Tradycje Bubich są inne od tradycji Fangów. – Wreszcie popatrzył na Clarence, a ona stwierdziła, że oczy połyskują mu wściekłością. – Wcześniej się dowiedziałaś, w jaki sposób my, Bubi, wytwarzamy wino palmowe. Wspinamy się na drzewa i zbieramy sok. A wiesz, jak to robią Fangowie? – Nie czekał na reakcję. – Po prostu ścinają palmę... Tak, Clarence, twoi rodacy zmusili nas do

zaakceptowania sztucznego tworu w postaci jednej Gwinei, doskonale świadomi, że to nie zadziała, po czym jeszcze się skarżyli, że sprawiamy kłopoty. Bo co się stało? Słyszałaś, co mówił Dimas. On przynajmniej miał to szczęście, że mógł się schronić tutaj, z dala od wszystkiego...

Starsi mężczyźni kiwali głowami na znak zgody. Clarence zacisnęła usta, zirytowana zarówno niefortuną z jej punktu widzenia zmianą tematu, jak i samym tonem Inika. Gdy tylko schodzili na kwestie polityczne, jego stosunek do niej ulegał diametralnej zmianie. Najgorsze jednak było to, że teraz nie mogła już przepytwać Dimasa bez wzbudzania podejrzeń.

– Masz rację, Iniko – odezwał się łagodnie Gabriel – ale przemawiają przez ciebie emocje. Tamto nie wróci. Kiedyś było kakao, obecnie jest ropa.

– Przeklęte surowce! – wybuchnął Iniko. – Szkoda, że Bioko to nie pustynia. Wtedy nikt by się nami nie interesował.

Clarence zmarszczyła brwi i pociągnęła jeszcze łyk wina. Jak miała komuś takiemu tłumaczyć, że się myli, że właśnie surowce potrafią wiele zmienić. Przecież sama pamiętała dawne, biedne Pasolobino – drogi bez asfaltu, ciągłe przerwy w dostawach prądu i wody, zwisające ze ścian kable, odrapane domy i, rzecz jasna, problemy z dostaniem się do lekarza. Pamiętała szlachtowanie świń, dojenie krów, zastawianie pułapek na ptaki, polowanie na kozice, czyszczenie obór, grabienie siana, zwierzęce odchody na rozdeptywanych przez bydło ulicach i błoto pokrywające drogi.

Kiedy miała dziesięć lat – czyli nie tak znowu dawno – każdy Europejczyk z dowolnego kraju począwszy od sąsiedniej Francji i każdy Amerykanin, który obejrzałby Pasolobino choćby na ilustracjach, uznałby zapewne, że to jakieś średniowiecze. Przez niecałe czterdzieści lat Hiszpania przeszła ewolucję, dzięki której takie trudno dostępne zakątki jak Pasolobino przekształciły się w małe turystyczne raje. Może i Bioko po prostu potrzebowało czasu.

– Nie zgadzam się, Iniko – zaczęła. – W moich stronach dzięki temu, że mamy tyle śniegu, poprawiła się sytuacja wielu osób...

– Błagam! – przerwał jej z gniewem w głosie. – Bez takich porównań! Tutaj mamy bogactwa, skorumpowaną władzę i masy żyjące w nędzy. Nie sądzę, żebyś wiedziała, o czym mówisz.

Posłała mu twarde spojrzenie, ze względu na gospodarzy powściągając ostrą replikę. Nie przywykła, by zwracano się do niej takim tonem i by z taką pogardą kwestionowano jej przekonania. Na szczęście mieszkańcy Ureki nie zwracali specjalnej uwagi na jej reakcje, zajęci – jak o tym świadczył narastający szmer rozmów – komentowaniem poruszonych ostatnio tematów. Iniko przez chwilę wytrzymał jej wzrok, po czym, marszcząc brwi, jakby z czegoś zrezygnował, schylił się do leżącego obok plecaka. Clarence w milczeniu piła wino. Alkohol zdawał się wypalać jej dziury w żołądku, niemniej hamował ochotę, by wstać i sobie pójść.

Po kilku minutach Dimas podniósł rękę i wszyscy ucichli.

– Widzę, że masz ze sobą papiery, Iniko. Wynikło coś nowego?

– Tak. Rząd przygotowuje nową ustawę o własności ziemi. Przywiozłem wzór podania, żeby każdy mógł zarejestrować – to, co ma – na swoje nazwisko.

– Po co? – zapytał albinos o bystrych oczach.

Clarence przyglądała mu się z zaciekawieniem. Połączenie typowo murzyńskich rysów z białą skórą dawało dziwny efekt. Interesująca międzyrasowa fuzja, pomyślała Clarence.

– Las nie należy do nikogo, to człowiek należy do lasu. Nie potrzebujemy żadnych dokumentów, by wiedzieć, co jest nasze.

Kilku mężczyzn przytaknęło.

– Mówisz jak Fang. – Iniko ostrzegawczo uniósł palec. – Przez takie myślenie wiele rodzin straci prawo do terenów posiadanych od setek lat.

– Od wieków w tych kwestiach liczyło się słowo właściciela – powiedział Dimas. – Słowo jest święte.

– Nie w naszych czasach, Dimasie. Teraz trzeba mieć papiery. Nowe prawo zgodnie z afrykańskim zwyczajem zasadniczo odrzuca możliwość prywatnego posiadania ziemi i sprzyja raczej dzierżawie. Jednakże zawiera klauzulę dotyczącą tradycyjnych form dziedziczenia. Rząd obiecuje, że nikt was nie będzie niepokoił na terenach, które od pokoleń wykorzystujecie w celach rolniczych albo mieszkaniowych. To już coś. Gdyby mój dziadek przedstawił po odejściu Hiszpanów plany zagospodarowania majątku, może mógłby go zatrzymać. Ale tego nie zrobił. Hiszpanie nie mogli przekazać mu prawa własności, bo formalnie nie byli właścicielami tego terenu, mogli mu jednak przekazać koncesję na jego eksploatację. Chcę, żeby wasze dzieci miały szansę uzyskać taką koncesję. Żeby potem ktoś nie przyszedł i nie zabrał im waszej ziemi.

Rozległ się szmer. Clarence zauważyła, że większość zgromadzonych kiwa głowami. W oddali dały się słyszeć jakieś śpiewy.

– Dziękujemy, Iniko. Przemyślimy to, co powiedziałeś, i wrócimy do tej rozmowy, jak znów tu przyjedziesz. A teraz pora na tańce. Gadamy już bardzo długo, a nie chcielibyśmy, żeby nasz gość się znudził.

Clarence bardzo się ucieszyła. Pod wpływem wina palmowego zaczynała się robić senna. Zresztą dzień był długi i pełen wrażeń. Różne nauki, jakich udzielał jej Iniko, oraz jego nieustanne zmiany nastroju trochę ją dezorientowały i męczyły. Z jednej strony czuła się wyróżniona tym, że miała szansę zwiedzić tyle niezwykłych, mało dostępnych miejsc – i to w towarzystwie mężczyzny, który ją bardzo pociągał; z drugiej jednak żałowała, że ich relację zakłóca wspomnienie wydarzeń, w których przecież nie uczestniczyła, i że Iniko chyba nie potrafi patrzeć na nią inaczej niż przez pryzmat narodowej przynależności. Czy zachowywałby się tak samo, gdyby była, na przykład, Australijką? Może wtedy jego podświadomość nie reagowałaby tak gwałtownie przy każdej wzmiance o koloniach.

Teraz akurat trącił ją łokciem, wskazując coś z przodu. Podniosła głowę i trochę oszołomiona, lekko zmaconym wzrokiem patrzyła na grupkę kobiet wykonujących jakiś prosty taniec. Tancerki ubrane były w trawiaste spódniczki, naszyjniki z muszelek i podzwaniające na nadgarstkach i kostkach bransolety z amuletami. Piersi miały odsłonięte, twarze pomalowane w białe wzory, a włosy zebrane w cienkie warkoczyki. Część trzymała w dłoniach drewniane dzwoneczki, wydające dźwięk niski i tak samo monotonny jak chór głosów, które towarzyszyły śpiewowi solistki; inne uderzały o

ziemię kijami, wszystkie zaś tupały głośno, poruszając się w tańcu niezbyt skomplikowanym, lecz nie mniej przez to przejmującym. Po krótkiej chwili Clarence złapała się na tym, że nuci im do wtóru. Nie rozumiała słów pieśni, ale nie miało to żadnego znaczenia, albowiem mimo alkoholu i wyczerpania odbierała jej przekaz z całą jasnością: chodziło o wspólnotę łączącą wszystkich od zarania dziejów, wspólnotę ziemi i historii, wspólnotę ludzkiego losu. Tradycyjne przedstawienie sprowadzało odwieczny cykl do najbardziej bezpośredniego „teraz”, które już kiedyś było i znów miało się powtórzyć.

Gdy taniec dobiegł końca, Clarence poczuła się spokojna, wzmocniona i rozluźniona. Siedzący obok Iniko dopił swoje wino. Obserwowała go, próbując się z nim telepatycznie skomunikować. Jak go przekonać, że łączy ich więcej, niż mu się zdaje? Sama odnosiła wrażenie, że – dzięki językowi hiszpańskiemu, tradycji katolickiej i słuchanym w dzieciństwie kołysankom – bliżej jej do niego niż do jakiegoś, na przykład, Holendra. Jak wykorzenić z niego tę urazę? Jak mu wytłumaczyć, że taki resentyment nie jest dobry, bo kończy się obwinianiem tych, którzy winy nie ponoszą? Jak go przekonać, że zamiast walczyć o dawno przegraną sprawę, lepiej skupić się na odzyskiwaniu równowagi? Że czasem trzeba lat, by wzburzone wody odnalazły właściwe koryto?

Iniko przeciągnął się leniwie, jak gdyby popisując się swoją niezwykłą posturą, po czym pochylił się ku niej i z ujmującym uśmiechem na mięsistych wargach poszukał wzrokiem jej spojrzenia.

– Mógłbym tu zostać na długie tygodnie... Nie chciałabyś kąpać się co rano w wodospadzie?

Zadrzała na samo wspomnienie spędzonych tam chwil. Najwyraźniej Iniko znów wszedł w fazę emanowania nieodpartym czarem.

– Kuszące, owszem, ale ja też mam swój mały raj. W Pasolobino... A poza tym co z resztą wyspy, z San Carlos czy też, po waszemu, Lubą, z jej wygasłym wulkanem, z tą cudowną, białą plażą Aleñá, z której rybacy wyruszają na Wyspę Papug? Co z Batete i tamtejszym drewnianym kościołem? Nie chciałabyś mi tego wszystkiego pokazać? Jak możesz oczekiwać, że zrezygnuję z połowy najlepszej wycieczki w życiu?

– Teraz jakoś ci to wynagrodzę, a jeśli kiedyś jeszcze wrócisz na Bioko, to zabiorę cię i w tamte miejsca.

Rzuciła mu łobuzerskie spojrzenie.

– Zgoda – oświadczyła, po czym dodała, z nadzieją, że Iniko wychwyci podwójne znaczenie jej słów: – Tak czy owak, nie sądzę, żeby coś dorównało Morace.

– Poczekaj, a się przekonasz.

Przymknęła oczy, czując na plecach przyjemny dreszcz.

– Chodziło mi o to, że przecież w końcu zobaczysz Sampakę. – Iniko dostrzegł jej rumieniec i znacząco zamilkł. – A co myślałaś? Że każę ci też zrezygnować z wizyty w miejscu, gdzie się poznaliśmy? – Wstał i podał jej rękę, pomagając dźwignąć się na nogi. – Wiesz co, Clarence? Było po prostu niemożliwe, żebyś po przyjeździe na wyspę zamiast mnie czy Lahy spotkała innych ludzi. Duchy tak chciały. A z nimi nie wygrasz. Muszą mieć jakiś powód.

Clarence przypomniała sobie, że zastanawiała się już, czemu ostatecznie spodobał jej się Iniko, a nie Laha. Może duchy maczały palce także i w tym.

Zaczęło padać.

Słowa Inika zrobiły na niej dziwne wrażenie.

Jak gdyby coś w jej wnętrzu głęboko się z nimi zgadzało.

– Pamiętasz, jak wtedy na ciebie wpadłem? – To było zaledwie trzy tygodnie wcześniej, ale Clarence miała wrażenie, że od tamtej pory minęła cała wieczność. – Jak cię wziąłem za nowo zatrudnioną sekretarkę?

Zaśmiała się.

– Tak! Nie ukrywam, że napędziłeś mi stracha.

– Mam nadzieję, że już się otrząsnęłaś.

– Hm. Nie do końca. W Sampace i potem u swojej matki wydałeś mi się ponury i zamknięty w sobie. – Zwrócił się ku niej zaskoczony. – Tak – potwierdziła. – Ba, uznałam, że najwyraźniej nic ci się nie podoba. Już zapomniałeś? Później, w czasie kolacji, matka powiedziała ci coś w waszym języku i dopiero wtedy zacząłeś zachowywać się inaczej. – Iniko skinął głową. – Co ci powiedziała?

– Prostą rzecz. Żebym cię nie osądzał, zanim cię nie poznam.

– Naprawdę mądra rada. Bo patrz, jak się wszystko zmieniło. Za rządów króla Eweery groziłoby ci osądzenie o sympatyzowanie z białymi.

Iniko wybuchnął śmiechem, po czym rzucił:

– Za rządów króla Eweery *tobie* groziłoby osądzenie o próbę zawładnięcia Bubim. – Zatrzymał auto przed zardzewiałą bramą z resztkami czerwonej farby i przyspawanym napisem SA-PAK-, od którego odpadły dwie litery. – A skoro jesteś taka mądra, tyle czytałaś i specjalizujesz się w nazwach własnych... Wiesz, co znaczy „Sampaka”?

Clarence zastanawiała się przez chwilę. Plantacja powstała w pobliżu miasteczka zwanego Saragossą...

– Przypuszczam, że to oryginalna nazwa sąsiedniego miasteczka.

Iniko uśmiechnął się z wyższością.

– To skrócona wersja imienia i nazwiska jednego z pierwszych wyzwolonych Murzynów, którzy pojawili się w porcie Clarence, jeszcze za Brytyjczyków. Ten Murzyn nazywał się Samuel Parker, co najpierw zamieniło się w „Sam Parker”, a potem było wymawiane jako „Sampaka”.

Clarence popatrzyła na niego z uwagą.

– Skąd to wiesz?

Iniko wzruszył ramionami.

– Pewnie ze szkoły. A może z czasów, kiedy pracowałem tu jako fizyczny? Nie pamiętam. To co? Wjeżdżamy?

– Jeszcze jedno pytanie. Ciekawi mnie, czy czujesz jakąś nostalgię w związku z latami spędzonymi na plantacji.

Iniko zamyślił się na chwilę.

– Dzieciństwo miałem szczęśliwe, ale potem, kiedy musiałem wrócić, praca okazała się ciężka i nudna. Chyba czuję jakąś mieszaną obojętności i bliskości...

Clarence zwróciła wzrok ku majestatycznym palmom, których pnie pomalowano na

biało do wysokości niemal dwóch metrów. Poszczególne drzewa dzieliła odległość zaledwie metra. Razem tworzyły podwójny szpaler rozdzielony gruntową drogą i zbiegający się gdzieś w oddali: zapraszały do środka, by następnie zamknąć się za plecami gościa.

– Przypadek zrządził, że moi bliscy pracowali akurat tutaj, a nie w Timbabé, Bombe, Bahó, Tuplapli czy Sipopo. Fajnie to brzmiało, jak ktoś wymawiał te nazwy tysiące kilometrów stąd, kiedy byłam dzieckiem. Dzisiaj nie pada i wszystko dobrze widzę, i czuję się trochę tak, jakbym wkraczała do zaczarowanego zamku z bajek słuchanych w dzieciństwie.

– Nie wiem, czego się spodziewasz, Clarence, ale rzeczywistość jest tu raczej... Skromna, żeby nie wyrazić się mocniej.

– Widzisz te palmy? – Clarence machnęła ręką. – Mężczyźni z mojej rodziny sadzili niektóre z nich. To daje mi poczucie dumy i jakoś mnie pociesza. Mój ojciec i stryj starzeją się i pochylają do ziemi, a te palmy wciąż rosną, proste jak struny... – Potrząsnęła głową. – Pewnie dla ciebie to głupstwo, ale dla mnie bynajmniej. Kiedyś wszystko zniknie i nie zostanie nikt, kto mógłby opowiedzieć kolejnym pokoleniom historię o palmach na śniegu. – Przypomniała sobie drzewo genealogiczne swojej rodziny i przeszedł ją ten sam dreszcz, który poczuła w dniu, kiedy znalazła wśród listów tajemniczą notkę i postanowiła zadzwonić do Julii. – Nikt poza mną. I wtedy ja będę opowiadać.

Czy opowiesz też o tym, co podejrzewasz, ale czego wciąż nie wiesz? Takie pytanie przebiegło jej przez myśl, uświadamiając zarazem, jak szybko zamknął się nawias obejmujący czas, kiedy pozwoiliła sobie nie myśleć o swoim domniemanym bracie.

Iniko uruchomił samochód i wjechali na plantację, która tego akurat dnia, owszem, tętniła życiem: mężczyźni w spodniach od dresu i podkoszulkach pchali wyładowane taczki, ciężarówki wzbijały obłoki kurzu, traktor wiózł drewno opałowe, kobieta niosła na głowie koszyk, tu i ówdzie walały się jakieś porzucone kanistry. Potem pojawił się centralny dziedziniec. Po prawej – dwa białe magazyny o czerwonych dachach. Po lewej – trzeci, o fasadzie wspartej na kilku białych kolumnach. Dalej główny budynek. Niewielki domek mieszczący archiwum. Wszędzie sterty drewna. Półnaczy mężczyźni przemieszczający się z wolna w tę i z powrotem. Clarence znów poczuła głębokie wzruszenie, choć tym razem nie była już tak wstrząśnięta jak poprzednio.

Zaparkowali w podcieniach obok kilku jeepów. Potem Iniko zaprowadził ją na najbliższe pole, gdzie zobaczyła ludzi strącających owoce kakaowców długimi żerdziami, zakończonymi płaskim metalowym haczykiem pozwalającym sięgać dojrzałych jagód bez dotykania zielonych.

– Słuchaj, Iniko! Stryj przywiózł z Fernando Poo dwie rzeczy: taki haczyk oraz maczetę, której wciąż używa do usuwania chwastów i cięcia patyków.

Kakaowce były niższe, niż sobie wyobrażała. Jacyś mężczyźni chodzili między nimi z koszami na plecach, maczetami zbierając z ziemi pomarańczowe jagody. Mieli wysokie buty. Wszędzie pleniło się zielsko. Inni wozili owoce taczkami i zrzucali je na stos, wokół którego stało sześciu czy siedmiu robotników. Przytrzymując je w jednej ręce, dwoma albo trzema zręcznymi machnięciami maczety rozcinali jagody na pół i

wydobywali ze środka ziarna. Prawie wszyscy byli bardzo młodzi i straszliwie brudni. Bez wątpienia spędzali tak całe godziny – tnąc owoce kakaowca i rozmawiając.

Oczy Clarence błyszcząły. Jacobo i Kilian zdawali się mówić do niej z oddali: „Jak przychodziła pora suszenia ziaren, nie opuszczaliśmy suszarni do rana, choćby nie wiem co”.

Zamierzała im opowiedzieć, że proces produkcyjny wciąż wygląda tak jak kiedyś. Suszarnie, choć stare i zaniedbane, nadal działały. Jakby czas w tym miejscu się zatrzymał: te same budynki, te same maszyny, te same piece. Wszystko funkcjonowało dokładnie tak jak w połowie XX wieku. Bez pięciuset robotników, którymi przechwalali się Kilian i Jacobo, nie tak sprawnie i porządnie – ale jednak funkcjonowało. Istniało kiedyś i chciało istnieć nadal.

Ani ich, ani innych białych już tu nie było, ale kakao wciąż rośło.

Iniko dziwił się jej zainteresowaniu tym, co dla niego wiązało się wyłącznie z ciężką pracą. Pokazał jej i wytłumaczył wszystko, co się dało. Kilka godzin później, pokonując po drodze mostek bez poręczy, wrócili do samochodu. Wyjęli plecaki z bagażnika i usiedli na schodach domu zamieszkanego dawniej przez białych. Clarence była spocona i wyczerpana, ale szczęśliwa.

W pewnym momencie zbliżył się do nich siedemdziesięcioparoletni staruszek. Iniko go poznał, podszedł do niego i zamienił z nim kilka zdań. Tamten jednak nie odrywał wzroku od Clarence, której zresztą wydał się znajomy. No tak! To był ten szaleniec, który ganiał za nią w dniu pierwszej wizyty w Sampace. Teraz wydawał się dziwnie spokojny, poza tym Iniko rozmawiał z nim zaskakująco długo. Clarence nadstawiła więc uszu, próbując podsłuchać, o czym mówią, jednakże nic nie zrozumiała, bo używali języka bubi.

Jej ciekawość wzrosła, gdy nagle padły słowa, które brzmiały jak „Clarence”, „Pasolobino” i... „Kilian”!

– Clarence! – zawołał Iniko, przywołując ją gestem. – Nigdy w to nie uwierzysz! – Serce zaczęło jej bić jak szalone. – Przedstawiam ci Simona. To najstarszy człowiek na plantacji. Mieszka tu od ponad pięćdziesięciu lat. Nie może już pracować, ale pozwalają mu się kręcić po plantacji do woli. Zbiera drewno na opał i rozstawia po kątach nowicjuszy.

Simón przypatrywał się Clarence z mieszaniną zaskoczenia i niedowierzania. Miał dziwną twarz. Cienkie, zabliznione już rany znaczyły jego czoło i policzki. Musiał należeć do ostatnich rytualnie ponacinanych tubylców, chociaż Clarence żadnego innego jeszcze nie widziała. Robił wrażenie, lecz w towarzystwie Inika już nie przerażał.

Przemówił do niej, jednakże uczynił to w języku bubi. Iniko pochylił się do jej ucha.

– Zna hiszpański od dziecka, ale pewnego dnia postanowił go więcej nie używać i wytrwał w tym postanowieniu. Nie martw się, wszystko ci przetłumaczę.

Jeszcze jedna osoba o niezłomnej woli, pomyślała Clarence, wspominając Bisilę odmawiającą powrotu do Sampaki.

Iniko stanął tuż przy staruszkowi i zaczął tłumaczyć kolejne zdania, wypowiedane przez niego z mocną afrykańską intonacją.

– Obserwuje cię cały czas – powiedział Iniko. – Przypominasz mu kogoś, kogo bardzo

dobrze znał. Teraz nie ma już wątpliwości. Jesteś krewną Kiliana... Może jego córką?

– Nie jestem jego córką – oświadczyła Clarence, lecz na widok rozczarowania, które odmalowało się na pokaleczonej twarzy Simona, pospiesznie dodała: – Jestem jego bratanicą, córką jego brata, Jacoba. Proszę powiedzieć: znał ich pan? Co pan pamięta?

– Mówi, że przez długie lata pracował jako boy *massy* Kiliana. Że to był porządny człowiek. Dobrze go traktował. Znał też *massę* Jacoba, ale z nim zbyt dużo nie przestawał. Pyta, czy wciąż tak dużo śniegu w Pasolobino. Twój stryj zawsze opowiadał o śniegu. I czy obaj żyją, ile teraz mają lat i czy *massa* Kilian też się ożenił.

– Żyją. – Głos Clarence drżał ze wzruszenia. – Przekroczyli siedemdziesiątkę, ale trzymają się dobrze. Nasza rodzina wciąż mieszka w Pasolobino. Obaj się ożenili, każdemu urodziła się córka. Ja jestem Clarence. Moja kuzynka ma na imię Daniela.

To staruszka zdziwiło. Przez chwilę milczał.

– Daniela... – wymruczał potem w zadumie.

Spojrzał na Inika. Spojrzał na Clarence. Niezależnie od nacięć jego twarz pokrywały gęste zmarszczki. Mimo to widać było, że unosi brwi. Znów popatrzył na Inika i o coś go zapytał.

– Chce wiedzieć, jak się poznaliśmy. – Iniko zaśmiał się, położył Simonowi dłoń na ramieniu i odpowiedział, a w jego głosie brzmiała serdeczność. – Wyjaśniłem, że spotkaliśmy się tutaj, jakiś czas temu, i potem kilka razy wychodziliśmy z Lahą na miasto.

Simón chrząknął i wbijając wzrok w Clarence, zadał parę kolejnych pytań.

– Tak, Simonie, Clarence spotkała też Lahę – potwierdził Iniko. – Tak, przez przypadek.

– Czemu on tak mówi? – rzuciła Clarence. Wyglądała na nieco zagubioną. Zwróciła się do Inika: – Myślałam, że wy nie wierzycie w przypadki, a jedynie w wolę duchów.

Simón znów coś powiedział. Iniko tłumaczył. Słowa staruszka nawet miały sens, ale nie bardzo odnosiły się do pytania Clarence. Trochę to było irytujące. Czy nie rozmawiałoby się prościej, gdyby ten dziwak zechciał mówić po hiszpańsku?

– Simón podkreśla, że przyjaźnił się z moim dziadkiem. I że obaj bardzo lubili twojego stryja i dziadka.

– O, to znał też mojego dziadka? – rzuciła Clarence, a serce jej zadrżało na wspomnienie kwiatów na grobie.

Simón od razu coś odrzekł i wskazał Inika palcem.

– Tak, ale nie bardzo go pamięta, bo twój dziadek umarł dawno temu. Simón był wtedy bardzo młody i dopiero od dwóch lat pracował dla *massy* Kiliana. Za to mojego dziadka znał dobrze.

– Twojego dziadka? – spytała Clarence. Raczej nie mógł już żyć, ale... Ostatni król Bubich odszedł przecież z tego świata w wieku stu pięciu lat! – Czy on...?

– Też umarł dość dawno – pospieszył z wyjaśnieniem Iniko, jakby odgadując jej myśli.

– A jak miał na imię?

– Ösé. Czyli, dla ciebie, José. Całe życie spędził tutaj, w Sampace. Albo może raczej: krążąc między Sampaką a swoją rodzinną wioską, która zresztą już nie istnieje.

Nazywała się Bissappoo. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku Macías kazał ją spalić, bo jego zdaniem wszyscy mieszkańcy przeciw niemu spiskowali.

– Bissappoo... – powtórzyła Clarence cicho.

– Ładna nazwa, prawda? – spytał Iniko.

– Tak, bardzo ładna, jak wszystkie tutaj – przyznała, zaintrygowana wszakże również czymś innym. – Czyli José był ojcem Bisili...

– Tak, oczywiście. Dziadków ze strony ojca nie znałem.

I oto łączyło ich coś jeszcze: ich dziadkowie się przyjaźnili. O ile to w ogóle wchodziło w grę w epoce wyraźnego rozdziału między białymi a czarnymi.

– Ileż by nam mogli opowiedzieć, gdyby żyli, prawda? – Iniko chyba myślał o tym samym. – Jeśli Simón twierdzi, że byli przyjaciółmi, to znaczy, że byli przyjaciółmi. Simón zawsze mówi prawdę.

W takim razie dlaczego patrzył na nią jak ktoś, kto zna tajemnicę, której nie zamierza zdradzić?

– Długo zostaniesz na Bioko? – spytał przez Inika.

– Pojutrze muszę wracać. – Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej czas na wyspie się kończy, i poczuła, że zalewa ją ogromny smutek.

– Simón prosi, żebyś pozdrowiła od niego massę Kiliana. I żebyś mu przekazała, że życie wcale nie potraktowało go najgorzej. Na pewno się ucieszy.

– Tak zrobię, Simonie, tak zrobię.

Starzec skinął głową i, jakby sobie o czymś zniecka przypominając, pospiesznie dodał jeszcze parę słów.

– I pozdrów też ojca – przetłumaczył Iniko.

– Dziękuję.

Simón uścisnął Inikowi dłoń, rzucił coś do niego w języku bubi, odwrócił się i odszedł.

– Co powiedział?

– Że poznał cię po oczach. Że masz takie same jak mężczyźni z twojej rodziny. Niezwykłe. Z daleka wydają się zielone, a z bliska okazują się raczej szare. – Iniko pochylił się nad nią tak nisko, że poczuła na twarzy jego oddech. – To prawda! Nie zwróciłem wcześniej uwagi.

Wziął ją za rękę i ruszyli ku zaparkowanemu w podcieniach samochodowi.

– A! Simón prosił też, żebym ci coś jeszcze przekazał... Coś dosyć zresztą dziwnego... – Clarence przystanęła i popatrzyła na niego z ciekawością. – Że jeśli oczy nie udzielą ci odpowiedzi, powinnaś poszukać *elëbó*.

– A co to jest?

– Drewniany dzwoneczek używany w czasie rytuałów i tańców. Widziałaś takie w Urece, pamiętasz? Prostokątny, z kilkoma sercami.

– Tak, pamiętam. A czemu Simón coś takiego powiedział? Co to znaczy?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale dodał, że być może któregoś dnia zrozumiesz. Cały Simón! Coś mówi i jeśli zrozumiesz, to dobrze, a jeśli nie, to też w porządku.

Clarence znów się zatrzymała i zerknęła do tyłu. Simón stał kawałek dalej, obserwując ją.

– Poczekaj chwilę, Iniko.

Podeszła do Simona. Spojrzała mu prosto w oczy i rzekła:

– Proszę, niech pan tylko da znak głową. Muszę wiedzieć jedną rzecz. Czy Bisila i mój ojciec się znali?

Simón zaciął usta.

– Zwykle „tak” lub „nie” – błagała. – Czy Jacobo i Bisila się znali?

Starzec zamruczał i gwałtownie skłonił brodę na piersi. Clarence głęboko wciągnęła powietrze. Czy to było „tak”?

– Dobrze się znali? – szepnęła. – Przyjaźnili się? A może...

Simón uniósł dłoń gestem nakazującym milczenie, rzucił coś ostro i natychmiast się oddalił.

Clarence zagryzła wargi. Serce biło jej w przyspieszonym rytmie. Jacobo i Bisila się znali...

Poczuła, że ktoś ujmuje ją za rękę.

– Jedziemy? – spytał Iniko.

Przeszli kilka kroków, po czym Clarence ponownie przystanęła.

– Iniko... Jak sądzisz, dlaczego twoja matka nigdy nie chciała wrócić do Sampaki?

Wzruszył ramionami.

– Zakładam, że każdy ma wspomnienia, których nie chce odświeżać – odparł. – Tak jak mówił Dimas, to były bardzo ciężkie czasy.

Clarence przytaknęła w zamyśleniu. W głowie huczało jej od domysłów i pospiesznie wyciąganych wniosków. Na podstawie nader fragmentarycznych danych zaczynała sobie wyobrażać coś naprawdę zagmatwanego i dziwnego. Należało raz jeszcze przeczytać wszystkie znalezione w Rabaltué listy!

Nagle zapragnęła być już z powrotem w Pasolobino, żeby móc porządnie wypytać o te sprawy ojca. Gdy jednak o zmierzchu wjechali z Inikiem do Malabo, tamta niecierpliwość ustąpiła miejsca przygnębieniu.

W tym momencie Clarence oddałaby wszystko, żeby znaleźć się znów na plaży Moraka albo w skromnym domku w Urece. Co więcej: czuła, że będzie potrzebowała czasu, by wrócić do codziennej rutyny.

– Zostaniesz ze mną w hotelu na noc? – spytała Inika.

Nie chciała być sama.

Nie... Nie do końca o to chodziło.

Nie chciała być *bez niego*.

XI. POWRÓT CLARENCE

Czemu mi się tak przypatrujesz? – Laha przewrócił oczyma, pociągając łyk piwa i oblizując wargi. – Czyżbyś chciała utrwalić sobie w pamięci moją twarz?

Clarence nieco zmieszana spuściła wzrok, a Laha poklepał ją po ramieniu.

– Obiecuję, że pod byle pretekstem wybiorę się w delegację do Madrytu. A ile jest stamtąd do Pasolobino? – Zerknął na zegarek. – Iniko strasznie się spóźnia. Gdzie on się podział?

– Pojechał do Baneyu – odrzekła Clarence zgaszonym głosem. – Po Bisilę.

Nie była zbyt rozmowna.

– O! – zawołał Laha. – Widzę, że już się lepiej orientujesz niż ja!

Siedzieli w kawiarnianym ogródku w starym porcie. Wieczór był piękny, najpiękniejszy ze wszystkich, jakie się trafiły przez ostatnie tygodnie.

Zupełnie jakby niebiosy dołożyły starań, by urządzić mi niezapomniane pożegnanie, pomyślała Clarence.

Spojrzała na Tomasa. Za nim też miała tęsknić. Rihéka, Köpé i Börihi zwinęli się chwilę wcześniej, a Melania w ogóle nie przyszła na tę skromną imprezę, choć przecież zdążyła już wrócić z Luby. Nikt nie skomentował jej nieobecności, z której Clarence się zresztą cieszyła, czując, że po tym, co zdarzyło się w czasie podróży po wyspie, nie potrafiłaby spojrzeć dziewczynie w oczy, nie tyle zresztą z powodu wyrzutów sumienia, ile z zazdrości, że ostatecznie to Melania będzie miała szansę na dalszą znajomość z Inikiem.

– Naprawdę mi przykro, ale muszę już iść – oświadczył Tomás, wstając i podchodząc do Clarence. – Jeśli jeszcze kiedyś tu przyjedziesz, to wiesz... – Odchrząknął, żeby zamaskować wzruszenie, i przetarł okulary skrajem koszulki. – Dzwon, a zawiozę cię, dokąd zechcesz.

– Nawet na cmentarz? – zażartowała Clarence.

– Nawet. Ale zaczekam przed bramą!

Uśmiechnęli się oboje. Tomás ujął jej rękę, uścisnął ją i zwyczajem Bubich przyłożył do serca.

Clarence stała, dopóki nie znikł jej z oczu. Musiała bardzo się starać, żeby się nie rozpłakać. Usiadła i pociągnęła długi łyk piwa.

– Nienawidzę pożegnań – oznajmiła.

– Cóż, dzisiaj i tak łatwiej się żegnać niż kiedyś – stwierdził Laha, wyraźnie próbując podtrzymać ją na duchu. – Internet oszczędza nam wielu łez.

– To nie to samo – zaprotestowała, myśląc raczej o Iniku.

Zresztą Laha przywykł do podróży po świecie i do korzystania z nowych technologii, natomiast jego brat nie bardzo. Szczerze wątpiła, by mogła go jeszcze kiedyś zobaczyć, chyba że sama wróciłaby na Bioko.

– Zawsze jednak coś – upierał się Laha, odrzucając do tyłu długi, niesforny kosmyk swoich kręconych włosów.

Clarence popatrzyła na niego z pewną zazdrością. Emanował takim zaraźliwym optymizmem! Gdyby mogła z nim spędzić trochę więcej czasu... No, dobrze, z nim i z jego rodziną. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, lecz odnosiła wrażenie, że była blisko jakiegoś odkrycia. Właściwie nie miała czasu, aby na spokojnie zastanowić się nad słowami Simona, jak również nad faktem, że Laha należał do licznej grupy miejscowych Fernandów. Ani romans z Inikiem, ani problemy piętrzące się na drodze do ujawnienia prawdy, ani instynktowna niechęć do syna Mamy Sade nie usunęły jej sprzed oczu pierwotnego celu całej tej podróży. A jeśli teraz nadarzała się ostatnia okazja, by osobiście spytać Lahę o jego dzieciństwo...? Opowiedziała mu więc o spotkaniu z Simonem, pomijając wątek znajomości Bisili i Jacoba.

– Simón? – zdziwił się Laha. – Coś tam o nim słyszałem, ale go nie znam. Prawdę mówiąc, bardzo mało wiem o Sampace. W dzieciństwie zabierał mnie na plantację dziadek, a później parę razy wybrałem się z Inikiem. Mówiłem ci, że moje pierwsze wyraźne wspomnienia pochodzą z okresu, gdy chodziłem do szkoły, już tutaj, w mieście.

– Sądziłam, że urodziłeś się w Sampace...

– Nie. Urodziłem się w Bissappoo. Matka wyprawiła się w odwiedziny do krewnych z wioski, a mnie nagle zaczęło się spieszyć na ten świat.

Clarence zastygła. Wcześniej zakładała, że obaj bracia urodzili się na plantacji.

– No i proszę... – Laha znów przewrócił oczyma. – Wygląda na to, że cię rozczarowałem...

– Nie. Rzecz w tym, że choć w ogóle dowiedziałam się więcej, niż mogłam się spodziewać, wciąż mam niewiele informacji o życiu w Sampace w okresie, gdy mieszkał tam mój ojciec. Najwyraźniej pamięta go wyłącznie Simón. A twoja matka – dodała z lekkim wyrzutem – nie lubi wspominać tamtych czasów.

– Nie wiem, czemu tego nie lubi, Clarence, ale jestem pewien, że gdyby przypominała sobie twojego ojca, to by ci o tym powiedziała.

Clarence potrząsnęła głową. Naoglądała się zbyt dużo filmów. Najprawdopodobniej po prostu wyobraziła sobie nieistniejące związki między swoją rodziną a Bisilą. Poza tym, nawet jeśli tkwiło w tym ziarno prawdy, jedynym sposobem na kontynuowanie śledztwa – poza przepytaniem ojca – było nakłonienie Lahy, by dotrzymał słowa i rzeczywiście odwiedził Hiszpanię. Ona, Clarence, na Bioko nie mogła już więcej zrobić.

– Jeszcze po butelce 33? – zaproponował Laha, wstając z krzesła.

– Tak, chętnie.

Najgorsze, pomyślała, jest w pożegnaniach to, że jeszcze zanim zdążysz wyjechać, zaczynasz tęsknić za takimi drobiazgami jak określona marka piwa.

W tym momencie zjawił się Iniko. Niósł w ręku plastikową torbę.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, siadając i puszczając do Clarence oko. – Nijak nie dało się stamtąd wyrwać. Trzymaj. Matka kazała ci to dać.

Clarence zajrzała do torby i wyjęła z niej okrągły kapelusz z materiału i korka.

– Hełm korkowy? – spytała, przypatrując się mu ze zdziwieniem. Wyglądał na mocno zużyty, sztywne rondo było w jednym miejscu rozdarte.

– Powiedziała, że ci się spodoba, ponieważ kiedyś należał do kogoś takiego jak ty. – Iniko uniósł dłonie obronnym gestem. – O nic mnie nie pytaj, ja też niewiele z tego

rozumieniem. A, i jeszcze kilka razy powtórzyła, żebyś zawiozła jej najlepsze życzenia tam, dokąd jedziesz, bo ktoś się z nich ucieszy.

– Czy to wasza formuła pożegnalna albo coś w tym stylu?

– Nie jestem pewien. Matka nawet dla mnie stanowi czasem tajemnicę.

Clarence schowała hełm do torby. Zaraz potem wrócił do stolika Laha, niosąc dwa piwa.

– Ty nie pijesz? – spytała go Clarence.

– Będę się zbierał. Jutro muszę wstać bardzo wcześnie.

Wiedziała, że kłamie, i wdzięczna mu była za zrozumienie. Zdawał sobie sprawę, że tego ostatniego wieczoru ona i Iniko chcą zostać we dwoje.

Wstała, by go serdecznie uściskać, oczy znowu wypełniły jej się łzami, i z tego powodu ostatni obraz Fernanda Lahy – odchodzącego szeroką, zaniedbaną promenadą w Malabo, która prowadzi wzdłuż starego portu, skąd wiele dekad wcześniej kakao z Sampaki odpływało w świat – utrwalił się jej na siatkówce niewyraźnie.

Samolot wylądował w Madrycie zgodnie z rozkładem, taksówka zawiozła ją na dworzec kolejowy i trzy godziny później Clarence była już w Saragossie, oszołomiona tak gwałtowną zmianą scenerii, która wkrótce zmieniać się miała jeszcze gwałtowniej, w związku z planowanym uruchomieniem pierwszego szybkiego pociągu kursującego między oboma miastami. Samochód stał w garażu, który wynajmowała razem z mieszkaniem. Czuła się zmęczona, ale za parę godzin mogła się znaleźć w Pasolobino. Odrzuciła ten pomysł. Potrzebowała trochę czasu, żeby się przystosować. Jeden dzień to było zbyt mało, żeby zamienić dzielone z Inikiem hotelowe łóżko w Malabo na samotność we własnym, w Pasolobino. Zdecydowanie zbyt mało. Nie potrafiła tak błyskawicznie odciąć się od przeżyć ostatniej nocy, zastępując zieloną bujność Bioko surowym, górskim pejzażem rodzinnej doliny. Przez chwilę zazdrościła tym, którzy w pierwszej połowie poprzedniego stulecia musieli odbywać długie morskie podróże. Dni spędzone na statku z pewnością pozwalały im się jakoś pozbierać, stopniowo zapomnieć o tym, co minęło, i przygotować się na kolejny etap ziemskiej wędrówki.

Postanowiła więc przenocować w Saragossie. Chciała być sama, choćby jedynie przez kilka godzin, licząc na to, że może z rana wszystko ukaże jej się w innym świetle.

Już w łóżku, wyczerpana i po raz pierwszy od kilku tygodni wolna od lepkiej warstewki potu na skórze, bezskutecznie starała się zasnąć. Iniko wciąż był przy niej, na niej, pod nią.

Czemu wybrała jego, a nie Lahę? Czyż nie łatwiej przyszłoby jej się związać z kimś, kto żył bardziej tak jak ona? Poza tym, obiektywnie rzecz biorąc, Laha był przystojniejszy od brata. I młodszy. Był też inteligentny i dobrze wykształcony. Nawykły do podróży, do kontaktów z różnymi ludźmi...

Ale nie! Musiała zafascynować się Inikiem. Uśmiechnęła się z ironią. Może faktycznie duchy, wszechobecne na wyspie, odegrały w tym jakąś rolę. A może po prostu przypadek połączył dwie bliźniacze dusze? Bo jedna rzecz faktycznie bardzo ich do siebie nawzajem upodabniała: Iniko nigdy nie wyprowadziłby się nigdzie poza Bioko, ona z kolei nie zamieszkałaby z dala od Pasolobino, nawet gdyby miała gwarancję, że resztę życia spędzi tak samo intensywnie jak ostatnie dni. Znów łzy napłynęły jej do

oczu. Świadomość tego faktu napełniała ją głębokim smutkiem. Łańcuchów, którymi dobrowolnie dali się przykuć do swoich miejsc na ziemi, nie mogła zerwać ani miłość, ani namiętność.

Gdyby byli z Inikiem młodszy, ich pożegnanie na lotnisku, gdzie długo, bez słowa się przytulali, wyglądałoby może bardziej dramatycznie. Gdyby zostali do rozstania przymuszeni, jego gorzka towarzyszyłaby im może przez całe życie. Jednakże utrzymywana w granicach rozsądku miłość, kontrolowana namiętność i od początku przewidywane rozdzielanie skutkowało zupełnie innym dramatem – dramatem rezygnacji, niewykluczone, że jeszcze okrutniejszym, pomyślała i otarła łzy chusteczką. Bo rezygnacja sprawia, że człowiek egzystuje, nie pozwalając, by coś go zbyt mocno dotknęło, zamyka się na ból i godzi właściwie na wszystko.

Jak strasznie tęskniła! Iniko miał w sobie energię fal uderzających o plażę w Riabie, rozmach spienionych wodospadów Ilachi, spływających setkami metrów wzdłuż porośniętych gęstym lasem pionowych ścian w Moce, czar kaskady nieopodal Ureki i gwałtowność tropikalnej burzy szarpiącej pióropuszcami palm. Tak, tęskniła za tym wszystkim. Ale jeszcze bardziej brakowało jej niewzruszonej siły, która czyniła z niego godnego spadkobiercę wielkich kapłanów plemienia Bubi, *abba mööte*, upodabniała go do strażnika wyspy, u którego stóp ona, Clarence, złożyła niewielką ofiarę, prosząc o spełnienie wielkiego pragnienia.

Wciąż była bardzo młoda. Z pewnością wiele jeszcze ziaren miało wykiełkować w ciągu jej życia – z pomocą bogów albo bez niej. Tylko czy posiadała dość odwagi, by w porę zebrać plon, nie pozwalając mu się zmarnować?

Takie oto myśli towarzyszyły jej do momentu, gdy, nazajutrz, zaparkowała auto przed rodzinnym domem.

Pierwsza powitała ją kuzynka Daniela, która, uściskawszy nowo przybyłą, od razu spytała:

– I co, Clarence? Było tak, jak się spodziewałaś? Czy nasi ojcowie mieli rację?

– Cóż, może po ich opowieściach wyda ci się to nieprawdopodobne – odrzekła Clarence – ale ta wyspa to coś więcej niż tylko Sampaka i Santa Isabel...

Gdy wchodziła do domu, przyjemne poczucie, że jest u siebie, i niepokojąca pewność, że wszelkie wątpliwości na temat istnienia jej domniemanego brata rozstrzygnąć się mogą teraz wyłącznie tutaj, w Rabaltué, ścierały się w jej sercu z obojętnością wobec tego miejsca, a wręcz z pewną niechęcią, która rodziła się w niej pod wpływem tęsknoty za Bioko.

– Ciekawe, czym ty się tam w ogóle żywiłaś przez cały ten czas! – Carmen wciąż dokładała córce kolejne porcje na talerz.

– Jadłaś żółwia? – zainteresowała się Daniela. – A węża?

– No, mięso węża – pospiesznie wtrącił Jacobo – jest naprawdę smaczne i delikatne. A już zupa żółwiowa to prawdziwy przysmak. Prawda, Kilianie?

– Niemal dorównuje potrawce z małpy – odparł Kilian z lekką drwiną w głosie.

– Clarence! – Daniela szeroko otwierała swoje wielkie brązowe oczy. – Nie wierzę, że wciąż się tam jada takie rzeczy i że tych ich też próbowałaś!

– Żywiłam się głównie rybami, bardzo dobrymi zresztą. Poza tym wyjątkowo

smakowała mi *pepe-sup*. – Jacobo i Kilian szeroko się uśmiechnęli. – O, widzę, że ją pamiętacie. To taka pikantna zupa rybna – zwróciła się z wyjaśnieniem do Daniela. – No i oczywiście jadłam mnóstwo owoców: papai, ananasów, bananów...

– Och, gwinejskie smażone banany! – wykrzyknął Jacobo. – Rzeczywiście były pyszne! W Sampace mieliśmy kucharza Kameruńczyka, który przygotowywał je jak nikt inny...

Clarence zwątpiła, że uda jej się opowiedzieć o wszystkim po kolei. Tego wieczoru jej rodzina ewidentnie była w doskonałym nastroju. Po jakimś czasie jedynie Kilian trochę się uspokoił i poważniejszym tonem spytał bratanicę o wrażenia z podróży, więc Clarence mogła przez chwilę mówić bez przeszkód. Przywołała kilka przyjemnych anegdotek, wymieniła obeerzane przez siebie atrakcje turystyczne i streściła swoje najciekawsze odkrycia dotyczące kultury Bubich. Cudowną wyprawę w głąb wyspy zamknęła w nazwach kilku miejscowości, odwiedzonych – jak skłamała – w towarzystwie dwóch wykładowców z uniwersytetu w Malabo, którzy rzekomo pomagali jej w badaniach terenowych.

Dwie wizyty w Sampace specjalnie zostawiła na koniec. Właśnie opowiadała, że wciąż uprawia się tam kakao, gdy zdała sobie sprawę, że przy stole zapadła wyjątkowa cisza. Daniela i Carmen słuchały w skupieniu. Jacobo bawił się kawałkiem chleba, nieustannie pokaszując, jakby coś mu utkwilo w gardle. Kilian wpatrywał się w swój talerz.

Rozumiała, że dzięki jej słowom ojciec i stryj przenieśli się w inną czasoprzestrzeń, postanowiła więc od razu przejść do tego, co w jej mniemaniu stanowiło jeden z najważniejszych punktów opowieści.

– Wiecie, co najbardziej mnie na Bioko zdumiało? Że ktoś wciąż składa kwiaty na grobie dziadka Antona.

Carmen i Daniela wydały okrzyki zaskoczenia.

Jacobo skamieniał.

Kilian podniósł wzrok i utkwił go w oczach bratanicy, jak gdyby chciał się upewnić, że nie kłamie. A ona spytała:

– Domyślcie się, kto to może być?

Jacobo i Kilian pokręcili głowami, lecz brwi mieli zmarszczone.

– Zastanawiałam się, czy to aby nie Simón... – Potrząsnęła głową. – Ale nie, raczej nie...

– Co za Simón? – spytała Carmen.

– Stryju Kilianie, w Sampace poznałam staruszkę, który w czasie twojego pobytu na wyspie pracował podobno jako twój *boy*.

Odniosła wrażenie, że Kilianowi zaszklily się oczy.

– Simón... – szepnęła.

– Co za zbieg okoliczności! – wykrzyknął tymczasem Jacobo sztucznie wesołym głosem. – Simón nadal żyje i mieszka w Sampace! Jak go poznałaś?

– Właściwie to on poznał mnie – sprostowała. – Powiedział, że jestem do was bardzo podobna. – Przypomniała sobie, że Mama Sade twierdziła coś podobnego. Ugryzła się jednak w język. Jeszcze nie, pomyślała, później. – A przedstawił nas sobie pewien

człowiek, który go znał, bo sam kiedyś pracował na plantacji. Niejaki... Niejaki Iniko. – Przy tym imieniu głos jej zadrżał. Proszę, Iniko zdążył się już zamienić w postać z opowieści. Już nie był mężczyzną z krwi i kości.

Jacobo i Kilian wymienili szybkie, znaczące spojrzenia.

– Iniko... Co za dziwne imię! – zauważyła Daniela. – Bardzo ładne, podoba mi się, ale dziwne.

– Nigeryjskie – wyjaśniła Clarence. – Jego ojciec pracował w Sampace mniej więcej w waszych czasach. Miał na imię Mosi.

Kilian wsparł łokieć o stół, a podbródek – o jedną ze swoich wielkich dłoni, jak gdyby głowa nagle zaczęła mu ciążyć. Jacobo podniósł obie dłonie na wysokość ust, próbując zamaskować malujący mu się na twarzy wyraz zdumienia. Obaj, ojciec i stryj, wydawali się teraz bardzo spięci.

– Nic wam to nie mówi? – drażyła Clarence.

– Na plantacji było ponad pięciuset robotników! – podniósł głos Jacobo. – Nie sądzisz chyba, że zapamiętaliśmy każdego z nich!

Aż ją zatkało wobec tak gwałtownej reakcji, jednakże zaraz wzięła się w garść.

– Wiem, że było was wielu – odparowała ostro, zirytowana tonem ojca. – Ale przecież pamiętacie Gregoria, Marciała, Matea, Santiaga...? Ich pewnie tak!

– Nie tym tonem, Clarence! – Jacobo pogroził jej palcem. – Jasne, akurat ich pamiętamy. Zajmowali takie same stanowiska jak my. – Nagle urwał i zrobił zdziwioną minę. – A tak właściwie to skąd znasz te imiona?

– Miałam dostęp do archiwum plantacji. Widziałam wasze akta. I akta dziadka. Wciąż tam leżą, razem z dokumentacją medyczną. À propos, tato... Nie wiedziałam, że przez kilka tygodni leżałeś w szpitalu. To musiało być coś poważnego...

Carmen odwróciła się w stronę męża.

– Ja też pierwsze słyszę. Czemu nic mi nie powiedziałaś?

– Błagam! Bo sam o tym zapomniałem! – Jacobo sięgnął po butelkę, żeby dolać sobie wina, i ręka mu zadrżała. Zerknął na Kiliana, jak gdyby prosząc go o pomoc.

– To musiało być wtedy, kiedy dostałeś silnego ataku malarii i gorączka tak długo nie spadała, że zaczęliśmy się naprawdę martwić. – Stryj uśmiechnął się do Clarence. – Co chwila któregoś z nas to dopadało. Dziwię się nawet, że takie rzeczy odnotowywali.

Clarence popatrzyła na matkę i kuzynkę. Czy tylko ona czuła, że ci dwaj kłamią? Najwyraźniej – tak. Carmen, zadowolona z wyjaśnienia, wstała, żeby przynieść deser. Daniela natomiast zmieniła temat.

– A gdzie prezenty? – spytała głosem rozpieszczonego dziecka. – Bo chyba nam jakieś przywiozłaś, prawda?

– No ba! – Clarence nie zamierzała wszakże rezygnować: najtrudniejsze dopiero ją czekało. – Jeszcze jedno, zanim po nie pójdę... – Zawahała się. – Nie tylko Simón mnie rozpoznał. – Kilian uniósł brew. – W pewnej restauracji zaczęła mnie kobieta, która była tam z synem... – Nie dodała już: *Mulatem*. – Utrzymywała, że bardzo jej przypominam kogoś, kogo spotkała w młodości. Moi znajomi nazywali ją Mamą Sade...

– Sade... – powtórzyła Daniela. – Czy wszystkie tamtejsze imiona są takie ładne? To brzmi jak imię pięknej księżniczki...

– No, z książeczki niewiele już zostało. – Clarence skrzywiła się z niechęcią. – Mama Sade była, a właściwie *jest* bezzębną staruszką o wyglądzie czarownicy.

Ojciec i stryj znów wpatrywali się w nią bez ruchu. Minęło kilka sekund – i nic. Ani jednemu, ani drugiemu nawet nie drgnęła powieka, co zresztą jedynie potęgowało ciekawość. Czyż naturalniejszą reakcją nie byłoby zdumienie takim zbiegiem okoliczności albo zaprzeczenie, że się kogoś takiego znało?

– Stwierdziłam, że mnie z kimś pomyliła, ale ona upierała się, żebym jej powiedziała, jak ma na imię mój ojciec.

Kilian odchrząknął.

– I powiedziałaś?

– E, nie. Powiedziałam, że mój ojciec nie żyje.

– Cudownie, wielkie dzięki – mruknął Jacobo niby to żartobliwie, wywołując uśmiech u Carmen i Danieli. – A można wiedzieć, dlaczego tak zrobiłaś?

– Dlatego, że ta kobieta w ogóle mi się nie spodobała. Podobno za czasów kolonii była prostytutką i tak się obłowiła, że teraz sama posiada całą sieć lokali rozrywkowych. Słyszałam też, że... – odkaszlnęła – ...zakochała się kiedyś w białym mężczyźnie, zaszła z nim w ciążę, a on... – znów zakasłała – ...ją porzucił. Dlatego później nie chciała mieć więcej dzieci.

– Drań! – Carmen ściągnęła wargi. – No, tak, ale skoro mówisz, że była prostytutką... Już sobie wyobrażam, z jakimi mężczyznami musiała się zadawać...

Clarence dopiła swoje wino.

– Pewnie przede wszystkim z białymi pracownikami plantacji, mamó... Takimi jak...

– Umilkła, bo pochwyciła groźne spojrzenie ojca.

– Dosyć, Clarence. Wystarczy.

Carmen postanowiła zamknąć temat:

– A co z tymi prezentami, córeczko?

Clarence wstała. Po drodze do pokoju przeklinała pod nosem swojego pecha: utknęła w miejscu. Przysięgłaby, że ani ojciec, ani stryj nie mówią całej prawdy. Carmen i Daniela mogły się nie zorientować, ale ona widziała to wyraźnie. Tylko jak miała cokolwiek odkryć, jeśli nikt nie udzielał jej odpowiedzi na zadawane pytania?

No, dobrze, imię Sade nic dla nich nie znaczyło. Ciekawe, jak zareagują na wzmiankę o Bisili. Pewnie też nie będą jej pamiętać, tak jak ona nie pamiętała ich. Nagle wszystkim jakoś pogorszyła się pamięć! Clarence wzięła z pokoju kilka toreb i zdecydowanym krokiem wróciła do jadalni.

Gdy już każdy otworzył swoje paczki i wyraził zachwyt rzeźbionymi w drewnie zwierzątkami, mahoniowymi laskami, hebanowymi figurkami, amuletami z kości słoniowej, naszyjnikami z muszli i kamyków, skórzanymi bransoletkami, a także prześliczną, kolorową, przywiezioną dla Danieli sukienką, Clarence sięgnęła po torbę, którą przekazała jej przez Inika Bisila, i wyjęła hełm korkowy.

– No i ostatni prezent! – oświadczyła, zakładając go na głowę. – Dała mi to matka Inika. Któregoś dnia zaprosiła mnie na kolację razem z Inikiem i jego bratem Lahą, a właściwie Fernandem Lahą. Ma na imię Bisila i jest cudowną kobietą. Pracowała w Sampace jako pielęgniarka, też za waszych czasów... – Zawiesiła głos. Nic. Żadnej

reakcji. – A! I prosiła, żeby pozdrowić tego, od kogo dostała ten hełm. Czyli właściwie nie wiem, którego z was. Tak czy owak, bardzo się ucieszyłam. To już przecież niemal antyk!

Zdjęła hełm i oddała Danieli, która założyła go, potem zdjęła, dokładnie obejrzała i przekazała Carmen, żeby ta mogła zrobić to samo.

Kilian nie odrywał od hełmu spojrzenia. Mocno zaciskał usta i wydawało się, że z trudem oddycha. Carmen wyciągnęła nakrycie głowy ku Jacobowi. Clarence odniosła wrażenie, że ojcu drżą ręce, gdy szybko podawał je bratu, jak gdyby bał się poparzyć palce. Czy tylko jej się zdawało, czy faktycznie przymknął powieki, a na jego twarzy odmalował się wyraz bólu? W przeciwieństwie do Jacoba stryj przez dłuższą chwilę gładził korkowy hełm, niezwykle delikatnie i pieśczośliwie. Jego palce raz i drugi zatrzymały się przy pęknięciu na sztywnym rondzie. Potem wstał i szepnął:

– Wybaczcie. Zrobiło się bardzo późno i jestem strasznie zmęczony. Idę spać. – Z przygnębieniem spojrzał na bratanicę. – Dziękuję, Clarence.

Opuścił jadalnię powolnym, ciężkim krokiem. Clarence stwierdziła, że w ciągu ostatnich kilku minut okropnie się postarzał. Nigdy nie myślała o nim ani o ojcu jako o ludziach wchodzących w ostatni etap życia. Kilianowi wyraźnie ciążyły ramiona i stopy. Cała siła, jaką zwykle emanował, znienacka go opuściła.

Pozostali siedzieli w milczeniu. Clarence żałowała, że doprowadziła do takiej sytuacji. Spuściła głowę. Czuła się trochę winna: jej ciekawość przysparzała innym cierpienia. Matka wyciągnęła rękę i ścisnęła jej dłoń.

– Nie martw się, Clarence – powiedziała miękko. – Przejdzie mu. Dziś wieczorem rozwiązałaś worek ze wspomnieniami. – Zwróciła się do męża: – Spędziliście w Gwinei wiele lat. Od tamtej pory upłynęło mnóstwo czasu. Nic dziwnego, że was to wszystko zasmuca.

– Rozmowy o Gwinei zawsze kończą się tak samo – westchnęła Daniela. – Chyba najlepiej będzie nie tykać w przyszłości tego tematu.

Jacobo potrząsnął głową.

– A ty co powiesz, Clarence? – spytał, usiłując okazać zainteresowanie, którego, jak wydawało się jego córce, już wcale nie odczuwał. – Zakochałaś się w Afryce?

Clarence zarumieniła się aż po korzonki włosów.

Nadzwyczaj chłodna wiosna przeszła powoli w lato. Dolina Pasolobino zaroiła się od turystów uciekających przed dokuczliwym na nizinach upałem. Pod koniec sierpnia odbyły się ostatnie uroczystości na cześć świętego patrona, w dawniejszych czasach związane też z zakończeniem żniw i pożegnaniem dobrej pogody.

Clarence wychyliła się przez okno. Zza rogu wyłoniło się kilku muzyków, by zatrzymać się tuż przed domem. Dźwięk trąbek i bębenków niósł się po ulicy przystrojonej porozwieszanymi wzdłuż fasad budynków kolorowymi chorągiewkami, narażonymi na bezustanne ataki porywistego wiatru oraz ataki dzieciaków, które, podskakując, usiłowały pozrywać, co się dało. Za muzykami podążał tłumek młodych ludzi, którzy tańczyli z wyciągniętymi do góry ramionami i wydawali okrzyki radości. Dwie dziewczynki podeszły do drzwi domu z wielkim koszem, do którego Daniela włożyła trochę ciast i słodyczy, przeznaczonych na wspólną dla miejscowych i

przyjezdnych ucztę, mającą się odbyć po uroczystej mszy. Gdy muzycy skończyli grać, Daniela poczęstowała każdego szklaneczką wina ze specjalnej beczki z zapasów Rabaltué.

Clarence się uśmiechnęła. Kuzynka zawsze twierdziła, że wszelkie święta w Pasolobino są tak samo trudne do przełknięcia, jak to stojące zbyt długo w beczce wino, jednakże, gdy przychodziło co do czego, pierwsza zgłaszała się do pomocy w pracach organizacyjnych i wyjątkowo entuzjastycznie oklaskiwała kolejne występy. Muzycy ruszyli dalej, a ona wbiegła po schodach na piętro. Gdy wpadła do pokoju Clarence, oczy jej błyszczały.

– Jeszcze jesteś nieubrana? Procesja zaraz się zacznie!

Zgodnie z tradycją co roku kilku mężczyzn obnosiło figurę świętego po miasteczku, wiodąc za sobą orszak złożony z mężczyzn, kobiet i dzieci ubranych w ludowe pasolobińskie stroje. Po procesji figura stała przez jakiś czas na głównym placu, gdzie mieszkańcy urządzali na jej cześć potańcówkę, po czym wracała do kościoła na kolejne miesiące. Ludowy strój kobiecy składał się z tyłu halek, spódnic, sznurówek i kokardek, że Clarence zawsze potrzebowała niemal godziny, by go włożyć. A potem trzeba było jeszcze upiąć mnóstwem szpilek kunsztowny kok, pozawiazywać na głowie i szyi chusteczki, pamiętać o koralach... Po raz pierwszy w życiu czuła, że jej się nie chce.

– A ty? – spytała jak zwykle. – Czemu też się tak nie przebierzesz?

– Ja? Do mnie takie rzeczy nie bardzo pasują. Ale ty wyglądasz w nich bosko. – Daniela z uśmiechem wzruszyła ramionami. – A, właśnie, z kim idziesz w tym roku na tańce?

– Kogoś znajdę.

Clarence przymknęła oczy i wyobraziła sobie Inika w wąskich czarnych spodniach, białej koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami oraz kamizelce, przepasanego obcisłą jedwabną szarfą, z chustką na głowie. Szczęki by wszystkim opadły, pomyślała nie bez pewnej złośliwości. Swoją potężną sylwetką górowałby z pewnością nad innymi tancerzami w kole, skacząc i obracając się w rytm kastanietów przewiązanych barwnymi wstążkami. Przygryzła dolną wargę, napawając się tym obrazem, nakładającym się na wspomnienie pewnej odległej nocy w dyskotecce w Malabo. Od chwili kiedy była z Inikiem, w innych mężczyznach widziała głównie wady. Żaden nie miał w sobie tego zniewalającego magnetyzmu. Żaden.

– Zawsze mogę poprosić o pomoc naszych nieżonatych kuzynów...

– No, nie brzmi to za dobrze, ale niektórzy z nich są naprawdę niczego sobie. A biorąc pod uwagę ogólną sytuację, być może trzeba będzie wrócić do dawnych zwyczajów. Wiesz, czy do zawarcia ślubu z kuzynem nadal konieczna jest zgoda papieża?

– Co ty wygadujesz! – zaśmiała się Clarence. – Chodź, już pora.

– Poczekaj chwilkę... – Daniela coś tam jeszcze poprawiała przy jej fryzurze. – Wiesz, że masz już kilka siwych włosów? Podobno tak się robi od zmartwień.

To by się zgadzało, pomyślała Clarence.

Tygodnie mijały, ale ona nie czyniła żadnych postępów. Jacobo i Kilian nie podejmowali tematu Gwinei, a ciężko ich było wprost o to zagadywać. Julia przyjechała

do Pasolobino miesiąc wcześniej, lecz widziały się tylko dwa razy i choć Clarence wspomniała wtedy o swojej podróży, podkreślając zwłaszcza fakt, że poznała Sade, Bisilę, Lahę oraz Inika, Julia, nawet jeśli coś wiedziała, nie zdradziła się z tym ani słowem. Tyle że od tamtej pory zdawała się unikać spotkań.

Clarence niejednokrotnie odczuwała pokusę, by po prostu stanąć przed ojcem i wyłożyć mu swoje podejrzenia, jednakże nigdy się na to nie zdobyła. Jeśli chciało się wyciągać na światło dzienne tego rodzaju tajemnice, należało mieć przekonujące dowody. Ona zaś była coraz bardziej zdezorientowana: trop podsunięty przez Julię zaprowadził ją w ślepy zaułek, ze słów czy zachowań ojca i stryja nie dało się prawie nic wywnioskować, a z kolei niejasna uwaga Simona opierała się wszelkim próbom interpretacji. Powiedział, że jeśli oczy nie udzielą jej odpowiedzi, powinna poszukać dzwoneczka. Prawdziwa zagadka... Dlatego postanowiła uzbroić się w cierpliwość i czekać na znak z niebios. Jak gdyby to było takie proste...

– Czemu nie odpowiadasz, Clarence? – dobiegł ją głos Daniela. – Pytam, czy coś cię martwi.

– Przepraszam. Ostatnio miałam chyba za dużo wolnego czasu. Jak wrócę do pracy, to mi przejdzie.

– No tak. Tata też od kilku tygodni chodzi jakiś zamyślony i jakby smutny. Zauważyłaś?

Clarence skinęła głową. Kilian całe dni spędzał na spacerach wśród okolicznych pól albo u siebie w pokoju. Po kolacji nie zostawał już jak kiedyś na pogawędkę. Właściwie nie odzywał się nawet w czasie posiłków.

– Nasi ojcowie się starzeją.

– Tak. Ze starością to trudna sprawa. Charakter człowiekowi wtedy albo zanika, albo się psuje. Z twoim ojcem dzieje się najwyraźniej to pierwsze, a z moim to drugie. – Daniela westchnęła przeciągle. – No, gotowe. Naprawdę mi wyszło.

Po procesji i tańcach odbyła się w Rabaltué wystawna kolacja, na którą przybyli bawiący w Pasolobino krewni z dalszych okolic. Rozmowy, podlewane winem, ciągnęły się godzinami, choć jak co roku dotyczyły zawsze tych samych, doskonale wszystkim znanych anegdot, historyjek z miasteczka i okolic, plotek o przodkach i sąsiadach. Clarence przysłuchiwała się temu w nostalgicznej zadumie, albowiem doroczne rodzinne spotkanie kojarzyło jej się teraz ze zgromadzeniem w Domu Plemiennym, nawet jeśli było mniej liczne. To właśnie przy takich okazjach zdobywała większość informacji o przeszłości swojej rodziny.

Pod wieczór biesiadnicy wstali wreszcie od stołu, by obejrzeć przedstawienie na wolnym powietrzu: regionalne tańce i śpiewy. Zaraz na wstępie jeden z pieśniarzy folklorystycznego zespołu, grającego na gitarach, banduriach i lutniach, zaczął poważnym głosem piękną, poruszającą piosenkę. Clarence schyliła głowę i zacisnęła usta, próbując powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Powtarzający się raz po raz refren mówił: „Zieleń odradza się w maju, lecz nie odradza się miłość, nie odradza się miłość, która umarła w maju”.

Ona, Clarence, mogła cierpliwie czekać na nienadarzającą się nigdy okazję, by wyjaśnić rodzinną tajemnicę, jednakże nie mogła przestać myśleć o Iniku. Od jej

powrotu z Bioko upłynęły ponad trzy miesiące. Żadne z nich nie napisało. Bo co właściwie miałyby mu napisać? Żadne nie zadzwoniło. Bo co właściwie miałyby mu powiedzieć? Wiedziała, że wszystko u niego dobrze – od Lahy, który przysyłał mejle regularnie co tydzień. I tyle.

– Co się z tobą dzieje, Clarence? – Daniela położyła jej rękę na ramieniu. – I nie mów, że nic, bo i tak nie uwierzę. Przez cały dzień jesteś smutna i apatyczna. Właściwie jesteś taka, od kiedy wróciłaś z Afryki. – Przechyliła głowę, szukając wzroku kuzynki. – Kogoś tam zostawiłaś?

Clarence nie rozmawiała z nią o swoich podejrzeniach dotyczących ewentualnego brata z tych samych powodów, dla których nie poruszała tego tematu z Jacobem. Nie zamierzała puścić pary z ust, dopóki nie zdobędzie pewności. Przez chwilę szukała odpowiedzi na tyle sprytniej, by Daniellę uspokoić i powstrzymać ją od dalszych pytań. Uznała, że najlepiej pozostać przy wersji z zamorskim romansem. Całkiem zresztą prawdziwej.

– Coś w tym jest, ale nie chcę teraz o tym rozmawiać.

– Dobrze – zgodziła się kuzynka. – Tylko jedna rzecz: zobaczcie się jeszcze?

– Oby.

Daniela zmarszczyła brwi, lecz nie nalegała. Poklepała Clarence po ramieniu i skupiła się na ostatniej w czasie koncertu pieśni, którą publiczność nagrodziła gromkimi brawami.

Kuzynki ruszyły do baru po dwie szklaneczki ponczu i po drodze natknęły się na Julię. Clarence, widząc, że Daniela wita się z jakimiś znajomymi, postanowiła wykorzystać to nieoczekiwane sam na sam. Ostatnio Julia zawsze się spieszyła, co wyglądało dość podejrzanie. Czyżby żałowała, że podsunęła Clarence tamten trop – dosyć zresztą bezużyteczny? Należało od razu przystąpić do rzeczy, na wypadek gdyby znowu chciała uciec.

– Julio, chciałam cię spytać, czy to możliwe, żeby ten cały Fernando, nieco ode mnie starszy, urodził się gdzieś poza plantacją, na przykład w Bissappoo.

Słyszając tę nazwę Julia natychmiast podniosła wzrok. Od razu zdała sobie sprawę, że to był błąd, i aż się zaczerwieniła. Clarence poczuła przypływ nadziei.

– Ja... – Julia w zamyśleniu potarła czoło. Clarence nie wiedziała, czy po prostu nie zna odpowiedzi na to pytanie, czy głupio jej przyznać się do pomyłki, czy może wie coś, co nadal ukrywa. – Możliwe, że... – Znów umilkła. – Co za różnica?

Co za różnica?! Przecież to by wszystko zmieniło, wykrzyknęła w duchu Clarence. A Julia zdawała się wahać...

– Simón dał mi do zrozumienia, że Jacobo i Bisila się znali – drążyła. – Czy to prawda?

– Nic więcej ci nie powiem, choćby nie wiem co – ucięła Julia. – Jeśli tak cię to interesuje, zwróć się do ojca.

– Tu jest twój drink, Clarence. – Daniela stanęła obok, trzymając pod rękę swego stryja. Clarence z trudem powściągnęła złość. – Wiesz, że twój tata wytrzymał cały występ? A przecież nie cierpi takich rzeczy!

Julia spojrzała na Jacoba.

– Jak się masz, Julio? – spytał on. Przez chwilę oboje jakby się wahali, jaką wybrać formę powitania. Ostatecznie zdecydowali się na dwa zdawkowe cmoknięcia. – Dawno cię nie widziałem.

– Tak, dawno. Aż trudno w to uwierzyć, ostatecznie Pasolobino nie jest takie znowu duże.

– Tak. – Jacobo odchrząknął. – Długo zostaniesz?

– W przyszłym tygodniu wracam do Madrytu.

– My też wkrótce wyjeżdżamy do Barmonu.

– Nie mieszkacie tu na stałe, od kiedy przeszedłeś na emeryturę?

– Krążymy, jak zwykle. Siła przyzwyczajenia... – Jacobo przewrócił oczyma, założył ręce do tyłu i znów odchrząknął. – Dobrze wyglądasz, Julio. Jakby czas się ciebie nie miał.

Julia trochę się zaczerwieniła. Przez chwilę zastanawiała się, co by było, gdyby to Jacobo owdowiał, podobnie jak ona – nie Kilian. Czy zostało coś z dawnego żaru? Popatrzyła na wydatny brzuch Jacoba, a potem przeniosła spojrzenie na jego pobrużdżoną zmarszczkami twarz.

– Dziękuję – rzekła obojętnym głosem. – I nawzajem.

Krótkie milczenie przerwała Daniela, zwracając się do Kiliana, który właśnie do nich podszedł.

– Cześć, tato. Chcesz już wracać? Wydajesz się zmęczony.

– Zaraz się zbieramy. – Kilian spojrzał na Julię. – Jak się miewasz?

– W każdym razie nie tak dobrze jak ty. – To powiedziawszy, Julia uniosła rękę i pomachała jakiejś osobie, która stała nieopodal, u stóp zbrocza, oparta o samochód. – Chwileczkę! Już idę! – zawołała. – Przepraszam, ale na mnie pora.

Pożegnała się ze wszystkimi.

– Odprowadzę cię do auta – zaofiarował się Kilian.

Podał jej ramię, by nie potknęła się na pochyłości, i poprowadził Julię w dół.

– Chciałbym cię o coś zapytać – powiedział, gdy trochę się oddalili. Przystanął i popatrzył Julii w oczy. Mimo zmarszczek wciąż była atrakcyjną kobietą. – Czy Clarence opowiadała ci o swojej wyprawie do Gwinei?

– Tak. Raczej szczegółowo.

Odczekała, aż Kilian przetrawi te słowa. Jego wyraziste rysy z upływem lat nieco zwiotczały, skóra na czole i policzkach gdzieś pokryła się ciemnymi plamkami, lecz jego postawa, głos i zielone oczy pozostały takie same, jakie były kiedyś, na Fernando Poo. Julia pamiętała, jak długie wtedy prowadzili rozmowy i jak szczęśliwa się czuła, zaliczając go do grona bliskich przyjaciół. Sądziła, że dobrze go zna, a potem strasznie się rozczarowała. Jak on mógł z *tym* żyć? Po Jacobie by się tego spodziewała, ale po nim? Po nim nie.

– Prawie się rozplakałam pod wpływem wspomnień – dorzuciła twardszym tonem. – Zakładam, że wy też.

Kilian skinął głową.

– Pamiętasz, jak Manuela irytowały wierzenia Nigeryjczyków i Bubich? Te różne duchy? – Julia przytaknęła, uśmiechając się ze smutkiem. – Spędziłem na wyspie tyle

czasu, że chyba się tym trochę zaraziłem. Nie wiem, jak to wyjaśnić... Po prostu mam przeczucie, że pewnego dnia wszystko ułoży się w spójną całość.

Julia zacisnęła wargi. Przemówiła dopiero po dłuższej chwili.

– Nie do końca rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, Kilianie, ale miejmy nadzieję, że ten dzień nastąpi niedługo. Pamiętaj, w jakim jesteśmy wieku. Bliżej nam już do grobu niż do czegokolwiek innego.

– Zapewniam cię, że nie zamierzam umrzeć... – Pochwyciwszy jej pełne niedowierzania spojrzenie, Kilian od razu zrezygnował ze sztucznie żartobliwego tonu. – Nie zamierzam umrzeć, dopóki to się nie stanie. A tymczasem... Obiecuj mi, że będziesz się trzymać z boku.

– Czy nie robiłam tego przez wszystkie te lata? – odrzekła z urazą w głosie. Spojrzała w stronę opartej o auto znajomej, która niecierpliwie zerkała na zegarek. – Przepraszam, ale muszę już iść.

– Jeszcze tylko jedno. Kiedyś mi powiedziałaś, że czasem jest tak, jak chcemy, żeby było. Próbowowałaś wtedy ze mnie wyciągnąć, dlaczego tak długo po śmierci ojca nie wracałem do Pasolobino. Zawarliśmy nawet układ. Ja miałem ci wyłuszczyć swoje powody, a ty w zamian obiecałaś zdradzić mi sekret, którego ostatecznie nie zdradziłaś.

Oczy Julii zaszyły łzami. Jak to możliwe, że on pamiętał tę rozmowę z takimi szczegółami? I jak mogła mu wówczas wyznać, że, świeżo po ślubie z Manuelem, wciąż pragnęła Jacoba?

– Tak czy owak, nadal się z tobą nie zgadzam, Julio. W większości przypadków nic nie jest tak, jak chcemy, żeby było.

Julia zamrugnęła szybko, aby nie pozwolić łzom spłynąć na policzki. Spuściła wzrok i ścisnęła ramię Kiliana.

– Kiedy ci to mówiłam, byłam bardzo młoda. Szkoda, że nie mogę się cofnąć do tamtych z lat z obecnym doświadczeniem... – Westchnęła głęboko i odeszła.

Tymczasem cała rodzina Kiliana, z wyjątkiem Clarence, wróciła już do domu.

– Wszystko w porządku, stryjku? – spytała bratanica. – Wyglądało to tak, jakbyście się kłócili.

– Ja? Z Julią? Niemożliwe. Coś ci się przywidziało.

Jak ostatnio zresztą często, pomyślała Clarence.

Kilian wsparł się o jej ramię, by udać się z powrotem do domu ulicami tonącymi w powodzi kolorowych chorągiewek.

Jeśli pominąć ciężące jej na sercu wspomnienie Inika, wątpliwości, czy wahanie Julii w czasie ich ostatniej rozmowy nie otwierało aby nowych perspektyw na sprawę rzekomego brata, przygnębienie Kiliana, widoczne mimo jego wysiłków, by zachowywać się normalnie, oraz wiecznie zły humor Jacoba – letnie uroczystości 2003 roku, zdaniem Clarence, niewiele się różniły od poprzednich.

Trudno było przypuścić, że już rok później zabraknie jednego z członków rodziny.

Ostry jesienny wiatr z północy ogołocił drzewa z niespotykaną gwałtownością.

Carmen i Jacobo przenieśli się do Barmonu i, w odróżnieniu od wcześniejszych lat, bardzo rzadko zaglądali do Pasolobino. Daniela pracowała więcej niż zwykle w swoim centrum zdrowia, a w dodatku zapisała się na internetowy kurs medycyny dziecięcej,

który pochłaniał jej całe wieczory. Kilian spędzał długie godziny, rąbiąc drewno do kominka, chociaż przy nim nie siadywał. Clarence natomiast, która, podobnie jak szarpane wichurą drzewa, znajdowała się w raczej niespokojnym momencie swego życia, pogrążyła się w pracy nad paroma artykułami naukowymi oraz przygotowaniem zajęć mających się rozpocząć po Bożym Narodzeniu.

Temu się właśnie oddawała, gdy jednego z najbardziej szarych listopadowych popołudni przyszedł mejl od Lahy, który zapowiadał, że w połowie grudnia firma wysyła go do Madrytu. Clarence wydała okrzyk radości i natychmiast zaprosiła przyjaciela na Gwiazdkę do Pasolobino. Była ogromnie zadowolona, bo Laha chętnie się zgodził.

Do ostatniej chwili wahała się, czy zdradzić rodzinie jego tożsamość, lecz ostatecznie powiedziała tylko, że spodziewa się wizyty inżyniera, którego poznała w Gwinei i z którym się *wyjątkowo* – mocno zaakcentowała ten przysłówek – zaprzyjaźniła. Jeśli jego przyjazd miał się okazać punktem zwrotnym, na który czekała, to musiała Jacoba i Kiliana całkowicie zaskoczyć.

Carmen, oczywiście, była zachwycona, że oto – wreszcie! – będzie miała okazję podejmować *wyjątkowego* przyjaciela córki. Ojciec natomiast wyraził telefonicznie swoje oburzenie tym, że w czasie tak rodzinnych świąt narzuca mu się obecność kogoś obcego, i po raz pierwszy wspomniał o możliwości pozostania na Gwiazdkę w Bermonie. Daniela zaraz zaczęła wypytywać kuzynkę o faceta, który najprawdopodobniej stanowił przyczynę jej miłosnych cierpień, a Kilian, wyrwany na moment ze swojej zadumy, popatrzył na siostrzenicę nieodgadnionym spojrzeniem i nie powiedział nic, zupełnie nic, tylko, po wielu latach niepalenia, sięgnął po należące do Clarence papierosy, ku jej milczącemu zdumieniu wyjął z paczki jednego, pochylił się nad świeczką z przygotowanego przez Carmen adwentowego stroika z sosnowych gałązek, i zapalił.

Clarence zaś – mimo nerwów – poczuła się idiotycznie szczęśliwa, że spotka się z bratem Inika.

Czy może raczej powinna już o nim myśleć jako o swoim bracie?

XII. BÁIXO LA NÉU

Pod śniegiem

Podróż pociągiem i autobusem z Madrytu do Pasolobino nie była szczególnie wygodna, ale, rzecz jasna, pozwalała dobrze przyjrzeć się krajowi, który wywarł tak wielki wpływ na Gwineę.

Laha cieszył się, że zobaczy Clarence, jednakże, przede wszystkim, nie mógł się doczekać spotkania z jej hiszpańską rodziną i całym otoczeniem. Nowa przyjaciółka całkiem nieświadomie obudziła w nim zaskakujące, wręcz – jak sam uważał – lekko chorobliwe zaciekawienie sprawami, które wcześniej pozostawały poza kręgiem jego zainteresowań. Oto trafiała mu się szansa, by wyobrazić sobie, jak wyglądałaby jego egzystencja, gdyby biały ojciec zdecydował się jednak nim zająć. Bo przecież było całkiem możliwe, że ów człowiek pochodził właśnie z Hiszpanii i że gdzieś na tym półwyspie, który on, Laha, odwiedzał po raz pierwszy, żyli jego krewni.

Fakt, że w podobnej jak on sytuacji znalazło się wiele innych dzieci, bynajmniej niczego mu nie ułatwiało. Iniko przynajmniej wiedział, że jego ojciec zginął w wypadku, i jak miał na imię. A on nie. W dzieciństwie zadowoliliby się zresztą byle kłamstwem. Ileż to razy fantazjował, że jest synem dzielnego podróżnika pożartego przez lwa po straszliwej walce albo na przykład szpiega, który po zakończeniu tajnej misji z pewnością po niego wróci. W miarę jak dorastał i zaczynał rozumieć swoje położenie, jego pytania stawały się coraz bardziej bezpośrednie i ostre. Próbował nagabywać dziadka, który jednak zawsze odsyłał go do matki, ta zaś setki razy nieugięcie powtarzała, że jest po prostu synem Bisili.

Pamiętał przeszukiwanie domu w nadziei znalezienia jakiejś pamiątki czy śladu. Jedynym, niezbyt zadowalającym tego efektem był fragment niewyraźnej fotografii przedstawiającej opartego o furgonetkę białego mężczyznę, a także kilka zdjęć młodej Bisili. Matka nigdy się nie dowiedziała, że zdążył tamtą fotografię nawet skopiować i od tamtej pory nosił ją w portfelu. Zdawał sobie sprawę, że to niezbyt mądre, jednakże przez długi czas traktował tego mężczyznę bez twarzy jako potencjalnego ojca.

Z upływem lat zdołał przyjąć do wiadomości, że historia matki niewiele się różni od historii Sade i wielu innych kobiet, i że ojciec porzucił ich bez cienia szacunku czy wyrzutów sumienia. Nie on pierwszy i nie on ostatni, co wprawdzie nie stanowiło żadnej pociechy, ale, owszem, zmniejszało do zera ciekawość. Bo po co interesować się człowiekiem, który nie interesował się własnym synem? Przestał więc o nim myśleć – o nim i o wszystkim, co się z nim wiązało – i żył sobie szczęśliwie, aż...

Aż w jego życiu pojawiła się Clarence.

Spojrzał na zegarek. Od dwóch godzin siedział w autobusie, który właśnie teraz skręcił w kierunku widocznych na horyzoncie gór. Poprzecinane brzdami pola, przywodzące na myśl gruby sztruks, porośnięte krzewami winorośli sprawiającymi wrażenie przykurczonych z zimna, niepostrzeżenie ustąpiły delikatnym pagórkom, wśród których od czasu do czasu pojawiały się jakieś bajorka i coraz mniejsze

miasteczka. Architektura też się zmieniła. Zamiast wielopiętrowych budynków wszędzie widać było niezbyt wysokie domy z cegły, niektóre stare, inne całkiem nowe, jeszcze inne w trakcie budowy. Laha wyczuwał, że od pewnego czasu wszystko tu ulega intensywnym przemianom; wyczuwał radosną atmosferę panującą zwykle w miejscach, które wreszcie otrzymały wyczekiwaną przez wieki szansę na rozwój.

Jednakże kiedy naprawdę wjechali w góry, serce w nim zamarło. Droga zwężyła się do tego stopnia, że nie rozumiał, jakim cudem autobus mieści się między ziejącą po lewej stronie przepaścią z widoczną w głębi rzeką a wznoszącą się po prawej skalną ścianą. Przez długich czterdzieści minut kierowca walczył z ostrymi, wykutymi w kamieniu zakrętami. A potem pejzaż znów się zmienił, podobnie jak migające za oknem miasteczka.

Jaki diabeł wygnał stąd co poniektórych, każąc im szukać szczęścia w miejscu tak odmiennym jak Gwinea Równikowa? Czy chodziło jedynie o materialną potrzebę, czy również o to wrażenie duszności i zamknięcia, wywoływane przez okoliczne szczyty?

Dolinę, w której leżało Pasolobino, otaczały potężne, urwiste góry, latem do pewnej wysokości zielone od lasów i łąk, wyżej zaś najeżone skalistymi grzbietami sięgającymi nieba. Rozsiane po zboczach niewielkie osady ukazywały podwójne oblicze: pociemniałe od starości kamienne domy o stromych łupkowych dachach i prostych kominach stały obok budynków zupełnie nowych, wzniesionych z identycznych materiałów, ale pozbawionych patyny lat.

Gdy zdawało się już, że głębiej w góry zapuścić się niepodobna, autobus zatrzymał się w miejscowości o nazwie Cerbeán, nieco większej niż poprzednie, i Laha wreszcie znalazł się u celu. Była wyjątkowo śnieżna Wigilia Bożego Narodzenia. Ze spokojnego jeszcze przed południem nieba sypały się płatki wielkości orzechów laskowych.

Jakaś kobieta ubrana w kurtkę z kapturem, wełnianą czapkę, rękawiczki, szalik i wysokie buty na grubej podeszwie zamachała do Lahy ręką. Na jej twarzy, jedynej odsłoniętej części ciała, malował się dobrze znany przybyszowi uśmiech. Laha z radością rozpoznał przyjaciółkę i nabrał przekonania, że to będą niezapomniane wakacje.

Clarence pomyślała, że Laha wygląda wspaniale. Miał na sobie płaszcz z ciemnej wełny, szalik i skórzane brązowe półbuty przydadzące mu miejskiego szyku. Gdy ją uściskał, przytrzymała go trochę zbyt długo, przywołując w pamięci inne ramiona.

Nie, uświadomiła sobie. Iniko jest większy.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. – Odsunęła się i znów uśmiechnęła. – Mam nadzieję, że nie przeraża cię ten śnieg. Jak ktoś nie jest przyzwyczajony, może źle go znosić.

– Na Bioko deszcz pada bez przerwy przez połowę roku. – Laha odwzajemnił uśmiech. – Sądzę, że odrobina śniegu nie będzie mi przeszkadzać.

Clarence wyprowadziła samochód na odśnieżoną, wąską, idącą pod górę krętą szosę, z której widać było ciekawy, owalny kształt leżącego w dole Cerbeanu. Po drodze do Rabaltué wymieniali się z Lahą najświeższymi wieściami.

– Jak tam twój brat? – spytała go najswobodniej, jak potrafiła. Nie zdołała jednak wymówić imienia „Iniko”.

– O, normalnie. Praca, dzieci, spotkania... – odrzekł Laha. – Po twoim wyjeździe

znów zrobił się strasznie milkliwy. Wiesz zresztą, że nigdy dużo nie mówi.

Przy mnie mówił i ciągle się śmiał, pomyślała.

– Wiele razy kazał mi cię pozdrowić.

W miarę jak zbliżali się do Pasolobino, Clarence coraz bardziej się denerwowała. Opowiadała swoim bliskim o ludziach poznanych w Gwinei, nie wspomniała jednak, że na święta zaprosiła właśnie Lahę. Jakiej należało się spodziewać reakcji?

– Już prawie jesteśmy... – obwieściła dziwnie cienkim głosem. – Przygotuj się na siedzenie przy stole do jutrzejszego popołudnia! I jedna rada: jeśli mama spyta, czy chcesz dokładkę, a ty się zawahasz, niechybnie uzna, że chcesz.

Tymczasem w Rabaltué Carmen raz po raz zaglądała do piekarnika, by wychwycić dokładnie ten moment, w którym pieczeń osiąga doskonałość. Fakt, że Clarence zaprosiła na święta przyjaciela, stanowił absolutną nowość i ona, Carmen, zamierzała – poza poddaniem gościa starannym oględzinom – zrobić na nim jak najlepsze wrażenie w każdym aspekcie, od kulinariów poczynając.

Kilian był nerwowy od rana, jakby miało się wydarzyć coś niezwykłego. Początkowo wiązał to z tym dziwnym spokojem, jaki zawsze poprzedza śnieżycę albo huragan, po południu wszakże uznał, że jednak nie w tym rzecz – czuł coś trudnego do uchwycenia, jak gdyby raz po raz przenikały go niematerialne, ale ostre podmuchy wywołujące dreszcze.

Spojrzał na Jacoba, który z podejrzanym zainteresowaniem oglądał w telewizji bożonarodzeniowe orędzie króla. Wciąż nie odważyli się skomentować między sobą gwinejskich opowieści Clarence, lecz Kilian wiedział, że w głowie brata wspomnienia muszą się kotłować tak jak w jego własnej. Przez wiele lat udawali, że nic z tamtych rzeczy nigdy się nie zdarzyło, i teraz obaj bali się złamać ów pakt milczenia. A jeśli czekała ich konfrontacja z przeszłością? Jacobo też zapewne rozumiał, że Clarence coś podejrzewa. Ile mogła wiedzieć? Czy Bisila coś jej zdradziła?

Jacobo odwrócił się i napotkał wzrokiem spojrzenie Kiliana. Zmarszczył brwi. Czemu brat tak się dziwnie zachowywał? Ostatecznie to nie jego córka wybrała sobie akurat święta, żeby przedstawiać rodzinie *wyjatkowego przyjaciela!* Co za wyrażenie! Zupełnie jakby rodzice byli tak głupi, żeby nie rozumieć, co znaczy słowo „wyjątkowy” użyte przed słowem „przyjaciel”. Carmen się cieszyła, bo jeśli Clarence zaprosiła go do domu, to znaczyło, że sprawa jest poważna i wymaga oficjalnej prezentacji. On, Jacobo, w odróżnieniu od żony, miał mieszane uczucia. Po pierwsze – nie bardzo mu się chciało wysilać przed obcym, który mógł, lecz wcale nie musiał ostatecznie wejść do rodziny. Po drugie – sama myśl o ewentualnych wnukach sprawiała, że czuł się jeszcze starszy, niż był, co w ogóle mu się nie podobało. Westchnął. Cóż, prawo życia. Poza tym w sumie cieszył się szczęściem córki, którą przecież kochał najbardziej na świecie. Obiecał więc sobie, że się postara.

– Cześć! – Drzwi nagle się otworzyły i weszła Clarence. – Już jesteśmy! – Potem, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, wyrzuciła z siebie: – Przedstawiam wam Fernanda Lahę, nazywanego przez wszystkich po prostu Lahą... – Zaśmiała się nerwowo, odsunęła na bok i, przetykając ślinę, skupiła się na reakcjach rodziny, szczególnie ojca i stryja.

Wszyscy przerwali to, co robili wcześniej, i zwrócili się w stronę tego wysokiego, przystojnego mężczyzny, który uśmiechał się do nich swoim szczerym, olśniewającym uśmiechem i, choć dopiero co znalazł się w obcym domu, emanował pewnością siebie i spokojem.

Carmen ściągnęła usta, jakby chciała ze zdumienia zagwizdać. Jacobo, oderwawszy wzrok od telewizora, skoczył na równe nogi, jak gdyby zobaczył ducha. Kilian stał nieruchomo, wpatrując się w Lahę szklistymi oczami. Daniela upuściła pudełko pełne złotych gwiazdek, którymi akurat przyozdabiała stół: rozsypane po podłodze ułożyły się w nietrwałą konstelację. Natychmiast rzuciła się je zbierać, czerwona z zażenowania.

Carmen pierwsza przywitała się z gościem. Laha wręczył jej pudełko czekoladek.

– W Madrycie jest sklep – oświadczył poufnym tonem – który nazywa się Cacao Sampaka. Nie ma nic wspólnego z plantacją, ale podobno sprzedaje najlepsze czekoladki na świecie. Pomyślałem, że to świetna okazja, by się przekonać.

Carmen podziękowała, kątem oka obserwując pobladłą twarz męża.

Jacobo zdążył już zapomnieć o swoich dobrych intencjach sprzed krótkiej chwili. Fernando Laha? Jeden z synów Bisili? To w nim zakochała się jego córka? Niemożliwe! Na miłość boską! Gdyby Carmen wiedziała...! Przeklął w duchu nieszczęśliwy traf, który oczywiście musiał zetknąć Clarence akurat z tym, z kim nie powinna się spotkać. Czy ten cały Laha zdawał sobie sprawę, co przydarzyło się jego matce...? Kilian i on, Jacobo, zdołali z tym żyć. Zdołali zapomnieć. Więc dlaczego w oczach brata lśniło teraz coś w rodzaju oczekiwania, nawet nadziei? Chyba że Kilian wiedział o istnieniu tego chłopaka... I nic bratu nie powiedział? Jacobo przypomniał sobie naraz fragment listu, na który natrafił przed laty, szukając jakiegoś dokumentu w szafie w salonie. Wtedy nie zwrócił na tamte słowa większej uwagi. Teraz zyskiwały całkiem nowy sens. Clarence i Laha? Roztrzęsiony pokręcił głową. Jeszcze nie miał pomysłu jak, niemniej zamierzał zadbać, by jego córka nie zadawała się więcej z tym człowiekiem.

Laha zbliżył się z wyciągniętą dłonią. Jacobo ledwie coś wyburczał, ściskając ją nader chłodno. Carmen podeszła do córki.

– Bardzo przystojny chłopak, Clarence – szepnęła tak, by nikt inny jej nie usłyszał – ale powinnaś była nas uprzedzić o jego *wyjatkowości*. Widziałaś minę ojca?

Clarence nie odpowiedziała, ponieważ z zapartym tchem śledziła powitanie Lahy i Kiliana. Stryj przez dłuższą chwilę trzymał w swoich ogromnych dłoniach rękę gościa, jak gdyby chciał się upewnić, że to się dzieje naprawdę. Nie odrywał też od niego spojrzenia. Tyle lat się zastanawiał, jak on może wyglądać, i proszę: oto stała przed nim odpowiedź! Przeczucie go nie zawiodło. Wszystko zaczynało układać się w całość. Usłyszał, że Jacobo mruczy coś pod nosem.

Wypuścił dłoń Lahy i przesunął się w stronę brata, podczas gdy Clarence przedstawiała przyjacielowi Danielę, która przez ułamek sekundy chyba się zawahała nad najwłaściwszą formą tego powitania. Ostatecznie podała chłopakowi rękę, którą Laha uścisnął, gdy tymczasem Daniela wspinała się już na palce, by pocałować go w oba policzki. Cała scena zakończyła się śmiechem.

Carmen oświadczyła, że kolacja będzie gotowa za kilka minut. Clarence poprowadziła więc Lahę do pokoju gościnnego, by mógł tam zostawić bagaże. Gdy

wkrótce zjawił się w jadalni, jego przyjaciółka akurat kładła przywiezione przez niego czekoladki na środku przystrojonego przez Danielę stołu. Nazwa „Sampaka” wypisana złotymi literami, na pudełku miała towarzyszyć zebranym przez cały czas, nie tylko w trakcie kolacji, lecz również przez resztę wieczoru, przyćmiewając, po raz pierwszy w tym domu, tradycyjny turrón, aż w końcu wszyscy udali się na spoczynek – którego jednak nie każdemu było dane tej nocy zaznać – unosząc ze sobą ogłuszające echa niewypowiedzianych słów.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, że Carmen, przygotowując kolację, dała z siebie wszystko. Na pierwsze danie był rosół gotowany przez wiele godzin na wolnym ogniu i lekko zagęszczony tapioką; na drugie – jaja faszerowane foie gras na szynce z Jabugo, a do tego krewetki i bób; na trzecie – niespodzianka w postaci wyśmienitej pieczeni jagnięcej z dodatkiem pokrojonych w plasterki pieczonych ziemniaków; na deser wreszcie – pływające w kremie angielskim idealne bezy.

Dzięki tym przysmakom i dobremu winu początkowe zmieszanie i napięcie zostały poniekąd przewyciężone.

– Clarence dużo nam opowiadała o swoim pobycie w Gwinei – rzekł Kilian, odchylając się na oparcie krzesła.

Ruch ten oznaczał zawsze, że powierzchowne, towarzyszące posiłkowi rozmowy dobiegły właśnie końca i że teraz, po deserze, przyszła pora na poważne tematy.

– Miło nam było – Kilian wskazał na brata – po tak długim czasie otrzymać wreszcie informacje z pierwszej ręki. Jednak korzystając z tego, że tu jesteś, chciałbym i ciebie podpytać, jak tam to wszystko teraz wygląda.

Stryj Clarence zrobił na gościu miłe wrażenie. Z pewnością przekroczył już siedemdziesiątkę, ale wciąż był energiczny i wydawał się przez to młodszy. Argumentując, żywo gestykulował, a śmiał się szczerze i w porę. Jacobo, fizycznie bardzo do niego podobny, miał coś dziwnego w oczach. I nie chodziło wcale o bielmo, które, niczym gruba pajęczyna, pokrywało część jego lewej tęczówki, lecz o to, że w ogóle nie patrzył na niego, Lahę, wprost. Zachowywał się uprzejmie i nic ponadto. Nie brał też specjalnego udziału w konwersacji, jakby go wręcz nudziła.

Daniela i Clarence obserwowały swoich ojców ze zdumieniem. Działo się z nimi coś dziwnego. Kilian, znienacka wyrwany ze swojego letargu, znów, jak kiedyś, sypał anegdotkami na prawo i lewo. Jacobo z kolei siedział nadąsany bardziej niż zwykle. Najprawdopodobniej to wino tak na nich obu wpływało.

– Właściwie – zaczął Laha – nie wiem, czy zdołam coś dodać do tego, co mówiła Clarence. Zakładam, że wspomniała, jak ciężko się tam żyje. Brak infrastruktury, dobrej pracy, sprawiedliwego prawa, skutecznej administracji... Warunki sanitarne też pozostawiają wiele do życzenia...

Daniela, jako pielęgniarzka, zainteresowała się tym szczególnie. Choć w gruncie rzeczy interesowało ją wszystko, co mówił lub robił Laha. Zaczynała rozumieć, dlaczego Clarence tak źle znosiła rozstanie z nim i tak się ucieszyła na wieść o jego przyjeździe. Ale jak mogła zataić przed kuzynką coś podobnego? No bo żeby nawet zdjęcia nie pokazać...? Gdyby ona, Daniela, zakochała się w kimś takim, trąbiłaby o tym bez przerwy. Czemu więc kuzynka trzymała rzecz w tajemnicy? Czy faktycznie była z Lahą

w związku, czy bez wzajemności się w nim durzyła? Daniela obserwowała ich od samego początku wizyty. Clarence traktowała gościa z uprzedzającą grzecznością, wręcz serdecznie, i wciąż popatrywała to na niego, to na Jacoba, jakby szukała u ojca oznak sympatii. Jacobo wszakże nie wyglądał na szczególnie zachwyconego przyjacielem córki. Czy to ze względu na kolor jego skóry? Clarence z Murzynem? Stryj z pewnością się czegoś takiego nie spodziewał. Daniela przygryzła dolną wargę. Wszystko działo się niezwykle szybko. Tak czy owak, Laha i Clarence bez wątpienia bardzo się lubili, jednakże nie wykonywali żadnych gestów świadczących o tym, że łączy ich coś więcej niż bliska przyjaźń. Choć może ona, Daniela, po prostu chciała tak myśleć.

Słyszała, że Laha krytykuje akurat niedobory sprzętu i wykwalifikowanego personelu w szpitalach i mniejszych ośrodkach medycznych, zwłaszcza na wsi, skutkujące wciąż bardzo wysoką stopą śmiertelności wśród dzieci... Chłoneła każde jego słowo, każde poruszenie. Ubrany był w białą koszulę i krawat. Kręcone włosy niesfornymi kosmykami opadały mu na szerokie czoło. Nos miał cienki. Skórę bardzo ciemną. Gdy się śmiał, odrzucał głowę do tyłu, a oczy błyszczały mu jakoś znajomo.

Bardzo chciała, żeby zwrócił na nią uwagę. Czuła się z tego powodu nieco winna wobec kuzynki, jednakże Clarence zdawała się chętnie dzielić jego zainteresowaniem...

– Ale jak to możliwe, że tak mały kraj posiadający tak duże złoża ropy znajduje się takim stanie?

Laha wzruszył ramionami.

– To przez złe zarządzanie. Gdyby prowadzić właściwą eksploatację, Gwinea należałaby do krajów afrykańskich o najwyższym dochodzie na głowę.

– Clarence mówiła, że to w dużej mierze konsekwencja wrogości dzielącej Fangów i Bubich – wtrąciła Carmen, zaróżowiona zarówno od wina, jak i z satysfakcji, że kolacja tak wspaniale się udała.

Laha westchnął.

– Nie wydaje mi się. Proszę posłuchać... Mam przyjaciół Fangów, którzy dobrze rozumieją trudną sytuację Bubich. Ale marginalizowane są także inne grupy. Zresztą wielu Fangów też wcale nie należy do kręgów władzy i nie korzysta z żadnych przywilejów. Rzecz w tym, że konflikty etniczne często służą jako przykrywka. Jeśli jakiś Bubi zostaje zatrzymany i zamordowany, jego rodzina natychmiast wrzuca do tego samego worka wszystkich Fangów. I tak nasila się ta wrogość, dla władzy czasem niezwykle wygodna.

Kilian wstał, by napełnić kieliszki. Jacobo wyprostował się na krześle i kpiąco zapytał:

– A co to znowu za wymysł z tą niepodległością wyspy? Bo Clarence coś wspominała... – Potarł bliźnię na lewej ręce. – Niektórym chyba nie wystarczyło wyzwolenie się od Hiszpanii, skoro głoszą takie hasła...

Clarence posłała ojcu ostre spojrzenie, Laha wszakże ani się nie zirytował, ani nie zmienił tonu.

– Tutaj też macie ruchy separatystyczne, prawda? U nas organizacja żądająca niepodległości wyspy nie jest nawet uważana za partię polityczną. Mimo że opowiada się przeciw przemocy, a jedynie za prawem do samostanowienia i wolnej,

demokratycznej dyskusji.

Zaległo krótkie milczenie, które przerwała Daniela. Clarence dziwiła się rozmowności kuzynki tego wieczoru.

– To pewnie kwestia czasu. Nic się nie zmienia z dnia na dzień. Clarence opowiadała też, że dużo się na wyspie buduje i że uniwersytet jest w lepszym stanie, niż sobie wyobrażała... To chyba dobry znak, prawda?

Laha spojrział na nią z uwagą. Wydawała się bardzo młoda, na pewno młodsza od Clarence. Ubrana była w czarną sukienkę na ramiączkach i wełniany szal, a jasnobrązowe włosy związała w niewielki kok nad karkiem. Miała bardzo jasną, jakby porcelanową skórę i wyraziste brązowe oczy, którymi przypatrywała się mu przez cały wieczór. Widząc, że teraz on na nią patrzy, zamrugnęła, spuściła wzrok na pudełko z czekoladkami i przez dłuższą chwilę wśród nich przebierała. Laha zauważył jednak, że wcale nie miała ochoty na słodycze, bo w końcu powoli cofnęła rękę, nie chcąc, by ktokolwiek się zorientował, że po prostu poczuła się zmieszana.

– Tak, Danielo. – Wciąż na nią patrzył. – Masz słuszność. Jestem tego samego zdania. Od czegoś trzeba zacząć. Może któregoś dnia...

– Posłuchajcie wszyscy! – przerwała Carmen wesoło. – Dziś Wigilia, a my zrobiliśmy się strasznie poważni. Rozwiązać problemy Gwinei jeszcze zdążycie. Na razie porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Laha, chcesz jeszcze kremu?

Zagadnięty zawahał się, pocierając palcem brew, a Clarence wybuchnęła śmiechem.

Ten sam rytuał powtórzył się również nazajutrz, tyle że menu i rozmowa były inne. Wszyscy wstali bardzo późno, z wyjątkiem Carmen, która po raz kolejny wspięła się na kulinarne wyżyny i podała wspaniałą bożonarodzeniową obiad z ogromnym, nadziewanym suszonymi owocami indykiem w roli głównej. Z nieba, po krótkim odpoczynku, znów zaczął sypać gęsty śnieg, na dachach i ulicach nagromadziło się go niemal pół metra, co skutecznie utrudniało spacer. Clarence, Daniela i Laha pomagali w kuchni i nakrywali stół. Jacobo i Kilian pojawiali się od czasu do czasu, słuchali, o czym akurat mowa, po czym znów znikali. Dom był wystarczająco duży, by pozwolić się ukryć komuś owładniętemu przez wspomnienia.

Carmen wypytywała Lahę o Boże Narodzenie w jego ojczyźnie, na co on z kolei zapytał, w której: afrykańskiej czy amerykańskiej. Carmen mówiła, że amerykańskie święta potrafi sobie wyobrazić dzięki filmom i że bardziej ciekawia ją afrykańskie, on się śmiał, a Daniela przerywała to, czym się właśnie zajmowała, by ukradkiem na niego popatrzeć.

Mimo niepokojów związanych z prawdziwą tożsamością Lahy, zajmującą jej myśli bez przerwy, Clarence czuła się szczęśliwa, bo też i bardzo lubiła okres świąteczny: biały pejzaż, kolorowe światełka na ulicach, dzieci w wielkich czapach, niegasnący ogień na kominku i kuchnię pełną rondli, półmisek oraz patelni z najrozmaitszymi daniami.

Kuchnia w Rabaltué była zresztą duża, bardzo duża, a mimo to Daniela i Laha zawsze jakoś na siebie wpadali, choćby po drodze do jadalni, by potem długo i uprzejmie się nawzajem przeproszać.

Laha wyjaśniał Carmen, że święta w Pasolobino bardziej chyba odpowiadają upodobaniom Clarence niż te, które mogłaby spędzić w Gwinei. Na Bioko panowała

wtedy pora sucha i każdy marzył jedynie o prysznicu – jeśli taki w domu miał – ewentualnie o kąpeli w rzece czy morzu. W miastach, owszem, paliły się bożonarodzeniowe światełka – chyba że akurat nastąpiła przerwa w dostawie prądu – jednakże wioski tonęły w ciemności. Gwiazdkowe ozdoby i kolędy mogły przy takim upale dziwić, lecz mimo wszystko rozwieszano te pierwsze i słuchano tych drugich. Dzieci nie były bombardowane reklamami zabawek, ponieważ zabawki stanowiły rzadkość, podobnie jak prezenty w ogóle. No i piło się, oczywiście, choć może nie tyle co w Rabaltué – przy tej uwadze trzy obecne w kuchni kobiety parsknęły śmiechem; akurat alkohol dużo nie kosztował.

Laha przywiózł dla wszystkich prezenty i chciał wiedzieć, kiedy powinien je wręczyć. Carmen musiała sama przed sobą przyznać, że coraz bardziej lubi tego młodego człowieka i że nie miałaby nic przeciwko temu, by został jej zięciem. Daniela zastanawiała się tymczasem, co on zamierza jej podarować, skoro w ogóle jej nie zna. Niestety, na odpowiedź trzeba było poczekać do deseru.

Panie dostały perfumy, biżuterię, torebki i rozmaite kobiece drobiazgi. Jacobo otrzymał sweter, Kilian – skórzany portfel. Potem przyszła pora na prezenty od Lahy. Gość podarował Carmen trzy książki: esej o gwinejskich zwyczajach, antologię tamtejszej literatury oraz małą książkę kucharską z tradycyjnymi gwinejskimi przepisami; Jacobowi – kilka kupionych w Madrycie filmów, które pewien hiszpański reżyser nakręcił na Fernando Poo między 1940 a 1950 rokiem; Clarence – płyty z muzyką gwinejskich zespołów nagrywających w Hiszpanii; Danieli zaś, siedzącej zresztą tuż koło niego – prześliczny szal, który delikatnie zarzucił jej na ramiona. Nie zdejmowała go potem przez resztę wieczoru, nawet sprzątajac ze stołu, bo przecież ten materiał, który teraz muskał jej skórę, wcześniej był dotykany przez palce Lahy.

Gdy wreszcie i siedzący u szczytu stołu Kilian wziął do rąk małą paczuszkę, Laha oświadczył:

– Trochę zabrakło mi pomysłów. Spytałem matkę i... Mam nadzieję, że to nie będzie pomyłka.

Kilian odwinął papier i wyjął mały drewniany przedmiot w kształcie prostokąta. Był to dzwoneczek o kilku sercach.

– To jest... – zaczął Laha.

– ...*elëbó* – dokończył Kilian ochryłym głosem. – Tradycyjny dzwonek używany przez Bubich do odpędzania złych duchów.

Wszyscy się zdziwili, że tak doskonale się orientuje. Clarence wsparła brodę na rękę i przymknęła powieki. Co mówił w Sampace Simón? Że jeśli oczy nie udzielą jej odpowiedzi, powinna szukać właśnie *elëbó*. Gdzie miała go szukać? Najpierw hełm korkowy, a teraz to... Dlaczego Bisila zasugerowała synowi akurat taki prezent? Ona, Clarence, nic nie wiedziała o ewentualnych kontaktach między matką Inika a Simonem. Ale w sumie nigdy o nie przecież nie pytała...

– Bardzo dziękuję – dorzucił stryj. Był bardzo blady. – To lepszy prezent, niż mógłbyś przypuszczać.

Daniela sięgnęła po dzwonek i przyjrzała mu się z uwagą.

– Gdzie ja już taki widziałam? – zastanawiała się, marszcząc czoło. – Przypomina

mi...

– Daniela, moje dziecko – przerwał jej Kilian – gdzie są te pyszne czekoladki, które jedliśmy wczoraj?

Daniela posłusznie wstała, by je przynieść, i zapomniała o swoim pytaniu.

– Ostatnio – zauważyła Carmen – członkowie naszej rodziny otrzymują bardzo szczególne prezenty.

Laha pytająco przekrzywił głowę.

– Chodzi o hełm korkowy, który przekazała mi przez Inika twoja mama – wyjaśniła Clarence.

– Hełm korkowy? – Laha popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nie przypominał sobie czegoś takiego w domu. Zwrócił się do Kiliana: – Ciekawe, gdzie go chowała. Kiedy miałem siedem czy osiem lat, Macías kazał przeszukać wszystkie mieszkania i zniszczyć wszystkie przedmioty mające cokolwiek wspólnego z epoką kolonialną. Wtedy zaczął się okres niszczenia zbiorowej pamięci.

Kilian zamrugał. Potem rzekł:

– Tutaj działo się coś podobnego. Aż do końca lat siedemdziesiątych frankistowska ustawa zakazywała choćby wspominać o Gwinei. Zupełnie jakby chodziło o sen, o coś, co w rzeczywistości nigdy nie istniało. Nic nie wiedzieliśmy o koszmarach, przez jakie niektórzy z was przechodzili.

– Czy to było naprawdę takie straszne? – spytała delikatnie Carmen.

– No, ja miałem to szczęście, że byłem wtedy dzieckiem – odrzekł Laha. – Ale tak, to było naprawdę straszne. Nic tylko represje, oskarżenia, zatrzymania i egzekucje. Mógłbym wam godzinami opowiadać o szaleństwach Macíasasa. – Daniela znów przysiadła u jego boku. – Nie znosił na przykład, żeby ktoś wiedział więcej od niego, więc rozprawiał się z każdym, kto górował nad nim intelektualnie. Za posiadanie podręcznika ojców sercanów zatytułowanego *Geografia i historia Gwinei Równikowej* groziła kara śmierci. W szkołach obowiązywał inny podręcznik, raz po raz obrażający Hiszpanów, których Macías mimo to nieustannie prosił o wsparcie ekonomiczne. Gdy pojawiły się ulotki nazywające go mordercą, zarekwirował wszystkie maszyny do pisania w kraju. Kazał spalić wszystkie książki. Wezwał do powrotu z Hiszpanii gwinejskich stypendystów, pod groźbą utraty stypendium, i część z nich potem zamordował. Zabronił posługiwania się słowem „intelektualista”. Masowo sprowadzał na Bioko Fangów z kontynentalnej części kraju, młodych ludzi z zapadłych wiosek, bez wykształcenia, zawodu czy jakiegokolwiek kultury, rozdawał im broń. Wykończył prasę. Zabronił zarówno wyznawania katolicyzmu, jak i oddawania czci Wielkiemu *Morimò* z Moki. – Laha potarł oczy. – Ale czego można się było spodziewać po kimś, kto wychwalał Hitlera?

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

Daniela skorzystała z okazji, by dolać gościowi wina.

– Jednakże – odezwał się Jacobo – Macías został chyba wybrany w demokratycznym głosowaniu?

– Ciągle pokazywali go w telewizji – mruknął Kilian, jakby sobie to właśnie przypominał. – Umiał zdobyć popularność łatwym gadaniem o wolności. Obiecywał

oddać czarnemu człowiekowi to, co do niego należy.

Laha odkaszlnął.

– Hiszpanie popełnili błąd, ufając mu i oddając w jego ręce wyspę. Doskonale opanował technikę przycinania tego, co wystawało, że się tak wyrażę.

– I ile to trwało? – spytała Daniela, szeroko otwierając swoje brązowe oczy, w których malowało się niedowierzanie, zaskoczenie i obrzydzenie tym, co słyszała.

– Jedenaście lat – odrzekł Laha. – Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku.

– Wtedy się urodziłam – szepnęła Daniela.

Laha szybko policzył w pamięci. Daniela była jeszcze młodsza, niż zakładał.

– Wiesz co? W kraju wszyscy tak się go bali, że żaden gwinejski żołnierz nie odważył się wejść w skład plutonu egzekucyjnego. Dlatego Macíasa rozstrzelali Marokańczycy. – Pochylił się nad nią i dodał: – Mówiło się, że wymordował kiedyś wszystkich poprzednich kochanków jednej ze swych żon; a gdy stał przed plutonem, rozłożył ramiona, dłońmi do dołu, przygotowując się do wzlecenia w powietrze...

Daniela aż się wzdrygnęła, a Laha uśmiechnął się z nieco złośliwą satysfakcją.

Clarence postanowiła nieco rozluźnić atmosferę. Doskonale pamiętała, do czego mogą prowadzić takie rozmowy o duchach. Odruchowo pogładziła naszyjnik otrzymany od Inika.

– Ej – rzuciła wesoło – przecież Laha nie otworzył jeszcze swoich prezentów.

I podała mu najpierw wełnianą czapkę w komplecie z rękawiczkami, a następnie świeżo wydaną książkę pod tytułem *Gwinea po pasolobińsku*.

– Napisał to jeden facet od nas z doliny – wyjaśniła. – Rzecz dotyczy pasolobińczyków, którzy spędzili w kolonialnej Gwinei długie lata. Oczywiście, wszystko opowiedziane jest tylko z jednej perspektywy, z perspektywy białych, ale, tak czy owak, może cię to zainteresować... – Zaczynała się zastanawiać, czy rzeczywiście ten pomysł był aż taki dobry. – Poza tym znajdziesz tu zdjęcia Jacoba i Kiliana!

Laha pospieszył jej z pomocą.

– To faktycznie bardzo interesujące, Clarence – powiedział z uśmiechem. – Nie da się zmienić przeszłości...

Otworzył książkę i kartkował ją powoli, zatrzymując się na fotografiach. Przedstawiały białych mężczyzn w białych bawełnianych i lnianych ubraniach, z nieodłącznymi hełmami korkowymi oraz – w wielu przypadkach – z bronią. Przedstawiały też czarnych mężczyzn ubranych w brudne łachmany i pracujących na plantacjach. A jeśli któryś z tych czarnych mężczyzn akurat nie pracował, lecz pozował fotografowi, zwykle siedział u stóp jakiegoś białego, ten zaś nierzadko trzymał rękę na jego głowie, jakby głaskał psa – pomyślał z niechęcią Laha. Były też zdjęcia ludzi trzymających długie skóry węży boa oraz fotografie wjazdów na rozmaite plantacje. Cofnął się pamięcią do swoich najwcześniejszych lat, ale nie przypominał sobie niczego, co wyglądałoby jak te obrazki. Większość z nich pochodziła z czasów, gdy jego samego nie było jeszcze na świecie albo był bardzo mały. Może Iniko coś by z tego rozpoznał.

Kilian i Jacobo rozmawiali tymczasem o emblematycznych budowlach kolonialnego Santa Isabel, takich jak Dom Mallo przy dawnej Alei Alfonsa XIII, o ówczesnych

samochodach i nazwach statków: „Plus Ultra”, „Dómine”, „Kadyks”, „Fernando Poo”, „Sewilla”... Przy tej ostatniej Kilian popadł w zadumę. Ileż to razy rozmyślał o tym, że losy tego okrętu zdradzają liczne analogie do jego własnych... Luksusowy okręt flagowy kompanii Tramediterránea po opłynięciu połowy świata w połowie lat sześćdziesiątych został przeznaczony do rozbiórki. Odrestaurowano go jednak, tyle że pewnego dnia w okolicy portu Palma de Mallorca stracił sterowność i omal nie przełamał się na pół. Potem przeżył jeszcze dwa groźne pożary, po których znów wymagał remontu... Niemniej po siedemdziesięciu sześciu latach wciąż utrzymywał się na powierzchni.

Gdy fotografie zostały szczegółowo omówione, Kilian potrząsnął głową i westchnął:

– Jak to wszystko się pozmieniało! Aż wierzyć się nie chce, że to już tyle lat i że w ogóle kiedykolwiek byliśmy na Fernando Poo.

Jacobo przytaknął.

– No, z tego, co opowiadają Clarence i Laha, wynika, że owszem pozmieniało się, ale raczej nie na lepsze.

Laha popatrzył na niego, unosząc brew.

– Jak to? – spytał.

Jacobo nie spieszył się z odpowiedzią. Pociągnął łyk kawy, otarł usta serwetką, położył dłonie na stole i spojrzał na gościa wyniośle.

– W naszych czasach wyspa eksportowała jakieś pięćdziesiąt tysięcy ton kakao, sama Sampaka koło sześciuset ton. A teraz? – Spojrzał na brata. – Trzy tysiące pięćset kilogramów? Każdy widzi, że od czasu, kiedy się stamtąd wynieśliśmy, Gwinea się nie podniosła. – Znów zwrócił się bezpośrednio do Lahy. – Życie teraz gorzej niż czterdzieści lat temu. Nie mam racji?

– Jacobo – odrzekł neutralnym tonem Laha – nie należy zapominać, że obecnie Gwinea jest niepodległym krajem, który usiłuje sobie poradzić mimo długiej historii wyzysku.

– Jakiego wyzysku? – zaatakował Jacobo, przesadnie gestykulując. – Przecież jak na tacy podaliśmy wam swoje osiągnięcia, swoją kulturę! Powinniście być nam wdzięczni, że was wyciągnęliśmy z dżungli...

– Tato! – zawołała z wściekłością Clarence, podczas gdy Carmen położyła mężowi rękę na kolanie, sygnalizując, że posunął się za daleko.

– Dwie sprawy, Jacobo. – Laha wyprostował się na krześle. Jego głos nie brzmiał już tak spokojnie jak wcześniej. – Po pierwsze: przyswoiliśmy sobie waszą kulturę, bo nie mieliśmy innego wyjścia. Po drugie: Hiszpanie w Gwinei, inaczej niż w innych swoich koloniach, nie chcieli zniżyć się do wymieszania swojej krwi z krwią skolonizowanych. Do tego stopnia uważali nas za podludzi!

Kilian przysłuchiwał się tej dyskusji w milczeniu.

Jacobo już otwierał usta, by znów się odezwać, lecz Laha powstrzymał go gestem.

– Wiem o kolonizacji więcej niż ktokolwiek, Jacobo. Kolor mojej skóry dobitnie świadczy o tym, że mój ojciec był biały. Taki jak wy!

Zaległa niezręczna cisza.

Clarence schyliła głowę i oczy wypełniły jej się łzami. Jeśli Laha przez przypadek faktycznie był jej przyrodnym bratem, jego spotkanie z biologicznym ojcem wypadło

wprost okropnie. Jacobo zachowywał się niewybaczalnie. Dlaczego nie mógł wziąć przykładu z Kiliana?

Daniela uspokajającym gestem położyła rękę na ramieniu Lahy, on zaś popatrzył na nią ze smutkiem. Właśnie zdradził się ze swoim problemem, a nie zwykł tego robić.

– To trudny temat – powiedziała Daniela ciepłym, kojącym głosem. – Nawet teraz, choćbyśmy sobie z tego nie zdawali sprawy, wszyscy jesteśmy permanentnie, tyle że subtelnie kolonizowani, wplątani w sieci ekonomicznych, politycznych, kulturowych interesów... Ale czasy się zmieniły.

Cała Daniela, pomyślała Clarence. Nigdy się nie denerwuje, nigdy się nie złości. Zawsze usiłuje przedstawić swoje racje tym samym łagodnym i rozsądnym tonem.

– Przykro mi, że się uniosłem – rzekła Laha, patrząc na Carmen, która machnęła ręką, jak gdyby chciała zbagatelizować niedawne zajście. Zresztą, przywykła do gwałtownych dyskusji.

Daniela wyjęła łyżeczkę z kawy, postukała o krawędź, żeby ostatnie krople spłynęły z metalowej powierzchni, upiła łyk, odstawiła filiżankę na spodek, zmarszczyła brwi i w końcu powiedziała:

– Dla mnie kolonizacja jest jak gwałt na kobiecie. Jeśli kobieta się broni i protestuje, gwałciciel bezczelnie twierdzi, że to nie na serio, że w głębi ducha sama tego chciała i że on właściwie zrobił to dla niej.

Wszyscy zamarli, słysząc to porównanie. Po raz kolejny zapadło niewygodne milczenie. Daniela schyliła głowę, trochę zawstydzona swoją bezpośredniością.

Clarence wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Jacobo nieprzyjemnym tonem zażądał więcej kawy. Kilian bębnił palcami po obrusie. Carmen sięgnęła po książkę kucharską otrzymaną od Lahy i zadała mu parę pytań, na które on uprzejmie odpowiedział.

– No, dobrze – rzekł wreszcie Kilian. – Jest Boże Narodzenie. Zostawmy te skomplikowane tematy. – Zwrócił się do Lahy. – Powiedz nam lepiej, jak chłopak z Bioko trafił do Kalifornii?

– Winę za to ponosi chyba dziadek – odparł Laha w zamyśleniu, opierając brodę na prawej ręce. – Obsesyjnie marzył o tym, żeby jego potomkowie się uczyli. Zawsze powtarzał nam jedno. Mój brat, Iniko, bardzo się zresztą za to na niego złościł, bo interpretował jego słowa po swojemu. – Wyciągnął palec wskazujący i starczo drżącym głosem wyrecytował: – Najmądrzejsze, zdanie jakie kiedykolwiek padło ust białego brzmiało: „Największa różnica między Bubim i białym polega na tym, iż Bubi pozwala kakaowcom rosnąć, jak sobie chcą, a biały je przycina, kształtuje i dzięki temu ma z nich większą korzyść”.

W tym momencie Kilian zakrztusił się kawałkiem turrónu, poczerwieniał i zaczął kasłać.

Poranek dwudziestego szóstego grudnia wstał bezchmurny i słońce wręcz oślepiało, odbijając się od śniegu. Po dwóch dniach zadymki i związanego z nią przymusowego zamknięcia w domu oraz nieustannego jedzenia Lahy, Clarence i Daniela mogli wreszcie wybrać się na narty.

Kuzynki już wcześniej zdobyły strój narciarski dla przyjaciela, który w sztywnych butach czuł się śmieszny i niezgrabny. Daniela udzielała mu podstawowych wskazówek,

jak poruszać się po zmrożonym śniegu, i starała się trzymać blisko niego, na wypadek, gdyby upadł. Wydawała się przy nim jeszcze mniejsza. Kiedy zdołali w końcu zapiąć mu narty, Laha, spoglądając na nią pełnymi strachu oczyma, kurczowo objął ją za ramiona, podczas gdy ona trzymała go w pasie.

Clarence przypatrywała się im z rozbawieniem.

Ładna była z nich para.

Daniela w skupieniu tłumaczyła mu co i jak, swoim zwyczajem miła i stanowcza jednocześnie. Laha usiłował stosować się do jej rad, lecz jego ciało całkiem ignorowało zalecenia mózgu.

Po jakimś czasie, mając dosyć tych cierpień, Laha stwierdził, że musi napić się kawy. Daniela wyraziła gotowość dotrzymania mu towarzystwa, a Clarence postanowiła wykorzystać ten czas na parę zjazdów. Już z wyciągu pomachała kuzynce i przyjacielowi na pożegnanie. Wręcz się cieszyła, że zostanie na chwilę sama, by nacieszyć się tym poczuciem swobody, które zawsze ogarniało ją na widok zaśnieżonego krajobrazu. Wjeżdżając coraz wyżej, słyszała, jak gęsta cisza powoli wchłania okrzyki i śmiechy narciarzy, zamieniając je w odległy, uspokajający pomruk. Błyszcząca biała płaszczyzna stoku w dole, widok pobliskich szczytów, szczypiące od mrozu policzki i delikatne kołysanie krzeselka – wszystko to dawało efekt spowolnienia, zawrotu głowy, nierzeczywistości.

W takich chwilach przez jej na wpół uśpiony umysł przewijały się fragmenty rozmów i obrazy, które, jak elementy puzzli, domagały się swojego miejsca w układance. Trudno było uwierzyć, że Jacobo zakochał się w Bisili, a potem porzucił ją z małym dzieckiem. Gdyby coś takiego naprawdę się zdarzyło, stryj Kilian musiałby o wszystkim wiedzieć. I zapewne źle by tę wiedzę znosił – zresztą faktycznie reagował teraz podobnie jak Jacobo, a nawet bardziej intensywnie. Ale jak zdołaliby zataić taki sekret? Czy zbliżał się moment prawdy? Czy dlatego, ona, Clarence, tak się denerwowała?

Pewną ulgę mogło jej przynieść tylko szusowanie po najtrudniejszej z tras i wyteżanie mięśni do ostatecznych granic. Tymczasem pozostała dwójka, nieświadoma jej niepokojów, relaksowała się w pobliskiej kafeterii.

Laha, rozmawiając z Danielą, był nawet więcej niż zrelaksowany – był szczęśliwy. Podobało mu się przebywanie w jej towarzystwie. Podobał mu się sposób, w jaki przytrzymała kubek – obiema dłońmi, żeby je ogrzać – i dmuchała na kawę, nie chcąc poparzyć warg. Mówiąc, nie przestawała wszystkiego uważnie obserwować. Jej piękne oczy wędrowały od kubka z kawą ku twarzy rozmówcy, później do stolika obok, do narciarzy odpinających w drzwiach narty i do baru. Laha uznał, że nie jest to wcale przejaw nerwowości, lecz wrodzonej skłonności do rejestrowania szczegółów i ich analizy. Jakaż różnica z kuzynką! Daniela – poza tym, że niższa i szczuplejsza – była też chyba dużo bardziej zrównoważona, spokojna i racjonalna niż Clarence, z którą wszakże, podobnie jak z Carmen, łączyła ją jedna, szczególnie miła sercu Lahy cecha: wszystkie trzy bardzo dbały o samopoczucie innych. Może dlatego od początku wizyty w Pasolobino ani przez chwilę nie miał prawdziwego wrażenia obcości. W dodatku sam na sam z Danielą przestawał postrzegać upływ czasu w kategoriach zwykłego ciągu

zdarzeń, zawieszony nagle w bańce niespodziewanego entuzjazmu. Co się z nim działo? Przecież dopiero tę dziewczynę poznał!

– Coś się nie odzywasz... – zauważyła Daniela. – Aż tak cię przybiła ta pierwsza narciarska próba?

– To chyba nie dla mnie – mruknął Laha z żałością. – Szczerze mówiąc – jeszcze zniżył głos, żeby przypadkiem nikt go nie podsłuchał – nie bardzo rozumiem popularność tego sportu. Buty tak mnie cisną, że aż ścierpły mi nogi!

– Przesadzasz! – roześmiała się Daniela i twarz jej pojaśniała.

– Chcesz jeszcze kawy? – spytał, wstając.

– Myślisz, że zdołasz dojść do baru?

Laha udał, że skupia się na żmudnym stawianiu kolejnych ostrożnych kroków, a rozbawiona Daniela odprowadziła go wzrokiem. Dobrze się z nim czuła, *zbyt* dobrze. Zagryzła wargi. To Clarence powinna korzystać z każdej chwili jego obecności w Pasolobino, nie ona. Więc dlaczego kuzynka zostawiła ich samych? Doprawdy, trudno się było rozeznąć w sytuacji. Clarence i Laha zachowywali się jak dwójka dobrych – no, niech będzie, bardzo dobrych przyjaciół, ale ani nie trzymali się nigdy za ręce, ani nie posyłali sobie gorących spojrzeń. A jeśli...? A jeśli Clarence się w nim bez wzajemności kochała? Nie, ktoś taki jak Laha nie posunąłby się wtedy do tego, by nieodpowiedzialnie i egoistycznie przyjąć od niej zaproszenie na rodzinne święta... Choć istniała też możliwość, że po prostu niczego się nie domyśla, Clarence zaś czeka na odpowiedni moment... Tak czy owak, nie wyglądało to wszystko *zbyt* dobrze. Ona, Daniela, po raz pierwszy w życiu czuła przy kimś, że miękną jej kolana, miała motylki w brzuchu, pensjonarski rumieniec na policzkach i dziwne wrażenie, że z całego świata do szczęścia wystarczy jej czyjeś ciało. Kiepska sprawa.

Laha, nachylając się, by postawić na stole kubek, musnął jej ramię. Potem usiadł, zamieszał swoją kawę łyżeczką i bez ogródek spytał:

– Lubisz mieszkać w Pasolobino?

– Tak, jasne. – W głosie Daniela dało się jednak wychwycić lekkie wahanie. – Mam tu pracę i rodzinę. Poza tym, jak widzisz, to niezwykle piękna okolica. Poszcęściło mi się z miejscem pochodzenia.

Jeśli zamierzał nadal tak się w nią wpatrywać, mogła wbrew wysiłkom nie opanować rumieńca.

– A ty? Gdzie czujesz się u siebie?

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć... – Laha wyprostował się w zamyśleniu, opierając brodę na dłoni. – Ja akurat mam kryzys tożsamości: pochodzę z plemienia Bubi, jestem obywatelem Gwinei, Afrykańczykiem, w pewnym stopniu Hiszpanem, Europejczykiem po nieznanym ojcu i Amerykaninem z doskoku.

Danieli zrobiło się naraz przykro, bo to wyznanie powlekło jego rysy mgiełką smutku.

– Może jednak w głębi duszy czujesz, że któraś z tych opcji jest ci bliższa niż pozostałe? – szepnęła.

Laha wyjrzał przez okno i znów się rozpogodził.

– Cóż, Danielo... – Lekko pochylił głowę i przybrał przesadnie jękliwy ton. – Jak

może się czuć czarny człowiek pośród wszechobecnej bieli? – Wskazał ręką śnieg. – Szaro!

– Ty nie masz nic wspólnego z szarością! – wykrzyknęła euforycznie Daniela.

– Z jaką szarością? – Uśmiechnięta Clarence opadła na miejsce koło kuzynki. – O czym tak żywiłowo dyskutujecie?

Ani Laha, ani Daniela nie zauważyli, kiedy weszła do kafeterii.

Zerknąwszy na zegarek, stwierdzili, że rozmawiają już ponad godzinę. Daniela po raz pierwszy w życiu nie ucieszyła się z obecności kuzynki.

Clarence, nie doczekawszy się odpowiedzi, rzuciła:

– Cóż, Laha... Gotowy na drugie podejście? Mam na myśli narty, rzecz jasna...

Laha zrobił przerażoną minę i złapał Daniellę za rękę.

– Nie, błagam! – jęknął. – Nie pozwól jej dłużej mnie torturować!

Daniela skorzystała z okazji, by przytrzymać jego dłoń w swoich. Ręce miał duże, ale delikatne. Widać było, że fizycznie nimi raczej nie pracował.

– Nie martw się – rzuciła, patrząc mu w oczy. – Zaopiekuję się tobą. – I natychmiast pożałowała tych słów wypowiedzianych w obecności Clarence, która ze zdziwieniem uniosła brew. – Obie się tobą zaopiekujemy.

Proszę, proszę, dumiała Clarence, zmierzając ku wyjściu z kafeterii. Czy tylko mi się zdaje, czy mojej kuzyneczce błyszczą oczy za każdym razem, kiedy jej spojrzenie napotyka wzrok Lahy? Dowcipne te duchy: czyżby przeznaczyły go dla Daniela?

Ledwie pomyślała o duchach, wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Laha, który kuśtykał w swoich niewygodnych butach tuż za nią, źle ocenił wysokość progu w drzwiach prowadzących na zewnątrz. Potknął się i odruchowo złapał Clarence, która, odwracając się, by mu pomóc, pod jego ciężarem upadła na plecy w śnieg.

Laha przewrócił się na nią.

Wtedy, mając jego twarz tuż przy swojej, za sprawą jaskrawego słońca, którego promienie tajemniczym zrządzeniem losu prześwieciły tęczęwki Lahy pod odpowiednim kątem, poczuła ucisk w żołądku i pozbyła się ostatnich wątpliwości...

Co mówił w Sampace Simón?

Mówił, że rozpoznał ją po oczach. Takie same mieli mężczyźni z jej rodziny – niezwykle, z daleka niby zielone, a z bliska szare...

Laha miał przecież identyczne. Do tej pory sądziła, że są zielone, lecz z tej odległości wyraźnie widziała w ich tęczęwkach ciemne smużki, zabarwiające je głęboką szarością. Laha odziedziczył po swoim ojcu oczy typowe dla jej rodziny!

Jego spojrzenie odebrała więc niczym cios w żołądek i omal się nie rozpłakała, czując jednoczesny przyływ ulgi, radości i strachu, wywołanych tym, co w końcu odkryła i czym – nie wiadomo jak i kiedy – musiała się podzielić z innymi.

Teraz, gdy zyskała pewność, że to właśnie Lahy szukała na Bioko, pozwoliła, by gdzieś w głębi jej serca obudził się wstyd na samą myśl o tym, że jest córką kogoś zdolnego porzucić własnego syna i pozbawić go prawa do swojego listka na drzewie genealogicznym rodziny.

XIII. BOMS DE LLUM

Plamy światła

Jesteś pewna, że nie chcesz jechać z nami? – Daniela zapięła kurtkę.

Zima nie sprzyjała wycieczkom, zwłaszcza pieszym, ale przejazdka samochodem po dolinie mogła stanowić ciekawą alternatywę dla spacerów po miasteczku lub nart, których Laha zdecydowanie nie polubił.

– Nadal trochę mnie boli głowa – odrzekła Clarence, palcem zakładając książkę w miejscu, w którym przerwała lekturę.

Laha zrobił strapioną minę.

– Nawet nie wiesz, jak mi przykro z powodu tego upadku.

Daniela zmarszczyła brwi. Uderzenie musiało być silne, bo od tamtej pory kuzynka czuła się niespecjalnie. Ona, Daniela, życzyłaby sobie, żeby te bóle głowy miały podłoże wyłącznie fizyczne, jednakże – jako pielęgniarka – poważnie w to wątpiła. Gdy Clarence leżała na ziemi, przygnieciona ogromnym ciałem Lahy, z jego twarzą tak blisko swojej, Danielę ogarnęła gwałtowna zazdrość. Ci dwoje patrzyli sobie w oczy dłużej, niż tego wymagała sytuacja. A potem Clarence zaczęła zdradzać objawy niezwykłego roztargnienia. Wydawało się wręcz, że unika innych domowników.

Z kuchni dobiegły czyjeś głosy i śmiechy. Clarence przewróciła oczyma.

– Ja na waszym miejscu nadłożyłabym drogi i wyszłabym od tyłu.

– Nawet się dziwiłam, że tak długo zwlekały... – parsknęła Daniela.

Laha nie zrozumiał tej uwagi. Już otwierał usta, by spytać, o co chodzi, gdy Daniela przytknęła palce do ust. Wtedy wszyscy troje wyraźnie usłyszeli, jak sąsiadki zarzucają Carmen pytaniami o jej niezwykłego gościa.

Daniela pociągnęła Lahę za rękaw.

– Lepiej już chodźmy – szepnęła. – Tylko cicho! Na razie, Clarence.

Laha stłumił śmiech i na palcach podążył za Danielą. Clarence próbowała znów skupić się na książce, ale rozmowa w kuchni trwała. W tak małym miasteczku jak Pasolobino, gdzie wszyscy się znali, upodobanie do komentowania i krytykowania bliźnich nie zanikło wraz z nastaniem postępu – po prostu uległo pewnej ewolucji. Pełne żółci i oskarżeń, szkodliwe lub nawet niszczycielskie plotki ustąpiły stosunkowo neutralnej, uprzyjemniającej towarzyskie spotkania wymianie informacji. To złagodzenie obyczajów dokonało się głównie w pokoleniu Clarence i Daniela; miały szczęście dorastać w nieco rozluźnionej – w porównaniu z poprzednią epoką – atmosferze. Jak zareagowaliby mieszkańcy Pasolobino, gdyby Jacobo kilka dziesięcioleci wcześniej przywiózł do domu czarnoskórego syna? Ale i teraz... Co by się stało, gdyby wyszło na jaw, że Laha jest *członkiem rodziny*?

Fernando Laha de Rabaltué.

Clarence westchnęła.

Nie potrafiła mu dłużej patrzeć w oczy, z obawy, że domyśli się, co ją dręczy. Nie potrafiła też podzielić się z nikim swoimi podejrzeniami, z obawy, że chodzi o zwykły

zbieg okoliczności. Jak miała zagadnąć w tej sprawie ojca? W razie pomyłki obraziłaby i zarazem zraniła uczucia Lahy, łudząc chłopaka nadzieją odnalezienia ojca, którego nigdy nie miał. A nawet jeśli jej przypuszczenia były trafne, to i tak nie umiała wyobrazić sobie, w jaki sposób ubrać je w słowa i jeszcze uzyskać ich potwierdzenie.

Znajdowała się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. I tak źle, i tak niedobrze.

Poza tym ci dwoje, Laha i Daniela, zdawali się świetnie dogadywać. Przypomniała sobie żart Daniela na temat papieskiego pozwolenia na ślub z kuzynem...

Żołądek podszedł jej do gardła.

Na co właściwie czekała? Danieli pierwszej powinna się zwierzyć ze swoich domysłów! Kuzynka musiała wiedzieć! Czemu jej wciąż nie uprzedziła? Milcząc, pozwalała na to, by...

Przymknęła powieki i wbrew własnej woli znów przeniosła się myślami na plażę obmywaną przez błękitne morze. Leżący na piasku mężczyzna i kobieta kochali się, nie zwracając uwagi na setki żółwi, które obojętnie okręzały ich splecione ciała. Z oddali dobiegały ptasie trele i pokrzykiwania papug, które raz po raz powtarzały, że to nie tak, że ten wielki błękit to wcale nie morze, lecz niebo, że wokół bieleje tylko śnieg na łąkach, że żółwie to nic innego jak zapraszające do odpoczynku wielkie kamienie i że te spragnione ciała nie należą bynajmniej do Inika ani Clarence.

Droga Słoneczna nosiła tę nawę ze względu na tuzin wioszek, które zbudowano w ciągu wieków w najwyższej partii południowego zbocza jednej z gór, od rana do wieczora skąpanej w słońcu. Domy w tych osiedlach wzniesiono schodkowo, żeby każdemu zapewnić dostęp do słonecznego światła, stanowiącego w tych chłodnych okolicach prawdziwy skarb.

Wąska, źle wyasfaltowana i rzadko uczęszczana szosa odchodziła od głównej drogi w dolinie, wspinała się zakosami ku pierwszej z wioszek, mijała kolejne, przecinając zbcze prostą blizną, i znów opadała w dół serią ostrych zakrętów, z których ostatni, najostrzejszy wyrzucał kierowcę z powrotem na główną drogę.

Jadąc przez te najdziksze zakątki doliny Pasolobino, trudno się było oprzeć wrażeniu podróży w czasie. Laha nieustannie dziwił się romańskim kościołom, nadprożom z herbami, łukowatym bramom z kłińców, rzeźbionym framugom drzwi i okien, portykom zdobnym w kamienne krzyże. Nie potrafił uwierzyć, że kilka kilometrów dalej kręci się w najlepsze turystyczny młyn.

– Nie sądziłem, że tylu tu mieszka ludzi – rzucił.

– Wiele z tych domów to letnie rezydencje wyremontowane przez spadkobierców dawnych właścicieli – wyjaśniła Daniela. – Ja ich nazywam synami marnotrawnymi.

– Dlaczego?

– Bo kiedy tu przyjeżdżają, pałają żądzą działania, wypytyują o ostatnie zmiany, organizują zebrania, żeby różne rzeczy proponować, a przeciw innym protestować, tyle że z upływem czasu, gdy urlop dobiega końca, energia stopniowo ich opuszcza, aż zanika zupełnie wraz z chwilą, gdy ruszają z powrotem do miasta. Do czasu kolejnych wakacji.

Laha zadumał się na dłuższą chwilę. Słowa Daniela odbiły się w nim mocnym echem.

– W takim razie ja też jestem takim synem marnotrawnym – szepnął w końcu ze

smutkiem.

Gdy przylatywał na Bioko, natychmiast pytał brata, co nowego. A potem wracał do Kalifornii, do swojego wygodnego życia. I, z tak daleka, wyczuwał czasem ze strony Inika milczący wyrzut, jakby starszy brat chciał mu dać do zrozumienia, że każde miejsce tworzą ci, co w nim dzień po dniu żyją.

Daniela zaparkowała swoje renault mégane na placyku otoczonym ślicznymi domkami z ciemnymi ze starości drzwiami i okiennicami. Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że do zmroku została jeszcze chwila.

– Trochę wyżej jest cudowna pustelnia. – Wskazała brukowaną, pnącą się w stronę lasu uliczkę i ruszyła przodem. – Rzecz jasna: opuszczona, ale warta zobaczenia.

Już na górze, podczas gdy Laha kręcił się w tę i z powrotem, skupiła się na zaśnieżonym pejzażu. Po chwili usłyszała, że Laha ją woła. Wyglądał jak dziecko rozemocjonowane znalezieniem skarbu.

– Niewiarygodne! – Wziął ją pod ramię i poprowadził do wnętrza pustelni. – Patrz! – Wskazał kamień z wyrytą na nim datą.

Daniela nie całkiem rozumiała jego podniecenie.

– Tak – przyznała. – To kamień, a na nim data: tysiąc czterysta siedemdziesiąt jeden – przeczytała. – I?

– To najstarsza rzecz, jakiej dotykałem w życiu! – Daniela wciąż nie wyglądała na szczególnie poruszoną, więc dorzucił: – No i w tym właśnie roku Portugalczyk Fernando de Poo dopłynął na Bioko. Niesamowity zbieg okoliczności, co? Jakiś kamieniarz wykuwał ten napis, podczas gdy pewien marynarz dokonywał odkrycia na drugim końcu świata! A teraz, ponad pięćset lat później, stoimy tu my oboje! Co nie byłoby możliwe, gdyby de Poo jednak nie natknął się na wyspę!

– Ciekawy sposób postrzegania historii! – uśmiechnęła się Daniela, rozbawiona i zarazem mile połechtana, że Laha przeżywa takie uniesienia w jej towarzystwie. – Brakuje tylko, byś dodał, że to los nas połączył.

Laha podszedł bliżej. Wyciągnął rękę i odgarnął miedziany kosmyk, który częściowo przysłaniał dziewczynie twarz. Daniela drgnęła, zaskoczona.

– Czemu nie? – spytał Laha ochryple.

Był zmierzch cichego i jasnego zimowego dnia, w starej, zrujnowanej pustelni panował mrok rozpraszany jedynie przez pojedynczy słoneczny promień, który sączył się do środka przez szczelinę w murze. Laha pochylił się nad Daniellą i ją pocałował.

Wszystkie jej zmysły, jeszcze przed chwilą zmrożone przez panujący na zewnątrz chłód i uśpione w ciągu długiego czasu, jaki upłynął od momentu, kiedy po raz ostatni pragnęła pocałunku tak bardzo, jak pragnęła go od pierwszego spotkania z tym mężczyzną w Wigilię, ostatecznie ocknęły się dokładnie wtedy, gdy jego wargi zaczęły dotykać jej warg, najpierw łagodnie i miękko, potem coraz bardziej natarczywie. I oto nie liczyło się już nic poza tymi mięsistymi, gorącymi i uwodzicielskimi ustami, które całowały ją delikatnie i jednocześnie ze znanstwem. O, nieba, ten facet naprawdę wiedział, co robi! Pragnąc, by to się nigdy nie skończyło, rozchyliła wargi i poczuła jego język, liżący ją coraz głębiej, i jego oddech, stapiający się z jej oddechem w formie białego obłoczku na mrozie.

Objęła go za szyję, żeby nie przestawał. Całowali się tak długo, że w końcu wpadający przez szparę w ścianie słoneczny promień zbladł i zniknął. Laha oderwał się od Daniela, odsunął trochę i utkwiał wzrok w jej oczach.

– Cieszę się – powiedział rwącym się głosem – że nie potrafiłem się powstrzymać.

Potem oblizał wargi, zdziwiony intensywnością tego pierwszego fizycznego kontaktu. Daniela zamrugła, jakby wybudzona z rozkosznego snu. Uśmiechnęła się łakomie i lekko popchnęła chłopaka na kamienny ołtarz.

– Ja też się cieszę – oświadczyła, przytulona, zaciskając dłonie na klapach wełnianego męskiego palta. – Martwi mnie tylko jedno. – Laha pytająco uniósł brew. – Martwi mnie – podjęła, patrząc na niego prowokacyjnie – że nie jesteśmy w jakimś przytulnym hotelowym pokoju...

Laha westchnął zaskoczony, nie spodziewał się równie bezpośredniej reakcji ze strony dziewczyny kilka lat jednak młodszej. Poczul się mile połechtany i szczęśliwy, że mimo wszystko odważył się ją pocałować.

– To jedźmy gdzieś – zaproponował, przytulając Daniellę mocniej. Była taka drobna... Teraz niecierpliwił się już jak dwudziestoparolatek. Czemu poznał ją tak późno?

– Nie mogę! – wykrzyknęła ona. – Jutro plotkowałyby o tym cała dolina...

– Jeszcze nic nie zrobiliśmy, a ty już się mnie wstydzisz? – spytał, zwalniając uścisk, niby to obrażony.

– Nie bądź niemądry! – Daniela znów zarzuciła mu ramiona na szyję. – Tak czy owak, chwilowo musi nam to wystarczyć.

Raz jeszcze mocno ją objął i zaczął pieszczotliwie gryźć w szyję.

– To? – szepnął.

– Tak.

Z trudem wsunął dłonie pod grubą warstwę jej ubrań i delikatnie przesunął dłońmi po plecach.

– I to?

– Tak, to też.

Głaszcząc go po włosach, odchyliła głowę, by ułatwić mu dostęp do swojej szyi, podbródka, policzków i skroni, a potem znowu ust. Po kilku cudownych minutach westchnęła z rezygnacją.

– Może zadzwonimy do domu i powiedzmy, żeby na nas nie czekali z kolacją? – powiedziała. Pragnęła wykorzystać do maksimum jedną z tych nielicznych okazji, kiedy byli sam na sam, choć jednocześnie miała lekkie wyrzuty sumienia na myśl o Clarence. – Tam gdzie zaparkowaliśmy, jest bardzo dobra knajpka.

Wrócili na placyk, z którego rozciągał się piękny widok na zbocze góry, i przez chwilę patrzyli, jak dopiero co wzeszły księżyc hipnotyzująco skrzy się na śniegu. Daniela przysunęła się do swojego towarzysza, chcąc poczuć jego ciepło. Zapowiadał się cudowny wieczór. Z każdą sekundą, którą spędzała w towarzystwie tego mężczyzny, potęgowało się w niej wrażenie, że oto znalazła swoje miejsce na ziemi. On przytulił ją i głęboko westchnął. W miasteczku panowała cisza, a z latarni i okien domów sączyło się światło zbyt słabe jak na zimowe ciemności. No, ale przy tej kobiecie nie istniały

samotność ani ciemność. Pochylił się nad Danielą i znów ją pocałował.

Gdyby ktoś z mieszkańców wyjrzał wtedy na dwór, zdziwiłby się namiętnością, z jaką tych dwoje całowało się mimo mrozu. Choć zapewne by ich nie zganił. Przeciwnie – pozazdrościłby im może tej naglącej potrzeby, która nie liczyła się z miejscem ani z czasem.

Zupełnie jakby jednego i drugiego mogło nagle zabraknąć.

Daniela odsunęła się oszołomiona. Usłyszała zbliżający się samochód i zareagowała odruchowo. Zaraz potem tuż obok zahamowało jakieś volvo, z którego wnętrza odezwał się znajomy głos.

– Co za zbieg okoliczności! – Julia już wysiadała z auta, podobnie jak i druga kobieta, mniej więcej w jej wieku.

– Julia! – Daniela z pewnymi oporami ucałowała znajomą w oba policzki. – Co ty tu robisz o tej porze roku? Przecież zawsze spędzałaś Boże Narodzenie w Madrycie...

Julia, nie przestając zerkać na Lahę, odparła:

– Jeden z moich synów postanowił świętować Wigilię w dolinie i namówił mnie, żebym przywiozła przyjaciółkę.

Obca kobieta podeszła bliżej. Włosy miała tak jasne, że aż prawie białe.

– Ascensión, to córka Kiliana. – Tamta, nie mniej zdumiona niż Daniela, szeroko otworzyła oczy, a Julia ciągnęła: – Znamy się z Ascensión jeszcze z Gwinei – zwróciła się do Daniela. – Ascensión wyszła za Matea, który pracował z twoim ojcem, ale niestety zmarł parę miesięcy temu...

– Bardzo mi przykro – rzekła Daniela, całując przyjaciółkę Julii w policzki.

– Dziękuję – odparła Ascensión, a jej niebieskie oczy natychmiast zaszyły łzami. – Zawsze chcieliśmy z Mateem odwiedzić Pasolobino, ale jakoś nigdy nam się nie udało...

– Więc przekonałam ją, żeby zabrała się ze mną na te trzy czy cztery dni, może odrobinę podniesie ją to na duchu.

Ponieważ Julia, prowadząc rozmowę, wciąż zerkała na Lahę, Danieli nie pozostało nic innego, jak tylko dokonać prezentacji. Dziewczyna w duchu przeklinała swojego pecha. Dlaczego coś musiało jednak zniszczyć magię tego wieczoru?

Laha grzecznie uklonił się obu damom.

– Czyli mieszkały panie w moim kraju – rzucił z szerokim uśmiechem.

Ascensión przytaknęła, usiłując opanować płacz. Julia zmrużyła oczy.

– Laha... – mruknęła.

– Tak – odpowiedziała krótko Daniela, nie mając specjalnej ochoty wdawać się w wyjaśnienia. Brakowało jej teraz jedynie kolejnej rozmowy o Gwinei! – Laha bawi u nas w gościach. Clarence spotkała go w trakcie swojej podróży.

– Tak, mówiła mi o tym... – Julia poczuła silny ucisk w piersi. Nerwowo poprawiła rękawiczki. – Że poznała pewną rodzinę: Lahę, Inika i Bisilę... – Natychmiast pożałowała swojej otwartości.

– Bisila nie...? – zaczęła Ascensión, unosząc brew.

– „Bisila” nie jest częstym imieniem, prawda? – dokończyła Julia. – A gdzie Clarence?

– Nie czuła się dobrze i wolała zostać w domu.

– A...

Julia nie odrywała wzroku od Lahy. Jego bujne włosy, szerokie czoło, wydatna szczęka, zaokrąglony podbródek, oczy... To był on. Bez dwóch zdań. Clarence go znalazła, ale czy miała co do niego absolutną pewność?

Popatrzyła na Daniełę, całą zarumienioną, z błyszczącymi oczyma. Czy wiedziała?

Zapadło krótkie milczenie. Daniela obawiała się, że Laha, z grzeczności lub przez prawdziwą ciekawość, wda się w długą rozmowę na temat przeszłości obu właśnie poznanych pań.

– Zrobiłyście sobie wycieczkę? – spytała, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Zarezerwowałyśmy stolik w tej restauracji. – Julia wskazała budynek za plecami Lahy i znów spojrzała na chłopaka. – Mam nadzieję, że podoba ci się w naszej dolinie.

Laha uśmiechnął się przewrotnie, kątem oka zerkając na Daniełę.

– Mogę panią zapewnić, że właśnie zaczyna mi się podobać.

Daniela zagryzła wargi, hamując śmiech.

Odczekali, aż Julia i jej towarzyszka znikną w restauracji. Dopiero wtedy Daniela wyjęła kluczyki.

– Przecież planowaliśmy coś tu zjeść... – zauważył Laha.

– Przyszło mi do głowy znacznie lepsze miejsce – odrzekła.

Przy Julii i Ascensión nie mogłaby Lahy nawet musnąć niepostrzeżenie. Knajpka, w związku ze swoimi niewielkimi rozmiarami zasadniczo romantyczna i przytulna, wydała jej się nagle przytłaczająca i nieprzyjazna.

Julia wynalazła sobie doskonały pretekst, by już nazajutrz wpaść do Rabaltué i zaspokoić swoją ciekawość.

– W Madrycie w okolicach Wielkiejnocy odbędzie się zjazd przyjaciół Fernando Poo – obwieściła. – Z naszej grupy zabraknie Manuela i Matea, ale, tak czy owak, to piękna inicjatywa. Moglibyście przyjechać. – Zwróciła się do Carmen: – Ty też, oczywiście.

– Zbyt wiele wspomnień... – mruknął Jacobo, po czym spytał brata: – Ty chciałbyś się wybrać?

Kilian wzruszył ramionami.

– Zobaczymy.

– Czy młodsze pokolenie też jest zaproszone? – spytała Clarence.

– Jasne, ale zanudziłabyś się tam na śmierć, Clarence – odparła Ascensión. – Co byś robiła ze starymi ramolami gadającymi o swojej młodości?

– O, ja uwielbiam dowiadywać się różnych rzeczy o przeszłości taty...

Daniela w żadnym wypadku nie zamierzała jechać. Już chwilę wcześniej wyłączyła się z rozmowy. Prawie wszystkie pytania zadawane tego popołudnia zaczynały się od: „A pamiętasz, jak...?”, po którym następowało głębokie westchnienie. Zarówno Ascensión jak i Julia często gęsto sięgały po chusteczki, a Jacobo i Kilian zaciskali usta i lekko kiwali głowami. Daniela nie potrafiła zrozumieć, jak Carmen znosi te wszystkie anegdoty, z których żadna jej nie dotyczyła, jednakże matka Clarence przysłuchiwała się im niezadowolona, z miłym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Podobnie zresztą jak sama Clarence, która wprost chłoneła każde słowo i każdy gest. Daniela była przekonana, że gdyby podsunęła kuzynce zeszyt, ta natychmiast przystąpiłaby do

sporządzania notatek. Ziewnęła i zerknęła w stronę kominka. Przyniesionych przez Kiliana bierwion już nie było, ale nikt się jakoś nie kwapił po nowe.

Poczuła, że ktoś się w nią wpatruje. Podniosła wzrok i jej oczy natrafiły na spojrzenie Lahy. Przyjemny dreszcz, który przebiegł jej po plecach, upewnił ją, że naprawdę pora się zmywać. Zastanawiała się tylko, czy Laha właściwie odbierze sygnał.

– Pójdę po drewno, bo ogień zaraz zgaśnie – oświadczyła, wstając.

– Pomóc ci? – Tak. Odebrał właściwie.

Gdy tylko znaleźli się w małej drewnutni, natychmiast zapomniała o nudzie ostatnich godzin. Chwilowo musiała się zadowolić tymi ukradkowymi spotkaniami.

Clarence tymczasem zwracała uwagę na każdy szczegół konwersacji toczącej się w domu. Interesowało ją nie tyle to, o czym była mowa, ile to, o czym właśnie mowy nie było. Bo jedno z dwojga: albo ona sama stała się chorobliwie podejrzliwa, albo gesty starszych faktycznie zdradzały, że wszyscy wiedzą coś, co przemilczają. Zanim Laha wyszedł, Julia bez przerwy, choć ukradkiem, spoglądała to na niego, to na Jacoba. Czy ich porównywała? Teraz zaś skupiła się na samym Jacobie, jak gdyby poza nim nikogo nie było w pokoju. Wydawało się nawet, że Carmen też to dostrzegła, bo kilkakrotnie z niezadowolaniem zmarszczyła czoło...

– Ascensión... – Clarence postanowiła wziąć ster rozmowy w swoje ręce. – Czego najbardziej żałowałaś, gdy musiałaś stamtąd wyjechać?

– Och, dziecko! Wszystkiego. Kolorów, ciepła, poczucia swobody... W Hiszpanii wszystko wyglądało zupełnie inaczej... – Ascensión uśmiechnęła się po raz pierwszy tego popołudnia. – Pamiętam, że gdy czasami bez zastanowienia opowiadałam o... Cóż, o zwyczajach czarnych, niektórzy z naszych znajomych okropnie się gorszyli. A potem Mateo wypominał mi nieostrożność.

– Musiało im się wydawać, że dorastałyśmy w najgorszym możliwym miejscu – zaśmiała się Julia.

– Domyślałam się, że ciężko było... – Clarence odchrząknęła – ...na zawsze pożegnać wielu przyjaciół...

Słyszając to pytanie, Julia przewróciła oczyma. Najwyraźniej Clarence nie zrezygnowała ze swoich dociekań. Zauważyła, że Kilian i Jacobo wymieniają szybkie spojrzenia. Czyli nie wyjawili jeszcze nikomu tożsamości Lahy. Liczyła na dyskrecję Ascensión. Poprzedniego wieczoru niemało się natrudziła, by zbagatelizować fakt, że jeden z synów Bisili zatrzymał się akurat u Kiliana i Jacoba. Usiłowała przekonać przyjaciółkę, że to czysty przypadek, ale nie miała pewności, czy jej wysiłki przyniosły efekt.

– Właściwie wszyscy nasi przyjaciele w Gwinei byli, tak jak my, cudzoziemcami – mówiła Ascensión. – Choć, rzeczywiście, czasami się zastanawiałam, co się stanie z naszą kucharką i jej bliskimi...

Clarence z najniewinniejszą miną skierowała swoje pytanie do ojca i stryja:

– A wy? Tęskniliście za kimś po wyjeździe? Za kimś szczególnie?

Kilian sięgnął po pogrzebacz i rozgarnął żar w kominku. Jacobo spojrzął na Carmen, uśmiechnął się blado i odrzekł:

– Tak jak wspomniała Ascensión, nasi najbliżsi przyjaciele byli biali. Ale, owszem,

myślałem niekiedy, co tam słyhać u „wachimana” Yeremiasa, u Simona, którego zresztą Clarence spotkała teraz na wyspie, u tego czy tamtego z robotników... Ty pewnie też, prawda, Kilianie?

Zagadnięty nieznacznie skinął głową.

A u Bisili, tato? Nigdy nie myślałeś o tym, co słyhać u Bisili?

Akurat w tym momencie drzwi się otworzyły, Laha z Danielą przynieśli po kilka bierwion każde. Clarence dostrzegła, że kuzynka ma zaróżowione policzki i lekko napuchnięte wargi.

– Strasznie zimno! – wykrzyknęła Daniela w odpowiedzi na jej badawcze spojrzenie.

– I w dodatku zaczyna wiać z północy.

Julia zerknęła na zegarek.

– Lepiej już się zbierajmy. Robi się późno.

Carmen próbowała zatrzymać gości wysilonymi, sztucznie uprzejmymi formułkami, które wszakże nie zwiodły jej córki. Nie ulegało wątpliwości, że rozmowa nie przypadła jej do gustu. Na szczęście dla niej Julia i Ascensión postanowiły jednak jechać.

Kilian, Jacobo i Clarence odprowadzili je do samochodu. Clarence ujęła Julię pod rękę i przytrzymała trochę z tyłu.

– Powiedz mi jedno, Julio. – Tamta natychmiast zeszywniała. – W jakim stanie według ciebie jest mój ojciec?

– W jakim...? Co? – zdumiała się Julia. – No, nie wiem, Clarence... A w jakim stanie ty byś była wobec tych wszystkich komplikacji?

Clarence przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Jak by się czuła, gdyby porzuciła swojego syna tysiące kilometrów stąd, by trzydzieści lat później, zrzędzeniem losu, musieć spędzić wraz z nim oraz resztą rodziny kilka świątecznych dni? Cóż, byłaby zapewne podenerwowana, rozdrażniona, zirytowana, niespokojna i skłonna do nadmiernej ekscytacji.

Zupełnie jak Jacobo od chwili, gdy Laha pojawił się w Pasolobino.

Nagły podmuch silnego wiatru odepchnął je do tyłu. Julia natychmiast przypomniała sobie pewną noc, podczas której rozszalały huragan zagłuszył swoim wyciem płacz po tragicznym zdarzeniu. Przypomniała sobie przygnębioną minę Manuela, gdy przekazywał jej złą wiadomość, i własne wzburzenie. I szybkość, z jaką zatuszowano i zapomniano postępek Jacoba, którego ona przecież kiedyś tak kochała...

– Wsiadaj, Julio, już, już! – Zbliżył się do nich Jacobo. – Przy tej pogodzie można się tylko nabawić zapalenia płuc.

– Tak, tak, idę. – Julia, ogłuszona przez wspomnienia, kurczowo uczepliła się ramienia Clarence, która z kolei skorzystała jeszcze z ostatniej okazji i otwierając drzwi auta, wyszeptała:

– Jak tata mógł coś takiego zrobić?

Julia zamruwała z zaskoczeniem. Czy Clarence czytała jej w myślach? Powoli sadowiąc się za kierownicą, mruknęła ponuro:

– On też źle to wszystko zniósł.

Ruszyła i kilka sekund później volvo pięło się gruntową drogą ku głównej szosie.

Clarence patrzyła za samochodem, dopóki nie znikł w mroźnych ciemnościach. Czy miała interpretować słowa Julii jako potwierdzenie swoich podejrzeń? Zamiast ulgi poczuła gorycz. Jak to: źle zniósł? Odkąd pamiętała, nie sprawiał wrażenia człowieka cierpiącego, chyba że jego notoryczne humory należało wiązać właśnie z niezabliźnioną przeszłością.

Zaraz po sylwestrze Clarence uznała, że nie powinna ani dnia dłużej odwlekać rozmowy z kuzynką. Po preludium obejmującym okres od jej powrotu z Bioko do przyjazdu Lahy rozwój sytuacji nabral zdecydowanie zbyt szybkiego tempa. Sygnały były oczywiste. Daniela rumieniła się za każdym razem, gdy jej dłonie przez przypadek zetknęły się z dłońmi Lahy, on zaś gapił się na nią z niemądrym uśmiechem zakochanego. Reszta rodziny też musiała to zauważyć. I ten blask w oczach Daniela... Clarence nigdy jej takiej nie widziała.

Spojrzała na zegarek. Zbliżała się pora kolacji, a nikogo jeszcze nie było w domu. Carmen zdołała namówić Kiliana, żeby razem z nią, Jacobem i paroma znajomymi wyprawił się na gorącą czekoladę. Laha z Danielą pojechali na zakupy. Ostatnio zwykle sam na sam z kuzynką stało się prawie niemożliwe. Clarence postanowiła więc, że gdy domownicy udadzą się na spoczynek, ona zaczai się w pokoju Daniela i wszystko jej opowie.

Niechętnie zabrała się do przygotowywania skromnej kolacji. Carmen radziła sobie z takimi rzeczami błyskawicznie, bez względu na przewidzianą liczbę współbiedniaków. Ona, Clarence, nie bardzo nawet wiedziała, od czego zacząć. Nie przychodziło jej do głowy nic poza prostymi daniami takimi jak sałatka czy tortilla z ziemniaków. Sięgnęła po kosz, usiadła przy stole i przystąpiła do ich obierania. W domu panowała cisza. Nagle z ulicy dobiegły czyjeś głosy. Pewnie pokrzykiwali jacyś turyści. Głosy jednak przybierały na sile, aż w końcu Clarence rozpoznała Jacoba.

– Otwórz, Clarence!

Clarence wyjrzała przez okno. Na zewnątrz Kilian i Jacobo właściwie nieśli jej matkę. Popędziła na podwórze i otworzyła im wielką bramę. Carmen krzywiła się z bólu. Strużka krwi spływała jej z czoła przez skroń aż na policzek.

– Co się stało? – ze zdenerwowania Clarence niemal krzyknęła.

– Poślizgnęła się na lodzie – odrzekł ojciec, dysząc z wysiłku, jakiego wymagało wniesienie Carmen po schodach. – A bo nie patrzy, jak idzie!

Carmen jęknęła. Pośród bezładnych wyrzekań i komentarzy usadowili ją wreszcie w fotelu przed kominkiem. Clarence nie wiedziała, co robić, i przeklinała w duchu nieobecność Daniela. Kuzynka doskonale by sobie w takiej sytuacji poradziła. Przede wszystkim należało chyba opatrzyć ranę, która krwawiła coraz obficie.

– Gdzie cię boli, Carmen? – spytał Kilian.

Nie otwierając oczu, szwagierka odparła:

– Wszędzie... Głowa... Kostka... Ramię... Zwłaszcza ramię... – Spróbowała nim poruszyć i znów się skrzywiła.

– Można wiedzieć, gdzie się podziewa Daniela? – wrzasnął Jacobo.

– Wyszła gdzieś z Lahą – wyjaśniła Clarence. – Pewnie zaraz wróci.

– Ciągle tylko Laha i Laha! Wytrzymać już się nie da w tym domu!

– Tato!

– Trzeba wezwać lekarza – stwierdził spokojnie Kilian.

Właśnie wtedy usłyszeli śmiech i tylne drzwi, te od strony ogrodu, stanęły otworem. Daniela, która pojawiła się w nich tuż przed Lahą, zastygła, gdy zdała sobie sprawę, co się dzieje. Potem szybko zaczęła działać. Przemawiając łagodnie, z wprawą oczyściła ranę, dokładnie stryjenkę obmacała i postawiła diagnozę:

– Ręka jest złamana. To nic takiego, tyle że nie da się uniknąć wizyty w szpitalu w Bermonie. Założę bandażę, żeby po drodze tak nie bolało, ale im szybciej ruszycie, tym lepiej.

Clarence pospiesznie spakowała siebie i rodziców. Laha wziął Carmen na ręce i zaniósł ją do samochodu. Pożegnali się wszyscy szybko, lecz Clarence, ściskając kuzynkę, zdążyła jej szepnąć:

– Muszę ci coś ważnego powiedzieć. To ma związek z Lahą.

Daniela zmarszczyła brwi. Czy doprawy nie było w ostatnim czasie stosowniejszych okazji do zwierzeń?

– Jedziemy czy nie? – krzyknął Jacobo przez okno swojego srebrnego renault laguny.

Daniela otworzyła przed Clarence drzwi auta.

– Czy to za Lahą tak tęskniłaś przez te miesiące? – spytała bardzo cicho, ze ściśniętym sercem.

– Co? – Clarence zamrugała. Dopiero po chwili pojęła pomyłkę kuzynki. Daniela sądziła, że ona się w nim kocha! – A, nie. Nie o to chodzi.

Daniela stłumiła westchnienie ulgi.

– W takim razie wszystko inne może poczekać.

Daniela przygotowała szybką, lekką kolację dla nich trojga. Laha wypytywał Kiliana o dolinę, otrzymując wyjaśnienia okraszone zabawnymi anegdotkami, których Daniela nie słyszała od czasów dzieciństwa. Po jedzeniu zasiedli przed kominkiem, by czekać na telefon od Clarence, która jednak jakoś nie dzwoniła. Kilianowi oczy same się zamykały.

– Połóż się, tato – poradziła mu córka. – Dam ci znać, jeśli zdarzy się coś ważnego.

Kilian przystał na tę propozycję. Pocałował Daniellę na dobranoc, Lahę zaś poklepał po ramieniu.

– Cieszcie się ogniem.

Daniela aż się uśmiechnęła. W Rabaltué taką formułą zegnał się zawsze ten, kto, idąc spać, zostawiał innych przy kominku. Tyle że akurat teraz – czego ojciec nie mógł wiedzieć – jego słowa zabrzmiały nader dwuznacznie. Wstała i poszła po dwie szklaneczki, do których nalała zleżalego wina.

– Podajemy to wino wyłącznie przy specjalnych okazjach – szepnęła.

Dom był bardzo duży, a pokój Kiliana mieścił się w najbardziej odległej jego części. Ojciec nie mógł ich usłyszeć, chyba że zaczęliby do siebie krzyczeć, Daniela jednak szeptała raczej dlatego, iż trochę krępowała ją świadomość, że oto za chwilę znajdzie się ramionach Lahy, przebywając pod tym samym co ojciec dachem.

– Trzymamy je w beczce z osadem, który nie był usuwany od dziesięcioleci. Co roku wypijamy z niej zaledwie parę litrów.

– A co świętujemy dzisiaj? – Laha umoczył wargi w kieliszku i poczuł intensywny, słodkawy smak kojarzący się z koniakiem.

– Zobaczysz.

Zadzwonił telefon i Daniela rzuciła się go odebrać. Po kilku minutach Laha usłyszał, jak idzie po schodach na górę. Gdy wróciła, w kominku właśnie pękało ostatnie jesionowe bierwiono, spoczywające wśród żaru, po którym leniwie pełzały drobne płomyki.

– Carmen będzie musiała chodzić w gipsie przez trzy tygodnie, więc zostaną w Bermonie. Clarence wróci po rzeczy.

– Przykro mi, że nie zdążyłem się odpowiednio pożegnać.

– Cóż, mam nadzieję, że się jeszcze zobaczycie. – Daniela zawiesiła głos. – Chciałbyś?

– Tak. Bo to by znaczyło, że zobaczę też znowu ciebie.

Daniela znów napełniła szklaneczki. Zamierzała usiąść z powrotem na fotelu, jednakże Laha chwycił ją za nadgarstek i posadził sobie na kolanach.

Napił się i popatrzył na nią wzrokiem pełnym pożądania. Ona pochyliła się i zlizwała mu resztki wina z ust. Metodycznie przesuwiała koniuszkiem języka po jego wargach, a potem ssała je powoli, żeby nie uronić ani kropelki tego mocnego, specyficznego trunku. Laha przymknął powieki i zamruczał, gdy poczuł jej dłonie na twarzy, włosach, karku. Jedną rękę położył na jej biodrze, by mocniej Daniellę przytrzymać, drugą zaś wsunął pod sweter i gładził ją po brzuchu, a potem coraz wyżej, zmierzając w stronę piersi. Odsunęła się trochę i popatrzyła na niego wyczekująco. Gdy powolnymi, kolistymi ruchami zaczął pieścić najpierw jedną jej pierś, później drugą, przygryzła dolną wargę, oddychając w przyspieszonym rytmie. Laha zapatrzył się na jej twarz. Jej porcelanowe policzki intensywnie się zaróżowiły. Wielkie oczy wyrażały pragnienie zmieszane z nadzieją i pewnością. Nawet w normalnych warunkach to brązowe spojrzenie zbijało ludzi z tropu, teraz zaś emanowało taką tajemniczą siłą, że Laha czuł się jak bezbronna ćma wciągana w świetlistą otchłań. Pragnął już tylko krążyć bez końca wokół tych źródeł jasności, cieszyć się ich wyzwaniem i powoli ulegać pokusie nieuniknionej śmierci...

Kilka minut później w gościnnej sypialni Daniela kontemlowała jego nagi tors. Jakaż różnica między tym mężczyzną, z którym planowała spędzić resztę życia, a znanymi wcześniej chłopakami! Widziała ją zresztą wyraźnie, jeszcze zanim poszła z nim do łóżka. Niewiele było rzeczy, które mogłyby zmienić jej opinię o nim. Laha tymczasem przywarł do niej całym ciałem. Żadne z nich się nie denerwowało, żadne nie chichotało, nie wykonywało zbędnych gestów, nie biło się z myślami. Ich ręce dobrze wiedziały, czego chcą dotknąć. Usta i języki z wprawą odpowiadały na wezwanie tego drugiego ciała, przemierzając każdy centymetr jego skóry. Wystarczyły pojedyncze spojrzenia, gdy akurat jedna twarz znajdowała się naprzeciwko drugiej, by się przekonać, że oboje pragną dokładnie tego samego.

Laha musiał bardzo się starać, by opóźnić moment, w którym w nią wejdzie. Chciał najpierw nacieszyć się tym wstępem. Nie był dzieckiem, doskonale znał etapy miłosnego rytuału. Jednakże teraz trochę go ponosiło. Jego zmysły kompletnie oszalały. Zjechał pół świata, spał z mnóstwem kobiet, ale nigdy nie przeżył nic takiego jak z tą

dziewczyną, którą dopiero co spotkał w miasteczku zagubionym pośród niesłychanie zimnych gór. Jeśli nawet przez chwilę się obawiał, że różnica wieku będzie stanowiła przeszkodę, obecnie miał już pewność, że całkowicie się pomylił. Jego ciało nagle przestało należeć do niego. Zupełnie uzależniło się od dotyku Daniela. To akurat nie ulegało wątpliwości.

A Daniela poruszała się pod nim niespokojnie, całkowicie gotowa. Czuła, że jeśli zaraz go nie dostanie, to zacznie krzyczeć, choćby miała obudzić pół miasteczka. No i w końcu ułożył się między jej nogami, i najdelikatniej jak potrafił, głaszcząc ją po włosach, wsunął się do środka. Zajęczała i wygięła się niecierpliwie. Chciała wchłonąć go w siebie jak najgłębiej, kołysać się razem z nim, stapiać się z nim w jedno i jednocześnie z nim eksplodować, uwalniając się wreszcie od tego nieznośnego, choć rozkosznego napięcia, które zagnieździło się w nich obojgu, bezlitosne i niewytłumaczalne.

Potem on opadł na plecy, bez tchu, z obłąkańczo bijącym sercem. Daniela leżała obok z zamkniętymi oczyma, aż w końcu odwróciła się ku niemu i położyła mu rękę na piersi. Wtedy objął ją i przytulił.

– Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło – powiedział cicho. – To było tak, jakby...
Wolał nie kończyć tego zdania na głos.

Ona jednak, owszem, dokończyła, tuż przed tym, zanim zapadła w głęboki sen.

– ...jakby ktoś posługiwał się naszymi ciałami wedle własnego widzimisie, prawda?

Clarence wróciła do Rabaltué dwa dni później. Jej urlop dobiegał końca, początek zajęć miał się nałożyć na rekonwalescencję matki, toteż wiedziała, że teraz długo nie zawita do Pasolobino. Nie zrobiła żadnych postępów w sprawie Lahy. Ciągłe coś jej przeszkadzało. Ojcu, który starał się doglądać chorej żony w Barmonie, brakowało tylko tego, by córka zaczęła rzucać mu w twarz straszne oskarżenia. Jednakże Daniela zamierzała powiedzieć od razu, gdy tylko Laha wsiądzie do autobusu.

Zauważyła, że spokojne, ciepłe i pełne uśmiechów pożegnanie tych dwojga na przystanku w Cerbeanie w niczym nie przypominało jej trudnego rozstania z Inikiem na lotnisku na Bioko. Czy to znaczyło, że Laha i Daniela planowali się jeszcze zobaczyć?

Gdy przyszła jej kolej, uściskali się serdecznie.

– Kochana Clarence! Dziękuję za wszystko! To były cudowne święta!

Clarence, pod wpływem nagłego przypływu szczerości, mruknęła w odpowiedzi:

– Och, mój drogi! Kilka miesięcy temu ani ty, ani Bisila, ani Iniko w ogóle dla mnie nie istnieliście. A teraz wydaje mi się, że znamy się całe życie! Jakby nasze egzystencje uparcie się zazębiały...

– Czy chcesz przez to powiedzieć – żartobliwym tonem szepnął jej na ucho Laha – że odnosisz dziwne wrażenie, iż nie ma sensu opierać się woli duchów?

Clarence aż odskoczyła. Laha jeszcze raz pocałował Daniellę w policzek i wsiadł do autobusu. Daniela machała za nim ręką, dopóki nie znikł jej z oczu.

– A teraz my dwie pójdziemy sobie na piwo – oświadczyła Clarence. Zabrzmiało to raczej jak rozkaz niż jak propozycja. – Od jak dawna nie rozmawiałyśmy na osobności?

Gdy skończyła przedstawiać swoją wersję zdarzeń – pomijając jedynie własną relację z Inikiem – spuściła oczy i westchnęła. W oczach Daniela podczas trwania opowieści

kilkakrotnie pojawiały się łzy, którym jednak ani razu nie pozwoliła spłynąć na policzki. Słuchała uważnie, ściągała usta, unosiła brew, opierała brodę na rękę, odklejała z butelki etykietkę i darła ją na strzępy, jednakże nie odezwała się ani słowem.

– Nawet ten znaleziony przeze mnie fragment listu nabrał teraz sensu – kończyła Clarence. – Mówił przecież o dwóch braciach, z których jeden już pracował, a drugi się uczył. To chyba jasne, że chodziło o Inika i Lahę. – Zapaliła papierosa, a ręce jej drżały. – Nie rozumiem tylko, jak się ma do tego wszystkiego znajomość Manuela z Dimasem z Ureki... I co? Nic nie powiesz?

– A co mogę powiedzieć? – spytała Daniela, wciąż oszołomiona. – Sama zauważyłaś, że brak ci jakichkolwiek dowodów poza zbieżnością imion i innymi drobiazgami...

Raz jeszcze, wspólnie, podsumowały wszystkie dane, lecz znów utknęły w tym samym punkcie. Było bardzo prawdopodobne, że Laha i Clarence są rodzeństwem, jednakże ostatecznego potwierdzenia w tej sprawie mógł udzielić wyłącznie Jacobo.

Ale gdyby nawet okazało się, że to prawda, pomyślała Daniela, moje uczucia względem Lahy i tak by się nie zmieniły.

Zapadło długie milczenie. Obie kuzynki siedziały pogrążone w zadumie.

A ja sądziłam, rozmyślała dalej Daniela, że chodzi o zazdrość...

– I co teraz? – spytała wreszcie Clarence, uwolniona od dręczącego ją miesiącami sekretu i wdzięczna, że w końcu może z kimś o tym porozmawiać.

– Nie wierzę... – Daniela zaśmiała się nerwowo. – Laha w roli mojego... kuzyna!

Potem nagle zaświtało jej w głowie coś innego – zupełne wariactwo, od którego poczuła się słabo.

– Co ci jest? – zainteresowała się jej kuzynka. – Strasznie zbladłaś.

– Och, Clarence... A jeśli...? Czy jesteś pewna, że nie istnieje najmniejsza nawet szansa, żeby ojcem Lahy był... – Trochę zabrakło jej oddechu. – ...Kilian?

Clarence przygryzła wargi i z przekonaniem potrząsnęła głową.

– Julia właściwie potwierdziła ojcostwo Jacoba. Poza tym: wyobrażasz sobie swojego ojca ukrywającego taki sekret?

– No, zwiódłby mnie, nie powiem. – Daniela pociągnęła kolejny łyk piwa. Nagła słabość minęła jej tak samo szybko, jak się pojawiła. – Tata, owszem, jest bardziej niż zwykle milczący, wręcz melancholijny, ale spokojny. Gdyby Laha był jego synem, chyba by się bardziej denerwował.

– A zamiast tego denerwuje się mój ojciec, prawda? Więc... Kiedy im powiemy?

Daniela wahała się przez chwilę. Wyznanie dotyczące pochodzenia Lahy szło w parze z wyjawieniem natury ich związku. Zbyt wiele wszystkiego naraz.

– Chwilowo w domu nie powiemy nic. Wcześniej chciałabym porozmawiać z Lahą.

Największa zmiana, jaka zaszła w Rabaltué przez pierwsze miesiące 2004 roku – jeśli nie liczyć długich nieobecności Jacoba i Carmen, a także zapracowanej w Saragossie Clarence – wiązała się z częstymi wizytami w Madrycie, które Daniela *musiała* odbywać raz na trzy czy cztery tygodnie. Fakt, że mieszkała na głębokiej prowincji, uwiarygodniał wymówkę w postaci doksztalającego kursu dla pielęgniarek. Clarence jednakże nie pojmowała, jak inni – zwłaszcza stryj Kilian – przeoczyli zmianę, która

zaszła w jej kuzynce. Choć, owszem, nikt poza nią nie miał powodu podejrzewać, że Daniela wciąż spotyka się z Lahą. Jak oni to właściwie robili? Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to że Laha zatrzymywał się w Madrycie za każdym razem, gdy leciał z Kalifornii na Bioko i odwrotnie.

Po każdym weekendowym kursie w stolicy Daniela wracała do domu wyczerpana, lecz promienna. Clarence myślała sobie z niejaką zazdrością, że jeśli Laha jest choć w połowie tak dobrym kochankiem jak Iniko, kuzynka naprawdę ma powody do radości. Niemniej takie myśli jedynie potęgowały jej niepokój o Daniellę, albowiem te ciągłe podróże mogły oznaczać tylko jedno: że ci dwoje z powodzeniem przetrwali pierwszą, najbardziej namiętną fazę związku i zamiast zdradzać objawy zmęczenia, właśnie odkrywali, iż chcą spędzić ze sobą życie, poznać nawzajem swoją przeszłość i zaplanować wspólną przyszłość.

Na to wychodziło.

Tymczasem Laha i Daniela, widując się z dala od Pasolobino, nie wiedzieli jeszcze jak, gdzie i kiedy.

Sytuacja nie była łatwa. Bioko, Kalifornia i Pireneje stanowiły trójkąt o bardzo oddalonych od siebie wierzchołkach. Któreś z nich dwojga musiało liczyć się z koniecznością podążenia za tym drugim na koniec świata. Albo Laha decydował się na przenosiny do Hiszpanii, albo Daniellę czekało nieustanne krążenie między Kalifornią a Bioko. Laha przekonywał, że plusem zawodu pielęgniarki jest to, że można go wykonywać w dowolnym miejscu na świecie. Zwłaszcza w Gwinei, nawet jeśli akurat tam zarabiano się mniej. Bisila z pewnością pomogłaby w znalezieniu odpowiedniej posady. Cóż za zbieg okoliczności, że dwie kobiety najważniejsze w jego, Lahy, życiu, były pielęgniarkami!

Jednakże Daniellę, bardziej niż przyszłość zawodowa, martwiły inne kwestie. Po pierwsze ciągle jeszcze nie rozmawiała z Lahą na temat swoich domysłów dotyczących jego pochodzenia. Zachowywała się jak okropna egoistka, lecz to z obawy, że podobna wiadomość zakłóci harmonię ich spotkań. Po drugie wciąż nie miała odwagi wyznać wszystkiego ojcu.

Zawsze była z Kilianem tak blisko, że ciężko znosiła niemożność podzielenia się z nim radością ze spotkania kogoś takiego jak Laha. Nigdy też nie mieszkała z dala od ojca, co najwyżej w trakcie studiów, od poniedziałku do piątku. Jacobo, Carmen i Clarence, owszem, czynili rodzinę kompletną, jednakże ją z ojcem łączyło coś wyjątkowego, jakby oboje czuli, że nie mają na świecie nikogo poza sobą nawzajem. Jak więc mogła mu powiedzieć, że zamierza się przenieść na drugi kraniec świata, do tego w momencie, gdy naprawdę zaczynał jej potrzebować?

Jej związek z Lahą rozwijał się tak szybko, że raczej prędzej niż później miała nadejść chwila dokonania wyboru. I ona, Daniela, usiłowała maksymalnie ten moment opóźnić. Nie pomagały jej w tym ani zmysł praktyczny, ani skłonność do logicznego myślenia, ani zdolności organizacyjne, ani wrodzona stanowczość. Zresztą, w ogóle miłosa relacja z mężczyzną tak odmiennym, trochę jednak starszym i w dodatku być może z nią spokrewnionym nigdy nie wchodziła w zakres jej życiowych planów.

Powážnego namysłu nad tym wszystkim nie ułatwiały też pocałunki Lahy ani jego

obsesja na punkcie jej piersi.

– Cały czas milczysz – rzucił Laha. – Dobrze się czujesz?

– Myślałam o ojcu – odrzekła Daniela, podnosząc się do pozycji siedzącej i opierając o zagłówek łóżka. – Będę musiała mu powiedzieć!

Laha położył się obok, podczas gdy ona w zamyśleniu obejmowała ramionami podkulone nogi.

– Sądzisz, że może mu przeszkadzać mój kolor skóry?

Daniela zwróciła się ku niemu gwałtownym ruchem. Żle ją zrozumiał.

– Nigdy by mi coś takiego nie przyszło do głowy!

Laha pogłaskał ją po stopie.

– To w Rabaltué coś zupełnie nowego...

Oczy Daniela zabłyśły gniewem.

– Cóż, od dawna już pora, żeby coś wreszcie zakłóciło historyczny spokój mojego domu! – potem zniżyła głos i dodała: – Niewykluczone, że mój stryj Jacobo dostanie pypcia... Murzyn w rodzinie! – Skrzywiła się. Murzyn, który w dodatku mógł być jego synem... – Ale tata jest inny. Uszanowałby moją decyzję bez względu na wszystko.

– To w takim razie co cię martwi?

Daniela westchnęła głęboko.

– Mój związek z tobą oznacza, że tata zostanie sam w Pasolobino. – Sięgnęła po koszulę Lahy, zarzuciła ją sobie na ramiona i usiadła na skraju łóżka. – Tak czy owak, jest za wcześnie, żeby mu mówić. Znamy się ledwie od trzech miesięcy.

– Jak dla mnie to dosyć. – Laha ukląkł za nią i ją objął. – Wiesz? Zresztą wszystko dzieje się tak szybko... Jest takie afrykańskie przysłowie: choćbyś zerwał się bladym świtem, twój los i tak wstanie przed tobą.

Daniela opadła mu na pierś, przymykając oczy.

Tej nocy w madryckim hotelu nie mogła zasnąć dłużej niż zwykle. Przypominała sobie różne sceny ze swego życia, dzieciństwo, młodego ojca, znaną wyłącznie z fotografii matkę. Widziała też Clarence, Carmen i Jacoba. Myślała o przyjaciółach, sąsiadach i znajomych; o ludziach, których pozdrawiała co dzień po drodze do pracy albo na zakupy. Myślała o tym, że to wielkie szczęście – urodzić się i żyć w miejscu, w którym urodziła się i żyła.

Podobnie jak Clarence, stanowiła część tego krajobrazu, złożonego z łąk poprzecinanych przez strumienie, jezior lodowcowych i lasów, w których dominowały sosny hakowate, jesiony, orzechy, dęby i jarzębiny; krajobrazu wiosną pachnącego polnymi kwiatami, latem – świeżo skoszonym sianem, jesienią – opadłymi liśćmi, a zimą – śniegiem.

To był dotąd jej świat.

Clarence nie rozumiałaby, jak może planować go opuścić.

Przypominała sobie inne afrykańskie przysłowie, które Laha przywołał w czasie jednej z ich licznych rozmów o jego ojczyźnie.

„Rodzina jest jak las”, powiedział wtedy. „Z zewnątrz widzisz jedynie ścianę zieleni, podczas gdy od środka dostrzegasz poszczególne pnie”.

Jej bliscy nie potrafiliby pojąć, że dorosłe drzewo jednak da się przesadzić. „Danielo,

argumentowaliby zapewne, dużych drzew ani rozkwitłych kwiatów się nie przesadza. Bo umrą”. „Chyba że wykopiesz je z całym systemem korzennym, odrzekłaby na to, i z masą ziemi, a potem będziesz ciągle podlewać. Zresztą, dodałaby, korzenie człowieka nie są czymś materialnym, jak korzenie drzewa. Człowiek swoje korzenie nosi w sobie. To coś w rodzaju macek, które splecione z naszymi nerwami zapobiegają naszemu rozpadowi. Gdziekolwiek byśmy się znajdowali”.

Gdy wreszcie zasnęła, przed jej oczami wciąż przesuwały się rozmaite obrazy.

Wody z topniejących lodowców w dolinie Pasolobino spływały potężną strugą przez jakąś równinę, by na koniec wpadać w głęboką czeluść. Tam całkowicie znikwały, jakby magicznym sposobem.

Za sprawą kaprysu natury u stóp pasolobińskich gór zachodził niezwykle proces o charakterze karstowym.

Lodowcowa rzeka płynęła teraz wewnątrz skały, podziemnymi korytarzami. Kwaśna woda z lodowca potrafiła roztopić kamień. Z dala od słonecznego światła drążyła nowe groty i galerie. Później, po kilku tam kilometrach, w zupełnie innej dolinie z powrotem wypływała na powierzchnię – w formie potężnego źródła, zasilającego inną rzekę, która, dużo dalej, już na francuskim wybrzeżu, uchodziła do morza.

W tym śnie Kilian z Danielą nachylali się nad czeluścią, w której znikła rzeka.

Daniela cieszyła się, że jej tajemniczy bieg zmierza ku szczęśliwemu końcowi.

I, co ciekawe, Kilian też nie wydawał się smutny, przeciwnie: triumfująco się uśmiechał.

Wiedział, że woda, która znikła sprzed ludzkich oczu w ciemnych jaskiniach, wyłobiwszy wnętrze skały, zawsze znajdowała sposób, by wydostać się na powierzchnię i znów objawić się światu.

W końcu znajdowała ujście.

XIV. TEMPS DE ESPINÁULOS

Czas cierni, kwiecień 2004

Gdy rodzina ruszyła w drogę do Madrytu, na zjazd przyjaciół Fernando Poo, Daniela mogła wreszcie dać upust swojej ekscytacji.

Po raz kolejny obeszała dom, by się upewnić, że wszystko gotowe. Tym razem Laha miał z nią spać w jej pięknym, niebieskim pokoju, umeblowanym antykami należącymi jeszcze do jej pradziadków, rodziców Antona. Honorowe miejsce zajmowało tu zadziwiająco wielkie jak na tamte czasy łóże. Daniela marzyła już tylko o tym, żeby znaleźć się z ukochanym pod pikowaną puchową kołdrą.

Później zajrzała do sypialni ojca, mniejszej i skromnie urządzonej sosnowymi meblami w kolorze miodu. Jedyłą w tym pomieszczeniu ozdobę stanowiły dwie stare grafiki: jedna przedstawiała świętego Kiliana, druga zaś – czarnoskórą Madonnę o smutnej twarzy. Obie wisiały na ścianie przeciwległej do głowy łóżka, toteż były pierwszą i ostatnią rzeczą, którą ojciec widział w ciągu dnia, gdy wstawał i szedł spać.

Daniela powiodła wzrokiem po pokoju i jej uwagę zwrócił pewien przedmiot.

Na jednej z nocnych szafek leżał stary portfel ojca.

Udało się go wreszcie nakłonić, by z okazji podróży do Madrytu wziął ze sobą nowy, otrzymany od córki pod choinkę. Osobiście przełożyła mu z jednego do drugiego wszystkie dokumenty i niezliczone karteluszki z numerami telefonów i zapiskami – w biegu, po długich namowach, tuż przed tym jak całe towarzystwo wpakowało się do samochodu Jacoba, pośród ostatnich pokrzykiwań, przedwyjazdowych nerwów i pospiesznych pożegnań. Stary portfel musiała właściwie wyrwać Kilianowi z rąk, gdyż ojciec nie chciał się z nim rozstać i kazał jej przyrzec, że wyjmie z niego tylko pieniądze, karty i dokumenty, a potem schowa go do nocnej szafki.

Podeszła do łóżka, żeby spełnić obietnicę. Gdy schyliła się, by otworzyć nieco oporną szufladę, jej spojrzenie padło na kawałek papieru, który wystawał spod łóżka, częściowo przykryty dywanem.

Podniosła go i stwierdziła, że chodzi o fragment czarno-białej fotografii, ukazującej piękną i uśmiechniętą czarnoskórą kobietę trzymającą za rękę małego chłopca.

Nie wiedziała, co to za ludzie ani dlaczego nigdy wcześniej nie miała tego zdjęcia w rękach. Wiedziała natomiast, że autor *Śniegu na palmach* prosił o materiały tych mieszkańców doliny, którzy dziesięciolecia wcześniej wyprawiali się do Gwinei. Być może była to jedna z tych nielicznych fotografii, na które Kilian natknął się, szperając w szafie w salonie, gdzie przechowywano stare dokumenty i pamiątki. W książce ukazało się przecież aż kilka zdjęć braci Rabaltué.

Tak, to pewnie to.

Schowała wszystko do szuflady i zeszła do kuchni, żeby przygotować kolację. Laha miał się zjawić lada chwila.

W hotelu w centrum Madrytu Jacobo i Kilian oddawali się ożywionej konwersacji. Poza Marcialem i Mercedes Clarence poznała wysuszonego, przykutego do wózka

staruszką imieniem Gregorio, któremu jej stryj chłodno skinął głową.

Spotkanie odbywało się w cieniu niedawnych zamachów terrorystycznych na cztery podmadryckie pociągi, w których zginęło w sumie dwieście osób. Niemniej wszystkie rozmowy i tak dotyczyły Gwinei. Wiele mówiło się o krótkiej wzmiance, która pojawiła się ostatnio w prasie, a dotyczyła utworzenia w Madrycie emigracyjnego rządu Gwinei Równikowej stawiającego sobie za cel zorganizowanie wolnych wyborów i przywrócenie demokracji w kraju. Clarence bardzo szybko podzieliła zebranych na dwie kategorie: anachronicznych kolonialistów w typie jej ojca, upierających się, że Gwinejczykom żyło się lepiej pod rządami Hiszpanów, oraz konserwatywnych paternalistów, takich jak jej stryj, którzy twierdzili, że Hiszpania ma wobec dawnej kolonii historyczny dług i powinna angażować się w jej wewnętrzne sprawy, by go spłacić.

Zastanawiała się, czy ktokolwiek ze zgromadzonych zgodziłby się z nią i Fernandem Garuzem co do tego, że matka ojczyzna i ekskolonia nie są sobie nic nawzajem winne i że najlepiej po prostu szanować autonomię Gwinei, nawet jeśli nie wszystko, co się w niej dzieje, wzbudza akurat aprobatę. Czemu właściwie nie traktować tego małego kraju jak równego sobie, jak niezależnego partnera, z którym da się robić interesy?

Wzięła kieliszek i usiadła w fotelu, by doczekać w ten sposób do kolacji. Tęskniła za Danielą, gdyż młodych ludzi wokół zdecydowanie brakowało. Choć ostatnia rozmowa z kuzynką okazała się wyjątkowo trudna. Daniela bowiem wysunęła oskarżenie, że ona, Clarence, jest zazdrosna o czas spędzany przez kuzynkę z Lahą. Clarence doskonale pamiętała, że aż się zakrztusiła whisky. Bo przecież nie o to chodziło. Nie była zazdrosna o relację łączącą jej kuzynkę z jej – jak wszystko na to wskazywało – przyrodnim bratem, lecz o to, że odległość nie zdołała ostudzić ich emocji. W gruncie rzeczy czuła się kiepsko, ponieważ – choć przyznawała to z trudem, świadoma, że jej związek z bratem Lahy na dłuższą metę by nie zadziałał – strasznie za Inikiem tęskniła.

Chcąc przekonać Daniellę, że się myli, opowiedziała jej wreszcie historię swojego romansu z Inikiem. Kuzynka natychmiast zasypała ją pytaniami, zupełnie jakby starała się dokonać jakichś porównań. Szczególnie zaprzętało ją pytanie, czy różnice kulturowe mogą wywrzeć negatywny wpływ na jej związek... Czyżby zamierzała zamienić Pasolobino na Malabo? Clarence na wszelki wypadek drobiazgowo opisała jej najrozmaitsze uciążliwości życia na wyspie. Pragnęła skłonić ją do zastanowienia się nad tym, co utraci, i nad problemami z ewentualnym przystosowaniem się do funkcjonowania w kraju takim jak Gwinea, bo zapewne zdecydowałiby się z Lahą, choćby okresowo, tam mieszkać. Jak mogłaby być w takich warunkach szczęśliwa?

Daniela odpowiadała z przekonaniem, przy czym Clarence odnosiła wrażenie, że mówi słowami Lahy: w krajach rozwijających się jest bardzo dużo do zrobienia, zwłaszcza w tych, które są doskonale położone, jak Gwinea, i przyciągają firmy z całego świata, dzięki czemu mają szansę na rozwój infrastruktury i lepszą przyszłość. Na zakończenie kuzynka oświadczyła zdecydowanie, że „teraz bez Lahy nie potrafiłaby już być szczęśliwa nigdzie”.

Jeśli ich relacja ewoluowała w takim tempie, pomyślała Clarence, Daniela naprawdę nie powinna dłużej odwlekać poważnej rozmowy z ukochanym.

Pociągnęła łyk z kieliszka.

Była sobota, tamci dwoje spędzali weekend w Pasolobino.

Czy Laha już wiedział?

Okres wyczekiwania na odrodzenie się życia po zimowej martwocie trwał wysoko w Pirenejach dłużej niż gdzie indziej. Zieleń nigdy nie pojawiała się w Pasolobino przed majem. W kwietniu, zamiast pierwszych kwiatów, wszędzie widać było gołe, gdzieś przykryte jeszcze śniegiem pola. O tym, że zbliża się nowa pora roku, nie świadczyło nic poza niezaprzeczalnym faktem, iż z każdym dniem słońce wstawało jednak trochę wcześniej, by zejść odrobinę później.

W obecności Lahy Daniela nie dbała o to, czy jest ciepło, czy zimno, czy na łąkach kwitną już kwiaty, a na drzewach śpiewają ptaki. Martwiła się natomiast, że dni i noce zrobiły się nagle takie krótkie.

Laha przyjechał w czwartek wieczorem, ale do soboty nie zdążyli się jeszcze sobą nacieszyć. Daniela nie znalazła też sposobnej chwili, by wyznać mu, iż mogą okazać się kuzynami. Żadne nie miało ochoty zajmować się niczym poza tym, że byli razem. W niedzielę Laha wyjeżdżał i nie wiedzieli, kiedy się znowu zobaczą. Na podjęcie ostatecznej decyzji, co dalej, dali sobie czas do lata. Tymczasem zaś przeżywali każdą wspólną chwilę tak intensywnie, jakby była ostatnia, jakby dręczyło ich przecucie, że niespodziewany kaprys losu zagrozi tej szczęśliwości, której doznawali.

O tej porze roku, gdy czas zdawał się niekiedy przystawać, wszędzie panował wyczekujący spokój, zakłócany teraz jedynie przez bicie ich serc. Ręka Daniela błędziła po piersi Lahy, zatrzymując się raz po raz i sprawdzając, czy jego serce zwolniło już trochę po ostatnich gwałtownych minutach. Laha spojrzał na dziewczynę, ona uniosła głowę, by też na niego popatrzeć. Miał spocone czoło. Pomyślała, że to najpiękniejsza twarz, jaką widziała w życiu – z tymi niesamowitymi, zielonymi oczyma i mięsistymi, doskonałymi wargami odcinającymi się od ciemnej skóry. Na tym tle jej własna karnacja wydawała się jeszcze jaśniejsza niż zwykle. Przytulili się mocno i przez chwilę leżeli w ciszy, napawając się poczuciem bezpieczeństwa, które brało się z tej ciepłej bliskości.

– Wyobrażasz sobie, jak wyglądałoby nasze życie sto lat temu? – spytała sennie Daniela.

Laha zaśmiał się na to niespodziewane pytanie.

– Cóż... Na Bioko wstawałbym bardzo rano, żeby polować na antylopy albo wyprawiać się swoją dłubanką w morze. – Wyplątawszy się z ramion Daniela, założył obie ręce pod głowę. – Albo pracowałbym na plantacji... Tak czy owak, moja piękna żona Daniela zajmowałaby się w tym czasie domem, ogródkiem i gromadką dzieci.

Daniela oparła głowę na zgiętej w łokciu ręce.

– Najprawdopodobniej miałbyś więcej niż jedną żonę.

– Najprawdopodobniej – uśmiechnął się przekornie Laha.

Daniela pieścotliwie uszczypnęła go w ramię.

– W Pasolobino *ja* robiłabym to samo. Natomiast mój kochany mąż Laha, oprócz tego, że by polował i łowił ryby, pracowałby też w polu, doglądał zwierząt, naprawiał dom i zabudowania gospodarcze, przycinał drzewa, rąbał drewno na opał, doił krowy,

odśnieżał podwórze i, z rzadka, odpoczywał, by nabrać sił i... – mocno zaakcentowała ostatnie słowa – *zadowolili* swoją *jedyną* żonę.

Laha wybuchnął śmiechem.

– To mi przypomina pewną starą historię, którą Bubi opowiadali sobie jeszcze w epoce przedkolonialnej. – Odchrząknął i bardzo powoli zaczął: – Przed wielu laty w wiosce nazywanej Bissappoo mieszkało młode małżeństwo. Na początku wszystko szło dobrze, ale z czasem mąż przestał przychodzić na kolację. Żona gotowała, a ponieważ go nie było, przekładała jedzenie do misek, które następnie wstawiała do suszarni. Potem mąż wracał i szedł spać bez posiłku. Tak to trwało i trwało. W końcu żona nie mogła już wytrzymać i zwróciła się do starszyny. Plemienni mędrcy naliczyli ponad tysiąc pełnych misek, lecz nie podjęli żadnej decyzji, toteż żona postanowiła na własną rękę odszukać męża. Znalazła go na skraju wioski, w towarzystwie innych mężczyzn. Zobaczył ją i zawołał. Ona przystanęła i popatrzyła na niego, ale nie odpowiedziała. Znowu ją zawołał i spytał: „Co ci zrobił ten, który je i rozdziela?”. Odparła: „Nic, nic. Ja nie jestem mężem. Ty jesteś mężczyzną. Jedzenie stoi w suszarni, suche i pokryte pajęczyną. Wyszło. Całkiem wyszło”.

Daniela przez chwilę leżała w milczeniu. Laha obrócił się na bok, twarzą do niej, objął ją i przyciągnął do siebie.

– Ja nigdy nie dopuszczę, żeby wyszło ci jedzenie – szepnął jej do ucha.

– Chyba się cieszę, że żyjemy jednak w dwudziestym pierwszym wieku – zażartowała ona. – Nie podoba mi się myśl o tym, że zawsze tylko ja miałabym gotować.

Uklękła i postanowiła wrócić do terażniejszości, gryząc i pieszcząc całe jego ciało, a ponieważ on tymczasem położył się na brzuchu, zaczęła od szyi, by zsunąć się ku łopatkom i niżej, wzdłuż linii kręgosłupa. Poświęciwszy chwilę pośladkom, lekkim gestem kazała kochankowi odwrócić się na plecy i podjęła przerwana czynność, tym razem zaczynając od stóp i zmierzając ku łądzwiom.

Laha zajęczał z rozkoszy i wyciągnął rękę ku miękkim włosom Danieli, rytmicznie muskającym skórę niczym delikatna zasłona.

Nagle poczuł, że dziewczyna znieruchomiała. Pomyślał, że przeszkadza jej jego ręka, więc ją cofnął.

Jednakże Daniela nadal się nie ruszała.

Otworzył oczy i lekko uniósł głowę, by na nią spojrzeć. Przyglądała się czemuś z wielką uwagą.

– Co się stało? – spytał, pragnąc, by wróciła do tego, co robiła wcześniej.

– Ta plamka tutaj... – mówiła teraz bardzo cicho. – Wcześniej sądziłam, że to blizna, tyle że ona z bliska wygląda raczej jak rysunek...

Laha się zaśmiał.

– To zabliznione nacięcie, coś jak tatuaż. Zrobiła mi je matka, gdy byłem bardzo mały. Kiedyś wielu Bubich głęboko nacinało sobie całe ciało, zwłaszcza twarz, jednak za czasów kolonii zwyczaj ten już zanikał, a matka nie chciała okaleczyć mi twarzy... – Urwał, bo dostrzegł, że Daniela go nie słucha.

– Ale... To... – wymamrotała. – Wygląda jak... Ja widziałam...

– Tak, to *elëbó*, dzwoneczek Bubich, mający mnie chronić przed złymi duchami.

Pamiętasz? W święta podarowałem taki twojemu ojcu.

Daniela była bardzo blada. Czy ten instrument, zgodnie z opowieścią Clarence, nie stanowił przypadkiem jednego z najważniejszych tropów? Czy niejaki Simón nie kazał jej szukać właśnie *elëbó*? Poczula, że się dusi. Podnosząc wzrok, rzuciła jednak w miarę neutralnym tonem:

– Mój ojciec ma dokładnie taki sam tatuaż pod lewą pachą. Taki sam. Identyczny.

Laha się zdumiał.

– Cóż, po tylu latach na Bioko postanowił pewnie zrobić sobie nacięcie...

– Ono jest identyczne! – przerwała mu Daniela. – Powiedz, po co ludzie się nacinali?

Laha, przypominając sobie kolejne powody, głośno je wymieniał:

– No więc tak... W celach artystycznych, dla odróżnienia się od przedstawicieli innych plemion, z przyczyn zdrowotnych... – Daniela, jakby nieprzekonana, raz po raz potrząsała głową. – Dla oznaczenia kogoś, na przykład z miłości... A niewolnicy nacinali się, żeby móc się rozpoznać w razie rozdzielenia...

– Żeby się rozpoznać... – szepnęła Daniela z rozpaczą. Miała straszne przeczucie. Przypomniała sobie fragment fotografii znaleziony na podłodze w sypialni ojca. – Poczekaj moment.

Wyszła z pokoju, by już po chwili wrócić ze zdjęciem.

– Rozpoznajesz tę kobietę i to dziecko?

Laha zerwał się z łóżka.

– Skąd to wzięłaś?

– Czyli rozpoznajesz...

– Ta kobieta to moja matka! – Laha mówił rozdygotanym głosem. – A to dziecko, które trzyma za rękę, to ja.

– Twoja matka i ty... – powtórzyła bezsilnie Daniela.

Laha rzucił się w stronę krzesła, na którym wisały jego spodnie, i wyjął z kieszeni portfel. Otworzył go i wyciągnął fragment fotografii przedstawiającej białego mężczyznę opartego o furgonetkę.

Daniela nie musiała się zbyt długo przyglądać, aby zdać sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze: mężczyzną na zdjęciu był Kilian. Po drugie: oba fragmenty idealnie do siebie pasowały.

Nagle okropnie zachciało jej się płakać.

Laha zaczął się ubierać.

– To może znaczyć tylko jedno – powiedział dziwnym głosem, zupełnie jakby sen, który przeżywali, nagle zamienił się w koszmar.

Już ubrany, jał krążyć po pokoju, z wściekłością, jakiej Daniela jeszcze u niego nie widziała. Raz po raz z rozpaczą łapał się za głowę.

Nagle zdał sobie sprawę, że Daniela patrzy na niego z mieszaniną konsternacji i smutku. Wciąż była naga. Na ten widok poczuł zimny dreszcz i chęć, by krzyczeć tak długo, aż wykrzyczy z siebie cały gniew.

Jak ona mogła nie rozumieć powagi sytuacji?

On nie miał wątpliwości.

– Daniela! Na Boga! – poprosił ochryłym głosem. – Ubierz się!

Daniela ruszyła do szafy. Drżała na całym ciele.

– Jest jeszcze coś... – odważyła się wyjąkać. – Do tej pory podejrzewaliśmy z Clarence, że twoim ojcem jest Jacobo.

Laha skoczył ku niej i złapał ją za ramiona tak mocno, że jęknęła.

– Podejrzewaliście, że możemy być rodziną, i to przede mną zatailiście? – Teraz gwałtownie nią potrząsał. Jego oczy nie były już zielone; były agresywnie szare.

– Chciałam ci to powiedzieć teraz, w tych ostatnich dniach, ale jakoś nie trafiła się okazja – szepnęła Daniela, wreszcie pozwalając sobie na płacz. – Trochę martwiłam się twoją ewentualną reakcją, owszem, sądziłam jednak, że takie pokrewieństwo niczego nie zmieni...

– Czy do ciebie nie dociera, że my jesteśmy...? – krzyknął Laha.

– Nie chcę... – syknęła. – Nie chcę tego słyszeć. Nic nie mów.

Nie chciała tego słyszeć. Nie chciała o tym myśleć.

Laha sprawiał jej ból.

I nie chodziło wcale o jego mocne ręce, które wciąż zaciskały się na jej ramionach. Chodziło o straszne przypuszczenie, że to, co właśnie odkryli, jest prawdą. Jak ojciec mógł...? Dlaczego ich nie uprzedził?

Chciała jedynie płakać, przytulić się i ocknąć z tego koszmaru.

Ale nie. Teraz nawet nie powinna tak myśleć.

– Sprawiasz mi ból – zdołała wyszeptać.

Laha czuł, że ogarnia go wielka pustka. Nigdy w życiu nie zareagował na nic tak gwałtownie. Ramiona Daniela były takie delikatne, cała Daniela była taka delikatna. Na moment dał się ponieść wściekłości wymierzonej w gruncie rzeczy w kogoś innego, a wyładował ją na niej.

Daniela już nic nie mówiła. Tylko bezgłośnie płakała. Musiał się uspokoić. Musiał ją jakoś pocieszyć.

W pierwszej chwili chciał ją znów do siebie przyciągnąć, położyć na tym ogromnym łóżku...

Do kogo należało to łóżko? Do jej pradziadków, dziadków Kiliana...

Jego własnych pradziadków!

Rozbolała go głowa. Co właściwie powinien zrobić?

Daniela spojrzała na niego i poprosiła:

– Popatrz na mnie, Laha. Błagam...

Nie spełnił jej prośby. Uścisnął ją tylko z całej siły, jak ktoś, kto po raz ostatni obejmuje ukochaną osobę,

– Muszę jechać, Danielo. Muszę jechać.

Podszedł do szafy, wyjął walizę i spakował swoje rzeczy. Oboje milczeli. Na zewnątrz, po wielu tygodniach spokoju, znowu zerwał się północny wiatr.

Daniela siedziała bez ruchu jeszcze długo po tym, jak wynajęty samochód Lahy oddalił się tylną drogą. Nawet skóra rozorana ciernistymi gałęziami, jakich używano czasem do ogradzania pastwisk, nie bolałaby tak strasznie jak to.

Dopiero gdy podświadomość przyswoiła fakt, że Laha jest już zbyt daleko, by istniał choćby cień szansy, że zawróci, Daniela, krzycząc ze złości na los i przeklęty przypadek,

który położył kres jej marzeniom, gwałtownymi ruchami zerwała z łóżka pościel.

Zebrała prześcieradła i powłóczki, zeszła do kuchni i zapakowała je do wyjętego z szuflady foliowego worka.

Nie zamierzała ich wyrzucać.

Zamierzała je spalić.

Spalić wszelkie ślady kazirodczej namiętności.

Choć wbrew wszystkiemu wciąż nie wierzyła, że Laha jest jej bratem.

– Pięknie wyglądasz! – Clarence po raz pierwszy spotykała Julię w mieście.

Julia miała na sobie lekką, wzorzystą sukienkę i delikatne pantofle na obcasie. W Pasolobino ubierała się zupełnie inaczej. Tego wieczoru nie znalazły jeszcze z Clarence czasu, by porozmawiać, a przy kolacji siedziały przy innych stolikach.

Podziękowała za komplement uśmiechem. Naprawdę świetnie się dziś czuła. Wzięła od kelnera kieliszek i upiła łyk alkoholu.

– Tyle wspomnień... – Oczy jej zabłyśły. – Manuel byłby zachwycony.

– Nawet moja mama zdaje się dobrze bawić – zażartowała Clarence, chcąc odwrócić uwagę Julii od zmarłego męża. – W sumie rzadko ma okazję wziąć udział w podobnej imprezie.

– Tak – westchnęła Julia. – Tu jest trochę jak w kasynie w Santa Isabel.

Rozbrzmiała muzyka i Jacobo zaraz wyszedł na parkiet. Jeśli w czymś rzeczywiście gustował, to w tańcu, Carmen zaś sekundowała mu z wprawą nabytą przez trzy dekady małżeństwa.

Julia przypatrywała im się z uwagą. Zastanawiała się, czy byli razem szczęśliwi, i z lekką nostalgią myślała o tym, co mogło się zdarzyć, ale się nie zdarzyło. Gdyby Jacobo nie wykazał się kiedyś taką głupotą, teraz ona, Julia, zajmowałaby miejsce Carmen. Napiła się znowu. Cóż za idiotyczne pomysły! W jej wieku! Zresztą Jacobo wybrał zapewne właściwie. Carmen sprawiała wrażenie kobiety czulej i prostej, zdolnej łagodzić jego zmienne nastroje. Nie każda mogła się poszczycić podobną cnotą.

– Od dawna nie widziałam rodziców w tak dobrej formie – stwierdziła Clarence. – W tym garniturze ojciec wygląda o dwadzieścia lat młodziej.

– Twój ojciec był kiedyś niezwykle pociągającym mężczyzną, Clarence – rzuciła rozmarzona Julia. – Nawet sobie nie wyobrażasz do jakiego stopnia...

Clarence planowała nie wspominać ani słowem o pochodzeniu Lahy. Rozumiała, że to dla wszystkich noc wyjątkowa, i nie chciała im jej psuć. Jednakże komentarz Julii na temat urody ojca z czymś jej się skojarzył. Oświadczyła więc, całkiem świadomie dobierając słowa:

– Znam Lahę, więc chyba potrafię sobie wyobrazić... – A widząc, że Julia marszczy brwi, pospiesznie dodała: – Wcale się nie dziwię, że Daniela się w nim zakochała...

– Co? – Julia zrobiła się całkiem czerwona. Wytrzeszczyła oczy i podniosła rękę do piersi, jakby nagle zabrakło jej tchu.

Clarence się przestraszyła.

– Co ci jest, Julio? Źle się czujesz? – Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu pomocy, lecz Julia złapała ją za nadgarstek.

– To niemożliwe... – wyszeptała.

– Zdarzały się już takie historie między kuzynami...

– Muszę usiąść, naprawdę...

– Może lepiej wezwę lekarza? – Clarence odprowadziła ją na wygodny fotel z dala od zgiełku.

– Powiedz, czy twój ojciec i twój stryj o tym wiedzą?

– Sądzę, że tylko mama coś podejrzewa, ale nic mi nie mówiła.

Julia ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać.

Jakiś przechodzący obok mężczyzna zaniepokoił się jej stanem.

– To nic takiego – zapewniła Clarence. – Wzruszyła się na wspomnienie zmarłego męża.

Facet zadowolił się tym wyjaśnieniem i zostawił je same.

– Och, Clarence... Musisz wiedzieć... Myślałam, że zmierzasz we właściwym kierunku... Obawiam się, że zaszła potworna pomyłka. – Julia patrzyła na Clarence ze łzami w oczach i głębokim poczuciem winy wymalowanym na twarzy. – Powinnam była powiedzieć ci wcześniej...

Clarence ogarnął okropny niepokój, którego nie odważyła się ubrać w słowa. Spuściła wzrok na swoje mocno zaciśnięte dłonie.

– Ojcem Lahy jest Kilian. Twój stryj regularnie wysyłał pieniądze na jego utrzymanie. Najpierw przez mojego męża i lekarzy z organizacji humanitarnych, a kiedy Manuel przestał odwiedzać wyspę, przez Lorenza Garuza. Pieniądze doręczane były pośrednikowi, żeby nikt nie skojarzył Bisili z żadnym białym. Powinnam była ci powiedzieć. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Przecież ja zawsze mówiłam o tacie...! A kiedy przyjechałaś do nas z Ascension, wyraźnie powiedziałaś, że on też źle to wszystko zniósł, więc wywnioskowałam, że...

– Miałam na myśli to, co stało się z Mosim...! Och, Boże mój! – Julia wstała i szybko odeszła.

Clarence, całkowicie załamana, siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, powtarzając sobie raz za razem, że już za późno. Później wróciła do głównej sali i pożegnała się z resztą towarzystwa pod pretekstem, że zaszkodziło jej któreś z dań. Zadzwoiła do kuzynki na telefon domowy i na komórkę, ale bez skutku.

Padła więc na łóżko i histerycznie się rozplakała.

Nawet podróż do Malabo nie wydała jej się tak długa i uciążliwa jak ten powrót z Madrytu do Pasolobino w Wielką Niedzielę. Clarence musiała naprawdę bardzo się starać, by rodzice i stryj nie odkryli, że męczy ją coś poważniejszego niż niestrawność.

Podczas gdy oni rozpakowywali samochód, ona od razu popędziła do pokoju Daniela.

Kuzynka siedziała w kącie, skulona i otoczona stosami zużytych chusteczek, a potargane włosy zasłaniały jej twarz. W prawej dłoni trzymała jakiś papier. Podniosła głowę i spojrzała na Clarence swoimi pięknymi oczyma, zapuchniętymi teraz od płaczu.

Wyglądała jak wcielenie rozpacz. Jej wzrok wyrażał najczystszy ból. Nie znalazła nic, co by świadczyło o jakiejś pomyłce, jakimś nieporozumieniu, jakimś strasznym a niewytłumaczalnym zbiegu okoliczności.

– Wyjechał – powtarzała raz po raz wśród szlochów.

Clarence podeszła, usiadła obok i delikatnie objęła kuzynkę za ramiona.

– Jak on mógł ją opuścić? Co takiego zrobiła? Chciał się tylko zabawić i już? – Daniela uniosła rękę, w której trzymała papier. Z ledwie powstrzymywaną złością dodała: – Laha ma identyczne nacięcie w kształcie *elëbó*. Ojciec ma takie pod lewą pachą. Chcesz wiedzieć, gdzie ma swoje Laha? Boże! Aż wstyd mi teraz o tym myśleć! – Złapała się za głowę, a po policzkach znów popłynęły jej łzy. – Nie wiem, czy dam radę z nim rozmawiać... Nie. Nie dam rady. Ty to zrobisz. Porozmawiasz z nimi, Clarence. Dzisiaj. Natychmiast.

– Spróbuję.

Jak miała przedstawić całą sprawę ojcu? Czy powinna popatrzeć mu w oczy i powiedzieć: „Tato, wiem, że Laha jest synem Kiliana i Bisili. Tato, czy zauważyłeś, że Laha i Daniela są w sobie zakochani? Tato, czy rozumiesz, jakie to wszystko trudne?”

Daniela przymknęła oczy i potrząsnęła głową. Przestała płakać, ale czuła się ogłuszona.

– Nie zasługują na wybaczenie! – wysyczała przez zaciśnięte zęby. – Ani jeden, ani drugi.

– To były inne czasy – odparła Clarence, przypominając sobie syna Mamy Sade. – Biali mężczyźni, czarne kobiety... Z takich związków rodziło się wiele dzieci...

Daniela nie słuchała.

– Uznasz pewnie, Clarence, że jestem chora albo szalona, ale wiesz co? Doszłam nawet do wniosku, że wcale nie muszę się rozstawać z Lahą. Nikt poza nami nie potrzebowałby znać prawdy. A moje uczucia do niego nie mogą się zmienić z dnia na dzień...

Clarence wstała i podeszła do okna. Widok deszczowych kropel, które drżały na liściach pobliskich jesionów i w końcu strząsane przez bezlitosny wicher spadały w pustkę, natchnął ją dodatkowym smutkiem.

Gdyby nie szperała w szafie z dokumentami, gdyby nie znalazła tamtego listu i nie zagadnęła w tej sprawie Julii, gdyby wreszcie nie poleciała na Bioko – nic by się nie stało. Życie w górach Pasolobino toczyłoby się zwykłym, spokojnym trybem. Ostatnie iskry dawnego ognia zgasłyby wraz ze śmiercią ojca i stryja, i nikt by się nie dowiedział, że na drugim końcu świata w czyichś żyłach płynie ta sama krew.

Czy komuś by to przeszkadzało?

Ale nie – ona, Clarence, musiała zacząć drążyć temat i nieświadomie rozdmuchać przysypany popiołem żar, który teraz znów miał się tlić bardzo długo.

Poszukiwania dobiegły końca, owszem, tyle że Graal, jak się okazało, zawierał zatrute wino.

Ojca znalazła w garażu. Zaczepnęła powietrza i spytała:

– Przejdiesz się ze mną na spacer? Jest takie ładne popołudnie...

Jacobo uniósł brew, zdziwiony nawet nie tyle samym zaproszeniem, ile faktem, że jego córce to ponure popołudnie wydaje się ładne. Jednakże zaraz skinął głową.

– Dobrze – odpowiedział. – Po tylu godzinach w samochodzie powinienem rozprostować nogi.

Wściekły północny wiatr, który szalał poprzedniej nocy, zelżał, więc można było spacerować bez obaw, że spadnie człowiekowi na głowę jakaś gałąź, ale schodzące od

czasu do czasu z górskich wierzchołków powiewy niosły ze sobą drobny śnieżny pył, który osiadał na nagich polach.

Clarence wzięła ojca pod rękę i ruszyli w górę. Droga prowadziła spod tylnej części domu ku naturalnym tarasom, skąd rozciągał się przepiękny widok na dolinę i trasy narciarskie.

Gdy dotarli do ostatniego, Clarence zebrała się wreszcie na odwagę i wszystko z siebie wyrzuciła.

Skakała w czasie w przód i w tył, toteż imiona takie jak Antón, Kilian, Jacobo, José, Simón, Bisila, Mosi, Iniko, Laha czy Daniela oraz nazwy w rodzaju Sampaki, Pasolobino i Bissappoo pojawiały się raz w kontekście przeszłości, raz – teraźniejszości, by potem zanikać i znów wypływać na powierzchnię niby karstowe wody tajemniczej rzeki.

Na koniec, wyczerpana i zdenerwowana do granic wytrzymałości, Clarence odważyła się zadać wzbudzające lęk pytanie:

– To wszystko prawda, tak, tato?

Jacobo ciężko dyszał.

– Proszę, tato, błagam. Powiedz... Tak to wyglądało?

Twarz ojca była cała czerwona, nie wiadomo czy z gniewu, z oburzenia, strachu, zimna, nienawiści, czy ze wszystkich tych powodów. Wysłuchał córki w milczeniu, nie przerywając jej, prawie nie oddychając. Jedyne zaciśnięte szczęki zdradzały, że szarpia nim gwałtowne emocje.

Przez kilka chwil wpatrywał się w Clarence, po czym odwrócił się do niej plecami. Dygotał na całym ciele. Ruszył z powrotem w stronę domu, a niespodziewany podmuch wiatru przyniósł Clarence jego ostatnie słowa:

– Niech to szlag, Clarence! Niech to szlag!

Dwa dni później nagła i uporczywa niemota Jacoba udzieliła się i reszcie domowników.

Carmen przemierzała Rabaltué z zeszytem w ręku, notując, co trzeba będzie zrobić, jak tylko poprawi się pogoda – uprać wszystkie zasłony, odmalować niektóre pokoje, no i nie zapomnieć o uzupełnieniu zapasów w spiżarni. Nie pojmowała, co się stało z jej mężem: przecież w Madrycie był w doskonałym humorze.

To przez Pasolobino, myślała sobie, kiwając głową. Coś w tym miasteczku sprawiało, że się zmieniał.

Daniela zajmowała się swoimi sprawami, co dawało jej pretekst, by nie wychodzić z pokoju i obsesyjnie sprawdzać pocztę elektroniczną oraz telefon, z rozpaczliwą nadzieją na wiadomość, która nie nadchodziła.

Co zaś do Clarence – powoli kończyła jej się cierpliwość. Czy Jacobo zwierzył się już ze wszystkiego Kilianowi?

Postanowiła więc wreszcie odszukać stryja w ogrodzie. O tej porze roku zwykł rozpoczynać tradycyjne porządki, grabiąc zeszłoroczne liście z myślą o nadchodzącej wiosnie.

Tak. Zdecydowała, że z nim porozmawia. Może on zareaguje inaczej niż ojciec...

Dookoła ogrodu ciągnął się kamienny mur wysokości człowieka. Clarence ruszyła wąską ścieżką między dwiema ścianami żywopłotu, prowadzącą do wejścia, które

również wyznaczał żywopłot, nieco w tym miejscu wyższy i przycięty przez Kiliana w kształt łuku. Dopiero teraz to widziała: dróżka wiodąca do ogrodu stanowiła miniaturową wersję obrośniętego palmami wjazdu do Sampaki, łuk zaś ewidentnie nawiązywał do łuków, pod którymi – jak gdzieś czytała – trzeba było przejść, by dostać się do jakiegokolwiek wioski na Bioko. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślała. Pewnie dlatego, że nigdy wcześniej nie zwracała tak wielkiej uwagi na podobne szczegóły. Bez wątpienia podobny łuk stał też u wejścia do Bissappoo...

Gdy tylko weszła do ogrodu, usłyszała głosy Kiliana i Jacoba. Odniosła wrażenie, że stryj i ojciec się kłócą. Postąpiła jeszcze kilka kroków i przywarła do pnia jabłoni, zza której mogła ich obserwować.

Kilian, oparty nogą o kamień, w prawej ręce trzymał swoją gwinejską maczetę, lewą zaś przytrzymał grubą jesionową gałąź, której dolny kraniec strugał gwałtownymi uderzeniami ostrza. Jacobo chodził w tę i z powrotem, zbliżał się i oddalał, zawracał i znów zaczynał od początku.

Żaden nie zauważył Clarence, a ona bynajmniej nie starała się przyciągnąć ich uwagi.

Faktycznie się kłócili.

Do tego po pasolobińsku.

Serce biło jej jak szalone, gdy powoli cofała się ku krzewom, zza których nie mogli jej dojrzeć. Ona jednak, wychylając się nieco, widziała ich z profilu.

Niektórych słów nie rozumiała. Gdy ojciec i stryj przerzucali się szybkimi zdaniem w rodzinnym dialekcie, trudno było śledzić ich rozmowę. Daniela i Clarence osłuchały się z pasolobińskim u sąsiadów i krewnych, jednakże w Rabaltué mówiło się raczej po hiszpańsku, między innymi dlatego, że matki obu kuzynek pochodziły spoza doliny. Teraz ukryta za krzakami Clarence bardziej niż kiedykolwiek żałowała, że nigdy nie nauczyła się języka przodków, tak jak na przykład Laha i Iniko poznali język bubi. Oczywiście, potrafiła w nim czytać, ba, swój doktorat poświęciła przecież gramatyce dialektu pasolobińskiego, jednakże mówiła zdecydowanie gorzej, niżby chciała.

Tak czy owak, nazwy własne nie sprawiały jej kłopotów. A rozmowa najwyraźniej dotyczyła Lahy i Daniela. Zresztą, po chwili, także inne słowa zaczęły brzmieć bardziej znajomo.

– Musisz coś zrobić, Kilianie!

– Na przykład co? Jeśli zacznę z nią rozmawiać, będę musiał opowiedzieć o wszystkim, a wątpię, żebyś właśnie tego sobie życzył.

Uderzenie maczetą.

– Nie musisz opowiadać o wszystkim! Wystarczy o tym, co dotyczy ciebie i tej kobiety!

– To moja prywatna sprawa.

– Już nie, Kilianie, już nie. To nie jest w porządku. Daniela i ten facet... W ogóle ci to nie przeszkadza?

Uderzenie maczetą.

– Tego nie dało się uniknąć. W końcu to zrozumiałem.

– Przerażasz mnie. Na Boga! Oni są rodzeństwem! Jak mogłeś w ten sposób stracić

głowę dla czarnuchy?

Uderzenie maczetą.

Cisza.

Po brzmieniu słów Clarence poznała, że stryj cedzi słowa:

– Ona miała na imię Bisila, Jacobo. *Ma* na imię Bisila. Bądź łaskaw mówić o niej z szacunkiem. Ale czego ja właściwie żądam! Ty i szacunek wobec Bisili!

Uderzenie maczetą.

– Milcz!

– Przed chwilą chciałeś czegoś odwrotnego.

– Chciałem, abyś powiedział, że jesteś ojcem Lahy, i koniec, kropka! Zapominamy o całej sprawie.

– Tak, podobnie jak staraliśmy się zapomnieć przez czterdzieści lat... Kiedyś już go zostawiłem, Jacobo, i nie zamierzam zrobić tego znowu. Poza tym, jeśli znam swoją córkę tak dobrze, jak mi się zdaje, ona nie zapomni. A jeśli Laha choć trochę wdał się w matkę, też z Danieli nie zrezygnuje.

– I mówisz to tak spokojnie!

Uderzenie maczetą.

– Owszem. Bo cieszę się, że tego dożyłem. Słyszysz? Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Clarence wychyliła się odrobinę, żeby ich lepiej widzieć.

Kilian rzucił maczetę na ziemię i prawą ręką sięgnął pod lewą pachę, jakby chciał dotknąć niewielkiej blizny, którą, wedle Danieli, miał właśnie w tym miejscu.

Czyżby się uśmiechał?

Kilian się uśmiechał?!

– Zwariuję przez ciebie! Niech to szlag! Kilian! Przecież cię znam! Ani twoja głowa, ani twoje serce nie mogą sprzyjać takiej aberracji! Dobrze, w porządku. Ty go lubiłeś. Skoro nie chcesz z nią porozmawiać, ja to zrobię!

Jacobo odwrócił się i ruszył w stronę krzewów, za którymi chowała się Clarence. Musiał się na nią natknąć.

Wtedy Kilian go zawołał.

– Jacobo! Opowiesz jej też o Mosim?

Jacobo stanął jak wryty i z wściekłością popatrzył na brata.

– To nie ma nic do rzeczy!

– Prosisz mnie, żebym grzebał w swojej przeszłości, ale nie chcesz słyszeć o własnej!

– Czyli trzeba też będzie wspomnieć o Sade? Bo wychodzi na to, że i ona miała rację! Kilian! Na wszystkie świętości! Czemu się upierasz, żeby wszystko komplikować? Czemu nie rozumiesz, że idzie tylko o to, by oszczędzić Danieli cierpienia?

– Wiem lepiej niż ktokolwiek, co znaczy cierpieć. To, przez co przechodzi Daniela, jest niczym w porównaniu z tym, przez co przeszedłem ja. A ty nigdy w życiu nie cierpiałeś, więc nie udawaj teraz ofiary.

Mimo odległości Clarence słyszała całkowitą rezygnację w jego głosie.

– Więc co? Chcesz, żeby Daniela cierpiała tak jak ty? To twoja córka!

– Nie, Jacobo. Daniela nie będzie cierpiała tak jak ja.

Co on mówił?

Clarence od dłuższej chwili w ogóle ich nie rozumiała, i to bynajmniej nie ze względu na słownictwo czy akcent.

Czy jeszcze czegoś z Danielą nie wiedziały?

Nie. To by było nie do zniesienia.

Nagle poczuła, że coś przesuwają się jej po stopach, i pisnęła.

Kilian i Jacobo natychmiast zamilkli i spojrzeli w kierunku, z którego dobiegł ich ten dziwny dźwięk. Clarence nie miała innego wyboru, niż do nich podejść. Szła powoli, zastanawiając się, co im powie.

Gdy stanęła obok, zawstydzona swoim postępowaniem, zerknęła najpierw na ojca, a potem na stryja, i szepnęła:

– Tato... Stryju Kilianie... Ja... Wszystko słyszałam. Wszystko wiem.

Kilian podniósł z ziemi maczetę, delikatnie przetarł jej ostrze szmatką i wreszcie się wyprostował.

Potem, pochylając się ku bratanicy, popatrzył jej prosto w oczy. Mimo zmarszczek na całej twarzy jego spojrzenie porażało intensywnością. Uniósł dłoń i czule pogłaskał Clarence po policzku.

– Moja droga – rzekł stanowczo. – Zapewniam cię, że nie wiesz zupełnie nic.

Clarence skamieniała.

– To mi wreszcie powiedz, o co chodzi! Chcę w końcu wiedzieć!

Kilian objął ją za ramiona i poprowadził w stronę wyjścia z ogrodu.

– Chyba pora zorganizować rodzinne spotkanie – oświadczył z powagą. – Muszę wam wszystkim coś opowiedzieć. – Zatrzymał się, by poczekać na brata. – *Obaj* musimy wam wszystkim coś opowiedzieć.

Jacobo schylił głowę i wymamrotał do córki coś, co brzmiało jak protest.

– Jaka to teraz różnica, Jacobo? – Kilian potrząsnął głową. – Jesteśmy starzy. Nic już nie robi nam różnicy! – Clarence poczuła, że ramię stryja coraz ciężiej opada na jej barki, jakby Kilian potrzebował wsparcia, by nie upaść. – Obawiam się, Jacobo, że i ty nie wiesz wszystkiego. – Kilian wsunął prawą dłoń do kieszeni, wyjął skórzany rzemyk z nanizanymi na niego dwiema niewielkimi muszlami i zawiązał go sobie na szyi. – Zawsze go mam przy sobie – mruknął. – Ale od dwudziestu pięciu lat go nie zakładałem. A teraz nie zamierzam więcej zdejmować.

Tymczasem, w odległości tysięcy kilometrów, Laha szukał swojej matki u niej w domu. I nie znalazł.

Ostatni tydzień był najokropniejszy w jego życiu. W kilka sekund spadł z nieba do piekła. Nie potrafił zapomnieć, jak Daniela dygotała u niego w ramionach.

Gorzej.

Nie potrafił zapomnieć, jak siedziała, przybita i opuszczona, w łóżku, w którym wcześniej tak im było razem dobrze.

W najstraszniejszych snach nie przyszłoby mu do głowy, że biały ojciec, o którym nic nie wiedział, okaże się również ojcem kobiety, której pragnął najbardziej na świecie. Zawsze podejrzewał, że gdzieś w Hiszpanii żyje człowiek, w którym płynie ta sama krew; człowiek, który go począł; oparty o furgonetkę człowiek o zamazanej twarzy. Niewyraźna fotografia noszona w portfelu wypełniała pustkę wywołaną przez

niepewność własnej tożsamości i niemożność poznania kogoś równie ważnego.

Ba, wyobrażał sobie czasem, że istnieje pewna możliwość, by jego biologicznym ojcem okazał się Kilian lub Jacobo. Tyle że ta możliwość odeszła w zapomnienie w tym samym momencie, w którym on, Laha, zafascynował się Danielą.

A teraz wszystko uległo zmianie.

Marzenie o poznaniu ojca wprawdzie się spełniło, lecz za cenę utraty osobistego szczęścia.

Gorzej.

Pewność, że byli z Danielą rodzeństwem, nie zmieniała faktu, że on, Laha, wciąż jej pragnął.

Musiał się bardzo wysilać, by nie zatrzymać samochodu, nie zawrócić, nie wpaść do domu, nie objąć jej i nie powiedzieć, że to przecież wszystko jedno – nie są rodzeństwem, bo nie wychowali się jako rodzeństwo. W niektórych afrykańskich plemionach związek między rodzeństwem po ojcu był dozwolony. Po matce – nie. Oni z Danielą nie wyszli z tego samego brzucha i nikt nie musiał wiedzieć, że mają jednego ojca.

Tyle że oni sami o tym wiedzieli.

Kilka dni spędził w Madrycie, zamknięty w hotelowym pokoju jak lew w klatce, prawie nie jedząc ani nie pijąc. Krążył tylko w tę i z powrotem i myślał, co robić.

W końcu postanowił polecieć do Malabo, spotkać się z matką i wyładować na niej swoją złość.

A matki nie było w domu.

Pod wpływem przeczucia ruszył na cmentarz.

Na spotkanie wyszedł mu uprzejmy staruszek.

– Kogo pan szuka?

– Nie wiem, czy będzie pan umiał mi pomóc. – Laha czuł się zmęczony, bardzo zmęczony. – Szukam grobu człowieka imieniem Antón. Antón z Pasolobino.

Staruszek wytrzeszczył oczy.

– To ostatnio bardzo popularna mogiła – powiedział. – Proszę za mną. Zaprowadzę pana.

W starej części cmentarza zmarli spoczywali u stóp wspaniałych puchowców.

Laha rozpoznał matkę pochyloną nad kamiennym krzyżem. Składała obok niewielki bukiet.

Na dźwięk kroków obróciła się, by od razu napotkać oskarżycielski wzrok syna.

– Mamo – rzekł Laha – musimy porozmawiać.

– Spotkałeś Kiliana.

– Tak. Spotkałem *swojego ojca*.

Bisila zbliżyła się i pogłaskała go po rękach, ramionach i twarzy. Z doświadczenia wiedziała, jak straszne znaki potrafi zostawić na człowieku miłość.

– Przejdźmy się – zaproponowała. – Myślę, że jest coś, co powinieneś wiedzieć.

Bez celu wędrowali wśród drzew i grobów.

Laha poznał Kiliana.

Jak on mógł teraz wyglądać? Czy bardzo się postarzał? Czy słońce wciąż

wywoływało miedziane rozbłyski w jego włosach? Czy nadal był tak energiczny?

Laha poznał Kiliana.

Mógł popatrzeć w te zielone i zarazem szare oczy.

Oczy Lahy wobec oczu Kiliana.

Przystanęła i spojrzała na syna, a jego źrenice przemieniły się naraz w lustra, odbijające obrazy dostępne kiedyś źrenicom Kiliana; obrazy, które teraz stanęły i przed jej oczyma, unieważniając odległość i czas, i potwierdzając – w tej chwili prawdy – że tak, że każdy powinien wiedzieć to, co oni wiedzieli od dawna.

Że ich dusze wciąż są razem.

Dlatego uśmiechnęła się i powiedziała:

– Synku... Kilian nie jest twoim ojcem.

XV. BIHURÚRU BIHÈ

Świeże powiewy, 1960

Zanim przed stolicą Nigru rozpętała się straszna burza, Kilian bardzo się cieszył, że postanowił odbyć drogę z Madrytu do Santa Isabel samolotem, ponieważ dzięki temu podróż z Pasolobino do Sampaki, zamiast dwóch tygodni, trwała tylko trochę więcej niż jeden dzień. Kosztowało to drożej, owszem, a czterosilnikowa maszyna musiała wielokrotnie lądować, by nabrać paliwa, lecz oszczędność czasu się opłacała.

Jednakże gdy douglas DC4 zaczął miotać się wstrząsany turbulencjami i pięćdziesięcioro pasażerów wrzasnęło w panice, Kilian przypomniał sobie opowieść ojca o sztormie, który niemal skończył się jego śmiercią. Czekać w Niameju na odlot do Nigerii, wciąż blady, Kilian postanowił więc, że pora wreszcie spróbować się na proponowany przez stewardesę wermut Cinzano, ewentualnie na kieliszek szampana. Już w Bacie, zanim wszedł na pokład zastępującego dragony rapide niewielkiego junkersa – o dwóch silnikach, niskich skrzydłach i kanciastych kształtach – zdecydował, że w przyszłości będzie raczej stawiał na spokojne morskie rejsy statkami w rodzaju „Sewilli”.

Na prowizorycznym lotnisku w Santa Isabel zamiast Josego czekał Simón. Bardzo się zmienił. W niczym nie przypominał wyłupiastookiego wyrostka, który wpadł do pokoju Kiliana o poranku pierwszego dnia jego pracy na plantacji. Teraz, po trzech latach nieobecności, Kilian ledwie go rozpoznawał w tym potężnym mężczyźnie o miłej twarzy oznaczonej delikatnymi, zabliznionymi już nacięciami, zdobiącymi jego czoło, policzki i podbródek. Dłgie, poprzeczne zmarszczki przydawały mu powagi.

– Simón! – Kilian zdjął marynarkę. – Cieszę się, że cię widzę. – Wskazał blizny. – Wyglądasz zupełnie inaczej.

– W końcu postanowiłem dostosować się do tradycji swojego ludu, *massa* – odrzekł Simón, bez wysiłku podnosząc ciężki bagaż. Kilian pomyślał, że już pora, by chłopak przestał służyć jako *boy* i znalazł sobie lepszą pracę. – Ojciec Rafael tego nie pochwała...

Wsiedli do obłego, jasnego renault dauphine – ostatniego nabytku Garuza, jak wyjaśnił Simón.

– Dlaczego nie wyjechał po mnie Ösé? – spytał Kilian.

– A bo akurat dziś jest chrzest jego wnuka. Ösé poprosił, żebym, jeśli pan zechce, zawiózł pana prosto na Obsay.

Kilian się uśmiechnął. Dwa dni wcześniej zakończyły się sierpniowe obchody w Pasolobino. W jego głowie wciąż brzmiała muzyka tamtejszej orkiestry, a oto szykowało się kolejne święto. Co to za wnuk? Ösé miał ich tak wielu, że Kilian stracił rachubę, niemniej zdziwił się nieco, że uroczystość odbywa się na Obsayu, gdzie mieszkali wyłącznie nigeryjscy robotnicy i ich rodziny.

I wtedy sobie przypomniał.

Mieszkała tam też córka Josego, pielęgniarzka.

– Czy to Mosi chrzci syna? – spytał.

Simón przytaknął.

– Pierworodnego! Wariuje z radości. Są już wiele lat po ślubie i bardzo się martwił, że z dziećmi tak długo im nie wychodzi.

Ta wiadomość wywołała w Kilianie dziwne uczucie, podobne do tego, jakie ogarnęło go kiedyś, gdy po raz pierwszy spotkał tę dziewczynę, w dniu jej ślubu, i wyobraził ją sobie w ramionach olbrzymiego męża. Zakładał, że to tylko jedna z wielu zmian, które zaszły na plantacji pod jego nieobecność, jednakże akurat ta szczególnie mu się nie spodobała. Pomyślał, że nowo narodzone dziecko jedynie zbliży swoich rodziców, i poczuł ukłucie zazdrości.

Wciąż ją pamiętał – tę piękną kobietę, o której fantazjował przez tyle nocy. Wciąż czuł jej świeży oddech na swojej twarzy, tak jak wtedy, gdy pochylała się nad jego łóżkiem, po śmierci ojca; wciąż widział, jak zdecydowanym krokiem zmierza w stronę szpitala, apteki, kaplicy czy magazynów; nie zapomniął dotyku jej delikatnych rąk usuwających mu ze stopy pasożyta; tracił wątek na samą myśl o jej uśmiechu i niepokojącym spojrzeniu.

Westchnął. Był z powrotem na wyspie ledwie chwilę, a już czuł się tak, jakby w ogóle nie wyjeżdżał. To, co jeszcze dzień wcześniej wydawało się odległym wspomnieniem, mogącym najwyżej umilić mu i skrócić długie bezsenne noce w Pasolobino, objawiało się teraz ponownie jako bezpośrednio dostępna rzeczywistość, za którą w Pasolobino – zwłaszcza na początku – potwornie tęsknił. Całymi tygodniami miał w domu wrażenie obojętnej obcości. Tropikalna dżungla mackami lian zdawała się sięgać aż ku jego rodzinnym ośnieżonym szczytom, które wszakże potrafiły cierpliwie się bronić. Stopniowo solidna trwałość skał zatriumfowała nad giętkością pnącza, skłaniając Kiliana, by zgodził się zająć swoje dawne miejsce w Rabaltué i zrozumiał, iż podobnie jak upływ stuleci nie zdołał zniszczyć jego domu, tak upływ lat nigdy nie zdejmie z niego, Kiliana, związanej z przynależnością do tego domu odpowiedzialności. Im dłużej pracował na tych samych polach, które kiedyś obrabiali jego przodkowie, i przemierzał wytyczone przez nich ścieżki, tym bardziej się wzmacniał i godził ze swoją przeszłością i terażniejszością. Ojca już wprawdzie nie było, ale on sam przecież był. No i był też dom. Osiągnięciu tego egzystencjalnego spokoju sprzyjała ponadto zaraźliwa żywotność Mariany, która zajmowała się wszystkim tak, jakby czas w ogóle nie mijał, jakby Antón i Jacobo mieli lada chwila wrócić z Fernando Poo i jakby Kilian bynajmniej nie planował znów wyjechać i zostawić jej w towarzystwie bezsilnej Cataliny, ciągle przesiadującej w Rabaltué, zamiast u siebie w domu, może właśnie po to, by zaczerpnąć od matki odrobinę energii i dzięki temu pogodzić się ze śmiercią jedyne go syna, a może po prostu po to, by przeżyć...

Kilian, słuchając kolejnych wyjaśnień gadatliwego Simona, odetchnął głęboko i zaciągnął się wonią kakaowców. Nie był już tym niedoświadczonym, nadmiernie wrażliwym chłopcem, który płakał za domem i nie odróżniał ziaren dobrej jakości od tych jakości naprawdę doskonałej. Tym razem świetnie wiedział, czego się spodziewać. Najpierw miał zobaczyć wjazd na plantację. Palmy. Potem wachimana Yeremiasa i jego drób. Suszarnie. Kolegów. Ją.

Czy nadal była tak piękna?

– I jak, *massa*? – Z zamyślenia wyrwał go głos Simona. – Tęsknił pan?

Kilianowi serce zabiło mocniej, bo akurat wjeżdżali między dwa szeregi palm. Odpowiedź nasunęła mu się tak szybko i nieodwołalnie, że w pierwszej chwili poczuł zdumienie, a zaraz później – wyrzuty sumienia. Elastyczne macki lian znów zaczynały oplatać jego duszę.

– Chyba tak, Simonie – odparł z rozmarzeniem w głosie. – Chyba tak.

Przed odwiedzinami na Obsayu chciał się trochę odświeżyć. Simón przygotował mu ten sam pokój co zawsze. Odwiesiwszy marynarkę do szafy, Kilian wziął się do rozpakowywania swoich rzeczy. Chwilę później ktoś zapukał do drzwi i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Widzę, że wakacje dobrze ci zrobiły! – Jacobo ruszył ku bratu i mocno go uściskał. Potem odsunął się i z uznaniem pokiwał głową. – Jak tam w domu? Jak mama i Catalina?

Tryskał zdrowiem i radością życia tak samo jak kilka miesięcy wcześniej. Przybrał nieco na wadze, co można było poznać choćby po pasku.

– W porządku. Chyba wiesz, czego mi nakładły do tych walizek? Jedzenia, jedzenia i jeszcze raz jedzenia! – Kilian przewrócił oczyma, a Jacobo się roześmiał. – Mamie się zdaje, że my tu głodujemy... – Poklepał brata po brzuchu, podszedł do umywalki wmontowanej w drewniany blat, nalał sobie trochę wody i przygotował się do golenia. – A ty? Wciąż żyjesz od imprezy do imprezy?

– Przynajmniej się staram... Na szczęście Dick i Pao przylatują z Baty dosyć często, bo Mateo i Marcial są coraz bardziej zajęci swoimi narzeczonymi.

Jacobo usiadł, a Kilian zaczął namydlać sobie twarz.

– I co? Jakie wrażenia po przyjeździe?

– Jeszcze niewiele obejrzałem, ale jestem zaskoczony. Wszystko tu jakieś czyste i uporządkowane. Wygląda na to, że nie bardzo wam mnie brakowało...

– Nikt nie jest niezastąpiony, Kilianie! – zakpił Jacobo. – W zeszłym tygodniu odwiedził nas ni mniej, ni więcej, tylko sam gubernator Hiszpańskiego Regionu Równikowego. Wyobrażasz sobie? Szkoda, że nie widziałeś Garuza! Uprzedzili go niewiele wcześniej, więc ganiał nas w tę i z powrotem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Waldo przez cały jeden dzień woskował mercedesa, którym pan gubernator miał objechać plantację... – Kilian się uśmiechnął. – W tym samym czasie zjawili się też u nas dziennikarze z magazynu „La Actualidad Española”, żeby zrobić reportaż o naszym kakao.

– Przez cały ten okres bardzo mało słyszałem o wyspie. – Kilian przypomniał sobie, jak tęsknił za cotygodniową porcją wiadomości dostarczaną przez wychodzące na Fernando Poo czasopismo „Hoja del Lunes”. Poza króciutką wzmianką o odbywającej się w Madrycie prezentacji książki na temat polowań na słonie oraz o projekcji dwóch filmów – *Na plażach Ureki* i *Balele* – w związku z jakimiś konferencjami, lokalne wydanie dziennika „Nueva España”, który czytał w Pasolobino, tylko raz zamieściło informację o Gwinei: cztery wiersze dotyczące marcowej uchwały Rady Ministrów w kwestii podziału gwinejskich terytoriów na dwie hiszpańskie prowincje, Fernando Poo i Río Muni.

– Mnie też się wydawało, że nikogo poza ludźmi stąd nie interesują gwinejskie sprawy, ale ci dziennikarze twierdzili, że ich artykuł ma pokazać hiszpańskim czytelnikom, jak dobrze się dzieje w koloniach.

– Właśnie *teraz*... – rzucił Kilian, szukając w walizce świeżej białej koszuli. – W samolocie słyszałem rozmowę jakichś facetów, chyba członków Straży Obywatelskiej...

– Wielu ich tu teraz przyjeżdża. Wiadomo: podwójna pensja, sześć miesięcy służby i sześć urlopu... Hiszpania chyba nie stoi najlepiej. Garuz mówił mi ostatnio, że mimo wdrażania nowego planu ekonomicznego, który ma przyciągnąć zagraniczne firmy i zagwarantować nowe miejsca pracy, wielu Hiszpanów emigruje. Dobrze przynajmniej, że tutaj mamy na razie pewny zarobek!

– Ci faceci twierdzili, że nadchodzą nowe czasy i że dni kolonii są policzone...

Jacobo machnął ręką.

– W dniu, w którym kolonie przestaną istnieć, ci ludzie tutaj będą zgubieni. Nigdy nie zdołają poprowadzić plantacji tak jak my teraz! Poza tym: jaki sens miałyby wydzielanie prowincji, gdyby nie było pewności, że wszystko zostanie jak do tej pory?

Kilian przypomniał sobie dawną dyskusję w kasynie między ojcem Julii a niejakim Gustavem oraz tamten noworoczny wieczór u Manuela, kiedy zebrani martwili się wydarzeniami w innych krajach afrykańskich. Teraz kolonie były bardziej związane z Hiszpanią niż kiedykolwiek, więc niepodległość poniekąd stawała się pustym hasłem. Czy nie tego, zdaniem Emilia, obawiał się jego przyjaciel Gustavo?

– Nie wiem, Jacobo. Świat zmienia się tak szybko... – Wciąż brzmiał mu w uszach szum silników samolotu tnącego powietrze z prędkością ponad czterystu kilometrów na godzinę. Dzień wcześniej on, Kilian, miał przed oczami skały i łupkowe dachy Pasolobino oraz nowe bloki powstające na nizinie i proszę: wystarczyło paręnaście godzin i kilka afrykańskich lotnisk, by znaleźć się na wyspie.

Jacobo pokiwał głową.

– Kto by kiedyś przypuścił, że Bata i Santa Isabel doczekają się czarnych alkadów, a w Kortezach pojawią się czarni posłowie, co? I jeszcze te tłumy w kinie... Nawet oni się z tym dziwnie czują... Wiesz, daleko mi do tego, co wygadują niektórzy, ale nie kryję, że mi też trochę nieswojo.

– A co wygadują niektórzy? – Kilian dopiął koszulę i odwrócił się do lustra.

– No, że... – Jacobo spuścił wzrok i się zawahał. – Że oni, choć teraz udają Hiszpanów, w gruncie rzeczy są nadal małpami.

Kilian posłał jego odbiciu długie, twarde spojrzenie. Jacobo zakasłał, trochę zawstydzony. Wreszcie Kilian odetchnął głęboko i znów stanął przodem do brata.

– Jak tam pozostali? – spytał, żeby zmienić temat.

– Santiago wyjechał na stałe parę miesięcy temu... Powiedział, że jest już za stary na takie rzeczy... I mam nowego współpracownika na Yakató.

– Lepiej ty niż Gregorio. A Julia i Manuel?

– Rzadko ich widuję. – Jacobo nie zamierzał wdawać się w szczegóły dotyczące szczęśliwej rodziny. Julia nie miała teraz czasu dla nikogo poza małym Ismaelem. – Jeszcze jakieś pytania?

– Jak początek zbiorów?

– Suszarnie pracują pełną parą. Akurat zdążyłeś na najgorszy moment...!

Owszem, aż do stycznia życie na plantacji się nie uspokoi, pomyślał Kilian. Tyle że on lubił właśnie ten okres. Wkrótce miały ustać deszcze, zastąpione dusznym upałem pory suchej. Czuł się silny i gotowy na wszelkie trudy.

– Ale mam dobrą wiadomość. Ziarno przesypuje się teraz automatycznie, nie trzeba latać w kółko z łopatami – dodał Jacobo.

– To dobra wiadomość, owszem.

Zapadło krótkie milczenie. Kilian sięgnął po krawat i zaczął go wiązać. Jacobo, zdziwiony, wyprostował się na krześle.

– Dlaczego się tak stroisz?

– Jadę na Obsay. Na chrzciny wnuka Josego.

– I to aż taka okazja? – Jacobo zmarszczył brwi.

Kilian zrozumiał jego pytanie trochę inaczej: czy dla tych czarnych musisz zakładać krawat? Poprawił węzeł.

– Chrzciny to chrzciny, tu czy gdzieś indziej. Jedziesz ze mną?

– Mam ciekawsze plany. – Jacobo wstał i ruszył do drzwi. – A, byłbym zapomniał! Jest ktoś, kto bardzo za tobą tęsknił. Jak się dowie, że jesteś, przyjedzie tu sama, w razie gdybyś się nie wyprawił do niej. Pewnie będzie oczekiwała jakiegoś upominku z Hiszpanii...

Sade...

Kilian prychnął. Od jak dawna o niej nie myślał? Miał nadzieję, że podczas jego długich wakacji Sade też o nim zapomniała, jednakże słowa Jacoba nie zostawiały co do tego cienia wątpliwości.

– Jest coraz ładniejsza. – Starszy brat aż mlasnął. – Braterstwo zobowiązuje, w przeciwnym razie... – Szybkie spojrzenie, jakie posłał mu Kilian, zinterpretował jako ostrzeżenie. – Nie martw się, stary, żartuję. – Puścił do niego oko. – Po tylu miesiącach abstynencji Sade na pewno przypadnie ci do gustu. Chyba że poznałeś po drodze jakąś Hiszpankę, która mogłaby z nią rywalizować... – Zerknął na brata z ukosa, licząc na jakąś reakcję, która nie nastąpiła, i wreszcie dał za wygraną. – Cóż, skoro wróciłeś, znaczy: żadna nie założyła ci wędzidła.

Kilian wciąż milczał. Niech Jacobo wyciąga dowolne wnioski, byle tylko nie kontynuował tej rozmowy. Nie zamierzał tracić czasu na opowiadanie mu o swoich rzadkich i bezbarwnych przygodach miłosnych ani na spekulowanie o ewentualnym spotkaniu z Sade, którego zresztą wcale sobie nie życzył. W tym momencie miał coś znacznie istotniejszego do zrobienia. Otworzył pudełko z brylantyną, nabrał jej trochę na palce i zaczesał włosy do tyłu. Ostatni raz zerknął w lustro i wyszedł z pokoju, podążając za swoim bratem.

José bardzo się ucieszył na widok przyjaciela. Albo to, albo wino palmowe stanowiło przyczynę, dla której ścisnął Kiliana tak często.

Kiedy ten ostatni dotarł na Obsay, uroczystość trwała już w najlepsze. Ludzie śpiewali i tańczyli w rytm bębnów. Wszyscy mieli na sobie najlepsze ubrania: mężczyźni ubrali się w długie spodnie i białe koszule, a kobiety przywdziały jaskrawe, tradycyjne suknie i nakrycia głowy, chociaż niektóre zdecydowały się też na sukienki europejskie –

do kolan, wcięte w talii. Kilian pamiętał, że czarni stroili się tak wyłącznie na spacer po deptakach Santa Isabel, co znaczyło, że teraz swoim ubiorem okazują szacunek Mosiemu.

José objął przyjaciela znowu i zniżył głos:

– Brakowało mi ciebie, *white man*.

– Mnie ciebie też, *Ösé, mi frend*. – Kilian mówił to poważnie, choć z uśmiechem. –

Zawsze udaje mi się załapać na któreś z twoich rodzinnych świąt.

– W życiu trzeba świętować wszystko. Dziś jesteśmy tutaj, a jutro... z duchami!

– A gdzie się odbył chrzest? Nie mów, że ojciec Rafael pofatygował się aż tutaj, bo nie uwierzę! – Świat się zmieniał, owszem, jednakże Kilian był pewien, iż nieugięty ksiądz wciąż próbuje prowadzić swoich wiernych właściwą, według siebie, ścieżką, która bynajmniej nie biegła równolegle do ścieżek ich tradycji.

– Ojciec Rafael odprawił długie, piękne nabożeństwo, tyle że w Saragossie. Wypełniliśmy nakazy twojego Kościoła. – José puścił do przyjaciela oko. – A buty zdjęliśmy dopiero tutaj, na Obsayu.

Kilian wybuchnął głośnym śmiechem. Rozejrzał się dookoła. Wszędzie rozlegały się okrzyki w językach bubi i pichi. Tego pierwszego wciąż nie rozumiał, natomiast dialekt Nigeryjczyków zdążył poznać tak dobrze jak własny, pasolobiński. Kilku mężczyzn uniosło w stronę przybysza szklanki, na znak powitania. Inni – wśród nich Waldo, Nelson i Ekon – zbliżyli się i pokleпали Kiliana po plecach. Waldo, podobnie jak Simón, bardzo wydorósł, choć jego szerokie czoło wciąż mocno kontrastowało z bardzo drobną twarzą. Nelson przybrał na wadze, w związku z czym jego policzki były jeszcze bardziej okrągłe, a podbródek zdecydowanie zrobił się podwójny. Z kolei Ekonowi, który mówił już po hiszpańsku dość płynnie, lekko posiwiały zmierzwione włosy, mimo że dołeczki pojawiające się na jego twarzy przy każdym uśmiechu nadal wyglądały młodzieńczo.

Niziutka, grubiutka kobieta, która przedstawiła się jako jego żona, Lialia, podeszła do męża i pośród ogólnego śmiechu popchnęła go do tańca. Kilian ledwo powściągnął grymas zdumienia, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy widzi tę kobietę, którą Ekon podzielił się z Umaru. Błyskawicznie wróciło wspomnienie tamtego strasznego wieczoru, gdy brutalnie pobity Umaru postanowił się zemścić. Co się z nim stało w rodzinnej Nigerii? Nie żeby tak bardzo to Kiliana obchodziło: ostatecznie, gdyby nie José, Umaru by go pewnie zabił, niemniej, bez względu na upływ czasu, on, Kilian, pokutował za swoje zachowanie, nie potrafiąc o tym człowieku zapomnieć.

Pociągnął łyk alkoholu z czarki podanej mu przez Walda. Zapiekło go w środku. Uderzenia bębnow wibrowały mu w piersi, a wysokie śpiewy kobiet brzmiały tak znajomo, jakby towarzyszyły mu przez całe dzieciństwo. Tak, to było prawdziwe święto życia. Żadnej wody święconej, żadnych świec ani olejków, by namaścić noworodka, uwalniając go tym samym od grzechu pierworodnego i włączyć we wspólnotę Kościoła. Nic, tylko świeży pot, gorąca krew, napięte mięśnie i przenikliwe dźwięki – a wszystko po to, by słać cud egzystencji.

– Zupełnie jakby nic się nie zmieniło przez setki lat... – mruknął Kilian, upojony tą atmosferą.

José dosłyszał jego słowa.

– Och, *mi friend!* Tutaj co dzień można odnieść wrażenie, że nic się nie zmienia, a jednak faktem jest, że zmienia się wszystko. – Położył dłoń na ramieniu Kiliana. – Ja, na przykład, mam kolejnego wnuka, krew z mojej krwi. Czyż to nie zmiana?

– Teraz jesteś jeszcze bardziej dziadkiem – ochoczo zaśmiał się Kilian. – A, właśnie, gdzie są szczęśliwi rodzice? Bo chciałbym im pogratulować.

I znowu było tak samo. Ona podniosła na niego wzrok, a świat się zatrzymał, śpiewy umilkły.

Tym razem trwało to dłużej niż poprzednio. Jej wielkie jasne oczy nie przesyły go jak dwie włócznie. Zatrzymały się na nim wystarczająco długo, by zrozumiał, jak bardzo cieszy ją jego widok.

Siedziała, trzymając w ramionach śliczne, okrągłutkie niemowlę. Połyskująca niepokalaną bielą sukienka na szerokich ramiączkach tylko podkreślała gładką czerń jej skóry. Kawałek dalej Mosi pił i tańczył z każdym, kto się do niego zbliżył, jednakże kątem oka popatrywał na żonę, która trochę zbyt wiele uwagi poświęcała massie.

Kilian przeniósł spojrzenie na chłopczyka.

– Gratulacje. Jest piękny – powiedział. – Jak ma na imię?

– Iniko – odrzekła ona. – „Urodzony w ciężkich czasach”.

Kilian znów podniósł na nią wzrok.

– Te czasy są ciężkie? – spytał.

Nie spuściła powiek.

– Teraz może przestaną być – odparła lekko drżącym głosem.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu.

– Cieszę się, że wróciłeś, Kilianie – szepnęła potem.

Skamieniał, słysząc w jej ustach swoje imię.

Bo on jej imienia nie znał!

Zawsze była „córka Josego”. „Pielęgniarką”. Tą, która opiekowała się Antonem tuż przed śmiercią. Tą, która pocieszała jego samego, gdy znalazł się na dnie rozpacz. Tą, której twarz długo widywał w snach.

I nie znał jej imienia...

Poczuł, że czerwieni się ze wstydu.

– Przepraszam – wyjąkał – a... ale... ja nie wiem, jak się nazywasz.

Uśmiechnęła się szerokim uśmiechem, który rozciągnął jej pełne wargi i rozjaśnił doskonale piękną twarz. Prawą dłonią sięgnęła do dwóch nanizanych na rzemyk muszli zawieszonych na szyi.

Sądziłam już, że nigdy nie zapytasz, pomyślała.

Powiedziała natomiast:

– Jestem Daniela Bisila.

Jasnowłosey dwulatek ubrany w krótkie błękitne ogrodniczki na grubych szelkach skrzyżowanych na gołym ciele bawił się w progu małym studebakerem avanti. Grubiutkimi rączkami zręcznie otwierał i zamykał drzwi i maskę autka o kwadratowych reflektorach.

– Ty musisz być Ismael. – Kilian schylił się, żeby pogłaskać chłopca po główce. –

Bardzo urosłeś... Jest mama?

Maluch zagapił się na niego, zmarszczył czołko i skrzywił się jak do płaczu.

– No nie... Chyba cię przestraszyłem.

– Oba! – Z wnętrza dobiegł wesoły głos Julii. – Możesz wziąć małego?

Drobna kobieta o dziecięcej twarzy, z włosami schowanymi pod zieloną chustką, pojawiła się w drzwiach i zapatrzyła na Kiliana z zaskoczeniem. Od razu rozpoznała przyjaciółkę Sade. Zmarszczył brwi. Skąd ona się tu wzięła? Na dyskrecję brata i kolegów – których prosił, by nie rozgłaszali w klubie wieści o jego powrocie – mógł liczyć. Tyle że teraz nie miało to już znaczenia: Oba z pewnością natychmiast opowie Sade, kogo widziała.

– Przekażesz pani Julii, że chce się z nią zobaczyć przyjaciel?

– Kilian! – Rozległ się szybki tupot i Julia, ubrana w białe spodnie do pół łydki oraz koszulkę na ramiączkach, rzuciła mu się na szyję. – Na Boga! Kopę lat! – Dźgnęła go palcem w pierś. – Może zechciałbyś odpoczywać w takim samym rytmie jak wszyscy: dwa sezony pracy i sześć miesięcy w Hiszpanii? A nie: znikasz nam na tyle czasu! Myślałam, że już nie wrócisz.

Kilian roześmiał się, ubawiony jej dramatyczną pozą.

– Przyleciałem kilka dni temu – odrzekł – ale powiedziano mi, że chwilowo nie ma was w domu.

– Manuel od czasu do czasu zabiera mnie na którąś ze swoich botanicznych wycieczek... Wejdz, napijemy się kawy.

Ich uwagę zwróciło cichutkie posapywanie. Siedząc na rękach u Oby, Ismael przestał płakać i teraz z ciekawością przypatrywał się obcemu.

– Masz pięknego syna.

Julia podziękowała za komplement uśmiechem i poprosiła Obę, by zabrała chłopca na spacer.

– Oba w roli niańki? – rzucił Kilian. – Sądziłem, że pracuje w sklepie.

– Pracowała, ale bardzo polubiła małego i chętnie się nim opiekuje. – Julia ściszyła głos. – Tak naprawdę to szuka okazji, żeby jak najczęściej zaglądać na plantację. Zdaje się, że wpadł jej w oko jeden z tutejszych facetów. Nelson, nadzorca.

– To już wiem, czemu właśnie on robi teraz zakupy! – Kilian ruszył za Julią na werandę, odłożył na stolik hełm korkowy i usiadł w wiklinowym fotelu. – A jak tam twoi rodzice? Emilio wciąż się udziela publicznie?

– Bardziej niż kiedykolwiek. Nie wiem, jakim cudem nie nudzą go te decyzje administracyjne do podjęcia, skargi do rozpatrzenia, spory o miedzę i projekty nowych budynków. Na początku myślałam, że angażuje się raczej ze względu na mamę... Wiesz, że ona uwielbia o wszystkim wiedzieć z pierwszej ręki. Ale ostatecznie doszłam do wniosku, że tata naprawdę chce się przyczynić do rozwoju Santa Isabel. – Julia głęboko westchnęła. – Przyniosę kawę i pogadamy.

Kilian czekając, przeglądał wzięty ze stolika magazyn, na którego okładce widniało niebieskawe zdjęcie ubranego w mundur generalissimusa Francisca Franca w towarzystwie żony i córki – w mantylach i zapiętych po szyję sukniach – asystującego przy pierwszej komunii jednej z wnuczek. Po niedługim czasie wróciła Julia. Kilian jak

zawsze doskonale czuł się z przyjaciółką. Wydała mu się z jednej strony zachwycona rolą matki, z drugiej zaś – niespokojna w związku z docierającymi na wyspę sprzecznymi doniesieniami politycznymi.

Miał akurat spytać, jak Emilio znosi fakt, że jego zwierzchnik, alkad, jest czarnoskóry, gdy nagle dobiegł ich przestraszony głos kobiety raz po raz wołający Manuela. Kilian natychmiast poznał, kto woła, i zerwał się na nogi. Julia zrobiła to samo i oboje popędzili do drzwi wejściowych.

– Bisila! – wykrzyknęła Julia. – Co się dzieje?

– Potrzebuję doktora! Szybko! – Bisila dostrzegła z tyłu mężczyznę, który przypatrywał się jej z napięciem, i wyraźnie zdziwiona, zaczęła się jąkać, nie ze względu na to, z czym przyszła, a właśnie z powodu niespodziewanego spotkania. – Przywieziono... Ja...

Kilian o mało nie uległ odruchowi, by wziąć ją za rękę i w ten sposób spróbować uspokoić.

– Spokojnie, Bisilo – powiedział zamiast tego. – O co chodzi?

– Ojciec Rafael przywiózł rannego. Biedak ledwie mówi. Powtarza tylko, że jest przyjacielem pani ojca.

– Mojego ojca? – zdumiała się Julia. – Manuel pojechał do miasta, nie wiem, kiedy wróci... Pójdę z tobą do szpitala.

– Ja z wami – zaofiarował się Kilian.

Julia przyjęła jego propozycję z wdzięcznością.

Szybkim krokiem przecięli mały dziedziniec, dzielący domek lekarza od szpitalnego budynku. Gdy znaleźli się na schodach, na spotkanie wyszedł im ojciec Rafael. Kilian stwierdził, że mocno się postarzał: wyłysiał i z trudem chodził. Jego białe ubranie było teraz poplamione krwią.

– Co się stało, ojcze? – spytała przerażona Julia.

– Wracając z miasta, zauważyłem tego nieszczęśnika w rowie. Jakoś udało mi się go zapakować do samochodu i chciałem jechać do szpitala miejskiego, ale biedak raz po raz powtarzał imiona doktora Manuela z Sampaki i Emilia. Przez cały czas kurczowo trzymał mnie za rękę, dlatego wysłałem Bisilę po Manuela.

– Manuel pojechał do miasta i nie wiem, kiedy wróci.

– Oj, dziecko. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, że przywiozłem tego człowieka tutaj, ale tak się upierał... Jeśli dobrze go rozumiem, ma na imię Gustavo.

– Gustavo! – zawołała Julia. – Och, Boże! – Kilian przypomniał sobie kłótnię w kasynie. – Kilka miesięcy temu aresztowali go i zamknęli w Black Beach... – Julia zwracała się do księdza. – Dziękuję, ojcze. Błagam tylko, niech ojciec nic nie mówi panu Garuzowi. Nie spodobałoby mu się, że leczymy kogoś spoza plantacji. Na razie niech to będzie sekret.

– Żałuję, że nie mogę zostać dłużej. Mam odprawić mszę w Saragossie. W razie czego kogoś po mnie przyślijcie.

– Tak... I jeszcze jedna prośba, ojcze. Niech ojciec, przy wyjeździe z Sampaki, powie Yeremíasowi, aby przez Walda zawiadomił Dimasa, że Gustavo tu jest. Oni będą wiedzieli, jak go znaleźć.

Chwilę później weszli we troje do głównej szpitalnej sali – dużego pomieszczenia z tuzinem ustawionych naprzeciwko siebie łóżek, z których prawie wszystkie były wolne. Ranny leżał w głębi, biała zasłonka nie odgradzała go w tym momencie od reszty pokoju. Już z daleka Kilian i Julia zrozumieli powagę sytuacji. Wielkie ciało Gustava na pierwszy rzut oka wyglądało jak sterta poszarpanych, zakrwawionych szmat, co utrudniało rozpoznanie jego obrażeń. Julia zakryła usta dłonią, by stłumić szloch. Całkowicie zniekształconą od ciosów twarz rannego pokrywały fioletowe krwiaki. Ktokolwiek go tak pobił, wpadł w dodatku na chory pomysł, by z powrotem założyć mu na nos wielkie kwadratowe okulary o potłuczonych szklach, które wzmagają potworny efekt.

Z oczyma pełnymi łez Julia nachyliła się do ucha rannego.

– Gustavo, słyszysz mnie? Jestem córką Emilia. – Mężczyzna zajęczał. – Nie martw się. Zajmiemy się tobą. Wyzdrowiejesz, obiecuję. – Wyprostowała się i mruknęła: – A Manuel w mieście!

Bisila zbliżyła się do łóżka.

– Najpierw trzeba zdjąć ubranie i zdezynfekować rany... Może pani usiądzie obok i będzie go uspokajać.

Podczas tej operacji Julia starała się raczej nie patrzeć na okaleczone ciało Gustava. Kilian zauważył, że mocno zbladła. Bo i faktycznie obrażenia były bardzo poważne. Jemu samemu od czasu do czasu robiło się słabo. Bisila tymczasem z zachwycającą delikatnością wykonywała swoje zadanie. Kilian podziwiał jej męstwo. Ani razu nawet się nie skrzywiła, przeciwnie, uśmiechała się, mówiąc w języku bubi coś, co chyba rannego krzepiło, bo próbował nawet odpowiadać jej uśmiechem.

– Szkoda, że nie znam twojego języka i nic nie rozumiem – szepnął Kilian, pochylając się w jej stronę. – Ciekawe, co może skłonić człowieka w takim stanie do uśmiechu...

Bisila podniosła na niego swoje przejrzyste oczy.

– Mówię mu, że teraz wygląda tak kiepsko, że duchy go nie wezmą, a jak skończę, wróci do formy na tyle, że sam nie zechce się nigdzie z nimi zabrać...

– Myślisz, że przeżyje?

– Rekonwalescencja trochę potrwa, ale na razie nie widzę żadnych śmiertelnych uszkodzeń.

– Co się właściwie stało Gustavo? – szepnęła Julia.

– Ci, którzy pojawiają się tak znienacka – oświadczyła Bisila – porzuceni w rowach jak psy, to zwykle byli więźniowie Black Beach.

– Nie mogłeś zadowolić się pracą nauczyciela i cieszyć się życiem? – spytała znowu Julia. Gustavo jęknął. – Coś mi się zdaje, że jeśli się z tego wyłizesz, nie będziesz miał więcej ochoty na uczestnictwo w wolnościowych krucjatach.

– Jak mogli zrobić mu coś takiego w więzieniu właśnie teraz, kiedy stał się hiszpańskim obywatelem? – Kilian zastanawiał się nad słowami obu kobiet.

Bisila prychnęła, aż spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Jak mamy się w tym wszystkim zorientować, skoro nawet w Hiszpanii brak jest zgody? – spytała z kolei Julia. – Zdaniem mojego ojca, rząd się podzielił. Z jednej strony

są politycy umiarkowani, tacy jak minister spraw zagranicznych Castiella, którzy opowiadają się za stopniowym udzielaniem zamorskim prowincjom coraz większej autonomii; z drugiej – ministrowie w rodzaju Carrera Blanca, którzy obstają przy twardej polityce kolonialnej i marginalizowaniu lokalnych przywódców.

– Obawiam się, że *nasz* gubernator należy raczej do tego drugiego obozu – zauważyła Bisila z ironią.

– Proszę pani! – Od drzwi dobiegł ich głos Oby. – Jest pani tutaj? Bo ja muszę już iść...

Julia wstała.

– Przepraszam. Poradźcie sobie beze mnie.

Po jej odejściu Kilian i Bisila siedzieli przez dłuższy czas w milczeniu. Gustavo, dzięki środkom uspokajającym podanym mu przez pielęgniarkę, głęboko spał. Po raz pierwszy znaleźli się sam na sam i nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Rany Gustava były już oczyszczone, pozostawało jedynie zszyć kilka głębokich rozcięć na jego nodze, toteż, w gruncie rzeczy, obecność Kiliana stała się zbędna. Jednakże ani on nie zdradzał ochoty, by się ruszyć, ani Bisila mu tego nie sugerowała. Oboje cieszyli się cichą bliskością tego drugiego, tak samo jak w dniu, w którym pozwoliła im na to uprzykrzona *nigua*, tyle że teraz z dotyku Bisili korzystał ktoś inny, nie Kilian.

– Doskonała robota – pochwalił ją, gdy założyła ostatni szew. – Jestem pod wrażeniem.

– Ty też bardzo się przydałeś. – Bisila wstała i przeciągnęła się po trzech godzinach spędzonych w boleśnie niewygodnej pozycji.

– Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Nie każdy.

Kilian poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Do jakiego stopnia był szczery? Czy tak bardzo by się rwał do pomocy, gdyby Gustavem zajmował się ktoś inny, nie Bisila? Bo przecież, mimo okoliczności, rozkoszował się każdym jej gestem, ruchem, spojrzeniem i oddechem. Przepracowane wspólnie z nią godziny minęły jak jedno mgnienie.

– Teraz pozwolimy mu odpocząć – powiedziała Bisila. – Będę nad nim czuwać do powrotu doktora. Chodź, ogarniemy się trochę. – Uniosła dłonie. – Tak przecież nie wrócisz do suszarni. Wyglądasz jak rzeźnik.

Poprowadziła go do umywalni, gdzie stały dwie miski, w których opłukali ręce, twarz i szyję. Gdy skończyli, Bisila wzięła ręcznik, zmoczyła jego róg i zbliżyła go do twarzy Kiliana.

– Zostało ci nieco krwi na czole.

Kilian zamknął oczy i zacisnął pięści, usiłując zwalczyć pokusę, żeby objąć ją i do siebie przyciągnąć. Był pewien, że nie odepchnęłaby go, ponieważ, cokolwiek miał na czole, wycierała mu to zdecydowanie zbyt długo. Jakiś wewnętrzny głos próbował mu przypominać, że to żona innego mężczyzny, matka jego dziecka, i że takie myśli są po prostu złe. Ale pociągała go tak mocno...

– Gotowe – oznajmiła, oddychając szybko, z ustami tuż przy jego piersi. – Tyle że musisz zmienić koszulę. Nie wiem, czy ta się w ogóle dopierze...

– Bisila! Jesteś tutaj?

Aż podskoczyła.

– Tak, don Manuelu – odpowiedziała głośno. – W umywalni.

Niby to wycierając sobie ręce, ruszyła na spotkanie doktora. Za nią podążał Kilian.

Manuelowi towarzyszył niski mężczyzna o bardzo wyrazistej, surowej twarzy, od nosa do ust przeciętej dwiema głębokimi zmarszczkami.

– Witaj, Kilianie. – Manuel wyciągnął rękę. – Julia właśnie mi o wszystkim opowiedziała. Dziękuję, że pomogłeś Bisili.

– Cieszę się, że się na coś przydałem.

– To brat Gustava, Dimas. Pracuje jako nadzorca w Constancii, tu niedaleko.

– Co z nim? – spytał Dimas z niepokojem.

– Teraz śpi – odrzekła Bisila. – Myślę, że dojdzie do siebie.

Dimas przeżegnał się i przyłożył dłoń do piersi.

– No, to chodźmy go zobaczyć – rzucił Manuel.

Kilian patrzył przez chwilę, jak się oddalają. Czekał, aż Bisila się odwróci i pośle mu pożegnalne spojrzenie tych swoich niesamowitych oczu, które przez kilka cudownych godzin należały wyłącznie do niego. Potem, skinąwszy jej lekko głową, z sercem wypełnionym nagłą nadzieją wrócił do codziennej rutyny.

Bisila zmierzała ku suszarni, szukając ojca, co stanowiło doskonały pretekst, by niby to przypadkowo znaleźć się w pobliżu Kiliana. Na samą myśl, że znowu go zobaczy, serce biło jej mocniej.

Zawsze tak było, od... Od jak dawna? Od pięciu lat?

Nie, wtedy, w dniu ślubu, gdy miała piętnaście lat, a Kilian spytał ją, czemu jest tak smutna w takiej chwili, bynajmniej nie widziała go po raz pierwszy. Odpowiedzieć na jego pytanie potrafiłaby zresztą bez trudu, ale, rzecz jasna, tego nie zrobiła. Po prostu kochała nie Mosiego, wielkoluda, za którego właśnie wychodziła za męża, a innego mężczyznę: białego i przez to nieosiągalnego. Fakt, że ten mężczyzna zechciał złożyć jej ślubne życzenia, ba, że wyczytał w jej oczach smutek – to było więcej, niż potrafiłaby sobie wymarzyć w czasie jego pierwszych wizyt w jej rodzinnej wiosce.

Gdy pojawiał się w Bissappoo w towarzystwie Josego, ona, nastoletnia Bisila, obserwowała go z taką uwagą, że wkrótce знаła na pamięć jego rysy i gesty. Był młody, wysoki i muskularny. Miał ciemne, zawsze krótkie i zaczesane do tyłu włosy z lekkim miedzianym połyskiem oraz wyraziste zielone oczy, które mrużył, kiedy się uśmiechał – tak samo szczerze, jak szczerze było jego spojrzenie. Ręce, duże i nawykłe do fizycznej pracy, tańczyły mu w powietrzu za każdym razem, gdy coś opowiadał, często też, złożone razem, po prostu podtrzymywały wspartą na nich głowę. W takich momentach, zadumany, zdawał się przenosić do własnego świata, rozpiętego między przeszłością spędzoną tysiące kilometrów dalej a tutejszą teraźniejszością; między tym, o czym marzył, a tym, co miał; między tym, co znane, a tym, co nowe, obce.

Bisila, choć bardzo młoda, doskonale zdawała sobie sprawę, że nigdy tego świata nie pozna. Zakładała wręcz, że nigdy nie zamienią z Kilianem ani słowa. On, biały, młody i przystojny, przybył na Fernando Poo, by zbić majątek, a potem wrócić do siebie i tam założyć rodzinę. Ona, czarnoskóra nastolatka, przynależała do afrykańskiego plemienia zamieszkującego małą wyspę, na której los człowieka był przesądzony już przy jego

narodzeniu. Choćby nie wiadomo jak przykładała się – za namową ojca – do nauki, i tak musiała kiedyś wyjść za mąż i rodzić dzieci. Przy odrobinie szczęścia mogła liczyć na pracę inną niż uprawa ziemi, co trochę ją pocieszało. Natomiast żal, jaki czuła, widząc i słysząc śmiech tego białego mężczyzny, nie znajdował pocieszenia. Dobrze, że potrafiła go chociaż ukryć pod warstwami posłuszeństwa i rezygnacji.

Jednak od tamtej pory minęło dużo czasu. Wiele rzeczy uległo zmianie. Dzięki małżeństwu z Mosim i pracy w szpitalu ona, Bisila, zamieszkała w Sampace, blisko Kiliana. Długo sam jego widok wystarczał jej, by rano podnosić się z łóżka, iść do szpitala i wracać wieczorem w ramiona nienasyconego męża. Co więcej, otrzymała od losu nagrodę: miała okazję pocieszać ukochanego tuż po śmierci jego ojca. Wspomnienie tego, jak trzymała go za rękę i jak, trochę później, dotykała jego stopy, gdy poprosił ją o usunięcie pchły piaskowej, towarzyszyło jej każdej nocy po jego wyjeździe, ratując ją przed rozpaczą na myśl o tym, że mogliby się już więcej nie zobaczyć...

Jak odległe wydawały się teraz tamte smutne dni! Pamiętała, że przez pierwsze tygodnie jego nieobecności z całych sił walczyła, by nie ulec wrażeniu, iż wszystko to było dziecinną mrzonką, teraz zaś pora pogodzić się z rzeczywistością i jak najlepiej wykonywać obowiązki żony, której trafił się dobry mąż. Bo Mosi nie narzekał, że na tak długo znika z domu, i wspierał ją w jej pracy. Chciał tylko dziecka, a ona, dzięki obeznaniu z tradycyjną medycyną, starała się maksymalnie odwlec moment zajścia w ciążę, z obawy, że to ostatecznie zwiąże ją z mężem, jeszcze bardziej oddalając od Kiliana.

Jednakże miesiące mijały, Kilian nie wracał, Mosi zaczynał tracić nadzieję na ojcostwo. Bisila postanowiła więc zdać się na naturę, żyć prawdziwym życiem, a marzeniom oddawać się wyłącznie podczas długich bezsennych nocy. Duchy łaskawie zesłały jej ciążę, która podziałała na jej duszę niczym balsam. Potem narodziny syna przyniosły jej spokój i szczęście, jakich się już nie spodziewała.

Ten spokój wszakże okazał się tylko przykrywką dla wewnętrznego wrzenia i rezygnacji; okazało się to w tym samym dniu, w którym Kilian pojawił się na chrzcinach. A od chwili, gdy przestała być dla niego „córką Josego, pielęgniarką”, ich kontakty zaczęły się rozwijać w oszałamiającym tempie, zupełnie jakby strażnicy jej duszy zgodzili się wreszcie skrzyżować ich ścieżki. Przez ostatnie tygodnie prawie nie było dnia, by gdzieś się w przelocie nie spotkali.

Teraz miała już pewność, że nic sobie nie wyobraziła i że z Kilianem dzieje się to samo co z nią.

Droga z kwater białych pracowników do suszarni nie prowadziła koło szpitala. Co znaczyło, że Kilian specjalnie chodzi dookoła, żeby się na nią, Bisilę, natknąć. Poza tym coraz częściej zaglądał do środka, skarżąc się na rozmaite dolegliwości, aż w końcu zrozumiała, że są to dolegliwości wydumane – zwykłe wymówki służące temu, by ona, Bisila, musiała się nim zająć, dotknąć go, podać mu termometr i – przede wszystkim – z nim porozmawiać.

Raz po raz dziękowała duchom za te krótkie chwile absolutnego szczęścia, przemieniające jej dni w pasmo uśmiechów i nagłych wzruszeń, które skutkowały szybszym biciem serca i uginaniem się kolan. Gdy wieczorem docierała do domu,

musiała bardzo się starać, by udawać przed Mosim zmęczoną i przybitą dniem pracy. To kłamstwo, bo przecież jej ciało i dusza aż kipiały od niewytłumaczalnej energii, w połączeniu z obowiązkami macierzyńskimi, bo syna widywała właściwie tylko po nocach – pozwalało trzymać wyrozumiałego Mosiego na odpowiedni dystans. Kładła się więc do łóżka, natychmiast zamykała oczy i zasypiała, licząc minuty dzielące ją od nowego dnia i kolejnego spotkania z ukochanym.

Przywitała się z ojcem i Simonem, Kiliana jednak nigdzie nie dostrzegła ani też o niego nie spytała. Przez kilka minut udawała niezwykle zainteresowanie jakością kakaowych ziaren, po czym pożegnała się, twierdząc, że musi wracać do pracy, z której wyrwała się jedynie na krótki spacer po wielu godzinach czuwania przy chorych.

Czepiając się ostatniej nadziei na upragnione spotkanie, postanowiła nadłożyć drogi i przejść koło budynku mieszczącego kwatery białych. Zwolniła, a potem nagle stanęła jak wryta.

Kobieta, którą natychmiast rozpoznała, wchodziła po schodach wiodących na górę, ku zewnętrznej galerii. Ubrana była w cienką, obcisłą, turkusową sukienkę pasującą kolorem do sandałów na obcasie, włosy zaś upięte miała w wysoki koński ogon. Dwaj mijający ją mężczyźni obejrzeli się i coś do niej powiedzieli, a ona uśmiechnęła się do nich kokieteryjnie i szła dalej, mocno kręcąc biodrami. Już na górze, gdzie skręciła w prawo, zwróciła uwagę na obserwującą ją z dołu dziewczynę, której twarz wydała jej się jakby znajoma.

Bisila odczekała kilka sekund ze ściśniętym sercem, prawie nie oddychając, aż jej domysły się potwierdziły.

Sade zatrzymała się przed drzwiami Kiliana, zapukała, on jej otworzył, porozmawiali chwilę i weszła.

Bisila pochyliła głowę i głęboko odetchnęła. Paliło ją w piersiach. Paliła ją twarz. Do oczu napłynęły łzy. W mgnieniu oka euforię zastąpił zawód. Teraz trzeba się będzie zadowolić fantazjami. Szybko ruszyła z powrotem do domu, na Obsay, raz i drugi powtarzając sobie masę logicznych argumentów. Czego się spodziewała? Ona miała męża, a on nie miał żony, czyli był wolny. Mógł do woli korzystać z towarzystwa kobiet. Poza tym spotykał się z Sade od lat. Dlaczego miałby przestać? Ze względu na kilka uśmiechów i miłych słówek zameżnej pielęgniarce? Zresztą, czyż ona sama nie sypiała ze swoim mężem?

Zanim dotarła na miejsce, jak zwykle gwałtownie zapadły ciemności. W wielu barakach kobiety pozapalały lampy naftowe, sięgające w głąb nocy drżącymi językami światła. Usłyszała jakieś krzyki i rozpoznała płacz Inika. Przyspieszyła kroku i skupiła myśli na dziecku. Wchodząc do domu, była już spokojniejsza. Mosi z uśmiechem podał jej syna. Usiadła i zaczęła go kołysać w ramionach, uspokajając go w języku bubi. Na zewnątrz rozległo się dudnienie bębnow i Mosi otworzył drzwi. Kilkoro sąsiadów wyległo na ulicę z butelkami i szklankami dla ożywienia nastrojów. Prawie codziennie na zakończenie dnia urządzano krótką imprezę. Wystarczył byle pretekst: czyjeś urodziny lub wyjazd, informacja o szykującym się ślubie lub jakiejś ciąży... Ostatnio takie spotkania nieodmiennie kończyły się dyskusjami o polityce. Nigeryjczyków również interesowała przyszłość Fernando Poo, od niej bowiem zależała ich praca.

Bisila uważnie się wszystkim przyglądała. Jej znajomi, tak samo jak ona, mieli swoje pragnienia, sny i sekrety. Do Mosiego podszedł Ekon, podając mu szklanę z trunkiem. Mosi chętnie ją przyjął. Lialia pomachała Bisili, po czym też weszła do środka, by na moment przysiąść obok sąsiadki.

– Iniko jest bardzo grzeczny – powiedziała po hiszpańsku z silnym nigeryjskim akcentem, głaszcząc chłopca po główce swoją pulchną dłonią.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Spędzasz z nim więcej czasu niż ja.

– Mnie to nie przeszkadza. A ty masz dobrą pracę. I nam też pomagasz w chorobie. –

Lialia pochyliła się ku przyjaciółce. – Wyglądasz na zmęczoną...

– To był ciężki dzień.

– Tutaj wszystkie dni są ciężkie, Bisilo.

Bębny dudniły coraz głośniejsze. Wyszli na ulicę. Mosi objął żonę ramieniem, by ją do siebie przyciągnąć. Bisila przymknęła powieki, wsłuchując się w głucho, rytmiczne uderzenia i zarazem w siebie. Dudnienie brzmiało podobnie jak poprzedniego wieczoru i tak samo brzmieć miało również nazajutrz, odbijając się od szarych, betonowych murów i blaszanych dachów służących za schronienie rodzinom takim jak jej własna. To był jej świat. Niczym się nie wyróżniała. Każdy tu ciężko pracował na swoich bliskich. Nigeryjczycy marzyli o powrocie do kraju, a ona z Mosim – o własnym domku w mieście. Na razie zaś wszyscy cierpliwie gnieździli się w identycznych barakach z rozwieszonymi wzdłuż ścian identycznymi sznurami, na których suszyły się identyczne kolorowe ubrania, podczas gdy dzieci dokazywały na pylistej ulicy, będącej dla nich domem, nieświadome tego, co sprowadziło ich rodziców w to miejsce, i równie szczęśliwe tutaj jak gdziekolwiek indziej.

Bisila otworzyła oczy. Tuż obok Lialia karmiła piersią jej syna, który ssał żarłocznie. Sama miała czworo dzieci, ostatnie w wieku Inika, i jej piersi regularnie nabrzmiwały od mleka. Bisila patrzyła na nią z głęboką sympatią. Dzięki żonie Ekona mogła nie rezygnować z pracy, jak to robiły inne kobiety uczestniczące teraz ze swoimi mężami w imprezie. Mosi nachylił się ku jej ustom, a ona mechanicznie oddała mu pocałunek, myślami przenosząc się do pokoju, w którym, najprawdopodobniej, Kilian akurat całował wargi Sade.

Każde na swoim miejscu, pomyślała. Jak wczoraj i przez wszystkie poprzednie dni. Nie czuła już zazdrości ani niepokoju, ani nawet smutku. Czuła jedynie głęboką pewność, że przeszłość i teraźniejszość razem wzięte nie zdołają pokonać przyszłości. Że czas właściwie nie istnieje. Bo przecież długie lata oczekiwania wydadzą jej się ledwie sekundą w chwili, gdy Kilian wreszcie będzie należał do niej.

Była kobietą spokojną i niezwykle cierpliwą. Co więcej, niezachwianie wierzyła, że los potrafi zaskakiwać.

– Co ty tu robisz?

– Oba mi powiedziała, że wróciłeś kilka tygodni temu. A ponieważ do mnie nie przyjeżdżałeś, ja przyjechałam do ciebie.

Sade zdecydowanie weszła do środka. Obrzuciła skromnie umeblowany pokój uważnym spojrzeniem, skierowała się do łóżka i usiadła. Obcisły strój jeszcze mocniej oblepił jej uda. Założyła nogę na nogę i zakołysała stopą.

– Nie cieszysz się?

Kilian zamknął drzwi i oparł się o nie plecami, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie powinnaś była tu przyjeżdżać.

Sade poklepała pościel na łóżku i powiedziała słodko:

– Chodź, usiądź koło mnie.

– Dobrze mi tu, gdzie jestem, dziękuję – rzucił opryskliwie Kilian.

Wykrzywiła usta. Wstała i podeszła.

– Rozluźnij się, *massa*. – Zatrzymała się tuż przed nim i powiodła palcem po jego zacisniętej szczęce. – Mamy sporo do nadrobienia.

Stanąła na palcach i delikatnie pocałowała go w usta, które ani drgnęły. Nie rezygnując, czubkiem języka zaczęła lizać te uparte wargi tak, jak robiła to wiele razy wcześniej.

Kilian zamknął oczy i zacisnął pięści. Mimo upływu czasu i sporadyczności ich spotkań Sade doskonale wiedziała, jak go podniecić. Jeszcze chwila i mógł jej ulec. Od wielu miesięcy nie był z kobietą, a Sade stanowiła wyjątkową pokusę. Każdy mężczyzna – łącznie z nim samym w innych okolicznościach – z chęcią przystałby na jej propozycję. Ba, zapewne porwałby ją w ramiona i rzucił na łóżko, żeby nasycić się jej nadzwyczajnym gorącem. Tyle że on, Kilian, już tak nie potrafił. Teraz istniała dla niego tylko jedna kobieta. Łagodnie położył dłonie na ramionach Sade i lekko ją odsunął.

– Przykro mi, Sade, ale nie.

Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego?

– To koniec.

– Znudziłeś się mną. – W zamyśleniu zagryzła wargi, a po kilku sekundach dodała: – Rozumiem. Masz inną, ot co.

– Nie, nie o to chodzi.

– Kłamiesz. Ale nie to jest najgorsze. Różnisz się od brata. Jemu podoba się każda. A ty, skoro mnie nie chcesz, musiałeś się w jakiejś zakochać. Powiedz: znam ją? – podniosła głos, patrzyła na niego z wyzwaniem w oczach. – W którym klubie pracuje? Co takiego ci daje, czego nie dostałeś ode mnie? – Potrząsnęła głową. – A może to Hiszpanka... Zaplanowaliście już ślub? – Parsknęła śmiechem. – Kiedy się nią zmęczysz, wrócisz do mnie, jak wszyscy.

Kilian zaczął się bronić.

– O ile się nie mylę, miałaś oprócz mnie wielu innych. Nic ci nie jestem winien.

Jego słowa podziały na nią jak niespodziewany policzek. Podbródek jej zadrżał, oddech przyspieszył.

– To, że zarabiam, jak zarabiam – syknęła – nie znaczy, że nic nie czuję. Wszyscy jesteście tacy sami! Tak samo łatwo zapomiecie o swoich czarnych przyjaciółkach!

Kilian potarł czoło. Rozmazał palcami grube krople potu. Od dawna wiedział, że ta przykra scena go nie ominie, i odwlekał ją, jak mógł. Brał pod uwagę rozmaite wymówki, po trosze licząc na to, że Sade, nawykła do utrzymywania stosunków z różnymi mężczyznami, po prostu przyjmie rzecz do wiadomości. Ale miała rację. Nigdy

nie myślał o jej uczuciach. Nagle zaschło mu w ustach. Zbliżył się do umywalni i nalał sobie szklankę wody. Sade wciąż stała przy drzwiach z wyzywająco uniesioną głową. Była naprawdę piękna, dużo piękniejsza niż Bisila. Tyle że nie była Bisilą.

W Pasolobino wspominał ją od czasu do czasu, ale za nią nie tęsknił. A teraz w dodatku czuł, że już jej nie potrzebuje. Nowe, cudowne emocje towarzyszyły mu dzień i noc, wypełniały go bez reszty i wzmacniały jego wolę. Nie dbał więcej o to, że Bisila ma męża, że właściwie jest poza jego, Kiliana, zasięgiem. Życie różnie się toczy. A on był gotów czekać długo. Tymczasem zaś mógł się cieszyć tymi uczuciami z dala od innych kobiet. Nie zamierzał, wzorem Dámasa, uczynić z Sade swojej Reginy. Nie chciał kochać jednej kobiety, jednocześnie sypiając z drugą, by tę drugą po iluś tam latach porzucić.

– Najlepiej o mnie zapomnij, Sade – powiedział. Zapalił papierosa i powoli wydmuchał dym. – Ja decyzji nie zmienię.

– To się jeszcze okaże – odparła pobrzmiwającym groźbą tonem, jakiego nigdy jeszcze u niej nie słyszał, i opuściła pokój.

W otwartych drzwiach ukazał się fragment nocnego rozgwieźdzonego nieba. Kilian wyszedł na galerię i oparł się o barierkę.

Na dole Sade szybkim krokiem zmierzała w stronę niewielkiego kabrioletu, seata 600, w którym czekał na nią jej „szofer”, jeden z młodych kelnerów z klubu. Zanim dotarła do auta, usłyszała głos:

– To już takie poważne z Kilianem, że spotykacie się u niego w pokoju? – Gregorio podszedł bliżej. – Cóż, czyli jednak mu cię brakowało...

– Nie ma tu nikogo, kto by mnie interesował – odparła wyniośle Sade.

Gregorio przygłodził wąsik, przesuwając wzrokiem po jej ciele.

Te oględziny nasunęły Sade pewien pomysł. Zerknęła w górę, ku galerii, a widząc, że Kilian, z papierosem w ręku, wciąż ich obserwuje, postanowiła zmienić kurs.

– A ty? – spytała sztucznie słodkim głosem. – Wciąż z Reginą? Trudno uwierzyć, że ona zaspokaja wszystkie twoje potrzeby...

Gregorio uniósł brew.

– Ty byś zaspokoila?

Sade przygryzła dolną wargę.

– Odwiedź mnie kiedyś, to zobaczymy.

Gustavo spędził w szpitalu tylko kilka tygodni, ale jego rany zagoiły się ostatecznie dopiero po Bożym Narodzeniu.

Na początku nowego roku, po dziesięciu latach ostrego przeciwdziałania gwinejskim dążeniom niepodległościowym, rząd hiszpański zaczął nieoczekiwanie wykonywać drobne ruchy, które zdawały się im sprzyjać. W celu zapewnienia Gwinejczykom rzeczywistego statusu obywateli Hiszpanii i uniknięcia dyskryminacji zniesiono obowiązujące od lat czterdziestych prawo emancypacyjne, które stanowiło, że czarni mieszkańcy mają prawo nabywać i spożywać te same produkty co biali – o ile dysponują odpowiednimi środkami pieniężnymi – pod warunkiem, że spełnią wymogi Organizacji do spraw Tubylców, to znaczy przedstawią zaświadczenie o pełnoletności, wyższym wykształceniu albo pracy na rzecz kolonizatora.

Ku zaskoczeniu Emilia i Generosy w czasie wyborów do rad miejskich Gustavo został

wybrany w Santa Isabel przedstawicielem jednego ze stu osiemdziesięciu ośmiu okręgów utworzonych w całym kraju. Ludzie tacy jak on czy jego brat Dimas stopniowo zaczęli prowadzić życie zbliżone do życia Hiszpanów. Wprowadzali się do domków z ogródkami, przed którymi, po pracy i odebraniu dzieci ze szkoły, parkowali swoje niewielkie samochody.

– A to nie wszystko, Julio – denerwował się Emilio, kołysząc na kolanie Ismaela. – Na domiar złego muszę znieść, że się do mnie zwracają bez szacunku. Och, gdyby to widział ich ojciec! Stary Dimas był porządnym człowiekiem.

– Pewnie... – mruknęła Julia. – Skoro zawsze się z tobą zgadzał...

– Bo wtedy każdy znał swoje miejsce, córeczko – wtrąciła Generosa, sprzątając ze stołu. – Nie tak jak teraz, w tych czasach zamętu. Tak się zawzięli na nasze dobre, stare prawa, że niedługo zniosą zakaz zawierania małżeństw mieszanych, zobaczysz!

– Nie wiem, co was tak dziwi. – Julia wzruszyła ramionami. – Francja i Anglia dają wolną rękę swoim koloniom w Afryce Równikowej i Zachodniej. Czemu Hiszpania miałaby postąpić inaczej?

– Bo my, córeczko, dzięki Bogu, mamy przywódcę, który przez długi czas potrafił utrzymać porządek i w kraju, i tutaj. – Generosa głośno westchnęła. – Zapewniam cię, że gdyby nie nadwątlone siły, nigdy by na takie rzeczy nie pozwolił...

– Czasy się zmieniają, mamó...

– Tak, ale nie wiem, czy na lepsze, Julio – podsumował Emilio. Potem zerknął za zegarek, wstał i posadził wnuka na kocyku na podłodze, pośród papierowych koników. – Cóż, pozdrów od nas Manuela. Szkoda, że akurat musiał iść.

– Dużo teraz wypadków. Robotnicy są niespokojni i częściej dochodzi do bójek. To akurat negatywny wpływ polityki.

Generosa ucałowała Ismaela, po czym pożegnała się z córką. Julia odprowadziła rodziców na dwór.

– Nie mieliście przypadkiem zabrać Oby?

– Ta dziewczyna! – Emilio wzniósł oczy ku niebu. – Od kiedy zakochała się w swoim wielkoludzie, nic, tylko jeździłaby do Sampaki. W sklepie jest strasznie roztargniona, zapomina o zamówieniach... Jeśli to się nie zmieni, będziemy musieli poszukać kogoś innego.

– Tak, to świetny moment na szukanie i przyuczenie sklepowej... – zauważyła ironicznie Generosa, poprawiając fryzurę.

Właśnie w tym momencie pojawiła się Oba z błyszczącymi oczyma i obrzmiałymi wargami.

– Jeszcze moment i wracałabyś pieszo – zganił ją Emilio.

– Przepraszam, don Manuelu.

– No, już, wsiadaj.

– Proszę wybaczyć, don Manuelu, ale muszę zamienić słowo z panią Julią. – Mówiąc to, Oba wzrokiem poprosiła Julię o wsparcie.

Ta, widząc minę ojca, zapewniła go, że potrwa to tylko chwilę.

Gdy weszły z Obą do domu, spytała:

– I cóż to za ważna sprawa?

– Chodzi o... – Oba nerwowo zatarła ręce. – O moją przyjaciółkę, Sade. Kilka dni temu wyznała mi, że jest w ciąży...

– No i...?

– Powiedziała, że to dziecko jednego z białych z plantacji i że on, jak się dowiedział, od razu z nią zerwał. Wydawała się bardzo smutna i zmartwiona, więc pomyślałam, że... No... Że skoro pani zna tego człowieka, mogłaby pani coś zrobić i...

– Kto to taki? – przerwała jej Julia.

– *Massa Kilian*.

– Ale... – Julia usiadła i potarła czoło, zaskoczona tą wiadomością.

– Są przyjaciółmi od dawna.

– Cóż... Po prostu sądziłam, że... – Julia starała się dobierać słowa. – Że twoja przyjaciółka ma więcej przyjaciół.

– Tak, ale wie na pewno, że ojcem jest *massa Kilian*. Strasznie ją to przygnębiło, proszę pani. Ona naprawdę bardzo *massę* kocha i okropnie się martwi, że ją zostawił.

– Oba! – Z zewnątrz dobiegł głos Emilia. – Jedziemy!

Julia wstała, ujęła dziewczynę pod łokieć i odprowadziła do drzwi, po drodze szepcząc:

– Ani słowa na ten temat. Nikomu, słyszysz? Nikomu! – Oba pokiwała głową. – Zobaczę, co się da zrobić.

Gdy została sama, Julia wzięła Ismaela na ręce i z całych sił przytuliła. Ciekawe, jakie prawo reguluje takie sprawy, pomyślała ze złością. Żadne. W grę wchodzi słowo czarnej kobiety o wątpliwej reputacji przeciwstawione słowu białego mężczyzny. Słowo Sade przeciwstawione słowu Kiliana. Co za kłopot! Czy naprawdę tak trudno zabezpieczać się przed podobnymi komplikacjami? Ciężko jej było uwierzyć w wersję przedstawioną przez Obę, szczególnie w to, że Kilian mógłby się zachować w takiej sytuacji jak ostatni tchórz. Cóż, nie on pierwszy i nie ostatni. Wystarczyło przejść się ulicami Santa Isabel albo odwiedzić miejski sierociniec, by wyobrazić sobie skalę problemu. Co należało zrobić? W każdym razie – porozmawiać z Kilianem i mieć nadzieję, że to wszystko nieprawda.

Do salonu wszedł zmęczony Manuel, by zaraz opaść na sofę koło żony i syna.

– Wreszcie chwila spokoju. – Pochylił się i pocałował w główkę Ismaela, który natychmiast wyciągnął ku ojcu rączki. Julia wyglądała na dziwnie zamyśloną. – Dobrze się czujesz? – Zawahała się, czy mu powiedzieć. – Wiesz, w takie dni jak dzisiaj zastanawiam się, co my tu, do diabła, robimy. Owszem, płacą mi dobrze, ale zaczynam mieć dosyć tych cię maczetą, tej chininy, urojonych chorób i ukąszeń węża...

Nie, zdecydowanie nie był to najlepszy moment na opowiadanie mu o problemach Kiliana.

– Mówisz tak, bo jesteś wykończony. Jak tylko wyrwiesz się do dżungli, to ci przejdzie.

Manuel się uśmiechnął.

– To samo powiedział mi przed chwilą Kilian!

Julia przygryzła dolną wargę. Czyli znowu był w szpitalu... Straszego miał pecha z tymi pchłami piaskowymi!

Chociaż, jeśli Sade nie kłamała, to *nigua* stanowiła stanowczo zbyt lekką karę.

W szpitalu Bisila kończyła drobiazgowo oględziny stóp Kiliana.

– Nic tu nie masz.

– Nie? Bo naprawdę strasznie mnie swędzi.

Bisila posłała mu sceptyczne spojrzenie.

– W takim razie poczekamy kilka dni na rozwój sytuacji.

– Bisilo, ja... – Kilian pochylił się w jej stronę. – Chciałbym cię częściej widywać.

Wcześniej ciągle na siebie wpadaliśmy... – zniżył głos do szeptu. – Już nie lubisz ze mną rozmawiać? Zrobiłem albo powiedziałem coś, co ci się nie spodobało?

Bisila odwróciła wzrok w kierunku okna.

Ktoś zapukał do drzwi i otworzył je, nie czekając na zaproszenie. Julia bez wstępów zwróciła się do Kiliana.

– Muszę z tobą pomówić... Na osobności. – Popatrzyła na Bisilę. – Skończyłaś już?

– Jeszcze nie – pospiesznie rzucił Kilian. – Ale skoro masz pilną sprawę, to możemy zrobić sobie przerwę, co, Bisilo?

Bisila z lekkim uśmiechem skinęła głową, zebrała narzędzia, wstała i oddaliła się do przyległej umywalni. Właśnie wycierała ręce, gdy przez cienką ścianę pokrytą małymi, kwadratowymi, lśniącymi białą płytkami całkiem wyraźnie dobiegły ją głosy Julii i Kiliana. Czy jej się tylko zdawało, czy naprawdę dosłyszała imię Sade? Pokusa okazała się silniejsza od dyskrecji.

– Sade twierdzi – mówiła Julia – że jesteś ojcem i że jak tylko się dowiedziałeś, postanowiłeś z nią zerwać.

Bisila wstrzymała oddech.

– Po pierwsze, Julio, dopiero od ciebie się dowiaduję, że Sade jest w ciąży. – Głos Kiliana brzmiał spokojnie. – A po drugie to całkiem niemożliwe, żebym był ojcem.

– Tak, wiem, że ona... To znaczy, że nie tylko ty... – Julia zacmokała z niezadowolaniem, lekko skrępowana. – Ale ona nie ma wątpliwości.

– A ty co sądzisz? Jeśli przybiegłaś od razu, to znaczy, że się wahasz...

– Kilianie, nawet ja wiem, że przez te wszystkie lata spotykałeś się wyłącznie z Sade. Każdy mógłby sobie pomyśleć, że...

– Powinnaś pogadać z Gregoriem. Nie słyszałaś, że Sade to od miesięcy jego ulubiona *mininga*? Może jej się zdawało, że w ten sposób wzbudzi we mnie zazdrość, ale nic z tego. Sade zapewne rozpowiada takie rzeczy z zemsty... – Zapadło długie milczenie. – Julio, daję ci słowo, że ostatni raz byłem z Sade jeszcze przed wyjazdem do domu. Kiedy wróciłem, ona któregoś wieczoru mnie odwiedziła i wtedy stanowczo jej oświadczyłem, że... cóż... że nasza przyjaźń... dobiegła końca. Niemożliwe więc, żebym ja był ojcem, i nie ulegnę żadnemu szantażowi. Jasne? – To ostatnie pytanie zabrzmiało raczej twardo.

– Przepraszam, że w ciebie zwątpiłam. – Julia zniżyła głos. – Nie wiem, co powiedzieć... Jeśli nie mylisz się co do pobudek kierujących Sade, ona z pewnością nie przepuści żadnej okazji, żeby cię zniesławić.

– Nikt mnie z nią nie widział w ostatnich miesiącach. – Kilian zamilkł na chwilę. – Ty znasz mnie lepiej niż ktokolwiek, Julio. Naprawdę uwierzyłaś, choćby na sekundę, że w podobnym wypadku migałbym się od odpowiedzialności?

Mimo dzielącej ich ściany Bisila wychwyciła w słowach Kiliana gorzki wyrzut. Sekundy mijały, a Julia wciąż się nie odzywała. Potem rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Bisila odczekała jeszcze moment, zanim wróciła do Kiliana.

Na jej widok cały się rozpromienił.

– Już się bałem, że sobie poszłaś.

– Prosiłeś, żebyśmy po prostu na chwilę przerwali – odrzekła.

Podśluchana przed momentem rozmowa przekonała ją, że Kilian od pewnego czasu nie spotyka się z Sade, niemniej nie należało sobie robić zbyt wielkich nadziei. Istniała możliwość, że zwyczajnie zastąpił ją inną „przyjaciółką”. Jednakże ulga związana z faktem, że nie spędza już wolnego czasu u boku tej pięknej kobiety, sprawiła, że Bisila nabrała nowej śmiałości. Dlatego spytała:

– A co ty właściwie robisz po pracy? Nie masz nikogo do towarzystwa?

– Jasne, że mam – odparł Kilian bez wahania. Bisila wpatrywała się w niego, zdumiona tą błyskawiczną i jednoznaczną odpowiedzią, on zaś, spoglądając znacząco, przez jakiś czas wytrzymał jej wzrok, by w końcu ochryple rzucić: – Nigdy nie jestem sam. Ani przez sekundę. Od wielu miesięcy nie odstępuję cię w myślach na krok.

Gdy stanąwszy u wejścia do suszarni, zobaczyła ojca, Simona i Kiliana, triumfalnie się uśmiechnęła. Sekret, który dzieliła z tym ostatnim, przez cały czas wibrował w jej wnętrzu z siłą setek bębnow. Powstrzymała westchnienie. Najprawdopodobniej byli z Kilianem do końca życia skazani na ukradkowe, intensywne spotkania sam na sam i na obojętną wymianę grzecznościowych formułek w towarzystwie. No, chyba żeby duchy się zlitowały i zmieniły bieg spraw... Cóż, pocieszyła się w duchu: tak czy owak, dzień rozpoczynał się dobrze.

Tego ranka Simón, sprawdzając, czy wszystko w porządku, wyjątkowo niespokojnie kręcił się wśród półek, na których kakaowe ziarna układały się w chropawy dywan.

– Po co te nerwy, Simonie? – spytał Kilian, ocierając dłonią pot zalewający mu oczy. Upał był nie do zniesienia. – Choćbyś biegał w kółeczko, niczego nie przyspieszysz.

– Chodzi o to, żeby nic się nie opóźniło, *massa*. Nie chciałbym, żeby *big massa* kazał mi zostać na sobotę.

– A co będzie w sobotę?

– Mój ojciec zostanie *botuku* okręgu Bissappoo. – Simón nie krył dumy.

– No, proszę, gratulacje – rzekł zaskoczony Kilian. – Mam przed sobą syna ważnej osoby.

– Tak, ojciec będzie prawdziwym *botuku* – dodał Simón. – A nie takim jak ten wasz, co to się tylko miał podszywać.

José posłał mu surowe spojrzenie. Nie wątpił, że Simón szanuje Kiliana i właśnie dlatego jest z nim szczery, niemniej, jako Bubi i zwolennik całkowitej niepodległości wyspy, chłopak nie tracił żadnej okazji, żeby skrytykować białych. A José, choć podzielał wiele jego poglądów, bardzo dbał, by nie urazić Kiliana.

Kilian słyszał wcześniej plotki, jakoby Bubi zamierzali mianować abba – czy też przywódcą duchowym – gubernatora. Sam pomysł wydawał się śmieszny, albowiem każdy, kto wiedział cokolwiek o ich kulturze, rozumiał, że *abba* to tytuł przeznaczony dla głównego kapłana Moki, uświęcony na całej wyspie. W dodatku dziedziczny – nie

nadawano go ot, tak, byle komu. Dlatego Kilian uznał, że to zwyczajne złośliwe gadanie. Żaden biały nie zostałby przez Bubich uhonorowany w taki sposób.

– Prawie mu się udało.

Simón aż podskoczył. Twarz miał czerwoną z gorąca i nagłego wzburzenia. Złapał szczotkę i z impetem zaczął zmiatać łupinki, które spadły z ruchomej taśmy.

– Byłem z ojcem na kilku spotkaniach z białymi. Wiesz dobrze – z chwilą gdy przestał służyć Kilianowi jako *boy*, automatycznie przeszedł z nim na „ty” – że my, Bubi, nie lubimy okazywać braku uprzejmości, dlatego nasza starszyzna zgodziła się przedstawić propozycję białych duchom.

– O, i co na to duchy? – spytał Kilian drwiąco, odwracając twarz, by ukryć przed Simonem śmiech, wywołany jego uwagami i wyrazem jego poznaczonej nacięciami twarzy. Wtedy zobaczył Bisilę.

Miała na sobie białą spódnicę i taką samą bluzkę z podwiniętymi powyżej łokcia rękawami, pięknie podkreślającą ciemnokarmelowy odcień jej skóry. Zwykle nosiła swoje krótkie włosy swobodnie rozpuszczone, tym razem jednak posplatała je w cienkie warkoczyki, co uwydatniało harmonijność jej rysów i to, jak ogromne ma oczy. Kiliana na ten widok przeszedł przyjemny dreszcz.

Wpatrywali się w siebie, ale żadne się nie odzywało, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Łatwo nie było, niemniej ze wszystkich sił próbowali ukrywać przed światem łączącą ich wyjątkową więź.

Bisila podniosła palec do ust, a Simón tymczasem podniesionym głosem ciągnął swoje wyjaśnienia:

– Duchy nie są głupie, o, nie, więc przemówiły przez różnych mężczyzn, tłumacząc, że biali proponują mianowanie gubernatora abba nie tyle po to, by wyrazić szacunek dla naszych tradycji, ile w imię własnych interesów. Pojawiły się głosy, że chcemy sprzedać Hiszpanom wyspę. Padały też rady, byśmy ją wam wydzierzawili na czterdzieści lat pod warunkiem, że będziecie o nas dbali. Niektórzy przypomnieli, że nie zawsze traktowaliście nas dobrze. Za przykład podawali krwawe stłumienie naszego buntu w tysiąc dziewięćset dziesiątym. – Chłopak umilkł, bo musiał zaczerpnąć powietrza. – Inni bronili was, mówiąc, że jest przecież wielu dobrych Hiszpanów, którzy nie przyjechali nas kolonizować, a zwyczajnie tutaj pracować, co i nam przyniosło korzyści.

– Słyszałem, jak sami Hiszpanie krytykowali ten pomysł z gubernatorem, nazywając nas głupcami – wtrącił José i Kilian musiał oderwać wzrok od Bisili, żeby skupić się na rozmowie. – Niejeden biały chce, żebyśmy byli antyhiszpańscy i niezależni, pewnie dlatego, żeby w razie faktycznego wyzwolenia móc kontrolować sytuację na wyspie poprzez swoich czarnych przyjaciół.

Kilian potarł czoło, zdziwiony i skołowany.

– Ja jestem Hiszpanem, nie mam ukrytych motywów, ale też uważam, że to idiotyzm. I na czym w końcu stanęło?

– Żeby załagodzić sprawę i nikogo nie obrazić, postanowiono ograniczyć się do nadania gubernatorowi tytułu *motuku* albo *botuku*, czyli kogoś w rodzaju szefa, cieszącego się powszechnym zaufaniem, reprezentującego dany region czy okolice i

szanowanego ze względu na wybitną osobowość. Zaplanowano nawet grzecznościową ceremonię, w trakcie której gubernator miał otrzymać tradycyjne wyroby naszego rękodzieła...

– Oraz młodą dziewicę... – Dodała Bisila, podchodząc bliżej. – *Tuë'a lóvari é*. Dzień dobry, Kilianie.

– *Wë'á lo è Bisila* – odrzekł José z uśmiechem. Nie potrafił ukryć dumy, jaką wzbudzała w nim jego ulubiona córka. – *Ká wimböri lé?* Jak się dziś miewasz?

– *Nimböri lèle, potóo*. Doskonale, dziękuję.

Kilian bardzo lubił brzmienie języka bubi, który w ustach Bisili nabierał zachwycająco poważnych tonów. Pamiętał, ile razy, zamieniając szpital w szkołę, bezskutecznie usiłowała go nauczyć czegoś poza prostymi formułkami powitania i pożegnania. Jak na pilnego ucznia przystało, chętnie pozwalał, by przykładła jego dłoń do swojej szyi, w nadziei, że jego palce wyczują vibracje jej krtani przy wydawaniu szczególnie skomplikowanych dźwięków, jednakże natychmiast zapominał o pierwotnym celu i zaczynał delikatnie ją głaskać, po szyi, po podbródku i wreszcie po policzkach, ona zaś przymykała wtedy powieki, unosiła głowę i szukała jego ust, szepcząc do niego słowa i zdania, które, owszem, doskonale potrafił zrozumieć.

Potrząsnął głową, by odegnać te myśli; z ich powodu czuł przyjemne napięcie w dole brzucha. Ostatecznie nie byli sami. Musiał się kontrolować...

Bisila podjęła przerwany wątek i dodała z ironią:

– Och, no, tak, ale gubernator zobowiązał się przecież, że tej dziewicy nie tknie i właściwie będzie ją traktował jak ukochaną córkę.

Simón uśmiechnął się z triumfem.

– I pod wpływem naszych protestów w tej sprawie ostatecznie w ogóle ze wszystkiego zrezygnował, twierdząc, że musi wyjechać. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu – rzekł, odwracając się do nich tyłem – nie traćmy więcej czasu i weźmy się do pracy.

José, wyraźnie rozbawiony jego gwałtownym zachowaniem, które spowodowało krótką przerwę w rozmowie, zwrócił się do córki:

– Przyszłaś z jakąś sprawą?

– Wybierasz się w sobotę na tę uroczystość w Bissappoo?

José skinął głową, kątem oka obserwując Kiliana, który przysłuchiwał się im z uwagą.

– I ja bym chciała – oświadczyła Bisila – ale wolałabym nie iść sama.

Sama? Bez Mosiego? Kilian już wiedział, że też się wybierze. Poczł lekkie wyrzuty sumienia. Nie powinien zapominać, że Bisila jest mężatką, a jednak w ostatnich tygodniach oboje zachowywali się tak, jakby nią nie była.

Ale kilka świątecznych dni w jej towarzystwie, z dala od Sampaki...

– Ösé – zaczął, licząc na zaproszenie – w piątek skończy się praca w suszarni...

Faktycznie nie ma powodu, żeby ominęło cię tak ważne wydarzenie.

Umilkł i czekał niecierpliwie, aż w końcu José rzeczywiście powiedział:

– A może ty też chciałbyś wziąć w tym udział?

– To będzie prawdziwy zaszczyt, Ösé – pospiesznie zapewnił go Kilian, z satysfakcją

zerkając na Bisilę, która spuściła głowę, żeby ukryć radość.

Zaraz później oznajmiła, że musi wracać do szpitala, i szybko się pożegnała.

– *Ö má we è, Simó. Ö má we è, Ösé. Ö má we è, Kilian.*

– Do widzenia, Bisilo – odrzekł Kilian i, ku zdumieniu obecnych, spróbował powtórzyć to samo w języku bubi: – *Ö má... we... è... Bisila.*

Simón stojący kilka kroków dalej zaczął się śmiać.

Kilian pospiesznie wrócił do pracy. Była dopiero środa. Mieli jeszcze przed sobą trzy długie dni... Zaczął nerwowo krążyć w tę i z powrotem, sprawdzając, czy wszystko idzie, jak należy.

Z innych niż Simón powodów – ale teraz sam też się niecierpliwił.

Suszarnię opuścili dopiero pod wieczór. Dzień okazał się wyczerpujący, i to mimo przyjemnej niespodzianki, jaką była wizyta Bisili.

Nie rozmawiali więcej o polityce, lecz Kilian, owszem, sporo o niej myślał. Gdy udawali się na spoczynek, rzekł do Josego:

– Po tym, co mówił Simón, ogarnęło mnie wrażenie, że ta nowa epoka powstaje na bazie plotek. Bo najczęściej w ten sposób dowiadujemy się o różnych rzeczach. Ani „Ébano”, ani „Poto-Poto”, ani „Hoja del Lunes de Fernando Poo”, ba, nawet „La Guinea Española” czy „ABC” słowem nie wspominają o tych wszystkich wydarzeniach i dyskusjach, o których mi opowiadaliście. Przeciwnie, rozpisują się wyłącznie o harmonii i zgodzie panującej między białymi a czarnymi.

José wzruszył ramionami.

– Może wasz rząd nie chce, żebyście wy, tutejsi biali, uświadomili sobie z całą jasnością, że czas kolonii naprawdę się powoli kończy. Jeszcze zaczęlibyście się denerwować...

– W takim razie wszyscy powinniśmy się denerwować. – Kilian uniósł dłonie i z ironią zapytał: – Czyż nie jesteśmy teraz wszyscy Hiszpanami? I ja, i ty?

– Tak sądzisz? Ciekawe, co by powiedzieli ludzie w Pasolobino, gdybym się tam przeprowadził. Wierzysz, że traktowaliby mnie jak Hiszpana? Prawa zmieniają się szybciej niż ludzie, Kilianie. Może i wolno mi już chodzić w miejsca wcześniej zarezerwowane dla białych, choćby do kina, jeździć autobusem, siadać koło ciebie w kościele, a nawet kąpać się w tym samym basenie bez obawy, że mnie aresztują, ale to nie znaczy, że co poniektórzy nie będą się krzywić z obrzydzeniem... Wedle dokumentów jestem Hiszpanem, Kilianie, lecz moje serce swoje wie.

Kilian przystanął i położył dłoń na ramieniu przyjaciela, by przytrzymać go w miejscu.

– Nigdy nie słyszałem, żebyś tak mówił, Ösé... Więc zgadzasz się z Simonem czy Gustavem?

José popatrzył na niego i odrzekł:

– Słuchaj, Kilianie... Stare afrykańskie przysłowie głosi, że kiedy walczą słonie, cierpi trawa. – Odczekał chwilę, żeby pozwolić przyjacielowi zrozumieć te słowa. – Cokolwiek się stanie, trawa ucierpi najbardziej. Tak właśnie myślę. Zawsze tak było.

XVI. RIBALÁ RÉ RIHÓLÈ

Małżeństwo z miłości

Po drodze do Bissappoo Kilian rozmyślał nad tym, jakie to niezwykle, że wolno mu będzie wziąć udział w ceremonii mianowania *botuku*. José niejednokrotnie narzekał, że nowe pokolenia Bubich coraz mniej dbają o podtrzymywanie tradycji. Główną tego przyczynę stanowiły wpływy wywierane przez Hiszpanów na edukację i życie codzienne wyspy, jednakże José twierdził, że młodzi w dzisiejszych czasach sami z siebie mają skłonność do lekceważenia starszych i że pewnego dnia pożąają swojej nieznamości wielu zwyczajów.

Hiszpanie mieszała się w życie plemienne do tego stopnia, że mianowali przewodniczących poszczególnych wiosek i stworzyli urząd hiszpańskiego zarządcy tubylczych osiedli. Szykująca się uroczystość była szczególna, ponieważ mieszkańcy Bissappoo, zgodnie z tradycją, sami też wybierali swojego przywódcę, nawet jeśli akt ten miał znaczenie raczej symboliczne. Wioska Josego, prawdopodobnie jako jedna z nielicznych, zachowała swoje tradycje niemal nietknięte. A jeśli jakiś młody człowiek się do tego przyczynił, to tym człowiekiem był bez wątplenia Simón, który teraz prowadził resztę towarzystwa z pośpiechem i energią, zdumiewającymi wszystkich.

Kilian znał trasę na pamięć. Ścieżka wśród palm. Rzeczka. Las. Strome podejście. W ciągu tych lat, które spędził na wyspie, wyprawiał się do Bissappoo co najmniej dwadzieścia razy. Już nie musiał posłusznie podążać z Josem ani czekać, aż ten maczetą utoruje im drogę przez zarośla. Miał pewność, że trafiłby do wioski nawet po ciemku.

Jednakże teraz wolał iść na końcu, tuż za Bisilą, podziwiając jej ruchy.

Miała na sobie lekką, sięgającą kolan sukienkę we wzór z zielonych listków, marszczoną w pasie i zapinaną z przodu, a do tego białe sandały. Na trudniejszych odcinkach wilgotny od potu materiał oblepiał jej kształty. Doskonale wiedziała, że Kilian milczy z powodu jej obecności, i dlatego od czasu do czasu odwracała głowę, posyłając mu uśmiech.

On zaś przy okazji rozmyślał nad tym, jakie to niezwykle, że wolno mu będzie wziąć udział w ceremonii mianowania *botuku*. Wbrew opinii Jacoba, który skrytykował brata za chęć uczestnictwa w czymś, co tylko potęgowało nastroje wyzwolenicze. Jacobo nie wiedział jednak, że Kilian tak się pali do tej wycieczki z zupełnie innego powodu. Że chce po prostu nacieszyć się obecnością Bisili, побыć z nią dłużej niż w czasie ich z konieczności krótkich i nerwowych potajemnych spotkań w Sampace.

Tuż przed Bissappoo, gdy z tyłu została *buhaba*, ujrzeni tłum niecierpliwie oczekujący przybycia nowego *botuku*. Służący za wejście do wioski drewniany łuk z dwoma świętymi drzewami po bokach tego dnia obwieszony był jeszcze większą liczbą amuletów niż zwykle. Simón puścił się dokądś biegiem, twierdząc, że musi się przebrać. José zaczął się witać ze znajomymi. Wszyscy przywdziali tradycyjne stroje: mężczyźni mieli na głowach ogromne słomiane kapelusze przybrane kurzymi piórami, kobiety zaś przyozdobiły się długimi sznurami szklanych paciorków oraz naszyjnikami i

bransoletami z muszli i gadzich szkieletów. Większość zgromadzonych wysmarowana była ntolą: do jej mocnego zapachu Kilian zdążył się już przyzwyczaić.

Bisila skorzystała z zamieszania, by szczegółowo opowiedzieć mu o wszystkim, co działo się wcześniej. Stała tak blisko, że stykali się ramionami, zadbała jednak, by w oczach postronnych wyglądało to całkiem naturalnie – jak akt grzeczności ze strony kogoś, kto wtajemnicza cudzoziemca w zawiłości miejscowej kultury, od czasu do czasu wskazując to czy tamto wyciągniętą dłonią.

– Wybór i koronacja nowego *botuku* – zaczęła – przebiega według reguł tak samo ścisłych jak te, które rządzą pochówkiem i opłakiwaniem jego poprzednika, pewne zwyczaje jednak zarzucono, choćby ten, który, jak utrzymują najstarsi mieszkańcy, nakazywał spalenie wioski zmarłego...

– Wyobrażasz sobie spalenie Santa Isabel po śmierci alkada? – zażartował Kilian.

Bisila parsknęła śmiechem i mocniej naparła na jego ramię.

– Po uzgodnieniu daty ceremonii budowana jest specjalna chata, gdzie nowy *botuku* i jego główne żony mieszkają przez tydzień...

– Ciekawe... – Kilian znów wszedł jej w słowo, obrzucając ją zachłannym spojrzeniem. – I strasznie wyczerpujące...

– ...po którego upływie – podjęła Bisila, niby nie zwracając na ten komentarz uwagi, ale uśmiechając się szeroko – nowy *botuku* zasiada pod drzewem poświęconym duszom jego poprzedników. Tam odbywają się modły do duchów, *morimó* lub *barimó*, by go błogosławiły i nie pozwoliły mu splamić honoru tych, którzy sprawowali tę funkcję przed nim. Tam też składa się w ofierze kozę, a jej krwią smaruje się jego pierś, ramiona i plecy. Następnie *botuku* musi w tradycyjnej uprząży wspiąć się na palmę po sok na wino palmowe i owoce na olej. Wreszcie na koniec prowadzimy go na plażę albo nad rzekę, gdzie obmywamy jego ciało, żeby oczyścić go z grzechów popełnionych we wcześniejszym życiu, smarujemy go ntolą, ubieramy i całą procesją wracamy do wioski, śpiewając radośnie i tańcząc *balele*, czyli nasz rytualny taniec.

Kilian zniżył głos do szeptu.

– Bardzo bym chciał być dla ciebie jednym takim *botuku*. Żebyś kąpała mnie w rzece i nacierała ntolą. Tylko ze wspięciem się na palmę mógłbym mieć kłopot, chyba że czekałabyś na mnie na górze...

Bisila przygryzła dolną wargę. Z trudem powstrzymywała się przed tym, czego pragnęła najbardziej na świecie: by ze śmiechem rzucić się Kilianowi w ramiona, pokazując wszystkim, jak bardzo jest szczęśliwa.

Ludzie zaczęli gromadzić się wokół domu *botuku*. Oni we dwoje zostali trochę z tyłu. Tłum zaszemrał, gdy *botuku* zbliżył się do głównego placu. Ze względu na dużą odległość Kilian nie był w stanie dostrzec twarzy tego niskiego człowieka o szerokich ramionach i mocnych mięśniach. Widział, że całe jego ciało obwieszane jest białymi muszlami *tybö*, w dawnych czasach służącymi Bubim za pieniądze: ojciec Simona na rękach i nogach miał wykonane z nich bransolety, u pasa zaś – gruby ich sznur ozdobiony dodatkowo ogonem małpy.

Botuku, entuzjastycznie pozdrawiany przez swoich sąsiadów, zasiadł wreszcie na skromnym kamiennym tronie. Na głowę włożono mu wtedy koronę z rogów kozła oraz

piór bażanta i papugi, a do prawej ręki wetknięto berło w postaci łodygi trzciny cukrowej z zatknietą na niej kozią czaszką i zwisającymi po bokach sznurami nanizanych na rzemienie muszli. Wszyscy, łącznie z Kilianem, wydali okrzyk radości.

Dokładnie w tym momencie Kilian poczuł, że delikatne palce Bisili zaciskają się na jego własnych, zaczął więc głaskać wewnątrz jej dłoni kciukiem, smakując w ten sposób i próbując zapamiętać każde załamanie jej skóry.

Do *botuku* zbliżył się starzec. Położył mu ręce na głowie i wyszeptał modlitwę, przypominając, że jego obowiązkiem jest działać oraz szanować duchy poprzedników. Swoją przemowę zakończył zdaniem, które Kilian – gdy Bisila przetłumaczyła je na hiszpański – kilka razy sobie powtórzył.

– Nie będziesz pił wody innej niż ta z gór lub z deszczu.

Zastanawiał się nad nim chwilę. Dla kogoś pochodzącego z Pirenejów też miało szczególne znaczenie. On, Kilian, nie znał wody czystszej niż ta z roztopionego wysoko w górach śniegu.

Bisila mocniej uściśnęła jego rękę, by potem przezornie ją puścić. Kilian z bijącym sercem usiłował na powrót skupić się na ceremonii. Wokół *botuku* ustawiło się kilku mężczyzn. Byli ubrani jak wojownicy, w dłoniach trzymali długie włócznie o spiczastych szerokich ostrzach oraz wielkie tarcze z krowiej skóry. Wszyscy mieli potężne, muskularne ciała, w większości przypadków poznaczone w różnych miejscach nacięciami, i ufarbowane czerwoną gliną włosy, czasem splecione w drobne jak u Bisili warkoczyki.

Bisila wskazała dwóch.

– Patrz!

Kilian z trudem rozpoznał Simona. Chłopak przebrał się za dawnego wojownika! Kilian po raz pierwszy widział coś takiego na żywo, albowiem rytualne walki plemienne nie odbywały się już od dawna i mężczyźni nosili podobne stroje wyłącznie przy specjalnych okazjach.

– Simón jest bardzo młody – rzuciła Bisila – ale wierny tradycjom naszego ludu.

– A ten obok to kto?

– Nie pamiętasz mojego brata? To Sóbeúpo.

– Ten dzieciak już tak wyrósł?

– Tak, Kilianie. Czas mija bardzo szybko...

Szczególnie jak jesteśmy razem, pomyśleli oboje.

Ceremonia dobiegła końca, płynnie przechodząc w ucztę, która, jak wyjaśniła Bisila, miała trwać przez tydzień, poświęcony wyłącznie jedzeniu, picciu i tańczeniu *balele*.

– Szkoda, że nie możemy zostać tu tak długo – zmartwił się Kilian.

– Więc powinniśmy wykorzystać te dni, które mamy – odrzekła Bisila.

Przez jakiś czas z ostrożności trzymali się z dala od siebie, choć i tak co chwila udawali, że rozglądają się dookoła, i szukali nawzajem swojego wzroku. Kilian zasiadł obok Josego, jego synów i innych mężczyzn, by wraz z nimi posilić się kozim mięsem z batatami i *bangásúpu*, czyli sosem z bangi, zapijając je *topé*, to jest winem palmowym, oraz koniakiem.

Roześmiany José zdołał namówić Kiliana do zdjęcia butów i wzięcia udziału w

męskim tańcu, co okazało się dla biedaka dosyć trudne, ponieważ w ogóle nie miał wyczucia rytmu. Cieszył się jednak, że tańce Bubich są przynajmniej spokojniejsze od orgiastycznych płaśów nigeryjskich robotników.

Przymknął powieki, próbując rozluźnić ciało i dać się ponieść synkopowemu rytmowi wyznaczanemu przez drewniane dzwoneczki. Nagle, pod wpływem intensywnego dreszczu, otworzył oczy i odwrócił głowę. Stojąca nieopodal Bisila wpatrywała się w niego swoimi przejrzystymi oczyma, w których odbijały się płomienie ognisk. Nie odrywając spojrzenia od tego hipnotyzującego widoku, Kilian usiłował tańczyć jak najlepiej, bez usztywniania się czy przesadnych ruchów, dokładnie tak, jak robiła to reszta mężczyzn. Jego wysiłki zostały nagrodzone uśmiechem aprobaty, który trwał na ustach Bisili do czasu, gdy taniec się skończył, a Kilian odmówił uczestnictwa w następnym. Mimo że ciało, a zwłaszcza głowa dawały mu już do zrozumienia, że niezbyt dobrze znosi duże ilości palmowego wina, przyjął od Josego ostatnią czarę i zaczął krążyć niby to bez celu, pozdrawiając znajomych, a w gruncie rzeczy, podobnie jak Bisila, szukając okazji do pobycia we dwoje choćby przez chwilę.

Przypominał sobie podobne obchody w Pasolobino: mężczyźni wspinających się na wysoki słup ustawiony z tej okazji na głównym placu, tańce w rytm przyozdobionych kolorowymi wstążkami kastanietów, melodie wygrywane przez orkiestrę, procesję ze świętym...

Znienacka uświadomił sobie, że ostatnio bardzo rzadko myśli o rodzinnym miasteczku i jego mieszkańcach. Ba, prawie nie tęsknił! Od kiedy tak było? Z pewnością od chwili, gdy jego życie zaczęło się kręcić wokół spotkań z Bisilą.

Matka nawet wypomniała mu w jednym z listów, że pisze coraz rzadziej i coraz mniej, skupiając się wyłącznie na sprawach związanych z zarządzaniem Rabaltué, a konkretnie na sposobie wydawania zarabianych przez niego i przez Jacoba pieniędzy.

Jacobo też coś w tej kwestii mruknął, może poproszony o to przez Marianę, jednakże nie drażył tematu, gdyż sam był zbyt zajęty pracą, przyjaciółkami oraz imprezowaniem, by zwracać specjalną uwagę na to, co Kilian robi w czasie wolnym. Tym bardziej że nie robił zbyt wiele. Od lat obracali się w innych kręgach. Zawarli układ: ponieważ Kilianowi nie podobali się znajomi brata, Jacobo zaś ani myślał zaprzyjaźniać się z tubylcami, po prostu każdy żył swoim życiem, nie wtrącając się w sprawy tego drugiego.

Poza tym Jacobowi nigdy by w głowie nie powstało, że Kilian mógłby się zakochać w czarnej kobiecie, albowiem zdaniem Jacoba czarne kobiety służyły do zabawy, a nie do zakochiwania się w nich. Nawet gdyby wiedział, że młodszy brat przejawia względem którejś z nich skłonność, oświadczyłby stanowczo, że to historia bez przyszłości, bo przecież obaj planowali prędzej czy później opuścić Fernando Poo. To była tylko kwestia czasu. A nigdy nie słyszał, by jakiś biały zabrał swoją czarną kochankę ze sobą do Hiszpanii.

Kilian zamknął oczy i pozwolił, by afrykańskie śpiewy, zapach jedzenia i smak palmowego wina owładnęły jego zmysłami, każąc mu zapomnieć o wszystkim, co istniało poza tą chwilą i tym miejscem.

Miał przed sobą dni ciężkiej pracy i trudnych decyzji, teraz jednak znajdował się w

Afryce, w towarzystwie ludzi, do których zdążył się głęboko przywiązać.

W towarzystwie Bisili. Niczego więcej nie potrzebował.

Było już bardzo późno, gdy skierował się w stronę chatki, którą przydzielono mu jako jedynemu białemu uczestniczącemu w uczcie, trwającej zresztą w najlepsze. Postanowił się dyskretnie ulotnić, zanim, jak to kilka razy mu się przytrafiło, alkohol zetnie go z nóg. Bisila pożegnała się ze wszystkimi pół godziny wcześniej, wyraźnie zmęczona. Po całym spędzonym z nią dniu kiepsko znosił jej nagłą nieobecność i wręcz naszała go pokusa, by ogarniające go gwałtownie poczucie samotności utopić w kolejnych porcjach *topé*. Na szczęście zdrowy rozsądek zwyciężył, podpowiadając, że trzeba zachować przytomność na wypadek, gdyby coś miało się zdarzyć – o ile, pomyślał Kilian z goryczą, istniała jakakolwiek szansa, że w tych okolicznościach zdarzy się cokolwiek poza dotychczasowym, nie całkiem satysfakcjonującym flirtem.

Wchodząc do chatki, poczuł ostry ból w prawej stopie. Zerknął w dół i zobaczył, że zaczyna obficie krwawić. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby obwiązać ranę. Na widok własnej krwi zakreśliło mu się w głowie, więc oszołomiony usiadł.

Drzwi uchyliły się i ku jego uldze pojawiła się w nich Bisila.

Aż jęknął z zachwytu.

Zdjęła europejską sukienkę i wzorem miejscowych kobiet przystroiła się muszlami i sznurami szklanych paciorków. Jej ciało lśniło od czerwonych i brązowych barwników, którymi się nasmarowała – chyba jakichś specjalnych, pomyślał Kilian, bo niewydzielających ostrego zapachu właściwego ntolii. Kolorowy materiał przylegał do idealnej sylwetki niczym druga skóra.

Bisila poczuła, że pod intensywnym spojrzeniem Kiliana ogarnia ją przyjemne ciepło, ale natychmiast dostrzegła zakrwawioną stopę i uklękła, by przyjrzeć się ranie.

– Co się stało? – spytała, delikatnie ujmując stopę w dłonie. – Jakoś ciągle przed tobą klękam – zażartowała.

Kilian się uśmiechnął.

– Wchodząc, na coś nadepnąłem. Chyba wbiłem to sobie w nogę, a później pojawiło się mnóstwo krwi.

Bisila przystąpiła do dzieła. Zmoczyła skraj spowijającego ją materiału w miseczce z wodą i ostrożnie obmyła ranę.

– Wbiłeś sobie palmowy pęd.

Zdumiony Kilian szeroko otworzył oczy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że tu w drzwiach rośnie palma?

– Myślałam, że wiesz, że w drzwiach swoich domów kładziemy muszle achatyny z dziurkami, przez które przewlekamy palmowe pędy.

– A po co to robicie, jeśli wolno spytać?

Odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad prowizorycznego opatrunku.

– Żeby chronić się przed demonami, gdy krążą w pobliżu. Bo jak tylko dotkną łąpskiem takiej muszli, uciekają.

Kilian odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

– Szatan musi mieć, waszym zdaniem, bardzo delikatną skórę, skoro sądzą, że muszle i jakieś patyczki potrafią go zatrzymać.

Bisila mocniej zacisnęła opatrunek.

– Uważaj, Kilianie. Z takich rzeczy się nie żartuje. Zresztą, zobacz: na ciebie byle patyczek wystarczył...

Kilian wstał i popatrzył jej prosto w oczy.

– Wcale się z ciebie nie wyśmiewam. W Pasolobino też są tacy, którzy wciąż wieszają u drzwi kozie nóżki i łapy drapieżnych ptaków, by odegnać od domu złośliwe duchy i czarownice. Po prostu wyobraziłem sobie diabła, który z bólu krzyczy „aj”, jak ja przed chwilą, i wydało mi się to zabawne...

Bisila w milczeniu rozpałała ogień na palenisku znajdującym się pośrodku izby. Potem ustawiła nad rozścielonymi na podłodze jelenimi skórami solidny drewniany szkielet moskitiery, którą następnie osłoniła to prowizoryczne posłanie.

Później, wbijając wzrok w Kiliana, pozwoliła opaść spowijającej ją materii, odwróciła się, położyła i wyciągnęła do niego rękę.

Kilian ruszył ku dziewczynie, nie odrywając od niej spojrzenia.

Wydała mu się dużo piękniejsza, niż sobie wyobrażał. Macierzyństwo zaokrągliło jej piersi, co białe koszule, które zwykle nosiła, skutecznie ukrywały. Serce waliło mu jak młotem. Zbliżył się do posłania i ułożył obok Bisili, lewe ramię wsuwając jej pod głowę, tak żeby mogła się przytulić.

Prawą dłonią powiódł wzdłuż jej boku, zatrzymał się na biodrze i, sunąc po brzuchu, zawrócił ku piersiom. Powtórzył to kilkakrotnie, by się upewnić, że Bisila naprawdę znajduje się w jego ramionach. Jej skóra była gładka i delikatna. Jego biała dłoń mocno odcinała się od jej czerni. Nie wiadomo dlaczego, nagle się zdenerwował. Miał doświadczenie z kobietami, lecz Bisila różniła się od innych.

Bo kiedy się uśmiechała, on zapominał o wszystkim.

Teraz wdychała jego zapach, tak jak o tym marzyła całymi latami. Pragnęła nim całą przesiąknąć. Serce biło jej inaczej niż zwykle – w radośnie niecierpliwym rytmie. Tej nocy wszakże mogli się nie spieszyć. I mogli mówić, co chcieli. Wreszcie byli sami.

Przyszłość się nie liczyła.

Mosi się nie liczył.

– W końcu jesteśmy razem: ty i ja, śnieg i kakao – wymruczał ochryple Kilian. – Nawet nie wiesz, ile razy wyobrażałem sobie tę chwilę.

Bisila uniosła głowę i popatrzyła na niego swoimi ogromnymi oczyma.

– Ja też. Dziś będziesz moim *botuku*. Moje ciało należało do innego, ale moje serce nie. Teraz ci je oddaję. W ten sposób składając ci hołd.

Kilian poczuł, że zalewa go fala wzruszenia. Ustami sięgnął do warg Bisili.

– Dziś będziesz moją królową – szepnął. – A nawet kimś więcej. Będziesz moją *wairíbo*, strażniczką mojej duszy.

Ich ciała natychmiast idealnie się dopasowały. Czekali na to od tak dawna, a przez cały ten czas musieli się zadowalać spojrzeniami, słowami, ukradkowymi pocałunkami i wiele obiecującymi pieszczotami. Teraz czuli na sobie i w sobie swoje ciepło, świeżą wilgoć drugiego oddechu w najgłębszych zakamarkach.

Choć oboje znali wcześniej inne ciała, tym razem było zupełnie inaczej.

Tym razem do gry włączyły się też dusze, doskonale świadome, że to jest właśnie to,

czego pragną.

Dużo później śpiewy na zewnątrz zaczęły przycichać. Kilian zakładał, że większość mieszkańców wioski udała się na spoczynek, by nabrać sił na kolejne dni świętowania. Bisila musiała powoli się zbierać, jeśli nie chcieli wzbudzić podejrzeń.

Kilian opierał się o jej brzuch, głowę trzymając między jej piersiami. Bisila rytmicznie i delikatnie głaskała go po włosach, niekiedy nachylając się i całując go w czoło. Czuł się jak pan świata, zarazem jednak cały czas się dręczył.

– To niesprawiedliwe, że musimy się ukrywać – mruknął. – Nie wiem, czy dam radę teraz udawać.

– Teraz będziemy musieli udawać jeszcze staranniej – odrzekła Bisila, prostując się. – Bo od tej pory jestem cudzołożnicą.

To słowo spadło na nich jak tona kakao. Bisila należała do Mosiego. I nic się na to nie dało poradzić. Co więcej, gdyby ktoś ich nakrył i oskarżył, zostałyaby surowo ukarana. Liczyli się z tym ryzykiem, tyle że właściwie ryzykowała jedynie ona.

– W tej kwestii nasze kraje specjalnie się nie różnią – przyznał Kilian. – Mężczyźnie wolno mieć bez żadnych konsekwencji wiele kobiet, ale przyłapaną na niewierności kobieta może się spodziewać prawdziwego piekła, dosłownie i w przenośni.

– Gdy byłam małą, straszono nas, że cudzołożnice wieszają się na drzewach, z kamieniami u stóp, że ucina się im ręce albo nawet grzebie się je żywcem, z głową na zewnątrz, żeby powoli zjadły je robaki. – Kilian aż się wzdrygnął. – Jednakże nasza tradycja, w odróżnieniu od tradycji innych plemion, przewiduje, że jeśli kobieta owdowieje i wypełni swoje żałobne obowiązki, może mieć tylu mężczyzn, ilu zechce, choć za żadnego nie wolno jej wyjść za mąż.

Kilian nie potrafił powściągnąć uśmiechu.

– Ja tam bym się tobą z nikim nie dzielił.

Bisila zsunęła dłonie na jego pierś, zatrzymując je na wysokości serca.

– Będziemy bardzo uważać – szepnęła. – Dochowamy sekretu. Na więcej nie ma co liczyć. Ale ja i o tym nie śmiałam marzyć.

Kilian podniósł jej ręce do ust.

– A ja nadal marzę o czymś więcej, moja słodka *wairíbo*, moja strażniczko.

Bisila jęknęła. Noc zdążyła pochłonąć wszystkie dźwięki. W wiosce panował całkowity spokój. Należało już iść. Bisila delikatnie się odsunęła i sięgnęła po kolorową tkaninę. Uklękła i owinęła się nią. Kilian przewrócił się na bok i podparł głowę zgiętą w łokciu ręką. Nie odrywał od ukochanej spojrzenia, gładząc ją po udach. Ona przytrzymała jego dłonie, raz jeszcze pochyliła się, by go pocałować, i wstała. Zanim wyszła, obejrzała się jeszcze i rzuciła:

– Cokolwiek się zdarzy, Kilianie, ja nigdy nie zapomnę tej nocy. – Chłodniejszy powiew wdarł się do wnętrza, niosąc słowa, które, jak zdawało się Kilianowi, wypowiedziała już na dworze: – Zawsze będę przy tobie.

Wiele tygodni później Bisila ostrożnie zamknęła za sobą drzwi pokoju Kiliana, upewniła się, że sukienkę ma dobrze zapiętą, i ruszyła wzdłuż galerii, pogrążona w myślach o ostatniej schadzce. Skręciła w lewo, ku schodom, i nagle zastygła. Czy naprawdę dobiegł ją jakiś głos?

Cofnęła się o kilka kroków, przywarła do ściany i nasłuchiwała.

Nic. Musiała sobie coś wyobrazić. Położenie księżycy wskazywało, że jest później niż zazwyczaj. O tej porze w środku tygodnia wszyscy spali. Ruszyła w dół po schodach, opierając się o balustradę, by przenieść na nią część swojego ciężaru i w ten sposób osłabić odgłos kroków. Zupełnie jakby mogło to w czymś pomóc, pomyślała, przy ewentualnym spotkaniu. Z nerwów serce zabiło jej mocniej. Wiedziała, że to ryzykowne, odwiedzać Kiliana w jego pokoju, ale w sumie co innego im pozostawało?

Od czasu wyprawy do Bissappoo wciąż się potajemnie widywali. Kilian wpadał do szpitala pod byle pretekstem – żeby odebrać leki, zmierzyć sobie ciśnienie albo odwiedzić chorego robotnika – akurat w porze, gdy ona kończyła pracę. Kochali się pospiesznie, prawie nie rozmawiając, w składziku ze starymi łóżkami, do którego nikt nie zaglądał i który stał się dla nich niewygodnym miłosnym gniazdkiem.

Czasami, korzystając z nocnej zmiany, Bisila pod osłoną ciemności zakradała się do pokoju Kiliana. Właśnie dlatego, częściej niż poprzednio, zgłaszała się do pracy nocami, co Mosi znosił spokojnie, bo więcej wtedy zarabiała. Przy takich okazjach mogli z Kilianem wygodnie się położyć i choć musieli szeptać, mniej bali się przyłapania.

Dotarła do końca schodów, przeszła pod białymi kolumnami u drzwi wejściowych i ruszyła wzdłuż ściany budynku, rozglądając się na boki, by sprawdzić, czy dziedziniec jest pusty. Nikogo nie dostrzegła. Nagle otworzyły się jakieś drzwi, uderzając ją z taką siłą, że aż się zachwiała. Krzyknęła i uniosła dłonie do twarzy.

– Na miłość boską! Skąd się tu wzięłaś o tej porze, dziewczyno? – Lorenzo Garuz domyślał się odpowiedzi. Niezbyt mu się podobało, że jego pracownicy sprowadzają sobie czarne przyjaciółki do pokoi, ale po wielu latach spędzonych w tropikach wiedział już, że najlepiej na ten temat po prostu nie rozmawiać.

– Bisila! – José podszedł do córki i obejrzał jej twarz. – Co ci się stało? To moja córka – wyjaśnił. – Pracuje jako pielęgniarka u don Manuela.

Zarządca przymrużył powieki, przypatrując się jej z uwagą.

– A co tu robisz w środku nocy?

Bisila przełknęła ślinę, zastanawiając się nad jakąś prawdopodobną wymówką. O tej porze, oczywiście, nie mogła twierdzić, że szukała ojca. Z budynku wyszli dwaj kolejni mężczyźni. Rozpoznała Jacoba i Matea. José spoglądał na nią teraz już nie z troską, a z ciekawością. Podobnie jak pozostali. Nogi zaczęły jej drżeć. Odetchnęła głęboko i z całym spokojem, do jakiego była w tym momencie zdolna, odparła:

– Przekazano mi, że Simón źle się czuje, i to tak bardzo, że nie jest w stanie dojść do szpitala. – Umilkła, ciesząc się, że księżyc zakrywała jakaś chmura, przez co ciemności panowały prawie nieprzeniknione. Dzięki temu nie musiała się obawiać, że zdradzą ją oczy.

– Simón? – zdziwił się Jacobo. – Widziałem go przed kolacją. Był w doskonałej formie!

– Strasznie wymiotował. Coś mu pewnie zaszkodziło. Ale do jutra poczuje się lepiej. Takie niestrawności szybko przechodzą. Teraz, jeśli mogę, wrócę do pracy. – Bisila spojrzała na ojca z przymilnym uśmiechem. – Dobranoc, tato.

Chmura odsłoniła księżyc, który wyraźnie oświetlił całą scenę. Garuz i Mateo

zdumiali się nadzwyczajną urodą córki Josego; Jacobo przypomniał sobie, że to ona zszyla mu kiedyś rękę, José natomiast zmarszczył brwi. Czy mu się tylko zdawało, czy jego córka ostatnio dziwnie promieniała? Nawet po narodzinach Inika nie widywał jej tak zadowolonej, tak szczęśliwej...

Bisila z ulgą oddaliła się w kierunku szpitala. Mało brakowało... Przez kilka strasznych chwil bała się, że Simón pojawi się w drzwiach w ślad za Jacobem i Mateem, ale na jej szczęście tak się nie stało. Zamierzała złapać go wczesnym rankiem, po skończeniu zmiany, i poprosić, żeby w razie czego skłamał. Zrobiłby i więcej, żeby jej pomóc. Przyjaźnili się od dzieciństwa i bardzo nawzajem cenili. Odetchnęła głęboko i znów pogrążyła się we wspomnieniach ostatniego spotkania z Kilianem.

José tymczasem, chociaż nic nie powiedział, wciąż się zastanawiał nad niedawnym zajściem. Czy Bisila naprawdę odwiedzała chorych bez swojej walizeczki z przyborami medycznymi?

Następnego dnia rano to właśnie on pierwszy spotkał Simona, zanim Bisila zdążyła opuścić szpital.

– Jak twój żołądek? – spytał od razu.

– Mój żołądek? – zdumiał się Simón.

José sapnął.

– Jeśli ktoś jeszcze cię o to spyta, odpowiedz, że niestrawność z poprzedniego wieczoru całkowicie ci przeszła dzięki pomocy Bisili, dobrze?

– A mogę wiedzieć, dlaczego mam kłamać? Wiesz, że dla ciebie i Bisili zrobiłbym wszystko, ale jestem ciekawy...

José wzniosł oczy ku niebu. Co te duchy wyprawiały? Powariowały czy jak? I tak się przecież martwił o przyszłość swojej rodziny... A teraz w dodatku to... Czyż nie oddawał im czci jak należy? Wszystko straszliwie się komplikowało.

– Nic więcej ci nie powiem – mruknął zgaszonym głosem.

Zdecydowanie wystarczyło, że jedna osoba podejrzewa, co się dzieje.

– Myślę, że José o nas wie.

Kilian dopalił papierosa i zgasił go w znajdującej się na stoliku popielniczce. Bisila leżała z głową na jego ramieniu. Teraz podniosła wzrok i bez cienia przestraszenia rzuciła:

– Coś ci mówił?

– Nie, to raczej... – Kilian się zawahał – ...jego milczenie wydało mi się podejrzane. Widujemy się i rozmawiamy rzadziej niż poprzednio, ale ani mnie o nic nie pytał, ani mi niczego nie wyrzucał.

Bisila pogłaskała go po piersi.

– I to cię niepokoi?

Kilian przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Bardzo bym się zmartwił, gdyby twój ojciec uznał, że go obraziłem. – Przygładził włosy i spojrzał w sufit. – A ty? Nie martwisz się?

– Sądzę, że tata w innych okolicznościach bardzo by się cieszył, mając cię za zięcia.

– Może powinienem wyprawić się z chłopakami do miasta, czy ja wiem, zajrzeć z Mateem i Marcialem do kasyna... Skoro twój ojciec wie, inni też mogą się dowiedzieć, a to dla ciebie niebezpieczne.

– Tata nigdy by nas nie wydał! – zaprotestowała Bisila.

– Ale jest jeszcze Simón – przerwał jej Kilian. – Czy możemy mu ufać? Nie dalej jak wczoraj spytał mnie opryskliwie, jaka właściwie część ciała mnie boli, że znowu wybieram się do szpitala.

Bisila parsknęła śmiechem.

– I co mu powiedziałaś? Że co cię boli?

Usiadła na nim okrakiem, pochyliła się i zaczęła delikatnie wodzić ustami po jego twarzy, po oczach, powiekach, nosie, uszach, ustach i podbródku, jednocześnie wymieniając ich nazwy w języku bubi:

– *Dyokò, mö papú, mö lümbo, lö tó, möë’ë, annö, mbëlü?*

Kilian zadrżał.

– Nie, nie to – odparł przekornie, przewracając się na bok, tak, że Bisila musiała położyć się za nim.

Dotykała go coraz niżej, muskając po plecach, w pasie, po pośladkach i nogach.

– *Attá, atté, matá, möësò?*

Kilian odwrócił się na plecy, objął ją i przyciągnął do siebie.

– Nie, kochana – szepnął. – Powiedziałem, że boli mnie tutaj. – Uniósł dłoń do serca. – *Ë akán’völa*. W piersi.

Bisila posłała mu promienny uśmiech.

– Dobrze powiedziałaś. Robisz postępy!

Kilian odwzajemnił się jej uśmiechem i obrzucił ją gorącym spojrzeniem.

– Teraz moja kolej – oświadczył, siadając nad nią. – Nie chcę, żebyś zapomniała te kilka pasolobińskich wyrazów, których cię nauczyłem. – Dotknął wargami jej twarzy. – *Istos son els míos güells, els míos parpiellos, el mío naso, els míos llabios, la mía boca, el mío mentón...* – Przesunął się i zaczął pieścić jej plecy, talię, pośladki i nogi. – *La mía esquena, la mía cintura, el mío cul, las mías camas...* – Położył dłoń na jej piersi. – *Iste ye el mío pit*.

Bisila ujęła jego rękę.

– Jakie dziwne połączenie! – rzuciła w zadumie. – Bubi i pasolobiński.

Kilian ugryzł ją w ucho.

– I co w tym połączeniu złego? – szepnął, sięgając ku jej biodrom i między jej uda.

Bisila przywarła do niego z całej siły. Czuł jej gorąco.

Jej gorąco podniecało go momentalnie. Jej wilgoć zapraszała go do środka.

– *Wë móná mö vé* – wymruczała Bisila, kładąc się na plecach. – Zdaje się, że w twoim języku to będzie coś w rodzaju: „*Yes... un... bordegot... borche!*”.

Wymawiała słowa wyraźnie, by mieć pewność, że Kilian zrozumie. Kilian, zaskoczony, na chwilę zamarł. Uczyła się dużo szybciej niż on.

– Ty to powiedziałaś – szepnął. – Niegrzeczny ze mnie chłopiec. Ale mogę być jeszcze dużo bardziej niegrzeczny...

I znów się kochali.

Nieco później, gdy wciąż przytuleni oboje odzyskali oddech, Kilian westchnął i rzekł:

– Chciałbym, żebyśmy nie musieli się ukrywać...

Bisila uśmiechnęła się nieśmiało, a po kilku sekundach spytała:

– Kilian...? Czy w innych okolicznościach wziąłbyś mnie za żonę?

Zdecydowanie uniósł ku sobie jej głowę i z powagą popatrzył jej w oczy. Jego głos brzmiał twardo.

– Marzę tylko o tym, żeby móc z tobą spacerować w świetle dnia, chodzić na tańce w Santa Isabel i mieszkać w naszym wspólnym domu, czekając na dzień, w którym małżeństwa między Hiszpanami a Gwinejkami staną się legalne...

Bisila zamrugnęła, przełknęła ślinę i odważyła się zapytać:

– I nie przeszkadzałyby ci komentarze?

– Opinia tutejszych białych, jeśli to masz na myśli, niewiele mnie obchodzi, i dotyczy to również opinii mojego brata, który zresztą miał więcej czarnych kochanek niż ktokolwiek... A co do reszty mojej rodziny, to oni są tak daleko, że ich komentarze tu nie docierają. – Mocno ścisnął ją w ramionach. – Należymy do różnych światów, Bisilo, ale wierz mi, że gdybyś nie była mężatką, wszystko wyglądałoby inaczej. Nie moja wina, że prawa i zwyczaje są takie, jakie są. – Umilkł na moment. – A tobie nie przeszkadzałoby to, co powiedzieliby twoi krewni?

Bisila wyswobodziła się z jego uścisku, usiadła, pozwalając, żeby Kilian oparł głowę na jej kolanach, i pogłaskała go po włosach, mówiąc:

– Mnie byłoby łatwiej. Ja jestem u siebie. Nie przestałabym widywać bliskich. Żyłabym z tobą w dobrze sobie znanym miejscu. A mój ojciec z przyjemnością udzieliłby mi zgody na małżeństwo z miłości, z mężczyzną, którego tak ceni. – Powiodła swoimi niewielkimi dłońmi po policzkach Kiliana, który słuchał jej z zamkniętymi oczami, bardzo uważnie. – Moja sytuacja wydaje się skomplikowana ze względu na małżeństwo, ale gdyby nie ono, Kilianie, twoja wyglądałaby znacznie gorzej. Ty musiałbyś wybrać między dwoma światami, a każda decyzja wymagałaby od ciebie wyrzeczeń.

Kilian aż zaniemówił.

Bisila zawsze potrafiła domyślić się rzeczy, które on starannie ukrywał nawet przed samym sobą. To, że chciał żyć z nią i dla niej, nie oznaczało, że nici łączące go z Rabaltué zostały zerwane. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest całkiem wolny i że przeszłość krępuje go tak samo, jak kiedyś Antona i wielu innych. Dlatego ojciec na łożu śmierci wymógł na nim obietnicę, że on, Kilian, zajmie się rodzinnym domem oraz wszystkim, co się z nim wiązało i stanowiło dziedziczny z pokolenia na pokolenie balast, który ciążył, lecz nie był wcale łatwy do zrzucenia.

Jacobo miał to szczęście, że niczym się nie przejmował. Pracował i wysyłał matce pieniądze, owszem, ale świetnie wiedział, że jego związek z Gwineą jest czysto interesowny i że prędzej czy później ulegnie zerwaniu, bo on, Jacobo, po prostu wróci do siebie, do Hiszpanii. W ogóle nie brał pod uwagę możliwości zamieszkania gdzieś indziej.

Tymczasem dla niego, Kiliana, Rabaltué oznaczało obowiązek moralny, ograniczający jego wolność wyboru miejsca do życia i wywołujący strach, że kiedyś jednak trzeba będzie wrócić.

I Bisila to rozumiała. Znała go lepiej niż ktokolwiek. Wiedziała, że nici łączące go z tamtym światem są mocniejsze niż łańcuchy; że czasem mogą się poluzować, ale któregoś dnia znowu się napną i zaczną uwierać. Może nie z jego, Kiliana, woli. Może ze

względu na okoliczności. A może z woli duchów. Właśnie dlatego nigdy go o nic nie prosiła ani niczego mu nie wyrzucała, w pełni świadoma miejsca, które zajmowali w świecie.

Kilian tak samo jak ona bał się dnia, w którym biali mogliby zostać zmuszeni do opuszczenia wyspy. Całymi miesiącami oboje starali się żyć miłością, ignorując to, co działo się dookoła, szczególnie zmiany zachodzące w związku z narastaniem tendencji niepodległościowych, o których nigdy z sobą nie rozmawiali, rozumiejąc, że wyzwolenie Gwinei będzie oznaczać koniec ich romansu. A przecież prawie nikt na wyspie nie mówił o niczym poza polityką i trudno było zamykać uszy na uporczywe, jeszcze ciche, lecz coraz donośniejsze głosy, które szeptały: „Wyrzucimy stąd białych. Wygonimy wszystkich, co do jednego...”.

Może tak chciały duchy. Może ścieżki ich dwojga miały się przeciąć, by później znów się rozdzielić. Jednakże w głębi duszy każde z nich pragnęło, by właśnie duchy wpłynęły na bieg historii, by zatrzymały czas. By nic się nie stało, nic się nie zmieniło, by nie trzeba było podejmować żadnych decyzji.

Kilian ujął dłonie Bisili i je pocałował.

– Jak się w waszym języku mówi „ładna kobieta”?

– *Muarána muèmuè* – odparła z uśmiechem.

– *Muarána... muèmuè* – powtórzył cicho. – Obiecuję, że nie zapomnę.

Jacobo ujął dziewięciomilimetrowy pistolet Star, wyciągnął przed siebie ramiona, przymrużył oczy i strzelił. Kula przecięła powietrze i utkwiała w planszy bardzo blisko środka.

– Jeszcze kilka tygodni i mi dorównasz – rzucił Gregorio, ocierając pot chusteczką. – Kto następny?

Pozostali zamachali odmownie dłońmi. Gregorio wzruszył ramionami, przygotował broń, zajął pozycję i wystrzelił. Kula trafiła w sam środek. Gregorio z zadowoloną miną zabezpieczył pistolet, schował go do kabury przy pasku i usiadł wraz z innymi.

Popołudniowe słońce wciąż prażyło nad Klubem Strzeleckim, który znajdował się poniżej obrośniętego palmami deptaku na pokrytym zielenią Cyplu Fernandy. Hiszpanie z Sampaki raczyli się piwem. Od dawna nie spotykali się w tak dużym gronie. Z takich lub innych przyczyn zawsze któregoś brakowało. Tym razem jednak Mateo zaprosił wszystkich, aby, jak w dawnych czasach, uczyć z nimi swoje urodziny przed czekającą go potem kolacją u rodziców narzeczonej. Jacobo zaproponował Klub Strzelecki, w którym ostatnio bywał dosyć często. Jeśli już człowiek przyzwyczał się do huków wystrzałów, miał stąd piękny widok na morze i poza tym całkiem blisko do placu España, gdzie planowały się później zjawić Ascensión, Mercedes i Julia.

– Czyżby nowa mania? Na punkcie pistoletu? – zagadnął Kilian Jacoba. – Na kozice wciąż się poluje ze strzelbą, prawda?

– Na jakie znowu kozice? – wykrzyknął z przesadnym zdumieniem Marcial. – Przecież Jacobo zapowiadał nam się na wytrawnego łowcę słoni!

Wszyscy się roześmiali. Każdy, oczywiście, słyszał o jego przygodach w Kamerunie. Jacobo powtarzał tę historię tyle razy, że można było odnieść wrażenie, iż chodziło nie o jednego, lecz o dziesiątki słoni.

– Dick poradził mnie i Paowi, żebyśmy na wszelki wypadek ćwiczyli się w strzelaniu.

– Aż tak się boi? – spytał Kilian. Oczywiście wyobraźni ujrzał pokrytą plamami od słońca twarz Anglika i jego nieufne, wręcz wrogie błękitne spojrzenie. – Sądziłem, że twój kolega nie boi się nikogo ani niczego. Ten drugi, Portugalczyk, już bardziej wygląda na tchórza. No, ale żeby Dick...

– Gdybyś był wobec nich przyjemniejszy, odpłaciliby ci się tym samym – zirytował się Jacobo.

Kilian uniósł ręce na znak zawieszenia broni.

– Wy też powinniście poćwiczyć – wtrącił Gregorio, wskazując na pozostałych butelką. – W takich czasach jak te należy być przygotowanym...

– Ja tam w razie czego po prostu się stąd zmywam – stwierdził Marcial.

– Ja też. – Mateo pociągnął solidny łyk piwa. – Zresztą, nie wydaje mi się, żebyśmy musieli się zwijać w takim pośpiechu jak ostatnio nasz żółtodziób...

Znów rozległy się śmiechy. Młody podwładny Jacoba nie wytrzymał na plantacji ani jednego sezonu. Pewnego wieczoru u Anity Guau jacyś miejscowi przyczepili się do niego z powodu koloru skóry i choć ostatecznie, dzięki pomocy białych kolegów, nic mu się nie stało, zaraz następnego poranka zwolnił się i wyjechał, nie słuchając żadnych argumentów. Garuz się wściekł, bo nie lubił tracić wyszkolonych już pracowników, a Jacobo miał od tamtej pory dwa razy więcej obowiązków, albowiem coraz trudniej było znaleźć Hiszpana chętnego do zatrudnienia się na Fernando Poo.

– Wy możecie sobie jechać w dowolnym momencie – odezwał się Manuel. – Żał mi natomiast ludzi takich jak moi teściowie, którzy prowadzą tu biznes. W razie czego przecież by go stracili.

– Ale o czym wy mówicie? – Kilian nie chciał nawet o tym słuchać. – Kakao rośnie jak dawniej. Nic się nie zmienia.

– Na jakim ty świecie żyjesz? – zgromił go brat. – Nie słyszałeś, jak minister mówił, że to epoka wielkich przemian?

Kilian się skrzywił.

– Kto by pomyślał, co? – odezwał się do niego Gregorio, przekrzywiając głowę i spoglądając spod przymrużonych powiek. – Ostatecznie to ty najlepiej się tu zaaklimatyzowałeś. Ciekawe dlaczego... Chyba że Sade ma rację. Wiesz, co o tobie opowiada, prawda?

Kilian zeszytniał. Zaczynał żałować, że nie chcąc wzbudzać podejrzeń, postanowił poudzielać się towarzysko. Chwile spędzane w kasynie z Mateem i Marcialem były nawet dosyć przyjemne, natomiast Gregoria nadal nie cierpiał na szczęście widywał go rzadko.

– A co takiego opowiada? – spytał Jacobo. – Dlaczego o wszystkim zawsze dowiaduję się ostatni?

– Może dlatego, że częściej spotykasz się z Paem i Dickiem niż z nami. – Marcial usiłował zatuszować prawdziwe powody, dla których razem z Mateem ukrywali przed starszym z braci plotki dotyczące młodszego. – Czyżby w Bacie mieli lepsze kluby niż my tutaj?

Jacobo spojrział na Gregoria.

– A więc?

– No, opowiada, że twój brat zostawił ją dla innej, i to akurat teraz... – rzucił Gregorio, a gdy na twarzy Jacoba odmalowało się zdumienie, podjął: – Sade urodziła jego syna. To znaczy tak twierdzi – dodał pospiesznie. – Ale że dzieciak jest Mulatem, to fakt.

Jacobo w zdumieniu otworzył usta. Zapadła długa cisza.

– Ja nie... Jak to? – Zmarszczył brwi. – Kilianie? – Młodszy brat milczał. – Chwileczkę. – Jacobo popatrzył po zebranych. – Wy wiedzieliście? Manuelu?

– Nigdy w to nie wierzyłem, Jacobo – odparł doktor. – Gregorio, czy nie jest prawdą, że Kilian przestał się widywać z Sade długo przed tym, jak ona zadała się z tobą?

Jacobo odetchnął z ulgą. Czym innym było cieszyć się towarzystwem „przyjaciółek”, czym innym zaś – pozwolić im, by skomplikowały ci życie, zwłaszcza za sprawą dziecka, które zawsze stanowiło najlepszy sposób na wyciągnięcie od białego mężczyzny pieniędzy.

– A zatem, Gregorio, niewykluczone, że to akurat tobie powinniśmy gratulować świeżego ojcostwa – zauważył spokojnie Kilian. – Zdaje się, że zawsze krytykowałeś właścicieli i zarządców plantacji za sypianie z kim popadnie i płodzenie Mulaciątek. I popatrz, teraz sam dołączyłeś do tego grona.

– Nie ja jeden z nią spałem.

– Tak, ale założę się o dowolną sumę, że jak zwykle to ty trafiłeś w środek tarczy.

Gregorio rzucił mu groźne spojrzenie.

– Nie podoba mi się, że ona próbuje zniesławić mojego brata – przerwał im Jacobo. – Mam nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy zwrócić się do władz.

– A gdyby nawet? – Gregorio zapalił papierosa. – Kto jej uwierzy?

– To się dobrze składa, prawda, Gregorio? – Kilian wstał. Jak na jeden dzień wystarczająco się już naudzielał towarzysko. Na szczęście za kilka godzin miał się zobaczyć z Bisilą. – Dobra, ja idę.

Mateo poklepał go po ramieniu.

– Coraz bardziej przypominasz ojca! Z pracy do domu i z domu do pracy.

Kilian nie odpowiedział. Przez przypadek napotkał spojrzeniem wzrok Manuela, który szybko spuścił głowę. Znał Kiliana wystarczająco dobrze, by wierzyć, że nie kłamie w sprawie dziecka Sade, niemniej domyślał się też przyczyny jego częstych odwiedzin w szpitalu. Nie był ślepy. Kilianem zawsze zajmowała się ta sama pielęgniarka.

– Wiecie, co mówi Julia? – rzucił jakiś czas po odejściu kolegi. – Że gdybyśmy zajrzeli do miejskiej ochronki, spalilibyśmy się ze wstydu.

Sade przyspieszyła kroku, zmierzając pylistą drogą w stronę domu pomocy dla samotnych czarnych matek, gdzie trzy miesiące wcześniej urodziła syna. Funkcjonujący w Santa Isabel zakład mieścił się w jednoskrzydłowym dwupiętrowym budynku przylegającym do wieżyczki o czterospadowym dachu oraz jeszcze jednej budowli z zewnętrzną galerią na piętrze i podcieniami wiodącymi do głównych sal. Dotarłszy do schodów wejściowych, Sade przystanęła. Podniosła wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu i głęboko odetchnęła. Dokoła panowała zupełna cisza. Przyroda korzystała z ostatnich

chwil spokoju przed świtem.

Dziecko spokojnie spało w jej ramionach. Otuliła małe ciało cienką białą szmatką, pogłaskała synka po policzku, schyliła się i położyła go przed drzwiami. Przez chwilę mu się przyglądała, a potem odwróciła się i odeszła.

Gdy znalazła się w domu, położonym nieopodal klubu, zaparzyła sobie *crontití* i usiadła przy oknie w pokoiku służącym jej za salon. Po raz kolejny powtórzyła w myślach, że dobrze zrobiła, pozbywając się dziecka. Gdzieś w głębi serca czuła jednak lekkie wyrzuty sumienia. Westchnęła. Ani skargi składane przed różnymi instancjami lokalnej administracji, ani próby interweniowania u zarządcy Sampaki nie przyniosły rezultatu. Jedyne, co uzyskała, to otwarcie dyskretnego i pobieżnego śledztwa, które za sprawą zdecydowanych zeznań przyjaciół Kiliana zakończyło się wnioskiem, że brak jakichkolwiek dowodów na to, by Kilian mógł być ojcem chłopca. Ba, uprzedzono ją, że jeśli będzie się upierać, zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za zniesławienie. Kiedy, w którym momencie duma kazała jej uwierzyć, że teraz, gdy jest obywatelką Hiszpanii, potrafi Kiliana do czegokolwiek zmusić? Czyż nie tak to działało w Hiszpanii? W czasie ciąży fantazjowała nawet o tym, że on proponuje jej wspólne życie, by razem z nią wychowywać to dziecko, które właśnie opuściła.

Po zamknięciu śledztwa nie było już sensu zwracać się do prawdziwego ojca. Wszystko ułożyło się źle. Straciła Kiliana i sprowadziła na świat istotę, którą nawet ona, jej matka, nie chciała się zająć.

Szybko otarła z policzka zdradziecką łzę. Nie zamierzała pozwolić, by uczucia znowu skłoniły ją do nierozsądnych zachowań, choć przecież właśnie dzięki temu, że z rozmysłem zaszła w ciążę, otworzyły się przed nią obiecujące perspektywy. Tak. Miała wiele do przemyślenia.

W ostatnich miesiącach Anita, sama w podeszłym już wieku, zgodziła się na jej pomoc w zarządzaniu klubem. Z czasem zdała sobie sprawę z jej zręczności w przyciąganiu klientów, opiece nad nowymi dziewczętami i dobieraniu muzycznego repertuaru w ten sposób, że mężczyźni, jeśli raz trafili do ich lokalu – który zresztą wyremontowała – wcale nie chcieli go opuszczać. Anita pragnęła dożyć swych lat w spokoju, na który nie pozwalały jej noce spędzane w klubie, i w Sade odkryła idealną następczynię.

Sade z kolei potrafiła sobie wyobrazić przyszłość w tym biznesie, pod warunkiem pozbycia się jedynej przeszkody, jaka stała między nią a jej ambicjami. Całą energię zamierzała poświęcić prowadzeniu interesu, a może nawet – czemu nie? – rozwijaniu go. W sierocińcu, mówiła sobie, na pewno dobrze się dziećmi opiekują i zapewniają im edukację, jakiej ona sama nie byłaby w stanie synowi w najbliższych latach dać. Wystarczyło porównać maluchy, które rosły właściwie bez opieki innych zatrudnionych w klubie matek, z tymi wychowywanymi w hiszpańskiej ochronce. Zresztą, gdyby wszystko się udało, za jakiś czas mogłaby syna nawet odzyskać... Wcale nie była złą matką, pocieszała się wytrwale. Po prostu miała złe życie.

Od niej i tylko od niej zależało, czy to się wkrótce zmieni.

– Dlaczego nie możesz wyświadczyć mi tej drobnej przysługi?

Generosa nie zamierzała ulec prośbom córki.

– Nie rozumiem, skąd to twoje zainteresowanie. Co cię obchodzi ta kobieta?

– Oba powiedziały, że jej przyjaciółka, jak tylko będzie mogła, zajrzy do sierocińca. Ten chłopiec musi już mieć ponad rok. A ja bym chciała tylko wiedzieć, jakie mu nadali imię. Nigdy nie wiadomo: może za jakiś czas jego ojciec się nim jednak zainteresuje...

– Takie to było nieprzyjemne, że najlepiej o wszystkim zapomnieć. – Generosa gestem powstrzymała protesty Julii. – Poza tym to nie twoja sprawa.

Ismael wspiął się na paluszki, chcąc sięgnąć po jedną z figurek ustawionej na półce bożonarodzeniowej szopki, zachwiał się, upadł do tyłu i wybuchnął płaczem. Jego krzyki mieszały się z innymi, dochodzącymi z ulicy. Generosa wzięła wnuka na ręce i wyrzuciła przez okno.

– No i znowu.

– Co się stało? – spytała Julia.

– Twój ojciec kłóci się z Gustavem.

– Już do nich idę.

Na dole spotkała Obę, która, też zaniepokojona, stała przed sklepem.

– Co tu się dzieje?

Oba wskazała na grupkę mężczyzn, wśród których znajdowali się Gustavo i jego brat Dimas.

– Przyszli po alkohol na Boże Narodzenie, a pani ojciec nie chciał im nic sprzedać. Bo nie mają pozwolenia. Więc się zdenerwowali i powiedzieli, że teraz mogą już kupować to samo co biali, a don Emilio powiedział, że tak, ale to nie dotyczy alkoholu, bo do świąt zostało jeszcze kilka dni i jak się wcześniej popiją, to nie stawiają się do pracy. I wyrzucił ich ze sklepu, a oni poszli po Gustava, jako radnego, i teraz się kłócą.

Jakiś tuzin mężczyzn otaczał owładniętego furją Emilia, który krzyczał:

– Jesteśmy równi, jeśli to wam na rękę, co? Ale skoro jesteśmy równi, to czemu ja nie mogę głosować? Mam takie samo prawo jak wy! Zresztą co ja mówię! Nie takie samo! Większe niż wielu z was! Mieszkam tu dłużej niż niejeden, co przyjeżdża na wyspę nie wiadomo skąd i utrzymuje, że to jego ziemia! A teraz nagle głosować mogą wyłącznie Gwinejczycy z hiszpańskim obywatelstwem... Żeby się tego obywatelstwa pozbyć! Wszyscy powariowaliśmy!

Julia domyśliła się od razu, że kłótnia dotyczy już teraz nie kwestii alkoholu, lecz planowanego referendum na temat autonomii Gwinei. Faktycznie wszystko działo się bardzo szybko. Zgodnie z przewidywaniami w ciągu mniej niż sześciu lat dawna kolonia z prowincji hiszpańskiej miała się zamienić w prowincję zarządzaną autonomicznie, a następnie w niepodległe państwo. Organizacja Narodów Zjednoczonych zażądała przyznania niepodległości krajom wcześniej skolonizowanym i Hiszpanii nie pozostało nic innego, niż to uczynić. Julia potrząsnęła głową. Nawet jej, mieszkającej na wyspie od lat, sytuacja wydawała się niejasna. Jeszcze niedawno władze kolonialne wyłapywały działaczy niepodległościowych w rodzaju Gustava, ośmielających się głosić antyhiszpańskie hasła, by osadzać ich w Black Beach, a teraz nagle wyzwolenie stało się sprawą przesadzoną. Kto to potrafił zrozumieć?

Poza tym, choć przejście do niepodległości teoretycznie stanowiło powód do satysfakcji dla Gwinejczyków, sam przebieg tego procesu wzbudzał wśród nich liczne

kontrowersje, co jeszcze bardziej komplikowało sytuację, wywołując niepewność i niezadowolenie u miejscowych tak samo jak u Hiszpanów. Coraz częściej słyszało się prowadzone podniesionym głosem dyskusje. Po jednej stronie sytuowali się zwolennicy stopniowego uniezależniania się, świadomi, że po tylu latach rządów kolonialnych więzy z metropolią są bardzo silne i wielorakie. W związku z tym optowali za sterowaną z Hiszpanii autonomią jako etapem pośrednim na drodze do pełnej niepodległości. Po drugiej stronie byli znacznie liczniejsi radykałowie, większość z plemienia Fang, mieszkającego głównie na kontynencie, którzy domagali się niepodległości natychmiastowej i jednoczesnej dla wyspy i części kontynentalnej. Ci drudzy krytykowali tych pierwszych za podporządkowywanie się interesom hiszpańskim, a ci pierwsi tych drugich – za pochopność działań mimo braku gotowości do przejęcia władzy. Na dodatek wielu Bubich, którzy tak jak Gustavo marzyli o odrębności Fernando Poo, wciąż walczyło o swoją sprawę. Przedstawiciele wyspy skarżyli się na to, że budżet obu prowincji nie odzwierciedla ich rzeczywistego wkładu finansowego. Nie dało się zaprzeczyć, że większość dochodu wypracowywano na wyspie, jednakże inwestowano przede wszystkim w Río Muni.

Byli też wreszcie i tacy, którzy – raczej milcząco – przyznawali rację białym w rodzaju Emilia, wciąż mającym odwagę głosić, że Gwinei bardziej służyłoby pozostanie pod rządami Hiszpanii. Julia nie wątpiła, że taki na przykład Dimas, który z wielkim trudem stworzył sobie wreszcie wygodną egzystencję, zalicza się właśnie do tej grupy, tyle że nigdy się do tego nie przyzna, nie chcąc wejść w otwarty konflikt z własnym bratem.

Emilio podniesionym głosem dalej przedstawiał swoje racje:

– Jedno ci obiecuję, Gustavo! Jako osoba urzędowa dołożę wszelkich starań, byśmy my również mogli głosować! Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękoma!

– Ty w ciemno zagłosowałeś na „nie”, byle tylko zachować swoje przywileje – zaatakował Gustavo.

– Ale przecież sam przed chwilą powiedziałeś, że też zagłosujesz przeciw autonomii...? – Emilio bezradnie rozłożył ręce.

– Twoje „nie” byłoby znakiem wierności Hiszpanii. Moje zaświadczy o sprzeciwie wobec wyzwalania się wspólnie z Río Muni. Głosy białych tylko zaciemniłyby obraz.

Tymczasem tłumek wokół obu oponentów wyraźnie zgęstniał. Początkowe szemranie zastąpiły gniewne okrzyki tak poparcia, jak i protestu.

– A ja właśnie zagłosuję na „tak”! – zawołał jakiś wysoki chłopak o przystojnej twarzy, ogolonej głowie i żylastym ciele. – Wszyscy powinniśmy. Żeby nas wreszcie zostawiono w spokoju...

– Jesteś z Fangów, co? – odezwał się inny, niższy, ze zbyt wypukłym czołem. – Bo mówisz jak Fang...

– Ja jestem z Bubich, a też zagłosuję na „tak” – wtrącił trzeci, z zabandażowaną ręką.

– W takim razie nie jesteś prawdziwym Bubim – zgromił go z mocą Gustavo. – Żaden Bubi nie zgodzi się na to, by ci z Río Muni przywłaszczyli sobie nasze bogactwa!

– Lepsze to niż służenie białym... – bronił się tamten.

– Nie wiesz co gadasz! – Gustavo pochylił się ku niemu groźnie. – To dużo gorsze! Całkiem wyprali ci mózg!

– Teraz na nas, Fangów, zrzuca się winę za wszystko! – Wysoki chłopak podszedł bliżej, by zwrócić na siebie uwagę Gustava. – A nas też wykorzystywano. Ile drewna i kawy wywieziono od nas, każąc nam niewolniczo pracować? – Podniósł głos. – Jedyne, na czym zależy Bubim takim jak ty, to wszystko utrudniać i w ten sposób blokować zmiany!

– My, Bubi, od dekad walczymy i cierpimy prześladowania w imię naszych aspiracji – przerwał mu Gustavo. – Chcesz wiedzieć, ile listów wysłali przedstawiciele różnych naszych społeczności do władz kolonialnych, do Hiszpanii i do ONZ? I co? Nic, tylko prześladowania, więzienie i wygnanie. – Rozpiął koszulę, by pokazać swoje blizny. – Naprawdę sądzisz, że popieram tych, którzy mi to zrobili?

– Jesteś głupcem – oświadczył młody Fang. – Hiszpania nigdy się nie zgodzi na dwa osobne państwa. Dlatego trzeba zjednoczyć siły. – Szmer poparcia dodał mu odwagi, by znów podnieść głos. – Właśnie na to liczą biali: że się nie dogadamy.

Dimas przytrzymał brata, który już zaciskał pięści. Emilio prychnął sarkastycznym śmiechem.

– Mówiłem ci, Dimasie – rzucił. – Toż to istny kurnik.

Kurnik, w którym jest zbyt wiele kogutów, pomyślała z ironią Julia, a wszystkie pieją po hiszpańsku.

– To w ten sposób szykujecie się do wzięcia spraw w swoje ręce? – podjął Emilio.

– Dosyć już, tato – wtrąciła się Julia. – Chodź do domu. – Tu zwróciła się do Gustava: – Rób, co chcesz, Gustavo, ale zostaw mojego ojca w spokoju. Wszystkich nas zostawcie w spokoju.

– Z przyjemnością! – krzyknął młody Fang. – Pod warunkiem, że się stąd zabierzecie! Wynocha!

Kilku mężczyzn podchwyciło jego słowa, skandując je coraz głośniej. Emiliowi krew uderzyła do głowy, zacisnął zęby. Julia zauważyła, że jej ojciec ciężko dyszy. Z całej siły pociągnęła go za rękę w kierunku sklepu. Oba otworzyła drzwi i wszyscy troje weszli do środka.

Kilka sekund później jakiś kamień roztrzaskał witrynę i kawałki szkła posypały się na podłogę z gwałtownością gradu. Potem zapadła cisza. Przez moment nikt nie ruszał się ani w sklepie, ani na zewnątrz. Wreszcie Emilio postąpił parę kroków po trzeszczącym pod stopami szkle i wyjrzał na rozchodzących się powoli mężczyzn.

– Jeszcze za nami zatęsknicie! – ryknął. – Zapamiętajcie sobie moje słowa! Nigdy już nie będzie wam tak dobrze jak teraz! Słyszycie? Nigdy! – Jego spojrzenie skrzyżowało się przelotnie ze spojrzeniem Dimasa, który tylko potrząsnął ze smutkiem głową i odszedł.

Julia stanęła obok ojca, po którego twarzy spływały łzy gniewu i frustracji.

Jedynie Gustavo ociągał się nieco, by w końcu popatrzeć na Julię, wymruczeć niewyraźne „przepraszam” i też się oddalić.

Oba przyniosła szczotkę i zaczęła zamiatać odłamki szkła. Julia zaprowadziła ojca na zaplecze, by usiadł. Podała mu szklanekę wody i dopiero gdy upewniła się, że jest

spokojniejszy, ruszyła pomóc Obie.

– A ty, Oba? Po czyjej jesteś stronie? – spytała po chwili.

– Ja nie będę mogła głosować, proszę pani – odparła dziewczyna wymijająco. – Tylko mężczyźni będą mogli, choć też nie wszyscy. Wyłącznie ojcowie rodzin.

– Tak. Ale gdybyś mogła, to co byś zrobiła? Bądź szczerą, proszę.

– Pochodzę z plemienia Fang. Wielu moich przodków przywieziono na wyspę wbrew ich woli i zmuszono do pracy na tutejszych plantacjach. My, w mojej rodzinie, wciąż pamiętamy, że biali znęcali się nad czarnymi i polowali na nich jak na zwierzęta. – Dziewczyna dumnie zadarła podbródek. – Więc proszę się nie gniewać, ale zagłosowałabym na „tak”.

Julia popatrzyła w głąb sklepu. Emilio siedział smutny, przygarbiony, z rękoma złożonymi na udach. Od jak dawna jej rodzice mieszkali na Fernando Poo? Przez całe swoje pracowite życie. I dokąd mieli się teraz udać? Przecież nie do Pasolobino. Zaznawszy kosmopolitycznych rozkoszy Santa Isabel, udusiliby się w tym zanurzonym w przeszłości miejscu. Mogli osiedlić się wraz z nią i Manuelem w Madrycie, zacząć od początku. Ale nie. Nie da się zacząć od początku w tym wieku. Więc czekało ich życie wypełnione opieką nad wnukami i tęsknotą za utraconym rajem...

Tak, tato, pomyślała z oczami pełnymi łez. To już koniec.

Nelson, trzymając w każdej dłoni smukłą butelkę pepsi-coli oraz szklaneczkę ginu z tonikiem, z trudem przepychał swoje potężne ciało przez tłum. U Anity Guau nigdy wcześniej nie bywało tak tłoczno. Nigeryjski zespół, łącząc rytmy afrykańskie z latynoskimi, grał kawałek za kawałkiem i nie pozwalał odpocząć ani instrumentom – perkusji, akordeonowi i gitarze elektrycznej – ani licznym parom, które wirowały na parkiecie. Nowa właścicielka odświeżyła też wystrój lokalu: pojawiły się więc wysokie barowe stołki, kilka obitych ciemnoczerwonym skajem sof pod kulistymi lampami, przydymione lustro na ścianach oraz ustawiona w kącie szafa grająca Würlitzer, która pozwalała bywalcom słuchać muzyki również w tygodniu. Klienci, zarówno starzy, jak i nowi, ściągali tłumnie, zaintrygowani nowościami i zwabieni obietnicą niezapomnianej nocy wypełnionej, mimo wszystko, jak kiedyś, zmieszany zapachami tytoniu, potu i perfum.

Oba pomachała do Nelsona od jednego ze stolików w głębi. Jej mała dłoń ozdobiona w nadgarstku kilkoma kolorowymi bransoletkami zatrzepotała w powietrzu, a Nelson tak się ucieszył, jakby nie widzieli się z Obą od miesiąca, choć przecież rozstali się tylko na chwilę, jaką zajęło kupienie drinków. Siedzący obok Ekon i Lialia trzymali się za ręce i poruszali ramionami w takt muzyki. Nelson jakoś się w końcu do nich przedarł, postawił drinki na stole i usiadł.

– Tyle to trwało, bo strasznie dużo ludzi przy barze – wyjaśnił po hiszpańsku. W towarzystwie Oby mówili wszyscy w tym języku, bo dziewczyna nie znała pichi.

– Z tego, co widzę, dziś są tu sami Nigeryjczycy – zauważył. Ekon. – Zupełnie jakbyśmy się umówili.

– Okazja jest, prawda? – rzucił Nelson. W tym właśnie tygodniu Nigeria i Gwinea podpisały nową, czteroletnią umowę dotyczącą siły roboczej. Mimo niestabilnej sytuacji politycznej Nigeryjczycy mieli pracę zagwarantowaną na długo.

– Czyli to tutaj wy, mężczyźni, wydajecie część swoich zarobków... – mruknęła Lialia, błyszczącymi oczyma obserwując salę.

– Wiesz, że ja nie zaglądam tu często – zaprotestował Ekon. – Mam zbyt wiele dzieci do wykarmienia.

– Ja przestałem przychodzić, kiedy poznałem Obę – oświadczył Nelson, na co dziewczyna zareagowała szerokim uśmiechem. – Choć nie myślcie sobie: niejedno małżeństwo poznało się w tym miejscu...

– A wy dwoje na co czekacie? – spytała z rozbawieniem Lialia.

Oba, podeksycytowana, przygryzła wargę.

– Oszczędzamy na mały sklep, prawda, Nelson?

– Tak, mamy plany, ale jeszcze nie pora. Jeszcze jesteśmy młodzi.

– Człowieku – mruknął Ekon – Oba, owszem, jest, ale tobie szybko przybywa lat i kilogramów.

Nelson odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Potem jednym haustem wypił swój gin z tonikiem i przeklął własne gapiostwo, przez które nie zamówił sobie od razu więcej. Teraz musiał wracać do baru. Oba podsunęła mu pepsi-colę, za którą podziękował pocałunkiem.

– Patrz! – Dziewczyna w tej samej chwili wskazała coś z przodu. – Czy to nie *massa* z waszej plantacji? Co on robi? – Szybko wstała. – Sade!

Rzuciła się ku przyjaciółce, a za nią ruszyli pozostali. Krąg krzyzących coś ludzi zamknął się przed nimi, zagradzając im drogę. Oba z trudem przepchała się do pierwszego szeregu. Biały mężczyzna groził Sade pistoletem.

– Co się stało? – spytała Oba kogoś stojącego obok.

– Ten biały zaczął się z nią kłócić. Prosił ją o coś, a ona odmówiła. Wtedy chwycił ją za nadgarstek i wykręcił jej rękę, a kiedy paru facetów wstało, żeby biedaczce pomóc, wyciągnął broń.

– Każdemu, kto się zbliży, rozwalę łeb! – krzyknął mężczyzna, przytrzymując Sade przed sobą jak tarczę. Jego oczy lśniły od strachu, gniewu i alkoholu.

– Już starczy, *massa* Gregor! – Nelson wysunął się do przodu. – Najlepiej niech pan opuści broń.

– Nelson, stary! – Gregorio zaśmiał się nerwowo. – Widziałeś co za cuda? Od kiedy to dyskutuje się tutaj z klientem na temat jego wyboru kobiety?

– To ja zawsze wybieram, przeklęty białasie – syknęła z furią Sade. – I już dawno postanowiłam się od ciebie uwolnić. – Zerknęła w stronę widzów. – Tak trudno uwierzyć, że już nigdy nie będziecie za nas decydować? Oto prawdziwa twarz białego. Jeśli go potulnie słuchasz, wszystko jest niby dobrze. Ale jak przestaniesz, zaraz wyciąga laskę z *melongo*, bicz albo pistolet.

Gregorio mocniej zacisnął dłoń i Sade jęknęła z bólu. Kilku mężczyzn zrobiło krok naprzód.

– Nas jest wielu, a pan jeden. – Nelson powiódł dokoła ręką. – Może pan strzelić, owszem, tyle że prędzej czy później skończą się panu kule. A widzi pan tu dzisiaj jakiegoś białego? Nie. Chyba zły dzień pan wybrał na odwiedziny w klubie.

Czoło Gregoria pokryło się grubymi kroplami potu. Sytuacja nie wyglądała dobrze.

Nelson, nawykły do kierowania dziesiątkami robotników, wyczuł ten moment słabości i podjął stanowczo:

– Coś panu zaproponuję: opuści pan broń, odda mi ją, a my pozwolimy panu odejść.

Rozległy się niezadowolone pomruki. Atmosfera gęstniała, w każdej chwili mogło dojść do linczu. Gregorio się zawahał.

– Dziś świętujemy – wtrącił pojednawczo Ekon. – Wielu z nas przyprowadziło na tańce żony. Nikt nie chce żadnego nieszczęścia... Nelson i ja odwieziemy pana do Sampaki.

Nelson skinął głową. Część mężczyzn rozstąpiła się niechętnie, inni po prostu wrócili do stolików, by wesprzeć Ekona.

– Mam twoje słowo, Nelson? – spytał Gregorio z lekką paniką w głosie.

Nadzorca uśmiechnął się w duchu. Fakt, że taki akurat Gregorio zdawał się na słowo czarnego, trochę go rozbawił. Rzeczywiście: strach zmieniał ludzi.

– Jeszcze pan nie zauważył, *massa* Gregor, że kto jak kto, ale ja jestem człowiekiem honoru?

Gregorio spuścił wzrok i ustąpił. Uwolnił Sade, skierował pistolet lufą do dołu i bez ruchu czekał, aż Nelson go zabierze.

– Ekonie, zostań tu z dziewczynami do mojego powrotu.

To powiedziawszy, Nelson ujął białego za łokieć i wśród rozlegających się tu i ówdzie obelg szybko poprowadził go do wyjścia.

Muzyka i ogólna chęć do zabawy sprawiły, że incydent powoli odchodził w zapomnienie. Sade zgodziła się wypić drinka z Obą i jej przyjaciółmi.

– Ten drań zasługiwał na porządne lanie – mruknęła.

– Nelson dobrze zrobił, Sade – ostro sprzeciwiła się Lialia. – Lepiej nie pakować się w kłopoty. Choćby nie wiadomo ile się gadało o równości, ostatecznie i tak wszyscy byśmy oberwali.

Ekon przyniósł kolejne drinki. Zespół zaczął grać chwytliwą melodię i Lialia pociągnęła męża na parkiet. Oba, gdy zostały z przyjaciółką same, spytała:

– Dlaczego on znów się do ciebie przyczepił?

Sade wyniośle wzruszyła ramionami.

– Każdy, kto był ze mną chociaż raz, chce niekończących się powtórek. – Pociągnęła łyk alkoholu, smakując go powoli.

Przez głowę przemknęła jej gorzka myśl: każdy z wyjątkiem jednego.

I z winy tego właśnie jednego już zawsze będzie musiała ukrywać przed światem, że ojcem jej syna jest ktoś tak nieprzyjemny jak *massa* Gregor...

W grudniu 1963 roku odbyło się referendum dotyczące autonomii, popartej ostatecznie przez większość, z tym że na kontynencie opowiedziało się za nią siedemdziesiąt procent głosujących, a na Fernando Poo – tylko czterdzieści. Tak jak przewidywał Gustavo, wyniki głosowania na wyspie każdy interpretował wedle swoich potrzeb: niektórzy postrzegali je jako dowód na wierność wyspiarzy Hiszpanii, inni – jako ewidentny znak, że Fernando Poo chce się wyzwolić oddzielnie od Río Muni.

Hiszpania specjalnym dekretem przyznała swoim byłym prowincjom status autonomiczny. Zaraz potem gwinejscy działacze niepodległościowi, z niejakim

Macíasem na czele, zaczęli z nadania metropolii obejmować najważniejsze stanowiska. Pod warunkiem, że deklarowali posłuszeństwo Hiszpanii. Zupełnie nagle ci, którzy jeszcze niedawno cierpieli prześladowania, dostawali do dyspozycji wszystko, czego dusza zapagnie.

– Takie jest życie, Julio – żartował Kilian. – Ja wciąż zbieram kakao, a Gustavo został członkiem autonomicznego rządu Gwinei. Kto by przypuścił, co? Wciąż pamiętam tamtą jego dyskusję z twoim ojcem, w tym miejscu, przed... No, właśnie, ile lat temu?

Julia delikatnie złożyła dłonie na dużym brzuchu opiętym lekką, marszczoną pod biustem sukienką na szerokich ramiączkach. Był cudowny wieczór. Rozkoszna bryza łagodziła upał dnia, który powoli dobiegał końca. Jak co niedziela umówili się z resztą towarzystwa na drinka, lecz tamci się spóźniali. Manuel z coraz większym trudem odrywał się od swoich badań, zwłaszcza po tym, jak jego pierwsza książka na temat roślinności Fernando Poo spotkała się z ciepłym przyjęciem. Ascensión i Mercedes zajęte były przygotowaniami do ślubu – jedna z Mateem, a druga z Marcialem. Obie uroczystości miały się odbyć w tym samym dniu i o tej samej godzinie w katedrze w Santa Isabel: ponieważ panny młode urodziły się i całe dotychczasowe życie spędziły na wyspie, decyzja co do miejsca zawarcia przez nie małżeństwa nikomu nie nastęrczała trudności. Ceremonię zaplanowano skromną, by nieobecność rodzin panów młodych mniej rzucała się w oczy, lecz choć do przełomowego dnia zostało jeszcze kilka miesięcy, Ascensión i Mercedes chciały mieć wszystko, a szczególnie suknie, gotowe zawczasu. Mateo i Marcial pracowali po godzinach, także w święta, by przedłużona podróż poślubna nie odbiła się potem na ich pensjach.

Kilian przezornie trwał w postanowieniu, że nie będzie całkiem zaniedbywał życia towarzyskiego, aby nie wzbudzać podejrzeń co do swojego związku z Bisilą. Dlatego schadzki z nią przeplatał innymi spotkaniami. Jego życie, jak myślał ze smutkiem, musiało pozostać rozdzielone między dwa światy – góry i wyspę, biel i czerń. I nie mogło w całości przynależeć do żadnego z nich. W tym momencie marzył wyłącznie o tym, by na miejscu Julii znajdowała się Bisila – wygodnie rozparta w hamaku, rozkoszująca się spokojnym niedzielnym wieczorem, z rękoma złożonymi na brzuchu kryjącym owoc ich związku... Czy tak wiele żądał?

Od strony basenu dobiegały pokrzykiwania rozbawionej młodzieży. Ktoś puścił piosenkę Chucka Berry'ego i frenetyczne dźwięki rock and rolla zmieszały się z entuzjastycznym aplauzem.

– Nie opowiadaj takich rzeczy, Kilianie.

– Jakich?

– Że się starzejemy.

– No, mów za siebie.

Kilian niezgrabnie wykonał kilka tanecznych kroków i Julia parsknęła śmiechem. Potem, gdy znów oparł się o barierkę tarasu, przypatrzyła mu się z uwagą. Z niedoświadczonego, milkliwego i nadwrażliwego chłopaka, który kiedyś przybył na Fernando Poo, zmienił się w wesołego, zadowolonego i pewnego siebie mężczyznę. Gdyby nie znała jego uporządkowanej egzystencji, powiedziałyby, że zachowuje się jak człowiek zakochany – z tym swoim wiecznym uśmiechem, rozmarzonym spojrzeniem i

zdecydowanym podejściem do każdej sytuacji. Dobrze pamiętała te symptomy, choć wiele lat temu zostały w jej życiu zastąpione przez spokojną czułość i błogie poczucie bezpieczeństwa.

– Cześć! – zawołał jakiś głos. – Mam dla was torebkę śniegu!

Kilian drgnął i się wyprostował.

– Jacobo! Spodziewaliśmy się ciebie dopiero w przyszłym tygodniu.

– Coś tam się komuś pokreśliło z biletami i musiałem przyspieszyć wylot.

Bracia uścisnęli się serdecznie. Nie widzieli się od sześciu miesięcy. W odróżnieniu od Kiliana, który miał powody, by pozostawać na wyspie, Jacobo wyprawiał się na urlop do Hiszpanii po każdym pełnym sezonie. I za każdym razem, jak powtarzał, coraz mniej chciało mu się wracać, jak gdyby czuł, że jego przygoda z Afryką dobiega końca.

Wskazał na brzuch Julii.

– Słyszałem od Manuela. Po raz kolejny gratuluję.

– A jak tam wakacje? – spytał Kilian. – Świetnie wyglądasz!

Jacobo uśmiechnął się i zlustrował brata spojrzeniem.

– Ty też całkiem nieźle. Czy tylko mi się zdaje, czy jesteś szczęśliwy? – Przymrużył badawczo oczy. – Jak to możliwe, że ta wyspa cię nie nuży?

Kilian, świadom, że krew napływa mu do policzków, usiadł i postanowił zmienić temat.

– Z samochodem wszystko się udało?

Jacobo kupił sobie w Gwinei wspaniałego czarnego mercedesa, którego następnie przetransportował do Hiszpanii. Teraz błyskawicznie zapomniał o swoim pytaniu i z błyszczącymi od ekscytacji oczami odpowiedział bratu:

– Z zarejestrowaniem go nie było kłopotów. A podróż do Pasolobino... Jechałem przez całą drogę jak król! I zaparkowałem dopiero na placu w miasteczku. Szkoda, że nie widziałeś, jakie wszyscy mieli miny, kiedy zacząłem naciskać klakson! – Kilian wyobrażał sobie, jaką satysfakcję musiało sprawić Jacobowi to powszechne zainteresowanie. – Całymi miesiącami nikt o niczym innym nie mówił. W kółko tylko wyjaśniałem, że rejestracja TEG bierze się od nazwy Territorios Españoles del Golfo de Guinea... [1] A ile benzyny zużyłem, wożąc ludzi w tę i z powrotem!

– Zakładam, że przez „ludzi” rozumiesz głównie dziewczyny – uśmiechnął się Kilian.

– Wszystkie panny na wydaniu wprost się o to biły.

Julia przewróciła oczami. Świat się zmieniał, ale Jacobo – nie.

– Cóż, bardziej mnie interesuje, czy któraś załapała się na taką przejażdżkę więcej niż dwa razy – zażartował Kilian. Nie bardzo wierzył, by jego brat potrafił się umawiać z jakąś dziewczyną dłużej.

Jacobo odkaszlnął.

– Ma na imię Carmen, poznałem ją na tańcach. Nie jest z Pasolobino.

Julia szeroko otworzyła oczy. A więc ktoś zdołał podbić serce Jacoba? Musiała z niechęcią przyznać, że chwilowa przykrość, jakiej doznała, wzięła się z leciusieńkiego, lecz niezaprzecznego ukłucia zazdrości.

Kilian wstał, podszedł do brata i poklepał go po plecach.

– Kochany braciszku – rzucił drwiąco – z twojego tonu wnoszę, że lata szalonych

impresz już się dla ciebie skończyły.

Teraz zaróżowił się Jacobo.

– No, dopiero się poznaliśmy... – zniżył głos do szeptu. – Poza tym ja jestem tutaj, a ona tam...

Julia westchnęła. Ta cała Carmen miała przed sobą mnóstwo pracy, jeśli zamierzała przemienić Jacoba w mężczyznę oddanego rodzinie. O ile to w ogóle było możliwe.

Kilian zapatrzył się na horyzont. Jego brat zaliczał się do niepoprawnych hulaków, niemniej fakt, że mówił w ten sposób o jakiejś kobiecie – i to przy Julii – dowodził dwóch rzeczy: po pierwsze, ta Carmen obchodziła go bardziej, niż sam przypuszczał, po drugie, jego pobyt na Fernando Poo naprawdę dobiegał końca. Kilian poczuł nagły przypływ wyrzutów sumienia. Jacobo miał wiele wad, owszem, ale przynajmniej nigdy niczego przed nim nie taił. A on tymczasem od miesięcy ukrywał swoją miłość do Bisili – miłość tak głęboką, że skoro nie mógł się nią pochwalić przed światem, jak na to zasługiwała, powinien przynajmniej podzielić się nią z kimś bliskim i godnym zaufania. Obliznął zaschłe wargi. Może naprawdę należało porozmawiać z bratem o Bisili, jednakże jakiś wewnętrzny głos radził mu poczekać. Mimo łączącej go z Jacobem braterskiej więzi, wątpił w jego zdolność zrozumienia tej sprawy. Jacobo z pewnością by uznał, że jego młodszy brat kompletnie oszalał, co zresztą było poniekąd prawdą: czuł się przecież całkowicie rozbity, oszołomiony i zawojowany.

Julia zaofiarowała się, że pójdzie po kolejne drinki. Gdy się oddaliła, Jacobo spoważniał.

– Coś się stało w domu? – spytał Kilian.

– Chodzi o Catalinę. Jest bardzo chora.

Kiliana aż ścisnęło w żołądku.

Jacobo odchrząknął.

– Ja... Cóż, pożegnałem się z nią. Przywiozłem ci list od mamy, która pewnie prosi, żebyś teraz ty wrócił na jakiś czas do domu.

– Ale właśnie teraz mamy najwięcej pracy! – słabo zaprotestował Kilian, by natychmiast pożałować tych słów. Własne serce wodziło go na manowce. Za nic nie chciał rozstawać się z Bisilą, ale siostra to była siostra, poza tym Catalina nie miała łatwego życia – z tym swoim zawsze słabym ciałem i duszą osłabioną przez śmierć jedyne dziecko. A on od trzech lat nie widział ani jej, ani matki. Nie mógł ich opuścić. Musiał jechać. Wiedział, że Bisila zrozumie.

Z tych rozmyślań wyrwał go Jacobo.

– Wizyta w domu dobrze ci robi, Kilianie. Wszystko się zmienia. Są plany, żeby zbudować w Pasolobino ośrodek narciarski. Zdajesz sobie sprawę, co by to oznaczało? – Oczy Jacoba znowu zabłyśły, mówił z przejęciem. – Ziemia niesłuchanie zyskałaby na wartości. Teraz nie jest nic warta, a z tą całą hodowlą to straszne zawracanie głowy. Moglibyśmy żyć inaczej, pracować przy budowie ośrodka i obsłudze turystów, wręcz rozkręcić jakiś biznes. Pasolobino przestałoby być wiochą zabita dechami, stałoby się miejscowością turystyczną. – Kilian słuchał uważnie. – Odwiedzili nas już potencjalni inwestorzy, mający doświadczenie w tej materii. Podobno śnieg to złoto przyszłości...

Kilian czuł mętlik w głowie. Jego siostra umierała. Musiał jechać się z nią pożegnać.

Musiał na chwilę rozstać się z Bisilą. Nie bardzo sobie z tym wszystkim radził, a tymczasem Jacobo, ku jego zdumieniu, znajdował skądś siłę, by myśleć o przyszłości.

Jego, Kiliana, przyszłość bardzo niepokoiła. Nie chciał o niej myśleć. Chciał tylko, żeby wszystko zostało po staremu, żeby świat zawsze mieścił się w ramionach Bisili.

– Ech, stary... – głos Jacoba powtórnie ściągnął go na ziemię.

– Zastanawiałem się właśnie nad tym, że... Faktycznie muszę się wybrać do domu.

Do domu.

Od wieków nie myślał o Pasolobino w tych kategoriach.

– Wkrótce wszyscy stąd wyjedziemy, na zawsze. – Jacobo potrząsnął głową z mieszaniną rezygnacji i ulgi. – Gwinea przestała być krajem przyszłościowym.

Wróciła Julia, niosąc drinki. Ktoś zamachał do Jacoba, który na moment się oddalił.

– Wiesz co, Julio? – rzucił wtedy Kilian. – Masz rację. Jednak się starzejemy.

Kilka tygodni później Bisila poprosiła Simona, żeby zjawił się wraz z Kilianem w szpitalu. Już na miejscu rozwinęła jakiś papier i pokazała Kilianowi rysunek, który przedstawiał niewielki prostokątny dzwoneczek o kilku sercach.

– To *elëbó* – wyjaśniła. – Służą do odpędzania złych duchów. Chciałabym, żeby Simón wytatuował ci coś takiego dla ochrony w podróży. Może pod lewą pachą?

Kilianowi bardzo się ten pomysł spodobał. Jakiż lepszy prezent mógłby otrzymać od Bisili niż taki, na trwałe na własnej skórze? Pod pachą, blisko serca, zawsze w zasięgu ręki.

– Trochę będzie bolało – uprzedził Simón. – Rysunek jest mały, ale skomplikowany. Zamknij oczy i głęboko oddychaj.

– Sądzę, że wytrzymam – odparł Kilian, wpatrując się w Bisilę.

I nie przestał się w nią wpatrywać do końca całej operacji. Zanim ostatnim razem wrócił z Pasolobino, Bisila zdążyła urodzić Mosiemu syna. Chciał ją przekonać, że przy tej okazji nie zabawi w Hiszpanii zbyt długo. Uporczywie patrzył jej w oczy. Ledwie mrugnął, gdy Simón skalpelem wyciął wzór i nałożył na ranę trochę palmowych wiórów, które następnie podpalił, by zaczerniły bliznę. Kilian znosił ból, nawet nie zagryzając warg. Ogromne oczy Bisili wsączały w jego źrenice siłę i spokój jednocześnie.

Simón skończył, zebrał swoje rzeczy i na odchodnym rzucił z uśmiechem:

– Teraz *massa* Kilian jest trochę bardziej Bubim.

Bisila pochyliła się nad ukochanym, posmarowała mu ranę jakąś maścią i niemal niedosłyszalnie szepnęła:

– Mój wojownik.

Wieczorem Kilian bezradnie krążył po pokoju. Bisila nie przyszła. Spojrzał na zegarek. O tej porze pewnie już nie przyjdzie. Czyli miał wyjechać bez pożegnania? W końcu przygnębiony rzucił się na łóżko i zapadł w niespokojną drzemkę.

Niedługo później, słysząc jakiś szelest, zerwał się na nogi. Natychmiast dostrzegł Bisilę, która ostrożnie wsunęła się do środka, zamknęła drzwi i zasunęła zasuwkę. Wydał stłumiony okrzyk radości. Bisila zatrzymała się kilka kroków przed łóżkiem i gestem nakazała, by zachował ciszę i zasłonił oczy.

Potem zdjęła cienki pielęgniarski fartuch, plisowaną spódnicę oraz bluzkę, i wyjęła coś z przyniesionego przez siebie małego koszyka. Kilianowi kolejne minuty dłużyły się

w nieskończoność. Wreszcie Bisila dała mu znak, że może już patrzeć.

Spojrzał i się zdumiał.

Całkiem nagą Bisilę okrywały wyłącznie sznury *tyíbö*. Rzemyki, obciążone muszelkami, łagodnie opływały jej kształty. Jej głowę z kolei zdobił rozłożysty kapelusz przybrany pawimi piórami i przypięty do włosów drewnianą szpilą.

Bisila gestem wezwała Kiliana ku sobie.

Nadal się nie odzywając, powoli go rozebrała.

Gdy był już nagi, nalała wody do miseczki, nasypała do niej jakichś kolorowych proszków i wszystko to mieszała tak długo, aż otrzymała czerwonawą maź, którą następnie natarła całe jego ciało, zaczynając od stóp. Przesuwając się w górę, delikatnie namaściła jego łydki, uda i pośladki, a potem plecy i wreszcie pierś.

Kilian przypomniał sobie, jak kiedyś w Bissappoo powiedział, że chciałby być dla niej kimś w rodzaju *botuku*, aby obmyła go czystą wodą z rzeki i natarła ntolą. Z wdzięcznością pomyślał, że pamiętała. Uniósł ręce, by ją objąć, ale ona pokręciła głową i podjęła tę słodką torturę, smarując mu brzuch. Potem opłukała dłonie, sięgnęła po inne, niebieskie i żółte proszki, wymieszała je z wodą i tym nowym mazidłem wyrysowała mu kreski na twarzy, powoli, jakby starała się zmierzyć i zapamiętać odległość dzielącą jego nos od uszu i linię włosów nad czołem od podbródka.

Gdy skończyła, ponownie umyła i wytarła ręce, po czym ujęła dłonie Kiliana.

– Ubrałam się w tradycyjny strój panny młodej – powiedziała głosem stłumionym od emocji. – A ciebie pomalowałam jak wojownika. – Kilian ucieszył się, że wreszcie ją słyszy, lecz sam się nie odezwał. – Wiesz, że Bubi uznają dwa rodzaje małżeństw – mówiła. – Jedno to *ribalá rèötö*, służące kupieniu dziewictwa. Jedyne respektowane przez prawo i łączące mnie z Mosim. Drugie to *ribalá ré rihólè*, czyli małżeństwo z miłości. W świetle prawa nie ma znaczenia, ale dla nas owszem. – Podniosła na Kiliana wzrok i drżącym głosem podjęła: – Brakuje kapłanki. Cóż, to chyba nie szkodzi. – Kilian przycisnął jej dłonie do serca. A ona ciągnęła: – Najpierw odzywam się ja. I mówię... Tylko się nie śmieję, proszę... No więc mówię, że nie zaniedbam uprawy twoich pól ani swoich obowiązków przy wytwarzaniu oleju palmowego, i że będę ci wierna, przynajmniej w sercu, zważywszy na okoliczności...

Po tych słowach umilkła i przymknęła powieki, by w duchu powtórzyć swoje obietnice.

– Teraz moja kolej – rzekł ochryple Kilian. – Co mam mówić?

– Musisz przysiąc, że nie opuścisz tej swojej żony – Bisila otworzyła oczy – choćbyś później pojął również inne.

Kilian się uśmiechnął.

– Przysięgam, że nie opuszczę tej swojej żony, przynajmniej w sercu, cokolwiek się stanie.

Przypieczętowali wszystko długim gorącym pocałunkiem.

– I co dalej? Zanim przejdziemy do małżeńskiego łoża? – spytał Kilian z błyskiem w oku.

Bisila odrzuciła głowę do tyłu i się roześmiała.

– Cóż, powinniśmy powiedzieć „amen”, a potem ktoś zadzwoniłby *elëbó* i

zaśpiewał...

– Ja mam swój *elëbó* zawsze przy sobie – stwierdził Kilian, sięgając pod lewą pachę i ostrożnie dotykając tatuażu. – Zawsze będziemy razem, Bisilo. To moja prawdziwa przysięga, najdroższa *muarána muèmuè*.

XVII. Ę RIPÚRÍÍ RÉ ĘBBÉ

Nasienie zła, 1965

Bisili czas dłużył się okropnie. Mijały dni i tygodnie, a Kilian nie wracał. Nic o sobie nawzajem nie wiedzieli, korespondencja stanowiłaby zbyt duże ryzyko.

Kilian tymczasem, tysiące kilometrów dalej, owszem, pisał listy, tyle że ich potem nie wysyłał. Pisał je tak, jakby Bisila mogła czytać mu w myślach, pisał o tym, że czas okropnie mu się dłuży, że on sam ciałem przebywa w Pasolobino, lecz sercem i umysłem gdzie indziej, i że bez niej, Bisili, wszystko wokół jest znajome, ale puste.

Bisila z kolei codziennie zachodziła przed dom, w którym mieszkali Europejczycy. Zatrzymywała się przy schodach, kładła rękę na poręczy, stawiała stopę na pierwszym stopniu i walczyła z chęcią, by wbiec na górę i sprawdzić, czy Kiliana nie ma aby w jego pokoju. Serce biło jej jak szalone, kolana się uginały. Nasłuchiwała głosów, z nadzieją, że wychwyci poważny tembr Kiliana, ale nie, to nie był on, może jego brat, ale nie on.

Tak zaczął się rok i skończyły się kolejne zbiory kakao.

Na wyspie panował straszliwy upał. Jedynie z rzadka jakiś słaby powiew pozwalał swobodniej odetchnąć. W Pirenejach srożyły się mrozy. Północny wiatr unosił śnieg jak piasek na zlodowaciałej pustyni.

W Sampace robotnicy zaczynali przygotowywać nowe pola, ciąć drewno opałowe do suszarni, porządkować drogi i strzyc kakaowce.

W Pasolobino Kiliana osaczał dom. Śnieg padał i padał, a jak przestawał, zrywał się dla odmiany wiatr. Nie dawało się nigdzie wyjść. Nie dawało się nic robić. Godziny ciągnęły się bez końca, spędzane przy kominku, na wysłuchiwanie westchnień matki, oczekiwaniu końca udręk Cataliny, pocieszaniu prawie całkiem nieznanego szwagra i nieustannym komentowaniu z sąsiadami przyszłych profitów, jakie ośrodek narciarski miał zapewnić dolinie.

Kilian potrzebował się ruszyć, czymś zająć. Tyle że nie mógł nawet dokonywać drobnych napraw w domu – przy konającej za ścianą siostrze to nie było w porządku. Catalina chciała umrzeć w Rabaltué, więc należało uszanować jej decyzję, zachowując ciszę.

Dlatego, wpatrzony w płomień, jakoś znosił powolne tykanie zegara i wspominał chwile przeżyte z Bisilą. Ona przecież nie wytrzymałaby takiego zimna. Jej ciało było stworzone do gorąca.

Tęsknił za płonącym w niej ogniem. Jak miałby żyć, pozbawiony tego ciepła?

Pogrzeb Cataliny odbył się w czasie najgorszych mrozów pod koniec lutego. Dotkliwy chłód skrócił pierwszą niełacińską mszę, w której Kilian wziął udział w Pasolobino; skrócił także sam pochówek.

Szybkość, z jaką wszystko się stało – od momentu, gdy zamknięto wieko trumny, po chwilę, kiedy łopaty skończyły się zmagać z zamrożoną ziemią – spotęgowała w Kilianie uczucie pośpiechu. Wszyscy wokół chcieli wrócić do domu, a on chciał wrócić na Fernando Poo. Wcześniej jednak musiał pomóc pogrążonej w żałobie matce.

Jak długo jeszcze miał czekać?

Jak zawsze pod koniec kwietnia nad wyspą rozszalały się ulewy.

Bisila czuła się zmęczona. Od wielu godzin była w szpitalu. O tej porze roku zdarzało się więcej wypadków i chorób. Praca w polu oznaczała większe ryzyko niż dogłębne suszarni, poza tym deszcze sprzyjały rozwojowi schorzeń płucnych. Musiała trochę odsapnąć, dlatego zdecydowała się na spacer.

Nie było się co oszukiwać: nogi zawsze niosły ją w tę samą stronę. Po raz kolejny ruszyła w kierunku pobielanego budynku o zielonych oknach. Teraz, późnym wieczorem w sobotę, dziedziniec świecił pustkami. Nie chciała robić sobie specjalnych nadziei, ale w sumie nic nie ryzykowała, podejmując jeszcze jedną próbę. Od pięciu miesięcy nie widziała jego twarzy, nie słyszała jego głosu, nie czuła jego dłoni na swojej skórze. Ze sztuczną swobodą spytała kiedyś ojca, czy ma przez Jacoba jakieś wieści o Kilianie, i w ten sposób dowiedziała się o śmierci jego siostry i o przedłużeniu jego pobytu w Pasolobino. Jak długo jeszcze miała czekać? Obawiała się, że im dłużej Kilian nie wraca, tym większa istnieje szansa, że z powrotem przywyknie do poprzedniego życia – bez wyspy i bez niej.

Czasem nachodziło ją okropne uczucie, że wszystko to było snem... Przecież wiedziała, że wiele miejscowych kobiet przed nią wiązało się z cudzoziemcami, którzy potem wyjeżdżali, zostawiając je swojemu losowi.

Jednakże Kilian obiecał jej, że wróci. Powiedział, że zawsze będą razem. A ona mogła jedynie mu ufać. Teraz on był jej prawdziwym mężem, nie Mosi, przed którym z coraz większym trudem odgrywała swoją rolę. Mosi był ciałem, z którym spała co noc; Kilian – jej ukochanym, właścicielem jej serca i duszy.

Oparła się o mur otaczający dziedziniec, obserwując dom zajmowany przez białych. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie moment, gdy drzwi skromnego pokoju, w którym oboje z Kilianem przeżyli najważniejsze chwile swojego życia, otworzą się i on wyjdzie na zewnątrz, ubrany w szerokie spodnie z beżowego lnu i białą koszulę. Odetchnie głęboko, zapali papierosa, oprze się o barierkę biegnącą wzdłuż galerii, powiedzie wzrokiem dokoła, zaczynając od palmowej alei, by zatrzymać spojrzenie na murze otaczającym dziedziniec, i dostrzeże ją, obserwującą go z dołu, uśmiechającą się na znak, że oto jest, że czeka na niego, tak jak obiecała – jego czarna żona z plemienia Bubi, żona, którą sobie wybrał, rezygnując z innych, białych kobiet, kobiet ze swojego miasteczka, swojej doliny, swojego kraju; żona, którą wypatrzył pośród kobiet czarnych, kobiet z Baty, z Santa Isabel, z plantacji; żona, którą pojął z wolnej woli, mimo koloru jej skóry, mimo jej zwyczajów, tradycji i wierzeń. Ich spojrzenia, spotykając się, miały raz jeszcze potwierdzić, że nie chodzi o białego i Murzynkę, przypatrujących się sobie z dystansu, lecz o Kiliana z Pasolobino i Bisilę z Bissappoo.

Odgłos samochodowego silnika sprowadził ją na ziemię, w noc i mżawkę. Jednocześnie mdłe światło reflektorów zamigotało obok i zgasło, ulegając ciemnościom.

Naciągnęła chustę na głowę i ruszyła z powrotem w stronę szpitala, po ścieżce, którą jeszcze przed chwilą oświetlały reflektory furgonetki. Nie należała do kobiet tchórzliwych, ale o tej porze rozległy, pusty i ciemny dziedziniec robił nieprzyjemne wrażenie. Wolała więc sunąć ostrożnie pod ścianami budynków.

Pick-up niemal ją rozjechał.

Przemknął z dużą szybkością, wzbijając kurz, który na moment Bisilę oślepił i zmusił do kaszlu. Nie padało aż tak, by temu zapobiec. Auto zatrzymało się w podcieniach pod wiodącą do sypialni galerią. W mroku odezwały się jakieś głosy i męski śmiech. Bisila słyszała, że są coraz bliżej.

Tknięta złym przecuciem zmieniła kierunek. Ruszyła ku kwaterom robotników, przez strefę suszarni, które znajdowały się po lewej. Oczy ją szczypały.

Czyjś głos zagrział tuż za nią jak grom.

– Proszę, proszę! Co my tu mamy?

Przyspieszyła kroku, lecz ciemna postać zagroziła jej drogę.

Serce zaczęło bić jej mocniej.

– Nie tak szybko, czarnulko! – powiedział z mocnym angielskim akcentem jakiś mężczyzna, który zaraz potem złapał ją za ramiona.

Próbowała się wyszarpnąć.

– Proszę mnie zostawić! – Usiłowała panować nad głosem. – Jestem pielęgniarką i czekają na mnie w szpitalu.

Wyrwała się i szybko ruszyła dalej. Chciała wyglądać na spokojną, ale w gruncie rzeczy bardzo się bała. Wszędzie było ciemno. Nikt jej w razie czego nie pomoże. Nagle jakaś dłoń o żelaznym uścisku zatrzymała ją i zmusiła do odwrócenia się. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, który śmierdział alkoholem.

– Nigdzie nie pójdziesz – wymamrotał Anglik. – Kobieta nie powinna szwendać się sama o tej porze... – Jego wargi rozciągnęły się w nieprzyjemnym uśmiechu. – Chyba że czegoś albo kogoś szuka...

Bisila usiłowała się wyswobodzić, jednakże tamten nie puszczał. Wykręcił jej ramię na plecy i, popychając ją przed sobą, skierował się ku drugiemu mężczyźnie. Bisila krzyknęła, lecz napastnik zakrył jej usta wolną dłonią i groźnie szepnął do ucha:

– Lepiej bądź cicho.

W rozpaczliwej próbie obrony chciała go ugryźć, ale zareagował błyskawicznie, silniej przyciskając rękę do jej warg i jednocześnie zwracając się do swojego towarzysza:

– Patrz, co znalazłem!

Ten drugi podszedł bliżej. Też cuchnął alkoholem. Wyciągnął kościstą rękę i zsunął Bisili chustkę z głowy.

– Kto by się spodziewał, że i tutaj czeka nas trochę zabawy – rzucił z dziwnym, obcym Bisili akcentem. – Tak, tak. Prawdę mówili... – Zachichotał. – Po tym, co wzięliśmy, ochota człowieka nie opuszcza. – Przysunął swój ostry nos do Bisili i zaczął przypatrywać się pożądliwie jej twarzy i ciała. – Niezbyt dobrze cię widzę. – Pomacał jej policzki, piersi i biodra, po czym skinął głową z uznaniem. – Mmm... Jest lepiej, niż się spodziewałem.

Przerażona Bisila szarpnęła się gwałtownie, jednakże facet stojący za nią wygiął jej ramię tak mocno, że obawiała się, czy go jej nie złamał. Po policzkach popłynęły jej łzy.

– Wsadź jej chustkę do ust, Pao – nakazał Anglik – i wyciągnij z samochodu Jacoba.

Bisila uchwyciła się tej ostatniej nadziei: Jacobo ją przecież rozpozna i puści wolno!

Pao otworzył drzwi pick-upa i tak długo nalegał, aż siedzący w środku mężczyzna

wytoczył się na zewnątrz. Jacobo ledwie się trzymał na nogach. Anglik przemówił do niego głośno i wyraźnie:

– Ej, Jacobo! Ocknij się! Jeszcze nie koniec zabawy! Znasz jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się nacieszyć tym cackiem?

– Może w suszarni? – spytał Pao. W jego głosie pobrzmiwała ta sama niecierpliwość, która błyskała w jego oczach.

Jacobo z trudem zbierał myśli. Euforia wywołana przez mieszaną wybuchową złożoną z alkoholu i korzenia ibogi ustąpiła zaburzeniom postrzegania. Wcześniej tylko parę razy odważył się spróbować tego mocnego narkotyku, którego tubylcy masowo używali do zwalczania głodu i pragnienia w ekstremalnych warunkach pracy. Korzenie i kora tego niedużego i na pozór niewinnego krzaczka o wąskich liściach, małych jaskrawych kwiatach i pomarańczowawych owocach wielkości oliwek, zażywane w niewielkich ilościach, działały pobudzająco i podniecająco; w dużych – wywoływały halucynacje. Dawka przyjęta tego wieczoru przez Jacoba sprawiła, że znajdował się w stanie pomiędzy ekscytacją a delirium.

– Jest takie pomieszczenie... gdzie się... przechowuje... tutaj obok... – odwrócił się i wskazał jakieś drzwi – ...puste worki... tutaj, tak. – Podszedł i oparł się o nie. – Będzie... wygodnie – dodał, śmiejąc się głupawo.

Anglik gwałtownie popchnął Bisilę.

– No! Rusz się!

Mijając Jacoba, Bisila usiłowała pochwycić jego spojrzenie. Anglik wciąż ją popychał, a ona opierała się z całych sił, usiłując błagalnym wzrokiem ściągnąć na siebie uwagę Jacoba. Wreszcie jej się to udało, ale stwierdziła ze zgrozą, że jego szkliste oczy jej nie rozpoznają. Narkotyk działał. Zaszlochała, dobrze wiedząc, co się zaraz stanie, świadoma, że nie zdoła temu zapobiec.

Anglik rzucił ją na stertę pustych, szorstkich worków, położył się na niej i rozdarł jej sukienkę. Był tak silny, że jedną ręką bez trudu przytrzymał jej ramiona unieruchomione nad głową. Wolną dłońią przesuwiał po jej ciele z niezgrabnym pośpiechem kogoś, komu zależy wyłącznie na zaspokojeniu własnych instynktów. Bisila odwracała głowę, lecz nie mogła uciec od śmierdzącego oddechu, który wydobywał się z jego ust razem ze strużką śliny, spływającą na jej szyję i piersi.

Chciała umrzeć.

Wygięła się spazmatycznie, jak wąż żywcem ciśnięty w ognisko. Próbowwała krzyknąć, ale chustka wepchnięta głęboko do gardła wywoływała odruch wymiotny. Szlochała, skowytała i wierzgała, aż pięść, która nagle spadła na jej głowę, pozbawiła ją świadomości. Spośród mgły wynurzał się niekiedy obraz męskiej twarzy, któremu towarzyszyło uczucie, że jakaś ręka wsuwa się między jej uda i że wbija się w nią coś twardego, a potem inna twarz, inny oddech, inne ciało, kolejne sztychy twardego, wbijającego się w nią przedmiotu, a potem cisza, przerwa, śmiechy i głosy, i jeszcze inne ciało, jeszcze inna twarz.

Jacobo.

Spośród mgły wynurzały się teraz znajome rysy trzeciego z mężczyzn, którego twarz kołysała się tuż nad jej szyją, oddalając się o kilka centymetrów i znów przybliżając.

– ...aobo... – wymamrotała Bisila.

Słyszając swoje imię, Jacobo zastygł. Bisila podniosła głowę i wczepiła się w niego oszalałym spojrzeniem.

Znowu śmiechy.

– No, dalej, Jacobo. Chyba jej się podobasz!

– Tak to już z tymi dzikusami jest: trzeba nalegać, pokazywać im, co dla nich dobre.

– Długo się nie opierają...

Jacobo trwał w bezruchu, oszołomiony wyrazem tych przejrzystych oczu, które starały się zawładnąć jego mózgiem. O co prosiły? Czego żądały?

– No, kończ już!

Raz jeszcze śmiechy.

Słaby promyk nadziei stłumiony przez odbieraną wszystkimi zmysłami rzeczywistość. Jacobo podejmujący swoje rytmiczne ruchy, dyszący Bisili w ucho, przyspieszający, rozlewający się po ukochanym przez jego brata ciele, upokarzający oddaną jego bratu duszę, miękko składający głowę na ciemnej piersi...

Długi rozpaczliwy jęk.

Jakieś ramiona odciągające Jacoba do tyłu.

– Koniec. Idziemy. A ty, czarnucho, gęba na kłódkę.

Anglik rzucający jej kilka banknotów.

– Masz, kup sobie nową sukienkę!

A potem cisza.

Całe wieki ciszy, aż w końcu zupełnie wraca świadomość.

Czarna, pobita i zgwałcona kobieta. Jakakolwiek czarna kobieta sponiewierana przez jakiegokolwiek białego mężczyznę. Wszystkie czarne kobiety maltretowane przez białych mężczyzn.

A jeszcze niedawno – Bisila z Bissappoo, żona Kiliana z Pasolobino.

Gdy otworzyła oczy, czuła się jak sterta śmieci porzuconych wśród pustych worków.

Simón usłyszał hałas, może krzyk, ale nie zwrócił na to większej uwagi. W sobotnie wieczory w położonych obok sypialni białych pokojach służby, gdzie nadal mieszkał, choć nie pracował już jako boy *massy* Kiliana, krzyki i śmiechy słychać było często do białego rana.

Przewrócił się na drugi bok z zamiarem, że będzie spać dalej. Ale nie. Wybudził się. Głośne oddechy i pojedyncze chrapnięcia dowodziły, że jego koledzy śpią spokojnie. Otworzył drzwi, by wpuścić trochę świeżego powietrza, i znów się położył. Płynąca z zewnątrz wilgoć świadczyła o tym, że padało. Jacyś mężczyźni wchodzili po schodach, potykając się i śmiejąc. Rozpoznał głosy Jacoba i jego przyjaciół, Anglika i Portugalczyka. Nieźle się spili. Niespecjalnie go to dziwiło. Jacobo upijał się do nieprzytomności jedynie wtedy, gdy balował z tymi dwoma.

Minęli jego uchylone drzwi. Simón dosłyszał fragment ich rozmowy i dopiero wtedy się zaniepokoił. Wstał, wciągnął spodnie, wziął lampę i zszedł na dół. Dotarłszy na środek dziedzińca, zatrzymał się. Nic nie słyszał ani nie widział. Zapalił lampę i ruszył z powrotem. Dostrzegł źle zaparkowaną w podcieniach furgonetkę oraz, kawałek dalej, otwarte drzwi do kanciapy z workami. Gdy zajrzał do środka, dobiegł go jęk.

– Jest tu kto? – rzucił w ciemność.

Zamiast odpowiedzi – kolejny jęk.

Zbliżył się ostrożnie.

– Kto to?

– Potrzebuję pomocy – wycharczała Bisila.

Jednym susem znalazł się przy niej i ukląkł. W świetle lampy zobaczył, że jest mocno poturbowana. Miała zakrwawioną twarz i całe ciało. Nie ruszała się. W jednej dłoni trzymała mokrą chustkę.

– Co ci się stało? – spytał przerażony Simón, przechodząc na ich ojczysty język. – Co ci zrobili?

– Muszę się dostać do szpitala – odrzekła zgaszonym głosem.

Simón pomógł jej dźwignąć się na nogi. Bisila, nie mogła ruszać jedną ręką, z trudem poprawiła ubranie. W chłopaku wzbierała wściekłość.

– Wiem, kto to był! – wycedził przez zęby. – Zapłacą za to!

Bisila wsparła się na jego ramieniu i dała znak, że chce iść. Musiała się wydostać z tego przekłętego miejsca.

– Nie, Simonie. – Delikatnie zacisnęła palce na jego dłoni. – To, co się zdarzyło, nie wydobędzie się poza te cztery ściany. – Zamknęła drzwi i wyszli na dziedziniec. – Obiecuj mi, że nic nikomu nie powiesz.

Simón wskazał na jej zakrwawione oko.

– A jak ukryjesz obrażenia? – zaprotestował. – Jak wytłumaczysz Mosiemu problemy z ramieniem?

– Moje ciało niewiele dla mnie znaczy, Simonie – odparła z przygnębieniem Bisila.

Jednakże Simón, owładnięty furją, nie słuchał.

– I co się stanie, jak o wszystkim dowie się Kilian?

Bisila zatrzymała się gwałtownie i zwróciła w jego stronę.

– Kilian nie dowie się o tym nigdy. Słyszysz, Simonie? Nigdy!

Chłopak niechętnie skinął głową i ruszyli dalej.

Kilian się nie dowie, pomyślał Simón, ale tamci zapłacą za to, co zrobili.

W szpitalu Bisila wyjaśniła mu, jak nastawić wywichnięte ramię. Włożyła między zęby patyczek i zamknęła oczy w oczekiwaniu na szarpnięcie. Gdy nastąpiło, krzyknęła i zemdlała. Gdy odzyskała przytomność, sama opatrzyła sobie rany i unieruchomiła rękę.

Potem Simón odprowadził ją do domu. Zanim weszła do środka, odczekała chwilę, nasłuchując. Na szczęście Mosi i Iniko spali. Przywykli do jej nocnych nieobecności. O jej stanie mieli się dowiedzieć dopiero rano.

Simón wrócił do siebie, nadal dygocąc z gniewu.

To co zaszło tej nocy nie było niczym nowym w historii wyspy pod rządami białych. Stanowiło jeden ze sposobów, w jakie kolonizatorzy narzucali miejscowym swoją władzę. Zmaltretowana, zastraszona kobieta nawet nie próbowała oskarżać gwałciciela. W każdym sądzie usłyszałyby przecież, że sama się o coś takiego prosiła.

Leżąc w łóżku, Simón wciąż widział przed oczyma sponiewierane ciało Bisili. Wedle prawa byli teraz oboje takimi samymi Hiszpanami jak ci z Madrytu. Zacisnął pięści.

Wierutne łgarstwo! Biali pozostali białymi, a czarni – czarnymi, nawet jeśli czarnym pozwolono chodzić do kina i barów. Przez całe wieki nic się nie zmieniło. I niepodległość też niewiele miała zmienić: nie ulegało wątpliwości, że znów znajdą się tacy, którzy przyjadą eksploatować wyspę na oczach jej bezradnych mieszkańców. Najwyraźniej przeznaczeniem Bubich było dostosowywać się z rezygnacją do życzeń innych.

Postanowił porozmawiać z Mosim i o wszystkim mu opowiedzieć.

Mosi będzie wiedział, co robić.

Odnalazł go więc w poniedziałek rano: pracował wraz z innymi w południowej części plantacji. Jego ludzie, ustawieni w szeregach po dziesięciu, wycinali maczetami dżunglę pod nowe uprawy. Simón już z daleka dostrzegł jego górującą nad pozostałymi sylwetkę. Odwołał go na bok.

– Bisilę napadli. Trzej biali. Ja ją znalazłem.

Mosi zaklął i oparł się o drzewo. Simón obserwował, jak jego rysy tężeją.

– Wiesz, kto to był? – spytał Mosi.

Simón przytaknął.

– Podśledzałem ich, jak wracali do swoich pokoi. We trzech. Znam ich. Wiem, kim są.

– Powiedz, jak się nazywają i gdzie ich szukać. Resztą sam się zajmę.

– Dwaj nie mieszkają na plantacji, dziś wyjadą. Znasz ich, to *massa* Dick i *massa* Pao. Słyszałem, jak mówili, że znów się tu zjawią za dwa albo trzy tygodnie.

– A ten trzeci?

Simón przełknął ślinę.

– Ten trzeci to *massa* stąd.

Mosi zacisnął zęby, wpatrując się w niego uporczywie, czekając na trzecie imię.

– Ten trzeci to *massa* Jacobo.

Mosi oderwał się od drzewa, sięgnął po maczetę i przeciągnął grubym kciukiem po ostrzu.

– *Tenki, mi fren* – rzekł powoli. – W razie czego poproszę cię o pomoc.

Potem wrócił do swoich ludzi i podjął pracę, jak gdyby nie usłyszał od Simona niczego szczególnego.

Simón powędrował z powrotem i jakież było jego zdumienie, gdy znalazłszy się na głównym dziedzińcu w Sampace, usłyszał z podcieni, gdzie parkowano samochody, znajomy głos.

Kilian!

Uniósł wzrok ku niebu i poczuł, że w powietrzu coś się jakby zmienia.

Zbliżał się czas huraganów.

Kilian wstał wcześniej, włożył szerokie lniane spodnie i biały bawełniany podkoszulek, po czym wyszedł na galerię. Było chłodno. Deszcze z ostatnich dni przesycały powietrze wilgocią tak przenikliwą i nieprzyjemną, że w pokojach trzeba było uruchomić piecyki. Dlatego postanowił przebrać się w koszulę z długim rękawem i marynarkę. Następnie wrócił na galerię, głęboko westchnął, zapalił papierosa, oparł się o zieloną barierkę i popatrzył w stronę obrzeżonej palmami drogi wjazdowej.

W normalnych warunkach poranna cisza wydałaby mu się krzepiąca. Ostatnio jednak zbyt wiele czasu spędzał w ciszy. Simón zrobił się milkliwy i wyraźnie go unikał. José coś przed nim ukrywał. Traktował go wprawdzie ze zwykłą serdecznością, niemniej ewidentnie coś ukrywał. A Bisila...

Bisila nie chciała się z nim spotkać.

Zaraz po przyjeździe popędził do szpitala, by ją zobaczyć. Był pewien, że po długich miesiącach rozłąki i tęsknoty natychmiast wylądują w składziku z nieużywanymi łózkami. Tymczasem zastał Bisilę szczuplejszą niż zwykle, smutną, z zabandażowanym ramieniem i spuchniętą twarzą. Mimo to krzątała się pracownicy, traktując pacjentów z typową dla siebie uprzejmością. Uprzejmością, którą zastąpiła chłodem, gdy zwróciła się do niego, by mu wyjaśnić, że potrafiła ją cofająca ciężarówka.

Kilian nie uwierzył w ani jedno słowo. Pomyślał nawet, że może Mosi ją pobił, czemu zaprzeczyła. Więc... Skąd taka zmiana w jej zachowaniu?

A przecież tak tęsknił! Tak strasznie tęsknił!

Od tamtej pory czekał, aż którejś nocy Bisila zapuka do jego pokoju. Ale tego nie zrobiła.

Oparty o balustradę znów głęboko westchnął. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że nie robi tego nigdy więcej. Musiało się zdarzyć coś strasznego, skoro nie chciała go widywać. Przymknął oczy, wspominając ich ślub.

„Będę ci wierna, powiedziała wtedy, przynajmniej w sercu, zważywszy na okoliczności”.

Jakież okoliczności mogły być okropniejsze od tych, które zmuszały ich do ukrywania się całymi latami? W jaki sposób Mosi mógł odkryć zdradę żony akurat wtedy, gdy on, Kilian, przebywał w Hiszpanii?

Nie. Coś tu się nie zgadzało.

Ciszę przerwało wycie syren sygnalizujące początek dnia pracy. Kilian nie lubił tego przejmującego dźwięku, który zastąpił bicie w bębny. Słyszał, jak na głównym dziedzińcu stopniowo wzrasta ruch. Odgłosy krzątania i warkot samochodowych silników przypomniały mu, że powinien się spieszyć, jeśli przed pracą chce zjeść śniadanie.

Chwilę później do jadalni wsunął się półprzytomny Jacobo. Nie wyglądał najlepiej.

– Oto opłakane skutki weekendu w Santa Isabel – rzucił lekko Kilian.

Jacobo pokręcił głową.

– Umówiłem się z Dickiem i Paem, ale nie przyjechali. To nawet lepiej. Po naszej ostatniej wspólnej imprezie przysięgam sobie, że w ogóle przestanę pić.

– I co robiłeś bez nich? – spytał drwiąco Kilian.

– Odwiedziłem kilka dawno niewidzianych przyjaciółek... Zabrały mnie do kina... – Jacobo wzruszył ramionami. – To był bardzo spokojny weekend. Nie rozumiem, dlaczego czuję się tak, jakbym wpadł pod pociąg. – Podniósł rękę do czoła. – Chyba mam gorączkę.

Kilian nalał mu kawy.

– Napij się. Kawa dobrze ci zrobi.

– Nie chcę.

To, owszem, stanowiło pewną nowość.

Dlatego Kilian wstał i powiedział:

– Chodź, odprowadzę cię do szpitala.

Pomyślał, że przy odrobinie szczęścia zostanie tam Bisilę.

Kilian był przekonany, że Jacobo dostał ataku malarii. Jego brat często zapominał o regularnym łykaniu chininy i niejednokrotnie, zwłaszcza po pijatyce, zanieczywiał zaciągnięcia wokół łóżka moskitiery. Ogólne zmęczenie i ból w mięśniach, dreszcze i gorączka, ból głowy i gardła, a także utrata apetytu były typowymi objawami zimnicy. Czekają go tygodnie w szpitalu, co jego bratu dostarczało idealnego pretekstu, by codziennie widywać Bisilę, przyglądać się jej i wyciągnąć z niej wreszcie, co się właściwie stało.

– Syfilis? – Kilian wytrzeszczył oczy. – Ale... Jak to możliwe?

Manuel uniósł brew.

– Przychodzi mi do głowy parę sposobów złapania go... – rzucił z ironią. – Potrzymano tu Jacoba ze trzy tygodnie. Później miesiącami będzie musiał brać lekarstwa. Po tym na pewno znacznie bardziej uważać.

Energicznie zamknął torbę i odszedł.

Kilian dłuższą chwilę stał przed drzwiami, nie mając odwagi wejść do pokoju. Owszem, chciał mieć pretekst do odwiedzania Bisili, ale było mu przykro, że Jacobo choruje na syfilis. Straszne świństwo. Przyglądził włosy, odetchnął głęboko i złapał za klamkę.

Jacobo spał. Kilian usiadł na krześle. Wszystko to przypominało mu niemal zapomniane sceny przed śmiercią ojca. Ile godzin spędził wtedy, siedząc tak u boku Antona! Od tamtej pory minęła cała wieczność!

Uśmiechnął się pod nosem, wspominając, jak czarownik z Bissappoo rozkładał na ciele ojca swoje amulety. Gdyby nie przyjaźń z Josem, on, Kilian, nigdy by nie wpadł na taki pomysł. Pamiętał, że Jacobo wpadł wówczas w furję. Może należałoby i teraz posłać po miejscowego znachora, pomyślał złośliwie.

Ktoś zapukał do drzwi. Gdy w progu pojawiła się Bisila, Kilian zerwał się na równe nogi. Popatrzyła na niego ze zdumieniem i przeniosła wzrok na łóżko. Rozpoznawszy Jacoba, jęknęła i upuściła tackę, którą nie bez trudu trzymała w jednej dłoni.

Zastygła, jakby wrosnięta w ziemię.

Kilian zbliżył się i zebrał rozsypane na podłodze narzędzia. Potem łagodnie przesunął Bisilę, by móc zamknąć drzwi, i przystanął tuż obok niej.

Oddychała ciężko. Nie była w stanie wykrztusić słowa.

Kilian objął ją i zaczął głaskać po włosach.

– Co się dzieje, kochana? – szepnął jej do ucha. – Co dręczy moją *muarána muèmuè*?

Bisila dygotała w jego ramionach.

Lekko kiwając w stronę Jacoba, spytała:

– Co jest twojemu bratu?

Kilian odsunął się odrobinę, by ją widzieć.

– Nic, czego by sam nie szukał – odrzekł. – Syfilis.

Bisila mocno zacisnęła wargi, podbródek jej zadrżał, a oczy zwilgotniały. Musiała

bardzo się starać, by ucisk, który czuła w piersi, nie doprowadził jej do płaczu.

– Syfilis! – powtórzyła głosem pełnym nienawiści. – *Na á'a pa'o buáa.*

– Co takiego?

Nie odpowiedziała. Zaczęła szlochać, oswobodziła się z jego uścisku, spojrzała dziwnym wzrokiem i pędem wypadła z pokoju. Kilian wsparł się o framugę otwartych drzwi. W spojrzeniu Bisili były nienawiść, złość i wyrzut, owszem, ale również głęboki, zaprawiony goryczą smutek.

Nagle zrobiło się zamieszanie, na dworze jacyś zdyszani mężczyźni wołali doktora, trzaskały drzwi. Kilian wyszedł na korytarz.

Manuel klęczał przy ciężko rannym białym mężczyźnie spoczywającym na prowizorycznych noszach. Kilian zauważył, że kręci głową, wyraźnie zaniepokojony. Wokół tłoczyli się rozemocjonowani ludzie, uniemożliwiając Kilianowi zorientowanie się, o kogo dokładnie chodzi.

Przyjrząwszy się ich twarzom, Kilian rozpoznał któregoś z pracowników Mosiego. Podszedł i spytał, co się stało. Tamten, bardzo wzburzony, odpowiedział mieszaniną hiszpańskiego i pichi. Wtedy wtrącił się inny, potem jeszcze inny, i tak, wśród machania rękoma, okrzyków i westchnień wspólnie przedstawili Kilianowi przebieg zdarzeń.

Brygada Mosiego jak co dzień ruszyła z samego rana wycinać dżunglę. Szli w luźnych szeregach po dziesięciu, tnąc zarośla maczetami, gdy nagle jeden z nich krzyknął, ponieważ coś zobaczył. Zaraz potem, przerażony, uciekł, a reszta dopiero po chwili zrozumiała powód jego strachu. Z gałęzi pobliskich drzew, kołysząc się na wietrze, zwisały dwa nagie, skatowane ciała białych mężczyzn z rozkrzyżowanymi rękoma. Żeby zadać nieszczęśnikom jeszcze więcej cierpienia, ktoś obciążył im stopy wielkimi kamieniami. Jeden z mężczyzn już nie żył, gdy zdjęli go z gałęzi. Drugi wciąż oddychał.

Kilian przepchnął się przez tłumek i ukląkł obok Manuela. Ranny miał sińce i inne obrażenia na całym ciele, głęboko rozorane nadgarstki i kostki, oddychał z trudem. Kilian zagapił się na jego twarz: w otwartych oczach, które zdawały się oczyma dzikiego zwierzęcia, malowało się szaleństwo.

Rozpoznał Anglika i krew zastygła mu w żyłach.

– Znasz go? – spytał Manuel.

– To Dick, jeden z przyjaciół mojego brata. Mieszkał w Duali, ale jakiś czas temu przeniósł się do Baty. Myślałem, że ty też go wcześniej spotkałeś.

– Dlatego wydał mi się znajomy... Czy on nie łąził zawsze z tym...? – Manuela naszło przeczucie. Wstał i kazał przenieść Dicka do pokoju zabiegowego, choć minę miał taką, jakby niewiele mógł zrobić. Mężczyźni się rozstąpili.

Zaraz potem wniesiono ciało drugiego z białych. Wyglądał tak samo okropnie jak Anglik. Twarz miał zakrytą koszulą.

Kilian uniósł jej skraj.

– To Pao... – Nerwowo potarł podbródek. – Kto mógł się czegoś takiego dopuścić?

Mężczyźni dookoła zaczęli szeptać. Kilian wychwytywał tylko pojedyncze słowa: „biali”, „duchy”, „zemsta”... Manuel ujął go pod ramię i odprowadził na bok, by równie cichym głosem powiedzieć:

– W kiepskim momencie to się stało, Kilianie. Sytuacja Europejczyków zaczyna się

przedstawiać nieciekawie. Jak wieść się rozejdzie, niejeden postanowi wyjechać. Nie wyczuwasz wokół strachu? A teraz tubylcy skorzystają z okazji, by twierdzić, że to wszystko zemsta duchów...

– Nie rozumiem – przerwał mu Kilian. – Co mają z tym wspólnego duchy?

– Dwóch białych zamordowanych dawnym sposobem...? Pójdzie plotka, że duchy mają już nas dosyć. O, to nie jest przypadek! Ludzie się burzą.

Kilian przez chwilę milczał. Zerknął na ciało Portugalczyka i rzekł:

– Obiecali mojemu bratu, że wpadną na weekend, ale się nie pojawili. Zdziwił się, że nie dali mu znać.

– Powiedz Jacobowi, żeby uważał.

– Dlaczego tak mówisz? Czy w takim razie my dwaj też powinniśmy mieć się na baczności?

Manuel wzruszył ramionami, rozłożył ręce i wykrzyknął:

– Tak, pewnie tak! Zresztą nie wiem. Wszystko się zbyt skomplikowało.

Potem ruszył do gabinetu zabiegowego, poleciwszy kilku mężczyznom, by zanieśli nieboszczyka do prowizorycznej kostnicy, do czasu, aż kierownictwo plantacji zdecyduje co z nim – a raczej z nimi, bo Anglik przecież dogorywał – dalej zrobić. Można było odesłać ich do Portugalii i Anglii albo pochować w Santa Isabel.

Gdy wynoszono Paa, Kilian odprowadził go wzrokiem. Chwilę później niosący ciało mężczyźni zatrzymali się nagle.

Kilian zobaczył, że Bisila na moment unosi skraj koszuli zakrywającej twarz zabitego. Później złożyła ręce, zacisnęła ja na wysokości piersi i przez chwilę trwała w bezruchu, z zamkniętymi oczyma. Nie zauważyła, że Kilian przypatruje się jej z uwagą.

Obok jakieś pielęgniarki szeptały coś między sobą w języku bubi. Kilian odwrócił się ku nim i spytał:

– Co znaczy zdanie, które brzmi jakoś tak: „Na á’a pa’o buáa”?

Jedna z dziewczyn spojrzała na niego zaskoczona i odparła:

– To znaczy: „Oby umarł”.

Kilian zmarszczył brwi.

Dwóch mężczyzn zginęło, a Bisila życzyła śmierci trzeciemu.

Josego i Simona odnalazł w magazynie. Wieści rozchodziły się na plantacji szybko i wszyscy już wiedzieli, że zamordowano dwóch białych.

– A wy jak myślicie? – Kilian od razu przeszedł do rzeczy. – To sprawa żywych czy umarłych?

José przymrużył powieki i nic nie odpowiedział. Nie ulegało wątpliwości, że Kilian jest w złym humorze.

Simón stanął tuż przed nim.

– A ty jak myślisz, *massa*? – spytał ostro. – Sądzisz, że zrobił to któryś z nas, pokojowo nastawionych Bubich? A może jakiś Fang, korzystając z wakacji na wyspie? Ewentualnie Nigeryjczyk oddający się czarnej magii? Założę się, o co zechcesz, że ani na moment nie przyszła ci do głowy inna możliwość: porachunki między białymi.

José gestem nakazał mu milczenie. Kilian patrzył na niego twardym wzrokiem.

– Biali – wycedził – nie wieszają swoich ofiar na drzewach, z kamieniami u stóp dla

spotęgowania tortury.

– Jasne, że nie – odparł Simón, wciąż tym samym tonem. – Mają inne sposoby...

Kilian nie wytrzymał.

– Simón! Czy chcesz mi coś powiedzieć? – Zaciskał pięści, a z oczu sypały mu się iskry. – A ty? – zwrócił się z kolei do Josego. – Co przede mną ukrywasz? Myślałem, że się przyjaźnimy! – Gestykułując gwałtownie, wielkimi susami zaczął krążyć dookoła. – Ja zwariuję! Coś tu się stało pod moją nieobecność! Coś, co ma związek z Dickiem, z Paem... – Umilkł na moment. – I z moim bratem!

José zerknął na Simona, który odwrócił się szybko, by ukryć przed Kilianem wyraz twarzy.

Kilian podszedł bliżej.

– Co oni zrobili, José? Kto się na nich mści? – Złapał Simona za ramię, próbując go onieśmielić swoją posturą, chcąc zmusić, by na niego spojrział. – Co, do wszystkich diabłów, nawyczyniał mój brat? Jego też chcecie powiesić na jakimś drzewie?

José otworzył usta i zaraz z powrotem je zamknął.

Minęło kilka minut. Napięcie między nimi trzema tylko rosło.

– My nic ci nie powiemy – oświadczył w końcu José.

– Jeśli nie wy – warknął Kilian – to kto? – Zrozpaczony spojrział ku niebu i, nie oczekując już odpowiedzi, dodał: – Bisila?

Simón odchrząknął.

– Tak – szepnął niemal niedosłyszalnie.

Kilian poczuł, że siły go opuszczają.

Przypomniał sobie unieruchomione ramię Bisili, jej poranioną twarz i duszę, i nagle wszystko zrozumiał, i zachciało mu się wymiotować.

Bisila pragnęła zobaczyć twarz zamordowanego! I życzyła śmierci Jacobowi!

Co jej zrobili? Oparł się o ścianę, żeby nie upaść.

To nie mogła być prawda! Jego brat... Nie!

Jacobo zawsze przesadzał z imprezowaniem, ale nigdy nikogo nie skrzywdził. Mężczyźni z Rabaltué nie gustowali w przemocy! Dlaczego to wszystko się działo?

Wtedy pomyślał o chorobie brata, o syfilisie, i znów poczuł mdłości.

Zamierzał go zabić. O, tak! Własnymi rękoma!

José podszedł i pocieszającym gestem położył mu rękę na ramieniu. Kilian się odsunął. Zacerpnął powietrza, usiłując się opanować. Nie miał w sobie nic poza nienawiścią.

– Jeszcze dwa pytania, José. I chcę, żebyś mi na nie odpowiedział – rzucił z groźbą w głosie. – Czy Mosi wie?

– Sam mu powiedziałem – oznajmił Simón.

– A drugie – podjął Kilian – czy zaatakuje Jacoba.

José skinął głową.

– Pozwól mu uczynić to, co do niego należy – rzekł ze smutkiem. – To nie twoja sprawa.

Kilian kilkakrotnie zacisnął dłonie.

– Nie mów mi, co mam robić, José! – krzyknął.

– Jak się wtrącisz – zauważył cicho Simón – Mosi dowie się o was dwojgu i skończysz razem z Jacobem na drzewie.

Kilian, bezradny, znów oparł się o ścianę.

– W takich przypadkach – stwierdził José – białe prawo nie działa. Zaakceptowałem i zrozumiałem twój związek z Bisilą, ale obawiam się, że inni oskarżyliby ją o cudzołóstwo. Jeśli naprawdę ją kochasz, będziesz się trzymał z boku i zachowywał jak gdyby nigdy nic. Później wszystko wróci do normalności.

Kilian przesunął dłonią po czole i w końcu się wyprostował.

– Po tym nie będzie już normalności, do której można by wrócić – szepnął.

I poszedł do siebie.

Musiał się zastanowić.

Nie odwiedzał brata w szpitalu przez dwa tygodnie. Nie obchodziło go, czy tamten dziwi się jego nieobecności i czy mocno przeżył śmierć przyjaciół. Bał się zostać z nim sam na sam, bo wciąż nie przeszła mu ochota, by go obić. Cały czas nic – tylko marzył o tym, by zrobić mu jakąś krzywdę, i... bał się zemsty Mosiego. Chwilowo miał pewność, że Jacobo jest bezpieczny, bo olbrzym nie odważyłby się podnieść na niego ręki w szpitalu. Siebie samego nie był już tak bardzo pewien. Jedynie intensywna aktywność na świeżym powietrzu pozwalała mu się jako tako kontrolować.

Jak jego brat mógł popełnić czyn równie potworny i niewybaczalny? Jak mógł go tak zranić, raniąc tę, którą on, Kilian, najbardziej kochał?

Z całej siły zamachnął się maczetą na kakaowiec. Uderzenia spadły na czerwonawe, dojrzałe owoce, zostawiając na nich blizny cięć i odsłaniając znajdujące się w środku ziarna. Zatrzymał się, uspokoił oddech i owładnięty wyrzutami sumienia potrząsnął głową.

Dlaczego sam wcześniej nie wyznał bratu, że Bisila jest jego kobietą? Gdyby Jacobo to wiedział, nigdy by jej nie tknął. Krzyczałby pewnie, próbowałby mu wybić ją z głowy, ale nic więcej. Nawet on respektował pewne granice.

Tyle że także wtedy mógłby Bisili po prostu nie rozpoznać... Kilian poczuł, że wszystko się w nim gotuje. Żadna kara nie była wystarczająca w obliczu szkód, jakie wyrządziło tych trzech...

Przywołał obraz zmasakrowanych zwłok Dicka i Paa. Wyobraził sobie, jak musieli cierpieć, zanim śmierć przyniosła im ulgę. Zakłuło go w piersi. Czy powinien czekać z założonymi rękoma, aż Mosi sięgnie po Jacoba? Na wszystkie świętości! Oczywiście, że nie! Tyle razem przeżyli... Tyle mieli wspólnych wspomnień... Obaj pochodzili z Rabaltué...

Nie było innego wyjścia. Musiał z Jacobem porozmawiać. Nic nie mogło usprawiedliwić tego, co uczynił, ale należało ocalić jego życie. Mimo wszystko Jacobo wciąż pozostawał jego bratem. On, Kilian, musiał go ostrzec.

A potem co? Czy mieli zwrócić się do władz i wszystko opowiedzieć? Wtedy aresztowano by Mosiego. Przez chwilę myślał, że to dobry pomysł, ale zaraz zmienił zdanie. Przypomniał sobie ostrzeżenia Josego i Simona. Afrykanie rozwiązywali swoje problemy na swój sposób. Tak. Gdyby złożył donos, w każdej chwili mógłby się spodziewać, że przyjdą i po niego – za to, że wydał współpracownika, że przeszkodził

mężowi zgwałconej kobiety w wyegzekwowaniu prawa zemsty. Oko za oko, ząb za ząb.

Nie mieszaj się, Kilianie, pomyślał. Nie mieszaj się. Przecież chcesz jedynie odzyskać Bisilę. Popatrzeć jej w oczy, zatopić się w nich, aż czas znów się zatrzyma i znów zostaniecie na ziemi we dwoje, stopieni w jedno.

Oparł się o drzewo, które chwilę wcześniej pokiereszował maczetą. Przymknął oczy, zmartwiony tarł czoło. Nie było innego wyjścia. Musiał ostrzec Jacoba. A co jego brat mógł zrobić później, obchodziło go tyle samo, ile walające się u jego stóp zmasakrowane jagody kakaowca.

Gdy wszedł do pokoju, Jacobo siedział oparty o zagłówek łóżka i kończył posiłek. Na widok brata pospiesznie odstawił tacę na stolik i spuścił nogi na ziemię.

– Kilian! – wykrzyknął radośnie. – Dni w szpitalu dłużą się w nieskończoność! – Wstał i ruszył w stronę brata. – Czemu nie przyszedłeś wcześniej? Cóż, przypuszczam, że Garuz i tak się wścieka, że jeden z nas wypadł z gry.

Kilian stał bez ruchu, obserwując brata i usiłując się kontrolować. Jego wesołość dowodziła, że nic nie wiedział o śmierci Dicka i Paa. Być może Manuel nie chciał dodatkowo obciążać chorego.

Jacobo chciał brata uścisnąć, ale Kilian się cofnął.

– Ej! To nie jest zaraźliwe! – Jacobo spuścił głowę, zawstydzony. – Ostatnio przypominałem sobie słowa ojca Rafaela, który zawsze powtarzał, że im dłużej wytrzymamy bez kobiety, tym lepiej dla naszego zdrowia i kieszeni.

Kilian przymknął powieki, odetchnął głęboko i bezdźwięcznym głosem rzucił:

– Usiądź.

– O! Czuję się doskonale! Poza tym leżę całymi dniami. Chętnie się trochę poruszam.

– Powiedziałem, żebyś usiadł – wycedził Kilian.

Jacobo posłusznie wrócił na łóżko. Wyraz twarzy Kiliana świadczył o tym, że młodszy brat przejmuje się czymś innym niż jego chorobą.

– Co się stało?

Kilian, bez ogródek, odpowiedział pytaniem:

– Słyszałeś o swoich przyjaciółach? Mam na myśli Dicka i Paa.

– Co z nimi? Też złapali syfa?

– Kilka dni temu znaleziono ich martwych. Na drzewie. Zmasakrowanych.

Jacobo otworzył usta i wydał stłumiony okrzyk, ale nic nie powiedział. Kilian obserwował jego reakcję. Po chwili brat drżącym głosem spytał:

– Ale... Jak to możliwe? Dlaczego?

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

– Nie rozumiem. Ja nic nie wiem. Mówiłem ci, że obiecali mnie odwiedzić i nie dotrzymali słowa. – Jacobo przerażony wytrzeszczył oczy. – A przyjechali i zostali zabici! Ale kto...? Myślisz, że to ze względu na kolor skóry?

– Nie. – Kilian postąpił kilka kroków do przodu. – To ze względu na coś, co zrobili w czasie swojego ostatniego pobytu na wyspie. Ze względu na coś, co ty też zrobiłeś.

– Ja nic nie zrobiłem! – Jacobo przeszedł do defensywy. – Nigdy nie pakuje się w kłopoty. A w ogóle można wiedzieć, co z tobą? Tamtego dnia pojechaliśmy do miasta i piliśmy jak Kozacy. Ja nawet nie pamiętam, jak trafiłem do łóżka. No, dobra, może

jeszcze spróbowałem tej całej ibogi, ale to tyle.

– I nie kontynuowaliście zabawy tutaj, z jakąś „przyjaciółką”? – Kilian z trudem wymawiał kolejne słowa.

Do Jacoba wróciły jakieś niewyraźne wspomnienia: ciemne miejsce, głosy, śmiechy, czyjeś ciało pod jego ciałem, czyjś głos mamroczący jego imię, jasne oczy... Nerwowo oblizał wargi. Nie pojmował, czemu Kilian poddaje go takiemu przesłuchaniu. Wstał i podszedł blisko do brata.

– A ciebie co obchodzi, jak skończyłem ten wieczór? – spytał arogancko.

– Przeklęty draniu! – Kilian rzucił się na niego i zaczął go z całej siły okładać pięściami po twarzy i piersi. – Zgwałciliście ją! Wszyscy trzej! Jeden po drugim!

Jacobo próbował się bronić, ale młodszy brat go zaskoczył, a jego gniew był tak wielki, że on, Jacobo, potrafił uniknąć tylko niektórych ciosów. Zakrył twarz dłońmi i cofał się, aż opadł na krawędź łóżka, przestraszony i zdumiony.

Kilian zaklął i przestał. Krew lejąca się z łuków brwiowych i warg brata spływała między jego palcami na podłogę.

– Wiesz, kto to był?

Jacobo, oszołomiony, pokręcił głową. Odsłonił twarz, szarpnął prześcieradło i przytknął materiał do ran. Nic nie rozumiał. On nikogo nie zgwałcił. I co miał z tym wszystkim wspólnego Kilian?

– Byłem na takim haju, że nie odróżniałem jednej od drugiej.

Kilian znów rzucił się w jego stronę, lecz tym razem Jacobo zdążył zareagować. Zerwał się na nogi, obronnym gestem wyciągnął przed siebie ramiona i próbował pochwycić spojrzenie brata.

– Ja nie wykorzystuję w ten sposób miejscowych kobiet. Przysięgłbym, że chodziło o jakąś przyjaciółkę Dicka.

Kilian zacisnął zęby.

– To była Bisila. Córka Josego.

Jacobo oniemiał. Zamrugał i chciał coś powiedzieć, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło. Kilian przymknął oczy i tonem, jakiego Jacobo nigdy z jego ust nie słyszał, dodał:

– Zgwałciłeś moją kobietę.

Pod Jacobem ugięły się kolana. Ponownie usiadł na skraju łóżka i spuścił głowę.

Jego kobietę? Od kiedy? To naprawdę bolało. W którym momencie oddalili się od siebie tak bardzo, że nie wiedzieli o sobie nawzajem takich rzeczy? Teraz cała ta scena nabierała sensu. Przesadna reakcja Kiliana dowodziła tylko, jak bardzo zależało mu na tej dziewczynie. Co on, Jacobo, najlepszego uczynił?

Kilian podszedł do stojącego pod oknem krzesła, opadł na nie i ukrył twarz w dłoniach. Dopiero po dłuższej chwili wyprostował się i mruknął: – Mosi cię dopadnie. On wie. Zabije cię. – Wstał i skierował się do wyjścia. Z dłonią na klamce powiedział: – Tu chwilowo jesteś bezpieczny.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

W przyległym pokoju Manuel usiadł, wsparł łokcie na biurku, a głowę na rękach. Ktoś zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– Można? – Ojciec Rafael zmarszczył czoło. – Dobrze się czujesz?

– Proszę usiąść. Nie ma powodów do zmartwienia, wszystko w porządku – skłamał Manuel. Kłótnia między braćmi, którą właśnie podsłuchał, zmroziła mu krew w żyłach. – Po prostu ostatnio dużo się dzieje.

– Ludzie są bardzo wzburzeni, to prawda. – Lekko utykając, duchowny podszedł do krzesła, usiadł i skrzyżował pulchne dłonie na wydatnym brzuchu. Stawy jego palców były zgrubiałe, jakby napuchnięte, sztywne i powykrzywiane. – Przed chwilą wpadłem na Kiliana, który nawet się nie przywitał. Ten chłopak... – Ksiądz pokręcił głową. – Wiesz, od jak dawna nie przychodzi na mszę? Och! Jakaż różnica względem ojca! Antón, owszem, skrupulatnie wypełniał obowiązki religijne... Mam nadzieję, że jego syn nie popadł w złe towarzystwo... Coś tam słyszałem, nie wiem, czy ty też...

– Kilian po prostu martwi się o brata – stanowczo oświadczył Manuel. Zasadniczo lubił pogawędki z ojcem Rafaelem, którego uważał za człowieka inteligentnego i zahartowanego przez różne doświadczenia na afrykańskiej ziemi. Niemniej jego skłonność do naprowadzania każdego na właściwą ścieżkę mogła czasem męczyć. – Zwłaszcza po tych morderstwach na jego przyjaciółach.

– A, tak, słyszałem, że szykują się kolejne – odrzekł ksiądz, a Manuel uniósł brwi. – Tyle że nie wiem, czy wierzyć we wszystko, co się mówi... Garuz też nie wie. Jak to możliwe, że coś podobnego zdarzyło się w Sampace? – Zerknął na leżący obok ostatni numer wydawanego przez klaretynów czasopisma. – Czytałeś o Kongu? Znow zamordowali dwudziestu misjonarzy, co sprawia, że liczba duchownych zabitych po wyzwoleniu wzrosła do stu. Nie wspominając już o zaginionych.

– Tutaj to niemożliwe, ojcze. Ojciec spędził na wyspie więcej czasu niż ja, ale chyba się zgodzimy, że miejscowi są raczej łagodni.

– Tak łagodni jak choroba we wczesnym stadium – mruknął ojciec Rafael, machając ręką. – Nawet nie wiesz, że jest jakiś problem, dopóki nie zaczniesz boleć.

– Dostał ojciec już dzisiaj zastrzyk? – Ksiądz coraz częściej zaglądał do szpitala w związku z postępującym reumatyzmem rąk i kolan.

– Jeszcze nie. Nie było tej pielęgniarce, Bisili, tej o rękach anioła. Powiedziano mi, że niedługo się zjawi, więc, czekając, postanowiłem do ciebie zajrzeć.

– Wiem, że nie przejmie się ojciec moimi słowami, ale uważam, że przesadza ojciec z kortyzonem. Właśnie Bisila pokazywała mi ostatnio bardzo skuteczne specyfiki, które przygotowuje na bazie hakorośli z Namibii...

Ojciec Rafael energicznie pokręcił głową.

– Mowy nie ma. Myślisz, że zaufam roślinie, która nazywa się „czarci pazur”? Ciekawe, jakie powoduje efekty uboczne! To już wolę cierpieć bóle...

– Jak ojciec chce. – Manuel wzruszył ramionami. – Choć powinien ojciec wiedzieć, że reumatyzm nie odpuści. Może powinien ojciec rozważyć przeprowadzkę do kraju o innym, suchszym klimacie.

– A co ja bym począł bez moich gwinejskich owieczek? I co one poczęłyby beze mnie? Jeśli taka jest wola Boża, zostanę tu do końca swoich dni, bez względu na to, co się stanie.

Manuel popatrzył ku oknu, przez które wpadały do pomieszczenia ostatnie

promienie zachodzącego słońca. Pomyślał, że ojciec Rafael mówi dokładnie tak samo jak wielu innych pacjentów. Dla niego w grę wchodziła wola boska; dla tamtych – wola duchów. On sam, Manuel, nie zgadzał się ani z nim, ani z tamtymi. Liczyła się wyłącznie wola ludzi, którzy zmieniali świat w cyrk na kółkach.

– Ty i ja, Manuelu – mówił tymczasem duchowny – jesteśmy coś winni tym, którzy nam zaufali. Przecież nie opuściłbyś chorego w środku operacji prawda? A więc...

– Dlaczego mi ojciec o tym mówi?

– Będę z tobą szczery, synu. Rozmawiałem z Julią, która powiedziała mi, że chcesz stąd wyjechać. A ona nie chce.

Manuel zdjął okulary i potarł oczy, trochę zmęczony, a trochę zirytowany tym, że musi z księdzem omawiać swoje prywatne sprawy.

– Julia prędzej czy później zrozumie, że tak będzie najlepiej dla naszych dzieci. Proszę się nie obrażać, ojczy, ale między mną a ojcem istnieje ogromna różnica. Ja mam dwóch synów, których, owszem, potrafię chronić. Gdyby ojciec mógł stąd wywieźć wszystkie swoje owieczki, proszę mi nie wmawiać, że by ojciec tego nie zrobił. I proszę się nie zasłaniać wolą bożą. Widziałem w życiu wielu chorych, ojczy, i zapewniam ojca, że cierpienia duszy są niczym w porównaniu z cierpieniami ciała.

– Och, Manuelu! Szczęśliwcz! Skoro tak mówisz, to znaczy, że nikt cię nigdy naprawdę nie zranił. – Ojciec Rafael wstał z krzesła. – Cóż, nie zawracam ci dłużej głowy. Zajrzę do ciebie kiedy indziej.

Pozostawiony samemu sobie Manuel przez jakiś czas rozmyślał nad słowami duchownego. Może cierpienie duszy naprawdę było gorsze od cierpień ciała. Przypomniał sobie Bisilę. Jej ramię było w coraz lepszym stanie, siniaki znikwały. A jednak żadne lekarstwo, ani zachodnie, ani tradycyjne, nie mogło przywrócić jej radości.

W drzwiach szpitala Bisila dosłownie wpadła na Kiliana. Od razu dostrzegła, co się z nim dzieje. Przez moment stali tuż przy sobie, a on trzymał ją za ramiona, czując, że gniew mu mija.

Odsunęła się powoli, lecz on jej nie puścił.

– Bisilo... – szepnął.

Tak wiele chciał jej powiedzieć. Że za nią tęsknił, że ją kocha, że żałuje, że pragnie jej pomóc i błaga, by mu pozwoliła... Nie miał jednak pojęcia, od czego zacząć.

– Wszystko wiem. Potwornie mi przykro.

Chciał mocno ją przytulić. Chciał zabrać ją z Sampaki do Bissappoo i zamknąć się wraz z nią w chacie, w której kiedyś, w czasach, gdy wszystko przesyciała radość, byli dla siebie nawzajem królem i królową.

Bisila, jakby odgadując jego myśli, przezornie się cofnęła.

– Kilianie... – Od bardzo dawna nie wymawiała jego imienia na głos. W uszach Kiliana zabrzmiało to teraz jak muzyka. Jej głos był spokojny, a on, po koszarnej rozmowie z bratem i udrękach ostatnich tygodni i miesięcy, łaknął spokoju. – Potrzebuję czasu.

Nie mamy czasu, Bisilo, pomyślał. Nasz wspólny czas mija zbyt szybko. Kiedyś się skończy i wtedy będziemy żałować, że nie wykorzystaliśmy go do maksimum.

Skinął głową.

– Ale powiedz mi jedno, Bisilo. – Głęboko zaczerpnął powietrza. To pytanie sporo go kosztowało. – Kiedy Jacobo wyjdzie ze szpitala?

Bisila zacisnęła zęby, odwróciła głowę i utkwiała wzrok gdzieś przed sobą. Gardziła Jacobem tak samo jak tamtymi dwoma. Na widok ich martwych ciał nie poczuła nawet cienia litości. Dostali to, na co sobie zasłużyli. Tyle że konsekwencje ich czynu nie zniknęły wraz z nimi. Nie. Konsekwencje ich czynu miały pozostać w niej, między nią a Kilianem, na zawsze.

Wiedziała, że on spytał ją o to, o co spytał, dlatego, że chce chronić brata. Chronić go przed Mosim. Ale Mosiego nie można było powstrzymać. O, nie. Również Jacobo musiał zapłacić za swój postępek. A Kilian nie powinien jej o niego pytać.

– Muszę to wiedzieć – nalegał.

Spojrzała mu prosto w oczy. Widziała, że jest rozdarty między lojalnością względem niej a pragnieniem uratowania brata. W jej oczach nic nie mogło odkupić tamtych chwil, gdy spocona twarz Jacoba przygniatała jej własną. Kilian natomiast chciał, by pojęła, że bez względu na wszystko Jacobo wciąż jest jego bratem. I prosił ją o pomoc w ocaleniu mu życia. Prosił ją, by wyjawiała mu, gdzie i kiedy ma się dopełnić zemsta Mosiego i, oczywiście, jej własna zemsta. Jak sama by postąpiła na jego miejscu? Ocaliłaby brata? Czy pozwoliła zaślepić się nienawiści?

– W sobotę wieczorem – powiedziała twardym głosem. – Ale mogłeś spytać o to doktora.

– Mosi wie?

Bisila spuściła wzrok i ruszyła do drzwi. Kilian, by ją zatrzymać, błyskawicznie położył dłoń na klamce.

– Sama mnie uczyłaś – wyszeptał – że choćby zły człowiek uniknął kary na tym świecie, zostanie okrutnie ukarany na tamtym. I ja ci uwierzyłem. Więc pozwól, by Jacobem zajęły się *baribò*, duchy przodków.

Bisila przymknęła powieki i wyszeptała:

– Mosi wie. Przyjdzie po niego. Pod wieczór.

Miały upłynąć lata, zanim Kilian wreszcie wyparł z pamięci ciężar ogromnego ciała, które przygniotło go do ziemi, uczucie duszności oraz oszołomienie tempem, w jakim wszystko się stało. Jednakże i potem budził się często pośród nocy, przerażony, że słyszy wystrzał albo że nie może wstać, bo przeszkadza mu w tym coś ciężkiego jak skała.

W sobotę duchy sprzysięgły się, żeby nie dotarł na czas do szpitala. Przeklęta ciężarówka zepsuła się w najodleglejszym zakątku plantacji. Kilian krzyczał na Walda, by ten się pospieszył, by coś zrobił, wszystko jedno co, ale krzyki masy tylko kierowcę denerwowały, utrudniając mu myślenie. Wreszcie ciężarówka ruszyła, lecz zrobiło się późno, a oni nie mogli przekroczyć określonej prędkości. Siedzący obok Kiliana Mateo nic nie rozumiał.

Nabrzmiwająca na horyzoncie, coraz ciemniejsza chmurka świadczyła o tym, że wkrótce świat zamrze na moment, a potem pogrąży się w huku gromów, wyciu wichury i łoskocie łamanych drzew.

Lało już straszliwie, gdy Kilian z trudem wypatrzył przed sobą fasadę szpitalnego

budynku.

To był istny potop.

Kilian założył hełm korkowy, żeby grube, zuchwałe krople nie oślepiły go zupełnie, i wyskoczył z auta. Przez płynną zasłonę dostrzegł, że Jacobo mierzy z pistoletu do Mosiego. Dlaczego ten ostatni okazał się tak nierozsądny, by mścić się zaraz na progu szpitala? A może początkowo chciał pójść za Jacobem dalej, lecz uznał, że dzięki huraganowi nie musi już czekać? Stojący na schodach Manuel rozpaczliwymi krzykami próbował go przekonać, by się zatrzymał. Wiatr i woda głużyły jego słowa.

Mosi się nie bał. Z maczetą w ręku powoli zbliżał się do Jacoba. Jacobo wrzeszczał, że zaraz strzeli, lecz Mosi go nie słuchał. Kilian, wyprzedzając oszołomionego Matea, popędził ku schodom jak szalony, rycząc ostrzeżenia co sił w płucach.

Ramię Jacoba się napięło. Mosi wykonał kolejny krok. Kilian instynktownie rzucił się w stronę olbrzyma, potem rozległ się strzał.

Kula przeleciała obok głowy Kiliana i utkwiała w piersi Mosiego.

Wszystko to działo się niemal jednocześnie: Kilian wisiał w powietrzu, kula mijała jego głowę, krew Mosiego mieszała się z deszczem, Kilian spadał na ziemię, Mosi walił się na niego całym swoim ciężarem.

Nagle odgłosy ulewy jakby umilkły.

Pojawiły się czyjeś stopy.

Ktoś zdjął z Kiliana ciało, pomógł mu wstać, spytał, czy dobrze się czuje.

Lekarz. Pielęgniarki.

Jacobo tłumaczący oniemiałemu Manuelowi, powtarzający raz za razem:

– Zaatakował mnie. Widziałeś.

Mateo kręcący głową i mówiący:

– Można się było tego spodziewać. Biali zdecydowanie nie są tu już mile widziani.

I znów Jacobo:

– Niedługo wszyscy będziemy sypiać z pistoletem pod poduszką... Dzięki Bogu nic ci się nie stało, Kilianie.

I Mateo:

– Nigdy bym się po Mosim tego nie spodziewał!

I Bisila klęcząca nad ciałem.

Wszędzie woda i cisza.

Biegnij, Bisilo. Biegnij powiedzieć synowi, że jego ojciec nie żyje.

Ludzie, coraz więcej ludzi.

Woda, coraz więcej wody.

Kilian czuł, że musi się o coś oprzeć.

A Jacobo:

– Zaatakował mnie. Widziałeś, Kilianie. Nie miałem wyboru. Bronilem się.

– Komu zapłaciłeś, Jacobo, żeby przyniósł ci broń?

– Dlaczego rzuciłeś się w jego stronę? Chciałeś go uratować?

Bisila podnosząca z ziemi i głaszcząca delikatnymi dłońmi kapelusz Mosiego.

I głos Jacoba:

– Lepiej niech Manuel cię obejrzy. Ja pogadam z policją.

– Znikaj stąd, Jacobo. Przyjdą po ciebie.

– Co ty wygadujesz?

Wynoś się z mojej wyspy.

XVIII. BĚKÖTTÒ

Dni żałoby, 1965–1971

Lorenzo Garuz osobiście zadbał o przyspieszone załatwienie formalności koniecznych, by Jacobo, po ostatecznym rozwiązaniu umowy z Sampaką, mógł wrócić do Hiszpanii. O ostatnich wydarzeniach na plantacji należało jak najszybciej zapomnieć. Jacobo, narażając życie, zastrzelił kogoś, kto wcześniej zabił dwóch innych Europejczyków. Koniec sprawy. Dla własnego bezpieczeństwa musiał jednak opuścić wyspę jak najszybciej, bez żadnych hucznych pożegnań. Wzruszeni koledzy pokleпали go po plecach, a Julia, która – w przeciwieństwie do Manuela i Kiliana – okazała mu wsparcie i współczucie, ucałowała go lekko w oba policzki, długo i bez słowa ściskając jego dłonie. I tyle.

Kilian nie odwiózł brata na dworzec. Nie wziął też udziału w pogrzebie Mosiego. José przekonał go, że tak będzie lepiej. Żaden z kolegów i sąsiadów męża Bisili nie zrozumiałby obecności brata jego zabójcy. Kilian przestał być masą Kilianem: stał się jednym z białych.

Od śmierci Mosiego wciąż padało, wiatr zaś wiał silniejszy niż kiedykolwiek za bytności Kiliana na wyspie. Bisila nie pokazywała się nigdzie od dwudziestu dni. Kilian pytał o nią Josego, lecz ten odpowiadał wymijająco, a kręcenie się koło baraków byłoby dużą nieostrożnością. Dni pracy dłużyły się niemiłosiernie, na plantacji rozpoczynano przygotowania do kolejnych zbiorów. Następujące jeden po drugim huragany częściej niż zwykle przypominały Kilianowi słowa ojca: „Huragan. Życie jest jak huragan. Spokój, furia i znów spokój”.

Wraz z upływem czasu Kilian coraz lepiej rozumiał różne rzeczy, które kiedyś usłyszał od Antona. Skończywszy trzydzieści sześć lat, odnosił wrażenie, że w jego życiu znacznie więcej jest furii niż spokoju. Spokój udawało mu się osiągnąć wyłącznie dzięki Bisili. I teraz bardzo go potrzebował. Kiedy miał ją znów zobaczyć?

Wreszcie pewnego wieczoru, gdy akurat się położył, usłyszał, że drzwi jego pokoju się otwierają i ktoś wślizguje się do środka. Zerwał się przestraszony, gotów się bronić, lecz doskonale znany głos pospiesznie go uspokoił:

– Nadal nie zamykasz się na noc.

– Bisila! – Kilian wyskoczył z łóżka i rzucił się ku niej.

Głowę miała zakrytą chustką. Błyskała w mroku oczyma. Kilian pragnął chwycić ją w ramiona, zaciągnąć się jej jedynym w swoim rodzaju zapachem, wyznać jej szeptem wszystkie te uczucia, które w nim wrzały, całować jej twarz i całe ciało, by zrozumiała, że w nim nic się nie zmieniło.

Jednakże, zamiast tak zrobić, stanął przed nią jak wrośnięty w podłogę, czekając na znak, że i ona, jego Bisila, chce tego samego.

– Muszę z tobą pomówić – powiedziała łagodnie.

Podniosła ręce do głowy i zdjęła chustkę. Kilian wydał okrzyk zdumienia, widząc, że jest ogolona na łyso.

– Twoje włosy! Co się stało, Bisilo?

Ujęła jego dłoń w swoje, poprowadziła go w stronę łóżka i razem z nim usiadła na skraju. Potem pogładziła rękę Kiliana, uniosła ją do ust i pocałowała. Wtedy poczuł, że powoli wraca mu nadzieja.

Pokój oświetlała księżycowa poświata. Bez włosów Bisila wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Jej spojrzenie znowu złagodniało, a gorzki grymas zapamiętany przez Kiliana z ich ostatnich spotkań ponownie ustąpił nieśmiało uśmiechowi.

– Strasznie żałuję tego, co się stało... – zaczął Kilian. Słowa same cisnęły mu się na usta. – Nie powinienem był wyjeżdżać. Chciałbym cofnąć czas... Ale Mosi nie żyje... Teraz możesz być ze mną...

Bisila położyła mu palce na wargach, by go uciszyć, i rzekła:

– Mówiłam ci, że coś takiego jest możliwe jedynie wtedy, gdy kobieta starannie dopełni żałoby... Ja nigdy nie odcięłam się od naszych tradycji. To, co do ciebie czuję, chwilowo oddaliło mnie od dawnej siebie, teraz jednak jakiś głos w środku każe mi ustanowić między nami dystans, po to, żebym mogła w spokoju zastanowić się nad tym, co się zdarzyło, czego chcę i kim naprawdę jestem.

Kilian zmarszczył brwi.

– Potrzebujesz czasu, żeby przyznać, że w głębi serca to ja jestem twoim prawdziwym mężem?

Bisila uśmiechnęła się smutno.

– Wedle boskich i ludzkich praw moim mężem był Mosi, dlatego, ze względu na moich ziomków, żałoby nie da się uniknąć. Ale jest coś jeszcze. – Jej oczy wypełniły się łzami, a głos zadrżał. – Wspomnienia o tym, co zaszło, ciągle są ze mną, w mojej głowie. Nie potrafię ich wymazać. I tamte słowa, Kilianie... Oni zgwałcili nie tylko moje ciało, ale również moją duszę. Sprawili, że poczułam się jak nic nieznaczący robak. Muszę to w sobie pokonać. W przeciwnym razie nie będę potrafiła cię kochać. Nie chcę cię z nimi porównywać, Kilianie, z tymi wszystkimi białymi, którzy tak długo nas wykorzystywali. Dlatego muszę się od ciebie odsunąć.

Kilian wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wspomnienie tego, co wycierpiała Bisila, bolało okropnie, lecz strach, jaki wzbudziły w nim jej słowa, stłumił wszystkie inne uczucia.

– Jutro pójdę do Bissappoo i spędzę kolejne dwadzieścia dni w samotności, zamknięta w chatce na obrzeżach wioski... – podjęła Bisila, uspokajając się nieco.

– To znowu niemal miesiąc! – wykrzyknął z rozpaczą Kilian.

Bisila przygryzła dolną wargę i przez chwilę siedziała w ciszy, zanim odważyła się kontynuować:

– Potem zamieszkać w domu sąsiadującym z domem mojej matki, która zajmie się Inikiem. Mosi nie miał tu rodziny, więc nikt nie odbierze mi dziecka, z czego bardzo się cieszę. Pomaluję ciało gliną, a kolana, ramiona, nadgarstki i talię poobwiążuję trawą. W takim stroju odczekam kolejne kilka dni, znowu w całkowitym odosobnieniu. Później będę mogła wychodzić, dokąd zechcę, ale w okresie żałoby ani ja nie zejdę do Sampaki, ani ty nie odwiedzisz wioski – dokończyła pospiesznie. – I tyle. To już wszystko. Nic takiego.

Kilian, słuchając jej, wciąż krążył po pokoju.

– A ile czasu tam spędzisz? Ile czasu tak *spędzimy*?

Bisila szepnęła coś niedosłyszalnie.

– Rok – powiedziała zaraz potem, też bardzo cicho, wstając.

Kilian stanął jak wryty.

– Nie proś mnie o tyle – szepnął w rozpacz. – Co ja tu będę robił? – Podszedł do niej, szukając jej wzroku. – Nie boisz się, że czas nam się skończy? – Zobaczył, że w jej oczach maluje się determinacja. – Nie możesz mi zabronić odwiedzin w Bissappoo...

– Jeśli przyjdiesz – ostrzegła Bisila – już nigdy nie będziemy razem! Musisz mi obiecać, że tego nie zrobisz!

– Nie mogę ci czegoś takiego obiecać, Bisilo – powtórzył z uporem Kilian. Jego dłonie przesunęły się po jej głowie, karku i ramionach, by następnie zsunąć się na plecy, ku krągłości bioder. Jego głos zabrzmiał słabo, niemal żałośnie. – Mieć cię tak blisko i nie móc być z tobą...

– Mówiłam ci już i znowu powtórzę. Ja zawsze będę przy tobie... – Pogłaskała jego policzek, wspięła się na palce i pocałowała go z tak oczywistą czułością, że aż zadrżał. – Nawet jeśli nie będziesz mnie widział.

Kilian nie mógł wtedy wiedzieć, że okres między majem 1965 a kwietniem 1966 roku nie będzie ani najbardziej dramatyczny, ani najtrudniejszy w jego życiu, choć tak mu się właśnie zdawało. Raz jeszcze znalazł ratunek w codziennej rutynie i cieszył się, że zbiory okazały się jednymi z najobfitszych w historii plantacji. Od końca sierpnia suszarnie pracowały pełną parą, a on dzień w dzień stawiał się na spotkanie z przytłaczającym upałem, przez który natychmiast pogrążał się w stanie permanentnego otępienia. Spanie i praca – tym się zajmował. Na szczęście Mateo i Marcial, świeżo po ślubie, zajęci byli swoim nowym życiem w mieście i opuszczali plantację zaraz po fajrancie, Julia zaś całkowicie poświęcała się opiece nad dwoma synami, Ismaelem i Franciskiem. Kilian nie musiał zatem szukać kolejnych wymówek, by zupełnie wycofać się z życia towarzyskiego, i mógł spokojnie odliczać minuty do końca żałoby Bisili – i własnej – kompletnie obojętny na rozgrywające się wokół historyczne wydarzenia.

Czas zbiorów nakładał się na początek przycinki. Kilian z Josem przechadzali się niekiedy po szerokich alejach, nadzorując pracę robotników. Kakaowce w każdym szeregu rosły w równej odległości jedne od drugich, identyczne, pięknie ukształtowane, podobne do pełnych pater: pojedynczy pień, rozwidlenie zawsze na tej samej wysokości, korony proporcjonalne i starannie przycięte. W pobliżu nieodmiennie słychać było głos Simona, który oburzone okrzyki przeplatał śmiechem i nigeryjskimi przyśpiewkami.

Kilian spacerował w zamyśleniu.

Cenione na całym świecie kakao z Sampaki stanowiło rezultat pracy setek robotników, którzy spędzali swoje dni na usuwaniu chwastów, regulowaniu cienia rzucanego przez drzewa osłonowe, zastępowaniu chorych roślin zdrowymi, leczeniu przypadkowych nacięć na pniach i gałęziach, szczepieniu różnych typów kakao oraz na odbywającym się co dwa tygodnie zbieraniu dojrzałych owoców.

I wszyscy nieustannie śpiewali.

Ich wesołe głosy zlewające się niespodziewanie a harmonijnie w uroczyste pieśni

stanowiły tło dla matematycznej dokładności, z jaką kakaowce znaczyły przemijanie pór roku.

Część z tych mężczyzn całymi latami nie widywała swoich żon, dzieci i krewnych. Wszyscy harowali od świtu do nocy. Budzili się, stawali do roboty, jedli, pracowali, jedli, śpiewali i gawędzili, po czym szli spać do swoich baraków – zawsze takich samych, ciągnących się równymi jak w przypadku kakaowców rzędami – licząc na nowy dzień, który znów miał ich pogrążyć w rutynie. Jedynym, czego oczekiwali od życia, była dobra pensja, którą mogli wysłać do domu, by zapewnić lepszy byt swoim bliskim.

A mimo to wciąż śpiewali.

Dzień za dniem. Miesiąc za miesiącem. Rok za rokiem...

On, Kilian, nie widział Bisili od jedenastu miesięcy i tygodnia.

Przez cały ten czas nie odczuwał żadnej ochoty do śpiewania.

– Coś się nie odzywasz – rzucił José, przypatrując się jego zamyślanej twarzy. – O czym myślisz?

Kilian kilka razy dźgnął ziemię maczetą.

– Wiesz co, Ösé? Mieszkam tu od lat, od lat nie czułem się jakiś specjalnie inny. Zawsze robiłem to samo co wy wszyscy. Pracowałem, jadłem, bawiłem się, kochałem, cierpiałem... – Pomyślał o śmierci ojca i nieobecności Bisili. – Ösé, wydaje mi się, że największa różnica między Bubim takim jak ty a białym takim jak ja polega na tym, iż Bubi pozwala kakaowcom rosnać, jak sobie chcą, a biały je przycina, kształtuje i dzięki temu ma z nich większą korzyść.

José skinął głową. Rosnąć, kakaowce wypuszczały masę pędów, które trzeba było usuwać, by nie zabierały roślinie soków. Ale i tak wraz z upływem czasu drzewa ulegały deformacji. Dlatego przycinało się je niemal od samego początku. Później, jeśli przystrzygło się go nadmiernie, kakaowiec przestawał się rozwijać, bo tracił zbyt wiele energii na odpowiednie owocowanie; jeśli zaś zostawiło się zbyt wiele suchych, chorych, źle wyprofilowanych i pokaleczonych gałęzi, odrostów i resztek zeszłorocznych owoców, słońce nie docierało do pnia i drzewo często gniło, a potem umierało.

Po dłuższej chwili José znów się odezwał:

– Teraz są czarni, którzy przycinają kakaowce jak biali, i czarni, którzy chcą, by drzewa rosły w swoim rytmie. I są biali, którzy nadal chcą przycinać, i tacy, którzy porzucają swoje plantacje. Powiedz, Kilianie, do której z tych dwóch grup się zaliczasz?

Kilian zastanawiał się przez chwilę.

– Ja jestem człowiekiem gór, Ösé – odrzekł w końcu, wzruszając ramionami i patrząc przyjacielowi prosto w oczy. – Człowiekiem gór, który spędził trzynaście lat pośród tropikalnych huraganów. – Z rezygnacją potrząsnął głową i dodał: – Dlatego wiem, że tylko jedno nie ulega wątpliwości: nie założysz wędzidła naturze. Przycinasz kakaowce, ale one wciąż chaotycznie wypuszczają nowe pędy, w takiej ilości, że nigdy nie starczy maczet, by sobie z nimi poradzić. To samo z rzekami, Ösé: zasilone przez ulewy zawsze będą występować z brzegów.

– My mamy takie przysłowie, wedle którego rzeka zawsze wraca w swoje koryto... – odparł José.

Kilian przelotnie się uśmiechnął.

– A powiedz, *mi friend*, znasz jakieś przysłowie, które wyjaśnia, co dzieje się z taką rzeką, zanim w to koryto wróci?

José namyślał się przez moment. Potem odrzekł:

– Czy to nie jeden z waszych wielkich ludzi powiedział, że wolność, gdy już zapuści korzenie, rośnie naprawdę szybko?

Dzień pracy dobiegał końca, gdy śpiący na kupie pustych worków Waldo pod wpływem koszmarów zaczął pojękiwać.

Nikt nie będzie dręczył Öwassy. Do lasu nie ma wstępu nikt obcy. On jest tylko nasz. Wielki duch Öbassy dziękuje ci, tajemniczy człowieku z lasu, że...

– Wstawaj, Waldo! – Chłopak zerwał się, obudzony wołaniem Kiliana. – Nie wiem, co wam ostatnio jest, tobie i Simonowi, ale snujecie się jak widma. – Kilian usłyszał, że ktoś za nim odkaszlnął, i odwrócił się w tamtą stronę. – O, właśnie o tobie mowa. Gdzie się podziewałeś? Tylko nie mów, że też uciąłeś sobie drzemkę... – Simón uśmiechnął się tajemniczo. – Chyba musicie powiedzieć swoim przyjaciółkom, żeby dały wam trochę odpocząć – podjął Kilian, przekonany, że obaj młodzieńcy mają poważne powody, by nie dosypiać – jeśli chcecie nadal pobierać pensje. Obowiązki przede wszystkim.

Simón uznał, że pora odpłacić się mu pięknym za nadobne.

– Wróciła – oświadczył obojętnym głosem. – Jak zawsze będzie pracować w szpitalu. – Oczekał, aż Kilian dojdzie do siebie, i dodał z porozumiewawczym uśmiechem: – Możesz zacząć znowu chorować.

Kilian pospieszył z powrotem. Czy będzie chciała mnie zobaczyć, zastanawiał się, czy myślała o mnie tyle, ile ja o niej? Czemu mnie nie uprzedziła?

Gdy dotarł na miejsce, Bisili nie było w szpitalu. Umierał z niecierpliwości. Zaczął nerwowo przechadzać się przed wejściem, rozważając, gdzie ją ewentualnie znajdzie.

Postanowił, że popyta na Obsayu. Skoro Bisila miała pracować na plantacji jako pielęgniarzka, Garuz zapewne przydzielił jej mieszkanie w okolicy. Ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem, starając się nie biec. Pot zalewał mu oczy. Czuł podniecenie i radość, że znów ją zobaczy, ale i urazę, że tak długo kazała mu cierpieć. Przez rok!

Koło pierwszych baraków z zamyślenia wyrwała go muzyka, której towarzyszyły jakieś śpiewy. Trudno było zignorować rytm bębnowy, sygnalizujących, że gdzieś w pobliżu ktoś tańczy *balele*. Zaraz potem Kilian dostrzegł liczną grupę ubranych na zielono i czerwono dzieciaków, które wirowały w kółeczkach, same lub ze swoimi matkami. Wyglądały na szczęśliwe. Kilian zdołał już zrozumieć i przejąć od Afrykanów zasadę, że każda okazja jest dobra do świętowania.

Przystanął obok, ulegając radości maluchów. Jeden z nich, pięcio- albo sześciolatek, zagapił się na niego z uśmiechem i w cieniu zielonego kapelusza Kilian rozpoznał Inika. Przez moment w rysach chłopca dostrzegał Mosiego, toteż odwzajemnił uśmiech z pewnym smutkiem. Iniko spoglądał na niego z uwagą, bawiąc się czymś zawieszonym na szyi. Potem odwrócił się i pobiegł ku niosącej jakieś zawiniątko kobiecie, by tak długo czepiać się jej ubrania, aż popatrzyła we wskazaną przez niego stronę.

Spojrzenie Bisili napotkało wzrok Kiliana i serca podskoczyły im w piersi.

Obsesyjny rytm bębnowy idealnie harmonizował z gwałtownością odżywających w

o boju emocji. Widok Kiliana – wysokiego, muskularnego i opalonego, z rękawami koszuli podwiniętymi powyżej łokci, starannie przyciętymi ciemnymi włosami o miedzianym połysku i drobnymi zmarszczkami wokół połyskujących zielenią oczu – sprawił, że oczy Bisili wypełniły się łzami.

Kilian stał bez ruchu, wdzięczny, że dane mu jest osobiście odczuć radość panującą o tej porze roku w całej przyrodzie.

Oto miał przed sobą Bisilę, spowitą w turkusowy materiał, który wszakże nie mógł zasłonić przed jego oczyma nowej krągłości jej kształtów. Identycznego koloru chusta podkreślała wyrazistość jej ogromnych oczu.

Nie potrafił przestać patrzeć jej w oczy.

Powoli ruszył w jej kierunku i wtedy dostrzegł, że Bisila trzyma w ramionach paromiesięczne niemowlę. Gdy stanął obok, powiedziała spokojnie:

– Poznaj mojego syna. – Odgarnęła zakrywając dziecko białą tkaninę i Kilian stwierdził, że jego skóra jest jaśniejsza niż skóra innych malców: przywodziła na myśl kawę z mlekiem. – Ma na imię Fernando Laha. – Kilian poczuł, jak zaciska mu się żołądek. – Urodził się w styczniu, ale już widać, że rysy i kolor oczu odziedziczył po... – głos Bisili się załamał – ...po mężczyznach z Rabaltué.

Kilian przypatrywał się dziecku z mieszaniną osłupienia i żalu.

– Mogło być moje, Bisilo...

– Mogło być twoje, Kilianie – powtórzyła ze smutkiem ona.

Poprosił, by pozwoliła mu wziąć je na ręce. Zrobił to niezgrabnie, bo po raz pierwszy w życiu trzymał niemowlę. Przypomniawszy sobie skórę węża zawieszoną na placu w Bissappoo po to, by dotykały jej wszystkie nowo narodzone dzieci.

– Zaniostaś go już do *boukaroko*?

Mały Fernando Laha obudził się i popatrzył na obcego ze zdziwieniem, zaraz jednak zagulgotał z miną, którą Kilian odczytał jako uśmiech.

– Jacobowi nic nie powiem – rzekł zmieszany i zadziwiony. – To będzie nasza tajemnica. – Przeniósł wzrok z chłopca na Bisilę. – Jego przyszłe rodzeństwo nawet nie zauważy różnicy.

Bisila schyliła głowę.

– Nie będzie miał więcej rodzeństwa – szepnęła, a widząc zaskoczenie Kiliana, krótko wyjaśniła: – Bardzo chorowałam, Kilianie. Nie urodzę kolejnych dzieci.

Kilian nie chciał – przynajmniej w tym momencie – wiedzieć nic więcej. Był z nią i trzymał na ręku potomka swego ojca Antona oraz wszystkich tych ludzi, poczynając od pierwszego Kiliana, których imiona figurowały na drzewie genealogicznym w Rabaltué.

Reszta się nie liczyła.

– Fernando będzie naszym synem, Bisilo – oświadczył zdecydowanie. – Podobają mi się imiona, które dla niego wybrałaś: jedno stamtąd, a drugie stąd. Jedno z mojego świata, a drugie z twojego. Powiedz, co znaczy „Laha”?

– Oznacza człowieka o dobrym sercu. Takim jak twoje.

Dziecko zacisnęło rączkę na jego palcu. Uśmiechnął się wzruszony.

Bisila odczuła wielką ulgę, widząc reakcję Kiliana. Już wiedziała, że nigdy żadnego mężczyzny nie pokocha tak jak pokochała jego.

Uczyniła zadość tradycji i teraz była wdową, która mogła robić, co chciała. Co ważniejsze jednak – zdołała pokonać najstraszniejszy etap swojego życia i wyszła z tej próby wzmocniona, tak w swojej wierze, jak i w uczuciu do Kiliana.

Iniko zbliżył się do nich nieśmiało, wciąż przytupując w takt muzyki. Rączkę nadal zaciskał na czymś, co wisiało na jego szyi.

– Co tam chowasz, synku? – spytał Kilian.

Bisila położyła dłoń na okrytej zielonym kapeluszem główce.

– Ojciec Rafael kazał mu to nosić za karę, bo Iniko zamiast po hiszpańsku mówi w języku bubi. Zabiorę go z powrotem do swojej matki. W Bissappoo jest szczęśliwszy.

Chłopiec zaczął ciągnąć ją za sukienkę, palcem wskazującym wolnej dłoni przesuwając po jednej z brwi.

– Tak, tak, już idę – rzuciła Bisila. – Dziś zaczyna się *ëmëtöla*...

Właśnie z tej okazji świętowali. *Ömögera* ustępowała *ëmëtöli*, początek wiosny przechodził w jej pełni. To co dla białych oznaczało po prostu wstęp do pory deszczowej, dla Bubich miało znacznie głębsze, subtelniejsze znaczenie: *ömögera* wiązała się z otwarciem, świtem, witalnością i ruchem; *ëmëtöla* – ze stałością, trwaniem, konsekwencją, niezmiennością, pełnią, z kontynuowaniem tego, co zostało zapoczątkowane. Czerwień i zieleń. Ogień i ziemia. Apogeum naturalnego cyklu.

– Zaraz zbiory – oświadczył Kilian. – Kakaowce owocują. Zapowiada się dobry sezon. – Oddał niemowlę matce. – Ale wcześniej – dodał trochę niepewnie – będziemy mieli nieco czasu... dla siebie.

Dokładnie w tym momencie poczuł, że ktoś leciutko kłuje go w udo. Spojrzał w dół i zobaczył Ismaela, który usiłował zwrócić na siebie jego uwagę. Malec spytał go, czy i on przyszedł sobie na Obsay potać, a następnie, połykając z przejęcia głoski, wytłumaczył, że jest tutaj z mamą, bratem i Obą, i że jako dużemu chłopcu pozwolono mu zagrać na bębnie. Kilian podniósł wzrok i dostrzegł zbliżającą się ku nim zarumienioną Julię.

Witając się z Bisilą, Julia nie odrywała oczu od trzymanego przez nią niemowlęcia. Kilian zauważył, że marszczy brwi. Po chwili Bisila i Iniko odeszli, a za nimi pobiegł Ismael.

– Jak tylko usłyszysz bębny, nie sposób go zatrzymać... – rzuciła Julia. – Nie wiedziałam, że Bisila urodziła drugie dziecko. Zwróciłeś uwagę na odcień jego skóry? To...

– Tak, Julio – rzekł Kilian, patrząc prosto w jej zdumione oczy. – To, owszem, jest mój syn.

– Kilian! – zaprotestowała Bisila, próbując złapać oddech. – Czy gdybym była śniegiem, nie rozpuściłabym się już całkowicie?

Gorące palce Kiliana przemykały w tę i z powrotem po jej spoczonej, tak dobrze znanej mu skórze, jak gdyby za sprawą tych gwałtownych, niecierpliwych pieszczot usiłowały nadrobić stracony czas.

– Jeszcze nie. – Kilian splótł swoje ręce z jej dłońmi i przygniótł ją do pościeli całym swoim ciężarem. – Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłem!

– Przecież powtarzasz mi to bez przerwy! – Bisila leciutko go odepchnęła. Prawie nie

mogła oddychać.

Kilian oparł się na łokciu, żeby się jej przyjrzeć, a potem obrysował palcem jej twarz.

– Bałem się, że już nigdy nie zechcesz mieć ze mną nic wspólnego – wyznał w końcu.

Bisila przymknęła oczy.

– Potrzebowałam tego czasu, żeby zastanowić się nad *sobą*.

Kilian zmarszczył brwi. Aż się skręcał na myśl o tym, przez co ona musiała przejść.

Nie potrafił nawet w przybliżeniu wyobrazić sobie, co czuje kobieta postawiona w takiej sytuacji, próbująca wyleczyć swoją duszę w maleńkiej, otoczonej dżunglą wiosce, i jednocześnie odbywająca żałobę po niekochanym mężu, ze świadomością, że nowe, zasiane przemocą życie uparcie rośnie w jej wnętrzu. A wszystko z winy Jacoba. Niezadowolony Kilian potrząsnął głową, by odegnąć kolejną natarczywą myśl: przecież to właśnie Jacobo ostatecznie zwrócił Bisili wolność. Ironia losu: gwałt stał się przepustką do szczęścia. Gdyby Jacobo nie zabił Mosiego, oni dwoje wciąż musieliby się ukrywać. I on, Kilian, nie mógłby w tym momencie cieszyć się zaraźliwą radością Bisili.

Jak ona zdołała sobie z tym wszystkim poradzić? Skąd brała tę zupełnie nową, zbijającą go z nóg siłę? Rozumiałby, gdyby była przygnębiona, podupadła na duchu, ponura. Albo gdyby ich pierwsze po rozłące spotkania okazały się raczej łzawe i sentymentalne.

A tymczasem wprost przeciwnie – Bisila kochała go z nieznaną mu wcześniej energią.

Kiedy w nią wchodził, raz za razem, odnosił wrażenie, że sam jest statkiem, ona zaś – rozszalałym morzem, które wchłaniało go, wypluwało i wchłaniało znowu.

I zarazem właśnie ta stanowcza pasja, z jaką mu się oddawała czy też raczej brała go w posiadanie, sprawiała, że ich miłosne stosunki były niesłychanie czułe i wzruszające.

Zupełnie jakby każdy raz mógł się okazać ostatnim.

Otóż to.

Zarówno ta stanowczość, jak i ta czułość brały się z rozpacz.

– Obraziłeś się? – spytała Bisila.

– Za co?

– Bo przecież chciałeś usłyszeć, że cały czas myślałam wyłącznie o tobie...

– A myślałaś czy nie?

– Bez przerwy!

– To w porządku.

Teraz ona wsparła się na łokciu, by spojrzeć mu w twarz, i zaczęła pieścić jego czoło, policzki, szyję i barki. Potem przytuliła się i głaskała go po włosach, karku i plecach, szepcząc mu na ucho słowa, których nie rozumiał, lecz od których aż jęczał z rozkoszy.

Kiedy pragnęła doprowadzić go do szaleństwa, przechodziła na język bubi.

Dźwięk tych słów podniecał nawet bardziej niż ich znaczenie.

– Chciałabym, żebyś rozumiał, co mówię, Kilianie.

– Rozumiem cię doskonale...

– Mówię, że wbiłeś się we mnie tak głęboko, że nie jestem w stanie pozbyć się ciebie ze środka. Po prostu nie jestem w stanie.

Jednak znaczenie podniecało bardziej niż sam dźwięk.

– A ja wcale nie zamierzam z ciebie wychodzić. Zamierzam zostać w tobie na zawsze.

– Och, chłopcy... – Lorenzo Garuz szarpnął swoje krzaczaste brwi nad wyjątkowo teraz zapadniętymi oczyma. – I co ja bez was pocznę?

Mateo i Marcial wymienili skruszone spojrzenia.

– Ja... Naprawdę mi przykro... – Marcial ścisnął w dłoniach złożony na kolanach hełm korkowy.

– Mnie też – dodał Mateo, nieco spokojniejszy od przyjaciela. – Ale chyba pan rozumie... To już tyle lat i...

– Tak, tak – przerwał mu Garuz, marszcząc brwi i uciszając go uniesioną ręką.

Nie chciał słuchać najbardziej nawet logicznych – co wbrew sobie przyznawał – usprawiedliwień. Sam przecież odesłał żonę z dziećmi do Hiszpanii i niejednokrotnie, w chwilach słabości, marzył tylko o tym, by rzucić wszystko i natychmiast wrócić na Półwysep. Nie on pierwszy wydałby swoją plantację na żer dżungli, zostawiając ją na łasce garstki tubylców. Jednakże poczucie odpowiedzialności zawsze zwyciężało jego lęki. Nie był przecież zwykłym zarządcą jakiejś tam plantacji: był większością udziałowcem Sampaki, największej, najpiękniejszej, najbardziej dochodowej i wzorcowej plantacji na wyspie. Mateo i Marcial mogli zadowolić się byle pracą w dowolnej firmie, bo się od niego różnili: nowym pokoleniom brakowało zdecydowania, odwagi, dumy czy wręcz zuchwalstwa, które cechowały twórców tej kolonii. Dzięki takim przymiotom on sam zdołał nie tylko utrzymać, ale nawet pomnożyć dziedzictwo przekazane mu przez przodka, który ponad pół wieku wcześniej zapoczątkował ich afrykańską przygodę. Dlatego nie kwapił się, by to dziedzictwo zostawić w cudzych rękach. Gdyby chociaż odrobinę odpuścił, natychmiast pojawiłby się ktoś gotowy z tego skorzystać.

– A pan nigdy nie zastanawia się nad wyjazdem? – spytał Mateo, jakby czytał mu w myślach.

– Do czasu uchwalenia konstytucji i przekazania władzy Hiszpania nas nie opuści. – Garuz westchnął głośno. – Nie widzę powodu, dla którego miałbym zaprzestać uprawy kakao, no, chyba że zabraknie mi pracowników.

Ktoś zapukał do drzwi i Garuz zaprosił go do środka. Mateo i Marcial odetchnęli z ulgą. Była to jedna z tych sytuacji, które dla własnego dobra należało do maksimum skrócić. *Big massa* zawsze oskarżał o tchórzostwo tych, co rezygnowali z pracy w koloniach.

W drzwiach pojawiła się głowa wachimana Yeremiasa.

– Przepraszam, *massa*. Można?

– Tak, oczywiście. Co tam?

Yeremias wszedł, pokornie zdjął starą czapkę i ze wzrokiem wbitym w podłogę powiedział:

– Jest tu pewien policjant, który ponoć musi się z panem natychmiast rozmówić.

Garuz zmarszczył czoło.

– Nie zapomniałeś przypadkiem zanieść im zwykłej porcji jaj i flaszek?

– Nie, *massa*, nie, nie zapomniałem. Ale ten nie jest z Saragossy. Jest z miasta i mundur ma bardzo... kompletny.

– Za chwilę z nim porozmawiam. – Garuz, zdziwiony wizytą, otworzył szufladę i wyjąwszy z niej dwie koperty, wręczył je Mateowi i Marcialowi. – To dla was. Mały bonus w podziękę za lata porządnej pracy. Zróbcie z tego dobry użytek, dobra? Teraz obaj macie rodziny na utrzymaniu, a pieniądze idą jak woda. – Odczekał, aż tamci zajrzą do swoich kopert i przyjemnie się zdziwią. Wtedy wstał i podszedł do nich, wysuwając swój ostatni argument: – Jednego możecie być pewni: tam tyle nie zarobicie.

Mateo i Marcial przyjęli premię ze szczerym zdumieniem i wdzięcznością, ale ich decyzja była nieodwołalna.

– Wszystko mamy już zorganizowane – rzekł Marcial. – Popłyniemy statkiem, żeby zabrać się z całym majątkiem naszych żon i ich rodzin. Mieszkali tu przez tyle lat, że sporo się tego nazbierało.

– Żadnego porównania z dwiema walizkami, z którymi tu przyjechaliśmy – dorzucił Mateo.

Zapadło milczenie. Obaj przez chwilę wspominali swoje niezliczone podróże w tę i z powrotem, swoje niezliczone przygody, o których opowiadać mieli dzieciom i wnukom.

– Cóż... – Garuz podał im rękę. – Jeśli kiedyś zmienicie zdanie, wiecie, gdzie mnie szukać.

– Kto wie? – Mateo otworzył drzwi. – Może spotkamy się w Madrycie i...?

Nie skończył zdania, bo do gabinetu wpadł obcy mężczyzna. Był dość wysoki i mocno zbudowany, a jego proporcjonalna twarz sprawiałaby nawet przyjemne wrażenie, gdyby nie dzioby po oście, zmieniające ją w straszną maskę. Miał na sobie szary uniform hiszpańskiej policji, ze złotymi guzikami oraz czerwonymi lamówkami na rękawach i klapach marynarki, a także na czapce.

– Nazywam się Maximiano Ekobo – przedstawił się. – Jestem nowym szefem policji w Santa Isabel. Który z panów to Lorenzo Garuz?

Garuz machnął ręką, wskazując Mateowi i Marcialowi, by sobie poszli, i uściśnął dłoń policjanta.

– W czym mogę pomóc?

Maximiano usiadł.

– Szukam młodych ludzi, którzy uparcie sabotują prace przy budowie nadajnika telewizyjnego. W ciągu dnia robotnicy utwardzają drogę na Big Pico, aby można było przetransportować tam materiały konieczne do wzniesienia budynków, wieży i centrali. Nocami ktoś niszczy to, co zostało zrobione za dnia. Kradnie narzędzia, zamazuje znaki, psuje albo blokuje gałęziami maszyny...

– Nie bardzo wiem, co to ma wspólnego ze mną.

– Kilka dni temu zatrzymaliśmy jednego z tych *tajemniczych* ludzi lasu. A są to po prostu Bubi, którzy nie doceniają wspaniałego prezentu, jaki postanowiła nam podarować Hiszpania. Zatrzymany wyznał, że szefem szajki jest niejaki Simón... – Maximiano umilkł na chwilę, obserwując reakcję zarządcy. – Zatrudniony na pańskiej plantacji.

Garuz splótł ręce z tyłu i w zamyśleniu zaczął przechadzać się po gabinecie. Właśnie wręczył odprawę dwóm bardzo przydatnym pracownikom. Na plantacji zostało już tylko trzech Hiszpanów: Gregorio, Kilian i on sam. José, Simón, Waldo i Nelson uzupełniali tę

niewielką ekipę ludzi energicznych i posiadających doświadczenie. Nie podobało mu się, że Simón organizuje przestępczą działalność wymierzoną w hiszpańskie interesy, i w innych okolicznościach w razie jakichkolwiek podejrzeń osobiście wydałby go policji, teraz jednak nie mógł sobie pozwolić na utratę kolejnego pracownika. Nie widział innego wyjścia, niż skłamać, wiedział wszakże, iż musi starannie dobierać słowa, albowiem w zaistniałych warunkach należało utrzymywać dobre stosunki z nową władzą.

– Proszę posłuchać. – Popatrzył Maximianowi prosto w oczy. – Daję panu słowo honoru, że jestem stanowczo przeciwny wszelkim aktom przemocy, zwłaszcza takim, które godzą w dobra tego kraju. Obawiam się jednak, że fatygował się pan na próżno. Ten cały Simón, o którego panu chodzi, miał ostatnio poważny wypadek, i od ponad dwóch miesięcy dochodzi do siebie. Spadł z dachu jednej z suszarni i złamał sobie obie nogi. Niemniej, gdybym usłyszał cokolwiek, co może pomóc w pańskim śledztwie, z pewnością się z panem skontaktuję.

Umilkł i w spokoju czekał na reakcję, przekonany, że jego słowa zabrzmiały przekonywająco. Wiedział, z jakiej gliny są ulepiani bezczelni watażkowie w rodzaju Maximiana, uważający się za lepszych od każdego, łącznie z białymi takimi jak on, Garuz. Należało zwracać się do nich z najwyższym szacunkiem, owszem, ale zarazem stanowczo i bez cienia uniżoności.

Maximiano skinął głową, wstał i skierował się do drzwi.

– To na razie wszystko.

Wyszedł bez pożegnania.

Garuz westchnął z zadowoleniem, przezornie trochę odczekał, po czym udał się na poszukiwania Simona, którego należało bezzwłocznie zawiadomić o wizycie szefa policji. Chłopakowi nie pozostawało nic innego, niż przez jakiś czas udawać, że kuleje, przynajmniej w obecności mundurowych. Bo on, Garuz, nie miał najmniejszej ochoty zadzierać z kimś takim jak Maximiano.

– Nikt nie mówi o nas, Hiszpanach z wyspy! Nikt nie bierze pod uwagę, że moglibyśmy zostać obywatelami nowego państwa! A przecież wszyscy pozostali się liczą: Bubi separatyści, Bubi neokolonialiści, niepodległościowcy radykalni i niepodległościowcy gradualni...

– Zapominasz o Nigeryjczykach, Kilianie – zauważył Manuel, składając egzemplarz „Ébano” i sięgając po „ABC”. – Przez tę wojnę domową, która toczy się u nich między muzułmańskimi Hausańczykami a katolickimi Ibo, zamiast wracać do siebie, ściągają tu coraz liczniej. Nie dziwi mnie, że Nelson i Ekon cieszą się ze sprowadzenia braci, tyle że i tutaj pracy jest coraz mniej.

Kilian jednym haustem dopił swój gin i gestem poprosił kelnera o nową kolejkę.

– Może do prawdziwego rozdzielania nigdy nie dojdzie... Bo skoro naprawdę szykuje się niepodległość, to po co zainstalowano na Santa Isabel ten nadajnik hiszpańskiego radia i telewizji...?

– Zrobiono to wbrew woli duchów lasu – wtrącił Simón z przekornym błyskiem w oku. Siedział rozparty w fotelu, triumfalnie korzystając z możliwości picia w barze dawniej zarezerwowanym dla białych. – Tajemnicza sprawa z tą telewizją... – Podniósł

wzrok ku odbiornikowi zajmującemu honorowe miejsce w pomieszczeniu. – Pamiętacie pierwszy program, jaki tu widzieliśmy jakieś trzy miesiące temu? „Hiszpania matką narodów” czy coś takiego? – W jego głosie zabrzmiała ironia. – Mnie szczególnie utkwiły w pamięci słowa waszego przywódcy. – Wyprostował się i niemal nie otwierając ust, zapisał: – „Wy wiecie, że Hiszpania nigdy nie była krajem kolonizatorów, była krajem niosącym światło cywilizacji i nadziei nowym ludom, a to zupełnie co innego...”. – Kilian i Manuel parsknęli śmiechem. – I nagle okazuje się – podjął Simón z irytacją – że nasza niepodległość jest największym osiągnięciem waszej misji cywilizacyjnej. Nie podoba mi się to, o, nie. Zresztą, o ile wiem, mój lud istniał na długo przed waszym przybyciem.

– Ale nie tak cywilizowany jak teraz – zażartował doktor, spoglądając na niego znad okularów, by zaraz wrócić do lektury. – Teraz macie nawet konstytucję zatwierdzoną wolą większości.

– Na wyspie? – rzucił Simón. – Na wyspie różnica głosów była niewielka.

– Nieważne – rzekł Kilian. – Faktem pozostaje, że sprawy posuwają się do przodu i nawet dziennik telewizyjny nadawany jest w trzech językach, żeby widać było trzy zaangażowane w to wszystko strony: Fangów, Bubich i Hiszpanów. Tyle że pieniądze wciąż płyną z Hiszpanii. Zupełnie jakby chodziło o to, żeby was w ten sposób za wszelką cenę przekonać, że samostanowienie niesie z sobą ryzyko. – Niebezpiecznie zakręcił swoją szklaneczką. – A zatem: jak to możliwe, że, zdaniem wszystkich, niepodległość to kwestia tygodni? Jak się przechodzi od całkowitej zależności do całkowitej niezależności? Z dnia na dzień się wszystko rozmontowuje i już? Jeśli wszyscy stąd wyjedziemy, to kto was będzie leczył, bronił, uczył? – Simón chciał coś wtrącić, ale Kilian powstrzymał go ruchem ręki. – Obawiam się, że rządy w tym kraju będą w rękach ludzi, którzy ledwie potrafią czytać i pisać, choć teraz jeżdżą na wiece wyborcze w luksusowych samochodach. To nie wystarczy, by dobrze rządzić.

Kilian spojrzał na Josego, który nie odrywał wzroku od telewizora. W barach dawniej przeznaczonych dla białych wciąż czuł się nieswojo i dlatego mało się odzywał. A poza tym telewizja rzeczywiście go fascynowała. Zwłaszcza retransmisje meczów piłki nożnej.

– Nic nie mówisz, Ösé?

José odchrząknął, splótł dłonie i powiedział:

– Ja, z pomocą duchów, zamierzam dalej robić to, co umiem, i trzymać się jak najdalej od całej tej polityki. Lepiej być ostrożnym. – Skinął głową w stronę telewizora. – Nadchodzą trudne czasy, zwłaszcza dla Bubich. Macías to Fang.

Na ekranie widać było szczupłego mężczyznę, nienagannie ubranego w garnitur i krawat. Z pasją przemawiał do mikrofonu. Miał małe, trochę zbyt szeroko rozstawione oczy, grube wargi i nos o wyjątkowo dużych dziurkach. Cztery mężczyźni zamilkli, by posłuchać, co w roli wicepremiera autonomicznego rządu mówi ten były kolonialny funkcjonariusz, syn słynnego czarownika z Río Muni, zaczynający kiedyś swą polityczną karierę jako alkad rodzinnego miasteczka na kontynencie.

Obiecywał wprowadzenie płacy minimalnej, emerytur i stypendiów, kredytów dla rybaków i rolników, przywilejów dla urzędników, i powtarzał, że jego hasło to

„Jedność, pokój i dobrobyt”. Wystąpienie zakończył zdaniem: „Co Macías obieca, to spełni”.

– Ma energię, charyzmę i dar przekonywania – stwierdził Manuel – ale, szczerze mówiąc, mnie wydaje się dziwny, wręcz niezrównoważony. Czasem odnosi się do Hiszpanii jak do bliskiej przyjaciółki, kiedy indziej stawia opór każdej hiszpańskiej inicjatywie. Przed miesiącem radio w Bacie nadało jego wezwanie do głosowania przeciw konstytucji, a teraz, proszę, facet jak gdyby nigdy nic prowadzi kampanię.

Przez chwilę trwali w milczeniu. Kilian rozejrzał się dookoła. Poza ośmio- czy dziesięciosobową grupką białych, którzy sączyli nieopodal swój gin z tonikiem, w lokalu przeważali czarni. Kilian przypatrzył się Europejczykom. Siedzieli przy okrągłym stole, a obok piętrzyły się metaliczne walizeczki i skórzane torby. Mieli na sobie koszule z krótkim rękawem i rozszerzane u dołu spodnie. Jeden z nich, dwudziestolatek o okrągłej twarzy, przystrzyżonej bródce i bystrych oczach, uniósł szklanekę w kierunku Kiliana, który podchwycił toast. Tamten musiał spędzić na wyspie mało czasu, albowiem w przeciwieństwie do swoich towarzyszy skórę miał prawie nietkniętą słońcem, a pijąc, przypatrywał się wszystkiemu wokół ze zdziwieniem, ciekawością i lękiem kogoś, kto dopiero co wylądował na Fernando Poo. Czego on tu teraz szuka, zastanawiał się Kilian. Westchnął, napił się, po czym zwrócił się do Josego i Simona:

– Wiecie już, na kogo zagłosujecie w przyszłym tygodniu?

– O, tak – odrzekł Simón cicho, pochylając się ku niemu. – I zapewniam cię, że nie na „Koguta”!

José uśmiechnął się, dostrzegając zdumienie na twarzy Kiliana.

– Jedno z haseł Macíasasa brzmi: „Wszyscy na Koguta” – wyjaśnił, również szeptem. – Ja też na niego nie zagłosuję.

Manuel złożył gazetę i rzucił ją na stół.

– Ale wielu innych to robi – stwierdził. – Reszta kandydatów jest w trudnej sytuacji. Obecny premier autonomicznego rządu, Bonifacio Ondó, skupił się na podbijaniu serc Hiszpanów. Atanasia Ndonga nikt nie zna. A Porozumienie Bubich Edmunda Bosió zdobędzie głosy wyłącznie na wyspie. Sprawa jest jasna: Macías najsprytniej odgrywa oddanego i stanowczego obrońcę swoich braci Gwinejczyków i ich interesów. Plus ma świetnego doradcę w osobie tego adwokata, Garcíi Trevijana. Zostanie prezydentem. A jesień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku w Gwinei przejdzie do historii.

Wszyscy czterej pograżyli się w ciszy.

Po jakimś czasie przerwał ją Simón, zwracając się do Kiliana.

– Nie obraż się, *massa*, dobrze? – Kilian uniósł brwi w wyczekiwaniu. – Po prostu czasem mi się zdaje, że nie życzysz nam niezależności...

Kilian zastanawiał się przez chwilę zarówno nad tymi słowami, jak i nad swoją odpowiedzią.

– Nie mogę powiedzieć, żebym nie życzył wam niezależności – rzekł w końcu. – Mówię tylko, że nie chcę stąd wyjeżdżać, Simonie.

I nagle poczuł wielką ulgę. W końcu wyznał przyjaciółom, o co mu przez cały czas chodziło.

Przerwał im hałas odsuwanych gwałtownie licznych krzeseł. Popatrzyli ku grupce

białych i natychmiast zrozumieli, w czym rzecz. Chłopak o bystrych oczach stał przy barze, z drinkiem w dłoni, drugą ręką machając ku przyjaciołom, by zostali na miejscach. Jednocześnie przeproszał za coś jakiegoś mężczyznę, który agresywnie na niego napierał.

– Już powiedziałem, że mi przykro.

– Swoim białym koleżkom na pewno nie wydmuchujesz dymu prosto w twarz – wybełkotał tamten, niezbyt trzeźwy. – Przeszkadza ci, że teraz możemy przychodzić do waszych barów?

– Przeszkadza mi, że nie potrafi pan przyjąć przeprosin – odrzekł chłopak spokojnie. Potem bez pośpiechu oddalił się w kierunku swojego stolika, usiadł i nakazał kolegom, by uczynili to samo.

Facet przy barze zapłacił i ruszył do wyjścia, ale wcześniej zakreślił szeroki łuk ramieniem, jakby chciał objąć nim całą przestrzeń zajmowaną przez białych, łącznie ze stolikiem Kiliana, i rzucił:

– Nie wydestaniecie się stąd żywi. Poderżniemy wam gardła. Wszystkim.

Zapadła nieprzyjemna cisza, którą przerwał Manuel, szepcząc:

– Zobaczysz, Kilianie. Julia też mi nie wierzy, ale w końcu będziemy musieli uciekać.

Wszyscy. – Posłał mu pełne niezachwianej pewności spojrzenie. – Także ty.

– Jesteście pewni, że to najlepsze rozwiązanie? – spytała Julia ze łzami w oczach. – Tato, mam... Wciąż jeszcze mamy czas, żeby się wycofać.

Generosa poprawiła włosy przed lustrem, które wisiało nad komodą obok słoniowego kła. Szklana tafla pokazywała jej obraz zupełnie inny niż ten przed laty, gdy Emilio i ona, Generosa, zakładali sklep i urządzali znajdujące się nad nim mieszkanie. Przypomniła sobie łzy, które wylewała, zostawiając jedyną córkę z dziadkami do czasu, aż oni, rodzice, będą w stanie zapewnić jej wymarzone życie. I późniejsze, szczęśliwe lata, jakie spędzili we trójkę w Santa Isabel. Czas minął błyskawicznie, ścierając blask z jej ciemnych włosów i żłobiąc głębokie zmarszczki wokół jej oczu. Westchnęła.

– Teraz przynajmniej możemy coś stąd wywieźć. Niewiele, ale więcej niż wtedy, gdy nas wyrzucą...

– Ale – argumentowała Julia – gdyby to rzeczywiście miało nastąpić, po co jakiś Portugalczyk kupowałby nasz sklep?

– João wie tyle co ja. – Emilio kończył porządkować jakieś papiery na biurku, na którym leżało też kilka egzemplarzy „ABC” z 1968 roku, z okładkami ilustrującymi ostatnie wydarzenia w Gwinei. Wstał i lekko przygarbiony podszedł do okna. – Nikt mu nie każe przejmować interesu. Po prostu jest odważniejszy... Szkoda, że nie mieliśmy dość ikry, by nie uznać nowej republiki, tak jak to zrobiła Portugalia. – Spojrzał na zegarek, a potem z niecierpliwością zerknął przez okno. Pragnął, by João zjawił się jak najszybciej, by jak najszybciej mogli skończyć z tą nieprzyjemną sprawą. Kiedy między narzeczonymi wygasa miłość, pomyślał, najlepiej całkowicie się odciąć. Tak właśnie było z nim i z Gwineą. Góral ma swoją dumę. Odchrząknął i dodał: – Poza tym on ma tutaj masę dzieci z jakąś miejscową kobietą. Jeszcze jeden powód, by zostać...

Uwaga ojca sprawiła, że Julia pomyślała o Kilianie. Czy zgodnie z okropnymi

przewidywaniami jej ojca i męża on również będzie musiał wyjechać? I zostawić dziecko Bisili na pastwę losu? Przecież wyraźnie je uwielbiał. Nie mógł go opuścić.

– Czemu nie wierzysz nowemu prezydentowi? – Podeszła do ojca i przytuliła się do jego ramienia. – Czyż nie dostał poparcia z Hiszpanii? Od dwunastego października...

– Nie przypominaj mi tej daty! – Emilio zacisnął dłoń na jej ręce. – Ci młodzi wariaci zrobili z miasta istne piekło... To był początek końca, o tak, kiedy powybijali szyby w domach i sklepach, i obalili posąg generała Barrery na oczach samego Fragi Iribarne... Pięknie podziękowali za przekazanie im władzy, nie ma co!

– To był ich pierwszy dzień wolności, tato. Ale od tamtego czasu Macías nic, tylko wychwala Hiszpanię. Obiecał, że będzie kontynuował politykę generalissimusa z ostatnich trzydziestu lat, zachęca hiszpańskich biznesmenów do inwestowania w Gwinei...

– Tak, już ja bym dała temu kogutkowi... – wtrąciła z jadowitą goryczą Generosa. – Na razie jest w euforii, ale zobaczymy, co będzie, jak przestanie dostawać pieniądze... Ciekawe, jak wtedy spełni swoje obietnice wyborcze...

Emilio prychnął, uwolnił się z uścisku córki i zaczął nerwowo spacerować po pokoju. – Jestem stary, Julio. Robimy, co należy. Jeśli podpiszemy dziś tę umowę, zostaniemy tu jeszcze tyle, ile trzeba, żeby się zebrać i powysyłać rzeczy. A potem... – Wzniósł oczy ku niebu. – Bóg wie.

Julia zagryzła usta, żeby opanować złość, jaką wyzwalała w niej zdecydowana rezygnacja ojca. Spojrzała na zegarek. Właściwie nie było pośpiechu. Manuel został z dziećmi, aby ona mogła przekonać rodziców, że bez sensu jest oddawać komuś owoce pracy całego życia. Ale jakoś nie miała siły brać w tym wszystkim udziału. Trudno jej było opuszczać miejsce, które uważała za swój dom. Poczwała nagły przypływ wyrzutów sumienia. Jeśli Emilio i Manuel mieli słuszność, narażała swoje dzieci na wielkie niebezpieczeństwo. Może powinna przestać się upierać i pomyśleć o nich... Gdyby coś im się stało, nigdy by sobie nie wybaczyła. Lepiej zapobiegać, niż potem leczyć. Postanowiła jeszcze rozważyć kwestię wyjazdu, nie potrafiła jednak zmusić się do patrzenia na podpisywanie umowy.

– Przepraszam, ale nie mogę dłużej czekać. Muszę wracać do dzieci. Tak czy owak, nie mam wpływu na wasze zdanie.

Wzięła torebkę i kluczyki. Podeszła do matki, by się pożegnać, i zdumiała się jej spokojem, nawet jeśli ten spokój jedynie maskował ból.

– Odprowadzę cię – zaproponował Emilio. – Zobaczymy, czy João wreszcie się zjawi. Na dole ze sklepu wyrzwał Dimas.

– O, don Emilio! Co to za pomysł, żeby sprzedawać interes Portugalczykowi?

– W końcu wam się udało. Wyjeżdżamy.

– Czy to nie lekka przesada?

– O to niech pan zapyta brata. Chyba znowu awansował, prawda?

Głębokie zmarszczki Dimasa jeszcze się pogłębiły w dumnym uśmiechu.

– Tak. Został asystentem wiceprezesa Trybunału Najwyższego.

Julia zrobiła zdziwioną minę. Słyszała, że nowy prezydent Macías zaprosił przedstawicieli różnych grup etnicznych i partii, a nawet pokonanych kontrkandydatów

do rządu i najwyższych urzędów w państwie, w ramach rekompensaty za poparcie, którego mu udzielili, widząc, że i tak zwycięży; krążyły też plotki, że posiedzenia Rady Ministrów odbywają się w atmosferze serdeczności i zgody; niemniej stanowisko Gustava naprawdę robiło wrażenie.

– Mam nadzieję, że zdąży się tym awansem nacieszyć – sarknął Emilio.

– Tato... – wtrąciła Julia, wiedząc, z jaką łatwością ojciec wdaje się w zażarte dyskusje.

– A czemu miałyby nie zdążyć?

Emilio potrząsnął głową.

– Nie łudź się, Dimasie. Ja też kiedyś miałem wszystko, a teraz muszę się z tym pożegnać. Obym się mylił. Obyś nie wrócił pokonany do swojej rodzinnej wioski... Jak ona się nazywała? A, tak, Ureka.

Ktoś z tyłu wymówił jego imię i Emilio szybko się obejrzał.

– O, jesteś wreszcie, João. – Ucałował córkę. – No, świetnie, to skończmy z tym jak najszybciej.

– No to do roboty, José. – Garuz potarł zmęczone oczy. Siedmiu ostatnich mężczyzn dbających o to, by Sampaka działała w miarę normalnie, odpoczywało po posiłku. – Macías ogłosił, że każe wszystkim białym ciosać kamienie na drodze.

Kilian raz jeszcze przeczytał ostatni akapit listu, który właśnie otrzymał od matki, zaniepokojonej wieściami przekazanymi jej przez sąsiadów z doliny pracujących na innych plantacjach.

Dlaczego nie wracasz? Nie rozumiem, czemu się tak upierasz, żeby tam zostać w takich warunkach? Sama już nie wiem, co jest prawdą, a co kłamstwem. Jedni mówią, że Hiszpanie śpią z pistoletem pod poduszką albo w ogóle nie śpią u siebie, ze strachu; inni – że to przesada... Jeśli chodzi ci o pieniądze, to się nie martw. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Twój ojciec byłby dumny z tego, ile się napracowałeś, by Rabaltué, twój jedyne dom, odzyskał dawną świetność. Gwinea odebrała mi Antona, nie chciałabym, żeby to samo stało się z jednym z moich synów... Pora, żebyś wrócił. Fernando Poo dostało już od nas i dało nam wszystko, co tylko możliwe. Uściski od kochającej matki.

Odłożył kartkę na stół. Przypomniawszy sobie, z jaką niecierpliwością czekał na listy od Mariany na początku, w tej samej jadalni, przed szesnastu laty, jako młodzieniec ciekawy świata i zarazem stęskniony za domem. Teraz czytał o nadziejach Jacoba na zmiany w Pasolobino i wszystko to wydawało mu się dziwne, dalekie. Jakby matka pisała do kogoś innego. Jego, Kiliana, miejsce było przy nowej rodzinie. Musiał pracować, by zapewnić jej byt.

Przeklął pod nosem swojego pecha. Gdyby nie ostatnie zmiany, mogliby z Bisilą kupić sobie dom w Santa Isabel. Właściwie marzył o tym, co wszyscy: o rodzinie i domu. Może nie tak widział kiedyś swoją przyszłość, ale stopniowo, w ten sposób się to wszystko potoczyło, a on nie chciał walczyć z przeznaczeniem. To zewnętrzne warunki zmuszały go do dziwnych ruchów.

– Dlaczego Macías tak się wściekł? – usłyszał pytanie Josego.

– Z wielu powodów! – odburknął Garuz. – On się wścieka o byle co. Wszędzie widzi duchy. Jakieś dwa tygodnie temu zdenerwował się, że wciąż macie zbyt dużo

hiszpańskich flag, i kazał je opuścić. Hiszpański konsul odmówił, więc Macías wyrzucił cały personel ambasady z kraju. Od tamtej pory mnożą się przypadki napaści na hiszpańskich kolonistów. Lada dzień coś się stanie w Sampace.

Simón dolał wszystkim – z wyjątkiem Walda i Nelsona – kawy.

– Samoloty i statki są przepełnione – powiedział. – Może i wy powinniście wyjechać.

– Nadal mamy tu wojsko i gwardię. Ja nigdzie nie jadę.

– Nie mów hop, Kilianie – wtrącił Gregorio. – Macías już oskarżył je o zabójstwa popełniane na miejscowej ludności i planowanie zamachu stanu.

Kilian wzruszył ramionami.

– Ty, jak chcesz, możesz uciekać. Jakoś poradzimy sobie bez ciebie.

Garuz zerknął na niego z satysfakcją. Kto by przewidział, że ten chłopak okaże się gościem z jajami?

– Zamierzam pobierać swoją pensję, dopóki się da – oświadczył Gregorio. – Ale w razie czego spadam. Na szczęście nie skomplikowałem sobie życia tak jak ty.

Kilian posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, które tamten wytrzymał bez mrugnięcia okiem. Nie myślał pozwolić, by zarządca sądził, że Kilian nie chce wyjechać z poczucia obowiązku wobec plantacji.

– Wszystkim nam się życie pokomplikowało – stwierdził Garuz.

– O, jemu bardziej niż innym.

Garuz zmarszczył brwi.

Zanim Gregorio zdążył jakoś nieprzyjemnie skomentować to, co jemu dawało tyle szczęścia, Kilian, patrząc Garuzowi prosto w oczy, pospieszył z wyjaśnieniem:

– Jestem wedle miejscowego rytuału żonaty z Bisilą, jedną z córek Josego, z którą mam syna, Fernanda Lahę. Nie ukrywam tego. Sądziłem, że pan wie.

Wszyscy w milczeniu czekali na reakcję zarządcy.

– Na Boga!

Garuz dolał sobie jeszcze kawy. Jak to się stało, że nie słyszał o tym wcześniej? Faktem było, że nigdy się specjalnie nie interesował ani życiem prywatnym innych ludzi, ani plotkami, ponieważ zawsze dotyczyły tego samego – miłostek, intryg, niechcianych dzieci – jednakże tym razem naprawdę się zdumiał, bo chodziło akurat o Kiliana. Więc dlatego nie wyjeżdżał? Garuz poczuł lekki zawód. To co brał za zdecydowanie i odwagę, okazywało się zwyczajnym kaprysem, który miał się skończyć tym co zawsze: niczym. Niemniej należało przyznać, że spokój, a wręcz duma, z jaką Kilian poinformował go o swojej sytuacji, nie pozwalały wątpić w powagę tego związku.

– Nie zamierzam ich opuścić – dodał Kilian, widząc, że zarządca oniemiał.

Garuz wszakże już po chwili odzyskał zwykłe opanowanie i stanowczo oświadczył:

– Macías prędzej czy później zda sobie sprawę z tego, że nas potrzebuje. Skąd weźmie jakiegokolwiek dochody, jeśli nie z takich plantacji jak ta? Tak czy owak, pewne środki ostrożności przedsięwziąć trzeba, przynajmniej chwilowo. – Wskazał na Simona, Walda, Josego i Nelsona. – Wy czterej nie ruszajcie się z plantacji...

– Ale przecież Nigeryjczycy są poza tym wszystkim... – zaprotestował Nelson. Bał się, że teraz będzie mu jeszcze trudniej widywać się z Obą.

– Na razie tak, ale wszystko w swoim czasie... – Garuz skinął w stronę Kiliana i Gregoria. – A wy...

Rozmowę przerwało gwałtowne trąbienie klaksonu i czyjeś krzyki. Wszyscy wypadli z jadalni i ujrzeni wściekłego Emilia, który ryczał coś, do połowy wychylając się z okna samochodu. Siedzący obok ojciec Rafael, pewnie zabrany po drodze w Saragossie, trzymał się za głowę.

– Uspokój się, Emilio! – powiedział Garuz. – Co się dzieje?

– Muszę uprzedzić córkę! Lorenzo, Kilianie, Gregorio... Chodźcie do Manuela!

Koła vauxhalla wbiły tuman kurzu i Emilio zaparkował kawałek dalej, pod domkiem lekarza.

Kilka minut później, już w salonie, opowiadał, co zaszło.

– Była próba zamachu stanu. Macías oskarża Hiszpanię, a Atanasio Ndongo został zamordowany. Bonifacio Ondó i inni polityczni rywale Macíasasa trafili do więzienia. Także Gustavo. Przez całą noc po ulicach jeździły wojskowe wozy. Wprowadzono stan wyjątkowy. Powinniśmy byli odpłynąć kilka dni temu razem z ostatnimi białymi, na „Pampelunie”! Julio, Manuelu, pozbierajcie najważniejsze rzeczy, pieniądze, biżuterię i paszporty, i zapomnijcie o reszcie.

– Ale Hiszpania... – zaczęła Julia.

Ojciec przerwał jej stanowczo.

– Julio, Hiszpania nie będzie się już mieszać w wewnętrzne sprawy Gwinei. Jadę teraz do miasta, zorganizować nam bilety. Będziemy razem czekać na statek albo samolot, co się trafi, dziś lub jutro... A wy... – zwrócił się do pozostałych – ...powinniście wziąć z nas przykład.

Manuel bezradnie popatrzył na Garuza. Niepokój teścia był całkowicie uzasadniony, lecz jak on, Manuel, miał zostawić bez opieki medycznej tych, którzy wciąż mieszkali na plantacji?

– Rób, co musisz zrobić – odrzekł na jego milczące pytanie zarządca. – Ja zostaję.

– Ja też – oznajmił Kilian, zdecydowany, że nigdzie się nie ruszy, dopóki nie przyjdą po niego z pistoletem.

– Ja... – Gregorio się zawahał. – Tak, ja na razie też.

Emilio wzruszył ramionami.

– A ojciec? – zwrócił się do ojca Rafaela.

– Zostaję, synu. Moje miejsce jest tutaj.

– Jak sobie chcecie. Po wyjeździe naszych ostatnich sił porządkowych będziecie mogli liczyć tylko na siebie. – Emilio podawał im kolejno dłoń, z zaciśniętymi ustami i zmarszczonymi brwiami, by kontrolować emocje. – Kilianie... Gdybym był twoim ojcem... Zabrałbym cię stąd przemocą.

Trzy godziny później Waldo i Kilian kończyli pakować rzeczy do eleganckiego ciemnego mercedesa, którym, dzięki uprzejmości Garuza, Manuel miał przewieźć rodzinę do miasta. Ismael i Francisco bawili się na dziedzińcu, nieświadomi smutku rodziców. Julia biegała w tę i z powrotem z zaczerwienionymi oczyma, a Manuel wydawał ostatnie dyspozycje w szpitalu, w którym przepracował szesnaście lat.

Kilian zapalił papierosa. Mały chłopiec minął go pędem i, jak zwykle, dołączył do

synów Julii. Kilian uśmiechnął się i poszukał spojrzeniem jego matki. Bisila zbliżała się w towarzystwie Simona.

– Będzie za nimi tęsknił – powiedziała.

– Tak, ja też – odrzekł Kilian.

Julia stanęła na progu z torbą w ręce. Po raz ostatni zajrzała do wnętrza swego domu, zamknęła drzwi, schyliła głowę i przez dłuższą chwilę tak stała. Po drzeniu jej ramion można było poznać, że płacze. W końcu wyjęła z torby chusteczkę, wyprostowała się, odwróciła i ruszyła do samochodu.

– Gdzie Manuel? – spytała drżącym głosem.

– Wciąż w szpitalu – odparł Kilian.

– Pójdź po niego, dobrze? Chcę, żeby to się jak najszybciej skończyło.

– Tak, jasne.

Kilian znalazł Manuela w pokoiku, w którym doktor badał i klasyfikował swoje rośliny.

– Prawie wszystko muszę zostawić – oświadczył głośno na widok Kiliana.

– Może kiedyś tu wrócisz...

– Tak, może.

– Będzie mi ciebie brakowało, Manuelu.

Doktor potrząsnął głową, wpatrzony w podłogę.

– I nawzajem.

Nerwowo oblizwał wargi. Wahał się, czy powiedzieć przyjacielowi to, co chciał mu powiedzieć od dawna. W końcu podjął decyzję.

– Kilianie... Wiem, co się stało, wiem, co Jacobo zrobił Bisili... – Kilian oparł się o stół. – Mam wątpliwości co do tego, kto jest biologicznym ojcem Fernanda, chociaż to ty przyjąłeś na siebie tę rolę... Ja też mam dzieci, Kilianie. I też bym ich nie opuścił. Ale uważaj, dobrze?

Kilian skinął głową. Potem spytał:

– Julia wie?

– Zawsze uwielbiała Jacoba. Po co wyprowadzać ją z błędu?

– Dżentelmen z ciebie, jak zwykle.

Manuel uśmiechnął się słabo, jeszcze raz rozejrzał się wokół i położył dłoń na klamce.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy w Ambos Mundos? – Kilian przytaknął. – Wydaje się, jakby to było wieki temu... Teraz nie ma nawet tego lokalu...

Wyszli na dwór, gdzie Julia z Bisilą w milczeniu przyglądały się dzieciom. Manuel pożegnał się ze wszystkimi, mocno uścisnął Kiliana, wsadził chłopców do auta i z oczyma pełnymi łez zajął miejsce obok nich, z tyłu.

– Chodź, Waldo. Ostatni raz się z tobą przejeździemy.

Julia, tak samo jak mąż, obeszła wszystkich dookoła. Gdy dotarła do Kiliana, zupełnie się rozkleiła.

– Och, Kilianie, ten mały jest coraz bardziej do ciebie podobny... Dbaj o niego, nie zostawiaj go... Co to będzie? – Kilian głaskał ją po głowie i w milczeniu, ze ściśniętym sercem czekał, aż trochę się uspokoi. Wreszcie wyprostowała się i wytarła nos

chusteczką. – Żegnaj, Kilianie. Pisz do nas.

Waldo uruchomił auto i przez główny dziedziniec Sampaki poprowadził je ku palmowej alei. Julia opadła na fotel, by poddać się słabości i przygnębieniu, które po drodze zniekształcały jej obraz migających za oknami miejsc: rodzinnego domu i Magazynu Ribagorzów, gdzie kiedyś, jako młoda dziewczyna, czekała, aż przystojny Jacobo z młodzieńczym impetem wpadnie do środka, by rozweselić jej dzień, i skąd teraz wyglądała zmartwiona Oba, a także kasyna, gdzie ona, Julia, po raz pierwszy rozmawiała z Manuelem, nieświadoma jeszcze, że w przyszłości zostanie jego żoną.

Wiele lat później z trudem przypominała sobie powrotną podróż statkiem, na który ostatecznie udało im się wsiąść w Bacie. Już raczej niesłychanej pamięci matki zawdzięczała wspomnienie specjalnego okrętu piechoty morskiej, wiozącego do kraju ostatnich przedstawicieli sił porządkowych; grupkę misjonarzy z Fernando Poo; najwytrwalszego uczestnika słynnej wyprawy naukowej, która wiele lat wcześniej znalazła i wysłała do barcelońskiego zoo goryla albinosa nazwanego z tej przyczyny Śnieżynkiem; kilku zarządców i właścicieli plantacji, a także ostatnią w Gwinei hiszpańską flagę, wiele papug, małp i innych egzotycznych stworzeń, zabranych przez załogę w charakterze prezentów dla rodziny, oraz pewną trzypokoleniową rodzinę. Okręt nazywał się „Aragonia”, co nieraz jeszcze miało się wydać Emiliowi, Generosie i Julii głęboko ironiczne: przed niedawnymi utrapieniami uciekali na statku noszącym nazwę regionu, w którym leżało Pasolobino, miejsce, gdzie przyszli na świat.

– Widzi pan? Przecież mówiłem. – Oparty o balustradę Simón wskazał na nabrzeże. – Worki wciąż tam leżą. Nie załadowali ani jednego. Całe zbiory się zepsują, o ile w ogóle już nie jest za późno, żeby je uratować.

Garuz nie wierzył własnym oczom. Na niewielkim betonowym moło w Santa Isabel piętrzyły się setki pękających worków z pieczętką Sampaki.

– Powariowali! – rzucił ze smutkiem Kilian. – Przecież to jest warte fortunę!

– Czy tak zamierzają się zajmować tym, o co zabiegaliśmy przez długie lata? – Garuz poczuł, że zalewa go fala wściekłości. – Efekty rocznej pracy gnijące z winy głupiego, niekompetentnego rządu! – Widząc, że z budki strażniczej na dole wychodzą dwaj policjanci, ruszył w dół Zbocza Gorączki. – Zaraz to załatwię! W razie czego zwrócę się do samego prezydenta!

Kilian przytrzymał go za ramię.

– Proszę poczekać! Nie wiem, czy to dobry pomysł...

– Myślisz, że boję się tych dwóch? – Garuz wyszarpnął się gniewnie.

– Jeśli zacznie pan na nich krzyczyć, da im pan doskonały pretekst, żeby pana aresztowali. Lepiej wracajmy na plantację. Uspokoi się pan i wtedy podejmie decyzję, co zrobić i do kogo się zwrócić.

Właśnie wtedy w pobliżu zatrzymał się samochód. Wsiadło z niego kilku mężczyzn, którzy skierowali się w stronę Zbocza. Garuz rozpoznał jednego z nich i szybko się do niego zbliżył.

– O, Maximiano! Cóż za zbieg okoliczności! Bardzo się cieszę, że pana widzę. Właśnie się dowiedziałem, że nasze zbiory nie zostały jeszcze załadowane na statek. Byłbym wdzięczny, gdyby wyjaśnił mi pan dlaczego.

– Ja mam panu udzielać wyjaśnień?

– Wszystko jedno kto. Nie mogę pozwolić, by marnowano w ten sposób moje pieniądze.

Szef policji powoli oblizwał dolną wargę.

– Czy kwestionuje pan słuszność działań naszego prezydenta?

– Słucham? – Coś w zimnym spojrzeniu tych przymrużonych oczu uświadomiło Garuzowi, że trzeba natychmiast zmienić front. – Oczywiście, że nie. W żadnym wypadku. Jeśli panowie pozwolą, to się pożegnám. – Machnął na swoich towarzyszy. – Kilianie, Simonie... Jedziemy!

We trzech skierowali się do swojego auta. Zatrzymał ich głos, który powiedział:

– Ej, Simonie! Coś szybko przestałeś kuleć.

Simón szybko schował się do samochodu. Garuz odwrócił się i napotkał spojrzenie Maximiana, który oskarżycielsko celował w niego palcem.

Już w aucie, opadłszy na siedzenie, zarządca Sampaki zaklął z cicha. Kilian rozumiał, że musi być wściekły i upokorzony. Nie pozostało mu nic innego, niż schować dumę do kieszeni i czym prędzej uciec z miejsca, gdzie gniło jego kakao. Teraz zastanawiał się, co dalej.

Prace na plantacji postępowały z trudem. Niewielu robotników wywiązywało się ze swoich obowiązków. Umowa z Nigerią została zerwana, ale nie na tym polegał problem, ponieważ siły roboczej bynajmniej nie brakowało. Niestety, większość ludzi snuła się bez celu, całkiem zdezorientowana, nie bardzo wiedząc, co począć, zupełnie jakby wszyscy w kraju zarazili się płynącym z samej góry zniechęceniem.

Kilian w głębi duszy wciąż się naiwnie spodziewał, że lada chwila jakiś radosny głos oświadczy, iż stosunki między Gwineą a Hiszpanią układają się doskonale i w warunkach niepodległości codzienne życie płynie normalnym torem. Niestety, rzeczywistość wyglądała inaczej. Niedobitki mediów, takie jak Radio Santa Isabel, Radio Madrid czy gazeta „Ébano”, na bieżąco relacjonowały zachodzącą w języku władzy przemianę: od pierwszych entuzjastycznych wypowiedzi utrzymanych w tym samym tonie co nowy hymn – „Podążymy drogą niezmiernego szczęścia” – po mnożące się na tle ogólnego upadku ducha groźby wobec białych. Oczekiwana pomoc się nie zjawiała, pieniędzy nie starczało, nowy porządek pozostawiał wiele do życzenia. Ludzie wciąż żyli w nędzy, obietnice wyborcze nie znajdowały pokrycia. A Macías tylko powtarzał: „Skończyły się czasy niewolnictwa. Niech nikt nie pomaga białym, niech żaden czarny nie boi się białego... Nie jesteśmy biedni, Gwinea jest bogata, mamy wielkie złoża ropy naftowej. Białych, jeśli wystąpią przeciw rządowi, pozamykam w więzieniach”. I ci z nich, którzy nadal nie wyjechali, nie mogli puszczać jego słów mimo uszu.

Na ulicach panował brud, wały się śmieci, wszędzie widać było plamy krwi. Przechodnie obrzucali samochód z Sampaki nieufnymi spojrzeniami.

Garuz poprosił Simona, żeby ten przyspieszył.

– Sam nie wiem, Kilianie... – mruknął zamyślony, gdy opuścili miasto. – Może za bardzo ryzykujemy. Nawet ci z telewizji już spakowali manatki...

Simón gwałtownie zahamował. Poboczem szła drobna kobieta z pękatym tobołkiem na głowie. Kilian zobaczył, że we wzroku Simona maluje się prośba, by biedaczkę

zabrać.

Wysiadł.

– Oba! Co ty tu robisz, całkiem sama?

– Przeprowadzam się do Nelsona. W sklepie nie ma nic do roboty, *massa*. Żeby tylko *big massa* nam nie zakazał...

– Chodź, podwieziemy cię.

Wsiedli do auta. Oba zdziwiła się, rozpoznając siedzącego obok kierowcy Garuza. Zarządca nawet się nie odwrócił. Nie odezwał się ani słowem. Było mu obojętne, co ta dziewczyna robi, chociaż... Przewyciężając chwilową słabość, wyprostował się na fotelu. Skoro to kobiety stanowiły powód, dla którego mężczyźni tacy jak Kilian czy Nelson wciąż mu pomagali, nie należało czynić im wstrętów. Poza tym jeśli czegoś w Sampace akurat nie brakowało – to robotniczych mieszkań.

Latem napięcie trochę zależało i sytuacja jakby się uspokoiła. W październiku 1969 roku podpisano nowe porozumienie dwustronne, w którym Hiszpania zobowiązała się udzielić Gwinei milionowego kredytu. W związku z faktem, że niektórzy biali zaczęli wracać, Garuz, spotkawszy się z nimi kilka razy, postanowił zmienić postawę, wyjść ze swojego dotychczasowego zamknięcia i z bliska ocenić nastroje, przyjmując zaproszenie na uroczystą kolację w kasynie.

W obliczu jego przekonywań, że trzeba nawiązać bliższe kontakty z lokalnymi władzami, Kilianowi i Gregoriowi nie pozostało nic innego, niż mu towarzyszyć. Kilian przystał na to z rezygnacją. Nie miał ochoty na podobne imprezy, ale zrobiłby wszystko, żeby móc zostać w Gwinei jak najdłużej. Przypomniawszy sobie Walda, który zawsze woził ze sobą kilka tuzinów jaj oraz parę butelek koniaku, by uniknąć problemów z policją, i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu włożył ciemny garnitur, a także pożyczoną od samego Garuza muchę.

Zaraz po wejściu do kasyna ze zdumieniem stwierdził, że od jego poprzedniej wizyty zmieniły się tu tylko dwie rzeczy. Po pierwsze zdecydowana większość zebranych była czarnoskóra, bo białych dało się wręcz policzyć na palcach, po drugie zaś wszędzie roiło się od wojskowych mundurów. Poza tym jednak zespół pod nazwą Etofile przygrywał wesoło, a liczni kelnerzy sprawnie obsługiwali rozgadanych gości.

Garuz, eskortowany przez Gregoria i Kiliana, z przesadną serdecznością ścisnął dłonie co poniektórych, zwłaszcza gdy przyszła kolej na dyrektora generalnego Urzędu Bezpieczeństwa, surowego mężczyznę o ostrym spojrzeniu, oraz sekretarza obrony, poważnego, zamyślnego osobnika w mundurze dowódcy. Kilian przywitał się z nimi, czując nieprzyjemny dreszcz. Nawet cień uśmiechu nie łagodził twarzy tych ludzi, od których zależały losy kraju i jego własne.

Od strony drzwi, które prowadziły na zewnętrzny taras z parkietem do tańca, dobiegły głośne śmiechy. Garuz zerknął w tamtym kierunku i widząc grupkę rozbawionych Europejczyków, uśmiechnął się z niejaką ulgą. We trzech ruszyli ku wesołemu towarzystwu. Kilian odnosił wrażenie, że gdzieś już tych ludzi widział, nie pamiętał jednak gdzie. Garuz przywitał się z dwoma z nich, by następnie udać się wraz z nimi do niewielkiej przyległej salki.

– Cześć – odezwał się ktoś tuż obok Kiliana. – Jeśli przyszedłeś z Garuzem, to znaczy,

że u niego pracujesz. – Nieznajomy wyciągnął rękę. – Jestem Miguel. Pracuję w telewizji. – Machnął ku pozostałym. – Wszyscy tam pracujemy. Jedni przy nadajniku, inni w studiach.

Kilian przyjrzał się młodemu człowiekowi o bystrych oczach i krótkiej bródce, i przypomniał sobie, jak przed wyborami jakiś pijany facet przyczepił się do tego samego chłopaka, oskarżając go o dmuchanie mu dymem w twarz.

– Ja jestem Kilian i rzeczywiście pracuję w Sampace. Myślałem, że wy, z telewizji, już się stąd zwinęliście. – Kątem oka obserwował Garuza, pogrążonego teraz w rozmowie z dwiema należącymi do grupy dziewczynami. Wyglądało na to, że zarządca próbuje zaimponować im swoim kolonialnym doświadczeniem.

– Po marcowym zamachu faktycznie trzeba było uciekać, gdzie pieprz rośnie. Ale potem znów nas tu przysłano. No i tak siedzimy... Jeszcze.

– A jak tam w Hiszpanii? Ludzie wiedzą, co się tutaj dzieje?

– Wierz mi – odrzekł Miguel – że poza rodzinami i przyjaciółmi osób bezpośrednio zaangażowanych nikt nie ma o niczym pojęcia, nawet o tym, że jakiś czas temu mieliśmy afrykańskie prowincje i czarnych rodaków. A przecież prasa rozpisywała się o pięknej roli Hiszpanii w procesie wyzwolenia Gwinei. Tak czy owak, teraz nikt już o tym nie mówi.

– No tak... – Kilian, mimo że spodziewał się takiej odpowiedzi, przyjął ją z głębokim smutkiem. – A skąd znasz Garuza?

– Od czasu wprowadzenia nowej waluty i on, i inni przedsiębiorcy wręcz się za nami uganiają, żebyśmy wystawiali im weksle w zamian za gwinejskie pesety, które nam przekazują. My je wydajemy, a oni śpią spokojnie. Inaczej by się bali dewaluacji. Więc jeśli masz jakieś pieniądze...

Kilian z każdą chwilą czuł do tego chłopaka coraz większą sympatię. Miguel, z natury niespokojny, gestykulował i uśmiechał się w sposób, który napawał odświeżającym poczuciem bliskości i koleżeństwa. Kilian zdał sobie sprawę, że od wieków nie rozmawiał z nikim spoza Sampaki.

– Dziękuję za propozycję – odrzekł – ale moja pensja przelewana jest od razu na hiszpańskie konto. Zostawiam sobie tylko tyle, ile potrzebuję na bieżące wydatki. – Zapalił papierosa. – A czym ty się dokładnie zajmujesz?

– Konserwacją nadajnika na górze. W wolne dni wpadam do kasyna pograć w tenisa. Widzisz tego typa? – Skinął w stronę bardzo wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyzny stojącego kawałek dalej. – To kameruński konsul. Zawsze chce ze mną grać. – Zaśmiał się. – Pewnie dlatego, że zawsze wygrywa. A ty? Od jak dawna jesteś na Fernando Poo? W przeciwieństwie do mnie wyglądasz na starego wyjadacza... Czy się mylę?

Kilian uśmiechnął się melancholijnie. Owszem, doskonale poznał wyspę i jej mieszkańców, lecz gdyby Miguel wiedział, przez co musiał przejść i jak bardzo się teraz bał niepewnej przyszłości, w jego głosie nie brzmiałaby zazdrość.

Przez dłuższą chwilę przyjaźnie gawędzili o sobie i o polityce. Miguel nie krył, że w mieście czuje się bez przerwy fizycznie zagrożony, w związku z czym poza pracą bywa wyłącznie w kasynie, do którego uparcie zapraszał i Kiliana, przekonując go, że nie

powinien cały czas siedzieć sam na plantacji.

– Nie jestem sam – oświadczył Kilian. – Mam żonę i dzieci.

Bliscy znajomi już od dawna traktowali jego sytuację osobistą jako zupełnie normalną, jednakże przedstawienie jej w ten sposób komuś obcemu sprawiło mu wielką przyjemność. Poza tym Miguel budził w nim zaufanie.

– Wciąż tu są? – Chłopak uniósł w zdumieniu brwi. – Większość białych, którzy zostali na wyspie, odesłała rodziny do domu.

– Cóż... Moja żona jest Gwinejką. Pochodzi z plemienia Bubi.

– A co zrobicie, jak sprawy się skomplikują?

– Nie wiem. – Kilian westchnął. – To trudna sprawa.

– No co ty!

Kelner powiadomił ich, że kolacja zostanie podana za kilka minut. Garuz wrócił do towarzystwa i wszyscy razem przeszli do jadalni, przybranej jak za najlepszych czasów.

– Wiesz co, Kilianie? – rzucił Miguel, gdy tylko zasiedli obok siebie przy jednym z okrągłych stolików. – Za pierwszym razem nie wiedziałem, co począć z tymi wszystkimi sztuczkami. W Hiszpanii nie obracam się w tak wyrafinowanych kręgach...

– Doskonale cię rozumiem! – szczerze zaśmiał się Kilian.

I nagle zastygł. Popatrzył na siedzącego kilka krzeseł dalej Gregoria, który też wydawał się mocno zaskoczony.

Do jadalni, wsparta na ramieniu mężczyzny o dziobatej twarzy, wkroczyła olśniewająca kobieta ubrana w szykowną suknię z białej krepy, zmierzając do jednego z pobliskich stolików. Przestrzeń dzielącą ją od miejsc zajmowanych przez Kiliana i Gregoria pokonała, kręcąc biodrami i śmiejąc się tak głośno, jakby jej towarzysz opowiadał akurat najlepsze dowcipy na świecie.

– A otóż i Maximiano... – mruknął sarkastycznie Garuz, rozpoznając szefa policji.

Kilian spuścił wzrok, gdy Sade utkwiała pełne pogardy i nienawiści spojrzenie najpierw w Gregoriu, a następnie w nim. Później, zasiadłszy przy stoliku zarezerwowanym dla funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, wśród których znajdował się również poznany wcześniej przez Kiliana dyrektor generalny, ani na chwilę nie przestawała kokietować swego towarzysza, szepcząc mu do ucha coś, co sprawiło, że Maximiano kilkakrotnie popatrzył na Kiliana i Gregoria ze zmarszczonym czołem.

– Więc ich znasz? – spytał.

Sade spuściła powieki z wystudiowanym smutkiem.

– Ten z ciemnymi włosami o miedzianym połysku zostawił mnie dla innej, jak zaszłam z nim w ciążę... – umiejętnie zawiesiła głos, kątem oka dostrzegając, że szef policji zaciska usta. – A ten drugi, z wąsami, chciał mnie kiedyś zgwałcić, grożąc mi pistoletem.

Maximiano całkiem otwarcie posłał białym istic zabójcze spojrzenie.

– Nie wiem, co zrobiliście mojemu wujowi – rzucił jakiś chłopak, siadając obok nich – ale widząc, jak na was patrzy, cieszę się, że nie jestem w waszej skórze.

– Wujowi? – zdziwił się Miguel, spoglądając ku niemu poprzez ramię dzielącego ich Kiliana.

– Nie mówiłem ci, że mam krewnych na stanowiskach?

– Przepraszam, Kilianie. Przedstawiam ci Baltasara, kamerzystę. Uprzedzając twoje pytania, powiem, że Baltasar studiował w Madrycie, tam mieszka i pracuje. A to jest Kilian – z uśmiechem puścił do nich oko – jeden z najwytrwalszych kolonizatorów.

Kilianowi nie bardzo spodobało się to określenie, zwłaszcza że chwilę wcześniej opowiedział Miguelowi o swojej nietypowej rodzinie, ale szybko doszedł do wniosku, że chłopak nie miał nic złego na myśli. Ucisnął dłoń Baltasara i przyjrzał mu się z uwagą. Nowy znajomy odznaczał się wyjątkowo ciemną skórą, toteż białka jego oczu i zęby błyskały jak flesze za każdym razem, gdy mrugał powiekami lub się uśmiechał.

– Czyli jesteś Fangiem...

Baltasar uniósł brwi.

– Przeszkadza ci to?

– Nie, chwilowo nie – odrzekł Kilian.

I natychmiast pożałował tych słów. Przecież dopiero co chłopaka poznał, poza tym Baltasar robił sympatyczne wrażenie. Teraz popatrzył na niego pytająco, otworzył usta, jakby chciał jakoś się odnieść do tej ostrej uwagi, po czym zmienił zdanie. Wtedy wtrącił się Miguel:

– Żona Kiliana pochodzi z plemienia Bubi...

– I...? – Baltasar rozłożył swoje jasne dłonie. – A, no tak. Zwyczajowe uproszczenie. Bubi dobrzy, Fangowie źli, co?

Kilian nie odpowiedział. Baltasar zacmokał i ku niezadowoleniu usłużnego kelnera sam nalał sobie wina. Zniżył głos.

– Coś ci powiem, Kilianie. To kapryśne, pamiętliwe i mściwe monstrum, które rządzi Gwineą, wynieśli do władzy Hiszpanie, nie ja. Macías najpierw się wam podobał, a jak zrozumieliście swój błąd, postanowiliście go naprawić za pomocą zamachu stanu, który zorganizowaliście akurat w chwili, gdy nasz boski prezydent znajdował się u szczytu popularności jako nieomylny lider wolnego narodu... Teraz, gdybyście mogli, tobyście go zamordowali. A wiesz, co najbardziej przeraża naszego boskiego prezydenta? Śmierć. Facet ma na tym punkcie obsesję. Wiedzie, że ukarał jednego ze swoich ministrów za kasłanie? Oskarżył biedaka o próbę zarażenia go mikroorganizmami. Jakie wnioski wyciągnęli urzędnicy? Że trzeba korzystać z długich urlopów, żeby na nic nie chorować. – Parsknął śmiechem. – Czysty surrealizm! Macías zrobi wszystko, żeby ją opóźnić. Śmierć, znaczy. Będzie przekupywał, nagradzał donosicielstwo i lizusostwo, i zabijał, zabijał każdego, kogo na podstawie takich czy innych przesłanek zacznie podejrzewać o sprzeciw. Dlatego, przyjacielu, Hiszpania powinna wziąć na siebie część winy za wybór takiego kandydata, i tym samym, za degenerację, która będzie się tu szerzyć, dopóki jeden z lokajów potwora nie podniesie na niego ręki...

– Nie powinieneś mówić takich rzeczy, Baltasarze – szepnął Miguel. – To niebezpieczne.

– Ja na szczęście niedługo stąd wyjeżdżam. Politykę zostawiam krewnym. – Baltasar sięgnął po leżącą na stole kartę dań. – Ciekawe, czym zostaną dziś zaskoczone nasze podniebienia.

Kilian z ulgą powitał zmianę tematu, razem ze wszystkimi żartobliwie komentując wyrefinowane menu, złożone z zagęszczonego kurzego bulionu, jaj w koszulkach po

królewsku, langusty w sosie tatarskim, strzępieli na zimno po parysku, pieczonego kurczaka po angielsku i tropikalnej sałatki owocowej. Stopniowo się rozluźniał, a wręcz musiał sam przed sobą przyznać, że towarzystwo nowych znajomych działa na niego ożywczo. Szczególnie ciekawił go Baltasar, który skończył w Hiszpanii studia, w drodze konkursu zdobył etat w telewizji i bynajmniej nie zamierzał zmieniać miejsca zamieszkania.

– Miguel wspominał, że w Hiszpanii nie mówi się teraz o Gwinei...

– Zakładam – odrzekł Baltasar – że hiszpańscy politycy chcieliby jak najszybciej zapomnieć o tym, iż przeprowadzili tutaj coś w rodzaju... – jego głos nabrał ironicznych tonów – ...ćwiczeń z demokracji. Rząd dyktatora Franca zorganizował referendum i wolne wybory, coś całkiem nie do pomyślenia w samej Hiszpanii...

Kilian zmarszczył czoło. Nigdy nie analizował ostatnich wydarzeń z tej perspektywy. Tak się skupił na sprawach wyspy, że przestał zwracać uwagę na sytuację we własnym kraju. Nie zastanawiał się nad faktem, że w Hiszpanii trwa dyktatura. Żył swoim życiem i nie potrafiłby nikomu wyjaśnić, w jaki sposób forma rządów na Półwyspie wpływała na rozwój wydarzeń w kolonii.

– A jak ci się żyje w stolicy? – znów zwrócił się do Baltasara.

– Mieszkam w Madrycie już tak długo, że czuję się tam jak w domu.

– I nigdy nie miałeś żadnych kłopotów?

– O, stary, poza tym, że strasznie się wyróżniam wśród tych wszystkich białych – parsknął Baltasar – to nie. Ale wielu moich rodaków, którzy teraz przyjeżdżają do Hiszpanii w poszukiwaniu wolności, stwierdza, że matka ojczyzna zamieniła się we wredną macochę. Nie dość, że nikt tam nic nie wie o tym, co działo się i dzieje w Gwinei, to w dodatku od czasu proklamowania niepodległości Gwinejczykom nie przedłuża się hiszpańskich paszportów, w związku z czym stają się bezpaństwowcami. Kiedyś mieli dwie ojczyzny i nagle nie mają żadnej. Mnie to nie dotyczy, bo ożeniłem się z Hiszpanką. – Baltasar uważnie popatrzył na Kiliana.

Ten zaś nie potrafił ukryć zaskoczenia. Na chwilę zaświtała mu nowa nadzieja. Musiał porozmawiać z Bisilą i przekonać ją, by z nim wyjechała. Mogli zacząć wszystko od nowa gdzieś indziej. Skoro innym się udawało, to dlaczego im dwojgu miałyby się nie udać?

Kelnerzy skończyli zbierać nakrycia i podali whisky z wodą sodową. Zespół na scenie zainicjował tańce standardem Jamesa Browna i ludzie zaczęli wstawać od stolików. Gregorio podszedł do Garuza i coś mu szepnął. Kilian usłyszał odpowiedź zarządcy:

– Nie wiem, czy to bezpieczne, żebyś szedł sam.

– A dokąd się wybierasz? – spytał ktoś z grupy telewizyjnej.

– Zobaczyć, co słychać na mieście.

– Możemy z tobą? – zagadnął go inny. – Chcielibyśmy zaznać trochę tutejszego życia nocnego...

Gregorio wzruszył ramionami i skierował się ku drzwiom, a za nim podążyli tamci dwaj.

– Chłopaki nie przegapią żadnej okazji – uśmiechnął się Miguel.

– Powinni uważać – rzucił ostrzegawczo Baltasar, zerkając ku stolikowi

zajmowanemu przez jego wuja i kompanię. – Wielu nie lubi, żeby nasze kobiety prowadziły się z białymi.

Gregorio opuścił lokal Anity sam. Ci dwaj z telewizji zmyli się już wcześniej. Niezbyt pewnym krokiem ruszył w stronę samochodu. Ulica świeciła pustkami. Otworzył drzwi auta, ale zanim zdążył wsiaść, czyjaś ręka mocno chwyciła go za ramię. Zaraz potem ktoś inny zarzucił mu worek na głowę, popchnął go i całkiem bezbronnie wsadził do jakiegoś samochodu, który z piskiem opon ruszył w niewiadomym kierunku.

W końcu się zatrzymali. Napastnicy brutalnie wywlekli Gregoria na zewnątrz i kazali mu przejść kilka kroków. Usłyszał metaliczne skrzypnięcie otwieranej bramy. W całkowitej ciszy czuł, że znowu go dokądś pchają. Później zdjęli mu worek z głowy. Dopiero po chwili zrozumiał, gdzie się znajduje. Na widok jego miny pięciu czy sześciu mężczyzn wybuchnęło śmiechem.

Stał nad otwartym grobem, pośród innych mogił. Na całe ciało wystąpił mu zimny pot. Przywieźli go na cmentarz! Teraz już wiedział, co zamierzają. Mocz pociekł mu po wewnętrznej stronie ud.

– Ładny dół, co, *massa* Gregor?

Znali jego imię. W ciemności nie rozpoznawał ich twarzy. Widział tylko nabiegłe krwią oczy. Zresztą, co by to dało, nawet gdyby któregoś rozpoznał?

– Ładny dół ci wykopaliśmy? I cały tylko dla ciebie.

– Myślicie, że się zmieszczę?

– Może spróbujemy?

Śmiechy.

Pierwszy cios spadł na plecy. Drugi gdzieś w okolicy nerek. Potem trudno już było rozróżnić. Wreszcie silne pchnięcie, które posłało Gregoria w głąb dołu. I groźne, nienawistne głosy:

– To tylko ostrzeżenie, białasie. Ale spodziewaj się nas znowu w każdej chwili.

I raz jeszcze przenikliwe skrzypnięcie bramy.

Dopiero po dłuższej chwili Gregorio pozbierał się na tyle, by jęcząc z bólu, wyczołgać się na powierzchnię, chyłkiem przemknąć przez cmentarz i mniej więcej zorientować się w jego położeniu. Zanim dotarł z powrotem pod klub, do samochodu, rozcięta na twarzy przestały krwawić. Decyzja była już jednak podjęta.

Znalazłszy się w Sampace, obudził Garuza i poprosił o rozwiązanie umowy.

O świcie Waldo odwiózł go na lotnisko i Gregorio znikł z Fernando Poo bez pożegnania.

Miguel i Baltasar pochowali nakręcony materiał o produkcji kakao do metalowych walizeczek.

– Dziękujemy za objaśnienia, Kilianie – powiedział Miguel. – Bardzo to było pouczające.

– Szkoda, że nie widzieliście, jak ta plantacja działała kiedyś... Teraz aż szkoda na to wszystko patrzeć. Jest nas tak mało, że nie radzimy sobie nawet z wycinaniem chwastów. No i nie produkujemy nawet dziesiątej części tego co kiedyś... – Zaczęło padać i wszyscy trzej pospiesznie schowali się do samochodu.

Najkrótsza i najbezpieczniejsza droga do wielopiętrowego budynku zajmowanego

przez ekipę telewizyjną wiodła przez dzielnicę, w której kiedyś mieszkała rodzina Julii. Od wyjazdu Ribagorzów Kilian mijał ich sklep jakieś dwa razy i przy każdej z tych okazji czuł, że serce mu się kraje. Cały czas miał wrażenie, że lada chwila w drzwiach stanie Emilio albo jego córka...

– Dokąd oni wszyscy tak pędzą? – spytał Baltasar.

Ulica niespodziewanie zapełniła się biegnącymi w różnych kierunkach młodymi ludźmi. Ci, którzy zmierzali w tę samą stronę co oni, ręce mieli puste. Ci, co stamtąd wracali, nieśli najrozmaitsze przedmioty i butelki, które opróżniali wśród dzikich śmiechów, a następnie rozbijali o ziemię. Kilian, owładnięty złym przeczuciem, przyhamował i zatrzymał auto niedaleko dawnego sklepu Emilia.

– Och, Boże, co oni wyprawiają?

Dziesiątki wyrostków niszczyły Magazyn Ribagorzów. Jedni tłukli okna grubymi kijami, inni wynosili ze środka wszelkie dobra. Potem wywlekli na zewnątrz białego mężczyznę, prawdopodobnie nowego właściciela imieniem João, który ze złożonymi dłońmi błagał, by nic mu nie robili. Głusi na jego prośby zaczęli go okrutnie bić. Krew trysnęła na chodnik. Nie namyślając się wiele, Kilian wyskoczył z samochodu i pobiegł w ich stronę.

– Przestańcie! Przestańcie natychmiast! – krzyczał, wymachując rękoma.

Od razu zrozumiał swój błąd. Wysoki, ogolony na łyso młodzieniec odwrócił się i kpiąco uśmiechnął.

– O, jeszcze jeden! Brać go!

Serce waliło Kilianowi jak młotem, gdy usiłował przypomnieć sobie pochodzące z innych czasów instrukcje na temat właściwego traktowania robotników: stanowczo, spokojnie, bez wahań...

– Natychmiast puście tego człowieka! – zawołał.

– Bo co, białasie? – Łysy zbliżył się rozkołysanym krokiem. – Bo tak każesz?

Już po chwili wokół Kiliana zaroilo się od innych, w większości nastolatków. Poczuł, że opuszcza go pewność siebie.

– Żaden biały nie będzie nam rozkazywał – oświadczył któryś z nich.

Kije uniosły się w powietrze. Kilian zasłonił ramionami twarz. Czekał, ale nic się nie działo. Potem usłyszał znajomy głos, który zdecydowanie, lecz uprzejmie powiedział:

– Ja bym tego na waszym miejscu nie robił. – Baltasar stanął między Kilianem a żądnym zemsty tłumkiem. – Jestem bratankiem szefa policji, Maximiana. Ten facet to jego przyjaciel. – Potem rzucił przez ramię: – Wracaj do auta. Ja chciałbym porozmawiać z chłopakami i spytać, co ich tak wkurzyło. – Następnie odezwał się do nich w języku fang, na co tamci zarzucili go gradem wyjaśnień wypowiedzianych w wielkim podnieceniu.

Kilian wsiadł do samochodu. Nogi wciąż mu drżały. Miguel kulił się na tylnym siedzeniu.

Żaden się nie odezwał. Kilian spojrział przez okno ku dawnemu salonowi Ribagorzów i poczuł ucisk w żołądku. Jakaś kobieta z niemowlęciem w ramionach przyciskała do spódnicy główkę pięcio- albo sześćioletniego dziecka. Mimo odległości Kilian odnosił wrażenie, że słyszy płacz przerażenia. Czy ta kobieta i te dzieci miały jeszcze zobaczyć

ojca rodziny przy życiu?

Baltasar wrócił do auta w towarzystwie ogolonego chłopaka. Dopiero tam się z nim pożegnał, po czym wsiadł. Łysy pochylił się, szukając spojrzenia Kiliana.

– Następnym razem nie będziesz miał tyle szczęścia.

Kilian uruchomił silnik i zaczęli się oddalać.

– Dziękuję, Baltasarze – powiedział. – Uratowałeś mi życie.

Tamten z przygnębieniem machnął ręką, jakby chciał od razu zapomnieć o całej sprawie, i nic nie odrzekł.

– Można wiedzieć, co ich w ogóle opętało? – spytał po jakimś czasie Miguel.

– Grupa portugalskich najemników próbowała zająć Konakry. Macías dał swoim młodzieżówkom wolną rękę w sprawie protestów przeciw Portugalczykom.

Miguel prychnął.

– Niezły sposób wyrażania protestu... Dziś wieczorem wracam na górę, do nadajnika, i nie zamierzam pojawiać się na dole przez tydzień.

– Niezły pomysł, w kontekście obecnych nastrojów... – mruknął Baltasar.

Kilian zerknął na niego spod oka. Był pewien, że i w jego głowie dźwięczy to samo co u wszystkich pytanie.

Co, do diabła, dzieje się z tym przeklętym krajem?

– Czemu nie możemy wyjechać? – upierał się Kilian.

– Wyjechać dokąd?

Już po raz kolejny odbywali tę rozmowę.

– Do Hiszpanii. Jesteś moją żoną. Zabiorę cię z sobą.

– Moje miejsce jest tutaj.

– Twoje miejsce jest przy mnie.

Kilian opuścił nogi na podłogę, siadając ze spuszczoną głową na skraju łóżka.

– Wszyscy wyjeżdżają – powiedział. – Dlatego rozważam wszystkie możliwości.

Bisila usiadła obok.

– Ja nie mogę stąd wyjechać. Dzieci białego i czarnej są Gwinejczykami, nie Hiszpanami. Nie pozwolą im opuścić kraju. – Cisza. – Poza tym nie odnalazłabym się w Pasolobino. Nie pasuję tam. Zawsze byłabym tą Murzynką, którą Kilian z Rabaltué przywiózł sobie z kolonii.

Kilian się obruszył.

– Byłabyś moją żoną! Przyzwyczailiby się!

– Ale ja nie chcę, żeby ktoś się musiał do mnie przyzwyczajać.

– Moglibyśmy też zamieszkać w Madrycie albo w Barcelonie... Znalazłbym pracę w jakiejś fabryce.

– Ty jesteś człowiekiem ziemi, gór, roli... W mieście nie czułbyś się szczęśliwy. Z czasem zacząłbyś mnie obwiniać o swój smutek i nasza miłość by umarła.

– Więc pozostaje tylko jedno wyjście: ja zostanę tutaj. Na plantacji czuję się jeszcze bezpiecznie.

Bisila wstała, postąpiła kilka kroków, wyjrzała przez okno, zawróciła i podeszła do stołu, na którym stało małe lustro. Kilian zatknął za jego ramę ich jedyne wspólne zdjęcie. Uśmiechnęła się na wspomnienie dnia, w którym Simón stanął przed nimi z

nowo nabytym aparatem fotograficznym. *No, Bisilo, ty ustaw się tutaj... Tak... Fernando, chodź, ty obok mamy. Tylko się nie ruszaj. I uśmiechnij się... Kilianie, teraz ty, tutaj, tak, doskonale. Jak chcesz, możesz oprzeć się o furgonetkę. Mam nadzieję, że wyjdzie!* Ironia losu: gdy tylko mogli przestać się ukrywać ze swoją miłością, zaczęły się szykany wobec białych.

– Tak, na plantacji jesteś bezpieczny – powtórzyła, nie odrywając wzroku od fotografii. – Tylko... jak długo?

– Dokąd oni się wybierają? – Zdumiony Kilian wybiegł za Garuzem na środek głównego dziedzińca, gdzie zbierali się robotnicy trzymający tobołki ze skromnym dobytkiem. Byli z żonami i dziećmi. Kilian dostrzegł Bisilę, która szła pod rękę z Lialią, oraz Obę z jednym z synów Ekona na rękach.

– Dokąd się wybieracie? – powtórzył Garuz.

– Wyjeżdżamy, jak wszyscy, *massa* – odpowiedział Nelson z powagą. – Przyszła wiadomość, że możemy wracać do domu. Tutaj nie mamy już nic do roboty.

– Ale... A wojna? – spytał Kilian.

– Skończyła się. Przegrani zostaną potraktowani łaskawie. Przynajmniej taka była obietnica. Przesłano też po nas statki.

– Nie chcemy skończyć jak Portugalczycy – wtrącił Ekon. – Tutejszy prezydent lubi tylko ludzi stąd.

Kilian spuścił głowę. Więc oni też. Oni też uciekali. Ostatni towarzysze. A zbiory? Kto miał się zająć dojrzewającymi na drzewach owocami?

Garuz zaklął głośno i zawrócił do gabinetu.

Bisila stanęła obok Kiliana. Nelson wyciągnął dłoń, by pożegnać się ze swoim szefem, lecz Kilian pokręcił głową.

– Odwiozę was ciężarówką. To dla dzieci za daleko.

– Nie wiem, czy...

– Czy to bezpieczne? Wszystko jedno. Odwiozę was.

– Ja też pojedę – powiedziała Bisila.

Godzinę później grupa Nigeryjczyków schodziła po Zboczu Gorączki zdecydowanie, lecz z coraz większym niepokojem. Na małej przystani tłoczyły się setki osób, a gwinejska straż każdemu sprawdzała dokumenty, zanim wpuściła go na wąski trap prowadzący na przysłany przez nigeryjskie władze statek.

Kilian i Bisila zostali na górze, oparci o balustradę, pośród ciekawskich, którzy przyszli do portu oglądać odjazd nigeryjskich robotników. Kilian cieszył się, że nie jest w tym tłumie jedynym białym. Kawalek dalej dostrzegł kilku kolegów Miguela i Baltasara. Bisila co chwila unosiła dłoń, żeby pomachać Lalii i jej dzieciom. Kilian podziwiał jej zdolność do uśmiechania się w takim momencie – wiedział, ile ją kosztuje utrata najlepszej przyjaciółki. Dzieci Ekona i Lalii, które leczyła od dzieciństwa, też nieustannie odwracały się w jej stronę, aż przyszła ich kolej, żeby wsiadać.

Nelson i Ekon okazali dokumenty. Lalia też. Gdy Oba podała swój paszport strażnikowi, ten zmarszczył brwi. Przez kilka chwil, które wydawały jej się wiecznością, rozmawiał z kolegą, po czym oświadczył:

– Ty jesteś Gwinejką. Nie możesz jechać.

Oba poczuła, że ziemia usuwa się jej spod stóp.

– Ale jadę za mężem...

Nelson cofnął się. Ludzie stojący za Obą zaczęli się głośno niecierpliwić.

– O co chodzi?

Strażnik podniósł wzrok na olbrzymia o okrągłej twarzy, który nie odrywał oczu od dziewczyny, usiłując okazywać spokój, którego nie czuł.

– A tobie co zależy?

– To moja żona.

– Dokumenty.

Nelson i Oba struchleli. Jeszcze zanim ona przeprowadziła się do Sampaki, planowali się pobrać, ale, z różnych względów, wciąż to odkładali.

– Akt ślubu?

– Zgubiliśmy – szybko odparł Nelson, modląc się w duchu, by strażnik uwierzył w jego kłamstwo.

– To dziewczyna nie jedzie. – Strażnik złapał Obę za ramię i wyrzucił z kolejki z taką siłą, że upadła. Niecierpliwe okrzyki przybrały na sile, zmieszane teraz z wyrazami oburzenia wobec takiej brutalności.

– Oba! – Nelson odepchnął obu strażników i ukląkł przy ukochanej. Ze statku dały się słyszeć przestraszone głosy Ekona, Lialii i krewnych Nelsona, zaniepokojonych tak długą zwłoką. Napierający ludzie przewrócili strażników na ziemię. Jeden z nich, leżąc, wyciągnął broń i posłał serię w tłum. Drugi zrobił to samo i kilka osób upadło. Okrzyki zniecierpliwienia i niechęci zamieniły się w pełne strachu i bólu wycie. Ci, co mogli, rzucili się w stronę trapu. Inni w oszołomieniu usiłowali pomóc rannym bliskim.

Kilian i Bisila osłupiali obserwowali to wszystko z góry. Kiedy strzały ucichły, statek zaczął się spokojnie oddalać, mimo że wielu pasażerów w przerażeniu wychylało się przez otaczające pokład barierki, bezskutecznie wypatrując krewnych i przyjaciół. Na przystani zostało kilka trupów, nad którymi klęczeli zrozpaczeni ludzie. Bisila mocno ścisnęła dłoń Kiliana i stłumiła krzyk, rozpoznając Obę.

Dziewczyna siedziała, trzymając na podołku zakrwawioną głowę Nelsona i kiwając się tak, jakby kołysała go do snu. Żaden dźwięk nie wydobywał się z jej gardła. Jak bezbronna na powietrzu ryba otwierała tylko i zamykała usta, małymi, czerwonymi od krwi dłońmi głaszcząc Nelsona po włosach.

– Cóż za niespodzianka, Kilianie! – zawołał jakiś głos z gryzącą ironią. – Ty wciąż tutaj? Myślałam, że już cię nie ma wśród nas...

Kilian wychwycił dwuznaczność słów Sade. Wiedział, że chodziło jej nie tyle o Fernando Poo, ile w ogóle o świat żywych. Nie wątpił, że to ona i jej przyjaciele stali za pobiciem Gregoria. Sade, tak jak pokazała w kasynie, cieszyła się przychylnością nowych władz. Wziął Bisilę za rękę.

– Lepiej stąd chodźmy – powiedział.

Sade przymrużyła oczy. Skąd ona знаła tę kobietę? Gdzie ją wcześniej spotkała? Te jasne oczy... I wtedy przypomniała sobie dzień, w którym, na prośbę Jacoba, wybrała się odwiedzić Kiliana w szpitalu. Właśnie tam zobaczyła tę dziewczynę trzymającą dłoń Kiliana w swoich... A potem, gdy Kilian z nią zerwał, widziała ją na plantacji, w

po bliznu domu zajmowanego przez Europejczyków. Czyli to ona go jej odebrała? Sade oblizwała wargi.

Nie wiedziała jeszcze jak, ale i na niej zamierzała się zemścić.

Trzej mężczyźni dopijali swój wieczorny koniak z wodą. Od tygodni brakowało europejskiego jedzenia, lecz, dzięki szczodrości natury, ogrody wciąż obfitowały w warzywa, a kury, zostawione samym sobie po tajemniczym zniknięciu Yeremiasa, nie przestały jednak znosić jajek.

– Musiał uciec do rodzinnej wioski – stwierdził Garuz. – Jeszcze jeden.

– Skąd pochodzi?

– Z Ureki – odpowiedział ojciec Rafael. – Zabrał się z Dimasem, który krąży między wioską a Santa Isabel, pomagając wymykać się przyjaciołom. Tym razem nikt nie chciał czekać na taką parodię procesu, jaką Macías urządził oskarżonym o próbę zamachu stanu w zeszłym roku. Większość z nich już nie żyje. A o innych, w tym o bracie Dimasa, Gustavie, nic nie wiadomo.

Nagle światło nad stołem w jadalni zgasło. Wszyscy instynktownie wyjrżeli przez okno, ale zobaczyli tylko ciemność.

– Nasze generatory... – Garuz sięgnął do kieszeni po zapalki. – Ciekawe, co jeszcze się dzieje?

– Pójdę, sprawdzę, co się dzieje. – Kilian wstał i wziął ze stolika obok lampę.

Wyszedł na zewnątrz, okrążył budynek i otworzył drzwi do małej maszynowni.

Uderzenie w plecy odebrało mu oddech. Nie mógł nawet krzyknąć. Zanim zrozumiał, co się dzieje, kolejne ciosy i kopniaki powaliły go na ziemię. Chwilę później stracił przytomność.

W jadalni Garuz i ojciec Rafael zaczęli się w końcu dziwić jego przedłużającej się nieobecności. Wzięli więc drugą lampę i ruszyli na poszukiwania. Gdy dotarli do maszynowni, znaleźli nieprzytomnego Kiliana w kałuży krwi.

– Kilianie, wszystko gotowe – oznajmił José. – W przyszłym tygodniu wrócisz samolotem do Hiszpanii. Polecisz z Garuzem i ojcem Rafaelem. Jako ostatni z ostatnich. Jeśli nie zechcesz, to cię z Simonem zmusimy.

– ...

– Powiedz coś, Kilianie. Nie patrz tak na mnie. Robię to dla ciebie. Robię to dla Antona. Tak mu obiecałem. Obiecałem mu, że się tobą zaopiekuję!

– Bisila...

– Bisilo, proszę! Jedź ze mną!

– Nie mogę, Kilianie, i dobrze o tym wiesz.

– W takim razie ja nie mogę wyjechać.

– Jeśli tego nie zrobisz, to cię zabiją.

– Jeśli wyjadę, to i tak umrę.

– Nie. Nie umrzesz. Pamiętaj, ile razy mówiłeś mi o swoich zobowiązaniach wobec przeszłości. Widzisz? Duchy uwolniły cię od dylematów moralnych. Musisz wyjechać, żyć swoim życiem i zająć swoje miejsce w Rabaltué. Wiem, że jak zawsze spiszesz się doskonale.

– Jak możesz w ten sposób mówić? Czy właśnie tego chcą duchy? Czy właśnie tego

chce Bóg? Żebyśmy się rozdzielili? Co będzie z Inikiem i Fernandem? Co będzie z tobą?

– Nie martw się o mnie. Będę dalej pracować. Pielęgniarka zawsze znajdzie pracę, zwłaszcza w trudnych czasach. Nic mi się nie stanie, zobaczysz.

– Jak? Jak zdołam się czegokolwiek o tobie dowiedzieć?

– Zdołasz, Kilianie. Poczujesz. Będziemy daleko, ale zawsze blisko. Nigdy się nie rozstaniemy.

Jak miał pamiętać to, czego nigdy nie zapomniał? Co zawsze było obok, czasem zamglone, a czasem bardzo wyraźne?

Uścisk Walda.

Łzy Simona. I jego milcząca obietnica, że nigdy więcej nie będzie mówił językiem tego, którego pokochał mimo wszystko.

Słowa udreżonego Lorenza Garuza, powierzającego opiekę nad plantacją Josemu.

Cichy płacz ojca Rafaela.

Dotyk włosów Fernanda Lahy.

Desperacja, z jaką on, Kilian, kochał Bisilę ostatniej nocy. Jej, Bisili, istota. Smak jej skóry. Blask jej przejrzystych oczu.

Tropikalna ulewa. Błyskawice. Naszyjnik z muszli na jego szyi.

Strażniczka jego duszy, jego *wairíbo*, jego miłość, jego *mötémá*, słodka towarzyszka jego niepokojów, lęków, słabości, radości i smutków, ona, aż do śmierci...

Wilgotna, gęsta, powolna i okrutna czułość ostatniego pocałunku.

Płacz.

Palmy, sztywno wyprostowane ku niebu, niewzruszone wobec bólu, którego ślad zostawiał za sobą, zmuszony do opuszczenia Sampaki.

Niewystarczająco mocny uścisk dłoni Josego. Ostatni dotyk jego rąk. Długi, pełen wzruszenia uścisk. Obietnica, że kwiatów na grobie twojego ojca nigdy nie zabraknie.

Douglas DC-8 unoszący się nad tym zielonym światem, który kiedyś cię oczarował, a teraz zmienił się w małą plamkę na horyzoncie i potem zniknął.

Garuz, Miguel i Baltasar na fotelach obok.

Słowa ojca, wypowiedziane tysiące lat wcześniej. *Nie wiem, jak to się dzieje ani kiedy, ale wiem, że nadejdzie dzień, w którym ta mała wyspa całkowicie tobą owładnie, do tego stopnia, że nie zechcesz jej nigdy więcej opuścić. Tak czy owak, nie znam nikogo, kto by stąd wyjeżdżał bez żalu...*

Zbyt krótki lot, każący tęsknić za spokojną niepewnością dawnych morskich rejsów.

Lądowanie w Madrycie.

Pożegnanie z Garuzem i jego żoną.

– Uszy do góry, przynajmniej żyjemy.

Słowa Baltasara:

– Kiedyś tam wrócimy.

Słowa Miguela:

– Wiesz, co mi powiedziało szefostwo, jak tylko wysiadłem z samolotu? Że w prasie o tym wszystkim ani słowa...

Pociąg do Saragossy. Autobus do Pasolobino.

Jedenaście lat ciemności.

Milczenie.

Wąły, lecz coraz silniejszy i coraz bardziej obiecujący promień światła po narodzinach córki, która przyjdzie na świat kilka miesięcy po tym, jak on, Kilian, skończy pięćdziesiąt lat.

Daniela.

Tak jak ona, tamta.

XIX. PRZEMILCZANE

1971–1980

Obiecuj mi, że jeśli kiedyś stąd wyjdiesz, Waldo – powiedział Gustavo, oparty o zimną ścianę celi – odnajdziesz mojego brata, Dimasa z Ureki, i opowiesz mu o mnie.

Waldo skinął głową, nie otwierając oczu, a w duchu złożył jeszcze jedną obietnicę. Samemu sobie.

Wyjdzie stąd.

Nagle usłyszeli krzyki i wyzwiska, odgłosy ciosów i kopniaków. Chwilę później żelazne drzwi zaskrzypiały i otworzyły się, a dwóch potężnych strażników wrzuciło do środka, na ubitą podłogę celi, nagie ciało, zupełnie jakby to był worek ziemniaków.

– Macie nowego kolegę! – zawołał jeden z osiłków, ciskając do wnętrza pustą puszkę.
– Nauczcie go zasad!

Zaśmiał się.

Gustavo i Waldo odczekali, aż kroki na zewnątrz ucichną, a potem uklękli przy rannym. Ile razy zdarzało im się wcześniej coś podobnego? Co najmniej tuzin od czasu, gdy trafili za te żelazne drzwi – najpierw on, Gustavo, a nieco później Waldo. Od czasu, gdy znaleźli się w ponurych murach tych trzech podłużnych budowli. Obaj przeszli przez to samo. Zaprowadzono ich do dyrektorskiego biura, wychłostano tak, że stracili przytomność, po czym zamknięto w ciasnych cementowych klatkach ciągnących się długimi rzędami w jednym z budynków Black Beach. Mały, zakratowany świetlik w suficie wpuszczał do środka niepokojące nocne odgłosy i pozwalał się komunikować z innymi więźniami, pod warunkiem że jeszcze nie wzięto ich do pokoju przesłuchań, bo potem potrafili już tylko nieludzko wyć, krzyczeć z rozpacz i czasem gardłowo chrapać.

Mężczyzna próbował się poruszyć.

– Spokojnie – powiedział Gustavo. – Lepiej zostań na brzuchu. Wiem, co mówię.

Strażnicy obeszli się z tym biedakiem naprawdę okrutnie. Plecy i nogi pokryte miały otwartymi ranami, z których część sprawiała wrażenie szarpanych. Z pewnością poszczuto go psem szefa. Czekwały go dwa albo trzy dni bez możliwości zmiany pozycji, a później znów bicie. I tak w kółko, dopóki nie umrze albo tamci się nie znudzą i nie wyślą go do pracy, podobnie jak ich dwóch. Dla strażników więźniowie nie byli ludźmi, dlatego nie należał im się żaden szacunek, a ich zabicie nie stanowiło przestępstwa ani nawet wykroczenia. Gdyby ktoś czytał napisy na ścianach celi, pomyślał Gustavo, te pisane krwią, pełne przerażenia bazgroły, zrozumiałby, co się w tym miejscu działo z ludzkimi duszami...

Przez dłuższą chwilę razem z Waldem przemawiali do nowo przybyłego, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Z doświadczenia jednak wiedzieli, że słowa pociechy dobrze w takim momencie robią. Tłumaczyli więc, gdzie się znajdują, jaki jest rytm posiłków i opróżniania puszek, do której należało załatwiać swoje potrzeby. Wyjaśniali, że ciało przyzwyczaja się do bicia i że istnieje szansa przetrwania, bo oni dwaj wciąż żyli, a siedzieli w więzieniu od dawna, albo nawet, przy odrobinie szczęścia, szansa

wyjścia na wolność.

Gdy stwierdzili, że oddech nowego się uspokaja, Waldo spytał:

– Jak się nazywasz?

– Maximiano... Dlaczego was tu zamknęli?

– Z tego samego powodu co wszystkich.

Gustavo wolał nie wdawać się w szczegóły. Macías, zagarnąwszy pełnię władzy w państwie, rozpoczął niekończące się, okrutne polowanie nie tylko na opozycjonistów, lecz w ogóle na wszystkich, którzy ze względu na swoje zdolności czy wpływy mieli szansę mu zagrozić. Każdy mógł się okazać wywrotowcem i wrogiem narodu. W przypadku Gustava, który udzielał się politycznie, sprawa była jasna; w przypadku Walda – mniej, wystarczyło wszakże kilka śmiałych, niefortunnych uwag wygłoszonych w obecności dawnego kolonialnego policjanta, który teraz incognito służył jako szpieg Macías. Wielokrotnie jednak chodziło o zwykłe donosy z byle powodu, także wśród członków jednej rodziny, składane po to, by uzyskać awans albo wyrównać stare rachunki. Dzięki nieustannej rotacji więźniów Gustavo i Waldo mieli wciąż nowe informacje o paranoicznych wybrykach prezydenta.

– A ty? Co zrobiłeś?

– Ktoś oskarżył mnie o to, że narzekam na pensję.

– O, to poważna sprawa – gorzko zakpił Gustavo.

Urzednicy nigdy nie wiedzieli, kiedy ani w jakiej wysokości otrzymają wypłatę. Macías, jeśli akurat miał taki kaprys, brał trochę państwowych pieniędzy, które trzymał w swojej łazience, i wzywał wszystkich podwładnych na specjalne zebranie, by wręczać im arbitralnie ustalone kwoty jako wyraz łaskawości „niezmordowanego sługi ludu”, jak sam siebie z lubością tytułował.

– Poznaliśmy takiego jednego, którego zamknęli za krytykę jakości chińskiego ryżu... Prawda, Waldo?

– I co się z nim stało? – spytał Maximiano lekko spanikowanym głosem.

– Przenieśli go do innej celi – skłamał Gustavo.

Waldo oparł się o ścianę. Miał dość tego korowodu koszmarnych dni i jeszcze gorszych nocy. Wiele tygodni wcześniej przestał wylewać łzy bólu i gniewu, jak teraz robił to Maximiano. Tylko jedna myśl pomagała mu wytrzymać kolejne ciosy.

Był pewien, że kiedyś zdoła uciec.

– No więc, chłopcze, kto wygonił hiszpańskich imperialistycznych kolonizatorów z Gwinei Równikowej?

– Jego wspaniałość Masie Nguema Biyogo Ñegue Ndong!

– Doskonale. A kto ukrócił hiszpańskie imperialistyczne zapędy piątego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku?

– Jego wspaniałość, Wielki Nauczyciel Narodu, Opiekun Sztuk i Tradycji, Niezmordowany Sługa Ludu...!

– A kto wznosił nowe wspaniałe budynki w Malabo?

– Firma Transmetal! – odrzekł Laha bez wahania.

Nauczyciel wymierzył mu cios drewnianą linijką. Laha jęknął i potarł ramię.

– Nie. Wznosił je jego wspaniałość. Uważaj, chłopcze. Za kilka dni zostaniemy

zaszczyt jego wizytą i wtedy zadam ci te same pytania. Lepiej, żebyś odpowiedział poprawnie.

W następnym tygodniu Laha i jego koledzy, którym udzieliły się nerwy nauczycieli, wystrojeni czekali na stojąco, aż drzwi klasy się otworzą i w progu ukaże się właściciel wszystkich recytowanych przez nich tytułów. Na dworze stał rząd eleganckich samochodów składających się na prezydencki orszak. Mijały minuty i nic się nie działo. Nagle rozległy się krzyki. Nauczyciel pierwszy rzucił się do okna. Ochroniarze wywlekali ze szkoły dyrektora i trzech jego podwładnych, głusi na ich błagalne wyjaśnienia. Jeden trzymał w ręku zdjęcie prezydenta, z rodzaju tych, które wisiały w każdej klasie, i pokazywał je wszystkim dookoła. Ktoś wokół szyi Macíasasa dorysował sznur.

Nauczyciel usiadł za biurkiem i drżącym głosem podjął lekcję. Laha i jego koledzy wrócili na swoje miejsca, zawiedzeni, że nie zobaczą Jedynego Cudu Gwinei.

Kilka minut później Laha wyjrzał na zewnątrz i dostrzegł znajomą sylwetkę. Zerwał się z krzesła i zawołał nauczyciela. Wszyscy z powrotem przykleili nosy do szyby. Inny nauczyciel, odpowiedzialny za starsze klasy, wydawał jakieś polecenia czterem czy pięciu chłopcom, wśród których znajdował się Iniko. Nauczyciel Lahy wyszedł i wkrótce dołączył do grupki przed szkołą. Laha nie rozumiał, co się dzieje, ale dorośli gestykulowali nerwowo, tłumacząc coś chłopakom, którzy, przytaknąwszy kilkakrotnie, pospiesznie się oddalili. Laha przyłożył dłoń do szyby. Dokąd wybierał się jego brat?

Nauczyciel wrócił do klasy i od razu podszedł do niego. Schylił się i szepnął mu na ucho:

- Powiedz matce, że Iniko jest w Bissappoo. Lepiej, żeby przez jakiś czas tam został.
- Ej, ty! Co ty tu robisz?

Waldo, onieśmielony przez niesłychanie wysokie madryckie budynki i setki aut sunących po niebywale szerokich ulicach, wyszedł ze swojej kryjówki i, wbijając wzrok w ziemię, stanął przed policjantem.

- Chciałem się tylko przespać.
- No, proszę. Dobrze mówisz po hiszpańsku. Skąd jesteś?
- Z Gwinei Równikowej – powtórzył Waldo, po raz nie wiadomo który, od kiedy zjawił się na Półwyspie.

– Pokaż papiery.

Waldo wyciągnął znaleziony na nabrzeżu w Bacie zafoliowany dokument, licząc na to, że policjant nie zauważy różnicy między jego twarzą a twarzą mężczyzny ze zdjęcia.

– To już straciło ważność. Zgodnie z okólnikiem z Wydziału Bezpieczeństwa mamy zabierać dowody osobiste Gwinejczykom, którzy akurat je mają.

– Ja nie mam nic więcej.

Waldo zatarł ręce. Było mu zimno, przez ostatnie dni właściwie nic nie jadł. Do oczu napłynęły mu łzy. Wszystko na nic. Wciąż nie doszedł do siebie po wyczerpującej podróży, która zaczęła się tamtego ranka, gdy dwuipółmetrowy boa wywołał zamieszanie na polowym lotnisku – od kłótni ochroniarzy, spierających się, kto ma go zabić i podarować w charakterze przysmaku szefowi Black Beach. Waldo odczołgał się wtedy jak najdalej, właśnie jak wąż, prawie nie oddychając i obcierając sobie skórę do krwi. Wiele godzin później, nocą, uciekł z wyspy na kontynent łódka. Potem były

straszne noce w dżungli, ryzykowna przeprawa do Kamerunu, ukrywanie się na statku handlowym płynącym na Kanary i na kolejnym, zmierzającym do Kadyksu.

Tam pracował przez kilka dni jako tragarz, żeby zdobyć pieniądze na bilet autobusowy do Madrytu. W drodze do stolicy musiał znosić podejrzliwe spojrzenia współpasażerów bojących się usiąść obok tego dziwnego, obdartego Murzyna mówiącego najczystszą hiszpańszczyzną. Nawet ciekawość nie skłoniła ich do głębszego zastanowienia się, skąd się w tym miejscu wziął. Nie miał zatem okazji, by wytłumaczyć im, na czym polega tragedia mieszkańców Gwinei Równikowej. Myślał, że od tej pory wszystko stanie się prostsze. Że jak tylko im powie, że przecież jeszcze niedawno byli rodakami, przyjmą go z otwartymi ramionami.

– Nie mam nic więcej – powtórzył z rozpaczą.

Policjant zdjął czapkę i podrapał się po głowie.

– No, nie życzymy sobie tutaj włóczęgów ani rzezimieszków. Będę musiał zabrać cię na komisariat. – Waldo popatrzył na niego w osłupieniu. Czy ryzykował aż tyle po to, żeby skończyć w punkcie wyjścia? Poczł o chotę, by rzucić się do ucieczki, ale zabrakło mu sił. – Tam przynajmniej dadzą ci coś do jedzenia. I czyste ubranie – podjął policjant. – Potem zobaczymy.

Waldo z rezygnacją skinął głową. Policjant wsadził go do samochodu, gdzie można było przymknąć oczy i pogрузić się w odrętwieniu, aż dotarli pod szary kilkupiętrowy budynek, na dole mieszczący komisariat pełen ludzi, którzy gapili się na czekającego Murzyna całkiem bezczelnie.

Po pewnym czasie, który dłużył się Waldowi w nieskończoność, policjant wrócił w towarzystwie kolegi.

– Masz dziś szczęście – powiedział. – Podobno jest jakiś ośrodek zajmujący się takimi jak ty. Zaraz cię tam zawieziemy.

Kolega wtrącił:

– Pójdziemy na piechotę. Parafia ojca Rafaela mieści się tuż obok.

Waldo złożył dłonie przy piersi, czując, że odżywa w nim nadzieja. Czy faktycznie mogło chodzić o ojca Rafaela z Sampaki? Gdy rozpoznał jego ociężałą postać, jego utykanie, jego gęstą, siwą brodę, podziękował Bogu oraz wszystkim duchom, o jakich tylko pamiętał.

Długo płakał i mamrotał, zanim, siedząc w jednej z kościelnych ławek, był w stanie opowiedzieć księdzu o cierpieniach jego opuszczonych dzieci.

Tego samego dnia ojciec Rafael zadzwonił do Manuela i powiadomił go o pojawieniu się Walda oraz o strasznych wieściach z Gwinei. Manuel natychmiast wysłał telegram do Kiliana, prosząc go o szybki kontakt.

„Wiem, jak pomóc Bisili”, napisał.

Ścieżka prowadząca do Bissappoo została poszerzona maczetami. Widać było, że szło nią ostatnio wielu ludzi. Josego ogarnęło złe przeczucie. Kiedy bez tchu dotarł do buhaby, potwierdziły się jego przewidywania. Nagle bardziej niż kiedykolwiek pożałował, że jego przygarbione ciało utraciło dawną sprawność. Nie zdążył na czas, by uprzedzić syna, Sóbeúpa, o tym, o czym poinformował go przez pośredników Simón: że go szukają. Ostry zapach dymu doleciał zza drewnianej bramy. José zbliżył się ostrożnie

i ujrzał płomienie. Bissappoo płonęło, a jego mieszkańcy, wydając przerażone okrzyki, stali zbici w tłumek pod wycelowanymi w nich lufami. Siwy José złapał się za głowę.

Coś dźgnęło go w żebra.

– Ej, stary, idziemy.

Podprowadzono go ku innym. Od razu zauważył Inika. Przecież to było jeszcze dziecko! Gestem nakazał sąsiadom milczenie. Natychmiast zrozumiał, że plan zastępowania Nigeryjczyków przymusową siłą roboczą obejmuje starców, chorych i dzieci. Odszukał wzrokiem dowódcę i podszedł do niego z dokumentem, który zawsze nosił przy sobie.

– Jestem zarządcą Sampaki.

Tamten przeczytał papier i zwrócił go z lekceważeniem.

José zmarszczył brwi. Wyciągnął z kieszeni kilka banknotów.

– Przepraszam, zapomniałem o gwarancji.

Dowódca uśmiechnął się.

– Tak lepiej.

José po raz kolejny podziękował w duchu Kilianowi za jego pomoc z oddali. Och, gdyby mógł mu powiedzieć, jak niezbędne były przysyłane przez niego pieniądze dla ocalenia jego samego i całej rodziny!

– Przyszedłem po ludzi do pracy na plantacji – skłamał przekonująco. – Potrzebuję jakiegoś tuzina.

– Weź sobie pięciu. Reszta idzie gdzie indziej.

– Czemu palicie wioskę? Nie wystarczy, że zabierzecie mieszkańców?

– Nie chcieli zdradzić, gdzie się ukrywa konspirator. Wszyscy są oskarżeni o działania wywrotowe.

– Więc go nie znaleźliście?

– Nie.

José odetchnął z ulgą. Sóbeúpa nie tak łatwo było odszukać, jeśli zdążył się ukryć w dżungli. Ogień pochłaniał kolejne domy. Kobiety zdążyły wynieść z nich co nieco i teraz, płacząc, żegnały się ze swoimi mężczyznami. Niektóre zaczęły Josego.

– I dokąd teraz pójdziemy? – pytały.

– Do Reboli. Tam wam pomogą.

– A co z mężczyznami? Co z nimi zrobią? Kiedy ich znowu zobaczymy?

– Spróbuję się dowiedzieć, na które plantacje ich wysyłają. Wszędzie potrzeba robotników, dadzą im jeść, nic się nie stanie. – Sam nie wierzył w swoje słowa. – Kiedyś to wszystko się skończy.

Bez słowa machnął na Inika i czterech innych, zbliżonych do niego wiekiem chłopców. Razem podeszli do dowódcy.

– Wezmę tych.

– Same młodziaki. Spryciarz z ciebie.

– Są silni, owszem, ale bez doświadczenia. Przyuczanie ich potrwa.

– Nie zapomnij o dwóch godzinach szkolenia wojskowego dziennie.

José rzucił na zgliszcza Bissappoo ostatnie spojrzenie i odszedł razem z chłopcami, nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy sąsiadów, którzy, pośród gróźb i

pokrzykiwać, przygnębieni czekali na zbliżający się moment pożegnania z matkami, żonami i córkami.

Audycja radiowa zaczęła się jak zwykle od wyliczania wszystkich tytułów Macíasa. Potem rozbrzmiały pierwsze pochwalne piosenki na jego cześć. Bisila wyłączyła radio. Bardzo męczyła ją niemożność posłuchania jakiegokolwiek innej muzyki.

– Nie podoba ci się? – spytał lekarz, mężczyzna o delikatnych rysach i miłym uśmiechu.

– Nie mogę się skupić.

Edmundo się uśmiechnął.

Męczyło ją wiele rzeczy. Nigdy wcześniej nie mieli podobnych problemów z zaopatrzeniem w najbardziej nawet podstawowe produkty, takie jak cukier, sól, mleko czy mydło. Nie było światła, wody, dróg ani środków transportu. Na dodatek kilka dni wcześniej, zanim Laha wrócił ze szkoły, do ich domu wdarli się policjanci. Szukali śladów kolonialnej przeszłości i ktoś im doniósł, że akurat Bisila utrzymywała kiedyś z Hiszpanami bliskie kontakty. Hełm korkowy już dawno schowała do specjalnie zrobionej w ścianie dziury, którą następnie zamurowała. Wciąż jednak pamiętała, jakim wzrokiem popatrzył na nią policjant, którego nieostrożnie, z wyraźną ironią zagadnęła:

„Macie chyba strasznie dużo pracy z tym przeszukiwaniem wszystkich domów na Fernando Poo?”.

„Jakiego Fernando Poo? Żyjemy na Wyspie Macíasa Nguemy Biyoga Ñegue Ndonga. – Mężczyzna pochylił się groźnie w jej stronę. – A może tęsknisz za swoimi hiszpańskimi przyjaciółmi?”

Bisila natychmiast zmieniła ton i musiała po raz kolejny uciec się do łapówki, ryzykując, że policjanci skorzystają z okazji, by za kilka dni wrócić z pytaniem, skąd wzięła pieniądze. I tak upływały jej tygodnie: w strachu, niepewności i nieustannym zagrożeniu, które udawało się odsuwać wyłącznie dzięki aniołowi stróżowi, czuwającemu nad nią z oddali, lecz tak skutecznie, jakby nie odstępował jej na krok...

– Idziesz ze mną? – spytał Edmundo. – Zapowiada się trudny poród.

Był doskonałym lekarzem i wspierałym kolegą. Od kiedy zaczęła pracować w szpitalu w Santa Isabel – to znaczy: w Malabo, poprawiła się w myślach – jej życie stało się łatwiejsze. Edmundo cieszył się ogólnym poważaniem i dzięki jego wpływom zawsze mogła dostać coś do jedzenia na czarnym rynku.

Przeszli do sali operacyjnej. Na łóżku leżała kobieta o lekko nieprzytomnych oczach. Pielęgniarka, która zbliżyła się do Edmunda i Bisili, szepnęła:

– Nie chce współpracować. Mówi, że wszystko jej jedno, co będzie z nią i z dzieckiem, żebyśmy robili, co nam się podoba, ale ona nie zamierza przeć.

Bisila zmarszczyła brwi.

– Dlaczego? – spytał Edmundo.

– Zdaje się, że zgwałciło ją kilku bojówkarzy z młodzieżówki prezydenta... – wyjaśniła pielęgniarka, jeszcze bardziej zniżając głos. Potem odeszła.

Edmundo westchnął.

Bisila stanęła przy łóżku, próbując pochwycić wzrok kobiety.

– Jak się nazywasz? – spytała.

– Wéseppa.

– Czy to prawda, że nie chcesz tego dziecka?

Ciemne oczy kobiety wypełniły się łzami.

Bisila ujęła ją za rękę, pochyliła się i coś przez moment szeptała. Tylko ona, mając za sobą podobne doświadczenie, potrafiła biedaczkę zrozumieć.

– Musimy się spieszyć – odezwał się stojący w nogach łóżka Edmundo.

Bisila przytaknęła.

– Wéseppa nam pomoże – powiedziała.

Poród faktycznie był trudny, ale po dwóch godzinach Bisila położyła na piersi młodej matki śliczną dziewczynkę.

– Jak ją nazwiesz?

– Nie zastanawiałam się nad tym – odrzekła Wéseppa, nieśmiało gładząc rączkę dziecka.

Bisila przypomniała sobie ładne imię pochodzące z mitologii Bubich.

– Może Börihi? – zaproponowała.

Wéseppa skinęła głową.

Nagle drzwi się otworzyły i do sali wpadło dwóch policjantów.

– To szpital! – zdenerwował się Edmundo. – Tutaj nie można tak po prostu sobie wchodzić!

– Szukamy niejakiej Bisili!

– Mnie? – przestraszyła się. – Dlaczego?

– Nie jesteś siostrą Sóbeúpa z Bissappoo?

Bisila struchlała. Niemowlę zaczęło płakać.

– Jestem.

– To nam powiedz, gdzie on się ukrywa! – Policjant odwrócił się w stronę łóżka, na którym przerażona Wéseppa kołysała córeczkę. – Ucisz tego bachora!

Wéseppa przycisnęła dziecko do piersi.

– Nie wiem – rzekła Bisila.

Czyli go nie znaleźli...

Policjant stanął tuż przed nią.

– Nie wiesz? – Złapał ją za ramię. – Pójdiesz z nami i wtedy zobaczymy.

Bisila oniemiała. Jeśli policjanci, szukając kogoś, zjawiali się w jakimś miejscu, nigdy nie odchodzili z pustymi rękoma. Dobrze chociaż, że Iniko, który był akurat w trudnym wieku, przebywał z dziadkiem Ösem w Sampace. Ale co z Lahą? Kto miał go po południu odebrać ze szkoły?

Natychmiast wtrącił się Edmundo.

– Zostaw ją!

Drugi z policjantów podszedł bliżej.

– Ty też chcesz pójść z nami?

– Nazywam się Edmundo Nsué, jestem lekarzem i osobiście znam prezydenta. W razie czego zwrócę się w tej sprawie do niego. Bisila jest nam w szpitalu niezbędna i nigdzie jej nie puścimy.

Policjanci wymienili niezdecydowane spojrzenia. Bisila wyszarpnęła się i cofnęła.

Tamci wciąż stali bez ruchu.

– Doskonale – oświadczył Edmundo, zdejmując fartuch. – Pójdę z wami bezpośrednio do naszego prezydenta, Wielkiego Nauczyciela i Jedyne go Cudu. On podejmie decyzję. Jak zawsze słuszną.

Policjanci wyglądali na zdumionych jego zdecydowaniem. W końcu jeden skinął na drugiego i ruszył do drzwi.

– Sprawdźmy, czy mówisz prawdę – warknął już od progu.

Bisila odetchnęła z ulgą i opadła na krzesło.

– Dziękuję, Edmundo. To wszystko prawda?

Lekarz pochylił się nad nią i szepnął jej do ucha:

– Tak. Nic się nie bój. Jesteś bezpieczna. Nigdy nie spotkałem większego hipochondryka niż Macías, a twoje zioła mu służą. Sprawdziłem.

Bisila uśmiechnęła się z wdzięcznością. W innych warunkach Edmundo byłby dla niej idealnym towarzyszem życia. Wyraźnie pragnął zacieśnienia ich znajomości i niełatwo było po przyjacielsku trzymać go na dystans: otwarte odrzucenie jego zalotów nie wchodziło w grę, kobiety, które w ten sposób ryzykowały, nierzadko kończyły w więzieniu, oskarżone o działalność wywrotową. Poza tym samotność była okropna, zwłaszcza w tak trudnych czasach...

Bisila wstała i podeszła do okna. Popołudniowe słońce usiłowało przedrzeć się przez chmury. Jeszcze kilka godzin i znów nastanie wieczór, po nim zaś noc – jak zawsze pełna wspomnień. Bisila podniosła rękę do warg, które tak tęskniły za pocałunkami Kiliana. Od jego wyjazdu minęły lata, a ona wciąż pamiętała jego zapach, jego smak, dźwięk jego głosu... Czasem o nim śniła i były to sny tak wyraźne, że nienawidziła się budzić. Co on mógł teraz robić? Czy tęsknił za nią tak jak ona za nim?

– Daj mi ją – Carmen wzięła od Kiliana Daniellę. – Wracamy do domu, Clarence, bo robi się zimno.

– My też już idziemy – rzucił Jacobo.

Promienie zachodzącego słońca odbiły się setkami rozbłysków od okien wielkiego hotelu nad rzeką. Kilian i Jacobo ruszyli w ślad za Carmen, ale tak wolno, że po chwili znikła im z oczu.

– Strasznie się tu wszystko pozmieniało, prawda? – mruknął Jacobo.

Kilian przytaknął. Ścieżka, która niegdyś prowadziła do ostatnich zabudowań miasteczka, teraz była szeroką ulicą ciągnącą się między szeregami bloków mieszkalnych. Natychmiast pomyślał o innym miejscu, już od dawna poddawany znacznie bardziej gwałtownym transformacjom – najpierw przez kolonizatorów, a później przez lokalnego tyrana. Jemu, Kilianowi, każda rzecz natychmiast kojarzyła się z wyspą i z ludźmi, których nie widział od dekady i o których nie wiedział nic, z wyjątkiem tego, co kiedyś usłyszał od Walda.

Jacobo odkasznął. Nie miał pojęcia, jak poruszyć pewien temat. Przez ostatnie lata wiele się działo. Negocjacje dotyczące terenów pod ośrodek narciarski trwały dłużej, niż się spodziewano. On, Jacobo, nie mógł brać w nich udziału, bo od razu krew się w nim burzyła. Kilian zresztą też złościł się na aroganckich prawników, którzy proponowali właścicielom ziemi śmiesznie niskie ceny, argumentując, że dzięki ośrodkowi

narciarskiemu do doliny zawita dobrobyt, i obiecując w bliżej niesprecyzowanej przyszłości rekompensatę w postaci działek budowlanych.

Traktowali ich jak nierozgarniętych wieśniaków, którzy nie potrafią docenić wyświadczonej im przysługi, którzy nigdy nie wyściubili nosa poza swoją dolinę i nie rozumieją, jak kręci się świat.

„Pamiętasz, Jacobo”, rzucił raz Kilian, „w jaki sposób kolonizatorzy przejęli ziemię od Bubich? To zupełnie to samo. I jeszcze na koniec rzeczywiście będziemy wdzięczni, bo jakość życia nam się poprawi”.

Nikt jakoś nie wspominał o tym, ile zarobią na całej tej sprawie rozmaici pośrednicy, którzy sztucznie windowali ceny ziemi, gdy tylko przestawała być własnością pasolobińczyków.

Jacobo zerknął na brata. Jak on sobie dawał radę? Kiedy wreszcie zdołał rozpocząć normalne życie w Hiszpanii, stracił żonę. Jacobo pamiętał dzień, w którym Pilar, kobieta cicha, prosta i nieufna, zjawiła się w Rabaltué, by zająć się Marianą, która ostatnie miesiące życia spędziła przykuta do łóżka. Kto by wtedy przypuścił, że Kilian stopniowo przywiąże się do niej tak, że w końcu poprowadzi ją do ołtarza? Choć, owszem, zrobił to, gdy się dowiedział, że Pilar jest w ciąży – jak zawsze bardzo odpowiedzialny. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że to właśnie dzięki żonie zdołał nieco uśmierzyć przywieziony z Afryki niepokój. Pilar zapewniła mu chwilę oddechu. Tyle że teraz niepokój wrócił i Jacobo domyślał się po trosze dlaczego.

– Zakładam, że czytałeś ostatnio gazety...

Kilian skinął głową.

– Tyle lat bez żadnych informacji i teraz nagle wszystkie te okropieństwa.

– No, są też dobre wieści. Podobno ten nowy chce utrzymywać z Hiszpanią przyjazne stosunki. Już ruszyły jakieś programy współpracy.

– Zobaczymy, ile to potrwa.

Kilian bardziej niż doniesieniami politycznymi przejmował się opisami Malabo, przedstawianymi przez dziennikarzy, którzy znaleźli się w Gwinei po przeprowadzonym przez obecnego prezydenta Teodora Obianga tak zwanym zamachu wolnościowym z sierpnia 1979 roku, kiedy to oszołomieni ludzie wylegli na ulice i, najpierw nieśmiało, a później coraz bardziej euforycznie zaczęli padać sobie nawzajem w ramiona.

Wszyscy reporterzy podkreślali, że sytuacja w kraju po latach rządów Macíasa jest wprost katastrofalna. Malabo popadło w ruinę, pochłaniane przez dżunglę i ogólny rozkład. Czy naprawdę należało wierzyć, że ten koszmar się skończył? Że skończyły się przymusowe roboty i okradanie ludzi z tego, co zdołali sobie gdzieś na półku wyhodować? W związku z procesem, który doprowadził do skazania Macíasa na śmierć, Kilian czytał przerażające sprawozdania z okrucieństw, jakich dopuszczano się w Gwinei zamienionej w obóz koncentracyjny. Niejeden region wyludnił się wskutek masowych ucieczek mieszkańców, ludobójstwa, jakiego dopuszczał się rządzący państwem szaleniec, i epidemii spowodowanych brakiem pożywienia i higieny. Gwinea została niemal unicestwiona. I w takim miejscu on, Kilian, zostawił swoją Bisilę i jej dwóch synów? Naprawdę pozwolił, by żyła w piekle, podczas gdy on sam usiłował wrócić do normalności? Ileż to razy brzydził się samym sobą!

Gdyby nie pomoc Manuela, chyba by oszalał. Co jakiś czas wysyłał przyjacielowi czek, którego odpowiednik w gotówce Manuel przekazywał lekarzom z misji humanitarnych. Tylko pieniądze. Żadnych listów. Ani linijki, przez którą Bisila mogłaby paść ofiarą oskarżeń. Jednakże w ten sposób przynajmniej wiedzieli, że oboje żyją. I właśnie to pomagało mu nocami, utwierdzając go w sekretnej, trudnej do wytłumaczenia, starannie ukrywanej przed światem pewności, że ona żyje, że jej serce bije tam, gdzie biło i przy nim...

– Nie zaprzataj sobie tym głowy – powiedział Jacobo. – Cieszę się, że sytuacja tam się poprawia, ale dla nas to wszystko nie ma już znaczenia, prawda?

Potarł oko, na które wciąż niedowidział, co stanowiło pamiątkę po ciosach wymierzonych mu kiedyś przez brata. Zdawał sobie sprawę, że Kilian nigdy mu nie wybaczył, ale i on sam nie potrafił wyrzucić z pamięci tamtych chwil.

Kilian milczał. Dla niego wszystko to wciąż miało ogromne znaczenie.

Nadal nie potrafił uwierzyć, że ta przymusowa rozłąka na ziemi to już naprawdę koniec.

XX. KONIEC ALBO POCZĄTEK 2004–...

A mama? – spytała Daniela, marszcząc brwi, od wielu dni zarazem przytłoczona i pełna ulgi. – Jaką rolę odegrała w tym wszystkim?

Od tamtego popołudnia, gdy Kilian wreszcie wyjawiał to, co skrywał przez trzydzieści lat, kolejne pytania sypały się na niego bez przerwy. Nie wystarczyło stwierdzenie faktu, że Laha jest biologicznym synem Jacoba, przyrodnim bratem Clarence i kuzynem Danieli. Nie. Trzeba było wielu, wielu wyjaśnień – po początkowym okresie milczenia – by każdy mógł potem wrócić do swojego życia.

Kilian westchnął. Nigdy tego Pilar nie powiedział, bo i ona nie pytała. Ale wiedziała przecież, że jego serce należy do innej kobiety. Jedyne, o co poprosiła w dniu ślubu, to by zdjął z szyi swój afrykański naszyjnik.

– Twoja matka i ja spędziliśmy razem bardzo miłe chwile. No i dzięki niej mam ciebie – odpowiedział w końcu. – Bóg chciał, by umarła szybko.

Nie dodał, że wielokrotnie nachodziło go podejrzenie, iż to duchy zabrały ją tak pośpiesznie, by pozwolić mu w sercu dochować wierności Bisili.

– Stryju Kilianie – wtrąciła Clarence – a nie myślałeś nigdy, żeby wrócić do Gwinei, gdy po upadku Macíasa sytuacja się poprawiła?

– Nie starczyło mi odwagi.

Kilian wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Przystanął koło okna i zapatrzył się na radosny i połyskliwy czerwcowy pejzaż. Trudno było wytłumaczyć komuś to, co z perspektywy czasu wyglądało inaczej niż kiedyś i stanowiło źródło nieustannego żalu. Wraz z upływem lat on, Kilian, zaczynał koncentrować się raczej na tym, czego się wyrzekł, co utracił, niż na tym, co miał. To pewnie kwestia wieku...

Tak. Okazał się tchórzem. Zabrakło mu determinacji. Ba, co gorsza, stopniowo przyzwyczał się do wygodnego życia w rodzinnych stronach. Pamiętał wszystko, co czytał w prasie o wydarzeniach w Gwinei Równikowej i o jej stosunkach z Hiszpanią. Jak to się stało, że tak bliska więź zakończyła się tak całkowitym, bolesnym zerwaniem? Niektórzy twierdzili, że decyzja, by po obaleniu Macíasa nie wysłać do Gwinei żadnej jednostki wojskowej czy policyjnej dla ochrony Obianga – co pozwoliło pojawić się na scenie marokańskiej gwardii – stanowiła podstawowy powód porażki podjętych później działań, hamowanych ponadto przez brak zdecydowania i nieustanny lęk przed osądzeniami o neokolonializm. Hiszpania nie dość szybko odpowiedziała na wystosowaną przez Gwinejczyków prośbę o udzielenie gwarancji ich monecie, ekuele, i o przejęcie na pięć lat odpowiedzialności za ich budżet, co w przyszłości zapewniłoby Hiszpanom uprzywilejowaną pozycję. Nie zdecydowała się też współpracować przy tworzeniu instytucji prawnych i ekonomicznych mających dać poczucie bezpieczeństwa ewentualnym inwestorom.

Najczęściej mówiło się, że Hiszpanie bali się postawić na nowoczesną współpracę z dawną kolonią, w przeciwieństwie, na przykład, do Francuzów, którzy nie wahali się

nieustannie we wszystko wtrącać. Francja wydawała na taką współpracę miliardy, podczas gdy Hiszpania – niewiele. A Manuel opowiadał, że wielu dawnych właścicieli plantacji, w rodzaju Garuza, narzekało, iż nawet te niewielkie pieniądze należałoby raczej dać ludziom doświadczonym, którzy mogliby odzyskać swoje dawne gwinejskie dobra, stworzyć miejsca pracy i pobudzić gospodarkę, niż niemającym o niczym pojęcia urzędnikom. Tak czy owak, w efekcie nikt nie kontrolował sytuacji, komplikowanej, z jednej strony, przez nieprzewidywalne gwinejskie władze – w dużej mierze te same co za Macíasą i uciekające się wciąż do tych samych praktyk – z drugiej zaś przez opieszałość hiszpańskich instytucji, które wyraźnie nie radziły sobie z postawionym przed nimi trudnym zadaniem.

Później zarówno hiszpański rząd, jak opozycja zaczęli po prostu ignorować problem, po części w związku z innymi wyzwaniami, takimi jak zamach stanu Tejera, ataki terrorystyczne oraz wstąpienie do NATO i EWG, po części zaś dla świętego spokoju. Dlatego, kiedy wynikła sprawa złóż ropy, było już zbyt późno i inne kraje podzieliły się zdobyczą.

Kilian, tak samo jak cała Hiszpania, dał się obezwładnić własnym kompleksom. Na wiele lat uwierzył w coś, co – jak dowodziły informacje zebrane przez Clarence na Bioko – było nieprawdą: że to niemożliwe, by Bisila wciąż go kochała, po tym, jak ją opuścił.

– A teraz? – podjęła Daniela. – Może wybierzesz się ze mną? Przed wylotem do Kalifornii spędzimy z Lahą tydzień na Bioko. Poznam Bisilę, tato.

Clarence uważnie obserwowała stryja. Widziała, że zaciska usta, jakby próbował opanować emocje. Nie sposób było sobie nawet wyobrazić, o czym myśli w podobnej chwili.

– Dziękuję, Danielo, ale nie.

– Nie chciałbyś jej znów zobaczyć?

Clarence nie wiedziała, czy pytanie kuzynki bierze się z ciekawości, czy raczej z lęku przed zazdrością, jaką wyzwalala w niej dawna rywalka matki, teraz mająca się zamienić w jej teściową.

Kilian spuścił głowę.

Znów zobaczyć Bisilę... Owszem, ale taką jak w jego wspomnieniu, w lekkiej sukience, z gładką skórą o barwie ciemnego karmelu, kakao i kawy, z wielkimi jasnymi oczyma, całą roześmianą. Gdybyż można się było cofnąć do tych czasów, gdy on sam, młody i umięśniony, tak wspaniale wyglądał w białej koszuli i szerokich spodniach, że Bisila na jego widok aż drżała...

– Sądzę, że oboje wolimy zachować swój dawny obraz. Nie taki jak teraz...

– Nie rozumiem tego...

Bo i jakże ty, należąca do świata kolorów, mogłabyś zrozumieć tamte czarno-białe, minione dni? On, Kilian, chciał pamiętać swoją dawną Bisilę. Żar w ich sercach wciąż nie wygasł, lecz nie mieli już drewna, żeby go podsycać.

– Tak będzie lepiej, Danielo.

Tak będzie lepiej. Może z dala od niecierplivej zmienności tej ziemi istnieje jakieś miejsce, gdzie spotkamy się znowu. Jak ona je nazywała? Nie chodziło o świat zmarłych, o, nie. Chodziło o świat duchów. W tym cała nadzieja...

– I co z tego, że jesteście starsi? Myślisz, że Bisila nie zobaczy twoich aktualnych zdjęć? Zamierzam zawieźć jej cały album z Pasolobino!

– Nie chcę, żebyś pokazywała jej moje obecne fotografie, i nie chcę oglądać tych, na których jest ona. Obiecuj mi to, Danielo. Nie pokazuj nam, jak się zmieniliśmy. Po co niszczyć wspomnienia staruszkom? Nie wystarczy, że jej o mnie opowiesz?

Powiedz jej, że nigdy o niej nie zapomniałem! Nie było ani dnia, żebym o niej nie myślał! Powiedz jej, że na zawsze została moją *muaràna muèmuè*... Ona zrozumie.

Daniela podeszła do ojca i objęła go czule, zupełnie jakby już za nim tęskniła. Przed nią samą otwierała się nowa przyszłość: przyszłość z Lahą. Jednakże przyszłość zawsze niepokoi – nie tylko dlatego, że jest niepewna; także dlatego, że oddala nas od nas samych z przeszłości, od rzeczy, które zrobiliśmy i których właśnie nie zrobiliśmy. Trzymając ojca w ramionach, Daniela już czuła jego brak. To dzięki jego przeszłości rozpoczynała teraz prawdziwe życie – dokładnie w tym samym wieku, w którym on, zostawiając za sobą dom z kamienia i łupka, przytulony do innych pod grubą pierzyną nieskalanego śniegu, wsiadł na statek, by popłynąć na daleką afrykańską wyspę, gdzie rosły palmy i gdzie w ostrym słońcu dojrzewały jagody kakaowców.

– No, już, już, córeczko, starczy. – Kilian wstał, a jego oczy błyszczały wzruszeniem. – Pójdę już. Jestem zmęczony.

Daniela i Clarence przez jakiś czas siedziały w milczeniu. Wreszcie Clarence powiedziała:

– Będę za tobą strasznie tęsknić... Nic nigdy nie będzie tak samo.

Daniela w zadumie zabębniła palcami po stole. Rozumiała uczucia kuzynki. Podobnie jak Iniko przeszła przez rozmaite fazy zaskoczenia, niedowierzania i oszołomienia, gdy dowiedziała się, kto jest biologicznym ojcem Lahy i, zarazem, zabójcą. Niezależnie od tego, że Jacobo działał w obronie własnej, trudno się było z tym pogodzić. Mimo tych złożonych uczuć, oboje z Lahą lepiej niż ktokolwiek rozumie teraz znaczenie słowa „ulga”.

Tymczasem Clarence znajdowała się w bardziej skomplikowanej sytuacji. Z jednej strony cieszyła się, że – tak jak od pewnego czasu podejrzewała – z Lahą łączą ją stosunki bliższe od przyjacielskich, w związku z czym także Iniko z wakacyjnego kochanka automatycznie zamieniał się w brata jej szwagra. To pozwalało mieć nadzieję, że nie znikną sobie nawzajem z horyzontu: nawet podążając osobnymi ścieżkami, mogli pozostawać w kontakcie. Jednakże z drugiej strony tak źle zniosła informację o tym, jaką rolę w całej tej sprawie odegrał jej ojciec, że po prostu przestała z nim rozmawiać.

– Clarence... – Daniela głęboko zaczerpnęła powietrza. – Nie sądzisz, że już pora, byś zaczęła znów się odzywać do ojca? Prędzej czy później będziesz musiała to zrobić.

– Nie potrafię. Co mu powiem? Nadal nie rozumiem, jak Kilian mógł przed nami ukrywać istnienie Lahy, to niedopuszczalne, ale on chociaż swoje wycierpiał, po rozstaniu z Bisilą. A tata... – Oczy Clarence zwilgotniały. – Tata zgwałcił kobietę i zabił jej męża, i nie poniósł za to żadnej kary. Nie wiem, jak mama jest w stanie z nim dalej żyć. Wiedziała, że przed ślubem był imprezowiczem i utracjuszem, ale to... To przechodzi ludzkie pojęcie. Jakie znaczenie ma przeszłość? Dla mamy najwyraźniej nie ma żadnego. Wiesz, co mi powiedziała ostatnio przez telefon? Że przecież są już starzy,

że tamto stało się jeszcze przed ślubem, że przecież przez trzydzieści lat małżeństwa odkupił jeden okropny czyn popełniony po pijaku... – Otarła łzy. – To straszne, Danielo. Nie poznaję własnych rodziców.

Daniela podeszła i mocno objęła kuzynkę.

– Jacobo poniósł karę, Clarence. Afrykańska krew płynąca w żyłach jego wnuków będzie mu do końca przypominać o tym, co zrobił. I w dodatku, dowiedziawszy się o istnieniu niechcianego syna, może stracić jedyną córkę.

– Nawet nie chciał z nim rozmawiać... Z własnym dzieckiem...

Clarence mocno zagryzła wargi, żeby opanować płacz. Zamknęła oczy i zamyśliła się nad tym, co zaszło przez ostatnie miesiące, od momentu, gdy znalazła w szafie tamtą kartkę, która z Pirenejów zawiodła ją do Gwinei, do Inika, Lahy i Bisili, tak mocno, jak się okazało, związanych z historią jej rodziny. Poznanie prawdy połączyło ich wszystkich na trwałe, więzami nie do zerwania. Tyle że w konsekwencji bohaterowie poszczególnych historii, które nagle zbiegły się w jedną, zaczęli znikać z jej, Clarence, oczu i nic już nie było jak kiedyś. Nie wiedziała, czy to teraz było lepsze, czy gorsze, ale na pewno inne.

Tak blisko, a przecież tak daleko, pomyślała. A może na odwrót? Pośród kolejnych pożegnań bardzo pragnęła odwrócić to zdanie. Tak daleko, a przecież tak blisko.

Etúlá, Formosa, Fernando Poo, Wyspa Macíasy i Bioko.

Ripotò, Port Clarence, Santa Isabel i Malabo.

Pasolobino.

Tak daleko i tak blisko.

W następnych latach Rabaltué od czasu do czasu wypełniało się gwarem głosów mówiących po angielsku i hiszpańsku, w języku bubi, a nawet pichi i – czasem – w dialekcie pasolobińskim. O to ostatnie dbała Clarence, próbując nauczyć siostrzeńców podstaw języka ich przodków. Samuel i malutka Enoá – dzieci Lahy i Danieli – chłonęli wszystko jak gąbki. Clarence nie wątpiła, że gdyby częściej przebywali w Gwinei, a rzadziej w Kalifornii, wkrótce poznaliby nie tylko francuski czy portugalski, ale i miejscowe języki takie jak fang, annabonejski, balengue, ibo i ndowe. Bioko było prawdziwą wieżą Babel! Patrząc w ogromne, ciemne oczy Samuela, Clarence przypominała sobie Inika, któremu kiedyś powiedziała, że mówić w dwóch językach to tak – jakby mieć dwie dusze. A teraz Samuel i Enoá dysponowali masą najróżniejszych słów, ona zaś tylko czekała, aż złączą z nich układać piękne zdania.

Uwielbiała te krótkie wizyty Danieli, Lahy i maluchów. Pusty zwykle dom nabierał wtedy życia. Przez kilka dni stare ściany zdawały się rozbrzmiewać echemi dawnych rozmów zmieszanych z głosami nowych pokoleń. Daniela droczyła się z nią, wypominając jej, że wciąż nie znalazła kandydata na ojca swoich dzieci, choć przecież – jak powtarzała – macierzyństwo wcale nie jest takie straszne. Clarence przesuwała wtedy wzrokiem po rozrzuconych wszędzie zabawkach i uśmiechała się, bo odnosiła wrażenie, że wraz z siostrzeńcami do domu zawitał huragan, radujący – poza nią – jedynie Kiliana, jako że Carmen i Jacobo nie ruszali się już z Barmonu.

Chory na alzheimera Jacobo, z oddaniem pielęgnowany przez żonę, z fazy agresywnej przeszedł w stan niemal wegetatywny. W oczach Clarence choroba ojca

nabierała wymiaru głęboko ironicznego, by nie rzecz – tragikomicznego: sprawca tylu zmian w życiu tak wielu osób niczego już nie był świadomy. Stracił pamięć, tę ludzką zdolność do panowania nad przeszłością, co do której zresztą kuzynki nadal nie mogły się dogadać, zarówno w jej politycznych, jak i osobistych aspektach.

Przebywając w Pasolobino, Daniela nieustannie rozpływała się nad zachodzącymi na Bioko pozytywnymi zmianami, poczynając od starannej renowacji opuszczonego latami kasyna, przez reformy polityczne, społeczne, ekonomiczne i sądownicze, po sukcesy na polu demokratyzacji i egzekwowania praw człowieka. Z zapałem opowiadała o rządowych kampaniach mających skończyć z wykorzystywaniem dzieci do pracy, przemocą wobec kobiet oraz dyskryminacją przedstawicieli innych grup etnicznych i religijnych; o wysiłkach zmierzających do uświadomienia społeczeństwu znaczenia edukacji i higieny; o walce z AIDS, coraz łatwiejszym dostępie do nowych technologii, coraz liczniejszych programach pomocowych...

Clarence bardzo się temu dziwiła, bo informacje Daniela nie pokrywały się z danymi dostępnymi w internecie, i wyrzucała kuzynce, że przemawia jak minister spraw zagranicznych. Ten otwarcie przyznawał, że Hiszpania zamierza dalej wspierać gwinejskiego dyktatora, choćby to ciążyło części hiszpańskich obywateli. Daniela broniła się zażarcie.

– A ty, Clarence? Co byś zrobiła? Gwinea potrzebuje międzynarodowej pomocy, ale udzielanie tej pomocy oznacza współpracę z dyktatorem. Prawdziwy dylemat, co? Cóż, ja jakoś nie mam wątpliwości. Zasady moralne rozluźniają się w obliczu nędzy. Im więcej się w tym kraju inwestuje, tym więcej miejsc pracy się tworzy, a to sprzyja postępowi. Reszta przyjdzie sama.

– Nie wiem... Czy nie skuteczniej by było raz na zawsze obalić tę dyktaturę i uwolnić ludzi spod ucisku?

– Naprawdę sądzisz, że inspirowany z zewnątrz zamach stanu miałby na celu dobro ludzi? Czy gdyby nie ropa, to ktoś by się w ogóle Gwineą interesował? A tam w środku toczy się życie, Clarence. Są partie polityczne, usiłujące dokonywać drobnych zmian w oczekiwaniu na wielkich przełom. Gwinejczycy już tyle przeszli, tyle wytrzymali... Sądzę, że najwyższa pora darować sobie kolejne kazania i przyjąć do wiadomości, że oni chcą po prostu sami decydować o swoim losie.

Clarence słuchała kuzynki i chciała jej wierzyć. Może faktycznie coś się zmieniło od czasu, gdy o tym wszystkim opowiadał jej Iniko...

Ostatnia wizyta Daniela, Lahy i dzieci w Pasolobino wyglądała inaczej niż poprzednie. Tym razem nie było śmiechów, żartów ani burzliwych dyskusji. Clarence zadzwoniła do kuzynki, by powiadomić ją ze smutkiem, że Kilian trafił do szpitala, a pierwsze diagnozy bynajmniej nie brzmią uspokajająco.

Ukrywali przed nim powagę sytuacji, lecz któregoś popołudnia Clarence, wszedłszy od jego pokoju, odniosła nagle wrażenie, że stryj doskonale zdaje sobie sprawę ze swojego stanu. I zamiast okazywać w obliczu nieuchronnego końca strach czy złość, promieniuje spokojem.

Leżał z głową skierowaną do okna, zapatrzony w niebo. Daniela siedziała obok, trzymając go za rękę, tak jak robiła to od trzech tygodni. Laha kręcił się w pobliżu,

starając się im jednak nie przeszkadzać. Clarence zatrzymała się w drzwiach, częściowo ukryta, żeby opanować łzy. Podziwiała siłę kuzynki, która przez te wszystkie dni nie rozpląkała się przy umierającym ojcu ani razu. Przeciwnie, usiłowała – z powodzeniem – wyglądać na wesołą i dbała o swój wygląd, by nie dać Kilianowi poznać, jak bardzo cierpi.

Kilian przemówił, nie odrywając wzroku od nieba, które tego dnia było wyjątkowo jasne i pogodne. Gdzie się podział deszcz, który towarzyszył mu zawsze w najsmutniejszych momentach życia?

– Danielo, chciałbym cię o coś spytać. Mogę powiedzieć, że umieram spokojny i zadowolony, ale ... – Umilkł na chwilę. – Czy byłem dobrym ojcem?

Clarence poczuła ucisk w piersi. Jacobo nie był już w stanie zadać jej takiego pytania, ponieważ stracił nieomal wszystkie władze fizyczne i umysłowe, lecz gdyby jednak spytał? Co by mu odrzekła?

– Najlepszym, tato. – Daniela pocałowała ojca w policzek. – Najlepszym.

Kilian przymknął oczy usatysfakcjonowany. Przynajmniej część jego złamanego przez rozstanie z Bisilą życia miała jakiś sens.

Clarence nie próbowała już nawet hamować łez. Pożałowała nagle, iż nie powiedziała ojcu w porę, gdy jeszcze potrafił ją zrozumieć, że skoro ci, którym wyrządził krzywdę, wybaczyli mu, choć zapomnieć nie mogli, i zdołali wyrzucić z serca początkowy gniew, żal i wstyd, ona tym bardziej mogła to uczynić. A mimo to, jak widziała teraz, wymierzyła Jacobowi najokrutniejszą z kar: odrzucenie ze strony własnego dziecka.

Kilian znów uniósł powieki i zwrócił się ku córce.

– Twoja matka... – zaczął – ...prosiła, żebyśmy zostali pochowani razem, i zamierzam spełnić jej życzenie. – Daniela ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Cały czas mocno zaciskała usta, żeby opanować emocje. – Chciałbym jednak, żebyś... Żebyście z Lahą coś dla mnie zrobili. Wracając na Fernando Poo, weźcie ze sobą torebkę z ziemią z mojego ogrodu i rozsypcie jej trochę w palmowej alei w Sampace oraz na grobie dziadka Antona w Santa Isabel.

Laha zauważył, że Daniela z trudem nad sobą panuje. Podszedł i położył jej dłoń na ramieniu. Kilian posłał zięciowi słaby uśmiech. Tak, jego własna ścieżka musiała się ponownie skrzyżować ze ścieżką Bisili. To była tylko kwestia czasu. I rzeczywiście – duchy pozwoliły im wreszcie zaznać odrobiny spokoju. Miał pewność, że Bisila cieszy się tak samo jak on, że doczekała chwili, gdy może raz jeszcze przeżyć swoje życie za sprawą Lahy i Daniela.

Uniósł wolną od kroplówki dłoń do szyi i pogładził muszle nawleczone na stary, wytarty rzemyk.

– Pomóż mi, córeczko. Rozwiąż ten supeł.

Daniela spełniła polecenie. Kilian długo trzymał naszyjnik w ręku, by w końcu zacisnąć na nim palce i podać go córce.

– Zawieź go Bisili. Powiedz jej, że tam, dokąd się wybieram, już mi się nie przyda, ale mam nadzieję, że będzie ją chronił przez tę resztę życia, jak wcześniej chronił mnie. – Wzruszył ramionami i znów spojrzął na widoczne w kwadracie okna niebo. – To tyle.

Teraz pośpię.

Tego właśnie chciał: zasnąć i znaleźć się wreszcie na wysepce porośniętej kakaowcami o błyszczących liściach i pomarańczowych jagodach, na wysepce, gdzie dni i noce były zawsze jednakowej długości, nie brakowało chyba ani jednego odcienia zieleni, a on sam, Kilian, pomagał kiedyś uprawiać pokarm bogów. Zasnąć i pomknąć nad fantazyjną wycinanką zatok i zatoczek, wspiać się Zboczem Gorączki i poczuć zapach delikatnych białych kwiatków *egombegombe*; usłyszeć śmiechy, żarty i śpiewy Nigeryjczyków, zatańczyć w rytm ich bębnow; ucieszyć oczy jaskrawymi kolorami *clote*, mieniącymi się na ulicach uroczego miasta rozłożonego u stóp zawsze zamglonej góry Santa Isabel; zanurzyć się w tym lepkiem upale i przesycającej go słodkawej woni; przejść się pod rajsko zielonym sklepieniem palm, cedrów, puchowców i paproci, pośród śmigających obok ptaków, małp i kolorowych jaszczurek; wystawić ciało na uderzenie tropikalnej burzy, a później na pieszczotę łagodnej bryzy niosącej zapach kakao...

Och, jak pragnął być tą wyspą i bez przerwy czuć na sobie jasne spojrzenie Bisili!

Tej nocy ostatecznie stracił przytomność. Przez kilka dni majaczył, a potem, konając, raz po raz powtarzał jakieś słowa, obce dla Daniela i Clarence, lecz doskonale zrozumiałe dla Laha, który wszakże nie chciał niczego przetłumaczyć. Od czasu do czasu pojawiało się wśród nich imię Bisili i wtedy twarz Kiliana łagodniała, wręcz rozjaśniała się, by zaraz znów ściągnąć się w wyrazie cierpienia. I tak aż do końca.

Tydzień po pogrzebie Laha musiał wracać do pracy. Daniela z dziećmi została w Rabaltué, by uporządkować rzeczy ojca. Starła się, podobnie jak Clarence, nie płakać, nie chcąc zasmucać maluchów, które wciąż nie rozumiały, że ich dziadka nie ma już tam, gdzie zawsze przecież był. W końcu uwierzyły, że Kilian zamienił się w motyla i odleciał do nieba.

Pewnego wieczoru, gdy kuzynki kończyły pakowanie, Clarence zauważyła, że Daniela wpatruje się w naszyjnik ojca. Zdziwiona spytała, o co chodzi.

– Jestem coś winna matce. Jeśli zawiozę to Bisili, pogodzę się z faktem, że tata w duszy zdradzał mamę. Poza tym nie chcę już myśleć o przeszłości. Mamy z Lahą cudowną teraźniejszość i przyszłość, i mnóstwo rzeczy do zrobienia. Mnóstwo! Koniec z nostalgią! Zbyt długo panowała w tym domu. To się odnosi i do ciebie, Clarence...

To powiedziawszy, Daniela usiadła na łóżku z naszyjnikiem w rękach i rozplakała się tak, jak obawiała się płakać przy dzieciach. Clarence milczała, pozwalając, by kuzynka wyrzuciła z siebie to straszne poczucie osierocenia, jakie ogarnia człowieka po stracie rodziców.

Po jakimś czasie Daniela otarła łzy i podała Clarence naszyjnik.

– Trzymaj – oświadczyła z rezygnacją i zarazem przekonaniem. – Zrób z tym, co uważasz za stosowne. Ja nie mam ochoty się dłużej nad tą kwestią zastanawiać.

Clarence przypomniała sobie wtedy Inika – jak założył jej naszyjnik, który wciąż miała, i powiedział, że to dla ochrony przed złymi duchami. Jakże różniły się między sobą historie poszczególnych mieszkańców Rabaltué!

Kilian i Bisila kochali się mimo odległości i upływu czasu, i choć nie widzieli się przez wiele dekad, do końca zdawali się toczyć jakąś tajemną rozmowę. Tymczasem ona i Iniko zeszli się na moment, by potem rozstać się za obopólną zgodą, świadomi, że żadne

nie zrezygnuje ze swojego życia dla tego drugiego.

Złożona przeszłość znacznie bardziej naznaczyła związek Danieli i Lahy, którzy musieli się od niej wyswobodzić, by znaleźć swoje miejsce i stworzyć sobie przyszłość wolną od żalu i nienawiści. Daniela pragnęła odrzucić zbędny bagaż – i słusznie: świat należał wszak do tych, co podróżowali bez zbędnych obciążeń.

Clarence westchnęła. Faktycznie, zbyt łatwo dała się owładnąć nostalgii. Żyła bardziej wspomnieniami – własnymi i cudzymi – niż teraźniejszością. Tak się przejęła swoją misją kultywowania tradycji, że powoli upodabniała się do kamieni, z których zbudowane było Rabaltué. Ale co właściwie miała robić? Jak walczyć z nostalgią, skoro za kilka dni stara rodowa siedziba całkiem opustoszeje? I to właśnie jej, Clarence, przypadnie smutny obowiązek zamknięcia wiekowych drzwi. Odtąd Rabaltué, jak wiele innych domów, ożywać będzie wyłącznie latem. W środku, zamknięte na zawsze, pozostaną wspomnienia po dziesiątkach ludzi, których imiona ozdobiły wymalowane w holu drzewo genealogiczne; także po tych, którzy wyjechali, by nigdy nie wrócić. Cóż, życie.

Popatrzyła na naszyjnik i od razu zrozumiała, co z nim robi. Postanowiła zapakować go wraz z ziemią z ogrodu stryja i wysłać wszystko Inikowi, by on przekazał to Bisili razem z ostatnimi słowami Kiliana. Skoro nie starczyło jej determinacji, by sprowadzić prochy dziadka Antona do Pasolobino, w ten sposób mogła mu to trochę zrekompensować. Nie wątpiła, że Iniko wywiąże się z zadania odpowiednio. Tak samo jak ona, Clarence, szanował tradycję. A nikt lepiej niż Bisila nie potrafiłby spełnić ostatniej woli Kiliana.

Do pokoju, ściskając swojego pluszaka, wbiegła dziewczynka z włosami zebranymi w mnóstwo warkoczyków. Enoá. Clarence wzięła siostrzenicę na ręce i zaniósła ją z powrotem do łóżka.

Na myśl o dzieciach Danieli od razu poweselała.

Kuzynka doskonale wybrała im imiona: „Enoá” znaczyło „morze”, a „Samuel” nawiązywało do Sama Parkera, którego nazwisko, wymawiane w pichi, dało nazwę Sampace. Któregoś dnia wszystko miało ulec zapomnieniu, owszem, lecz przeszłość i przyszłość, złączone, trwały w imionach tych dzieci. Morze i palmy. Symbole odrodzenia i zwycięstwa nad czasem.

Rozmyślając nad tym, Clarence poczuła też ukłucie zazdrości. Enoá i Samuel mieli to szczęście, że nie musieli się martwić, czy są biali, czy czarni, czy pochodzą z afrykańskiej wyspy, czy z hiszpańskich gór. Ona, Clarence, zamierzała im opowiedzieć o legendach Bubich, tradycjach Pasolobino, a także o miłości Bisili i Kiliana, pewna, że wysłuchają jej bez smutku. Należeli do innego pokolenia – pokolenia, które nie dziwiło się już wcale, że tak bardzo odległe miejsca mogą pozostawać w tak ścisłym związku.

Dla niej jednak cała ta historia pozostawała historią ludzi, którzy potrafili zdobyć się na niezwykłą odwagę i zmienić los wiekowego kamiennego domu, oczekującego teraz przyszłości z rozedrganą niepewnością motyla.

Mówiłam ci, Kilianie, tak, zaraz na początku. Bałeś się, że śnieg na palmach natychmiast stopnieje i zniknie. Bałeś się, że palmy nie zapuszczą korzeni na śniegu.

To popatrz teraz, stąd, z góry! Wznies się na skrzydłach i spójrz na swój dom z lotu

ptaka. Widzisz, jak mocne jest życie? Jego rzeka płynie teraz przez ogród Rabaltué zasilana przez wiele nowych strumieni...

Mówiłam ci, Kilianie.

Wiedziałeś, że nigdy więcej się nie spotkacie, a jednak...

Daj się nieść północnemu wiatrowi! Leć ponad górami, równinami i urwiskami! Dosiądź harmattanu i zawieśnij nad wyspą!

Już odnalazłeś kierunek. Już nie jesteś statkiem na mieliźnie. Żadne dzwoneczki cię nie zdezorientują.

Widzisz?

Bisila się uśmiecha.

Niedługo do ciebie dołączy. W końcu się spotkacie, poza czasem, poza pośpiechem, poza ograniczeniami. Tam, gdzie nie ma furii, a jest spokój. Gdzie pić będziecie tylko deszcz.

I teraz, gdy wreszcie odrodziłeś się pośród *baribò*, zrozumiesz to, co Bisila próbowała ci powiedzieć od zawsze.

Że ślady tych, co szli razem, nigdy się nie zacierają.

OD AUTORKI

Fabula, która łączy i rozdziela bohaterów tej powieści, zarówno mieszkańców Bioko, jak Pasolobino, jest czystą fikcją. Niemniej wielu mężczyzn i wiele kobiet z Pirenejów naprawdę spędziło na wyspie długie lata. Wśród nich znaleźli się: mój ojciec, Francisco Gabás Pallás, i mój dziadek, Francisco Gabás Farré, z domu Mata w Cerler; moja babcia, Rosario Pallás Ventura, z Llogodo w Cerler, oraz Ismael Lamora Pallás, kuzyn mojego ojca, z Casety w Ramastué. Dzięki ich wspomnieniom, tak ustnym, jak i spisany, od dziecka dużo wiedziałam o wyspie Fernando Poo, wielkością zbliżonej do górzystego zakątka, z którego pochodzę.

Historia dziesiątków ludzi z doliny Benasque, położonej w okolicach Ribagorzy, w prowincji Huesca, ludzi, którzy od końca XIX wieku wyprawiali się do Gwinei Równikowej, została opisana przez Josego Manuela Bruneta, Josego Luisa Coscullueę i Josego Marię Mura w bardzo potrzebnej i ciekawej książce pod tytułem *Gwinea po naszymu, czyli łąki Benasque i plantacje Fernando Poo* [2], wydanej w 2007 roku, wkrótce po śmierci mojego ojca. Chciałabym szczególnie podziękować Josemu Marii Murowi za to, że wydobyl z niepamięci doświadczenie dostępne nielicznym i pozwolił mi uczestniczyć w wywiadach z osobami, których wspomnienia stały się kanwą mojej powieści, a także za to, że – nieświadomie – dostarczył mi ostatniego impulsu do realizacji pomysłu zajmującego moje myśli od lat, a biorącego się z zaciekawienia tym, czego nam nigdy nie opowiadano, tą *drugą* wersją, wersją mieszkańców Gwinei, nie zawsze – moim zdaniem – przedstawianych w powieściach czy relacjach z podróży z należnym im szacunkiem.

Miejsce narodzin mojego ojca, Cerler, to mała, urocza, zimna i słoneczna miejscowość położona na wysokości 1540 metrów nad poziomem morza, w gminie Benasque, która może się cieszyć bliskością wyjątkowo pięknych i potężnych gór. Nasza dolina ma długą historię, choć obecnie znana jest głównie jako ośrodek narciarski. To, że rodzinną dolinę hiszpańskich bohaterów tej książki nazwałam Pasolobino, wynikało z dwóch powodów: po pierwsze, chcąc zachować obiektywizm, musiałam zdystansować się od miejsca, gdzie spędziłam dużą część życia, a po drugie, chodziło mi o stworzenie przestrzeni, którą mogliby uznać za swoją także inni Hiszpanie przez długie dziesięciolecia mieszkający w Gwinei. (W latach czterdziestych ubiegłego wieku na Fernando Poo było około tysiąca moich rodaków. W momencie uzyskania przez Gwineę niepodległości ich liczbę w całym kraju szacuje się na jakieś osiem tysięcy). Podobnie wioska Bissappoo, chociaż fikcyjna, przypomina wiele prawdziwych, istniejących na wyspie w opisywanych przeze mnie latach. Faktem pozostaje również, że w 1975 roku Macías kazał spalić jedną z takich osad, w przekonaniu, że jej mieszkańcy zajmują się działalnością wywrotową.

Wszystkie wydarzenia historyczne i okoliczności stanowiące tło powieści oparłam na faktach. Znawcy tematu zechcą mi, mam nadzieję, wybaczyć kilka drobnych nieścisłości (takich jak przyspieszenie wyjazdu Nigeryjczyków z wyspy albo zmyślenie remontu w

lokalu Anity Guau), które wprowadziłam ze względów literackich.

Jestem ponadto całkowicie świadoma, że to co napisałam dotyczy jedynie dawnej wyspy Fernando Poo, a nie całej Gwinei. Różnice kulturowe między wyspą a częścią kontynentalną, znacznie zresztą większą, uniemożliwiły mi jakąkolwiek próbę rozszerzenia przyjętej perspektywy. Mój pierwotny pomysł, od którego nie odstąpiłam ani na chwilę, sprowadzał się do porównania dwóch rajszych zakątków nieustannie zestawianych przez mojego ojca: wyspy i naszej doliny.

Pragnąc zapoznać się z polityczną i społeczną historią Gwinei Równikowej, przez długi czas czytałam wszystko, co tylko znalazłam na ten temat. Wymienię teraz książki i artykuły, które wywarły wpływ na ostateczny kształt tej powieści.

1. Geografię, historię, ekonomię i politykę Gwinei Równikowej przybliżyli mi następujący autorzy: Justo Bolekia Boleká (*Wstęp do historii Gwinei Równikowej*, 2003); Emiliano Buale Borikó (*Gwinejski labirynt*, 1989); Agustín Nze Nfumu (*Macías, ofiara czy kat*, 2004), rzucający nowe światło na okrutną dyktaturę; Fernando García Gimeno (*Fernando Afrykańczyk*, 2004), szczegółowo i z uczuciem opisujący ponaddwudziestoletni pobyt w Gwinei w okresie poprzedzającym uzyskanie przez nią niepodległości; Dolores García Cantús (*Fernando Poo. Hiszpańska przygoda kolonialna w Afryce Zachodniej [1778–1900]*, 2004); Juan José Díaz Matarranz (*Od handlu niewolnikami do uprawy kakao: ewolucja hiszpańskiego modelu kolonialnego w Gwinei Równikowej w latach 1778–1914*, 2005); Joaquín J. Navarro, kapitan żeglugi morskiej, sekretarz rządu wyspy Fernando Poo i przyległości, autor raportu sporządzonego dla królowej Izabeli II (*Zapiski o stanie zachodniego wybrzeża Afryki, a głównie posiadłości hiszpańskich w Zatoce Gwinejskiej*, 1859); Xavier Lacosta (*Chronologia Gwinei Równikowej od początków procesu niepodległościowego [1948] po sąd nad Macíasem [1979]*), który za sprawą swojego jasnego, ciekawego i wyczerpującego zestawienia pomógł mi uporządkować fakty stanowiące tło mojej powieści.

Ponadto przedatne mi były artykuły z czasopisma „La Guinea Española”, wydawanego przez klaretynów od 1904 do 1969 roku i dostępnego w sieci na stronie www.raimonland.net. Numer przeglądany przez Kiliana w czasie jego pierwszej podróży statkiem w 1953 roku jest prawdziwy, a artykuł o języku bubi wyszedł spod pióra ojca Amadora del Moliny, który latami badał historię Gwinei. Korzystałam też z ilustracji zajmującego się Afryką botanika i wykładowcy nauk przyrodniczych Emilia Guinei, autora książek *W Gwinei* (1947) i *W kraju Bubich* (1949), oraz z filmu dokumentalnego pod tytułem *Czarna pamięć* (2007), którego autorem jest Xavier Montanyà.

Artykułów na temat Gwinei przeczytałam przez ostatnie dziesięć lat bardzo dużo, oto autorzy, tytuły i daty wydania części z nich: Juan Jesús Aznárez, *Dyktatura mroku* (2008); Miguel Ángel Morales Solís, *Gwinea Równikowa. Od kolonii po państwo prawa oraz Gwinea Równikowa. Filmy i bibliografia* (2009); Max Liniger-Goumaz, Gerhard Seibert, hasło „Gwinea Równikowa” w *New Encyclopedia of Africa* (2008); José U. Martínez Carreras, *Hiszpańska Gwinea Równikowa w kontekście drugiej wojny światowej*; Juan María Calvo, *Gwinea Równikowa: stracona okazja* (1989). Zaglądałam ponadto do: artykułów publikowanych w „La Gaceta de Guinea Ecuatorial”, dostępnych na stronie

www.lagacetadeguinea.com, tekstów z „Historia 16” oraz zasobów internetowych gazet takich jak „ABC” czy „Diario del Alto Aragón” (wcześniej „Nueva España”), szukając – w trzech ostatnich – informacji nie tylko o Gwinei, lecz również o Hiszpanii.

Spośród licznych internetowych encyklopedii, stron, czasopism, forów, blogów i kronik podróży niezbędne dla moich celów okazały się następujące: www.raimonland.net, wspaniałe miejsce spotkań i źródło informacji dla wszystkich tych, którzy mieszkali w Gwinei lub chcą się o niej czegoś dowiedzieć; www.asodegue.org, portal Stowarzyszenia Demokratycznej Solidarności z Gwineą, dostarczający licznych informacji o tym kraju; www.bisila.com, oferujący kursy języka bubi, a także zdjęcia i bibliografię; www.revistapueblos.org, strona czasopisma „Pueblos” publikującego liczne teksty na tematy afrykańskie; www.guinea-ecuatorial.org, oficjalna strona emigracyjnego rządu Gwinei Równikowej; bogata w informacje strona www.guinea-ecuatorial.net; www.fundegue.es, portal Fundacji „Hiszpania-Gwinea Równikowa”; czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Kobiet z Gwinei Równikowej Mieszkających w Barcelonie „E’Waiso Ipola”; stworzona niedawno strona www.malobosa.com, gdzie można czytać gazetę „Malabo.S.A”.

Na koniec, chcąc zapoznać się z procesem produkcji kakao, korzystałam z rozmaitych podręczników oraz z artykułu *Dobre kakao marki Sampaka*, opublikowanego w 1957 roku w specjalnym dodatku do czasopisma „La Actualidad Española”, zatytułowanym *Nasza Gwinea* i urozmaiconym fotografiami, na których większości uwieczniony został mój ojciec.

2. Jeśli chodzi o historię, kulturę, religię i tradycje Bubich, szczególnie przydatna wydała mi się książka pod tytułem *Lud Bubich z Fernando Poo*, autorstwa ojca Antonia Aymemí, który pracował na wyspie jako katolicki misjonarz od roku 1894 aż do śmierci w 1941. Jego praca, która ukazała się w roku 1942, stanowiła zbiór artykułów pisanych dla czasopisma „La Guinea Española”. Jako że nie sposób zdobyć egzemplarza tej książki, chcąc stworzyć fikcyjne Bissappoo, musiałam sięgnąć po jej angielskie tłumaczenie wydane w 2003 roku przez Colleena Truelseną pod tytułem *The History and Culture of an Endangered African Tribe*. Jak wyjaśnia tłumacz, drugie pokolenie Bubich na wygnaniu stopniowo przenosi się z Hiszpanii do Stanów Zjednoczonych. Właśnie dlatego postanowiłam, że Fernando Laha z mojej powieści będzie pracował w Kalifornii, którą sama znam dobrze. Truelsen przyznaje zarazem, że bez znajomości hiszpańskiego bardzo trudno jest uzyskać jakiegokolwiek informacje na temat kultury Bubich.

Inne wykorzystane przez mnie źródła to: *Magia Bubich. W gwinejskiej dżungli* Josego Manuela Novoi (1991); *Lud Bubich. Rytuły i wierzenia* wspomnianego już ojca Amadora Martina del Moliny (1989); cytowane wcześniej czasopismo „La Guinea Española” oraz www.maib.org, oficjalna strona internetowa Ruchu na rzecz Samostanowienia Wyspy Bioko, gdzie pojawiają się informacje na temat historii Bubich.

Przy tworzeniu tych partii powieści, które bezpośrednio dotyczą politycznych aspektów życia na Bioko, sięgałam również do przywoływanych poprzednio pozycji: *Wstępu do historii Gwinei Równikowej* Justa Bolekii Boleká (2003) oraz *Gwinejskiego labiryntu* Emiliana Buale Borikó (1989).

3. Zważywszy że moja bohaterka, Clarence, wykłada lingwistykę na uniwersytecie i

interesuje się literaturą hispanoafrykańską, wspomnę tu jeszcze o kilku innych autorach przydatnych mi w pewnym stopniu prac, takich jak: Jorge Salvo, profesor iberystyki na Uniwersytecie Karoliny Południowej, mający na swoim koncie liczne artykuły oraz monografię zatytułowaną *Kształtowanie się tożsamości w powieści hispanoafrykańskiej lat 1950–1990* (2003); Shosténe Onomo-Abena i Joseph Désiré Otabela Mewolo, autorzy *Początków hispanojęzycznej literatury w Gwinei Równikowej* (2004); Mbaré Ngom z Morgan State University of Maryland, ze swoją *Hispanojęzyczną literaturą afrykańską* (1993), oraz Issacar Nguen Djo Tiogang, który doktoryzował się rozprawą pod tytułem *Innowacje semantyczne i leksykalne w hiszpańszczyźnie Gwinei Równikowej* (2007). Zaglądałam też do różnych artykułów specjalistów takich jak: Mariano L. de Castro Antolín, profesor geografii i historii w Valladolid, autor publikacji z zakresu historii Gwinei Równikowej oraz stosunków między Gwineą a Hiszpanią; Humberto Riochí, w 2009 roku rzecznik prasowy Ruchu na rzecz Samostanowienia Wyspy Bioko (Movimiento por la Autodeterminación de la Isla de Bioko, MAIB); Micheal Ugarte, profesor literatury hiszpańskiej na Uniwersytecie Missouri; Juan Tomás Ávila Laurel, pisarz, redaktor naczelny czasopisma „El Patio” w Malabo, dający gościnne wykłady na rozmaitych amerykańskich uniwersytetach; Carlos González Echegaray, hiszpański afrykanista, a także Germán de Granda, zajmujący się językami Gwinei Równikowej.

W związku z gwinejską hiszpańszczyzną wypada wspomnieć o artykułach Shosténe Onomo-Abeny i Aminou Mohamadou z Uniwersytetu Yaoundé I w Kamerunie. Mohamadou jest autorem artykułu na temat „espagwifangielskiego”, czyli mieszanki hiszpańskiego, gwinejskiego – czy raczej różnych języków gwinejskich takich jak fang, bubi, annabonejski, benga, ndowe – francuskiego i angielskiego. Muszę też, oczywiście, przywołać tu nazwisko Johna M. Lipskiego, wykładowcy lingwistyki na Uniwersytecie Pensylwańskim, dialektologa, specjalisty od współistnienia języków, języków kreolskich oraz wpływów afrykańskich w hiszpańszczyźnie i portugalszczyźnie. Jego wspaniały artykuł, zatytułowany *The Spanish of Equatorial Guinea: Research on the hispanidad's best-kept secret*, byłby zapewne pierwszym, który przeczytałaby Clarence, gdyby rzeczywiście zajmowała się w Gwinei dociekaniem natury lingwistycznej.

Literatura gwinejska – w epoce przedkolonialnej wyłącznie ustna, za kolonii akcentująca egzotykę regionu, a w czasach niepodległości rozliczająca smutną przeszłość, coraz częściej pisana w językach lokalnych, ale wykorzystująca formy zarówno tradycyjne, jak zachodnie – jest u nas, mimo że stanowi poniekąd część naszej historii, niemal całkowicie nieznaną. Aby zdać sobie z tego sprawę, wystarczy sięgnąć po niezwykle interesujący esej Justa Bolekii Boleká, udostępniony w 2005 roku w elektronicznych zasobach Instytutu Cervantesa, albo po prace Mbarego Ngoma Fayé czy Donata Ndonga-Biyoga. Ten ostatni – gwinejski dziennikarz, historyk, eseista i powieściopisarz, autor powieści *Mrok twojej czarnej pamięci* i *Moce burzy*, a także znawca współczesnej hispanojęzycznej literatury gwinejskiej – opublikował w 1984 roku niezastąpioną *Antologię literatury gwinejskiej*, w której zebrał prozę, poezję i dramat.

Osobno należy potraktować utwory pisane przez Hiszpanów mających za sobą pobyt w Gwinei. Wiem, że jest ich dużo – wciąż nie przeczytałam *Serca ptaków* Elsy López (2001), nie widziałam też filmu *Z dala od Afryki* Cecیلی Bartolomé (1996). Oto autorzy i

tytuły tych, które znam i które wpłynęły na kształt mojej powieści: José Más, *W kraju Bubich* (książka napisana w roku 1919 i wznowiona w 2010); V. López Izquierdo, *Zielony płaszcz na słońcu* (1973); María Paz Díaz, *Dolina Bubich* (1998); José A. López Hidalgo, *Dom słowa* (1994); Carles Decors, *Na południe od Santa Isabel* (2002); Fernando Gamboa, *Gwinea* (2008, rzecz mocna i niepokojąca); Javier Reverte, *Afrykańska historia* (2009); Miguel Gutiérrez Garitano, *Przygoda w Muni. Śladami Iradiery: biała historia Gwinei Równikowej* (2010) oraz Fernando García Gimeno i jego przywoływany już *Fernando Afrykańczyk* (2004).

Moja powieść włączy się więc w bogatą już tradycję, co bardzo mnie cieszy. Clarence i Iniko zgadzają się co do tego, że każde z nich stanowi ogniwo długiego łańcucha, na który składają się zarówno ich przodkowie, jak i ci, co urodzą się później. Podobnie z tą książką: jest ogniwem długiego łańcucha słów już napisanych i takich, które dopiero zostaną napisane o Gwinei Równikowej. Ale nie tylko o to chodzi. Mam nadzieję, że dzięki temu tekstowi hiszpański czytelnik zdoła poznać lub przypomnieć sobie odmienny od naszego kontekst historyczny, polityczny i społeczny, egzotyczny i zarazem bardzo nam bliski. I liczę też na to, że czytelnicy z Gwinei Równikowej dowiedzą się z kolei czegoś o ludziach, którzy z różnych powodów przyjeżdżali do ich kraju; że dowiedzą się czegoś o Hiszpanii, jej zwyczajach i o zmianach, które w niej zaszły.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Justowi Bolekii Boleká – gwinejskiemu intelektualistcie pochodzącemu z ludu Bubich, wykładowcy romanistyki na Uniwersytecie w Salamance, autorowi licznych artykułów, esejów i książek dotyczących lingwistyki i socjolingwistyki, znawcy języka, kultury i antroponimii Bubich, poecie, politykowi i historykowi – za to, że zechciał przejrzeć tę powieść, w której jest po trosze ze wszystkich dziedzin przez niego opanowanych po mistrzowsku. To on poprawił pojawiające się w tej książce rozmowy i wyrażenia w językach bubu i pichi (odwołując się do tego ostatniego, posługiwałam się słownikiem z 1919 roku, należącym kiedyś do mojego ojca, a wcześniej dziadka, takim samym, jaki przegląda Kilian w trakcie swojej pierwszej podróży statkiem). Justowi Bolekii zawdzięczam też subtelne uwagi dotyczące kultury Bubich, podobnie jak korektę historyczno-politycznych części powieści. Chciałam ponadto podkreślić, że doceniam uprzejmość, jaką było udostępnienie mi przezeń uwzględnionej w jego antologii tradycyjnej opowieści Bubich, zatytułowanej *Wewèöbuaaröö*, którą w mojej książce Fernando Laha opowiada Danieli. Nade wszystko jednak ucieszyły mnie ciepłe słowa podziękowań za możliwość ciągłego podróżowania wraz ze mną z Pasolobino na Bioko i z powrotem.

Dziękuję Ismaelowi Lamorze i Mari Pe Solanie, którzy przez długie lata mieszkali na Fernando Poo, oraz Josemu Antolinowi, pracującemu dla gwinejskiego oddziału Telewizji Hiszpańskiej zaraz po uzyskaniu przez Gwineę niepodległości, za anegdotki i wspomnienia z tamtych czasów.

Dziękuję Luisowi Acevedo za przybliżenie Sampaki Pirenejom i za nieustanną, ciężką pracę na plantacji.

Dziękuję Josemu Maríi Murowi za to, że zaraził mnie swoim pragnieniem poznania przeszłości, pomógł mi w zbieraniu materiałów i – podobnie zresztą jak brat Josean Villalabeitia – przywiózł mi z Gwinei najświeższe wieści.

Z kolei Maruja de San Lucas systematycznie rozwiewała moje wątpliwości dotyczące dawnej mody i jedzonych kiedyś potraw, za co też serdecznie dziękuję.

Dziękuję Fernandowi Garcíi Gimelowi za to, że uprzejmie zechciał zadbać o szczegóły w opisach czasów, które bez niego uległyby zapomnieniu.

Dziękuję Anie Corell, Pedrowi Aguavivie i Felisie Ferraz za trafne i przydatne uwagi na temat pierwszej wersji tej powieści.

Dziękuję Ramonowi Badíi Vidalowi za pierwsze oceny, za profesjonalizm i zrozumienie.

Dziękuję Cristinie Pons za mądre, przenikliwe i niezbędne rady, bez których z tej książki nic by nie wyszło. I, przede wszystkim, za pomoc we wspięciu się Zboczem Gorączki bez strachu.

Na koniec dziękuję swojej wydawczyni, Raquel Gisbert, za to, że uwierzyła w mój projekt i zaoferowała mi niezwykłą możliwość dokończenia tej powieści. Dlatego teraz mogę ją zadedykować – jako rodzaj skromnego hołdu – tym, którzy pochodzili stąd, lecz

żyli tam, oraz ich potomkom, a także tym, którzy pochodzili stamtąd i musieli współżyć z tymi stąd oraz, z kolei, ich potomkom.

Mam nadzieję, że w przyszłości wszyscy będziemy się potrafili trochę lepiej zrozumieć.

Anciles, wrzesień 2011

[1] Hiszpańskie Terytoria w Zatoce Gwinejskiej (przyp. tłum.).

[2] Zarówno ta książka, jak wymieniane dalej monografie, artykuły i filmy, choć ich tytuły podawane są tu w przekładzie, nie mają tłumaczeń na język polski (przyp. tłum.).

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz